

WOJCIECH
CHMIELARZ
CIENIE

Komisarz Jakub Mortka

MARGINESY



WOJCIECH
CHMIELARZ
CIENIE

MARGINESY

PROLOG

– Jeszcze ich nie zabraliście? – zapytał Mortka.

– Chcieliśmy, żebyś zobaczył to na własne oczy.

Grudniowy poranek. Absolutnie najgorsza rzecz, która może się zdarzyć w tym kraju, który i tak nie słynie ze zbyt przyjemnego klimatu. Było zimno i mokro. Jesień zdychała w męczarniach i nawet wschód słońca w Milanówku niewiele tu pomógł.

Andrzejewski podał Mortce lateksowe rękawiczki. Komisarz włożył je bez słowa i wszedł do domu jednorodzinne. W salonie technik kryminalistyki robił ostatnie zdjęcia. Na dźwięk kroków podniósł głowę.

– To na pana czekaliśmy? – zapytał.

– Chyba tak.

– Dokumentacja już zrobiona, ale i tak proszę niczego nie ruszać. Poza tym proszę się rozgościć.

– Dzięki.

Policjant stanął przy ścianie, obrzucając wzrokiem cały pokój. Najważniejsze było pierwsze wrażenie. Szczegóły, które się wtedy zapamiętywało, zostawały na zawsze. Dlatego patrzył w skupieniu.

Najpierw wystrój. Z zewnątrz dom wyglądał całkiem zwyczajnie. Wewnątrz czekała jednak spora niespodzianka. Marmurowe posadzki. Przykurzone, podniszczone i w wielu miejscach poplamione. Gipsowe kolumny udające greckie. Sztukaterie pod sufitem. Meble. Skórzana kanapa i fotele. Zbyt duże, wręcz gigantyczne. Ciemna skóra, podobnie jak podłogi, wymagała czyszczenia i konserwacji. Obok szklany stolik. Pod jedną ze ścian wielki telewizor. Parę lat temu robił wrażenie, ale teraz był po prostu przestarzały. Wszystko przez kineskop. Pod drugą kominek. Od dawna nikt w nim nie palił.

Dom, który kiedyś był bogaty. Dom, który potrzebował pieniędzy.

Na podłodze lśniło szkło z rozbitych szklanek. W ścianach świeże dziury po kulach. Naliczył cztery. Niedaleko, mniej więcej pośrodku pomieszczenia, ciało kobiety w wieku około pięćdziesięciu lat. Blondynka w znoszonym dresie. Leżała na brzuchu. Głowa przechylona na bok. Usta na wpół otwarte. W dłoni pogrzebacz. Pod zwłokami kałuża zaschniętej krwi w kolorze bordowego lakieru, którym starsze kobiety malowały sobie paznokcie u stóp.

Mortka stanął kilka kroków przed ofiarą. Podniósł dłoń, jakby celował, i wymierzył z palca. Dziury po kulach znajdowały się w ścianie naprzeciwko niego. Pod stopami dojrzał błyszczące łuski.

– Tak – odezwał się technik z boku. – Strzelał do niej, kiedy pędziła, żeby mu przyłożyć tym żelastwem.

– To ona rzucała w niego szkłem?

– Tak to dla mnie wygląda. Wpadła do salonu. Zobaczyła, co się dzieje. Najpierw rzuciła w niego szklanką. Nie trafiła. To poleciała po pogrzebacz.

Mortka pokiwał głową.

– Marcin w ogóle jestem.

– Kuba.

Komisarz obszedł ciało z lewej strony. Przyjrzał się pogrzebaczowi. Na jego czubku nie dostrzegł żadnych śladów krwi. Prawdopodobnie nie zdołała zadać ciosu. Kula dosięgnęła ją wcześniej.

Półtora metra od niego na marmurze pojawiła się szkarłatna smuga. Ciągnęła się szeroko, wijąc się delikatnie i prowadząc w stronę kolejnego pomieszczenia. Poszedł jej śladem. Minął gipsową kolumnę. Za progiem znajdowała się kuchnia, a do smugi dołączyły zakrwawione ślady rąk i palców. Półtora metra dalej czekało na niego kolejne ciało. Tym razem młoda kobieta. Dwadzieścia kilka lat. Kruczoczarne włosy opadały częściowo na twarz, częściowo na podłogę. Powieki przymknięte. Można by pomyśleć, że źle się czuje i położyła się tutaj, żeby odpocząć. Miała na sobie czarne obcisłe spodnie od kostiumu i białą bluzkę. Na wysokości brzucha zabarwiła ją na czerwono ogromna, lepka plama krwi.

– Postrzał w brzuch – powiedział technik z salonu. – Cholernie bolesna sprawa. Namęczyła się, zanim odeszła.

– Widzę.

Obok ciała leżał telefon.

– Dzwoniła do kogoś? – zapytał Mortka.

– Pod alarmowy.

– Co konkretnie powiedziała?

– Niewiele. Zdażyła tylko poprosić o pomoc.

– Kiedy przyjechała policja?

– Dziesięć minut po zgłoszeniu. Lokalne chłopaki z Milanówka.

– Widzieli coś? Kogoś?

– To nie do mnie.

– Jasne. Dzięki.

Lewą rękę dziewczyna trzymała na brzuchu. Próbowwała zatamować krwotok. Prawa leżała na podłodze, odciągnięta nienaturalnie w bok. Zakrwawiona dłoń była nieznacznie odgięta. Na serdecznym palcu dostrzegł biały krąg skóry. Jedyne fragment, który nie był poplamiony.

Wrócił do salonu. Technik skończył już swoją pracę i czekał z założonymi rękoma. Wyglądał, jakby fucha przewodnika po domu sprawiała mu przyjemność. Mortka pokazał na schody prowadzące na górę.

– Jest tam coś?

– Coś tam jest, ale nic interesującego. Wszystko rozegrało się tutaj. Salon.

Kuchnia.

- Rozumiem. – Komisarz podrapał się po brodzie. – Pokażesz mi go?
- A nie widziałaś?
- Nie.
- To chodź.

Technik poprowadził go z powrotem do kuchni. Podszedł do blatu. Obok aluminiowego garnka i nadpalonej dawno temu bawełnianej szmatki leżał pistolet. Policyjny P99.

- Tutaj go znaleźliście?
- Tak.
- Nie ruszaliście? Nie przynosiliście?
- Nie. Sprawdziliśmy tylko numery seryjne, żeby wklepać w naszej bazie.

I wtedy wyszło, co wyszło.

- To na pewno z tej broni strzelano?
- Wyślemy do waszego laboratorium, ale z lufy śmierdziało prochem, a kaliber pasuje.
- Dzięki za pomoc.

– Jakby pan miał jeszcze jakieś pytania, to proszę do mnie zadzwonić.

Technik wyciągnął kawałek papieru. Napisał na nim swój numer telefonu i dał Mortce. Komisarz pożegnał się z nim skinieniem głową i wyszedł na zewnątrz. Andrzejewski czekał na niego na podjeździe. Podinspektor i szef stołecznego Wydziału Zwalczenia Terroru Kryminalnego i Zabójstw dreptał w miejscu, próbując się ogrzać. Na łysą głowę nasunął kaszkiet, którego daszek opadał mu niemal na brwi.

– Widziałaś? – zapytał.

– Widziałem – potwierdził. – To bez sensu. Nie zabija się dwóch osób i nie zostawia się na miejscu pistoletu.

– To broń służbowa. Czy ją wziął czy nie, nie ma znaczenia. Zidentyfikowalibyśmy ją po pociskach i łuskach.

– Ale to by trochę zajęło.

– Słuchaj, Kuba, są możliwe dwa scenariusze. Albo zorientował się, że dziewczyna zadzwoniła po pomoc, i wiedział, że nie zdąży zatrzeć śladów. Zostawił broń, bo to już nie miało żadnego znaczenia.

– Albo?

– Albo to, co się tutaj działo, nie było zaplanowane. Wszystko wydarzyło się na gorąco. A wiesz, jak jest w takich sytuacjach. Ludzie popełniają głupie błędy. Nawet policjanci.

Mortka kiwnął głową.

– Po co mnie tu przywiozłeś?

– Żebyś zobaczył wszystko na własne oczy, żeby nie wpadły ci do głowy

żadne głupie pomysły.

– Niby jakie?

– On zniknął. Nie wiemy, gdzie jest. Chociaż nie przesądzam o jego winie, wszystko wskazuje na niego. Prawdopodobnie się ukrywa. Może będzie szukał wsparcia. Może zwróci się do ciebie. Wtedy przypomnij sobie to, co tutaj widziałeś, Kuba. I pod żadnym pozorem – niezależnie od tego, że to twój kumpel, niezależnie od tego, że razem pracowaliście – nie pomagaj mu. Nie pomagaj Kochanowi, Kuba.

1

Pierwsza rzecz, której cię uczą, kiedy zaczynasz pracę w hotelu – bądź uważnym obserwatorem. Druga rzecz – szybko zapominaj to, co zobaczyłeś. Logiczne. Gościom zależy na tym, by obsługa była zawsze obok nich, gdy potrzebują pomocy. A nawet jeszcze wcześniej. Żeby to osiągnąć, trzeba patrzeć. Ale jak jeden taki biznesmen przyjeżdża na dwudniową delegację i zamawia sobie panienkę do pokoju dla rozluźnienia, to zależy mu przede wszystkim na dyskrecji. A najlepszym gwarantem dyskrecji jest niepamięć. Dlatego też te dwa słowa – „patrz i zapominaj” – powinny zostać uznane za maksymę hotelarskiej branży.

Grzegorz dobrze radził sobie z pierwszą częścią, z drugą miał jeszcze problemy. Dlatego od razu zauważył tego mężczyznę. Postawny, krótkie siwe włosy. W tej pracy człowiek szybko dowiaduje się, jak rozróżniać cztery zawody: psy, złodziei, prostytutki i taksówkarzy. Ten był policjantem. Świadczyła o tym jego postawa – coś na pograniczu pewności siebie i arogancji. Coś, co mają tylko osoby, które w dowolnej chwili mogą zamachać ci odznaką przed nosem i kazać spierdalać w podskokach, bo tak.

Policjant w hotelu to zły znak. Grzegorz zastanawiał się, czy nie powinien wezwać kierownika zmiany i szefa ochrony, ale po chwili postanowił jednak nie robić afery. Facet pewnie przyszedł na umówione spotkanie, a może tylko szuka toalety. Recepcjonista rozejrzał się po holu, szukając wzrokiem innych funkcjonariuszy. Albo dobrze się chowali, albo ich nie było. Wolał to drugie wyjście. Oznaczało to, że policjant przyszedł sam i nie szykuje się żadna grubsza akcja.

Stojąca przy komputerze Aniela też zauważyła siwowłosego. Akurat obsługiwała zagranicznego gościa. Chyba Niemca albo Szweda, więc wymienili między sobą spojrzenia. Oni zawsze fatalnie mówią po angielsku. Z dziwnym, twardym akcentem, który sprawia, że słowa brzmią jak potłuczone cegły. Do tego nachylają się wtedy do ciebie z taką obrażoną, teutońską miną, bo to w końcu twoja wina, to zawsze jest twoja wina. Z Anglikami nie było lepiej. Mamrotali, jakby pili od samego rana. Zero szacunku dla własnego języka. Według Grzegorza najłatwiej dogadywało się z Amerykanami i, o dziwo, z Hindusami i Arabami.

Aniela była ładną, niską blondynką z dość dużymi piersiami. Z pełną świadomością tego faktu wkładała do pracy zbyt małe koszule, przez co materiał napinał się do granic możliwości, a guziki wyglądały tak, jakby miały zaraz wystrzelić na wszystkie strony. Grzegorz uważał to za dość prostackie zachowanie, ale poza tym lubił tę miłą, sympatyczną dziewczynę, która bardzo pomogła mu podczas pierwszych dni pracy w Gromadzie. Planował zaprosić ją na kawę. Jednak zanim zebrał się na odwagę, zobaczył, jak odjeżdża na motorze ze swoim chłopakiem, wbitym w skóry, uzelowanym, opalonym na brąz miśkiem, więc

zrezygnował.

Siwowłosy pokręcił się po holu, ewidentnie czegoś szukając. Wreszcie stanął przy świątecznej choince. Ubrali ją już na początku grudnia, zdaniem recepcjonisty zdecydowanie za wcześnie, ale kierownictwo chciało, kierownictwo ma. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę papierosów i wsadził jednego do ust.

– Przepraszam! – odezwał się Grzegorz zza kontuaru. Funkcjonariusz wydawał się go nie słyszeć. – Przepraszam! – krzyknął głośniej. – Pan, pan tam z tyłu!

Siwowłosy drgnął. Spojrzał na recepcjonistę zirytowany, jakby właśnie złapano go w światła reflektorów. Aniela ciągle walczyła z Niemcoszwedem, próbując wytłumaczyć mu po raz dziesiąty jedną pozycję z rachunku, więc Grzegorz musiał radzić sobie sam.

Wyszedł zza lady i zbliżył się do gościa. Sprawdził, gdzie znajduje się hotelowy ochroniarz, na wypadek gdyby konieczne było wezwanie pomocy.

– Przepraszam pana bardzo, ale tutaj nie wolno palić – powiedział.

– Przecież nie palę – obruszył się siwowłosy.

Faktycznie, papieros był niezapalony. Grzegorz jednak wiedział, że z takimi osobami nie ma sensu dyskutować, a na pewno nie wolno przyznawać im racji. Trzeba spokojnie, ale stanowczo robić swoje. Nawet jeśli to policjant.

– Bardzo pana przepraszamy, ale w naszym hotelu nie wolno palić. Proszę schować tego papierosa.

Mężczyzna pociągnął nosem. Wyjął papierosa z ust. Podsunął go demonstracyjnie recepcjoniście, niemal wsadzając mu go do oka, a potem teatralnym ruchem schował do wymiętej paczki.

– Bardzo panu dziękuję.

Grzegorz chciał się wycofać za ladę, ale siwowłosy powstrzymał go znaczącym chrząknięciem.

– Tak, słucham?

– Którędy do apartamentów?

– Windy znajdują się...

– Nie interesują mnie windy – przerwał mu policjant. – Macie jeszcze taki przedpotopowy wynalazek jak schody?

Grzegorz uśmiechnął się uprzejmie, bo kiedy goście żartują, zawsze trzeba się uśmiechać. Nawet jeśli są to tacy buce jak ten.

– Oczywiście – potwierdził. Potem wskazał mu drogę i poinformował, na które piętro powinien wejść. Policjanta interesował konkretny pokój, apartament mieszczący się na jednym z najwyższych pięter. Recepcjonista miał więc tę satysfakcję, że siwowłosy solidnie się zmacha, zanim dotrze na miejsce.

Wrócił za kontuar. Niemcoszwed kierował się już w stronę wyjścia, ciągnąc

za sobą ogromną walizkę na kółkach. Aniela schowała za ucho kilka luźnych kosmyków.

– Czego chciał? – zapytała.

– A twój? – odpowiedział pytaniem chłopak. – Bo ja go ni w ząb nie rozumiałem.

– Chyba chciał się dowiedzieć, gdzie jest apteka.

– Chyba?

– Ja też go ledwo, ledwo. W każdym razie wskazałam mu drogę do najbliższej.

– A jeśli nie o to mu chodziło?

– To wróci. A ten twój? Podejrzenie wyglądał.

– Podejrzenie? Mi raczej na policjanta.

– To mówię, że podejrzenie – zaśmiała się Aniela. – Czego chciał?

Grzegorz już otwierał usta, żeby jej odpowiedzieć, kiedy przypomniał sobie, kto pojawił się dwadzieścia minut wcześniej w hotelu. I kto wziął klucz elektroniczny do tego samego apartamentu, do którego udał się policjant. Postawny mężczyzna. Uprzejmy i miły, ale w jego spojrzeniu było coś nie tak. Miał zimne, martwe oczy węża. Umówili się tutaj na spotkanie, tak zrozumiał. Ten policjant i ten niepokojący mężczyzna. I nie mogło z tego wyjść nic dobrego.

W hotelarstwie uczą cię najpierw dwóch rzeczy – być uważnym i szybko zapominać. Grzegorz nieźle radził sobie z pierwszą. Nad drugą postanowił jak najszybciej popracować. Dla własnego dobra.

Komisarz Gruda z Wydziału Zwalczenia Terroru Kryminalnego i Zabójstw powoli wspinał się po schodach i po raz kolejny przeklinał pod nosem swój strach przed windami. Nie że w ogóle do nich nie wchodził. Czasami nie miał wyjścia. W życiu nie przyznałby się do tej fobii komukolwiek z pracy. Ale zawsze, jeśli tylko mógł, wybierał schody. Z windami było coś bardzo nie tak. Małe metalowe klatki, zawieszane na linie, ciągną człowieka wysoko w górę, jakby był tylko stertą desek. Liny mogą przecież się zerwać, hamulce nie zadziałać, a jedyne, co można wtedy zrobić, to wciskać przycisk alarmowy, co oczywiście i tak nic nie daje. Albo nawet samo zatrzaśnięcie w windzie. Znowu nic się nie da zrobić. Trzeba tylko siedzieć w tej celi dwa na dwa i modlić się, żeby pomoc nadeszła, zanim zachce ci się srać. Nie. Kiedy tylko Gruda mógł wybierać, to zawsze wybierał schody. Tak było i tym razem.

Dotarł wreszcie na wskazane przez recepcjonistę piętro. Przystanął tam na dwie, trzy minuty. Otarł pot z czoła. Począł, aż serce znów zacznie mu normalnie bić. Wyciągnął komórkę i wyłączył ją na wszelki wypadek. Dopiero potem ruszył korytarzem w stronę pokoju. Po drodze minął sprzątaczkę, która pchała wózek pełen zużytych ręczników. Stał przed drzwiami. Nie spodziewał się żadnych niespodzianek, ale na wszelki wypadek sprawdził, czy łatwo sięgnie po nóż

schowany w kieszeni spodni. Umawiali się, że przyjdą bez broni, ale według Grudy dotyczyło to pistoletów. Poza tym jeśli gospodarz naprawdę spodziewał się, że komisarz pojawi się u niego zupełnie bezbronny, to musiał oszaleć.

Nóż tkwił w kieszeni. Porządne, mocne składane ostrze. Wystarczyło nacisnąć przycisk, by się wysunęło. Dobre, żeby kogoś szybko dźgnąć.

Zapukał. Czekał cierpliwie, nasłuchując, ale nie usłyszał żadnych kroków po drugiej stronie. Po prostu drzwi uchyliły się z lekkim stukotem, kiedy zwalniał się zamek. Otworzył je szerzej. Wszedł do środka, zamykając za sobą. Minął krótki korytarz i znalazł się w pierwszym z pokoi. Nawet ładny. Na żółtych ścianach powieszono jakieś obrazki dla ozdoby. Pod oknem stolik, dwa wygodne fotele, elegancka biała kanapa.

Borzestowski stał obok biurka, tyłem do policjanta. Miał na sobie niebieskie jeansy i granatową, świetnie dopasowaną marynarkę, spod której wystawał czarny golf. Z reklamówki z logo Wólczanki wyjął butelkę wódki. Otworzył ją, wziął jedną szklanekę i nalał do połowy.

– Tobie też nalać?

– Nie, dzięki.

Gangster odwrócił się przez ramię i spojrzał na niego podejrzliwie.

– A to czemu?

– Wątroba – wyjaśnił Gruda obojętnym tonem. – Lekarz powiedział, że albo rzucam picie, albo mogę ustawić się w kolejce do przeszczepu.

Borzestowski pokiwał głową ze zrozumieniem.

– U mnie kręgosłup – powiedział, pociągając ze szklaneczki. – Są dni, kiedy tak napierdala, że mam ochotę sam go sobie wyrwać. Na noc muszę porządnie wypić, by w ogóle zasnąć. A i tak nad ranem śpię tak słabo, że budzi mnie nawet szczekanie psa sąsiadów. A mają takie małe gówna. Kiedyś jechałem na amfie i białej damie, teraz na ketonalu i minesulinie.

– I możesz to łączyć z alkoholem?

– Niby nie. Ale sam wiesz, Gruda. Ciało ludzkie w końcu do wszystkiego się przyzwyczaja.

Policjant wykrzywił usta w grymasie, który przy dużym udziale dobrej woli można by uznać za uśmiech.

– To może przynajmniej soczku, panie komisarzu?

– Pomarańczowy?

– Jabłkowy.

– Może być.

Borzestowski znowu sięgnął do reklamówki. Po chwili podał policjantowi napełnioną szklanekę. Gruda wziął ją bez słowa. Upił trochę i odstawił na stolik. Podeszedł do okna, odsunął firankę i przez chwilę patrzył na pobliskie lotnisko i pas startowy, gdzie właśnie kołował samolot pasażerski linii lotniczych KLM. Postukał

palcem w szybę.

– Powinieneś w nim być – powiedział, wskazując na maszynę.

Borzestowski zakręcił wódką w szklance, jakby to była whisky.

– A dokąd leci?

– Nieważne.

– A jak tam, to ja dziękuję, panie komisarzu.

– Chyba nie zrozumiałeś. Dostałeś ostrzeżenie. To nie był mój pomysł, ale to nie ma teraz najmniejszego znaczenia. Powinieneś skorzystać z okazji. Spakować dolary do walizki i spieprzać z tego kraju, póki jeszcze ci nie założyliśmy bransoletek.

– Jestem wdzięczny za radę, ale nie skorzystam.

– Powinieneś.

– Skończyłeś już mówić, Gruda? Nazgrywałeś się twardziela? Pogroziłeś mi wystarczająco czy jeszcze trochę ci to zajmie? A może teraz moja kolej? – zapytał drwiąco gangster, ale jego spojrzenie było spokojne i skupione. Groźne. Jakby szykował się do ataku.

– Mów – warknął Gruda. Nie mógł pozwolić wyprowadzić się z równowagi. Przyszedł tu tylko po to, żeby porozmawiać. Przekazać wiadomość. Odebrać odpowiedź. Upewnić się, że Borzestowski wszystko dobrze zrozumiał. I nie dać się przy tym oszukać. Gangster mówił jedno, myślał drugie, robił zaś jeszcze coś innego. Nieustannie skupiony tylko na tym, co mogło mu przynieść jakąkolwiek korzyść. Bezwzględny i przebiegły. W taki sposób utrzymał się na szczycie. W taki sposób się na niego dostał.

– Mieszko ma przestać sypać.

Samolot KLM-u wjechał na pas startowy i zniknął za budynkiem terminala. Gruda odszedł od okna. Przeciął pokój, po drodze trącając kolanem jeden z foteli.

– Umówmy się – powiedział po chwili zastanowienia. – Mieszko nie jest tematem naszej rozmowy.

– Wręcz przeciwnie, Gruda. Jest jedynym tematem naszej rozmowy. Jedynym powodem, dla którego zorganizowałem nasze małe spotkanie. I wiem, że jesteś tylko posłańcem, więc przekaz Andrzejewskiemu: niech Mieszko zamilknie.

– Nie ma takiej możliwości.

Borzestowski zrobił zmartwioną minę. Fałszywą, jak on sam.

– Szkoda – mruknął. – Ale musisz wiedzieć jedno, Gruda. Jeśli on gada, to ja też.

Policjant wzruszył ramionami.

– Możesz mówić, co tylko chcesz. Myślisz, że znajdzie się ktokolwiek, kto będzie cię chciał słuchać?

– O! Jestem pewien, że skruszony gangster zawsze znajdzie swoją publiczność. Spójrz na Masę. Wszędzie go pełno. Jeszcze trochę i zaczną śmigać

na łodzi z gwiazdami.

– Byłby to zaprawdę zacny widok. Mógłbym dla niego nawet zacząć płacić abonament. Ale on nigdy nikogo nie zabił.

– A ja tak?

– Obaj wiemy, jak jest. I obaj wiemy, że okej, nawet jeśli znajdziesz kogoś, kto cię wysłucha, to zawsze będzie twoje słowo przeciwko naszemu. A trzeba być idiotą, żeby uwierzyć właśnie tobie.

– Idiotów nie brakuje.

Gruda prychnął. Borzestowski wlał w siebie wódkę ze szklanki. Cały się spiął, kiedy alkohol przepływał przez jego ciało do żołądka, i policjant ocenił, że gangster pomimo mijających lat ciągle jest w formie. Ludzie z półświatka zwykle szybko tyli. Za dużo alkoholu, jeszcze więcej kiepskiego żarcia. Wystarczyło kilka lat, a wyglądali jak żywcem wyjęci ze zjazdu cukrzyków. Jednak Borzestowskiego to nie dotyczyło.

– Było tak, jak było – powiedział gangster. – Ale już nie jest. Teraz nie mamy słowa przeciwko słowu.

– Niby dlaczego?

– Bo przecież w końcu ich znaleźliście.

Gruda poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba.

– Nic o tym nie wiem.

– Proszę nie żartować, komisarzu. O tym, że wykopaliście jakieś ciała nad Wisłą, trąbią media. Co prawda mógł to być ktokolwiek. Nie tylko wy przecież korzystaliście z tamtych okolic jak z cementarza. Są takie miejsca, że gdzie nie wsadzisz łopaty, znajdziesz jakąś kość. Ale teraz mam pewność, że to oni.

– Niby skąd?

– Bo gdyby to nie byli oni, nie odbywalibyśmy tej rozmowy – odparł Borzestowski, odkładając szklankę. – Do tej pory faktycznie mogłem sobie tylko gadać, jednak teraz pojawiły się ciała. Teraz pojawiły się dowody. Ten policjant, Kochan, prawda? Dobrze się sprawił. Muszę sobie gdzieś zapisać, że powinienem mu podziękować. Oszczędził mi sporo kłopotów.

– To nic nie zmienia.

– To zmienia wszystko – wycedził. – Bo od tej pory, jeśli ja idę na dno, wy idziecie ze mną. I to właśnie przekaz Andrzejewskiemu.

Gruda wsadził dłonie do kieszeni. Pod palcami poczuł rękojęć noża. Od Borzestowskiego dzieliły go jakieś trzy metry. Mógłby się do niego zbliżyć o metr, zanim tamten nabrałby podejrzeń. Potem szybko wyciągnąłby nóż, otworzył ostrze i wbił je w serce gangstera. Lewa strona klatki piersiowej, druga przestrzeń międzybrowowa lub trzecia. Sama okolica też byłaby dobra. Jak nie w serce, trafiłby w płuco lub aortę brzuszną, a potem patrzyłby spokojnie, jak skurwieli umiera. Czego dotyczył w tym pokoju? Tylko szklanki i szyby. Ślad na oknie

mógłby zatrzyć, szklanę wziąć ze sobą. Ale w hotelu są kamery bezpieczeństwa, a na dole zwrócił na niego uwagę recepcjonista. Przede wszystkim jednak – w życiu nigdy nie ma łatwych rozwiązań. Borzestowski przyszedł tutaj gotowy na starcie. I też zapewne trzymał swojego asa w rękawie. Dlatego Gruda puścił rękojeść noża i wyjął ręce z kieszeni. Zwiślały mu swobodnie wzdłuż ciała, by gangster mógł zobaczyć, że jest nieuzbrojony.

– Przekażę – powiedział. – Ale na twoim miejscu i tak zainteresowałbym się biletami lotniczymi do jakiegoś miłego, ciepłego miejsca. Okęcie masz blisko.

Chciał się obrócić i odejść.

– On cię wyrucha, Gruda – odezwał się Borzestowski, zatrzymując go w pół kroku.

– Kto?

– A jak myślisz? Andrzejewski.

– Wybacz tę bezpośredniość, ale w dupie byłeś i gówno wiesz.

Gangster zaśmiał się krótko, gardłowo i nieprzyjemnie.

– Dobrze. Zapiszę to sobie.

– Lepiej się naucz na pamięć, żebyś się nie pomylił, kiedy będziesz powtarzać.

– Liczysz na Andrzejewskiego, Gruda. Że jesteście w tym razem. Ale nie jesteście. Popatrz, gdzie ty jesteś, wieczny komisarz, a gdzie on. A zabiliście ich razem. Co ty z tego masz? A co on?

– Nic.

– Jesteś pewien? Gdzie Andrzejewski mieszka?

Gruda milczał.

– W Konstancinie – odpowiedział za niego Borzestowski. – Ma tam ładny domek. Myślisz, że uzbierał na niego z policyjnej pensji?

Policjant zagryzł wargę, a potem wyszczerzył zęby. Wyciągnął w stronę mężczyzny palec i pogroził mu energicznym ruchem.

– Sprytne. Naprawdę cwane.

– Poświęci cię, kiedy tylko nadarzy się okazja. To taka przyjacielska rada.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Ale możemy nimi zostać.

– Prędzej położę chuja pod szlifierkę – odpowiedział Gruda i wyszedł bez słowa.

– Może będziesz musiał – mruknął do siebie Borzestowski, kiedy za tamtym trzasnęły drzwi. – Może będziesz musiał.

Sucha oglądała ten film już setki razy. Początkowe obrzydzenie już dawno zniknęło. Pozostał tylko chłodny analityczny umysł i podziw dla dziewczyny, która to wszystko zaplanowała i przeprowadziła. Policjantka mogła się tylko domyślać, ile to wymagało od niej wysiłku, przygotowań, nerwów.

A koniec końców, zginęła w głupi sposób.

Sucha wzniosła w górę butelkę z piwem w niemym toaście za Zuzannę Łatkowską.

Pierwsza przeszkoda: dostanie się do mieszkania, w którym Celtycki urządził swój mały dom schadzek. Musiała wejść niepostrzeżenie. Zdobyć klucz, co akurat pewnie było łatwe. Robiła w końcu jako opiekunka dzieci u Celtyckich. Wejść do lokalu. Zamontować sprzęt. Odłożyć klucz, zanim ktokolwiek się zorientuje, że zniknął. W sumie mogła go też dorobić, co było najbardziej racjonalne. Pytanie, czy miała taką możliwość.

Przeszkoda druga: zdobycie sprzętu podsłuchowego. Co nie jest takie łatwe i takie proste, jak by się mogło wydawać. Szczególnie dla kogoś, kto robi to prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu. Oczywiście w internecie można znaleźć wszystko, chociaż zapomina się przy tym, że większość z tych rzeczy jest nic niewarta. Ale nawet zdobycie sprzętu nie rozwiązywało problemu, ponieważ wtedy pojawiała się przeszkoda trzecia: jego montaż. Mikrofony trzeba schować w takich miejscach, gdzie będą niewidoczne, ale równocześnie będą dobrze i czysto zbierać dźwięk. Wymaga to i pewnej wiedzy, i pomysłowości. Przeszkoda czwarta: zrobić to wszystko tak, by nie dać się w żaden sposób złapać.

Łatkowskiej się udało. A nawet więcej, zamontowała w jakiś sposób w tym mieszkaniu kamerę. Nagrało się tylko to. Albo tylko to jedno nagranie uznała za na tyle interesujące, by je zachować w swoich materiałach.

Kamerę umieszczono w kącie pokoju, tak żeby obejmowała maksymalny kąt widzenia. Film był pozbawiony dźwięku, jednak w całkiem niezłej jakości. Łatkowska go nie montowała, ale prawdopodobnie skróciła. Pierwsze sceny są dość niewinne. W pokoju znajduje się pięciu mężczyzn. Wszyscy są w podobnym wieku, około trzydziestu pięciu lat. Czterech ma na sobie garnitury, jeden przyszedł w jeansach i gustownym sweterku w serek. Mowa ich ciała, gesty, zachowanie wskazują na to, że dobrze się znają. Atmosfera jest dość luźna. Rozmawiają. Zdejmują marynarki. Rozpinają górne guziki koszuli. Jeden z nich wyjmuje z kieszeni foliową torebkę, a z portfela kartę kredytową. Na blat stołu wysypuje narkotyk, prawdopodobnie kokainę, chociaż może to też być coś innego, i tworzy równe, długie kreski. Robi rulonik z banknotu i wciąga jedną. Zaprasza innych do degustacji. Korzysta dwóch. Facet w sweterku w serek znika na moment z kadru, żeby wrócić po niecałej minucie. Ma dwie butelki piwa. Jedną podaje koledze.

W pewnym momencie rozmowy zamierają. W obiektywie kamery pojawia się nowa postać. Krótko ostrzyżony blondyn, który prowadzi przed sobą młodego chłopaka. Blondyn jest ubrany jak jego koledzy. Spodnie od garnituru, niebieska koszula. Krawat zarzucił sobie zawadiacko na plecy. Chłopak jest prawie nagi. Ma na sobie tylko bokserki i czarne skarpety, podciągnięte aż do połowy łydek.

Goście przerywają rozmowy. Trzech zaczyna klaskać. Facet w swetrze kręci

z niedowierzaniem głową. Jest rozbawiony. Inny podnosi w górę ręce, jakby ogłaszał, że się poddaje, że dla niego to za dużo. Stojący obok łysy wali go otwartą dłonią w plecy.

Chłopak wygląda na około dwadzieścia lat. Jest dość chudy. Widać jego żebra, płaski brzuch, ale pozbawiony mięśni. To nie jest typ sportowca. Mało się rusza. Sucha podejrzewa, że głównie siedzi przed komputerem. Modnie obcięty: dłuższe włosy, wycieniowane i wymodelowane, grzywka opada na czoło. Wydaje się pod wpływem środków odurzających. Chwieje się na nogach. Rozgląda się niepewnie dookoła, jakby nie do końca wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Jednak nawet narkotyki nie są w stanie stłumić jego strachu. Oddycha bardzo szybko. Klatka piersiowa wędruje w górę i w dół w rytm uderzeń serca.

Blondyn klepie go uspokajająco po ramieniu. Chłopak odwraca się w jego stronę i wtedy otrzymuje cios prosto w twarz i upada. Facet w sweterku upija duży łyk piwa, jakby chciał sobie w ten sposób dodać odwagi. I, o dziwo, to on rusza pierwszy.

Sucha zatrzymała odtwarzanie filmu. Postukała palcem w blat biurka. Facet w sweterku w serek. Brązowe włosy. Krótka przyszyżona broda. Okulary, które właśnie zdejmuję, by podać komuś stojącemu poza kadrem. Przyjemna, dość delikatna twarz mogłaby należeć do prawnika, księgowego, kogoś o spokojnym zawodzie, kto ma ciągoty artystyczne, interesuje się fotografią albo jeździ w weekendy w plener, żeby malować pejzaże. A każdego dnia wraca o tej samej porze do domu w podwarszawskiej miejscowości, gdzie czeka na niego żona i dwójka grzecznych dzieci.

Włączyła odtwarzanie. Facet oddaje też piwo. Rozpina spodnie i opada na chłopaka. Jedną ręką przyciska mu kark. Druga wędruje w okolice jego bokserek. Chłopak jakby na moment trzeźwieje. Na jego twarzy odmalowuje się przerażenie. Zaczyna się szamotać. Facet nie daje sobie rady. Jest zirytowany. Chłopak prawie go z siebie zrzuca. Wtedy interweniuje jeden z koleś w garniturach. Najpierw strzela chłopakowi z liścia, a potem go przytrzymuje. I dopiero wtedy facetowi w sweterku udaje się zdjąć bieliznę z ofiary. Wchodzi w niego. Nie używa żadnych lubrykantów, więc ma trudności. Porusza się niemrawo. Złości się. W pewnym momencie chwyta go za włosy i pociąga mocno do siebie. Kamera dobrze wtedy łapie twarz chłopaka. Jego rysy zrobiły się niespodziewanie ostre. Czerwona skóra lśni od śliny, smarków i łez. Usta szeroko otwarte. Wydaje się, że bardziej łka, niż krzyczy.

Jeden z krawaciarzy spokojnie ściąga spodnie. Staje obok. Przypatruje się całej scenie ze spokojem. Jak zresztą wszyscy tutaj. Żadnego zdziwienia. Jakby widzieli coś takiego nie po raz pierwszy. Rutyna. Mężczyzna wreszcie chyba się niecierpliwi. Trąca faceta w sweterku i zajmuje jego miejsce. Tamten wstaje. Wygląda równocześnie na zmęczonego i zniesmaczonego. Ociera pot z czerwonej

twarży. Ktoś uczynny podaje mu piwo. Wypija całą butelkę jednym haustem. W gwałcie biorą udział jeszcze dwaj inni. Na koniec blondyn staje nad chłopakiem i sika mu prosto na twarz. Śmieje się potem, zapinając rozporek, jakby opowiedział właśnie najlepszy dowcip.

Z sześciu mężczyzn nagranych na taśmie udało się jej zidentyfikować pięciu. Trzech posłów, każdy z innej partii. Jeden biznesmen, mniej więcej sześćdziesiąty na liście najbogatszych Polaków. Jeden dziennikarz, który zmienia stacje jak rękawiczki i w każdej dostaje gwiazdorski kontrakt. Nie potrafiła ustalić, kim jest blondyn. I co najważniejsze – nie wiedziała, kim była ofiara.

Bardzo długo zastanawiała się nad tym, co zrobić z materiałami zebranymi przez Łatkowską. Odrzuciła pierwszą myśl, żeby natychmiast wrzucić wszystko do internetu. Na YouTube'a, Facebooka, Wykop, a nawet Wrzutę i Naszą Klasę, jeśli trzeba. Na razie nikt nie wiedział o tych plikach, co dawało jej przewagę. Poza tym nie chciała stracić panowania nad sytuacją. I był jeszcze jeden powód. Najważniejszy. Bała się, że się wywiną. Jasne, to brutalny film, jednoznaczny, przedstawione na nim osoby miałyby wielkie problemy. Ale to znani ludzie, wpływowi. Wymyśliliby jakąś bajeczkę o tym, że to wcale nie gwałt, tylko gejowska zabawa, że to atak na ich prywatność, grzebanie w sprawach osobistych. Zrobiliby z siebie ofiary. Film był mocny, ale nie dość mocny jak dla nich. Potrzebowała więcej dowodów. Musiała znaleźć tego chłopaka. Sprawić, żeby zaczął mówić. Nie mogła pozwolić na to, by gwałciciele odeszli wolno.

Nie po raz drugi.

Po automacie do kawy pozostała tylko jaśniejsza plama na ścianie. Mortka patrzył na nią, a w dłoniach obracał puszkę coli. Miała mniej więcej tyle samo cukru i kofeiny co kawa z maszyny. Ale to nie było to samo co ta słodka lura, której najpierw nienawidził, a potem nie wyobrażał sobie bez niej poranków. Kilka miesięcy temu automat naprawiono. Okazało się, że wcześniej nawalił podajnik cukru. Słodził dwa, trzy razy więcej niż normalnie. Mortce „naprawiona” kawa nie smakowała. Ratował się wtedy, dodając samemu kilka łyżeczek do każdego kubka. A teraz maszyna ostatecznie zniknęła. Stało się to tydzień temu. Przyszło dwóch facetów w niebieskich kombinezonach, zapakowało ją na taczkę i wyniosło z komendy. Nikt nie wiedział dlaczego ani czy kiedykolwiek z nią wróca. Dla Mortki cała ta historia dowodziła, że człowiek jest w stanie przyzwyczać się do najgorszego syfu, a nawet za nim tęsknić.

Otworzył puszkę, wypił zawartość kilkoma łykami. Napój był zimny. Zabolało go gardło, a gaz sprawił, że zachciało mu się bekać. Chrzął kilka razy, zgniótł puszkę i wyrzucił ją do najbliższego kosza, a potem poszedł do siebie.

Aspirantka Suchocka, Sucha, siedziała już przy swoim biurku. Tym samym, które jeszcze rok temu zajmował Kochan. Przerzucała papiery, wypełniając stos nikomu niepotrzebnych formularzy.

– Cześć – rzuciła, kiedy siadał na swoim miejscu.

– Cześć.

Przez moment obserwował, jak pracuje. Przypominała maszynę. Maksymalnie skupiona. Palce śmigają jej po klawiaturze starego komputera, chociaż równocześnie czytała swoje notatki, wykonane drobnym, eleganckim pismem, jakby wyjętym prosto z podręcznika do kaligrafii. Obok kubek z herbatą. Pewnie już zimną. Zawsze tak robiła. Przygotowywała sobie ciepły napój, stawiała obok, a potem zupełnie o nim zapomniała. Kiedy był już zupełnie chłodny, przypominała sobie o nim, próbowała, krzywiła się, wylewała resztę i szła zrobić nową. Potem cykl się powtarzał.

Też powinien zająć się papierkową robotą. Spróbować przynajmniej zmniejszyć tę górę dokumentów, która zalegała na jego biurku. Nie potrafił. Skąd na miejscu zbrodni wzięła się broń Kochana? Czy naprawdę ją tam zostawił? A może ktoś ją podrzucił? Policyjne regulacje mówiły, że policjant po służbie bierze broń ze sobą do domu. Tam trzyma ją w sejfie lub metalowej skrzynce przymocowanej na stałe do podłogi. Jeśli nie ma warunków u siebie, może po złożeniu odpowiedniego pisma zostawić pistolet w jednostce. Tyle teoria. Praktyka to co innego. Mortka długo trzymał broń w komendzie. I dlatego że nie lubił z nią chodzić, i ze względu na dzieci. Bał się, że się do niej dorwą i dojdzie do tragedii. Po rozwodzie, a także ostatnich wydarzeniach zmienił zdanie i sprawił sobie sejf.

– Gdzie trzymasz broń? – zapytał aspirantkę.
– Którą?
– Masz więcej? – Spojrzał na nią ze zdziwieniem.
– Trochę jej kupiłam. To o którą ci chodzi?
– O służbową.
– W komendzie. Mam w domu szafę pancerną, ale tutaj dali mi P99. Nie noszę tego gówna więcej niż potrzeba.

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego?

– Przez to całe strzelanie na sucho, które udaje nasze przeszkolenie strzeleckie – odpowiedziała. – Ta broń tego nie lubi. Wypada iglica, pęka zamek. Zobaczysz, dojdzie kiedyś z tego powodu do tragedii.

Zrobiło mu się nieswojo. On też miał P99. I też strzelał z niego na sucho, ponieważ amunicji do ćwiczeń dostawali tyle, co kot napłakał. A niedawno miał okazję zobaczyć, co wybuchająca broń potrafi zrobić z dłoni człowieka. Nie chciałby tego doświadczyć.

– Słyszałam o Kochanie – odezwała się Sucha.

– Wieści szybko się rozchodzą.

– Aha.

– Co słyszałaś? – zainteresował się, a ona wreszcie przerwała pisanie.

– Że prawdopodobnie zabił dwie osoby. Że nikt nie wie, gdzie jest. Że wszyscy chodzą wkurzeni i lepiej dzisiaj nie pokazywać się Andrzejewskiemu na oczy. I że jeśli dowie się o tym prasa, to mamy przewalone, więc trzeba trzymać język za zębami.

– To ostatnie widać kiepsko wszystkim wychodzi.

– Wiesz, jak jest. Plotkowanie to jedno z głównych zajęć w naszym wydziale.

– Plotkowanie?

– Wiem, nazywacie to wymianą informacji, konferencjami, konsultacjami, ale bądźmy szczerzy, plotkujecie jak stare baby na bazarze.

Mortka wzruszył ramionami. Sięgnął po pierwszy formularz z brzegu, zastanawiając się, co tym razem trafiło na jego biurko.

– A ty co wiesz? – zapytała Sucha.

– Niewiele więcej od ciebie.

– Czyli jednak więcej? Co konkretnie?

– Jak sama zauważyłaś, mamy trzymać język za zębami.

– Skąd wiedzą, że to on? Jakie mają dowody?

– Pytaj Andrzejewskiego.

Pokręciła głową niezadowolona.

– Myślisz, że to zrobił?

– Pytaj Andrzejewskiego.

– Nie chcę od ciebie wyciągnąć informacji. Pytam jak kolegę, faceta, który znał Kochana i z nim pracował.

– Jak kolegę?

– Starszego. Z autorytetem. Doświadczonego.

Drażniła się z nim, a Sucha potrafiła być nieznośna. Zmieniała się wtedy w połączenie małej irytującej dziewczynki z całkiem dorosłą, wredną suką.

– Dość – przerwał jej. – Skończyliśmy temat.

– Ale myślisz, że to zrobił czy nie?

Nie odpuszczała, dopóki nie dostała tego, czego chciała. Nieustępliwa. Cenił u niej tę cechę, ale dlaczego, do cholery, musieli pracować w jednym pokoju? Czemu nie wrzucili jej na przykład do Grudy? On sam nie lubił starszego policjanta. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, ale od pierwszego dnia odczuwali do siebie wzajemną niechęć. Z Suchą było zupełnie inaczej. W tajemniczy, niezrozumiały sposób ta dwójka potrafiła się świetnie ze sobą dogadać. Może dlatego, że nie spędzali razem zbyt wiele czasu.

– Zrobił to czy nie? – naciskała.

Cały ranek spędził na omijaniu tego pytania. Wmawiał sobie, że to nie jest jego sprawa, że to problem facetów z Grodziska albo Andrzejewskiego. Ale to nie była prawda. Bo chodziło o Kochana. Faceta, z którym pracował przez lata, tak jakby przyjaciela. Człowieka, który nieraz ratował mu tyłek i na którego mógł liczyć. Jeśli oczywiście odpowiednio się go wcześniej zmotywuje i przypilnuje, ale to był już szczegół. A teraz znaleziono pistolet podkomisarza przy dwóch zastrzelonych kobietach. Kochan je znał. Do tego zniknął. Nie odbierał telefonów. Jeśli naprawdę uciekł, to właściwie sam się przyznał.

– Nie wiem – wydusił z siebie. – Trudno mi uwierzyć, że byłby do tego zdolny.

– Dlaczego? Przecież bił swoją żonę.

Komisarz uderzył pięścią w stół i poderwał się z miejsca.

– Dość!

Sucha spojrzała na niego zaskoczona, jakby nie wiedziała, o co mu chodzi, a on poczuł się głupio. Przecież powiedziała samą prawdę. Kochan bił swoją żonę. Wielokrotnie. Mortka przez długi czas wmawiał sobie, że nie widzi siniaków na jej rękach, strachu w oczach i tego nieustannie towarzyszącego jej zdenerwowania. Teraz przynajmniej potrafił się przyznać, że tak było mu wtedy łatwiej. Unikał trudnej konfrontacji z przyjacielem, nie chciał angażować się w tę sytuację, zastanawiać się, jak pomóc Ani i zapewnić jej bezpieczeństwo. A przede wszystkim nie chciał uznać, że człowiek, z którym spędzał tak wiele czasu i z którym tak wiele go łączyło, był wyładowującym frustrację na żonie skurwielem. Aż w końcu Kochan przesadził i Ania wyładowała w szpitalu. Wtedy

nie potrafił już dłużej udawać. Wstyd to za mało, by opisać, co czuł w stosunku do samego siebie, kiedy wspominał te wydarzenia. Bardziej pasowało obrzydzenie.

Policjant opadł na krzesło. Sięgnął po długopis. Wciąż zdenerwowany, zaczął w pośpiechu pracować – w pokoju zapadła cisza. Przynajmniej na kilka minut.

– Z innej beczki – odezwała się niespodziewanie Sucha. – Kto na mieście prowadzi burdele?

– Wszyscy – odmruknął.

– Chodzi mi o gejowskie.

– Takich to nikt.

– Jak to?

– Bo to nieprawilne – wyjaśnił. – Takiej kasy nikt nie weźmie.

– Myślałam, że pieniądze nie śmierdzą.

– Gdyby śmierdziały, toby nie było problemów. Ale one są przecwelone.

Dlatego żaden szanujący się miastowy nie będzie się tym zajmował.

– To kto to robi?

Mortka odłożył długopis. Pomasował dłonią czoło.

– Po co pytasz?

– Samokształcenie – odparła. – Co jesteś taki zaskoczony? Chcę wiedzieć, co się dzieje w tym mieście, kto w czym siedzi. To może się przydać, nie? A o gejowskich burdelach nic nie wiem. Gdzie one są? Kto je prowadzi? Jak to w ogóle działa? Czy mamy tam jakieś kontakty czy nie? Z kim rozmawiać, jeśli pojawi się taki wątek w śledztwie?

Komisarz pokiwał głową.

– Rozmawia się z panem Wieśkiem – powiedział.

– Kto to?

– Stary esbek. Negatywnie zweryfikowany po osiemdziesiątym dziewiątym. Nawet nie wiem, jak trafił do tego interesu. Może był jednym z tych, którzy robili przy akcji Hiacynt. W każdym razie, jeśli tylko pojawia się temat, idziemy do niego. Zna wszystkich, wie wszystko, chętnie pomaga.

– A co on ma z tego?

– Jest po służbie, co prawda esbeckiej, ale wie w czym rzecz.

– Nie traktuj mnie jak idiotki.

Mortka westchnął.

– Dobra. Facet prowadzi burdel dla pedałów. A geje też są różni, nie same czajniczki.

– Wiem.

– No to czasami trzeba komuś wytłumaczyć, żeby odpowiednio się zachowywał bez robienia wokół tego zbędnej awantury. A skoro Wiesiek nie może liczyć na miastowych, to zostajemy mu tylko my.

Popatrzyła na niego z lekkim niedowierzaniem.

– W jaki sposób to tłumaczymy? – zapytała.

– Wystarczy wysłać umundurowany patrol, który pogrozi facetowi kajdankami. Wierz mi, nikt nie chce dać się aresztować w gejowskim burdelu.

– Zrozumiałe. Jeszcze jedno pytanie.

– Jakie?

– Gdzie pan Wiesiek prowadzi ten swój interes?

Miał przewalone. Tak bardzo, że brakowało mu słów, żeby to opisać. Evelina nie żyła. Jej matka również. Na miejscu znaleziono jego pistolet. To wystarczyło, by robił za głównego podejrzanego. A kiedy wyjdzie na jaw cała reszta, kiedy wymyślą sobie motyw, to będą już pewni, że jest winny. Był tylko jeden problem. Podkomisarz Dariusz Kochan nie zabił ani Evelyny Wilkiewicz, ani jej matki.

Połączyła ich sprawa Trójki z Neptuna. Trzech gangsterów: Mario, Szyszka i Wilk, ojciec Evelyny, w 2004 roku wybrało się do restauracji Neptun. Wspólnie mieli ustalić, jak podzielią między siebie miasto i przy okazji wytną Borzestowskiego. Wiadomo, że weszli do lokalu. I zniknęli. Nikt ich więcej nie widział. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Do czasu, kiedy sprawą zajął się Kochan i znalazł zakopane nad Wisłą trzy trupy z przestrzelonymi czaszkami. Badania DNA potwierdziły, że byli to Mario, Szyszka i Wilk. Na zlecenie prokuratury dalej prowadził tę sprawę, ale choć próbował z każdej strony, a Evelina podsuwała mu kolejne pomysły, nie ruszył do przodu.

Teraz dziewczyna nie żyła. Jego ściagała policja i gorączkowo zastanawiał się, co powinien zrobić.

Uciekając z mieszkania, zdążył spakować tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Trochę bielizny, parę ciuchów – tyle, by zmieściło się do sportowej torby. Dokumenty, gotówka, której nie miał zbyt wiele, i biżuteria Anny. Wyszedł z domu i obserwował wejście do swojego bloku z bezpiecznej odległości. Telefon wciąż wibrował mu w kieszeni. Nie odbierał. Pojawili się po blisko godzinie. Dwa radiowozy. Nie na sygnale. Weszli do jego bloku. Kiedy zauważył światło w oknach mieszkania, postawił kołnierz kurtki i poszedł w swoją stronę.

Początek był najłatwiejszy. Podjechał do bankomatu i wyciągnął z konta wszystkie pieniądze, czyli około sześciuset złotych. Z telefonu wyjął baterię. Samochód zostawił pod blokiem. Nie było sensu go brać. Nawet jeśli zmieni rejestrację, przez najbliższe dni drogówka będzie zatrzymywać każdego srebrnego renaulta megane. Dlatego skorzystał z usług komunikacji miejskiej. Pojechał do centrum i zjadł śniadanie w barze mlecznym. Potem poszedł do jednego z jubilerów przy Alejach Jerozolimskich. Wyciągnął biżuterię i zapytał, ile za to dostanie. Ekspedientka, czterdziestoletnia brunetka w czarnej spódnicy i białej koszuli, zgarnęła pierścionki, naszyjniki i bransoletki i zaniósła je na zaplecze.

Przyglądała mu się przy tym podejrzliwie. Kiedy dojrzał swoje oblicze w szybie, zrozumiał dlaczego. Samotny facet, nieogolony, niechlujnie ubrany, z podkrążonymi oczami. Sportowa torba na ramieniu. Do tego zionęło od niego nieprzetrawionym do końca piwem. Wróciła szybko, jakby obawiała się, że ukradnie jej towar z gabloty, choć w kącie na krzeselku siedział ochroniarz, co prawda starszy facet, pewnie z kategorią inwalidzką, żeby było taniej.

Kochan przechadzał się po sklepie, udając, że ogląda wyłożone kolczyki. Pilnował się, by za często nie patrzeć na zegarek. Nie chciał wyglądać na zdenerwowanego ani zwracać na siebie większej uwagi, niż już to robił. Ale cholera, jeśli policjanci w jego mieszkaniu zauważą brak biżuterii, to natychmiast wyślą parę patroli na rundkę po lombardach i jubilerach.

– Mogę pana prosić? – odezwała się wreszcie ekspedientka.

– Tak?

Podszedł do lady i zobaczył tam kilka rzeczy z tych, które przyniósł.

– Tych nie weźmiemy. Za złoto mogę dać panu tysiąc dwieście złotych, za srebro siedemset.

Łącznie niecałe dwa tysiące. Cholera. Był pewien, że wyciągnie więcej. Nie miał jednak czasu na targowanie się. Wolał też nie chodzić po innych jubilerach.

– Zgoda, ale resztę może też pani weźmie? Za dwie stóweczki? Trzy?

– Nie, dziękujemy. To jest złom, proszę pana. Zupełnie nas nie interesuje.

– Ale może jednak będziemy mogli coś z tym zrobić. Są tutaj jakieś kamienie, proszę popatrzeć.

– To jest złom – powtórzyła stanowczo. – Nie zapłacimy za to. Proszę spróbować u kogoś innego. Chociaż wątpię, żeby ktokolwiek się skusił.

Zacisnął pięść ze złości.

– W takim razie dobrze.

– Przygotuję panu pokwitowanie – stwierdziła ekspedientka.

Wyciągnęła bloczek, wypisała kwotę i datę, po czym podsunęła mu do podpisu. Kiedy to zrobił, maznęła swoją parafkę i przyłożyła pieczętkę. Wyrwała dwie karteczki. Jedną podała podkomisarzowi, drugą schowała do szuflady. Potem otworzyła kasę i wyciągnęła z niej plik stułotówek. Na oczach Kochana odliczyła dziewiętnaście i podała je policjantowi. Przytrzymała, kiedy je chwycił.

– Rozumiem, że sprzedawane przedmioty należą do pana? – zapytała.

Jeszcze tego brakowało, żeby nabrała podejrzeń i zadzwoniła na policję zaraz po jego wyjściu. Wyrwał jej pieniądze z ręki i szybko schował do portfela. Wyciągnął służbową legitymację i podsunął jej pod nos. Spojrzała na niego spłoszona.

– Są moje. Właściwie mojej żony – wyjaśnił. – Jej mama zachorowała. Potrzebujemy pieniędzy na lekarstwa i opiekunkę. Bo w policji to kokosów się nie zarabia.

– Tak, oczywiście. – Nerwowo poprawiła włosy. – Bardzo pana przepraszam. Pojawiają się u nas różni ludzie. Takie podejrzane typy, które...

– Rozumiem. – Przerwał, bo dostał już to, po co przyszedł, i chciał jak najszybciej wyjść. – Dziękuję za obywatelską postawę i żegnam. Muszę wracać do chorej żony.

– Teściowej – poprawiła go.

– Oczywiście. To z nerwów. Do widzenia.

Przeszedł szybko na najbliższy przystanek tramwajowy i wszedł w dziewiątkę. Pojechał aż na koniec trasy, do pętli przy Okęciu. Tam oprócz wielkiego hotelu było mnóstwo małych hotelików i pensjonatów dla podróżnych. Takich, które mieściły się w przerobionych domkach jednorodzinnych. Akurat odpowiednie lokum dla niego. Planował zatrzymać się tam na dwa, trzy dni, wziąć kąpiel, ogolić się i wymyślić, co powinien zrobić w tej sytuacji.

Wybrał niewielki pensjonat, gdzie zapewne cały proces meldowania się polegał na przełożeniu banknotu z ręki do ręki. Mieścił się po drugiej stronie alei Krakowskiej. Poszedł do przejścia dla pieszych. Stał na czerwonym świetle razem z kilkoma innymi osobami i czekał, aż strumień samochodów przeleje się przez ulicę, a światło zmieni się wreszcie na zielone. Wtedy zauważył policyjny radiowóz, który zwolnił w okolicy wybranego przez niego hoteliku, a potem wjechał na podwórze. Wysiadło z niego dwóch funkcjonariuszy. Jeden od razu wszedł do budynku, drugi podszedł do bramy, gdzie zaczął się rozglądać, raz po raz rzucając okiem w stronę przejścia dla pieszych.

Kochan poczuł, jak zaczynają mu się pocić plecy. Mógł się domyślić, że jeśli on wpadł na pomysł z pensjonatami na Okęciu, to inni też. Chociaż mógł to być tylko przypadek.

Policjant przy bramie patrzył teraz wprost na tłum na światłach. Podkomisarz próbował ocenić, jaka odległość ich dzieli. Kilkadziesiąt metrów co najmniej. Niemożliwe, żeby go rozpoznał. Ale co powinien zrobić, kiedy światła się zmienią? Zawrócić czy przejść razem z innymi? Jeśli zawróci, ściągnie na siebie uwagę policjanta. Przecież rzadko się zdarza, by osoba czekająca tak długo na światłach nagle zmieniła zdanie. Ale jeśli przejdzie przez ulicę, zmniejszy dystans i zwiększy szanse rozpoznania. Wtedy jego wielka ucieczka skończy się już po kilku godzinach. Znajdą przy nim torbę podróżną z rzeczami przygotowanymi do drogi i dwa i pół tysiąca złotych. Kolejne dowody obciążające. Jakby mieli ich jeszcze za mało.

Na sygnalizatorze zgasła czerwona lampa i zapaliła się zielona. Stał bez ruchu. Poczekał, aż zasłoni go jakiś przechodzień, i wtedy szybko zrobił w tył zwrot i pomaszerował z powrotem na pętlę. Szedł zdecydowanym, ale spokojnym krokiem. Dwa razy zerknął w stronę policjanta. Wiedział, że nie powinien tego robić, jednak nie potrafił się powstrzymać. Funkcjonariusz ciągle stał przy bramie

i patrzył na przejście dla pieszych. Nie zauważył Kochana.

Podkomisarz ostatnie kilkanaście metrów pokonał biegiem, udając, że śpieszy się na tramwaj. Wskoczył do pierwszego lepszego pojazdu. Ściągnął z głowy czapkę. Otarł nią pot z czoła. Usiadł na wolnym krześle, skulił się i opuścił głowę, jakby grał na komórce albo czytał gazetę. Chciał być jak najmniej widoczny od strony ulicy. Kiedy znów zerknął w stronę pensjonatu, okazało się, że funkcjonariusz wyszedł przed bramę. Nagle zaczął truchtać. Przebiegł szybko przez ulicę i skierował się w stronę pętli tramwajowej. Kochan śledził go wzrokiem, zagryzając zęby. Zastanawiał się, kiedy ruszą. Motorniczy siedział w kabinie. Jadł kanapkę. Policjant tymczasem przestał biec, przystanął, sapnął, a potem znowu ruszył szybkim krokiem. Kochan zastanawiał się, czy powinien teraz uciekać czy po prostu siedzieć i czekać na to, co się stanie. Wybrał to drugie. Ale na wszelki wypadek mocniej chwycił torbę. Planował wyskoczyć z tramwaju, jeśli tylko policjant do niego wejdzie. Wszystkie drzwi z powodu włączonego ogrzewania były zamknięte, skorzysta więc z tych samych, które otworzy funkcjonariusz. Staranuje go i ucieknie najszybciej jak potrafi. Będzie miał tylko jedną szansę.

Nagle tramwaj ruszył. Powoli wyjechał z pętli. Podkomisarz odetchnął z ulgą. I wtedy zobaczył, jak funkcjonariusz staje przy kiosku znajdującym się niedaleko przystanku, wyjmując portfel, wyciąga pieniądze, podaje je sprzedawcy, a potem odchodzi z paczką papierosów w dłoni.

Gruda wszedł do pokoju podinspektora Andrzejewskiego i starannie zamknął za sobą drzwi. W pierwszej chwili trudno było uwierzyć, że niewielkie i skromnie wyposażone pomieszczenie to gabinet szefa najbardziej prestiżowego wydziału stołecznej policji.

Andrzejewski podniósł głowę znad biurka. Popatrzył na komisarza. Chrząknął w taki sposób, jakby mamrotał przekleństwo, i gestem przywołał go do siebie.

– Widziałeś się z nim? – zapytał.

– Będziemy tutaj gadać?

– A co? Mamy jechać na parking, gdzie zamienimy samochody? Albo umówimy się w jakiejś podejrzanej knajpie o zmroku? – kpił podinspektor. – Siadaj lepiej i mnie nie irytuj.

Gruda wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nos. Podeszedł do krzesła. Oparł się na nim całym ciężarem ciała.

– No i? Długo jeszcze będziesz mnie trzymać w niepewności?

– Widziałem się z nim – odpowiedział komisarz.

– I co?

– I jest ciężko. Chce, żebyśmy uciszyli Mieszka.

Andrzejewski wstał zza biurka. Wydawał się spokojny, ale szczegóły zdradzały co innego. Zaciśnięte pięści, napięte barki, ciężkie spojrzenie, w którym

czaiła się niewypowiedziana groźba. Mężczyzna na krawędzi wybuchu. Gruda pomyślał, że gdyby ktoś odczytał te znaki, mocno by się zdziwił. Większość pracujących w wydziale uznawała swojego szefa za typowego biurokratę, wpatzonego w ekran komputera i pilnującego, by przede wszystkim zgadzały się cyferki. Mało kto miał okazję poznać jego drugą twarz. Twarz człowieka zawziętego, wściekłego i bezlitosnego. Teraz ten człowiek powrócił. I komisarz nie był pewien, czy to dobrze. Bo pamiętał, do czego podinspektor jest zdolny.

– Jak niby mam to zrobić? – zapytał Andrzejewski retorycznie. – Gnój siedzi na Rakowieckiej. Co? Mam tam polecieć, teleportować się? Co on sobie wyobraża?

– Nie sądzę, żeby go to obchodziło w najmniejszym stopniu – odpowiedział po chwili Gruda. – Po co w ogóle go ostrzegałeś?

– Właśnie po to – oznajmił. – Gdyby dowiedział się o Mieszku sam, to natychmiast zacząłby gadać, a tak wie, że nie jesteśmy przeciwko niemu i ma szansę na jakieś porozumienie. Kupiłem nam czas, Gruda. Pytanie ile. – Przejechał dłonią po łysinie, jakby chciał sobie zerwać skórę z głowy. – Pieprzony Kochan! – rzucił wściekle. – Gdyby dumny kutas nie wykopał tej trójki, bylibyśmy w zupełnie innym miejscu. Borzestowski mógłby sobie pierdolić, ile wlezie. I tak nikt by mu nie uwierzył.

– Właśnie, co z nim? Mają go już?

Andrzejewski pokręcił głową.

– Zniknął. Ale znajdziemy go. Żaden z niego przecież Houdini, żeby robić tutaj za mistrza ucieczek.

– To on zabił te kobiety?

– Szczerze mówiąc, Gruda, mam to głęboko w dupie. Ważne, że zostanie wyeliminowany z tej zabawy. Kto wie, jak by nam jeszcze nabruździł, a tak jest już po sprawie.

– Jaki miałby mieć motyw?

– Niech cię to nie obchodzi! Niech cię nie obchodzi nic oprócz tej sytuacji. Skup się na tym, co się dzieje tutaj – mówił gorączkowo Andrzejewski, energicznie gestykulując.

– Po prostu chcę wiedzieć, co się wydarzyło – powiedział komisarz i spojrzał znacząco na podinspektora. Andrzejewski stęknął zaskoczony, jakby dostał cios w przepone. Zmarszczył brwi.

– Chyba nie myślisz, że... – Zawiesił głos.

– Nie.

– I dobrze. Po co w ogóle miałbym coś takiego zrobić?

– A po co zrobił to Kochan?

Podinspektor zacisnął usta, kiedy dotarło do niego, co chciał powiedzieć Gruda. Zniknięcie Kochana nie rozwiązywało wcale problemu, tylko oznaczało kolejny kłopot. Wcześniej podkomisarza można było kontrolować, pilnować. Był

pod ręką. Teraz stał się jedną wielką niewiadomą. Nie wiedzieli, gdzie jest, co wie, co planuje ani co nim kieruje.

– Prawda – odparł wreszcie. – Powinniśmy to wiedzieć. Tylko że sprawa jest prowadzona przez Grodzisk i wewnętrznych. Będę się u nich dowiadywał o postępach, ale to wszystko, co mogę teraz zrobić.

– A jak góra?

– Srają w gacie. Rano miałem w tej sprawie milion telefonów, a po południu czeka mnie narada. W każdym razie wszystkim zależy, żeby jak najszybciej go dorwać. Kochan stał się naszym priorytetem.

Andrzejewski pokręcił z niedowierzaniem głową, ale na jego twarz powróciły spokój i opanowanie. Jakby dotarło do niego, że wściekanie się na cały świat niewiele mu da.

– Nie pozwolę Borzestowskiemu nas zatopić – dodał, powoli wymawiając każde słowo. – Ani nie zamierzam być jego chłopcem na posyłki. Chce się dorwać do Mieszka, niech próbuje sam.

– To co robimy? – zapytał Gruda.

– Musimy zdobyć przewagę. Chwycić Borzestowskiego za jaja i ścisnąć, aż zrozumie, że z nami się nie pogrywa.

Komisarz nagle poczuł się, jakby wrócili do dawnych czasów. Miały swoje zalety. Wtedy wszystko wydawało się prostsze. W komendzie piło się wódkę, korytarze tonęły w chmurach papierosowego dymu, tylko człowiek nigdy nie wiedział, czy wróci żywy z roboty. A nawet jak się to udawało, to potem trudno mu było patrzeć na swoje odbicie w lustrze.

– Jak?

Andrzejewski nachylił się do Grudy. Ściszył głos.

– Nie rozgłaszamy tego, ale Mieszko przyszedł do nas z czymś konkretnym. We wrześniu był z Borzestowskim na robocie. Najwyraźniej gość naprawdę mu ufał. Wparowali pewnemu biznesmenowi do domu. A potem Borzestowski obciął temu facetowi głowę.

– Pamiętam to – powiedział Gruda. – Co dalej?

– Borzestowski zachlapał się przy tym całą krwią. Skubany był przewidujący, więc wziął ubranie na zmianę. Przebrał się, a brudne wsadził do worka na śmieci i polecił Mieszkowi spalić. I wiesz co? Mieszko tego nie zrobił. Schował gdzieś ten garnitur i kusi nim teraz prokuraturę.

– Dowód materialny.

– Tak. Konkretny, którego można dotknąć i pokazać w sądzie. Ubranie z krwią ofiary i śladami biologicznymi Borzestowskiego. Włosy. Naskórek. Do tego zeznanie świadka.

– On wie o tym garniturze?

– Mam nadzieję, że nie – odparł Andrzejewski. – To jest właśnie

rozwiązanie naszych problemów, Gruda. Chwyć za jaja, którego potrzebujemy. Musimy znaleźć to ubranie, a kiedy będziemy je mieli, postawimy Borzestowskiemu ultimatum: albo niech trzyma gębę na kłódkę i spierdala z kraju, albo niech szykuje się na dożywocie za morderstwo ze szczególnym okrucieństwem. Jego wybór.

Interes pana Wieśka mieścił się w jednej z kamienic przy ulicy Chmielnej. Sucha uznała, że to dobra lokalizacja dla gejowskiego burdelu. Elegancka i dobra okolica, samo centrum Warszawy. Sporo sklepów, parę knajp, biura. Nikogo tutaj nie zdziwi widok dobrze ubranego pana, który wchodzi w podwórko i znika w jednej z klatek schodowych.

Sucha miała nadzieję, że pan Wiesiek faktycznie będzie taki pomocny, jak twierdził Mortka. Kończyły się jej już pomysły, co mogłaby zrobić. Poszukiwanie jednego chłopaka w blisko dwumilionowym mieście przypominało raczej loterię. Dysponowała wyłącznie zdjęciem z jednej z bardziej przyzwoitych klatek filmu, a i tak musiała je obrobić. Kim był? Skąd się wziął w tamtym mieszkaniu? Kto go przyprowadził? Nie miała żadnej wskazówki, która pomogłaby jej znaleźć odpowiedzi na te pytania. Pozostawały jej przypuszczenia. Sprawcy byli osobami publicznymi (z wyjątkiem tajemniczego blondyna). Podejrzewała, że mogli czuć się bezkarni, ale zapewne nie podejmowaliby też niepotrzebnego ryzyka. Nie potraktowaliby tak chłopaka z dobrego domu, z pieniędzmi lub kontaktami, gdyby mógł sobie pozwolić na pomoc dobrego adwokata lub miałby dojścia w prokuraturze. Raczej wybraliby kogoś bezbronnego, podatnego na zastraszenie. Być może już sprzedającego się za pieniądze. Kogoś, kto nigdy by na nich nie doniósł.

Spędziła kilkanaście nocy, włócząc się po warszawskich dworcach i zaczepiając pracujących tam chłopaków. Pokazywała im zdjęcia. Żaden nie rozpoznał ofiary. Łaziła też po galeriach handlowych. W mediach dużo mówiło się o galeriankach, ale Sucha w każdej znalazła również przynajmniej dwóch chłopaków gotowych obciągnąć w kiblu za dobry ciuch. Znowu nic. Gejowskie domy publiczne uznawała za ostateczność. Kolesie musieliby naprawdę dużo zapłacić, żeby móc tak sponiewierać chłopaka i nie obawiać się gniewu jego opiekuna. Ale rozmowa z Mortką wiele jej wyjaśniła. Jeśli agencje naprawdę nie mogły liczyć na ochronę miastowych, to podejmowane przez gwałcicieli ryzyko nagle znacząco zmalało.

Chyba że po wszystkim go zabili. Sucha brała przez pewien czas tę możliwość pod uwagę. Sprawdziła wszystkie znalezione w Warszawie zwłoki. Ofiary zabójstw, wypadków drogowych, śmiertelnych pobić i wreszcie też NN. Jej chłopaka wśród nich nie było.

Weszła na podwórko niedawno odnowionej kamienicy. Stała przed chronionymi domofonem drzwiami. Zadzwoiła pod podany przez komisarza numer. Długo czekała, dzwoniąc raz po raz. Po piątym naciśnięciu przycisku pomyślała, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Tylko wtedy pod tym adresem nie działałaby agencja, bo te są czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę, a to by

oznaczało, że Mortka albo sobie z niej zażartował, albo ją okłamał. Już miała odejść, kiedy usłyszała głos w głośniku.

– Tak?

– Ja w odwiedziny do pana Wiesia – powiedziała. Było to hasło, które podał jej Mortka. Zadzwiećzał brzęczyk i weszła do klatki. Wdrapała się na drugie piętro i zapukała pod numer pięć. Otworzył jej młody chłopak. Niepokojąco młody. Delikatna twarz, wielkie oczy, krótko obcięte czarne włosy. Wyglądał na szesnaście lat. W pierwszej chwili pomyślała, że się pomyliła i trafiła do zwykłego mieszkania, ale zaraz dotarło do niej, że chłopak jest półnagi i ma na sobie skórzane spodnie.

– O! – zdziwił się. – Jestem Jaś – odezwał się piskliwym, dziecięcym głosem. – Rzadko odwiedzają nas panie, ale zapraszam, zapraszam do środka.

– Nie napalaj się, młody – odpowiedziała i machnęła mu przed nosem legitymacją policyjną.

Wnętrze było dość czyste i jak na standardy warszawskich burdeli nawet eleganckie. Kremowe ściany z ornamentami, w dodatku wygłuszone, jak zauważyła po chwili. Sąsiedzi pewnie nie chcieli słuchać dzień i noc imprez. Przyciemnione światło, ładne meble. Niewielki, gustowny bar, za którym siedział kolejny chłopak, bez koszulki i w czapce Świętego Mikołaja. Grał na komórce. W kącie nudził się ochroniarz. Najwyraźniej policyjne wsparcie nie wystarczyło. Byczek podniósł głowę. Zrobił wielkie oczy na jej widok, ale nic nie powiedział.

– Gdzie jest pan Wiesiek? – zapytała.

Wzruszył w odpowiedzi ramionami. Z głębi mieszkania usłyszała odgłos kroków. Wkrótce na korytarzu pojawił się starszy mężczyzna. Zadbany, choć w żaden sposób nie próbował ukrywać swojego wieku. Siwe włosy miał ostrzyżone na jeża, a pokryta zmarszczkami twarz była opalona. Z podbródka do szyi zwisały mu dwoma płatami wole miękkiej skóry. Miał na sobie czarną koszulkę. Trochę zbyt obcisłą, biorąc pod uwagę jego okrągły brzusek. Do tego jeansy i wypastowane brązowe buty. Na ręce lśnił wielki złoty zegarek.

– Witam, witam! Powiedziano mi, że przyszła do nas policja, ale nie sądziłem, że płci żeńskiej, i to taka ładna – powiedział, jowialnie rozkładając ręce.

– Czego pani oczekuje?

Jemu też pokazała legitymację. Mężczyzna przystanął. Jeśli był zmieszany, to tylko przez chwilę.

– Informacji – odparła. – Pan Wiesiek, jak sądzę?

– To ja. Ale może przejdziemy na ty? Wiesiek jestem. Po prostu.

– Wolalabym nie.

– Jak sobie pani życzy – stwierdził z fałszywym uśmiechem. – W takim razie zapraszam do baru. Pani pewnie na służbie, więc proponuję pepsi albo colkę. Oczywiście dietetyczną!

– Nie trzeba.

– To może jednak coś mocniejszego?

– Niech pan posłucha – zaczęła oschle. – Wiem, że to gejowski burdel, ale jestem pewna, że w SB nie uczyli, jak robić z siebie pedała. Prędszej tego, jak ich lać, żeby nie zostawiać śladów, prawda? Więc przestań udawać i potraktuj mnie poważnie.

Mężczyzna przestał się uśmiechać. Nagle jakby zrobił się cięższy, trochę większy, a jego spojrzenie surowe i niechętne.

– Ale i tak siądziemy. Lepiej mi się z wami gada, kiedy piję.

– Cokolwiek panu pasuje.

Podszedł do baru. Chłopak, który tam stał, natychmiast odłożył komórkę. Musiał doskonale wiedzieć, co lubi jego pracodawca, bo natychmiast sięgnął po wódkę. Nalał mniej więcej jedną trzecią szklanki. Potem sięgnął po sok pomarańczowy. Otworzył go, ale ze środka wyleciało tylko kilka kropel. W jego oczach pojawił się błysk strachu.

– Nie patrz jak to ciele, otwórz nowy.

Chłopak przełknął ślinę.

– Nie zdążyłem kupić, proszę pana. Mogę dolać jabłkowego.

Mężczyzna pociągnął nosem. Chłopak mimowolnie się cofnął, jakby obawiał się nadchodzącego ciosu.

– Miałem dużo pracy, nie było kiedy – powiedział cicho.

– Ale jest kiedy grać na komórce, co?

– Proszę pana...

– Nie pierdol mi tutaj. Widziałem, co robiłeś. Za co ja ci płacę, koleś, co? Przecież nie tylko za to, żebyś ładnie wyglądał i brał w dupę, co przecież sam lubisz. – Wiesiek spojrzał w stronę Suchej, a potem z powrotem na chłopaka. – Nie wkurzaj mnie więcej i zapierdalaj wreszcie po ten sok.

– Tak, proszę pana.

Barman prawie wybiegł z baru. Ponieważ był półnagi, najpierw poleciał do jednego z pokoi po koszulkę.

– To dobre chłopaki – odezwał się mężczyzna, kiedy trzasnęły drzwi. – Ale trzeba ich trzymać krótko, bo na głowę człowiekowi wleżą. Strasznie rozpuszczone.

– Ten wyglądał raczej na znerwicowanego.

– Taki już do mnie przyszedł. Dowiem się, o co chodzi?

Sucha wyciągnęła z kieszeni kurtki zdjęcie i podała je mężczyźnie. Wziął je do ręki. Rozpostarł. Oddalił na całą długość ramienia, potem przybliżył.

– Strasznie niewyraźne – mruknął i pstryknął palcami. – Jasiu! Wiesz co!

Chłopak, który do tej pory stał przy ochroniarzu, gdzieś zniknął. Pojawił się po chwili i podał mężczyźnie okulary. Ten założył je na nos i jeszcze raz przyjrzał

się zdjęciu.

– Zaginiony? – domyślił się.

– Nie.

– Ofiara zabójstwa ze śladami gwałtu homoseksualnego? Albo po prostu penetracji?

– Nie.

– Proszę coś zdradzić – powiedział Wiesiek. – Jak pani wie, też służyłem.

– Trochę w innej formacji.

– Pani się nasłuchiwała tych dupków z PiS-u i IPN-u i myśli, że coś wie. Służyłem w wydziale trzecim pionu śledczego. Pani wie, co to było?

– Nie.

– Przepęstwa gospodarcze. Żadne tam kościelne sprawy, lanie gejów czy opozycji. Chociaż jak się jednych i drugich teraz słucha, to człowiekowi żal, że nie przyłożył im pałą przez plecy, kiedy jeszcze mógł. Wy też zajmujecie się teraz przestępstwami gospodarczymi, co? Wyłudzeniami podatkowymi i takimi tam. Tylko wyniki macie gorsze od nas. Pewnie mogłaby się pani ode mnie sporo nauczyć, gdyby tylko pani chciała.

– Robię w zabójstwach i terrorze kryminalnym, więc powiem: pas.

– Jak pani chce, pani aspirant.

– Aspirantko. To się odmienia.

– Ale głupio brzmi. To co? Powie mi coś pani o tym chłopaku?

– Liczyłam raczej, że to pan mi o nim poopowiada.

– Zdjęcie niewyraźne, ale fajny jest. Trochę za stary. Przynajmniej tak wygląda. Ale na takich też są amatorzy. Bo moi klienci to wolą raczej młodych.

– Ile mają pańscy pracownicy?

– Każdy jest pełnoletni – zarechotał mężczyzna. – Ale fakt, wybieram takich, że na pierwszy rzut oka łapią się pod paragraf. Co zrobić? Klient nasz pan, nie? Chcieliście kapitalizmu, to go macie.

Sucha nie skomentowała tej ostatniej uwagi.

– Zna go pan? Widział go pan kiedyś?

– Nie.

Przyjrzała mu się. Cholerny esbek, pomyślała. Nie była w stanie ocenić, czy kłamie, czy mówi prawdę. Nie zdradzał żadnych oznak nieszczerości. Żadnego uciekania wzrokiem w bok, zdenerwowania, niepewności w głosie, przesadnych gestów.

– To prostytutka? Czy też – Wiesiek zarechotał po raz kolejny – prostytutek. Bo to też się odmienia, co?

– Może pan o niego popytać?

– Jasne. Dla kochanej władzy wszystko. – Zasalutował na koniec.

– Zostawiam moją wizytówkę i to zdjęcie.

Podsunała mu kartonik z numerem telefonu. Rzucił na niego okiem.

– Łatwiej by mi było, gdybym wiedział, o co chodzi.

– Nie ma takiej potrzeby. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli znalazłby pan cokolwiek interesującego. Miłego dnia.

Wyszła szybko z poczuciem rozczarowania. Wątpiła, żeby Wiesiek kiedykolwiek do niej zadzwonił. Nawet gdyby czegoś się dowiedział.

Na dole prawie wpadła na chłopaka zza baru. Wracał zziębnięty z sokiem w dłoni. Na jej widok przystanął i chwycił ją za przedramię. Wyszarpnęła się błyskawicznie, równocześnie przyjmując postawę obronną. Chłopak uniósł dłonie w przeproszającym geście. Sucha nie lubiła, kiedy ktoś dotykał jej bez pozwolenia, ale chłopaczek wyglądał tak żałośnie, że od razu mu przebaczyła.

– Czy dalej jest zły? – zapytał szeptem.

– Trudno powiedzieć – odpowiedziała.

Chłopaczek zaklął pod nosem i popędził na górę. Sucha przez chwilę zastanawiała się, czy nie wrócić na górę i nie zobaczyć, co się stanie. Interweniować, jeśli sprawy poszłyby w złym kierunku. Ale nie zrobiła tego. Gdyby chłopak chciał pomocy, toby powiedział. A Sucha nie zamierzała nikogo ratować na siłę. To nigdy dobrze się nie kończyło.

Szydłonia spotkał w biurze przepustek w areszcie śledczym na Rakowieckiej. Najdłuższej ulicy w Polsce, jak kiedyś żartowano, bo ciągnęła się od Pola Mokotowskiego aż do Moskwy, czyli dawnego kina. Prokurator przyniósł ze sobą sporą teczkę z dokumentami. Mężczyźni przywitali się ze sobą krótko, wypełnili podsunięte im formularze i przeszli przez bramkę z wykrywaczem metalu. A potem milczący i ponury funkcjonariusz Służby Więziennej poprowadził ich przez dziedziniec do budynku, w którym mieścił się pokój przesłuchań.

– Co tam słyhać, panie komisarzu? – zapytał Szydłoń, kiedy wędrowali korytarzami aresztu. Ściany pomalowano na szary od dołu i biało na górze. Pod sufitami biegły grube wiązki kabli elektrycznych i telefonicznych. Mijali gazetki ściennie i żółte telefony dla skazańców i aresztowanych.

– Niewiele – odpowiedział wymijająco Mortka. Nie miał ochoty na rozmowę z prokuratorem. Właściwie niespecjalnie go lubił. Źle zaczęli współpracę. Potem trochę się dotarli, ale i tak nie zawiązała się pomiędzy nimi żadna sympatia. Robili to co trzeba, i tyle.

– No to podobnie jak u mnie – stwierdził Szydłoń, kończąc ku uldze policjanta tę pogawędkę.

Weszli do pokoju przesłuchań. Usiedli na niewygodnych krzesłach przy niewygodnym stole. Prokurator wyjął notatki. Mortka cierpliwie czekał z założonymi rękoma. Od kilku tygodni dzielili się obowiązkami: komisarz odgrywał tego złego, a prokurator udawał, że chce pomóc. Klasyczny „dobry i zły policjant”, ale ta metoda działała trochę inaczej, kiedy stosowało się ją

konsekwentnie od dłuższego czasu. Nawet jeśli aresztowany nie nabrał się na nią za pierwszym razem, potem i tak mimowolnie się jej poddawał.

Po dziesięciu minutach strażnicy przyprowadzili Mieszka. Mężczyzna zmarniał w więzieniu. Schudł kilka kilogramów, cera zrobiła mu się ziarnista i blada, mięśnie oklapły. Ruchy miał powolne, niechętne, jakby walczył sam ze sobą, żeby zrobić kolejny krok. Obraz całości dodatkowo pogarszał paskudny więzienny drelich.

– Dzień dobry – przywitał się z nim Szydłoń, wstając i wyciągając dłoń. Mieszko z pewnym wahaniem uściśnął ją. Mortka tylko skinął głową, dając znak, że zauważył pojawienie się mężczyzny.

Mieszko usiadł.

– Jak się czujesz? – zapytał z troską w głosie Szydłoń.

– Radosny jak pierdolony skowronek – odpowiedział ze złością. – A jak mam się czuć?

– Nie wiem, proszę pana. Pytam, bo chciałbym pomóc.

– Już dość, kurwa, pomogliście, jebani...

– Uważaj, Mieszko, z tym językiem – pogroził mu Mortka. – My tu z dobrej woli przychodzimy. Ale nie musimy. I wtedy jedynym urozmaiceniem twojej więziennej egzystencji będzie walenie Niemca po hełmie pod kocykiem.

Mieszko spojrział na policjanta z czystą nienawiścią.

– Chcę świadka koronnego – powiedział.

Szydłoń schował się za notatkami. Komisarz westchnął teatralnie.

– Rozmawialiśmy o tym, Mieszko. Współdziałanie przy popełnieniu zabójstwa.

– Nie wiedziałem, po co tam idziemy! Nic nie zrobiłem!

– Ale pomagałeś ukryć dowody.

– I teraz chcę wam je dać.

– To daj.

– Za świadka koronnego.

– Nie da rady. Jest jeszcze ten chłopak, pamiętasz.

– To znowu nie byłem ja!

– Robiłeś tam za szefa, więc mi nie ściemniaj.

– Szefa, jasne, kurwa. Bo jeden ciul z drugim tak się mnie słuchał, jakbyśmy w wojsku byli. A nawet lepiej! W komandosach takiej dyscypliny nie ma!

– To, że nie upilnowałeś podopiecznych, to twoja sprawa. Wiesz, to jak z dziećmi. Za szkody dokonane przez nieletnich odpowiada opiekun. Lepiej o tym pamiętaj, w końcu niedługo zostaniesz ojcem.

– Pierdol się.

Szydłoń odłożył notatki na stół, przerywając im wymianę zdań.

– Proszę pana, ważne jest dla mnie, by zrozumiał pan to, co mogę dla pana

zrobić, a czego nie mogę. Powtarzając to, o czym rozmawialiśmy już wielokrotnie: możemy zastanowić się nad małym świadkiem koronnym, co będzie oznaczać dla pana nadzwyczajne złagodzenie kary. Możemy także zastanowić się nad klasyfikacją zarzutów, tak by spędził pan w więzieniu jak najkrótszy czas. Możemy wnioskować, żeby odsiadywał pan wyrok w miejscu, które będzie panu najbardziej odpowiadać. Nie możemy jednak, ze względu na charakter popełnionych czynów, zgodzić się na przyznanie panu statusu świadka koronnego.

– Chcę świadka koronnego – powtórzył Mieszko.

– Jak dziecko – mruknął Mortka. – Nie dostaniesz, Mieszko, tej zabawki. Dotarło? Nie ma mowy.

– Chcę świadka koronnego.

– Proszę pana – zaczął Szydłóń. – Możemy wyciągnąć rękę w pańską stronę. Możemy zgodzić się na jakieś ustępstwa, ale pan też musi zrobić krok w naszym kierunku. Inaczej nigdzie nie dojdziemy.

– Mieszko, zostałeś aresztowany w związku z zabójstwem w zbiegu z porwaniem. To dwadzieścia pięć lat lub dożywocie.

– Dolna granica to dwanaście lat – poprawił policjanta prokurator, co również stanowiło element ich małego przedstawienia. Jeden straszył, drugi dawał nadzieję.

– Ja tam nikogo nie zabiłem! To ci dwaj debile!

– Dlatego możemy próbować z samym porwaniem – powiedział z ociąganiem Szydłóń. – Niestety, samo zdarzenie było dość brutalne, więc dolna granica to pięć lat. Ale jeśli pójdziemy z małym świadkiem koronnym, może uda nam się zjechać do trzech. Trzy lata, proszę pana. – Dla podkreślenia efektu wyciągnął przed siebie trzy palce. – Po tylu latach wyjdzie pan na wolność. Areszt zostanie wliczony w poczet kary. To najlepsze, co możemy dla pana zrobić.

– Pamiętaj, że ciąża trwa dziewięć miesięcy – dodał Mortka. – Kiedy wyjdiesz, twój dzieciak będzie miał dwa lata z kawałkiem. Nawet nie będzie potem pamiętał, że cię przy nim nie było.

– Chcę świadka koronnego.

– Uparty jesteś, co? – stwierdził policjant.

Mieszko oparł łokcie na blacie stołu.

– Wy pamiętacie, kogo chcę wam dać? – zapytał.

– Dlatego w ogóle rozmawiamy.

– Trzy lata czy dwadzieścia pięć, nie ma różnicy. Jeśli zostanę w więzieniu, to Borzestowski mnie dorwie.

– Nie zdąży. Zamkniemy go.

Mieszko roześmiał się sztucznie.

– I myślisz, że to wystarczy? Że jak go zamkniecie, to nagle zrezygnuje z opłaconych ludzi? Kolesi, którzy są mu dłużni? Facet ciągle będzie mieć skitrane

mnóstwo kasy. I jak go znam, chętnie wyda wszystko na to, żeby mnie dorwać. Dlatego sprawa jest prosta: albo świadek koronny, albo nic.

Szydłoń poruszył kilka razy szczęką w lewo i w prawo, jakby sprawdzał, czy mu się nie obluzowała proteza. Mortka milczał. Na razie nie wydarzyło się nic, co by go zaskoczyło. Odgrywali tę rozmowę już kilka razy. Za każdym kończyli w tym samym miejscu. Prokurator oferował małego świadka, Mieszko chciał dużego.

– Proszę pana, mamy dużo dobrej woli – zaczął Szydłoń.

– Jaja sobie robisz? Trzymacie mnie w ence. W pojedynczej celi w bloku z samymi świrami.

– Chciałbyś mieć towarzystwo? – odezwał się komisarz, udając zdziwienie.

– Pamiętasz, co mi powiedziałeś przed chwilą o Borzestowskim?

– A tam jestem niby bezpieczny? Wiecie, kto tam siedzi obok?

– Pałac zimowy to najlepsze dla ciebie teraz miejsce – odpowiedział, używając żargonowej nazwy dla bloku dla szczególnie niebezpiecznych więźniów.

– Fakt, towarzystwo nieciekawe, ale macie osobne cele. Do tego to najpilniej strzeżone miejsce w całym kompleksie. Nie ma najmniejszych szans, żeby Borzestowski tam cię dorwał.

Mieszko nie wyglądał na uspokojonego tymi deklaracjami.

– Mogliby mnie trochę inaczej traktować, nie? Nie mam dostępu do telewizji. Nawet jebane książki mi limitują, jakby były ze złota. To jest łamanie praw człowieka! Mogę was za to podać do sądu!

– Ja wiem, Mieszko, że więźniowie nabierają tej niepokojącej manieri i kolejnymi pozwami zapełniają pustkę w życiu, ale zostaw to sobie na moment, kiedy faktycznie dostaniesz już to dożywocie, okej? – powiedział Mortka.

– A żarcie? Codziennie chleb z margaryną. Chleb z margaryną. Rzygam już margaryną! Nie stać was na odrobinę masła?

– Bez przesady, Mieszko. Dostajesz też ciepłe posiłki i napoje. Masz lepiej niż bezdomni na Centralnym.

– Wal się.

– Raz jeszcze: uważaj na język, bo zaraz dorzucimy ci groźby karalne.

Samodzielna cela faktycznie była dyktowana środkami bezpieczeństwa, ale wszystkie inne ograniczenia wynikały z inicjatywy Mortki i Szydłonia. Myśleli, że jeśli Mieszko posiedzi trochę w samotności, to może szybciej zmięknie i przyjmie proponowane mu warunki.

– Porozmawiamy z administracją aresztu – odezwał się prokurator. – Telewizja jest raczej wykluczona, jednak poproszę ich o większy dostęp do lektur oraz gazet i magazynów. Zastanowimy się również nad widzeniami. Co do problemów z żywnością, o których pan wspominał, to mam tutaj niewielkie pole do działania. Natomiast możemy spróbować zdobyć pozwolenie na dostarczenie

paczki żywnościowej. Czy jest ktoś, kto mógłby taką paczkę przygotować?

– Przecież wiecie, że jest.

– Mowa o pańskiej narzeczonej?

Mieszko spojrzał krzywo na prokuratora.

– Chciałem się tylko upewnić! Zawiadomimy ją o możliwości dostarczenia paczki żywnościowej i proponujemy jej przygotowanie. Pana natomiast bardzo bym prosił jeszcze raz o przemyślenie swojej sytuacji i możliwości, jakie mamy. Trzy lata. To wcale nie tak dużo.

Skończyli spotkanie. Mieszko został odprowadzony do swojej celi. Oni wyszli przed areszt. Zatrzymali się przed tablicą, która upamiętniała pomordowanych na Rakowieckiej więźniów politycznych. Szydłoń przyglądał się jej przez moment, a potem trącił butem ułożone przed nią kwiaty.

– Naprawdę pozwoli mi pan na przyjęcie paczki? – zapytał Mortka.

– Chyba trzeba mu trochę odpuścić. Pokazać dobrą wolę.

– Można też go wsadzić do izolatki.

Prokurator zmarszczył brwi.

– Nie musi pan już odgrywać złego gliny, komisarzu.

– Nie odgrywam. Tylko zamachał nam przed oczami tym zakrwawionym garniturem i od tego czasu nic. Straciliśmy już dużo, dużo czasu.

– Co? Cisną pana ci z góry?

– Jeszcze nie.

– Mnie też nie, więc chyba nie ma się co śpieszyć. A swoją drogą, wie pan, że mój szef grywa z pańskim w tenisa?

Mortka pokręcił głową. Niewiele go to obchodziło.

– I tak powinniśmy przycisnąć Mieszka.

– A co? Boi się pan czegoś?

– Tego co Mieszko. Borzestowskiego.

Szydłoń popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę? – Wskazał palcem na mury aresztu. – Trochę tam nakłamaliśmy, ale co do jednego byliśmy szczerzy: w Pałacu jest bezpieczny.

– Borzestowski tego tak nie zostawi. Prędzej czy później coś wymyśli.

Szydłoń klepnął policjanta po plecach.

– Dorwiemy go, panie komisarzu. Proszę wyluzować. A z tą paczką to może faktycznie się wstrzymajmy. Niech nam Mieszko jeszcze trochę skruszeje na tej margarynce.

Michał Łazarowicz wynajmował biuro w świeżo wyremontowanej kamienicy na ulicy Wiejskiej. Wadą tej lokalizacji były trudności ze znalezieniem miejsca do parkowania i regularne demonstracje pod pobliskim Sejmem, które zakłócały pracę. Zaletą właściwie wszystko inne. Do budynku parlamentu, Kancelarii Prezydenta i kilku ministerstw mógł chodzić pieszo. Z drugiej strony

miał plac Trzech Krzyży z kilkoma niezłymi knajpkami, a gdy zależało mu na wyjątkowo dyskretnym spotkaniu, mógł wybrać się na spacer do parku Rydza-Śmigłego, Ujazdowskiego czy nawet Łazienek. A jeśli już miało być superdyskretnie, to na podorędziu było puste zazwyczaj Muzeum Ziemi PAN, no i Sheraton. Ten hotel odwiedzał na tyle często, że postanowił wynajmować tam pokój na stałe.

Łazarowicz formalnie prowadził firmę konsultingową oraz agencję PR. Faktycznie żył z tego, że znał wiele osób i potrafił im sugestywnie przekazywać swój punkt widzenia na pewne sprawy. Ten punkt widzenia zaś zależał od portfela klienta. Działalność polegała więc głównie na budowaniu siatki ludzi świadomych tego, że nie są samotną wyspą i nic nie osiągną bez wsparcia innych, i że czasami warto wyświadczyć komuś przysługę po to, by w odpowiednim momencie ją odebrać. W pewnym sensie uważał, że to on, a nie przereklamowane NGO-sy, buduje w tym kraju prawdziwe społeczeństwo obywatelskie.

Obecnie grzebał w śmieciach. Trwały właśnie prace nad nowelizacją ustawy o utrzymaniu czystości i porządku w gminach. Zgodnie z proponowanymi zmianami gospodarką nad odpadami będą się zajmować gminy. Nie podobało się to pewnym ludziom, więc zgłosili się do niego. Jeśli zmiany weszłyby w życie, to zamiast kilku firm zajmujących się wywozem śmieci na terenie gminy zostałyby tylko jedna – ta, która podpisała korzystną umowę z władzami. Łazarowicz przed rozmową ze swoimi przyjaciółmi przygotowywał sobie szereg argumentów. Była mowa o tym, że nowelizacja to de facto ograniczenie wolności gospodarczej, że jest dużym zagrożeniem dla całego sektora gospodarki śmieciami, że firmy, które zainwestowały duże pieniądze w przetwórnice odpadów, teraz zostaną z długami i będą zwijać interes, wreszcie że zmiany są korupcyjogenne i wcale nie rozwiążą problemu dzikich wysypisk. Prawdopodobnie najbardziej sprzyjał mu fakt, że ta sprawa nie cieszyła się zbyt wielką popularnością. Zainteresuje może kilku ekologów i Wajraka z „Gazety Wyborczej”, reszta będzie siedzieć cicho. Chyba że odpowiednio się ją przedstawi lub coś zaproponuje w zamian. Dlatego oprócz rozmów z przyjaciółmi z Sejmu planował także serię spotkań z dziennikarzami. Oczywiście ich teksty powinny mieć wymowę zbieżną z jego interesami. Kilku pewnie zapłaci pod stołem, kilku zrobi to za obietnicę podrzucenia paru pikantnych plotek, a dla innych będzie to kolejna okazja, żeby przywalić w rząd. Normalka. Przydałoby mu się też wsparcie jakichś organizacji społecznych. I tu tkwił problem. W trzecim sektorze oczywiście też miał wielu przyjaciół i znajomych, ale o ile łatwo ich było przekonać do walki o zdrową żywność, zdrowe dzieci, zdrowe powietrze czy nawet zdrową legislację, to mało kto zechce stanąć w obronie śmieciarzy. No może tylko ci wolnorynkowcy, co są gotowi bić się o swobodę gospodarczą, tak jak kiedyś Solidarność o swobody obywatelskie i prawo do wolnych sobót. Ale tacy byli mało seksowni, a poza tym mocno się opatrzyli.

Chociaż darli pysk na tyle głośno i tak się narzucali, że zawsze wpychali się do jakiejś stacji telewizyjnej w dobrym czasie.

Zależało mu na tym kontrakcie. Sprawa z Celtyckim podważyła zaufanie, na które tak długo pracował. Dwie osoby przestały odbierać od niego telefony. Dwie inne wysłały zawołane groźby, że są gotowe go zniszczyć, jeśli kiedykolwiek ktoś w nie uderzy z jego winy. Nie miał o to żalu. Sprawy wymknęły się trochę spod kontroli. I chociaż wydawało się, że zdołał ograniczyć szkody do minimum, to ludzie mieli prawo być zdenerwowani. Teraz szykował się do odbudowania tych relacji. Najlepszą zaprawą dla takich znajomości są pieniądze, a firmy śmieciarskie miały ich sporo. Śmieci ku jego zaskoczeniu okazały się dość dochodowym interesem.

Zwłaszcza jeśli zamiast na wysypisko wywoziło się je do najbliższego lasu.

Opowiadał teraz o swoich pomysłach dwóm mężczyznom. Jeden przyjechał z Pomorza, drugi ze Śląska. Siedzieli naprzeciwko niego, słuchając uważnie, i raz po raz wymieniali szeptem uwagi. Irytowało go to, ale powstrzymał się od komentarzy.

– A ile to będzie łącznie kosztować? – zapytał ten z Pomorza.

Jak zwykle najważniejsze pytanie dla tych „Januszów biznesu”, Kulczyków polskich wysypisk. Najbardziej ucieszyliby się, gdyby powiedział, że robi to za wpis do CV. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie rzucić tej uwagi jako dowcipu, ale nie sądził, by to zrozumieli. Poza tym już zorientował się, że nie podejmą dzisiaj żadnych decyzji, bo to tylko wysłannicy jakiejś większej firmy, stowarzyszenia albo spółdzielni zaniepokojonych przedsiębiorstw z sektora.

– Budżet zależy od opcji, którą przyjmujemy. Możemy mówić o kilkudziesięciu tysiącach za serię spotkań i rozmów. Możemy mówić nawet o kilku milionach złotych, jeśli wzmocnimy to ogłoszeniami w prasie, serią artykułów sponsorowanych lub głosami zaniepokojonych organizacji pozarządowych. Przede wszystkim jednak przydałby się nam jakiś wróg.

– Co pan ma na myśli?

– Optymalnie by było, gdybyśmy mogli powiedzieć, że wprowadzone zmiany tak naprawdę są na rękę Putinowi. Rosjanie zawsze dobrze się sprzedają. Niestety śmieci to nie ropa. Mogą też być oszalali ekoterrorysty, szczególnie jeśli uda nam się ich powiązać towarzysko, rodzinie, a najlepiej biznesowo z posłami wnioskodawcami. Albo wredna Bruksela, która wymusza na nas rozwiązania niepasujące do polskiej specyfiki. W każdym razie chodzi o to, żebyśmy zaproponowali pewną spójną historię, a każda historia ma swojego bohatera. To akurat jesteście wy. Ale też wroga. I tego wroga musimy poszukać. Im wróg groźniejszy, potężniejszy, im bardziej zagraża zwykłemu Kowalskiemu, tym lepiej.

Nie był pewien, czy docierało do nich to, co właśnie mówił. Wyglądali raczej na takich, co to uważają, że wystarczy dać komuś w łapę, by uwalić całą

sprawę. Bez łapówek się zresztą nie obejdzie, ale w tym kraju już nie dało się załatwić tak dużych spraw tylko za pomocą worka z dolarami.

Spotkanie przerwało mu pukanie do drzwi gabinetu.

– Tak?

Drzwi uchyliły się i do środka zajrzała Iwona. Miała trzydzieści jeden lat, jedno dziecko, pięcioletnią córeczkę, i sympatycznego męża zajmującego się logistyką w jednej z podwarszawskich firm. Oprócz tego miała też wielkie wyrzuty sumienia, bo regularnie zdradzała go z szefem. Łazarowicz potrafił namówić ją do rzeczy, których z mężem na pewno nie robiła.

– O co chodzi?

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszedł do nas jakiś młody człowiek i chciał z tobą porozmawiać.

Łazarowicz był pewien, że z nikim takim nie umawiał się na spotkanie. A na pewno nie w chwili, kiedy miał tak ważnych gości.

– Powiedz mu, żeby wysłał mejla albo coś takiego. *Whatever*, nie ma mnie teraz.

– Mówił, że już wysłał do ciebie mejla. I że jest przyjacielem pana Celtyckiego.

Na dźwięk nazwiska brutalnie zamordowanego polityka Łazarowicz zastygł na ułamek sekundy. Dokładnie na tyle, ile zajęło mu podjęcie decyzji. Podniósł się i uśmiechnął przeproszająco.

– Panowie wybaczą na pięć minut. Za chwilę wrócimy do naszej rozmowy. Iwonka, wprowadź tego młodego człowieka do drugiej salki, okej?

– Dobrze.

Najpierw udał się do łazienki, gdzie zimną wodą opłukał sobie twarz i dokładnie ją wytarł. Spojrzał w lustro. Poprawił blond włosy i krawat.

Wszedł do salki z gniewną miną i zaciśniętą jedną pięścią, jakby szykował się do zadania ciosu. W środku czekał na niego dwudziestokilkuletni chłopak w marynarce i czarnym T-shircie. Próbował wyglądać na hardego i butnego, ale to była tylko maska. Pod nią kryło się zdenerwowanie.

– Masz trzy minuty – powiedział Łazarowicz. – Mów.

– Chcę dla pana pracować.

Idąc na spotkanie z „przyjacielem Celtyckiego”, nadawcą mejla, który wywołał tyle zamieszania i kosztował go utratę dobrych znajomych, spodziewał się wielu rzeczy. Ale nie tego.

– Kim właściwie jesteś?

– Nazywam się Marek. To ja wysłałem panu, raczej pańskim znajomym, mejla z pewną prośbą. I zdjęciami.

Łazarowicz zmarszczył brwi. Powinien być cholernie ostrożny. Chłopaczek mógł mieć na sobie podsłuch. Jedno fałszywe słowo i zaraz wpakuje mu się do

biura oddział szturmowy CBA czy CBŚ.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Podszedł do niego i przyłożył sobie palec do ust, nakazując mu milczenie. Potem zdecydowanym gestem ściągnął mu marynarkę i zabrał się za T-shirt. Chłopak próbował odskoczyć, ale lobbysta przytrzymał go.

– Spokojnie – powiedział.

Marek pozwolił sobie w końcu zdjąć koszulkę. Łazarowicz obejrzał go z przodu i z tyłu. Chłopak był czysty.

– Mam ci jeszcze zajrzeć w majtki? – zapytał.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Może i nie ma, ale i tak zdejmij spodnie.

– Wiem, co jest na tych zdjęciach.

– Chryste – zachnął się biznesmen. – Jesteś w moim biurze, a nie na orgietce u Celtyckiego. W gabinecie czekają na mnie ważni klienci, a za ścianą pracują ludzie. Co ci się wydaje, że zrobię?

Chłopak podrapał się po karku. Po chwili niechętnie rozpiął spodnie i opuścił je do kostek.

– Wystarczy?

– Odwróć się.

Marek wykonał polecenie. Łazarowicz wciąż miał wątpliwości. Nic nie wystawało spod bielizny, żadne urządzenie, żaden kabel, ale obecnie sprzęt podsłuchowy dało się nawet zmieścić w tyłku. Tylko czy polską policję byłoby na taki stać?

– Ubieraj się.

Chłopak podciągnął i zapiął spodnie. Włożył z powrotem T-shirt i marynarkę.

– No dobra, podsumujmy. Najpierw wysyłasz do mnie i moich przyjaciół bardzo niepokojącego mejla. Potem do waszego mieszkania przychodzi trzech niesympatycznych typków. W wyniku tego feralnego spotkania podobno zginął jeden twój kumpel, co?

– Tak.

– A ty i tak chcesz dla mnie pracować?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo pan mógł to wszystko zrobić.

– I ty też tak chcesz?

– Chcę być kimś. Pan jest kimś. Chcę się nauczyć, jak to osiągnąć.

Łazarowicz przyglądał się stojącemu przed nim Markowi. Znowu miał tylko krótką chwilę na podjęcie decyzji. Z pewnym zdziwieniem zorientował się, że podoba mu się ten chłopak. Wiedział, w co się pakuje. Był bezczelny i odważny.

Przychodząc tutaj, podjął pewne ryzyko. I chociaż biznesmen nie do końca rozumiał jego motywacje, miał dobre przeczucia. Ale przede wszystkim chłopak sporo wiedział. Odtrącanie go teraz byłoby nierozsądne. Dlatego postanowił zaryzykować.

– Idź do Iwony. To ta kobieta, która cię wprowadziła. Powiedz, że będziesz z nami pracował. Zostaniesz moim asystentem. Niech ci znajdzie biurko i komputer. O zakresie obowiązków i pensji porozmawiamy jutro.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. Przeczolgam cię tak, że będziesz żałował, że do mnie przyszedłeś.

Wtedy rozdzwonił się telefon. Wyjął go z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz. Powinien odrzucić połączenie. Klienci czekali. Zostało mu jednak kilka sekund na przejście do gabinetu. Dlatego odebrał.

– Słucham, panie Wieśku – powiedział do słuchawki, zostawiając Marka samego w salce konferencyjnej.

Za dnia Milanówek wyglądał trochę lepiej. Niewielkie uliczki, niewielkie sklepiki, mnóstwo drzew. Latem pewnie było tu naprawdę pięknie.

Mortka zaparkował niedaleko domu Evelyny Wilkiewicz. Chwilę siedział w samochodzie, po prostu obserwując okolicę. Wiedział, że nie powinien tutaj przyjeżdżać. To nie on prowadził dochodzenie, tylko policjanci z Grodziska. Nie miał żadnego prawa się w to mieszać. A na dodatek musiał kiedyś wreszcie uporać się z mnóstwem zaległych raportów na biurku.

Tak, tyle że chodziło o Kochana, dupka bijącego własną żonę, ale przez te lata... Coś był mu winien. A może nie. Ale nawet jeśli, w końcu jakaś lojalność... Nie, to nie o to chodziło. Po prostu nie mógł tego zostawić ot tak. Nie potrafił siedzieć i czekać na to, jak rozwinie się sytuacja.

Wysiadł z samochodu i podszedł pod dom Wilkiewiczów. Nie zamierzał wchodzić do środka. Spojrzał tylko na drzwi. Były zabezpieczone. Na ulicy żadnych gapiów. Zapewne rano się od nich roило, ale teraz, po południu, nie mieli już na co patrzeć.

Dom sąsiadów po lewej wyglądał na dość nowy. Wybudowano go najwyżej kilka lat temu. Parterowy budynek z wielkim podjazdem, schowany w głębi działki. Obwieszony już migającymi lampkami, ozdobami, błyszczącymi światełkami, przez co wyglądał jak choinka. Stały przed nim dwa auta: nowe subaru i mniejsze, renault clio. Obie posesje oddzielał gęsty i wysoki żywopłot. Mortka uznał, że sąsiedzi, nawet jeśli nie spali, nie mieli szansy niczego zobaczyć ani usłyszeć. Po prawej natomiast znajdowała się przedwojenna willa, do której wchodziło się przez szklaną werandę. Nieduża. Na zadrzewionej działce dałoby się postawić jeszcze trzy takie same, a i tak zostałyby dużo miejsca. Niedaleko smętnie rdzewiała huśtawka i przekrzywiony trzepak, a tuż obok nich stary mercedes sprzed jakichś piętnastu lat.

Policjant podszedł do furtki. Nie znalazł przy niej żadnego domofonu ani dzwonka. Tylko skrzynka na listy i tabliczka ze zdjęciem owłosionego wilczura niemieckiego i napisem „Uwaga, zły pies”. Mortka oparł się o furtkę. Zaczął rozglądać się po posesji. Nie zauważył ani zwierzęcia, ani jego budy. Co jeszcze nic nie znaczyło. Mogło mieszkać z tyłu budynku.

– Halo! – krzyknął. – Halo! Jest tam kto?!

Żadnej reakcji. Począł chwilę i wszedł na działkę. Na wypadek ucieczki przed wilczurem zostawił uchyloną furtkę. Po dwóch minutach od wciśnięcia dzwonka z domu przyczłapał starszy mężczyzna z głową pokrytą resztką włosów, wyglądających jak siwy puch. Opierał się na lasce. Spojrzał na Mortkę podejrzliwie.

– O co chodzi?! – krzyknął przez szybę.

Komisarz wyciągnął legitymację.

– Policja.

Starszy pan zmrużył oczy, a potem pokiwał dwa razy głową. Otworzył drzwi i gestem zaprosił do środka.

– Pan wybaczy, że tak przez drzwi pytałem – powiedział. – Normalnie to od razu otwieram, ale po tym, co wczoraj się stało...

– To zupełnie zrozumiałe.

– Laski też jeszcze nie potrzebuję, odpukać. – Najpierw uderzył nią trzy razy o podłogę, a potem podrzucił energicznie w górę i złapał w połowie. – Wziąłem dla obrony. Jakby się jakiś łobuz tutaj pojawił, to mam jeszcze dość siły, żeby mu przyłożyć w głowę.

Starszy pan poprowadził Mortkę do największego z pokoi. Salon wypełniony był starymi meblami, wazonami, porcelanową zastawą, zdjęciami i obrazami w złoconych ramach zawieszonymi jeden obok drugiego. Nad wszystkim górowało wielkie poroże jelenia, a z drugiej strony wielki biały piec kaflowy. W kącie cicho grał telewizor. Też stary. Obraz delikatnie migotał u dołu.

– Była już u mnie policja. Rano.

– Zgadza się – przytaknął Mortka. – Ale niekiedy kilka godzin później chodzimy jeszcze raz do świadków. Czasami sobie coś przypominają, jakieś szczegóły, które umknęły im w emocjach przy pierwszym przesłuchaniu – skłamał. I od razu pomyślał, że jeśli ktoś dowie się o tej rozmowie, to będzie musiał gęsto się tłumaczyć. Może skończy się nawet na kolejnej dyscyplinarce.

– Zrozumiałe, zrozumiałe. Też tak robiliśmy.

– Pan był funkcjonariuszem? – zapytał komisarz. To nawet dobrze by się składało. Tacy zazwyczaj wiedzieli, czego się od nich oczekuje. Mało dodawali od siebie, skupiali się na faktach, konkretni. Zwykle jednak chcieli jeszcze po wszystkim porozmawiać trochę o starych dobrych czasach i jak to się wszystko pozmieniało.

– Nie, lekarzem. U nas w szpitalu. Też się do niektórych pacjentów po kilka razy chodziło, aż nagle jeden z drugim przypominał sobie, że w sumie po stronie śledziona to też go boli – zaśmiał się. – No dobrze, to co pan chce wiedzieć?

– Był pan wczorajszej nocy w domu?

– Oczywiście. Wie pan, ja co prawda jestem wdowcem, więc nikt mi na karku nie siedzi, ale na nocne szaleństwa to sił już nie mam.

Mortka zauważył, że starszy pan ciągle nosi obrączkę. Albo stracił żonę niedawno, albo nawet po jej śmierci nie wyobraża sobie chodzenia bez symbolu ich małżeństwa.

– Za dnia to co innego. Chodzę do biblioteki, domu kultury, spotkać się z kolegami, pograć w brydzyka. No ale dość o mnie, bo się rozgadałem jak stara baba. Pan mnie powstrzymuje, jak będę za bardzo odbiegał od tematu, dobra?

– Dobrze.

– Bo ja zawsze lubiłem dużo mówić. Koledzy w szpitalu to mieli mnie dość. Szczególnie na nocnych dyżurach. Oni chcieli spać, a ja to bym porozmawiał. O piłce. O polityce. O takich tam pracowniczych rzeczach.

– Był pan w takim razie wczoraj w nocy w domu?

Starszy pan pokiwał głową.

– Słyszał pan coś? Widział?

– Nie widziałem. Nie zaglądam sąsiadom w okna. Chociaż mógłbym.

Oba domy dzieliła niewielka odległość. Posesję odgradzała tylko druciana siatka.

– Za to słyszałem. W nocy takie bum, bum, bum. Kilka razy.

– Ile?

– Nie liczyłem, proszę pana. Myślałem, że to petardy ktoś puszcza. Pamiętam tylko najpierw jeden taki huk, potem chwila ciszy i znów kolejne. Jedno za drugim.

Mortka pomyślał, że to by się zgadzało z tym, co zobaczył na miejscu zdarzenia. Najpierw postrzelona została Evelina. Potem na pomoc przybiegła jej matka. Strzelano w jej kierunku kilka razy, dwa celnie.

– Krzyki? Kłótnie?

– Rzeczywiście, coś słyszałem, ale telewizję wtedy oglądałem. I nie wiem teraz, czy to faktycznie było od nich z domu czy z telewizora.

– Nie podszedł pan do okna? Nie chciał pan sprawdzić, co się stało?

– Myślałem, że to petardy albo gaźnik w samochodzie na ulicy. W życiu by mi nie przyszło do głowy, że to ktoś strzela. Dlatego dalej leżałem na kanapie i oglądałem film. Dopiero potem, jak policja przyjechała, dowiedziałem się o wszystkim.

– Nie widział pan więc, kto wchodził do domu ani z niego uciekał?

– Niestety nie – powiedział z autentycznym smutkiem w głosie mężczyzna.

Mortka podszedł do okna i wyjrzał przez nie. Miał idealny widok na dom Eveliny Wilkiewicz. Łącznie z oświetlonym podjazdem i furtką znajdującą się prawie pod samą latarnią. Gdyby emerytowany lekarz podniósł się z kanapy, widziałby wszystko, jakby siedział w pierwszym rzędzie teatru. Stracona szansa. Zdarza się w tej pracy.

– Znał je pan dobrze?

– O tyle o ile. Żona była zawsze bardziej do ludzi. Ja mniej, chociaż mówię: lubię gadać. Ale z tymi, co ich znam. Wie pan, jak codziennie w pracy spotyka się mnóstwo ludzi, którzy mówią o swoich chorobach, stolcach, moczu, bólach i tak dalej, to po powrocie do domu człowiek chce tylko odpocząć. Pan rozumie?

– Aż za dobrze.

– Tak właśnie myślałem. Pan też jest trochę lekarzem, co?

– Słucham?

– Leczy pan społeczeństwo ze zbrodni.

Starszy pan uśmiechnął się reżolutnie. Mortka roześmiał się krótko.

– Można tak powiedzieć. To jakie były pańskie sąsiadki? Na tyle, na ile je pan znał?

– Evelina raczej... taka wyniosła, wie pan. Mówiła: dzień dobry i do widzenia, ale byle jak, w pośpiechu. A może mi się tylko tak zdaje, bo młodzi to wszędzie pędzą, do pracy, na studia, na randkę. Z matką miałem lepszy kontakt.

– Dlaczego?

– Więcej w domu siedziała. Trochę w ogrodzie robiła. Przy okazji można było przez płot pogadać.

– Nie chodziła do pracy?

– Chodziła, tylko jakoś żadnej nie potrafiła utrzymać. W sklepie dostała posadę, to wytrzymała trzy miesiące. W przychodni jej załatwiłem pracę, to też cztery miesiące i wypowiedzenie. Potem mnie za to przepraszała. Ten jej facet. Ten Wilk, tak?

– Tak.

– Po latach dowiedziałem się, że to był gangster. Wcześniej to nic. Nie zdziwiłem się bardzo. Miły facet niby, ale źle mu z oczu patrzyło. A jak u siebie imprezy robił, to głośne na całą dzielnicę. Skrzynki wódki tam schodziły, a gołe baby po ogrodzie latały. Chociaż tak to tylko dwa razy chyba wyglądało. Znowu się rozgadałem?

– Trochę – przyznał Mortka.

– Mówiłem, żeby pan mnie stopował.

– Będę.

– W każdym razie zniknął, nie zostawiając im dużo pieniędzy. Zresztą nawet jakby zostawił, to nie wiadomo, czy to by coś pomogło.

– Dlaczego?

– Ktoś im się włamał. Zaraz po zniknięciu, wie pan? Ukradł biżuterię, pieniądze, które mieli w domu, dewizy, bo złotówki to na szczęście na koncie trzymali. Straszny bałagan zrobili. Trochę koledzy im wtedy pomogli się pozbierać. Przynajmniej tak mówiła, ale ciężko im było. Poza tym sporo poszło na poszukiwania tego Wilka. Bo one go szukały, pan wie?

– Wiem.

– No. W każdym razie nie było im łatwo.

– Matka Eveliny nie związała się potem z nikim?

– Nie. Aż dziwne, bo to atrakcyjna kobieta była. I to nie tak, że chętnych brakowało. Co jakiś czas ktoś się znajdował. Po prostu ona nie miała ochoty. Raz powiedziała, że Wilk ją na zawsze z mężczyzn wyleczył. Ale nie wiem, co to znaczyło. Nie wnikałem.

– A pan? Próbował pan?
Mężczyzna wyszczerzył zęby.
– Myślałem o tym, myślałem – przyznał. – I nawet dałbym jej radę, ale jakoś nigdy do konkretów nie przyszło.
– A Evelina?
– Ona jak to młoda dziewczyna. Chłopaki za nią latały. Aż zaręczyła się pół roku temu.
– Naprawdę?
– Tak, z chłopakiem z Piastowa. Parę razy go widziałem, jak do nich przyjeżdżał. Nie zamieniliśmy nigdy słowa. Podobno pracuje u ojca. Martyna, mama Eveliny, tak mówiła. Mają tam jakąś firmę montażową i hurtownię pieców gazowych.
– Pamięta pan, jak ona się nazywa?
– A skąd! Mnie to w ogóle nie interesuje. Widzi pan, jak ja dom ogrzewam.
– Wskazał na piec kaflowy.
– Ktoś jeszcze oprócz tego chłopaka?
– Ostatnio to bywał u nich ten policjant, co odnalazł w końcu Wilka. Podobno nad Wisłą go zakopały bandziory.
– Faktycznie, tak było. Często Kochan się tutaj pojawiał?
– Kto?
– Ten policjant.
– To pański znajomy, kolega?
– Nie – skłamał. – Po prostu o nim słyszałem. Często się pojawiał?
– Kilka razy w tygodniu. Czasami zostawał na trochę. Dwie, trzy godziny. Czasami brał Evelinę i gdzieś razem jechali. Ale uprzedzę pytanie: nie wiem gdzie.
– Domyśliłem się. Działo się coś poza tym? Coś dziwnego?
– Niespecjalnie. Tylko że Wilka znalazły. Pogrzeb im trochę zajął. Formalności, znalezienie miejsca. Bardzo to przeżywały, zwłaszcza córka. To w ogóle dziwne, jak ona bardzo go kochała. Strasznie. Wiem od Martyny. To właśnie Evelina tak na te poszukiwania naciskała. To grzech, żeby taki zły człowiek miał takie dobre dzieci, nie uważa pan?
– Zdarza się i tak.
– Inni nie mają tyle szczęścia. Nie mówię o sobie, żeby pan nie myślał. Moje dzieci są porządne. Co weekend do mnie z wnukami przyjeżdżają. Bo obaj synowie w Warszawie siedzą. Ale co się nasłucham historii od kolegów, to mnie aż mrozi. Dzieci potrafią być straszne, proszę pana. Starość potrafi być straszna. Pan ma dzieci?
– Dwójkę. Chłopaki.
– Niech pan o nich dba. Dobrze radzę.
Mortka poczuł ukłucie wstydu. Mimowolnie zastanowił się, kiedy po raz

ostatni rozmawiał z synami. Zbyt dawno. Praca. Olga. Nie zostawało dużo czasu na kontakt z chłopakami.

– Nawet chciałem na ten pogrzeb pójść – kontynuował starszy pan – bo bandzior nie bandzior, jednak sąsiad.

– I wybrał się pan?

– No nie. Akurat mnie zmogło. Mam czasami takie dni, że prawie ruszyć się nie mogę.

– A poza pogrzebem? Coś zwróciło pańską uwagę?

– Nie, spokój, jak to u nas, w Milanówku. Nuda, tylko ptaki śpiewają. A tu teraz taki klops. Szkoda mi tych dziewczyn, proszę pana. Obu. Nawet jak chłop parszywy, to co tu one były winne?

Mortka nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Pożegnał się ze starszym panem i wrócił do swojego samochodu.

To były jakieś kpiny. Kochan miał ochotę wstać, trzasnąć tego z lewej mocno w głowę. Siedzieli we trzech blisko siebie. Jakby uderzył wystarczająco mocno, to zderzyliby się ze sobą jak stalowe kulki w tej zabawce – kołysce Newtona. Zaliczyliby trzech jednym strzałem. Ale czas uciekał, a on potrzebował miejsca do spania. Po skreśleniu hoteli pozostawały mu jeszcze tylko schroniska dla bezdomnych, też pewnie obstawione.

Cała trójka siedziała za stołem. Z tej okazji wyciągnęli nawet biały obrus. Postawili na nim butelki z wodą mineralną, chociaż ten z prawej miał puszkę piwa. Każdy przygotował sobie zeszytik i dwa długopisy. Cholerni studenci.

Po fiasku z hotelem na Okęciu przez krótką chwilę włóczył się po Warszawie. Potem wpadł na pomysł, żeby pojechać na Uniwersytet Warszawski. Dość ryzykowny, bo na Nowym Świecie zawsze jest sporo patroli. Dlatego wszedł na teren uczelni od strony Powiśla. Przeszedł przez cały kampus aż do bramy głównej, gdzie w kolejnej bramie, prowadzącej do studenckiej lecznicy, znalazł tablicę ogłoszeniową. A na niej sporo anonsów na temat możliwości wynajęcia pokoju w mieszkaniu studenckim. Miał pecha, że wybrał akurat ten i trafił na koleśki, którzy postanowili zabawić się w jury z „Mam Talent”.

Pierwszy z nich nazywał się Justyn, co według Kochana było idiotycznym imieniem. Chłopak miał długie dredy i koszulkę z jamajską flagą. Obok niego siedział okularnik Długi. Wysoki chłopak. Wiadomo, skąd się wzięła ksywa. On wyglądał na najnormalniejszego z całej trójki. I ostatni, z piwem zamiast wody, Szłoma. Cokolwiek to znaczyło. Kozia bródka, mętny wzrok. Albo był podпиты, albo najarany. Kochan zastanawiał się, jak by cała trójka zareagowała, gdyby dowiedziała się, że jest policjantem. Planowali wynająć najmniejszy pokój w M3 na Bemowie.

– To może teraz nam się przedstawisz? – poprosił Długi.

– Ale że jak?

– Kim jesteś na przykład?
– Nazywam się Krzysztof Chrabąszcz – użył wymyślonego naprędce imienia i nazwiska.

– Chrabąszcz! – Szloma klasnął – Super. Tak będziemy cię wołać! Chrabąszcz. Albo lepiej, Żuk!

Kochan zagryzł delikatnie wargę, by nie powiedzieć głośno, że Szloma to idiota.

– Wołali tak na mnie w szkole – skłamał.

– Naprawdę?!

– Tak.

– Super.

– Musisz skumać, Żuk, o co nam chodzi z tą rozmową, nie? – odezwał się Justyn. – Mamy w naszym małym mieszkanku taki bardzo fajny, bardzo pozytywny flow. To jest miejsce dobrych, bardzo pozytywnych wibracji. Taka nasza mała przestrzeń wolności, rozumiesz, nie?

– Chyba tak.

– I teraz ten pokój, którego tak pożądasz. Nie tylko wpuszczamy cię do naszego mieszkania. My cię wpuszczamy do naszego życia, do naszego flow. Jarzysz?

– Tak mi się wydaje.

– Czym się zajmujesz, Żuk? – zapytał Długi. – Dlaczego w ogóle chcesz z nami zamieszkać?

– Jestem z Sochaczewa – zaczął opowiadać przygotowaną wcześniej historyjkę. – Znajomy naraił mi w stolicy robotę. Potrzebuję miejsca, gdzie mógłbym się zatrzymać.

– Jaką robotę?

– W magazynie. Ale zaczynam dopiero za kilka dni.

Odpowiedź konkretna i ogólna równocześnie. Powinna ich zadowolić. Dzięki informacji, że startuje dopiero za parę dni, nie zdziwił się, jeśli będzie siedział w domu lub wychodził o dziwnych porach. Kochan starał się być przewidujący i miał nadzieję, że dobrze to wymyślił.

– Jakiej muzyki lubisz słuchać? – odezwał się Szloma.

Cholera, pomyślał Kochan. Żaden z nich nie miał koszulki z nazwą ulubionego zespołu. Ten w dredach pewnie lubi reggae, ale przecież nie uwierzą, że słucha właśnie tego. Co im powinien powiedzieć?

– Fekal rocka – zaryzykował.

– Co to takiego?

– Znacie taki zespół Kiszka Kartoflana? Królowie polskiego fekal rocka. Chociaż teraz poszli bardziej w stronę absurd rocka. Poszukajcie ich sobie na YouTube.

W jakiś dziwaczny sposób trafił. Co więcej, uwierzyli mu, że naprawdę mógłby słuchać tego typu muzyki. Kochan pomyślał, że musi wyglądać naprawdę źle.

– Pytał cię o muzę, bo wiesz, tu chodzi o nasz flow – powiedział Justyn.

– Jasne.

– Muza jest tutaj ważna, rozumiesz? Żeby sprawdzić, czy jest między nami połączenie. Kumasz?

– Tak.

– Justyn ma rację. Wiesz, trudno nie zauważyć tej różnicy wieku między nami – dodał Długi.

– Nie jest aż tak duża – skontrował Kochan.

– Ale jednak! Wiesz, my tu mamy studenckie życie. Urządzamy imprezy. Justyn robi z kumplami jam session. Mamy mnóstwo znajomych, kolegów, koleżanek. Niekiedy tutaj śpią.

– Nie przeszkadza mi to. Szczególnie koleżanki – spróbował zażartować. Nie spodobało im się to.

– Boimy się, że twój styl życia zderzy się z naszym stylem życia. A nie potrzebujemy tutaj kwasów. Bo to, co się tutaj dzieje, w tym mieszkaniu, to działa.

– Nie będzie żadnego zderzenia. – Denerwowało go, że musi się płaszczyć przed tymi idiotami. Gdyby nie potrzebował tego mieszkania. Gdyby mógł po prostu wyjąć legitymację i przetrzepać całą chałupę, a potem zatrzymać ich za posiadanie zielska. Dobrze by mu to zrobiło. Im trochę czasu w areszcie pewnie też. Nabraliby rozumu. Poznali prawdziwe życie.

– To jak myślicie? – zapytał Szłoma.

Zamilkli jak na komendę. Patrzyli jeden przez drugiego, a żaden nie chciał odezwać się pierwszy. Chyba nagle zorientowali się, że robiąc tę szopkę, tylko zmarnowali jego czas. A skoro nie będzie szczęśliwego zakończenia, to pewnie będzie wkurzony. Wkurzony dorosły facet, pracujący mięśniami w magazynie to coś innego niż kolejny student, z którym się trochę powyglupiali.

– Wiesz, Żuk – pierwszy odważył się odezwać Justyn. – Jesteś spoko gość. I kusi mnie, by wpuścić tu trochę świeżej... nowej krwi. Poznać inną wrażliwość. Wrażliwość kogoś starszego, pewnie dojrzalszego, nie? Ale tu... No sorry, Żuk, ale tu nie ma chemii. Czujesz to, man, prawda? Zero chemii. Ani ty się w nas nie zakochałeś, ani my w tobie. A to mieszkanie potrzebuje miłości.

Co on bełkocze? – pomyślał Kochan. Uszy bolały go od samego słuchania.

– Ja głosuję na nie. Sorry, Żuk – dokończył Justyn.

– Tak samo – powiedział Długi. – Przykro mi.

– To ja też na nie – odezwał się Szłoma.

– To mamy trzy razy nie. Przykro mi, Żuk. Powodzenia w szukaniu mieszkania.

Czuł, że to tak się skończy. Właściwie od momentu, kiedy rozpoczęli ten cholerny teatrzyk z przesłuchaniem, ale i tak był zdenerwowany. Bezczelne gnojki. Faktycznie jest coś nie tak ze współczesną młodzieżą, pomyślał. Kto ich nauczył tak traktować ludzi?

– Chłopaki – powiedział po chwili, kiedy trochę się uspokoił. – Ja naprawdę potrzebuję tego pokoju.

– Bez szans. Rada mieszkania postanowiła.

– Mamy tu dobry flow.

Kochan sięgnął do torby. Wyjął portfel i rzucił na stół tysiąc złotych.

– Płacę za dwa miechy z góry.

I już wiedział, że wygrał. Flow flowem, ale studenci to studenci. Zawsze potrzebują pieniędzy.

Parę tygodni temu znaleźli tu na środku dziedzińca zamordowaną młodą dziewczynę, potem dowiedzieli się, że jeden z ochroniarzy handlował narkotykami, a mieszkający po sąsiedzku były polityk prowadził ekskluzywny burdel, ale administracja osiedla niczego się nie nauczyła. Dalej wystarczyło poczekać, aż pojawi się ktoś z mieszkańców, razem z nim wejść główną bramą, a siedzący w kanciapie ochroniarz nawet nie podniósł głowy znad gazety.

Gruda minął go, przeciął dziedziniec i wszedł do klatki, w której znajdowało się mieszkanie Mieszka. Ostatnie godziny spędził na obserwacji osiedla. Cekał, aż Beata, dziewczyna gangstera, wyjdzie z domu. W końcu to się stało. Była grubo ubrana, miała ze sobą dużą torebkę. Szła w stronę metra. Wyglądało to na dłuższe wyjście, ale nie miał pewności. Powinien się śpieszyć. Na szczęście nie musiał bawić się wytrychami – klucze zarekwirovano Mieszkowi przy zatrzymaniu. Przy pierwszej okazji na polecenie Andrzejewskiego zapobiegliwie zrobił kopię.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Na wszelki wypadek wytarł bardzo dokładnie buty i nie ściągał rękawiczek. Śledczy sprawdzali już lokal. Wzięli ze sobą komputer Mieszka i komórki, ale nic na nich nie znaleźli. W mieszkaniu tak samo. Gruda miał nadzieję, że jednak coś przegapili. Coś, co pomoże mu odnaleźć ten cholerny garnitur.

– Gdybym był tobą, Mieszko, to gdzie bym go schował? – zapytał sam siebie.

Zapoznał się ze wszystkimi materiałami, jakie zebrali na temat mężczyzny. Dość typowa historia. Chłopak z wiejskiej rodziny, ojciec z wyrokiem za pobicie, brat za kradzież samochodów. Większość uważała go za typowego mięśniaka, myślącego powoli, takiego, który tylko wykonuje polecenia, a sam nie ma zdania na żaden temat. W szkole idzie mu źle. Kończy podstawówkę, łąduje w zawodówce, ale tę rzuca zaraz po osiemnastce. Zamiast tego woli włóczenie się z kumplami, drobne wymuszenia, bójkę. Chodzi na Legię, pojawia się na ustawkach. Bije się twardo, nie daje pleców. Traci dwa zęby. Po latach wstawi

sobie na ich miejsce implanty. Trafia do osiedlowej siłowni w piwnicy sąsiedniego bloku, a tam na odpowiednich ludzi. Chłopak szybko wyrasta, nabiera mięśni. Chętnie wykonuje polecenia. Dostaje pierwsze zlecenie. Ochronia dilerów, pomaga przy wymuszeniach. Zostaje aresztowany, ale nic nie mówi. Łąduje w więzieniu na dwa lata. Wychodzi. Jego akcje momentalnie idą w górę. Odsiedział swoje. Nie spruł się. Jest szacunek. Dostaje poważniejsze roboty. Wreszcie łąduje u Borzestowskiego. Ktoś go polecił jako łebskiego faceta. Pracuje u niego przez lata. Głównie robi pięściami, chociaż chodzą słuchy, że koordynował także napady na TIR-y i rozprowadzanie lekkich prochów. Zarobił tyle, że kupił sobie mieszkanie na strzeżonym osiedlu na Ursynowie. A to już niemałe osiągnięcie. Nie tylko zdobył tę kasę, ale jeszcze miał dość rozumu, żeby nie przepuścić jej na byle głupotę. Rzadki przypadek. To pokazywało, że powszechna opinia na temat Mieszka mijала się z prawdą. Tylko co to dawało Grudzie?

Trzy pierwsze pomysły, które przysły mu do głowy, to skrytka bankowa, pocztowa lub dworcowa przechowalnia bagażu. Tylko podczas przeszukania nie znaleźli żadnego kluczyka ani numeru. Co nie znaczyło, że żaden nie istnieje.

Gruda wszedł do sypialni. Prosty pokój. Duży materac na podłodze, obok toaletka i wielka szafa. Najpierw sprawdził toaletkę. Dużo kobiecych kosmetyków: kremy, lakier do włosów, perfumy. Puzderko na biżuterię, a w nim same świecidełka: duże kamienie, pewnie sztuczne, ogromne kolczyki, które mogłyby urwać ucho. Nic, co mogłoby go zainteresować. Sprawdził, czy puzderko nie ma drugiego dna. Nie miało, więc odłożył je na miejsce. W szufladach znalazł trochę leków, jakieś szmatki, szczotki, grzebienie i zestaw do manicure.

Obok łóżka leżało kilka książek. Doszedł do wniosku, że wszystkie należą do Beaty. Jedna powieść Nory Roberts, a obok dwa poradniki o astrologii i wróżeniu z kart. Oba wyglądały na zaczytane. Przerzucił szybko strony, ale nic ciekawego nie znalazł. Zatrzymał się na dłużej przy charakterystyce swojego znaku zodiaku. Dowiedział się, że jest pewny siebie, dumny i obdarzony radością życia.

– Jakbyś tu, kurwa, był – powiedział do siebie i odłożył książkę.

Podszedł do szafy. Otworzył ją szeroko. Połowę zajmowały ubrania jej, połowę jego. Zastygł na moment, kiedy zobaczył wiszący na wieszaku pokrowiec na garnitur. Czyżby to było takie proste? Tylko wtedy znaleźliby go podczas pierwszego przeszukania. Chyba że przechowywał go ktoś inny i dopiero potem Beata przyniosła z powrotem. Rozsunął zamek, wyjął ubranie i przyjrzał się marynarce i spodniom. Duży rozmiar. W końcu Mieszko to wielki facet. Podobnie Borzestowski. Jednak na garniturze nie znalazł żadnych śladów krwi. Być może Mieszko go wyczyścił, licząc, że zostaną mikroślady, ale aż taki sprytny to on raczej nie był. Gruda schował garnitur i zajął się butami. Zaglądał pod wkładki, potrząsał. Znowu nic.

Skąd była ta Beata? – zastanowił się. Może ukrył garnitur u jej rodziny?

Albo mieli jakiś domek letniskowy. Zapisał sobie w pamięci, że powinien to sprawdzić, i przeszedł do salonu. Znalazł w nim zestaw wypoczynkowy, duży płaski telewizor i dekodery nc+. Pod ścianą stał stojak z ciężarkami o różnej wadze, a obok rowerek do ćwiczeń. Na ścianach wisiało kilka zdjęć, nad drzwiami krzyż, poza tym nic oprócz meblościanki. Jedną z półek zajmowały ułożone ciasno jeden obok drugiego komiksy, jakieś Batmany, Supermany i coś, czego nie znał. Na innych kryształowe papierośnice, kufle do piwa, filmy DVD. Typowe męskie kino – trochę wojennych, komedie z Maciejem Stuhrem, *Szybcy i wściekli*. Zaczął je po kolei wyciągać, otwierać i zaglądać do środka. Znalazł tam tylko płyty.

Nagle usłyszał otwierający się zamek w drzwiach. Zerknął na zegarek. Spędził w tym mieszkaniu więcej czasu, niż planował. Naciągnął na twarz kominiarkę i schował się za ścianą.

Usłyszał, jak Beata wchodzi do środka. Obcasy jej butów zastukały o deski parkietu. Zdjęła płaszcz i rzuciła torebkę na podłogę. Rozmawiała przez telefon.

– Spóźnię się... No tak... Wróciłam na chwileczkę do domu. Bo mi się siku zachciało... Tak, jest toaleta w metrze. Ale raz, że była nieczynna, bo jakiś remont, a dwa, wiesz mama, że ja się brzydzę z publicznych korzystać... No dlatego, że nigdy nie wiadomo, kto tam sikał... No nie wiem! Ktoś z HIV-em może albo żółtaczką. Ty myślisz, że oni tam tak dokładnie sprzątają! Mazną tylko mopem, rozmażą ten syf i tyle zrobią.

Weszła do ubikacji. Gruda wychylił się zza ściany. Drzwi od toalety były uchylone. Do wyjścia z mieszkania miał jakieś cztery metry. Mógł spróbować teraz się wymknąć, ale jeśli przyszła się tylko załatwić, to może zaraz znowu wyjdzie.

– Tak, mam, wiem, potem to będzie mi się cały czas... Może wtedy się przełamie, ale teraz jeszcze nie... Tak, mam, właśnie sikam... Nie mów mi, że nie wypada sikać, jak się z kimś rozmawia, bo przecież dokładnie wiesz, że miałam sikać... Stąd masz wiedzieć, bo specjalnie do ciebie zadzwoniłam, by ci powiedzieć, że się spóźnię, bo wróciłam do domu, żeby się wysikać... Nie, nie mogłam poczekać, bo mi się bardzo chciało... Tak, mam, mogę mieć zapalenie pęcherza...

Gorzej, jeśli zamiast wyjść od razu, zostanie w domu. Pójdzie do kuchni coś zjeść albo do salonu, żeby pooglądać telewizję. Gruda nie chciał ryzykować. Tylko że teraz nie mógł się ruszyć. Załatwiała się, więc mogła go dostrzec przez uchylone drzwi.

– Powiem o tym lekarzowi... Tak, temu, którego poleciłaś... Bardzo fajny jest... Nie, nie potrzebuję jeszcze pieniędzy... Nie mów tak o Mieszku... Bo go nie znasz. On się starał, mam, a to jest jakieś straszne nieporozumienie... Bo wiem. Czuję tak w sercu... Mi to wystarczy.

Usłyszał, jak wstaje i spuszcza wodę. A więc prawdopodobnie była teraz tyłem do niego. Do tego jej uwagę pochłaniała rozmowa telefoniczna. Ruszył.

Ostrożnie. Najciszej, jak umiał.

– Czasami się czuje takie rzeczy... To nie są zabobony, mamó... Przecież też tak masz... Te twoje przeczucia, że stanie się to, stanie się tamto... Mi to wystarczy, bo to się sprawdza.

Nacisnął klamkę. Uchylił drzwi. Prześlizgnął się na korytarz.

– Nieważne, że w to nie wierzysz. Ja w to wierzę...

Zamknął drzwi za sobą i szybko ściągnął kominiarkę. Lepił się od potu. Otarł sobie twarz chusteczką, a potem opuścił blok i całe osiedle. Na dzisiaj miał dość.

Zastanawiał się, w jaki sposób namierzą z Andrzejewskim ten garnitur, skoro innym się nie udało. O ile on rzeczywiście w ogóle istniał. Bo kto wie, może Mieszko spalił go tak, jak mu Borzestowski kazał, a teraz tylko blefuje. To była zła wiadomość, ale ostatnio tylko takie się pojawiały. Gruda powoli zaczynał się do tego przyzwyczajać.

Mortka zajął do lodówki. Dietetyczne jogurty z zerową zawartością tłuszczu, chude mleko, sporo warzyw, pakowana sałata, ser feta, oliwki. Jedyny niezdrowy wyjątek stanowiły butelka białego wina i czteropak żywca dla niego. Jak to możliwe, że u Olgi zawsze było mnóstwo jedzenia, a i tak nie miał na nic ochoty?

– Weź sobie piwo – powiedziała i cmoknęła go w policzek. Podniosła torby z zakupami i położyła je na blacie. Zaczęła rozpakowywać.

– Nie, dzięki.

– Mogę ci zrobić kawy, herbaty albo po prostu nalać wody.

– Nie chce mi się pić.

– Jedzenie ci odradzam, bo zaraz mamy obiad.

– Wiem.

Głodny zresztą też nie był.

– Jak w pracy?

Pytanie, którego obawiał się przez cały dzień. Bo co miał powiedzieć? Kochanie, mój kolega z pracy prawdopodobnie zabił dwie osoby. Jak? A to dopiero ciekawe – zastrzelił je z broni służbowej. Matkę i córkę, wspominałem już? Faktycznie, zabawna historia. Najlepiej byłoby milczeć, ale jak ostatnio dała mu do zrozumienia Ola, właśnie milczeniem rozpieprzył ich małżeństwo.

– Ciężko.

– Co się stało? – natychmiast się zainteresowała. Kręciły ją te wszystkie policyjne historie, których sam Mortka miał po dziurki w nosie.

– Podwójne zabójstwo. Matka z córką.

– Straszne – powiedziała. – Podasz mi miskę z lodówki? Zrobiłam wczoraj kurczaka, dzisiaj sobie podgrzejemy.

Zrobił to, o co prosiła, licząc, że temat jego dnia pracy właśnie się wyczerpał.

– Ile lat miała ta dziewczynka?

– To nie była dziewczynka, tylko dorosła kobieta. Z matką.

– Aha... To źle, że mi się jakoś lepiej zrobiło?

– Nie wiem. Czemu lepiej?

– Bo człowiekowi coś od razu w sercu się ścisza, kiedy słyszy o krzywdzie dziecka. Z dorosłym tak nie ma. A przecież życie jest życie, prawda?

– Tak.

Nalała oleju na patelnię. Poczekała, aż się rozgrzeje, i położyła na nim kotlety.

– Włóż, Kubuś, fartuszek, dobrze? Przypilnujesz mięsa, a ja zrobię sałatkę.

Ściągnął z haczyka fartuch. Ubrał się i chwycił za drewnianą łopatkę do

przewracania mięsa. Kotlety zaczęły już skwierczeć na tłuszczu. Tymczasem Olga wyciągnęła torebkę z poszatkowaną sałatą, wysypała liście do miski i zabrała się do krojenia pomidorów.

– Wiecie już, kto to zrobił?

– Mamy podejrzanych – powiedział, myśląc, że to wcale nie jest kłamstwo.

– A aresztowaliście ich?

– Jeszcze nie. Szukamy.

– A motyw? Rabunkowy czy coś poważniejszego?

– Nie, nie rabunkowy. Z domu nic nie zginęło...

Na pewno nic? – zapytał sam siebie w myślach.

– To o co chodziło?

– Trudno powiedzieć. Te kobiety miały powiązania z przestępczością zorganizowaną.

– Czyli porachunki gangsterskie?

– No właśnie niespecjalnie, bo to były powiązania rodzinne. Do tego stare sprawy, sprzed wielu lat.

– Wiesz, przeszłość czasami wraca do człowieka.

Przerzucił kotlety na drugą stronę. Olej zaskwierczał mocniej. Kilka kropeł spadło prosto na jego fartuch, jedna na rękę. Zabolało odrobinę.

– A co u ciebie? – zapytał.

– To co zawsze. Walka o klienta, żeby cyferki w Excelu nam się zgadzały.

Nuda.

– Zawsze myślałem, że finanse są ekscytujące – skłamał.

– Są. Jak coś pierdolnie, przepraszam za łacinę. Poza tym to nuda. A dzisiaj nic nie pierdolnęło.

– To akurat chyba dobrze.

– Ale za to – przypomniała sobie – pamiętasz, że w biurze mamy złodzieja mleka?

– Pamiętam. Wezwaliście już policję, jak radziłem?

– Kubuś... – oburzyła się żartobliwie, wrzucając pokrojone w drobną kostkę pomidory do miski – tłumaczyłam ci już. Co się dzieje w biurze, zostaje w biurze.

My, maklerzy, nie lubimy kapusiów.

– A co robicie z tymi, którzy jednak zdecydują się mówić?

– Dajemy im do zrobienia modele w Excelu.

– Nie brzmi groźnie.

– Bo nigdy ich nie przygotowywałeś – powiedziała ze śmiechem.

– Dobra. Co z tym złodziejem mleka?

– Zaraz ci powiem. Podaj mi jeszcze tylko fetę z lodówki.

Wykonał jej polecenie, potem wrócił do kotletów. Wyglądały całkiem nieźle. Olga tymczasem rozcięła opakowanie sera i dorzuciła go do sałatki.

– Konrad to taki koleś, który grzebie... no właśnie w modelach... przyniósł dwa identyczne kartony mleka. I karteczkę, że do jednego wrzucił środki przeczyszczające i zaprasza złodzieja do zabawy. Taka rosyjska ruletka.

– Niezłe. – Mortka pokiwał głową z uznaniem. Zmniejszył gaz pod kotletami i patrzył, jak Olga ściąga pierścionki z palców. Opłukała je wodą i zaczęła ręcznie mieszać sałatkę. Gniotła ser i mieszała go z innymi składnikami.

– Też mnie ubawiło.

– Złodziej spróbował?

– A wiesz, że nie wiem? A ty? Wziąłbyś udział w tej dzikiej i niebezpiecznej grze?

– Raczej nie.

– No tak. Ty codziennie ryzykujesz życie w pracy.

– To nie do końca tak. Mówiłem ci, że ta robota bywa całkiem nudna.

– Dopóki coś nie pierdolnie?

– Dokładnie tak.

– Jak te dwie kobiety?

Kiwnął głową. I wtedy jego wzrok powędrował do leżących na blacie pierścionków, a potem zobaczył dłonie Olgi pobrudzone lepką białą fetą. Podszedł do niej, chwycił za przeguby i powoli podniósł je w górę. Spojrzała na niego zaskoczona.

– Co robisz?

Według sąsiada Evelina miała narzeczonego. A z domu nic nie zginęło. Na pewno?

– Na którym palcu nosi się pierścionek zaręczynowy?

– Co takiego? Chyba nie chcesz...

– Nie.

Takiej odpowiedzi się spodziewała. Takiej chciała, ale i tak w jej spojrzeniu dostrzegł błysk rozczarowania.

– Serdeczny palec prawej ręki.

Pamięć sama podsunęła mu ten obraz. Kawałek czystej skóry na zakrwawionej dłoni. Tak, jakby wcześniej było tam coś, co ją chroniło przed ubrudzeniem. Coś takiego jak pierścionek.

– Dokończ tutaj sama, dobrze? Muszę zadzwonić.

Wyciągnął z kieszeni portfel i numer telefonu technika z Grodziska. W pokoju obok wystukał go na klawiaturze komórki. Marcin odebrał po dwóch sygnałach.

– Tak?

– Tu komisarz Jakub Mortka z Komendy Stołecznej. Poznaliśmy się dzisiaj rano w Milanówku. Pamięta pan?

– Jasne, że tak. Pan jest tylko komisarzem?

- Tak. Dlaczego tylko?
- Myślałem, że jest pan kimś ważniejszym, skoro specjalnie pana ściągali. – Technik roześmiał się do słuchawki. – Dlatego tak panu nadskakiwałem i dałem numer. Myślałem, że może mnie pan do stolicy ściągnie!
- To raczej nie do mnie.
- Szkoda. Ale i tak, w czym mogę pomóc... – zrobił długą pauzę – komisarzu?
- Jedna rzecz. Wykluczamy motyw rabunkowy, nie? Bo na moje oko to z domu nic nie zniknęło. Ale nie byłem na gorze.
- Wszystko wydawało się na swoim miejscu. Pieniądze, sprzęt elektroniczny, biżuteria...
- I tutaj się zatrzymamy – poprosił Mortka. – Znaleźliście może pierścionek zaręczynowy?
- Zaręczynowy?
- Evelina, ta młodsza, miała narzeczonego, a skoro tak, powinna nosić pierścionek.
- A jak on wyglądał?
- Nie wiem. Pewnie złoty, z brylantem, może kilkoma. Coś takiego.
- Eee... nie. Nic takiego nie znaleźliśmy.
- Dzięki wielkie.
- Nie ma problemu. Proszę o mnie pamiętać, gdyby kiedykolwiek miał pan coś do powiedzenia w kwestii obsady warszawskich etatów dla techników.
- Będę – obiecał Mortka.

Rozłączył się w momencie, kiedy Olga zaczęła stawiać na stole kolację. Posłała mu pytające spojrzenie, a on tylko pokazał jej wyciągnięty w górę kciuk, licząc, że to wystarczy za odpowiedź. Nie znaleźli pierścionka zaręczynowego, pomyślał, ale jeszcze nie był pewien, co to właściwie znaczy.

Najpierw był esemes. Prosta informacja. „Wiem, kogo szukałaś u Wieśka. Pawilony. Wietnamska knajpa. 19.30”. Numer nieznanym. Kiedy na niego dzwoniła, nikt nie odpowiadał. Wyglądało to dość podejrzanie. Najpierw wizyta w gejowskim burdelu. Potem tajemniczy esemes. Być może ktoś szukał okazji, by dać jej coś do zrozumienia. Ale też nie mogła zrezygnować z szansy na to, żeby dowiedzieć się czegoś o tajemniczym chłopaku z filmu.

W kieszeni kurtki schowała teleskopową pałkę. W drugiej kaset i alarm akustyczny, niewielkie urządzenie, które po naciśnięciu przycisku przez kilka sekund emitowało dźwięk o głośności ponad 110 decybeli. Wystarczająco dużo, by na chwilę skołować napastnika i zwrócić na siebie uwagę każdego w okolicy. Nie żeby Sucha jakoś specjalnie liczyła na pomoc przypadkowych przechodniów, ale urządzenie prawie nic nie ważyło, więc wzięła je ze sobą.

Pawilony mieściły się na tyłach Nowego Świata. Dawniej zajmowane przez

małe sklepy i punkty rzemieślnicze, teraz zostały przejęte przez knajpki, puby i niewielkie restauracje. Miejsce uwielbiali studenci, bo lano tam tanie piwo, i wszelkiej maści hipsterzy, bo było prawie tak modne jak plac Zbawiciela.

Weszła od strony ulicy Foksal. Założyła kaptur. Wmieszała się w grupkę młodych ludzi stojących na dziedzińcu i rozważających, który lokal wybrać. Sucha obserwowała. Najpierw sprawdziła wietnamską knajpę. Miała ją przed sobą. Wewnątrz zauważyła kilka osób. Znowu głównie młodych. Prawdopodobnie chcieli coś przekąsić przed melanżem. Potem okolicę. Nie zauważyła nic niepokojącego. Żadnych podejrzanych kręcących się w okolicy ani dziwaczych typków, którzy nie pasowali do obrazka rozbawionej Warszawy.

Nagle go dostrzegła. Stał w cieniu, dlatego najpierw jej umknął. Ukrywał się tam, wpatrując się w wejście do wietnamczyka. Sucha dyskretnie opuściła tłumek studentów i podkradła się do obserwatora. Było to łatwiejsze, niż się spodziewała. Facet okazał się ewidentnym amatorem. Do tego całkowicie skupił się na knajpie, nie zwracał uwagi na otoczenie.

– Źle to robisz – powiedziała, kiedy znalazła się tuż przy nim.

Aż podskoczył ze strachu. Sprawilo jej to satysfakcję i pomyślała, że niepotrzebnie przychodziła na spotkanie aż tak uzbrojona. Odwrócił się do niej, a wtedy zobaczyła jego twarz.

– Ty jesteś Jaś, prawda?

Chłopak od pana Wieśka, wciąż przestraszony, kiwnął głową.

– Co tutaj robisz? Dlaczego nie czekasz na mnie w środku?

– Chciałem się upewnić, że przyjdiesz sama – odpowiedział po chwili.

– Aż taki jesteś podejrzliwy?

– Wiele ryzykuję, przychodząc tutaj.

Już miała na końcu języka cięty komentarz na ten temat, ale stwierdziła, że lepiej powstrzymać się od drwin. Przynajmniej tak długo, dopóki nie wyciągnie z chłopaka wszystkiego.

– No to skoro już wiesz, że przyszłam sama, to może pójdziemy faktycznie coś zjeść?

Wyszli z cienia kamienicy. Minęli pijanego już o tej porze długowłosego chłopaka i weszli do knajpki. Wewnątrz rządziła drobna Wietnamka, przyjmowała zamówienia łamanym polskim, a potem już po wietnamsku poganiała zarobionych kucharzy. Z głośników leciała orientalna muzyka. Jaś zamówił smażony ryż z krewetkami, Sucha tylko herbatę. Zajęli stolik w rogu sali.

– No to mów – powiedziała. – Najpierw skąd masz mój numer.

– Zostawiłaś Wieśkowi wizytówkę.

– To prawda. A teraz powiedz mi, kim był chłopak, którego szukam?

– Nie tak szybko. Mówiłem, że wiele ryzykuję, przychodząc tutaj. Chcę czegoś w zamian.

Cwaniak, pomyślała, ale bez złości. Nie zaskoczył jej. Dokładnie takiej rozmowy się spodziewała. Brudnych umów, małych szantażyków.

– Dobra, mów. Jaką masz propozycję?

– Trawa, ecstasy, amfa i kokaina. To mnie interesuje. Co możesz dostarczyć? Zmarszczyła brwi.

– Wiesz, że jestem policjantką, a nie dilerką?

– No przecież – potwierdził. – Ale macie ten swój magazyn z dowodami, nie? Wykradniesz trochę, przyniesiesz mi, a ja ci wtedy powiem, kim jest ten chłopak. Albo... Gwarancja bezkarności. Jak z czymś wpadnę, na posiadaniu, kradzieży, żadne morderstwa, jestem rozsądny, to do ciebie dzwonię, a ty mnie wyciągasz. I żadnych zarzutów.

Sucha uznała, że warto było się pofatygować do pawilonów. Dawno nic jej tak nie rozbawiło.

– Oglądasz trochę za dużo filmów, kolego. Nie ma mowy. Ani jedno, ani drugie. Ani ten trzeci pomysł, o którym jeszcze nie powiedziałeś, ale który i tak na pewno jest głupi.

– To co ja z tego będę miał? – zapytał.

– Tylko tyle, że jeśli dowiem się tego, czego chciałam, to nie pójde zaraz do pana Wieśka i nie opowiem mu, że latasz po mieście i miałeś ozorem na lewo i prawo, Jasiu.

Otworzył szeroko oczy.

– Nie zrobiłabyś tego!

– A dlaczego nie? Spójrz na to z mojej perspektywy. Zamiast mi pomóc, próbujesz mnie wciągnąć w jakieś brudne interesy i namawiasz do kradzieży skonfiskowanych narkotyków. Nic tutaj nie zyskuję. Ale jeśli pójde do pana Wieśka, jeśli opowiem mu o naszym spotkanku, to będzie pewna inwestycja na przyszłość. Będzie miał wobec mnie dług wdzięczności.

– Dla niego to nic nie znaczy.

– Zobaczymy. Według mnie warto zaryzykować.

Przerwali na chwilę rozmowę, bo obok nich pojawił się wietnamski kelner. Położył przed nim smażony ryż, przed nią postawił herbatę i odszedł bez słowa. Sucha też miała zamiar wstać, kiedy Jaś powstrzymał ją proszącym gestem.

– Dobra, dobra... Ale świnią z ciebie.

Sucha uśmiechnęła się kącikiem warg. Zagrała ostro i wygrała. Teraz czas na okazanie łaski. Nauczyła się takiego zachowania, obserwując Mortkę w pracy. Był naprawdę niezły w takich gierkach.

– Słuchaj, nic ci nie obiecuję, ale jeśli naprawdę wpadniesz w kłopoty, to zadzwoń do mnie. Może akurat będę miała dobry humor. Okej?

– Okej – mruknął i polał danie ostrym sosem. Wyjął widelec z chusteczki i zaczął dziubać na talerzu. Ewidentnie stracił apetyt.

– Pan Wiesiek naprawdę jest taki straszny?

– Aż tak to nie. Ale czasem wychodzi z niego prawdziwy skurwysyn. Jednego chłopaka, co chciał odejść, to najpierw straszyl, że wszystko opowie jego rodzinie. A on był z Podkarpacia. Wyrzekliby się go, gdyby się dowiedzieli, co u nas robił. I tak go dręczył, że chłopak zgodził się zostać. Wiesiek zamiast pięćdziesięciu zaczął mu zabierać siedemdziesiąt procent z kasy od klientów, potem jeszcze podwyższył opłatę za czynsz, a pewnego dnia po prostu wyjechał z lokalu. Przy okazji zabrał mu wszystkie ciuchy. Innego to tak długo dręczył, groził, że facet aż uciekł do Berlina.

– A bije was?

– Potrafi przypierdolić, jak ktoś zrobi coś głupiego, ale dla mnie to jak wakacje po tym, co ojciec w domu robił. Są i takie ciotki, które nie są przyzwyczajone i przeżywają jak angielska królowa każdego plaskacza.

– A poza tym? Zabiera wam kasę?

– Swoją prowizję i za mieszkanie. Do tego żarcie, prochy, jak ktoś zażywa.

Normalka.

– Dużo ci zostaje z wypłaty?

– Na wietnamczyka wystarczy.

– A ile pracujesz?

– Tyle, ile trzeba, nie? I ile się da. Dupa nie guma, nie?

– Jasne. A kim był ten chłopak?

Jaś odłożył na bok widelec.

– Nie wiem, jak się nazywał. Był u nas parę razy.

– Jako klient czy obsługa?

– Klient. Tak jakby.

– Co to znaczy?

– Bo zamawiał towary, ale nie dla siebie. W grę wchodziły wyjazdy i specjalne zamówienia. Miało być dyskretnie. To były dobre numery.

– Skąd wiesz?

– Raz się załapałem. Jakoś w wakacje. Powiedzieli, żebym się nie bał. Założyli worek na głowę i zawieźli do jakiegoś domu. Chyba daleko, bo długo jechaliśmy. Kiedy ściągnęli czapę, to mi prawie gały wyszły z orbit. Bo chałupa była elegancka, nie? Samo szkło i skóra. Wszystko lśniło, a na dworze basen prawdziwy, nie? I wtedy wyszedł koleś. Znany typ, aktor. Naprawdę znany. I on do mnie tak nieśmiało podchodzi, przedstawia się, że Czarek jest. Prawie się wtedy zbrechtałem, bo pół Polski go zna, a on do mnie fałszywym imieniem, że Czarek. Debil po prostu. Ale ja dobra, na spokojnie to wziąłem. Dzień dobry, panie Czarku. Takie tam. On mnie wziął pod rękę, wódki podał i zaczął opowiadać, żebym się nie bał. Że on będzie delikatny, że to tylko trochę boli, ale poza tym to jest przyjemne. I żebym się rozluźnił. Znowu się prawie zbrechtałem, bo on chyba myślał, że ja

pierwszy raz, a ja lodziki robię, od kiedy skończyłem dwanaście lat. Ale fakt, dupę wciąż mam ciasną. Pewnie dlatego mnie wzięli. Bo facet chciał dziewicę. No... A potem dał mi wódki, koki, przeleciał i zapłacił trzy razy więcej niż zwykle. Obiecał, że jeszcze się spotkamy, bo mu się spodobałem, ale już nie pojechałem więcej. On chyba po prostu gustuje w takich co pierwszy raz.

– No dobra. Ale kim był ten chłopak?

– Nie wiem. Przynosił Wieškowi pieniądze, mówił, czego potrzeba i na kiedy, a ten to załatwiał. A jak miał jakieś pytanie, to koleś sam ani be, ani me, tylko zaraz za telefon i dzwoni, i się dopytuje. Taki posłaniec jakby. Tyle o nim wiem.

– Niewiele.

– Nie żebyś mnie zachęcała do mówienia – powiedział ponuro.

– Uważaj, bo ciągle mogę pójść do Wieška.

– Dobra. Raz podsłuchałem, jak przez telefon mówił do swojego szefa: „Tak, panie Łazarowicz”.

Nie znała tego nazwiska. Nic jej nie mówiło. Nie natrafiła ani na takie, ani na podobne podczas swoich poszukiwań.

– Łazarowicz? Kto to taki?

– Nie wiem – odpowiedział Jaś obrażonym tonem i wrócił do dziubania w talerzu. – Ty jesteś policjantką. Dowiedz się.

W jaki sposób Mortka to wytrzymawał? Mieszkał ze studentami kilka miesięcy i przeżył, a Kochan miał dość po jednym dniu. Dał im pieniądze, poszedł do swojego pokoju i walnął się na łóżko. Chciał się trochę przespać, ale wtedy Justyn zaczął grać u siebie na basie. Po całym mieszkaniu niesło się monotonne, nudne łupanie. Wkrótce sprawy zaczęły wyglądać jeszcze gorzej, bo do Justyna dołączył ktoś na bębenkach, a jakaś dziewczyna zaczęła śpiewać.

Nie potrafiła tego robić.

Wyszedł z pokoju. Zamiast Szlomy, Justyna i Długiego w mieszkaniu zobaczył dwie dziewczyny, które rozmawiały w przedpokoju.

– Cześć – rzuciły na jego widok.

– No cześć.

– Ty jesteś tym nowym starym? – zapytała niska blondynka.

– Chyba tak.

– Fajnie.

Z kuchni wyszedł Długi z trzema butelkami piwa. Dwie podał dziewczynom, a kiedy go zauważył, spojrział na ostatnią, którą ewidentnie przyniósł dla siebie. Po krótkim wahaniu podsunął ją policjantowi.

– Trzymaj.

Kochan wziął piwo.

– I jak tam? – zapytał Długi po chwili milczenia.

– Co tu się dzieje? – odpowiedział pytaniem Kochan.

– Nie wiem. Do Justyna przyszedł koleżka, żeby razem pograć. Wpadły też Jola i Marta. Poznaliście się już, prawda?

– Prawda – odparł, bo dziewczyny już wyciągały dłonie do przywitania i chciały się przedstawiać. Teraz zastygły w pół ruchu i spojrzały po sobie zmieszane.

– Kupiliśmy kilka browarków i chyba wychodzi nam z tego jakiś melanżyk. Spoko. Tak się u nas czasami zdarza, nie?

Kochan pomyślał, że mógł wybrać dowolny numer z tej tablicy. Było ich zatrzęsienie. Na pewno znalazłby tam ogłoszenia od spokojnych kujonów albo od starszych pań, które dorabiały do emerytury, podnajmując wolne pokoje. Miałyby ciszę, spokój i może jakieś ciasto na kolację. Ale trafił na ten, a potem jeszcze głupio się uparł, żeby właśnie tutaj zamieszkać. Podziękował za piwo i wrócił do siebie. Butelkę odstawił na parapet, nie upijając nawet jednego łyka, i walnął się na łóżko.

Po dziesięciu minutach zaczął boleć go brzuch. Z nerwów. Spróbował się zdrzemnąć, ale bas mu nie pozwalał. I śmiechy z pozostałych pokoi.

Jaki powinien być jego kolejny krok? Na razie był bezpieczny. Nikt nie wiedział, gdzie jest. Nie zostawił za sobą żadnego śladu, nie wytropią go. Ale na tym kończyły się dobre wiadomości. Każde wyjście z domu to ryzyko spotkania patrolu i wpadki. Na pewno każdy policjant w Warszawie i okolicy dostał jego zdjęcie wraz z ostrzeżeniem, że jest szczególnie niebezpieczny. Jak sobie radzą w takiej sytuacji poszukiwani przestępcy? Doszedł do wniosku, że im było łatwiej. Po pierwsze, mogli liczyć na wsparcie kumpli i bliskich. Po drugie, ci co bardziej łebscy i znaczący przygotowali się na taki scenariusz. Mieli tajne konta bankowe, zarejestrowane na inne osoby samochody, plany ucieczki, lokale, w których mogli się ukryć. On nie miał nic. Tylko parę stówek w portfelu i policyjną odznakę, a tej lepiej było nikomu nie pokazywać.

Coś trzasnęło głośno w kuchni. Dziewczyna krzyknęła, ktoś zaklął. Kochan wyszedł ze swojego pokoju, żeby zobaczyć, co się stało. Zerwała się jedna z szafek i zwisła teraz, zaczepiona tylko na jednej śrubie. Otwarte drzwiczki dyndały, a cała jej zawartość – garnki i zastawa – leżała teraz na ziemi. Podłogę pokrywały ostre odłamki szkła z rozbitych talerzy i szklanek. Czarnowłosa dziewczyna, którą widział po raz pierwszy, siedziała w kącie na taborecie. Trzymała się za zakrwawioną dłoń i chichotała. Szłoma klęczał obok niej, próbując zatamować krwawienie kuchenną szmatą.

– Jeśli jest brudna, to zafundujesz jej zakażenie – powiedział Kochan.

Szłoma cofnął szmatkę. Policjant przeszedł przez potłuczone szkło, uważając, żeby na nic nie nadepnąć. Chwytał dziewczynę za przegub i przyjrzał się jej ręce.

– Do szycia – stwierdził po chwili. – Jedźcie do szpitala.

Jego wzrok padł na kuchenny blat. Obok na wpół opróżnionej szklanki ktoś usypał dwie równe linie z białego proszku. Nie był pewien, czy to amfetamina czy kokaina. Ale miał nadzieję, że tylko jej używają, a nie handlują. Nie chciał wpaść głupio przy okazji jakiejś antynarkotykowej łapanki.

Zastanawiał się, czy tak wygląda każdy wieczór w tym mieszkaniu. Jeśli tak, to jego ostatnie dni na wolności będą koszmarne. Wieczorami wypełnione napierdalaniem na basie i bębenkach, a o porankach snującymi się skacowanymi facetami.

Dlaczego mi to w ogóle przeszkadza? – pomyślał. Powinien dołączyć do zabawy. Spróbować zaciągnąć do łóżka jakąś dziewczynę. Podobno studentki były teraz łatwe. Przynajmniej te na łatwe wyglądały.

Evelina nie żyła.

Zastrzelona.

Martwa.

Nie. Nie miał dzisiaj siły na picie. Ani na wesoło, ani na smutno. Chciał tylko położyć się spać, odpocząć. Ale musiał coś zrobić, a pomyśl miał tylko jeden.

Wrócił do siebie. Wyciągnął z torby jedną z kart SIM, które kupił wcześniej. Wsadził ją do telefonu, wybrał numer i czekał.

– Kto tam? – usłyszał głos Mortki.

Mógł jeszcze się rozłączyć. Wyjąć kartę. Przeciąć i wyrzucić.

– Kochan – powiedział.

Liczył sekundy. Jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta.

– Gdzie jesteś?

– Nieważne.

– W Warszawie?

– Nie pytaj.

– Dlaczego uciekłeś?

– Przecież wiesz. Ale – przejechał językiem po zupełnie suchych wargach – to nie ja zrobiłem, Kuba. To nie ja je zabiłem.

Znowu odliczanie. Tym razem do siedmiu.

– Wiem.

– Skąd?

– Ty nie zabrałbyś jej pierścionka.

O jakim pierścionku mówił? Kochan nie miał pojęcia, ale postanowił teraz w to nie wnikać. Miał inne pytanie, dużo ważniejsze.

– Pomożesz mi?

Tym razem odpowiedź była błyskawiczna.

– Tak.

Mortka wstał o nieprzyzwoicie wczesnej porze. Udało mu się jej nie obudzić. Zostawił tylko karteczkę z podziękowaniem za wieczór i kolację. Zastanawiał się nad kawą, ale nie odważył się jej zrobić. Ekspres bardzo głośno pracował. Jeśli Olga się obudzi, będzie chciała z nim zjeść śniadanie, a on nie mógł się spóźnić. Nie chciał jej okłamywać na temat tego, dlaczego wychodzi przed szóstą. Poza tym jeszcze by zmienił zdanie. Ubrał się szybko i umył zęby.

Wsiadł do samochodu i od razu włączył ogrzewanie i radio, ale ściszył je na tyle, że właściwie ledwo co słyszał. Jechał przez Warszawę, skupiając się na prowadzeniu samochodu i robiąc wszystko, by jak najmniej myśleć. Ruch był niewielki. Korki zaczęły się za około godzinę.

Kierował się na północ. Wjechał na Wisłostradę na wysokości stadionu Legii. Minął tunel, świeżo otwarte Centrum Nauki Kopernik, budowany po drugiej stronie rzeki Stadion Narodowy, a także Stare i Nowe Miasto. Wreszcie dotarł do parku Młocińskiego. Skręcił za McDonalodem w ulicę Papirusów i przejechał kilkaset metrów. Zmarznięta ziemia chrzęściła pod kołami samochodu. W końcu trafił na parking przy polance dla turystów. Tam się zatrzymał. I czekał.

Kochana zobaczył najpierw w bocznym lusterku. Policjant wyłonił się zza kępy krzaków. Podbiegł do toyoty Mortki i wskoczył do środka. Od razu zapadł się w fotelu i zaczął rozcierać zziębnięte ręce.

– Masz kawę? – zapytał po chwili. – Albo coś ciepłego?

– Nie.

– Miałem nadzieję, że przywieziesz.

– Niby dlaczego miałbym?

– Mogłeś pomyśleć. Zresztą... Niedaleko jest Mac. Możemy skoczyć.

– Lepiej nie pokazujmy się razem.

– Racja – zgodził się Kochan.

Siedzieli, obserwując delikatną mgłę, która unosiła się nad polaną. Niby nadszedł grudzień, ale oczywiście śniegu nie było.

– Swoją drogą, dwóch facetów. Nad ranem. W samochodzie. Na leśnym parkingu – zaczął Mortka. – Trudno znaleźć bardziej podejrzane miejsce, nie?

– Mogłeś zaproponować coś innego. Zresztą nie narzekaj. Ty się tutaj przywiozłeś jak lord, ja zapierdalałem pieszo i komunikacją miejską.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– Sorry, Kuba, ale ci nie powiem. Jeszcze nie.

– Jak chcesz.

Mortka zabębnił kilka razy głośno o kierownicę. Z daleka, po drugiej stronie polany zobaczył samotną sylwetkę człowieka z psem. Ktoś przeciął polanę w znacznej odległości od nich i zniknął w gęstwinie lasu.

– Opowiesz mi, co się wydarzyło?

Podkomisarz poprawił się na fotelu.

– Miałem cię zapytać o to samo. Pewnie w tym momencie wiesz więcej ode mnie.

– Nie sędzę, ale spróbujmy. Evelina Wilkiewicz i jej matka nie żyją. Obie zastrzelono z policyjnej broni. Twojej broni. Którą znaleziono na miejscu zdarzenia. Ty znikasz. Nie odbierasz telefonu. I to tyle. Teraz ty.

– To wiemy tyle samo.

– Nieprawda. Ty wiesz więcej. Na przykład skąd wzięła się tam twoja broń.

– Nie mam pojęcia.

– Trzymałeś ją w domu czy w komendzie?

– W domu.

– Kasa pancerna?

– Nawet takiej nie mam. Trzymam w zamkniętej na klucz szufladzie – odpowiedział Kochan.

– Kiedy zauważyłeś, że zniknęła?

– No właśnie, kurwa, nie zauważyłem. Jakbym zauważył, to od razu bym to zgłosił!

– Kiedy zauważyłeś, że zniknęła?

Kochan stęknął, jakby właśnie ktoś go uderzył w brzuch.

– Dwa dni temu.

– Czemu tego nie zgłosiłeś?

– Bo wiedziałem, że przyniosłem ją do domu. Nie było jej tam, gdzie zawsze. Trochę wypilem wtedy. Mogłem gdzie indziej ciepnąć. Pomyślałem, że jej na razie nie potrzebuję i poszukam jej później.

– Szukałeś?

– Nie miałem czasu.

– Ślady włamania?

– Kurwa, Kuba, ale za debila mnie nie bierz. Jakbym widział ślady włamania i do tego zapodział gdzieś klamę, to naprawdę bym to zgłosił. Okej?

– Okej. Kolejne pytanie.

– Dajesz.

– Skąd wiedziałeś, że po ciebie przyjadą?

– Kto?

– Nasi. Byli u ciebie nad ranem. Zniknąłeś z mieszkania. Spakowałeś rzeczy. Skąd wiedziałeś, że przyjadą?

Kochan ściągnął czapkę. Mężczyzna z psem, prawdopodobnie ten sam, który przechodził już przez polanę, teraz wyłonił się z drugiej strony. Przeszedł niedaleko ich samochodu. Przy nodze dreptał mu wesoło kudłaty wilczur. Czekali w milczeniu, aż odejdzie, jakby obawiali się, że może ich podsłuchać.

- I?
- Ktoś mnie ostrzegł – powiedział Kochan.
- Kto?
- Nie uwierzysz.
- Spróbuj.
- Borzestowski.

Mortka zacisnął palce na kierownicy, jakby próbował ją zmiażdżyć.

- Po co miałby to robić?
- Człowieku, nie wiem. Nie pytałem go o to.
- A skąd on wiedział?
- To samo! Zrozum. Środek nocy, budzi mnie telefon, odbieram. Okazuje

się, że po drugiej stronie jest nasz wielki B. i mówi, że Evelina i jej matka nie żyją, a na miejscu jest moja broń. I żebym spierdalał, bo już po mnie jadą.

- Dlaczego go posłuchałeś?
- Zadzwoiłem do Eveliny. Nie odbierała... Ktoś mnie wrabia, Kuba. Ktoś chce, żebym poszedł siedzieć.
- Dlaczego?

Kochan westchnął.

– Potrafię wymyślić tylko jeden powód. Trójka z Neptuna. Kiedy znalazłem ich ciała, ruszyłem sprawę, która powinna być zakopana. Tak samo jak oni. Ktoś się przestraszył. Zagroziłem komuś. Stałem się celem.

– A Evelina?

– To córka Wilka. Zresztą ona w tym grzebała pierwsza. Latami próbowała dowiedzieć się czegoś o losie swojego ojca. Wynajmowali prywatnych detektywów, pracowali z adwokatami, opłacali ogłoszenia. Zebrała mnóstwo większych lub mniejszych tropów. Podobno wszystko na bieżąco dostarczała nam.

– Ale nie znalazłeś tych dokumentów w aktach sprawy? – domyślił się Mortka.

– Dokładnie. Zniknęły. Nie wiadomo kiedy i nie wiadomo gdzie.

– Szlag. Kto się tym zajmował?

– Mam ci wyrecytować całą listę? Ta sprawa była przerzucana z rąk do rąk, jak gorący kartofel. Ale tak zupełnie szczerze to wiesz, co myślę?

– Co?

– Że nikt tego nie robił. Wykonano mnóstwo ruchów pozorowanych i to wszystko. Wiesz dlaczego?

– Bo nikogo nie obchodził los trzech miastowych.

– Dokładnie. Nasi koledzy i koleżanki uznali, że ktokolwiek ich zabił, wyświadczył temu miastu przysługę. I kto wie, może mieli rację.

– Ale kiedy znalazłeś ciała...

– Zbliżyłem się do odkrycia prawdy. Trzeba mnie było usunąć. Mnie

i Evelinę. Ją zastrzelono, mnie wrabia się w zabójstwo. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Mortka puścił kierownicę. Na polanie pojawiły się kolejne dwie osoby. Uznał, że powinni się stąd zmywać. Jeszcze trochę i zleci się tutaj tłum psiarzy, a wtedy naprawdę zwróca na siebie czyjąś uwagę.

– Czyli żeby dowiedzieć się, kto cię wrabia... – zaczął.

– Musimy odkryć, kto zabił Trójkę z Neptuna – dokończył Kochan.

Łazarowicz patrzył na stojącego przed nim chłopaka i zaczął się obawiać, że jednak popełnił błąd. Marek z wczoraj i Marek z dzisiaj to dwie różne osoby, choć wyglądali identycznie. Chłopak przyszedł nawet w tej samej marynarce i tych samych jeansowych spodniach. Jednak o ile poprzedniego dnia był odważny i zadziorny, teraz wyglądał na przejętego, przestraszonego i niepewnego własnych ruchów. Z kogoś z potencjałem przemienił się w kogoś, na kogo Łazarowicz nawet nie zwróciłby uwagi. Bolała go ta pomyłka. Podstawę jego pracy stanowiła umiejętność czytania z ludzi, szybkiego ich poznawania, wyszukiwania tego, co ich kręci, i tego, co ich boli, mówienia do nich ich własnym językiem. Jeśli utracił tę umiejętność, jego czas w branży właśnie się kończył.

– Co studiujesz? – zapytał.

– Informatykę. Studiowałem. Pewnie mnie skreślą po tym semestrze.

– To tłumaczy twój niechlujny wygląd – stwierdził lobbysta. – Wiesz, mam problem z informatykami. Wydaje się wam, że jesteście wyjątkowi, bo potraficie napisać parę linijek kodu i w związku z tym możecie wszystko. To prawda, macie teraz swój czas. Ale to nie będzie trwać wiecznie.

– Ja tak nie uważam – powiedział chłopak ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– To czemu przyszedłeś do pracy ubrany jak na wiejską potańcówkę? Jeszcze rozumiem wczoraj. Może to impuls. Przyszedłeś tu z ulicy. Ale dzisiaj? W twój pierwszy dzień? To głupota czy brak szacunku?

– Ani to, ani to.

Idiotyczna odpowiedź. Bo trzeciej drogi nie było. Na miejscu chłopaka zdecydowałby się na „głupotę”. Lepiej być debilem niż świadomie obrażać pracodawcę. Ale ciekawiło go, co wymyśli.

– To dlaczego przyszedłeś dzisiaj tak ubrany?

Marek podniósł głowę. Miał zaciśnięte usta, jakby coś w nim się gotowało, ale zaraz znowu wbił wzrok w podłogę.

– Myślałem, że jest okej – odparł.

– Czy sranie ludziom do talerza jest okej?

– Nie, proszę pana.

– Wyobraź sobie, że nasza firma to restauracja. Nasze usługi to dania, które podajemy. Pyszne, smakowite, wykonane z najlepszych składników przez najwybitniejszych kucharzy. Ty nie pasujesz do obrazka. Jesteś jak stolec

pływający w talerzu pełnym kremu ze szparagów.

Czekał, aż chłopak się złamie. Powie „przepraszam” albo zacnie gorączkowo się tłumaczyć. On jednak milczał zawzięcie, co wskazywało, że może faktycznie jest w nim jakaś resztką charakteru. Łazarowicz potrzebował asystenta, ale musiał to być ktoś odporny, zdolny do samodzielnego myślenia, silny i równocześnie lojalny. Na ostatnim mocno się zawiódł.

– Przychodzą do mnie ludzie z problemami, którzy oczekują ode mnie pomocy. Ci ludzie są gotowi dobrze mi zapłacić, a ja muszę ich przekonać, że jestem poważną osobą. Człowiekiem odpowiedzialnym i wpływowym. Każdy mój ruch, każdy kawałek mojego ubrania, każdy szczegół w wystroju biura służy właśnie temu celowi. Nic nie jest tutaj pozostawione przypadkowi. I teraz powiedz mi, jak nasi klienci się poczują, kiedy zobaczą tutaj takiego małego, gównianego obszarpańca w marynarce ukradzionej tacie? Co pomyślą o mnie?

Marek przełknął ślinę.

– Co powinienem zrobić, proszę pana? – zapytał.

Łazarowicz spojrzał na niego z uznaniem. Dobre pytanie. Najlepsze, jakie mógł zadać.

– Przebierz się w garnitur. Ale nie ten, który rodzice kupili ci na maturę.

– Nie mam innego.

– To sobie kup. Tylko nic wykwintnego, nic szytego na miarę. Nasi klienci mogą być niezadowoleni, kiedy powita ich gnojek ubrany lepiej niż oni. Ma być z gustem. Ma być szykownie. Ma być bez ostentacji. Coś lepszego z Bytomia może być, koło tysiąca złotych.

– Nie mam takich pieniędzy.

– Kurwa mać! – Łazarowicz zaklął i wznosił ręce w górę. – Naprawdę muszę rozwiązywać za ciebie wszystkie problemy?! Nie masz, to idź do banku, weź kredyt albo zadzwoń do Providenta. Gówno mnie obchodzi, skąd weźmiesz pieniądze, ale nie przychodź tutaj bez garnituru.

– Znęcasz się nad kolejnym młodzikem? – odezwał się ktoś od drzwi.

Łazarowicz odwrócił się. W progu stał dobrze zbudowany, starszy mężczyzna. W niezłej marynarce, pod którą włożył bordowy golf. Za nim Iwona bezradnie rozkładała ręce, dając do zrozumienia, że próbowała go powstrzymać, ale jej się nie udało. Biznesmen pomyślał, że zamiast asystenta powinien znaleźć sobie odzwiernego.

– Pan Borzestowski! Miło mi widzieć, zapraszam – powiedział, robiąc dobrą minę do złej gry. Nachylił się ku Markowi: – A ty spadaj i załatw sobie ten garniak. I nie zapomnij o porządnym butach.

Chłopak wyszedł z gabinetu i Iwona zamknęła za nim drzwi. Lobbyista został sam na sam z gangsterem.

– Napijesz się czegoś? Kawa, herbata, woda? Mam też porządną whisky,

jeśli reflektujesz.

– Obejdzie się.

Borzestowski zaczął przechadzać się po gabinecie. Podeszedł do okien, wyjrzał na ulicę Wiejską. Potem przyjrzał się grafikom wiszącym na ścianie.

– Ładne. Co to?

– Zofia Stankiewicz.

– To Warszawa?

– Tak, przedwojenna.

– Podoba mi się twoje biuro.

– Mi również. Dobrze się tutaj pracuje.

– Aż dziwne, że jestem tu pierwszy raz. Dlaczego wcześniej mnie do siebie nie zaprosiłeś?

Obaj doskonale znali odpowiedź na to pytanie. Łazarowicz wolał, żeby nikt nigdy nie kojarzył go z Borzestowskim. Dlatego jeśli się spotykali, to tylko publicznie, gdzie dało się to wytłumaczyć przypadkiem, a kontaktowali wyłącznie za pomocą telefonów z kartami prepaid i anonimowych skrzynek mejlowych. Gangster, zadając to pytanie, prawdopodobnie chciał się z nim podroczyć. Biznesmen jednak też potrafił grać w tę grę.

– Jak to nie? Przecież już mnie odwiedzałeś – skłamał. – Jakieś... poczekaj... Półtora roku temu? Niedawno się tutaj przeprowadziliśmy z Żoliborza.

– Nie. To nie byłem ja.

– Nie? – udał zdziwionego. – To faktycznie niedopatrzenie.

W znaczący sposób spojrział na zegarek, Omegę za ponad dwadzieścia tysięcy. Stalowa koperta, czarna tarcza i pasek, szafirowe, odporne na zarysowanie szkło. Łazarowicz od małego cenił ładne drobiazgi. To było zapisane w jego DNA i wynikało z wojennych przeżyć rodziny. Inwestować należało tylko w takie dobra, które dało się albo łatwo spieniężyć, albo zapakować do tobołka. Żadnych wielkich antyków, żadnych nieruchomości. Zamiast nich biżuteria, złoto, zegarki.

– Jestem dość zajęty, więc gdybyś mógł...

– Czym zajęty? Opierdaleniem tego młodego? – przerwał mu Borzestowski.

– A właśnie. Dobrze, że mi o nim przypomniałeś – powiedział Łazarowicz, pstrykając palcami. – Wiesz, kto to jest?

– Chłopak z domu dziecka? A ty postanowiłeś wyciągnąć go z biedy?

– Nie. Jeden z tych studentów, których odwiedzili twoi ludzie jakiś czas temu.

Gangster zerknął w stronę zamkniętych drzwi i podrapał się po brodzie.

– Co on tu robi?

– Okazuje się, że chce dla mnie pracować. Najwyraźniej zaimponowałem mu, doprowadzając do śmierci jego kumpla. Ale jeśli już przy tym jesteśmy, co z resztą tych gnojków?

– Aleks, chłopak tej dziewczyny, przez którą wybiło szambo, nic nie wie. Drugiemu chłopczkowi wybuchł pistolet tuż przy głowie. Ma poważne problemy z pamięcią i amnezję pourazową. Trzeci jest u ciebie, co mnie dziwi. Policji nic nie powiedział, a kiedy go zwolnili, popędził w podskokach do swojej miejsciny. Nie wiedziałem, że wrócił.

– Ciekawe, co jeszcze ci umknęło.

Zabrzmiało to jak nagana, a Borzestowski ją przyjął. Łazarowicz bardzo go cenił, w pewien sposób nawet podziwiał. Z tymi zdolnościami, charakterem i umysłem, gdyby tylko urodził się gdzie indziej, w lepszej rodzinie, mógłby zajść naprawdę daleko. Jasne, bywał bezwzględny i miał w sobie coś z psychopaty, podobnie jak większość menadżerów wysokiego szczebla, których Łazarowicz spotkał w swoim życiu. Lobbyista trochę się go również obawiał i wcale tego przed sobą nie ukrywał. To była zdrowa, odpowiedzialna reakcja. Kiedy bierzesz do ręki grzechotnika, to choćbyś robił to po raz setny, powinienes się odrobinę bać. Jeśli jesteś zbyt pewny siebie, skurwiel na pewno cię ukąsi.

– Po co przyszedłeś? – zapytał.

– Chcę coś załatwić.

– Co takiego?

– W więzieniu siedzi jeden z moich ludzi. Mieszko Ziemowit Ziemiański. Chcę, żeby wyszedł.

– To jeden z tych, którzy odwiedzili mojego nowego asystenta? – zapytał Łazarowicz.

– Tak.

– To gruba sprawa.

– Załatw jego zwolnienie.

– Nie wiem, czy to w ogóle możliwe.

– Przez okres naszej znajomości wyświadczyłem ci wiele przysług – powiedział Borzestowski. – Nigdy nie prosiłem o nic w zamian. Ale wiesz, jak to jest między przyjaciółmi: przychodzi czas, kiedy trzeba się odwdzińczyć.

Nie musiał mówić nic więcej. Obaj byli profesjonalistami i obaj wiedzieli, co kryje się za tymi okrągłymi słowami. Borzestowski wiele wiedział o Łazarowiczu. O jego przyjaciółach, o tym, co robili na imprezach, o narkotykach, dziewczynach, chłopakach. I o tym, jak zamykali usta tym, którzy chcieli za dużo gadać – czasem pieniędzmi, czasem groźbą lub pięściami – i o załatwianych przy okazji interesach. I teraz sugerował, że jest gotów wykorzystać tę wiedzę. Chryste, już to, że pojawił się nieproszony u niego w biurze, stanowiło pewnego rodzaju ostrzeżenie.

– Zajmę się tym – powiedział lobbyista. – Ale ty też możesz coś dla mnie zrobić.

– Mówisz.

– Pewna policjantka za bardzo interesuje się pewnymi sprawami. Wolałbym,

żeby tego nie robiła. Wybij jej to z głowy. Nie musisz jej nic mówić. Jeśli jest bystra, sama zrozumie. Niech to będzie pobicie przez anonimowych sprawców, takie, by wyłączyło ją na kilka tygodni.

– Taka akcja przeciwko komuś z psiarni to bardzo gruba sprawa.

– Podobnie jak wyciągnięcie twojego człowieka z aresztu – odparował Łazarowicz.

Borzestowski spojrział na niego tak, że przeszły mu po plecach ciarki. Łazarowicz zastanowił się, czy nie przeholował. Rozgryzał już takich ludzi, w końcu spotykał ich na co dzień. Wydawało mu się, że wie, jak z nimi postępować – z szacunkiem, ale prezentując nieustannie własną siłę. Bo kiedy tylko na chwilę opuszczał gardę, kiedy dostrzegali moment słabości, rzucali się do ataku, gotowi zrobić wszystko, by wykorzystać okazję. Tylko że Borzestowski nie był taki jak oni, nie pochodził z dobrego domu, nie odebrał starannego wychowania ani wykształcenia i nikt nie wbił mu do głowy wzorców zachowania inteligencji i klasy średniej. W związku z tym mógł posunąć się do czynów, które Łazarowiczowi nie przyszłyby nawet do głowy. To grzechotnik – przypomniał sobie. Węża nigdy nie da się zrozumieć. Nigdy nie da się przewidzieć, co zrobi.

– Podaj mi nazwisko tej policjantki – powiedział Borzestowski. – I lepiej zacznij już dzwonić w sprawie mojego człowieka.

Blondyn pokiwał głową. I zastanawiał się, kto ma w tej sytuacji większe kłopoty – on czy aspirantka Suchocka.

To był dzień pełen niespodzianek, uznała Sucha. Opłacało się wystawać na grudniowym chłdzie, narażać na podmuchy wiatru i wszechobecną wilgoć, której miała już serdecznie dość. Tęskniła za śniegiem.

Wrzuciła nazwisko Łazarowicza do wyszukiwarki, kiedy tylko wróciła do domu. Od razu wyskoczył ciąg wyników i zdjęć. Pełne trafienie. Człowiek na fotografiach okazał się blondynem z filmu Zuzanny. Na imię miał Michał. Gorzej, że nie dowiedziała się o nim wiele więcej. Znalazła nazwę jego firmy konsultingowej i PR-owej – White Rock Consulting & PR. Na ich stronie znalazła dość mętne tłumaczenie tej nazwy, odwołujące się do biblijnej skały, czyli w tym przypadku fundamentu, i wysokich standardów, które przyjęli w swojej pracy. Odżegnywali się od nieetycznych działań z zakresu „czarnego PR-u”, co z kolei miało jakoś odnosić się do słowa *white* w nazwie. Dla Suchockiej brzmiało to dość fałszywie. Policyjny nos mówił jej, że im bardziej od czego się odżegnujesz, tym bardziej jesteś w to zamieszany. Znalazła także informacje o kilku pracownikach. Wszyscy nieskazitelnie profesjonalni, oddani swojej pracy i dbający o klienta. Poza tym o Łazarowiczu nie dowiedziała się wiele. Pojawiał się na kilku imprezach towarzyskich, ale raczej trzymał się w cieniu. Nie do końca było wiadomo, z kim się przyjaźnił ani skąd się wziął. Poza nim znalazła jeszcze jednego Łazarowicza, opozycjonistę z czasów PRL, internowanego w stanie wojennym. Po roku 1989

działał krótko w Konfederacji Polski Niepodległej, ale szybko wycofał się z polityki i zajął organizacją charytatywną pracującą z trudną młodzieżą i prowadzącą świetlice edukacyjne oraz programy wsparcia. Ze zdęcia patrzył na nią biednie ubrany starszy pan z twarzą kogoś doświadczonego przez życie i całkowicie poświęconego własnej misji. Sucha zastanawiała się, czy są spokrewnieni. Widziała pewne podobieństwo pomiędzy tą dwójką, obaj pracowali w Warszawie, ale nie mogła mieć pewności. Jeśli chciała uzupełnić swoją wiedzę, musiała to zrobić metodami operacyjnymi.

Dlatego cały poranek spędziła na Wiejskiej, obserwując kamienicę, w której mieściło się White Rock. W pobliskim sklepie monopolowym Zagłoba kupiła sobie kilka batoników i podjadała je w regularnych odstępach. Kiedy chciała się ogrzać, wchodziła tam na moment. Obsługa już krzywo na nią patrzyła. Większość czasu spędzała jednak na dworze.

Koło dziewiątej do biura zaczęli schodzić się pracownicy. Wśród nich, ku jej zdziwieniu, pojawił się Marek – student zamieszany w sprawę Zuzanny Łatkowskiej. To on jako pierwszy po śmierci dziewczyny odkrył zebrane przez nią materiały. Podejrzewali, że próbował nimi kogoś szantażować, chociaż nie mogli tego w żaden sposób udowodnić. W rezultacie do zajmowanego przez niego mieszkania wpakowało się trzech uzbrojonych bandziorów. Jeden ze współlokatorów Marka zginął, drugi został dość poważnie ranny. Chłopak złożył obszerne i kłamliwe wyjaśnienia, do których niestety nie potrafili się w żaden sposób przyczepić. Potem wyjechał do rodzinnego domu, do Ostrołęki. Teraz wrócił do Warszawy. I pracował dla Łazarowicza. Spora niespodzianka.

Piętnaście minut później od strony Sejmu pojawił się sam Łazarowicz. Specjalnie przeszła na jego stronę ulicy. Nie znał jej, a więc nie mógł rozpoznać. Wyciągnęła telefon komórkowy i udając, że rozmawia, szła w jego kierunku. Zastanawiała się, co będzie czuć, kiedy wreszcie stanie naprzeciwko kogoś, kogo tak długo szukała.

Niespodzianki nie było, pojawił się gniew. Nie taki zwykły, powszedni, ale potężna fala wypływająca z głębi jej ciała, rodząca się ze wstydu, który tkwił w niej latami. Tamtym się upiekło. Temu nie pozwoli uciec. Ale jeszcze nie teraz. Teraz chciała mu się tylko przyjrzeć. Tylko przejść obok niego. Poczuć, że gdyby chciała, mogłaby wbić mu nóż prosto w brzuch, rozciąć żołądek i jelita i pociągnąć ostrze w górę, prosto aż do mostka.

Minął ją, nawet jej nie zauważając.

Zastanawiała się, czy nie porzucić posterunku, ale postanowiła jeszcze chwilę odczekać. Co prawda od dawna powinna być w komendzie. Na jej biurku leżało kilka rozgrzebanych spraw, ale żadna z nich nie była tak ekscytująca ani tak ważna jak to, czym zajmowała się na własną rękę. Zdecydowała, że jednak zostanie. Liczyła na to, że wydarzy się tutaj jeszcze coś ciekawego. I nie zawiodła

się.

Dokładnie dziesięć minut przed dziesiątą na ulicy stało czarne porsche cayenne. Wstrzymała oddech. Wiedziała, kto jeździ takim samochodem, ale nie wierzyła, że będzie mieć aż takie szczęście.

Miała.

Z wozu wysiadł Borzestowski, gangster, na którego od lat bezskutecznie polowała warszawska policja. Facet trzął tym miastem. Czasami wystarczyło tylko wspomnieć jego nazwisko, żeby największym chojrakom zmięły kolana.

Borzestowski udzielił kilku instrukcji kierowcy i po chwili trzask zamykanych drzwi odbił się głośnym echem od ścian okolicznych budynków. Gdy porsche odjechało, Sucha wyciągnęła komórkę. Zrobiła przestępcy fotkę, kiedy ten wchodził do White Rock Consulting. Zdjęcie wyszło dość niewyraźnie. Odległość była zbyt duża i aparat nie zdążył chwycić ostrości. Dla sądu prawdopodobnie się nie nada, jednak ktoś, kto zna gangstera, powinien go rozpoznać. Miała więc dowód nie tylko na to, że facet się tu pojawił, ale i na wyraźne związki pomiędzy Borzestowskim i Łazarowiczem. Nie była jeszcze pewna, co z tego wynika, ale wiedziała, że natrafiła na coś dużego.

Odwróciła się i zobaczyła w odbiciu szyby wystawowej swoje oblicze. Na policzki wypłynęły jej rumieńce. I to nie tylko za sprawą chłodu.

– Cholera – powiedziała do siebie podekscytowana.

Powinna już wracać do komendy. Powinna zająć się swoją pracą. Ale po tym, co zobaczyła, nie zamierzała się ruszać ze swojego posterunku. Najpierw jednak postanowiła pójść do pobliskiej, właśnie otwieranej księgarni. Kupi sobie książkę. Wyglądało na to, że spędzi tutaj kilka godzin, więc potrzebowała jakiejś rozrywki.

Mortka wszedł do swojego pokoju w komendzie. Suchej nie było. To dobrze. Ułatwiało całą sprawę. Wolał dzisiaj unikać i jej, i jej natarczywych pytań na temat plecaka, który przyniósł ze sobą. Sprawdził, czy nie pojawiły się żadne nowe wiadomości, ale szczęśliwie nikt niczego od niego nie chciał.

Potał czoło. Jeszcze mógł się ze wszystkiego wycofać, udawać, że niczego nie wie, niczego nie widział, z nikim się nie spotkał. Zgłosiłby tylko Andrzejewskiemu wątpliwości dotyczące pierścionka i na tym jego udział w tej sprawie by się skończył.

I tak tego nie robi. Ci, co wrabiali Kochana, zabili już dwie niewinne kobiety. Jak daleko posuną się, żeby zapewnić sobie milczenie podkomisarza? Sprawa śmierdziała Borzestowskim na kilometr. Być może pomoc podkomisarzowi okaże się szansą na to, by podejść gangstera od drugiej strony.

Wyjrzał na korytarz. Drzwi od gabinetu Andrzejewskiego były zamknięte. Albo jeszcze się nie pojawił, albo siedział na jakiejś naradzie, albo zajmował się własnymi sprawami. Przeszedł do pokoju Kochana i nacisnął klamkę. Otwarte. Wślizgnął się do środka. Plecak rzucił pod ścianę.

Podkomisarzowi po powrocie do pracy przydzielono najmniejszy z możliwych pokoi. Ledwo zmieściło się tam biurko oraz komputer, który podczas pracy buczał jak czołg. To oraz zarzucenie go nierozwiązanymi sprawami stanowiło element kary. Miał się zakopać w starych papierach, a nie rozwiązywać je jedna za drugą, aż trafił wreszcie na Trójkę z Neptuna.

Mortka przyszedł tutaj po wszystkie dokumenty i materiały dotyczące zabitych gangsterów, ale teraz, kiedy patrzył na chaotycznie ułożone stosy papierów, nie wiedział nawet, gdzie powinien zacząć szukać. Kochan nie uprzedził go, że panuje tu taki bałagan.

Wziął pierwszą z brzegu teczkę, rozwiązał tasiemkę i sprawdził zawartość. Dotyczyła zabójstwa młodego mężczyzny na Ursynowie przed dziewięciu laty. Zwłoki znaleziono w sobotę nad ranem w pobliżu jednego z przystanków autobusowych. Chłopak mieszkał niedaleko. Poprzedni wieczór spędził w jednym z klubów w centrum. Prawdopodobnie właśnie stamtąd wracał, kiedy tuż koło domu spotkał kogoś, kto go obrabował. Zaczęła się szarpanina. W ruch poszedł nóż. Dwa pchnięcia, śmierć na miejscu. Sprawcy nigdy nie znaleziono. Mortka podejrzewał, że to całkowicie przypadkowy napad. Zabójca może nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił.

Kolejna teczka. Gwałt z zabójstwem sprzed sześciu lat. Prostytutka w Lesie Bemowskim. Ciało leżało w tym miejscu przez kilka dni. Zero śladów. Zero tropów. Klient przyjechał. Klient przesadził. Klient pozbył się ciała. Zastanawiali się przez chwilę, czy to nie robota kogoś z półświatka, ale dziewczyna była pod

opieką miastowych. Oni też szukali sprawcy. Kto wie, może nawet znaleźli. Jeśli tak, to biedny skurwiel miał pecha, że nie zgłosił się sam na policję.

Trafił za trzecim razem. Właściwa teczka. Część dokumentów dotyczących Trójki z Neptuna. Przejrzał kilka pierwszych kartek, a potem wrzucił wszystko do plecaka.

Wtedy usłyszał, że drzwi się otwierają. Szybko zamknął plecak i podsunął go pod samą ścianę. Do środka zajrzał Andrzejewski. Kiedy dojrzał Mortkę, jego łysa głowa lekko poczerwieniała.

– Tak myślałem, że ktoś tu jest – powiedział. – Co tu robisz, Kuba?

– Nic – odparł, myśląc o tym, że to najgłupsza możliwa odpowiedź. Trudno było jednak wymyślić kłamstwo w wiarygodny sposób tłumaczące jego obecność.

– Powiniennem się tego spodziewać, ale naprawdę myślałem, że jeśli ściągnę cię na miejsce, wszystko pokażę, to mnie posłuchasz i nie będziesz w tym grzebał.

– Nie grzebię. Po prostu wydawało mi się, że tutaj mogą być materiały, których potrzebuję.

– Na temat?

– Borzestowskiego. Sprawdzamy pewne rzeczy. Mieszko nam coś podsunął. Dlaczego nie wpadł na to wcześniej?

– Nie ty pierwszy próbujesz wciskać mi kit. Żadnemu z moich podwładnych jeszcze to się nie udało, tobie też się nie uda.

Mortka nie odpowiedział.

– Tak myślałem – stwierdził Andrzejewski. – To nie jest twoja sprawa, Mortka. Nawet nie my się nią zajmujemy.

– Wiem, trafiła do Grodziska, co mnie wkurza. To dotyczy Kochana. Pracował tu od lat, a my nic nie robimy, by upewnić się, że...

– Że co?

– Że wszystko robią jak trzeba, że nie pominą żadnego śladu, żadnej okoliczności wskazującej na...

– Nieustannie siedzę na telefonie, rozmawiając z funkcjonariuszami, którzy prowadzą to śledztwo – przerwał mu podinspektor. – Gdyby pojawiło się cokolwiek, co wskazywałoby na jego niewinność, to pierwszy otworzyłbym szampana. Ty zdajesz sobie sprawę, Kuba, że ta sprawa może mnie kosztować stanowisko? Kochan powinien wylecieć ze służby za bicie żony. Uratowałem mu wtedy tyłek. Kiedy to wyjdzie na jaw, ja pierwszy pójdę pod nóż.

Milczeli kilka sekund, patrząc sobie w oczy. Andrzejewski wściekły, Mortka przekonany o tym, że pomimo wszystko to on miał rację. Wiszenie na telefonie nie wystarczyło. Powinni zrobić więcej. Cały wydział.

– Możesz myśleć, że jest niewinny. Ale jeśli tak, to dlaczego ucieka?

– Może nie ucieka. Może ktoś go porwał?

– Niby dlaczego ktoś miał go porwać?

- Trójka z Neptuna.
- Sprawa sprzed lat.
- Ale Evelina z jej powodu zginęła.
- Kochan ją zabił.
- Jaki miał motyw?
- Nie wiem. To nie twoja sprawa! Grodzisk to ustali!
- A my będziemy tylko czekać?

Andrzejewski spuścił głowę. Zaciśnął palce na nasadzie nosa. Z głębi jego gardła wydobył się chrzęszczący pomruk.

– Zabieraj swoje rzeczy – powiedział po chwili. – Idziesz do kadr. Bierzesz tydzień zaległego urlopu.

– Nie ma takiej potrzeby.

– To nie była propozycja, ale rozkaz! – krzyknął podinspektor. – Przez tydzień nie pokazuj mi się w pracy. Zдай broń, żebyś mi przypadkiem nie odwalił drugiego Myszkowa. Weź dzieciaki do kina czy na sanki. Wyjedź gdzieś, byle nie do Milanówka. I jeszcze jedno.

– Tak?

– Jeśli się dowiem, że pomimo mojego zakazu i tak węszysz wokół tej sprawy, możesz być pewien jednego. Zrobię wszystko, żebyś przy kolejnej dyscyplinarce wyleciał ze służby. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Zrozumiałeś?

– Tak.

– To dobrze. Spieprzaj mi z oczu.

Mortka wziął swój plecak i wyszedł. Andrzejewski zawołał go, kiedy już miał wchodzić do siebie. Komisarz odwrócił się. Przełożony stał na korytarzu na szeroko rozstawionych nogach. Lekko unosił podbródek, przez co przypominał teraz Mussoliniego. Kiedy policjant zdał sobie sprawę z tego podobieństwa, prawie się roześmiał.

– Za piętnaście minut pójdziesz do kadr z kwitkiem, że zdałeś broń. Potem wypiszesz wniosek urlopowy i podpiszesz świstek, że naprawdę dotarło do ciebie to, co ci przed chwilą powiedziałem.

– Tak jest.

– Kuba.

– Tak?

– Widzimy się za tydzień.

Zabrał swoje rzeczy, poszedł do magazynu broni, gdzie zdał pistolet i odebrał kwit. Kiedy skończył załatwiać formalności w kadrach, pani Jolanta, tleniona blondynka pod pięćdziesiątkę, podsunęła mu jeszcze jeden dokument.

– Pierwszy raz coś takiego widzę, panie Kubo – powiedziała niepewnym

głosem.

– Tak to jest, pani Jolu – powiedział, podpisując się na dole. – Ta praca potrafi zaskakiwać.

Gruda przysiadł na schodach niedaleko otwartego okna na półpiętrze wieżowca na Pradze. Palił papierosa. Nie miał wyrzutów sumienia, że zasmradza klatkę, bo do tego właśnie celu często wykorzystywali to miejsce mieszkańcy. Na parapecie leżała metalowa popielniczka, a na podłodze kilka kiepów i puszka po piwie. Palenie po wdrapaniu się na ósme piętro nie było najmądrzejszym pomysłem, ale pomyślał, że nie miałby nic przeciwko temu, by dostać teraz zawału serca. To byłby piękny koniec. W obcym miejscu, w kiepskiej okolicy. Całkiem możliwe, że osoba, która by go znalazła, najpierw ukradłaby mu portfel, broń i komórkę.

Zgniótł niedopałek butem. Wstał i pokonał ostatnie pół piętra. Stanął przed drzwiami mieszkania 112 i nacisnął kilka razy dzwonek. W mieszkaniu najpierw rozległo się głośne szczekanie, a potem równie jazgotliwy kobiecy głos.

– Idę, idę... Idę...

Drzwi się uchylily i Gruda ujrzał przed sobą kobietę w zielonej falbaniastej bluzie ze sztucznego jedwabiu i grafitowej spódnicy. Nie miała brwi. Zamiast tego namalowała je sobie czarną kreską. Wokół stóp w klapkach Kubota plątał się jej ratlerek z różową obrózką, ozdobioną błyszczącymi szkiełkami.

– Pan to kto? – zapytała.

– Policja – powiedział, pokazując legitymację.

– A to czego tu?

– Porozmawiać.

– A nie mamy chyba o czym – oznajmiła twardo.

– Chyba mamy. O Mieszku.

– No raczej niespecjalnie.

Próbowała zamknąć drzwi. Przytrzymał je dłonią.

– Chce pani pomóc synowi?

– Z rozmów z takimi jak ty nic dobrego nie wychodzi. Jednego mi syna wzięliście na zmarnowanie, drugi się jakoś naprostował, ale jak tylko na nogach stanął, to znowu go zwinęliście.

Raz jeszcze spróbowała zatrzaskać mu drzwi przed nosem i znów jej na to nie pozwolił.

– Ale ja od niego przychodzę.

– Kłamczuszek.

– Przestań, pani, te drzwi zastawiać – powiedział, siłując się z nią. Blokowała teraz wejście całym ciężarem swojego ciała.

– Z nakazem przyjść.

– Mam wiadomość od Mieszka!

– Jasne. Od kiedy to psy grepsy noszą.

– Greps! – zaśmiał się. – Z enki?! Przecież nawet jakbym go sobie w dupie schował, toby mi go wyciągnęli.

– A bo was sprawdzają.

– W ence tak! Kurwa, kobieto, on tam zginie, jak mi nie otworzysz!

Podziałało. Odsunęła się od drzwi, które z hukiem uderzyły w stojącą nieopodal meblościankę.

– W więzieniu. Jak to?

– Normalnie. Boi się, że go zabiją.

– Ale kto, do kurwy nędzy! Kto mi chce synka zabrać?!

– Konkurencja – powiedział, wchodząc do mieszkania. Ratlerek doskoczył do niego i zaczął obwąchiwać czubki jego butów.

– To wasza wina! Wasza! Jakbyście go nie zwinęli, to nic by mu się nie stało! Tyle lat spokój był, ale wam mało, że człowiek grzecznie siedzi, nikomu nie wadzi, nie?!

– Tak. Bo z Mieszka taka cicha woda, co?

– A żebyś wiedział! A żebyś wiedział! Dziewczynę znalazł. Mieszkanie kupił! Ustatkował się chłop.

– A za co to mieszkanie kupił?

– Za pieniądze. A za co?! Jak normalni ludzie.

– A skąd te pieniądze wziął?

Na to pytanie nie znalazła już odpowiedzi. Machnęła więc na niego wściekle ręką i sarknęła coś pod nosem, żeby mieć w tej dyskusji ostatnie słowo.

– Co mój synek chciał? I czemu ty przychodzisz? On z psami nie gada, znam go.

– Na Rakowieckiej to już nie tacy jak on zaczęli jęzorem wywijać – powiedział Gruda. – Ale ja prawie że prywatnie.

– Jak to? Pieniądzy chcesz?! To spierdalaj, bo nic nie dam.

Ratlerek, jakby chciał wesprzeć swoją panią, zaszczekał kilka razy i wywalił na wierzch różowy język. Komisarz spojrzał na niego i pomyślał, że ten mały wredny pies powinien uważać. Wystarczyłby jeden, nawet nie za silny kop, żeby przeleciał przez całą długość mieszkania. Tak zwykle bywa – uznał – te małe są najwredniejsze. Według Grudy dotyczyło to i psów, i kobiet.

– Nawet jakbyś, babo, dawała, tobym nie wziął. Przyszedłem po coś innego. Mieszko to fajny chłopak. Poprosił mnie o przysługę, to pomyślałem, że pomogę. Zostawił coś u pani. Taką paczkę z ciuchami. Mam ją wziąć i zawieźć jego dziewczynie. Tam są jakieś rzeczy dla niej.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale już bez wrogości. Jakby faktycznie udało mu się ją przekonać, że nie ma złych zamiarów.

– Jaką paczkę?

Zakreślił w powietrzu kwadrat o boku długości około pół metra.

– Nie przypominam sobie.

– Może być większa albo mniejsza.

– A kiedy on ją niby do mnie przyniósł? – zapytała.

Gruda stęknął z udawaną irytacją.

– Powiedział, że jakiś czas temu, a ja nie dopytywałem. Zresztą, kurwa, ja tutaj po dobroci przychodzę. Wyświadczam twojemu kochanemu synkowi przysługę i tracę swój cenny czas. Dawaj tę paczkę i idę, nie?

– Nic mu stara nie dawaj – odezwał się z korytarza męski, głęboki głos. – Widać przecież, że piesek łże jak lechicka kurwa.

Przed kobietę wepchnął się krótko ogolony mężczyzna w samym podkoszulku i dresowych spodniach. Jego bicepsy pokrywały brzydkie tatuaże, z których jeden, największy, poświęcił husarzowi w pełnej zbroi. Twarz szpeciły mu liczne czerwone krosty, dość typowe dla osób nadużywających sterydów. Poruszał się powoli, jakby chciał, by Gruda dobrze mu się przypatrzył. Był za młody, by być mężem kobiety. Chociaż takie środowisko potrafiło zaskoczyć. Policjant obstawiał jednak, że to kolejny syn.

– Łukasz, co? – powiedział. – Brat Mieszka. Miło cię poznać.

– A weź spierdalaj.

– Jak sobie chcesz.

– Nie, ja poważnie mówię. Spierdalaj mi z kwadratu.

– Nie bądź niegrzeczny, kolego, bo będę musiał przełożyć cię przez kolano.

Twarz Łukasza wykrzywiła się w czymś, co prawdopodobnie miało być uśmiechem, ale przypominało bardziej wyraz pyska rzeźbionego gargulca.

– Myślisz, że dasz radę?

– Nie takim już dawałem.

– Może dwadzieścia lat temu, dziadku. Teraz uważaj, bo jak ci pierdolnę, to wyładujesz od razu na emeryturze.

– Jak takiś hardy, to spróbuj.

Łukasz wyglądał przez chwilę tak, jakby się nad tym zastanawiał, a potem na jego twarzy znowu pojawił się ten grymas.

– O! Żeby od razu dostał sanki za znęcanie się nad pieskami? Chciałbyś, dziadu. A teraz spieprzaj w podskokach.

Gruda zerknął w stronę matki Mieszka. Kobieta podniosła z ziemi ratlerka i teraz przyciskała go do piersi. Zauważyła spojrzenie policjanta i jeszcze mocniej objęła pieska.

– Słyszałeś syna – wysyczała. – Spierdalaj stąd.

– Raz człowiek chciał zrobić coś dobrego – powiedział Gruda, wzruszając ramionami, i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z hukiem. Zanim zaczął schodzić, przysłuchiwał się jeszcze, jak w mieszkaniu Łukasz krzyczy na matkę.

Leciały głównie przekleństwa.

Policjant zszedł na półpiętro i stanął przy otwartym oknie. Obserwował snujące się nad Warszawą dymy i pyły, które opadały szarą chmurą na ulice. Po około pięciu minutach usłyszał, jak na piętrze otwierają się drzwi i ktoś schodzi w klapkach. Odwrócił się. Matka Mieszka przystanęła na schodach. Jeden z jej policzków był czerwony, oczy podrażnione od płaczu. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wyciągnął do połowy jednego i podsunął ją kobiecie. Wzięła po chwili wahania. Podał jej ogień.

– Nie mam tej paczki – powiedziała cicho po kilkunastu sekundach. – Nic mi Mieszko nie dawał.

– Nie można tak było od razu? – zapytał i ruszył na dół. Czekają na niego jeszcze siedem i pół piętra do pokonania.

Po ekscytującym początku kolejna godzina minęła dość spokojnie. Marek wyszedł z biura i udał się dokądś szybkim krokiem. Zastanawiała się, czy go nie śledzić, ale uznała, że dzisiaj to nie on jest jej celem. Później na ulicy po raz drugi pojawiło się porsche. Stało na środku drogi, blokując na chwilę ruch. Wtedy z kamienicy wyszedł Borzestowski, wsiadł do samochodu i odjechał.

Potem nie działo się nic. Sucha wędrowała wzdłuż ulicy, aż ochroniarze pilnujący wjazdu do Kancelarii Sejmu zaczęli dziwnie się jej przyglądać. Pewnie gdyby nosiła czador, od razu uruchomiłaby jakieś wewnętrzne procedury antyterrorystyczne. Zjadła batonika. W księgarni kupiła jakąś fantastykę i zaczęła czytać, ale szybko się nią znudziła. Poza tym uznała, że osoba czytająca na ulicy w taki chłód zaraz zwróci na siebie uwagę, więc wyrzuciła powieść do najbliższego śmietnika.

Minęło pierwsze pół godziny. Potem drugie. Wreszcie, po kolejnych dwudziestu minutach, jej cierpliwość się opłacała. Z bramy kamienicy wyszedł sam Łazarowicz. Przeszedł kilka kroków i przystanął, by zapiąć beżowy płaszcz, a potem włożyć skórzane czarne rękawiczki. Kiedy już się z tym uporał, ruszył przed siebie szybkim krokiem. Sucha śledziła go, idąc drugą stroną ulicy. Szedł w stronę placu Trzech Krzyży. Dotarł tam, skierował się do hotelu Sheraton i zniknął w jego wnętrzu. Sucha postanowiła dalej go obserwować. Podejrzewała, że jest umówiony na spotkanie. Jego zachowanie i krok zdradzały ekscytację. Była więc ciekawa, z kim ma się zobaczyć.

Łazarowicz jednak nie skierował się ani do baru, ani do restauracji. Zamiast tego zauważyła go przy recepcji, gdzie pobierał klucz do pokoju. Zapewne wynajmował go na stałe, bo nie meldował się. Lobbyista stanął przy windach i nacisnął przycisk. Sucha miała sekundy na podjęcie decyzji. Mogła sobie odpuścić albo wejść z nim do środka. To drugie rozwiązanie kłóciło się ze wszystkimi zasadami prowadzenia obserwacji, jakie знаła. Ale ciekawość nie pozwalała jej zrezygnować. Najpierw Marek, potem Borzestowski, teraz to. Co on

tutaj robił?

Kiedy winda przyjechała, poczekała, aż wejdzie pierwszy i naciśnie przycisk. Dopiero wtedy do niego dołączyła. Nachyliła się nad guzikami i przycisnęła ten sam co on. Potem zrobiła minę słodkiej idiotki, jakby dopiero co zorientowała się, że już się świecił.

Łazarowicz ledwo ją zauważył. Wyciągnął z kieszeni komórkę i zaczął odpisywać na esemesa. Nie miała szans zobaczyć, co pisze ani do kogo.

– Straszny chłód dzisiaj – rzuciła szczebiotliwie i poprawiła włosy.

– Faktycznie – odpowiedział obojętnie, chowając telefon.

Kiedy dotarli na piętro, wyszedł pierwszy, nawet na nią nie spoglądając. Dla bezpieczeństwa poszła w drugą stronę i przystanęła przy losowo wybranych drzwiach. Sięgnęła do torebki, udając, że szuka w niej karty. Tymczasem Łazarowicz zniknął już w swoim pokoju.

Policjantka ukryła się za najbliższym załomem i czekała. Po około dziesięciu minutach z kolejnej windy wysiadła blondynka. Sucha rozpoznała w niej jedną z pracownic Łazarowicza. Kobieta, stukając obcasami, poszła do tego samego pokoju co jej pracodawca.

Aspirantka dała im jeszcze pięć minut, a potem podeszła pod drzwi. Sprawdziła, czy na korytarzu nikogo nie ma, i przyłożyła do nich ucho. To, co usłyszała w środku, nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Dziwne może było tylko to, że to on zachowywał się głośniej. Policjantka wyciągnęła telefon i zaczęła rozglądać się za miejscem, gdzie mogłaby się schować. Zbliżał się moment, kiedy powinna zrobić kilka zdjęć.

8

– A więc tutaj się ukrywasz? Tyle się ze mnie śmiałeś, że mieszkam ze studentami, a teraz...

Mortka rozejrzał się po niewielkim pokoju Kochana. Kanapa, szafa, krzesło, biurko. Standard, ale niewiele więcej by się tutaj zmieściło.

– Ta... Wielki krąg życia – mruknął podkomisarz. – Przyniosłeś to, o co cię prosiłem?

Mortka sięgnął do plecaka, wyciągnął teczkę z dokumentami i położył ją na biurku.

– A gdzie reszta?

– Andrzejewski mnie przyłapał.

– Cholera.

– Wysłał mnie na przymusowy urlop i obiecał, że usunie z policji, jeśli przyłapie na grzebaniu w twojej sprawie.

– Co on taki nerwowy? – zainteresował się Kochan.

– Pomyśl. Przyniosłem ci też trochę żarcia.

Podał koledze paczkę chipsów, kilka batoników, pieczywo, ser topiony i butelkę coli.

– Dzięki.

Podkomisarz podniósł się ze stęknieniem z kanapy. Wziął teczkę z biurka i przejrzał znajdujące się tam dokumenty.

– Co w niej jest? – zapytał Mortka.

– Sam początek. Zgłoszenie zaginięcia. Pierwsze kroki w śledztwie. Protokoły z przesłuchań osób pracujących w Neptunie. Zupełnie niepotrzebne, jak się okazało.

– Co było w innych?

– Różne rzeczy. Evelina wydała sporo pieniędzy na szukanie ojca.

– Słyszałem.

– Zebrała mnóstwo plotek, niepotwierdzonych pogłosek od różnych wariatów, którzy przekonywali ją, że oni to już na pewno i naprawdę wiedzą, co się stało z jej ojcem.

– Tylko trzeba im odpalić dolę?

– Dokładnie. Sprawdzalem to po kolei.

– Po co?

– Jak to po co?

– Przecież wiadomo, że Borzestowski to zrobił – powiedział Mortka. – Tylko on na tym zyskał. Na nim powinieneś się skupić.

Kochan pokręcił głową.

– To nie takie proste. Borzestowski wkręcił się tego wieczoru na jakąś

premierę filmową i imprezę po. Pamiętało go mnóstwo osób, jest na zdjęciach. Nie do ruszenia. A jeśli coś zostało porządnie zrobione w tym śledztwie, to próba podważenia jego alibi.

– I nie zdziwiło cię to? Facet zawsze trzyma się w cieniu, a teraz wyskakuje robić sobie fotki na ściance?

– Czyli że niby wiedział, co się zdarzy?

– Mógł kogoś wynająć do tej roboty.

Kochan nie wyglądał na przekonanego.

– To też sprawdzano. Sam za tym chodziłem. Pojawiły się jakieś durne plotki o kilerze ze wschodu, ale zero konkretów. A to była duża rzecz. Trzech dorosłych facetów. Ktoś coś by wiedział. A tutaj kompletna cisza.

Mortka założył ręce za kark. Wbił spojrzenie w sufit, jakby miał tam znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania.

– Hej, Kuba, ja nie mówię, że on tego nie zrobił albo że się w to nie zaangażował. Po prostu chodzono za nim w tej sprawie i nic. Może są jakieś inne opcje?

– Jakie?

– To nie byli grzeczni chłopcy. Mieli wrogów.

– Każdy swoich, prawda. Nikomu nie zależało, by ściągnąć ich wszystkich.

Oprócz...

– Wiem, oprócz Borzestowskiego.

– Dobra, kręcimy się w kółko. Opowiadaj, jak to wyglądało. Wszystko, czego się dowiedziałeś.

Kochan wrócił na kanapę i rozsiadł się wygodnie.

– Mamy rok dwa tysiące czwarty i w naszym pięknym mieście zapanowało chwilowe bezkrólewie. Zaczęło robić się nerwowo, bo w takich sytuacjach na wierzch wychodzą różne menty i zerkają w stronę tronu. Mówiło się, że w mieście wybuchnie wojna. W tym momencie nasza trójka się skumała. Najważniejszy z nich był Wilk. Podobno on to zainicjował. Zresztą wszyscy mówili, że wtedy czuł się bardzo pewnie. Jakby zagwarantował sobie nietykalność.

– A zagwarantował?

– Chyba nie, skoro skończył, jak skończył. Wracając do naszych trzech muszkieterów: postanowili podzielić miasto między siebie i przy okazji wyciąć Borzestowskiego.

– Dlaczego?

– Uwierzysz lub nie, ale nie lubili go. Chodziło o jakieś zaszłości sprzed lat. Ktoś komuś coś podpierdolił i nie oddał. Poza tym oni się znali. Borzestowski był z innego środowiska. No i wreszcie, bali się go.

– Okej. Co dalej?

– Zaczęli negocjować i dzielić się tortem. Wreszcie doszli do porozumienia.

Mario miał wziąć wschodnią stronę Wisły, Szyszka górę z centrum, a Wilku zadowolili się Ursynowem i dzielnicami wzdłuż linii SKM. Poza tym pełna współpraca w grubszych interesach. Pozostawało jeszcze kilka punktów spornych, które mieli rozwiązać na spotkaniu w Neptunie. Przyjechali tam. Weszli do środka i wyparowali.

– Kto był tamtego dnia w Neptunie?

– Nikt. To miało być prywatne spotkanie. Wynajęli i zamknęli cały lokal. Tak się bali, że ktoś ich podsłucha, że usunęli całą obsługę.

– Jakies ślady na miejscu?

– Za późno zrobiono przeszukanie. Początkowo traktowano to jako zwykłe zaginięcie. W międzyczasie w Neptunie urządzono kilka imprez. Jeśli cokolwiek tam było, to tłum gości zdołał wszystko zdeptać.

Zapadła martwa cisza. Mortka przeszedł kilka kroków w jedną i drugą stronę, ale tylko odbijał się od ścian. Spodziewał się, że to śledztwo będzie trudne, ale liczył na jakiś punkt zaczepienia, cokolwiek, za czym mogliby pójść. Wyglądało na to, że się mylił.

– Jacyś świadkowie? Inne lokale? Kierowcy? Obsługa stacji benzynowych?

– Jak wszystko w tej sprawie: za późno, za mało, bez entuzjazmu.

– To bez sensu – stwierdził komisarz. – Skoro nie mamy żadnego śladu, to po co ktoś miałby zabić Evelinę i jej matkę, a ciebie w to wszystko zrobić? Czego się boją?

– Może tego, co jest w pozostałych teczkach, które zostawiłeś w komendzie – rzucił Kochan.

– Spierdalaj – odpowiedział Mortka. Miał ochotę wyjść z tego pokoju, trzaskając drzwiami. Potem poczuł nieprzyjemny skurcz w podbrzuszu, jakby ktoś mu tam wiercił śrubokrętem. Sprężyny w tapczanie zagrały cicho, gdy Kochan zmienił pozycję. Podkomisarz schował twarz w dłoniach i zaczął ją energicznie pocierać.

– Co jest z tym pierścionkiem? Wiesz, tym, o którym mówiłeś przez telefon. Tym, którego ja bym nie ukradł – zapytał po chwili.

– Zginął pierścionek zaręczynowy Eveliny – odpowiedział Mortka. – Prawdopodobnie miała go na palcu w chwili śmierci.

– Po co ktoś miałby go zabierać?

– Właśnie. – Komisarz poczuł się głupio, że sam nie zadał sobie tego pytania.

– Zginęło coś więcej?

– Nie.

Zastanawiał się dlaczego. Przyszły mu do głowy dwa wyjaśnienia: albo ktoś się skusił, gdy zobaczył brylant na palcu dziewczyny, albo to sprawa osobista. A skoro tak, to pojawiło się jeszcze kilka pytań, które powinien zadać Kochanowi.

– Znałeś jej narzeczonego?

– Może raz go spotkałem. Zaraz po odnalezieniu ciała, kiedy szykowali się do pogrzebu.

– Jak się nazywał?

– Zupełnie zwyczajnie: Jacek Kowalski. Dlatego zapamiętałem.

– Jaki to facet?

– Chryste... Jaki? Nie wiem. Normalny.

– Kochał Evelinę?

– Był jej narzeczoną. Pewnie tak.

– A ty?

Kochan podniósł głowę i spojrzał na Mortkę z wypracowanym, nieszczerym zdumieniem. Jakby spodziewał się, że padnie to pytanie, więc ćwiczył przed lustrem odpowiednią minę. I to właściwie wystarczyło za całą odpowiedź.

– Od dawna się pieprzyliście? – zapytał komisarz.

– Co ty opowiadasz?

Mortka wskazała na drzwi.

– Dobra, Kochan – powiedział ciężko. – Jeszcze raz mnie okłamiesz, a wyjdę i więcej nie wrócę. Zostaniesz sam.

– Przestań pierdolić...

– Od dawna się pieprzyliście?

Kochan zagryzł wargę. Poderwał się z kanapy. Chciał coś zrobić, ale nagle zrezygnował. Jakby uszło z niego powietrze.

– To zaczęło się jakoś po pogrzebie jej ojca – odparł. – Wtedy wstąpiła w nią jakby nowa energia. Wiesz, w końcu go znalazła, oddała po chrześcijańsku ziemi i tak dalej. Chciała porozmawiać o kilku tropach, na które natrafiła przez te wszystkie lata. Przyjechałem. Zaczęliśmy gadać. Napiliśmy się czegoś. Nie wiem, jak do tego doszło, ale spodobało się nam. Potem powtarzaliśmy to regularnie.

– A jej narzeczonego?

– Nie wspominała o nim. Chyba o niczym nie wiedział.

Mortka pozwolił, by Kochan sam doszedł do właściwych wniosków. Zdrada. Skradziony pierścionek. Zazdrość jako motyw. Chłopak orientuje się, że dziewczyna ma kochanka. Śledzi go. Dowiaduje się, gdzie mieszka. Wchodzi do mieszkania. Kradnie broń. Zabija narzeczoną. Zabija jej matkę. To akurat prawdopodobnie był przypadek. Podrzuca pistolet, żeby rzucić winę na kochanka. Wychodzi. Bardzo konkretny, wiarygodny scenariusz.

– Myślisz, że to on? – zapytał podkomisarz.

– Trzeba będzie mu się przyjrzeć.

Kochan pokiwał kilka razy głową. Oparł się o biurko, wziął z teczki kilka kartek i przerzucił je obojętnie. Potem odłożył.

– Niewiarygodne – wyszeptał. – Zrobisz dla mnie coś jeszcze, Kuba?

– Co takiego?

– Podjechałbyś do Ani i Jasia – Kochan mówił o swojej żonie i synu – sprawdzić, co u nich, zobaczyć, jak się trzymają? Pewnie byli już tam nasi koledzy. Chciałbym się dowiedzieć, czy nie narobili zbyt wielkich szkód. Nie naopowiadali małemu jakichś głupot.

– Jasne – powiedział Mortka.

To akurat było łatwe do zrobienia. I przynajmniej nie ryzykował przy okazji swoją karierą.

Borzestowski siedział w knajpie na Pradze i jadł schabowego z ziemniakami. Ta mała jadłodajnia niedaleko bazaru Różyckiego od wielu lat wyglądała tak samo. Gangster cenił takie miejsca, które nie udawały niczego. Było ich coraz mniej. Nic dziwnego. Za niedługo w okolicy otworzą linię metra i ceny nieruchomości skoczą w górę. Wyprowadzą się starzy mieszkańcy, przyjdą nowi. Układni, grzeczni, z pełnymi portfelami. Tacy, którzy nie rozumieli, czym ta dzielnica była i czym żyła przez lata. Borzestowski nie widział w tym niczego złego. Sam już kupował tutaj mieszkania, żeby odsprzedać je korzystnie za rok lub dwa. Ale niekoniecznie musiało mu się to podobać.

– Smakuje? – odezwała się zza lady pani Hania. Kobieta instytucja. Prowadziła ten bar od trzydziestu lat; dwadzieścia z mężem, ostatnie dziesięć sama, od kiedy małżonek zmarł z powodu marskości wątroby. Choroba zawodowa i lokalna.

– Smakuje – odpowiedział, przeżuając mięso. – Nikt tak nie odgrzewa w mikrofalce jak pani, pani Haniu!

Zaśmiała się i pogroziła mu palcem, co niewielu uszłoby na sucho. Borzestowski zastanawiał się, ile ten lokal jeszcze się utrzyma. Z roku na rok odwiedzało go coraz mniej osób. Młodzi woleli albo modne lokale, takie, które otworzyły się na 11 Listopada, albo mordownie z automatami. Pani Hania maszyn u siebie nie chciała, a jadłospis od lat się nie zmieniał. Kilka barowych dań, piwo, wódka. Ciekawe, ile wyciągała miesięcznie.

– Dużo ma pani jeszcze do emerytury? – zapytał.

– Oj, kochany, kobiety o wiek się nie pyta.

Mógł zrobić z tego miejsca swoją kolejną pralnię. Co prawda lepsze są usługi niż gastronomia. Fryzjerka może powiedzieć, że ostrzygła dwadzieścia osób jednego dnia i nikt tego nie sprawdzi. Jak pani Hania powie, że sprzedała dwadzieścia schabowych, to powinna mieć papier, że faktycznie te kotlety zamówiła. A to był niepotrzebny koszt, który obniżał rentowność całego przedsięwzięcia, jednak mógłby jej to zaproponować w ramach przysługi.

Szlag, pomyślał, czy takie przywiązywanie się do miejsc to objaw starości? Miał ochotę trzasnąć się w twarz.

Zadzwoił dzwonek zawieszony nad drzwiami lokalu. Borzestowski nie

podniósł głowy znad talerza. Nie zrobił tego nawet wtedy, kiedy ktoś usiadł naprzeciwko niego. Przełknął kęs, dojadł frytkę, popił.

– Pani Haniu! – zawołał.

– Tak?

– Proszę nalać temu zawodnikowi piwo.

– Się robi.

Barmanka nalała pełen kufel i przyniosła do ich stolika. Niecodzienny widok w tym barze. Tutaj każdy sam odbierał swoje zamówienie przy ladzie. Każda sugestia, że mogłoby być inaczej, nadziewała się na kontrę złożoną z barwnych obelg i narzekań na bolące nogi. Ale skoro Borzestowski pozwalał jej na więcej niż innym, ona też robiła dla niego wyjątek.

Gangster wyjął chusteczkę z podajnika i wytarł usta. Odłożył sztućce na bok i zerknął na siedzącego przed nim mężczyznę. Łukasz Ziemiański, brat Mieszka. Głupszy w ten irytujący sposób, wykluczający powierzanie mu bardziej odpowiedzialnych zadań. Borzestowski uważał, że są dwa rodzaje idiotów. Tacy, którym trzeba bardzo dokładnie tłumaczyć, co mają robić. I jeśli zrobi się to wystarczająco dobrze, z dużą cierpliwością i uwagą, to jest szansa, że wykonają zadanie, nie psując zbyt wiele. Są też idioci z inicjatywą. Ci są gorsi. Mają pomysły, kiepskie pomysły, i realizują je, zamiast po prostu trzymać się poleceń. Łukasz Ziemiański należał właśnie do tej drugiej grupy. Dlatego Borzestowski trzymał się od niego z daleka. Mężczyzna kręcił na boku swoje małe interesy i wydawało mu się, że wielki z niego ważniak. Borzestowski normalnie odmówiłby spotkania, jednak Łukasz był bratem Mieszka, a Mieszko zaczął sypać. W związku z tym, jeśli Łukasz chciał porozmawiać, to trzeba poświęcić mu pięć minut.

– Co jest, Łuki? – zapytał.

– Policja do nas wpadła.

Interesujące, ale jeszcze normalne.

– Czego chcieli?

– No właśnie dziwne. Facet chciał jakąś paczkę, którą Mieszko niby u nas zostawił. A on nie zostawiał u nas niczego.

– Na pewno? Może dał twojej mamie.

– Nie dał. Przysięgała, że nic jej nie zostawiał.

Borzestowski podrapał się po brodzie. O jaką paczkę chodziło? Być może Łukasz coś przeinaczył? Mogła to być przesyłka do więzienia. Chociaż rzadko kiedy policjanci robili za kurierów dla aresztowanych. Coś mu się tutaj nie podobało.

– Co miało być w tej paczce? – zapytał.

– Nie wiem. Pies mówił coś o ciuchach.

Ubrania? To już zupełnie nie miało sensu.

– Jak się nazywał ten policjant?

– Nie przedstawił się. Może starej. Zadzwoń do niej?

– Nie trzeba. Jak wyglądał?

– Taki starszy, zupełnie siwy. Szttywny. Chojrak.

Gruda. Pasował do opisu. Dlaczego jednak miałyby biegać za ciuchami dla Mieszka? Bo nie chodziło o ubrania. W tej paczce było coś innego. Tylko co? Na czym mogło tak zależeć policjantowi?

– Dzięki, Łukasz.

– Żaden problem. Pomyślałem sobie, że dam znać, że psy u nas węszą, nie?

Gangster pokiwał głową z uznaniem. Po raz pierwszy idiota wpadł na dobry pomysł. Należało go za to wynagrodzić, utrwałać dobre zachowania. Borzestowski wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki gruby zwitek banknotów. Wyjął trzysta złotych i podsunął je Łukaszowi. Mężczyzna wziął je szybkim ruchem, zmiażdżył w pięści i schował błyskawicznie do kieszeni. Cały czas spoglądał lekko w bok, jakby właśnie robił coś wstydliwego.

– Dzięki – wymamrotał. Wstał od stołu i chciał odejść, ale przypomniał sobie o piwie. Chwycił za kufel. Wypił jego zawartość kilkoma dużymi łykami.

– Odnieś na ladę – powiedział Borzestowski. – Panią Hanię bolą nogi.

– Jasne, jasne.

Odstawił kufel, beknął, przeprosił półgębkiem i zniknął.

Borzestowski jeszcze chwilę posiedział, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał i co powinien z tym zrobić. Tajemnicza paczka, węszący Gruda. Spodziewał się jakiejś reakcji po ich spotkaniu w Gromadzie, ale niekoniecznie takiej. Mieszko mocno zamieszał. A najgorsze było to, że gangster nie wiedział w jaki sposób. Nienawidził takich sytuacji. Miał nadzieję, że Łazarowicz szybko zadziała i Mieszko wyjdzie z aresztu. Wtedy będzie można wreszcie rozwiązać ten kłopot raz na zawsze.

Po kilku minutach wstał, zostawiając brudny talerz na stole. Podszedł do lady i położył na niej banknot dwustuzłotowy.

– To za dużo – zaprotestowała pani Hania.

– To należność plus napiwek. – Mrugnął do kobiety i wyszedł z lokalu.

Dziewczynka siedziała na drewnianej ławce, tuż pod haczykiem z naklejką przedstawiającą radosną cytrynę, i wkładała buty. Iwona Napieraj obserwowała ją spod drugiej ściany. Przyszło jej do głowy, że mała Luska, siłując się z rzepami, układała usta w dzióbek zupełnie jak jej tata. Na tym zresztą podobieństwa się nie kończyły. Iwona pomyślała, że to niesprawiedliwe. Kobieta nosi potomka przez dziewięć miesięcy, dba o niego, chroni, je różne świństwa, żeby tylko dobrze się rozwijało, odmawia sobie alkoholu, kawy, sushi. Przechodzi tę całą hormonalną huśtawkę, która rozwała po równo ciało i psychikę, rodzi w bólach przez kilka godzin, a koniec końców, okazuje się, że dziecko i tak przypomina tatusia.

– Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego zajmuje to im tyle czasu? – zapytała

stojąca obok Kasia, mama małej Elizy. Elizka siedziała obok Lusi i też samodzielnie się ubierała.

– Przecież to tylko buty, prawda? – powiedziała Iwona, a Kasia energicznie pokiwała głową.

– Do tego na rzepy. Trzeba tylko wsadzić stopę, zapiąć rzep i już!

– Przeraza mnie moment, kiedy będziemy wprowadzać sznurówki. Przecież zanim się tego nauczą, zdążę umrzeć w przebieralni.

– Najgorsze jest to, że nie można im pomóc.

– Bo muszą się nauczyć samodzielności, prawda?

– Rzygam tą samodzielnością.

– Nie mów tego mojemu mężowi, ale rano ubieram Lusię.

– Się wie. Inaczej przecież byśmy nie zdążyły.

Równocześnie mrugnęły do siebie porozumiewawczo. W tym czasie dziewczynki zdążyły włożyć buty i zabrały się do kurtek. Z tym już poszło sprawniej, bo urządziły sobie wyścigi w ubieraniu. Wkrótce wędrowały osiedlem w stronę domu. Mieszkały niedaleko siebie, więc często odbierały dzieciaki razem. Dzięki temu dziewczynki bawiły się ze sobą w drodze powrotnej, a one miały chwilę dla siebie.

– Twoja też tak czeka na śnieg? – zapytała Kasia.

– Żebyś wiedziała. Sanki stoją na balkonie już od początku grudnia.

– Pierwsze, co robi moja codziennie rano, to wygląda przez okno, czy już jest.

– Jeśli w tym roku nie będzie, to chyba się popłaczę.

– My myślimy nad ściągnięciem maszyny do sztucznego śniegu. Wiesz, takiej jak te, jakie mają na stokach.

– Dobry pomysł. Daj znać, kiedy chcecie to zrobić. Dołożymy się.

Po drodze wstąpiły jeszcze do piekarni. Kupiły pieczywo i po słodkiej bułeczce dla dziewczynek. Iwona pożegnała się z Kasią i Elizą i razem z Lusią poszła do domu.

Przemek już wrócił. Siedział przed telewizorem i grał na konsoli. Słyszała wybuchy i odgłosy wystrzałów, więc pewnie to była ta sieciowa strzelanka, którą tak uwielbiał. Pomogła Lusi się rozebrać i wysłała ją do pokoju. Nie chciała, żeby oglądała przemoc na ekranie, nawet komputerową. Zajrzała do kuchni, a potem do męża.

– Nie zacząłeś nawet robić obiadu – powiedziała.

Skupiony na bieganiu za koleśkiem w pustynnym mundurze, nie odpowiedział od razu. Nagle usłyszała kilka wystrzałów, ekran zrobił się najpierw czerwony, a potem ściemniał.

– Kurwa... – wyszeptał.

– Lusia jest już w domu.

– Sorry – poprawił się. – Już nie będę.

Zaczął naciskać raz za razem przycisk na padzie.

– Nie zaczęłaś nawet robić obiadu – powtórzyła.

– Tak... Tak... Zaraz zacznę robić. Tylko skończę tę partię! Mam cię, skurwysynu!

– Przemek! Lusia.

– Sorry, sorry, ale zabił mnie chyba z dziesięć razy...

Mówił coś dalej, jednak nie słuchała go. Poszła nastawić wodę na ryż i zajęła się przygotowywaniem kotletów. Pojawił się po kilku minutach. Spojrzał na nią krytycznie.

– Po co to robisz? Powiedziałem, że się tym zajmę.

– Grałeś.

– Opuść. Wróciłem po pracy do domu. Jeszcze was nie było. Chciałem sobie odpocząć. Pomyślałem, że skorzystam z okazji.

– No to skorzystałeś.

Podszedł do niej i objął ją w pasie. Przytulił mocno. Dreszcz przeszedł przez jej całe ciało, co źle zinterpretował, bo kątem oka zobaczyła, że uśmiechnął się zadowolony. Tak naprawdę poczuła wstręt. Nie wiedziała tylko, czy do niego, czy do siebie. Od dawna w ich małżeństwie coś nie grało. Przez lata nawarstwiło się tysiące małych rzeczy, przez co teraz każda drobnostka doprowadzała ją do wściekłości. Najgorsze, że on tego wszystkiego nie widział. Według niego wszystko było okej. Chodził do pracy, wracał z pracy, i tyle. A cały dom, opieka nad Lusią – to wszystko było na jej barkach.

Dlatego poszła do łóżka z szefem. To wydarzyło się na konferencji biznesowej na Warmii. Pojechali tam razem. Jak tylko się tam pojawili, poczuła, że po raz pierwszy od bardzo dawna może odetchnąć pełną piersią. Żadnej zabawy z dzieckiem, żadnego odbierania z przedszkola, żadnego sprzątanego i gotowania. Wygłosiła swój referat, a wieczorem wypłała trochę za dużo. Rano obudziła się w jednym łóżku z Łazarowiczem. Pamiętała tylko, że było jej wstyd i cudownie równocześnie. Obiecała sobie, że to nigdy się nie powtórzy. Obietnicę tę złamała jeszcze tego samego dnia.

Potem wielokrotnie chodzili do łóżka. Początkowo odreagowywała w ten sposób napięcia. Potem coś zaczęło się psuć. Seks robił się... dziwny. Łazarowicz po prostu ją do siebie wzywał. Brał tak, jak chciał. Bolesnie, mocno, zupełnie się z nią nie licząc. Nie chciała tego, ale nie wiedziała, jak powinna mu odmówić. Nie przyjąłby tego dobrze. Poza tym to jej szef, a oni mieli kredyty, przedszkole do opłacenia. Bała się, że ją zwolni.

Poczuła dłoń męża na swoim udzie. Boże, żeby tylko nie nabrał ochoty w nocy na seks, pomyślała. Kochali się rzadko, raz na kilka tygodni, i to musiało wypaść właśnie teraz. Po spotkaniu w Sheratonie była cała poobcieraną. Nie da

rady.

- Wymieniłeś żwirek w kuwecie?
- Zaraz to zrobię.
- Chryste... Miałeś to zrobić rano.
- Nic się nie stanie. Tygrys wysrał się do brudnego kibla. Wielkie mi rzeczy.
- Język. Lusja jest w domu.
- Sorry...

Rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili dzwonek. Iwona westchnęła ciężko.

- Otwórz przynajmniej, dobra?
 - Okej, okej. Nie musisz być taka drażliwa.
- Poszedł zobaczyć, kto się do nich dobija. Usłyszała, że z kimś rozmawia.
- Iwona! – zawołał ją. – Ktoś do ciebie.
 - Chryste – wyszeptwała.

Zostawiła kotlety. W przedpokoju jej mąż stał obok młodej dziewczyny, bardzo szczupłej.

- Pani jest z policji – powiedział Przemek. – Ma do ciebie jakieś pytania.

Zaskoczona, uniosła wysoko brwi. Nie miała zielonego pojęcia, czego mogła chcieć od niej policja.

– Dzień dobry. Aspirantka Suchocka – przedstawiła się policjantka. – Chciałam porozmawiać o kradzieży bagażu w hotelu Sheraton, której była pani dzisiaj świadkiem. Mamy podejrzanego. Może pani potwierdzić, że to ten mężczyzna?

Podsunęła jej pod nos ekran komórki. Zrobiła to w taki sposób, że tylko ona mogła zobaczyć, co na nim jest. A dokładniej fotografię jej i Łazarowicza wychodzących z hotelowego pokoju. Policjantka cofnęła błyskawicznie telefon, a Iwona poczuła, że kręci się jej w głowie. Oparła się o ścianę, żeby nie upaść. Przemek oczywiście niczego nie zauważył. Jakoś jej to nie zaskoczyło.

- To ten mężczyzna, proszę pani?
- Nie... Nie wiem... Nie... Chyba raczej nie – mówiła chaotycznie.
- Rozumiem. W takim razie czy może mi pani jeszcze raz na osobności opowiedzieć o tym, co pani dokładnie widziała?

– Tak... Tak, oczywiście – mamrotała. – Ale teraz zaraz mamy obiad. Czy to nie może poczekać? Na przykład do jutra?

Policjantka uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

– Oczywiście. Proszę, to kontakt do mnie. – Wręczyła Iwonie swoją wizytówkę. – Tylko proszę szybko o telefon. Sprawa jest bardzo pilna. Do widzenia państwu.

Policjantka pożegnała się i opuściła mieszkanie. Przemek zamknął za nią drzwi i spojrzał pytająco na żonę.

– Co było w tej walizce, że aż tak jej szukają? – zapytał.

– Nie wiem. – Wzięła głęboki wdech, żeby trochę się uspokoić. – Wydaje mi się, że po prostu należała do kogoś ważnego.

Gruby mężczyzna nosił skrzynki z piwem z samochodu dostawczego do sklepu Żabka. Co kilka metrów przystawał, stawiał skrzynki na chodniku, ocierał pot z czoła i od nowa podejmował pracę. Z ust wydobywały mu się kłęby białej pary.

– Tamten facet w ciężarówce chyba powinien panu pomóc – zauważył Mortka.

– Co też pan nie powiesz... – na wpół mruknął, na wpół warknął sklepikarz.
– Otworzy mi pan drzwi?

Komisarz zrobił to, o co go poproszono. Wszedł za mężczyzną do sklepu i wyruszył na spacer wzdłuż regałów. Wybrał drożdżówkę i puszkę słodkiego napoju. Zaniósł to wszystko do kasy i cierpliwie czekał, aż przyjdzie do niego ekspedient. Ten wyszedł z zaplecza, sapiąc ciężko i wycierając sobie chusteczką twarz. Nazywał się Antoni Skłodowski, był właścicielem Neptuna w momencie, kiedy doszło tam do zabójstwa Trójki. Dwa lata później sprzedał lokal. Teraz samodzielnie prowadził sklep spożywczy.

– Poranny rozładunek – powiedział do Mortki, wchodząc za ladę. – Nie ma to jak dobrze zacząć dzień. Potem aż do wieczora wszystko mnie napieprza.

– Może niech pan idzie do lekarza? – zasugerował policjant.

– Lekarz na wiek nie pomoże – zaśmiał się Skłodowski. – Niestety! – Skasował drożdżówkę i napój. – Cztery złote.

Mortka podał mu piątkę, a sklepikarz wydał złotówkę i wrzucił monetę do kasy.

– Coś jeszcze? – zapytał, kiedy policjant nie odchodził od lady.

– Właściwie to tak.

– Papierosy? Wódeczka? – Wskazał asortyment za swoimi plecami.

– Proszę mi powiedzieć, kto był tamtej nocy w Neptunie.

Grubas pobladł. Oparł się o ladę i wychylił, jakby miał nadzieję wypatrzeć kolejnego klienta. Mortka widział strach malujący się na jego twarzy. Minęło tyle lat, a on ciągle bał się o tym mówić.

– Pan jest z policji – domyślił się. – Znowu w tym grzebiecie?

– Tak.

– Po tylu latach?

– Pojawiły się nowe okoliczności.

Oczekiwał, że mężczyzna zapyta jakie, ale on tylko machnął ręką.

– Było tak, jak mówiłem. Wynajęli cały lokal. Chcieli być sami. Bez żadnej obsługi. Kiedy rano przyszedłem, drzwi były otwarte, a w środku nikogo. A teraz pan wybaczy, ale ja powinienem rozpakować gazety. – Wskazał kciukiem na leżące obok stojaka paczki. – A pan już sobie pójdzie.

Mortka wziął swój napój i drożdżówkę, podszedł do drzwi, ale zamiast je otworzyć, przekręcił zamek i zasunął zieloną roletę.

– Co pan robi?! – krzyknął Skłodowski, wychodząc zza lady. – Otwarte mam mieć. Zaraz mi pierwsi klienci przyjdą!

– Nie chciałbym, żeby ominął pana poranny szczyt – powiedział komisarz – więc może niech mi pan szybko powie, co naprawdę się wydarzyło.

Jak na komendę ktoś właśnie zapukał w szklane drzwi.

– Zamknięte! – krzyknął policjant, zanim sklepikarz zdążył otworzyć usta. A potem gestem zachęcił mężczyznę do mówienia.

Grubas patrzył na niego, jakby stał właśnie przed swoim największym wrogiem. Pewnie gdyby miał dziesięć lat mniej na karku, skończyłoby się na bójce, ale teraz mógł sobie pozwolić jedynie na robienie wrednych min.

– Nikogo tam nie było.

– Często pan zostawiał gościom lokal bez opieki?

– Ci dużo płacili – odparował sklepikarz. – Opłacało się.

– Co was jeszcze łączyło?

– Co to znaczy?

– To nie tajemnica, że to byli gangsterzy. Robił pan z nimi interesy?

Grubas potarł dłonią zieloną koszulkę z logo Żabki.

– Płaciłem im za ochronę, kupowałem lewy alkohol i fajki. I tyle. Zatrzyma mnie pan za to?

– Nie mam zamiaru. Pracował pan tamtego wieczoru w lokalu?

– Nikt wtedy nie pracował.

– Kłamie pan. Sami sobie alkohol donosili? Sami frytki zrobili? Ktoś im usługiwał. Kto? Kogo pan chroni?

– A idź pan w chuj! – krzyknął sklepikarz.

Mężczyzna minął policjanta i zajął się rozpakowywaniem gazet i magazynów. Układał je na stojaku, ignorując zupełnie stojącego nieopodal Mortkę. Jego ruchy były gwałtowne, pełne wściekłości.

Kolejna osoba zapukała do drzwi, nacisnęła klamkę i szarpnęła nią kilka razy, próbując otworzyć. Wreszcie odeszła.

– Wiesz mi pan pieniądze.

– Czego się pan boi?

Sklepikarz wyprostował się gwałtownie i wybuchnął śmiechem.

– Czego? Czego?! Pan wie, kim oni byli. A ktoś ich, ot tak – pstryknął palcami – zniknął. Tego się boję. Pan też powinien się bać. I schować tę sprawę na powrót w dupę, czy skąd pan ją tam wyciągnął.

– Kto tam był?

– Odpuść, człowieku, i wyjdź z mojego sklepu.

– Kto tam był?

– Idź, bo zawiadomię policję. A kogo się właściwie zawiadamia, kiedy to policjant odwała taki numer, co?

– Biuro Spraw Wewnętrznych.

– Dobrze wiedzieć. Ma pan do nich numer?

– Nie przy sobie.

– Szkoda. Pójdzie pan już?

– Kto tam był?

– Nie odpuścisz, co?

– Minęło sześć lat. Nikt niczego się nie dowie, przynajmniej nie ode mnie.

Zrobimy to zupełnie poza protokołem.

– Ich też zniknęło poza protokołem.

Tym razem to Mortka się roześmiał.

– To był pan?

– Nie. Nie ja.

– A jakbym zaczął chodzić i rozповідаć, że to jednak pan? I że opowiedział mi pan wszystko, co się wydarzyło tamtej nocy ze szczegółami?

Sklepikarz poderwał się na równe nogi.

– Dlaczego miałby pan to robić?

– Bo mogę. Ktoś musi mi coś powiedzieć. Jeśli nic nie usłyszę, to coś wymyślę. Wie pan, jak to jest. Przełożeni naciskają na wyniki.

Skłodowski machnął ręką.

– A kto tam będzie chciał pana słuchać?

– Przełożeni, informatorzy, przesłuchiwani. Każdy, o kim wiem, że mógłby być zainteresowany. Wie pan, to taka metoda śledcza: maczenie wody w stawie, żeby zobaczyć, jakie ryby poderwą się z dna i podpłyną do przynęty. A przynętą tym razem będzie pan.

Sklepikarz rzucił ze złością magazynem o ziemię, a potem jeszcze go kopnął. Gazeta, ślizgając się po podłodze, przejechała kilka metrów i uderzyła o stojak z chipsami.

– Urszula Lewandowska – powiedział.

– Słucham?

– Urszula Lewandowska. Robiła u mnie jako kelnerka. Obsługiwała ich tamtej nocy. Ona sama. Nikogo więcej tam nie było.

– Gdzie ją znajdę?

– Mieszkała niedaleko. Na Gocławiu, chyba przy Jugosłowiańskiej.

– To niedużo.

– Tyle pamiętam.

Mortka pokiwał głową. Otworzył zamek od drzwi wejściowych akurat w chwili, kiedy próbowała wejść kolejna klientka. Przepuścił ją w progu.

– Nie będzie pan o mnie opowiadał? – zawołał za nim sklepikarz.

– Wszystko pozostanie poza protokołem – obiecał zgodnie z prawdą Mortka.

Sucha stała pod szklanym dachem wejścia do stacji metra Politechnika. Na szybach utworzyły się strumyczki wody. Spływały warko i razem z kroplami deszczu tworzyły liczne kałuże na nierównym chodniku.

Obok niej przewalał się tłum pędzących do pracy ludzi. Zabawne było obserwować, jak biegną w górę, potem gwałtownie zatrzymują się na najwyższym stopniu, popychając się przy okazji i próbując przepchnąć do przodu, a wreszcie jak na komendę otwierają parasole.

W końcu dostrzegła Iwonę Napieraj i chwyciła ją za łokieć. Kobieta przystanęła. Najpierw na jej twarzy pojawiło się oburzenie, które zaraz zmieniło się w rozczarowanie, a później w zdenerwowanie.

– To pani – powiedziała kobieta i poprawiła nerwowo kosmyk włosów. Zauważyła padający deszcz. Sięgnęła do torby na ramieniu, skąd wyciągnęła różową parasolkę.

– Myślała pani, że nie przyjdę? – zapytała policjantka.

– Miałam taką nadzieję – przyznała. – I to byłoby lepsze dla pani.

– Naprawdę?

– Przemyślałam sprawę po pani wyjściu – stwierdziła. – Jeśli chce mnie pani szantażować, to powinna pani wiedzieć, że mam znajomego bardzo dobrego adwokata. Złożę też zawiadomienie o pani zachowaniu przełożonym.

– A co na to wszystko pani mąż? – zapytała Sucha obojętnym tonem.

Iwone Napieraj odebrało na moment oddech.

– Czego pani chce?

– Proszę się nie bać. Nie zamierzam pani męczyć ani wydrenować pani konta. Jedyne, czego potrzebuję, to kilku informacji.

– Szczerze mówiąc, wolałabym oddać pani kartę od bankomatu z numerem PIN.

– Zastanowię się nad tym. Jaki ma pani limit dzienny?

– Limity mogę jeszcze zmienić – powiedziała kobieta. – Idziemy? Śpieszę się do pracy.

Poczekają, aż przewali się najbliższa fala podróżnych, i razem wyszły na górę. Iwona Napieraj otworzyła parasolkę, Sucha założyła kaptur.

– To o co chciała pani zapytać?

– Jedna rzecz. – Aspirantka wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni kurtki kopię zdjęcia i pokazała je kobiecie.

– Aha, Arek. Myślałam, że to już za nami.

– Zna go pani?

– Eeee? Tak, oczywiście.

Szły w stronę placu Zbawiciela. Przystanąły, kiedy jakiś samochód dostawczy wyjeżdżał z bramy. Mieścił się w niej mały sklepik z warzywami.

Iwona wstąpiła do środka po dwa jabłka i małe marchewki. Potem przeszły na drugą stronę ulicy, minęły kawiarnię Corso i skręciły w Mokotowską.

– Niech mi pani opowie o Arku.

– Od czego mam zacząć?

– Od nazwiska?

– Arek... Arek... Czarnecki.

– Pracował u was?

– Był asystentem Michała – powiedziała i zaraz sprecyzowała: – Pana Łazarowicza. Jest szefem i właścicielem...

– Wiem, kim jest – przerwała jej Sucha. – Był?

– Zwolnił się. Nie pasował do naszej firmy.

– Dlaczego?

– Początkowo całkiem dobrze sobie radził, ale Michał... Michał wymaga od pracowników stuprocentowego zaangażowania.

– Widziałam – powiedziała uszczypliwie Sucha.

Iwona Napieraj przystanęła. Przez chwilę wyglądało tak, jakby zamierzała się bronić, ale zaraz zrezygnowała. Najwyraźniej zamiast wdawać się w kłótnię, wolała jak najszybciej skończyć tę rozmowę.

– W pewnym momencie przestał sobie radzić. Nie pasował do naszej firmy. Michał wziął go na rozmowę dyscyplinującą, a następnego dnia dowiedziałam się, że się zwolnił. Z tego, co wiem, dostał dobre referencje.

Sucha zastanawiała się, czy ta „rozmowa dyscyplinująca” to tak naprawdę grupowy gwałt i czy Iwona udawała, czy naprawdę nie wiedziała, co przydarzyło się chłopakowi. Postanowiła, że na razie pozwoli się jej wygadać, przedstawić swoją wersję wydarzeń.

– Wydaje mi się, że miał problemy psychiczne – dodała Iwona, kiedy znów ruszyły.

– Skąd ten pomysł?

Kobieta spojrzała na nią zaskoczona.

– To pani nie wie? Nie dlatego rozmawiamy?

– Czego nie wiem?

– Arek popełnił samobójstwo.

Marek czuł się jak koń na aukcji. Łazarowicz ustawił go na środku gabinetu i teraz obchodził ze wszystkich stron, co chwila się zatrzymując, chwytając za mankiet garnituru i poprawiając niewidoczne detale.

– Masz luźne nitki. Powinieneś je obciąć.

Marek przyjął tę uwagę w milczeniu. Nowa praca wyglądała inaczej, niż się spodziewał. Chociaż szczerze mówiąc, tak naprawdę nie wiedział, czego powinien się spodziewać ani czy w ogóle uda mu się spotkać z Łazarowiczem.

Od zawsze chciał coś osiągnąć. Nie miał na to szans w rodzinnym

miasteczku. Raz, że to była dziura, w której nic się nie działo, dwa, karty już dawno rozdano. Burmistrz ten sam od piętnastu lat, podobnie ordynator szpitala, najbogatszy przedsiębiorca, a nawet proboszcz w parafii. Jakby całe miasteczko wrzucono do zamrażarki. Myślał, że w Warszawie będzie łatwiej. Wielkie miasto, wielkie możliwości. Okazało się, że to ten sam syf. Wszędzie układy, układziki. Nie masz żadnych szans, jeśli nie jesteś ich częścią. Przekonał się o tym bardzo boleśnie ostatnim razem. Można wysłać bandziorów do domu, można być winnym zabójstwa młodego chłopaka, ale jak jesteś KIMŚ, to nikt ci nic nie zrobi. Dlatego Marek postanowił przestać walczyć i dołączyć do układu. I znieść wszystkie upokorzenia, które się z tym wiązały.

Łazarowicz oparł się pośladkami o kant biurka i obrzucił chłopaka ostatnim, badawczym spojrzeniem.

– Jest nieźle – zawyrokował. – Ale potrzebujesz też nowych butów.

– To są nowe buty.

Lobbysta trzasnął otwartą ręką w blat.

– Kurwa mać! – wrzasnął na całe gardło. – Co ty sobie wyobrażasz?! Jak mówię, że potrzebujesz nowych butów, to masz zapytać jakich, a nie pyskować! Rozumiesz?!

– Tak, proszę pana. – Marek zagryzł wargę. – Jakich?

Łazarowicz pokiwał głową z uznaniem.

– Czarne, a nie brązowe. Z krótszym noskiem. Wiązanie sznurówek równoległe, a nie na krzyż. Wybierz oxfordy albo derby. Tobie sugeruję derby, są bardziej uniwersalne. Podeszwa skórzana, a nie z kauczuku. Tylko idź z nią od razu do szewca, żeby ci ją podbił. Zapamiętałeś?

– Tak, proszę pana.

– To powtórz.

– Czarne. Derby. Wiązanie równoległe. Skórzana podeszwa do podbicia.

– Dobrze. Teraz, jak już wyglądasz w miarę przyzwoicie, kolejna rzecz.

Łazarowicz wyciągnął z szuflady biurka biały worek przypominający kopertę. Cały pokryty był drobnymi niebieskimi napisami. Lobbysta wręczył go Markowi.

– Pójdiesz z tym do Hyatt Regency. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie.

– Jak ty się w tym mieście uchowałeś? – zapytał z autentycznym zdumieniem Łazarowicz. – Przy Łazienkach. Zbieg Belwederskiej i Spacerowej. Wiesz, gdzie są Łazienki, prawda?

– Tak.

– Przynajmniej tyle. Masz iść do hotelu i usiąść w lobby. Poczekaś na pewnego mężczyznę. On wie, że przyjdiesz. Zapyta, czy jesteś ode mnie. Potwierdzisz. Wtedy on przedstawi się jako pan Nowak, a ty dasz mu to. – Wskazał

pakunek. – Poczekasz, aż sprawdzi, co jest w środku, i przeczyta wiadomość. Przekaze ci odpowiedź, którą ty przekazesz mi. Czy to jest dla ciebie zrozumiałe?

– Tak.

– Wiem, że będzie cię kusilo, ale to, co trzymasz w dłoniach, to bezpieczna koperta. Nie da się jej otworzyć w taki sposób, żeby nie zostawić śladów.

– Nie będzie mnie kusilo.

Łazarowicz uśmiechnął się, jakby wiedział, że Marek kłamie. Potem posłał go na spotkanie. Kazał wziąć taksówkę, chociaż Łazienki były niedaleko. Z powodu ruchu jazda samochodem zajęła mu dłużej, niż gdyby wybrał się pieszo. Po trzydziestu minutach wszedł do nowoczesnego gmachu pięciogwiazdkowego hotelu i usiadł na jednej z kanap w lobby. Na kolanach trzymał teczkę. Położył na niej obie ręce i chwycił mocno, na wypadek gdyby ktoś próbował ją ukraść. I czekał.

Przez godzinę nic się nie wydarzyło. Kolejni goście i obsługa mijali go obojętnie. Recepcjonista zauważył jego obecność, ale w żaden sposób nie zareagował. Co pewien czas tylko na niego zerkał, jakby chciał się upewnić, czy Marek ciągle tam jest.

Chłopak zaczął się zastanawiać, czy to nie jakiś test. Łazarowicz nie powiedział mu, o której ma dojść do spotkania. Równie dobrze mogła to być dwunasta, jak i dwudziesta pierwsza. A może to był sprawdzian na inicjatywę? Może lobbysta oczekiwał, że Marek wróci do biura, powie, że do spotkania nie doszło, albo sam zacznie rozglądać się... Za kim właściwie? A może po prostu był to głupi żart. Łazarowicz obiecał mu, że go przeczolga i teraz to robi. Najpierw garnitur, teraz to.

Po kolejnych dwudziestu minutach stały się dwie rzeczy, które, jak uważał do tej pory, wzajemnie się wykluczały. Zachciało mu się i pić, i sikać. Wiercił się więc na tej kanapie, zastanawiając się, czy może sobie pozwolić na szybki skok do kibla. Ale jeśli go obserwowano, czego nie mógł wykluczyć, to jak to zostanie odebrane przez lobbystę? Czy będzie to wystarczający powód, żeby wywalić go z pracy?

Iść do kibla czy nie?

Czuł coraz większe parcie na pęcherz, a gardło zdążyło mu już całkiem wyschnąć. Bolało, nawet kiedy przelykał ślinę.

– Jesteś od Łazarowicza? – odezwał się ktoś obok.

Nad nim stał czterdziestolatek w błękitnym garniturze i – Marek zauważył od razu – brązowych butach. Ciekawe, co by o tym powiedział lobbysta, pomyślał chłopak. Mężczyzna miał ciemne, gęste, krótko ostrzyżone włosy i oliwkową opaleniznę, jakby właśnie wrócił z urlopu w egzotycznym kraju.

– Tak.

– Nowak.

Chłopak otworzył teczkę, wyciągnął foliową torebkę i podał mężczyźnie. Nowak usiadł obok niego. Rozerwał kopertę sprawnym ruchem i wyjął z niej pojedynczą kartkę. Przeczytał ją raz, potem starannie złożył i schował do kieszeni.

– A więc jednak się zdecydował – stwierdził mężczyzna z lekkim zaskoczeniem i spojrzał na Marka. – Ty jesteś nowy?

– Tak, proszę pana.

– Nie boisz się dla niego pracować?

Dobre pytanie, pomyślał Marek. Odpowiedź była w pewien sposób twierdząca. Bo przecież wiedział, do czego zdolny jest Łazarowicz. Ale sam lobbysta, to biuro, rozmowa o garniturach i butach – to zupełnie nie pasowało do tego, co przeżył podczas porwania, i sprawiało, że tamta sytuacja wydawała mu się nierealna. Łatwo odciąć się od całego syfu, kiedy się siedzi w eleganckim gabinecie.

– Nie.

Mężczyzna nie skomentował tej odpowiedzi, chociaż najwyraźniej chciał. Może gdyby to zrobił, udałoby mu się go pociągnąć za język. Bo – nagle to do Marka dotarło – samo pytanie było mocno niepokojące. Co ten facet dokładnie miał na myśli? Co wiedział?

– Powiedz swojemu szefowi, że dostanie to, czego chce. Niech czeka na kontakt.

– Dobrze.

Mężczyzna wstał z kanapy i spokojnie oddalił się w stronę restauracji. Marek jeszcze chwilę posiedział, czekając, aż tajemniczy Nowak zniknie mu z oczu, a potem szybko pobiegł do hotelowej toalety.

Adres Urszuli Lewandowskiej znaleźli w dokumentach, które Mortka przyniósł z Komendy Stołecznej. Komisarz podjechał do kelnerki, mając nadzieję, że wciąż po tylu latach mieszka w tym samym miejscu.

Gołław był jednym z tych wielkich blokowisk, powstających wyspami w Warszawie po jednej i po drugiej stronie Wisły. Potężne archipelagi gigantycznych bloków, zamieszkiwane przez tysiące ludzi, którzy dzień w dzień ruszali zdobywać stolicę. O poranku wyjeżdżali do pracy, więc choć na osiedlowych ulicach panował spory ruch, to Mortka bez trudu znalazł miejsce parkingowe pod odpowiednim adresem. Wszedł do bloku, takiego samego jak tysiące innych warszawskich bloków, razem z mężczyzną wracającym z psem ze spaceru. Wsiedli do windy. Nowa, niedawno zamontowana, ale i tak jedną jej ścianę i lustro zakrywały nalepki. Większość deklarowała miłość do Legii i klubów, z którymi jej kibice trzymali sztamię, kilka nienawiść do policji, a dwie życzyły śmierci konfidentom. Kundelek dokładnie obwąchał policjanta, choć właściciel próbował przytrzymać ulubieńca przy nodze.

– Pan to pewnie ma sukę w domu, co? – rzucił mężczyzna.

Mortka pokręcił przecząco głową.

– Kota?

– Żadnego zwierzęcia – powiedział policjant, co skończyło pogawędkę. Zatrzymali się na piętrze mężczyzny. Mortka pojechał jeszcze dwa wyżej.

Zapukał do mieszkania Urszuli Lewandowskiej, potem zadzwonił, ale nikt nie otwierał. Zadzwonił jeszcze kilka razy. Zbliżył ucho do drzwi. Z wnętrza nie dochodziły żadne odgłosy. Nikogo nie było w środku.

Tuż za nim rozległ się sygnał podobny do tych na dworcu, a potem otworzyła się winda. Wyprostował się szybko. Odwrócił się akurat, by zobaczyć, jak z niepewnym wyrazem twarzy podchodzi do niego trzydziestokilkuletnia blondynka w szarej sukience i puchowej kurtce. Szyję owiniętą miała puszystym szalikiem.

– Pan do mnie? – zapytała cicho.

– Pani Urszula Lewandowska?

– Tak.

– W takim razie do pani. Komisarz Jakub Mortka z Komendy Stołecznej Policji – przedstawił się.

Uniosła wysoko brwi.

– Z policji? Coś się stało?

– Nie. Chciałem tylko porozmawiać o tym, co wydarzyło się sześć lat temu w Neptunie.

Jej usta zmieniły się w cienką linię. Widział podobną reakcję dziesiątki, jeśli

nie setki razy. Coś się stało, ale człowiek zdążył o tym zapomnieć. Wmówić sobie, że tamto już minęło, że już nie wróci. Można to zamknąć w sobie, schować głęboko wśród innych wspomnień i spróbować zapomnieć. A potem pojawia się on, posłaniec złych wieści, upiór burzący z takim trudem budowany spokój.

Nagle stało się coś niespodziewanego. Kobieta odetchnęła z ulgą, jakby z barków spadł jej wielki ciężar.

– Wreszcie – powiedziała. – Wejdzie pan? Nie chciałabym rozmawiać o tym na klatce.

– Oczywiście.

Wpuściła go do środka.

– Niech pan nie ściąga butów. Proszę je tylko dokładnie wytrzeć. Straszna plucha na zewnątrz.

Zrobił to, o co go poprosiła. Miała dwupokojowe mieszkanie. Drzwi zamkniętego pokoju zasłaniały plakaty, więc domyślił się, że dzieliła dom z nastolatkiem. Za to w salonie wałało się mnóstwo zabawek, a w jednym z kątów zobaczył rozrzucone klocki Duplo. Dzieci była więc co najmniej dwójka.

W kuchni Lewandowska właśnie kończyła parzyć herbatę. Podała mu jeden kubek i wskazała na talerz z ułożonymi ciasteczkami.

– Niech się pan częstuje.

Wziął jedno z grzeczności i zjadł w dwóch gryzach. A potem spokojnie czekał, aż kobieta sama zacznie mówić. Nie widział powodów, by ją pośpieszać. Ona zaś popijała swoją herbatę i zamyślona patrzyła w okno.

– Długo wam zajęło dowiedzenie się, że tam byłam – odezwała się.

– Tak czasami się zdarza – przyznał.

– Pan jest pewnie z tego Archiwum X, o którym czasami słyszy się w telewizji. Zajmuje się pan starymi sprawami.

– Tak – skłamał, żeby zrobić jej przyjemność. – Jest pani bardzo domyślna.

– To jak to będzie? Pan będzie mnie pytać czy mam sama opowiadać?

– A jak pani wygodniej?

– Może niech pan pyta. Nie jestem pewna, czy będę w stanie składnie to wszystko... – Zaczerpnęła powietrza. – Sześć lat minęło, prawda?

– Prawda.

– Ciągłe śni mi się to po nocach, wie pan? To szmat czasu, a i tak czasami po prostu budzę się, przypominam sobie tych ludzi i nie mogę już zasnąć do rana. Nigdy nikomu o tym nie opowiedziałam. Strasznie mi to ciąży.

– Nie myślała pani o tym, żeby się do nas zgłosić?

– Oczywiście, że myślałam! – przyznała. – Ale wtedy, na świeżo, za bardzo się bałam. A potem... też się bałam, tylko czegoś innego. Pan rozumie?

– Chyba tak.

– Grożą mi jakieś konsekwencje? Za to, że nie powiedziałam wszystkiego od

razu?

– Raczej nie – powiedział Mortka. – Przecież panią zastraszano.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Od czego mam zacząć? – zapytała.

– Jak pani się tam znalazła?

– Szef mi kazał przyjść. Powiedział, że tego wieczoru lokal będzie zamknięty. Zdziwiłam się, bo to był piątek, bardzo dobry dzień. Jak i sobota. W niedzielę ruch był zawsze mniejszy, a w tygodniu to już różnie bywało. No ale powiedział, że to specjaliści klienci. Kazano mi im usługiwać, przynosić wszystko to, na co tylko przyszłoby im ochota, i na wszystko pozwalać. Mieli otwarty rachunek.

– Rozumiem. Często zdarzały się takie sytuacje?

– Żeby ktoś wynajmował cały lokal? Tak, ale w tygodniu i nigdy tylko dla trzech osób. Powiem panu szczerze, że nie podobało mi się to.

– Dlaczego?

– Bo to od początku było podejrzane! Nie wiedziałam, co to za ludzie. Po co im cały lokal?! Dlaczego ma ich być tylko trzech?!

– Ale zgodziła się pani tam pójść.

Kiwnęła głową.

– Szef dobrze płacił za robotę, a ja jestem samotną matką. Wtedy jednego dziecka, teraz dwóch. Różni ojcowie. – Upiła łyk herbaty. – Pewnie pan sobie teraz o mnie niezłe myśli, co?

– Wcale nie. Nie takie rzeczy widziałem. A u pani jest czysto, zadbane. Żadnego alkoholu ani papierosów. Jeśli pani pali, to na balkonie. W pokoju są zabawki, w przedpokoju ubrania i buty dzieci. Pewnie nie nowe, ale porządne, niezniszczone. Wydaje mi się, że jest pani dobrą matką.

Przyglądała mu się uważnie, jakby chciała się upewnić, że nie żartuje.

– Żeby pan wiedział, że, kurwa, jestem – powiedziała po chwili.

Mortka roześmiał się krótko. Ona również. Komisarz cierpliwie poczekał, aż minie jej wesołość, a ona sama wróci do właściwego tematu. Tak też się w końcu stało.

– Poszłam na tamtą robotę pełna złych przeczuć.

– Dlaczego? Pytam, bo ludziom czasami się wydaje, że nie wiedzą, co spowodowało niepokój, ale kiedy zacznie się drażnić temat, okazuje się, że coś słyszeli, widzieli, tylko nie zdążyli tego w pełni świadomie zarejestrować.

Słuchała go z uwagą, a potem zmarszczyła brwi w wyrazie namysłu.

– Nie, wydaje mi się, że nie.

– Może coś, co powiedział pani szef?

– Poza tym, co już opowiedziałam? Raczej nie.

– Zauważyła coś pani, kiedy szła do pracy? Dziwnego człowieka?

Samochód, który stał w nieodpowiednim miejscu? Kogoś, kto obserwował lokal?

Zaprzeczyła. A więc pudło, pomyślał Mortka.

– Co się wydarzyło później?

– Przyszłam do pracy. Dostałam klucze, więc to ja wszystko otwierałam. Trzeba było trochę posprzątać, wyjąć alkohole, przygotować jedzenie, bo oczywiście zamówili sobie wyzerkę. Zajęło mi to wszystko ponad godzinę. Akurat skończyłam, jak przyszli.

– O której się pojawili?

– O dziewiątej. Od razu powędrowała na stół wódka, frytki, ogórki, zimna płyta. I jeszcze więcej wódki.

– Dużo pili?

– Sporo. Plus uraczyli się też czymś więcej. – Przyłożyła palec do nosa i udawała, że ściąga kreskę.

– Słyszała pani, o czym rozmawiali?

– Nie było szans. Miałam stać przy barze. Tylko gdy mnie wołali, donosiłam im to, czego chcieli.

– Jak się zachowywali?

– Spokojnie. Dużo palili, dużo gadali. Z półtorej godziny później zaczęło się robić głośno. Jakby się odprężyli. Kazali wtedy włączyć muzykę, więc i tak niewiele słyszałam.

Znowu rozczarowanie. Niby wiedział, o czym rozmawiali, ale miał nadzieję poznać szczegóły. Być może dowiedziałby się, że był ktoś inny, komu zagrali. Jakiś kolejny gracz, o którym nie wiedzieli z Kochanem.

– To się stało koło dwudziestej trzeciej.

Kiedy to powiedziała, jej ciałem wstrząsnął delikatny dreszcz. Otoczyła się ramionami, a wzrokiem uciekła w bok. Mortka przez moment bał się, że na tym skończy się ich rozmowa. Że kelnerka nie znajdzie w sobie dość siły i odwagi, by wrócić do tamtych chwil. Mylił się. Potrzeba opowiedzenia o wszystkim okazała się silniejsza od strachu.

– Nie zauważyłam, kiedy weszli. Użyli tylnego wejścia. Siedziałam właśnie w kuchni, kiedy nagle pojawił się obok mnie mężczyzna w czarnej kominiarce. Miał broń. Celował do mnie i przyłożył palec do ust, każąc mi milczeć. Niepotrzebnie. Nie byłam w stanie się odezwać. Wypuściłam talerz z dłoni. Rozbił się na podłodze z takim strasznym hukiem, jakby bomba wybuchła. Dziwne, prawda?

– Tak.

– Ten mężczyzna spoliczkował mnie. Upadłam na ziemię. Krew mi leciała z ust. Chwycił mnie za rękę i pociągnął. Strasznie się bałam. Byłam pewna, że zaraz zginę. Ale on tylko przypiął mnie kajdankami do rury od kaloryfera, a później wyciągnął taką srebrną szeroką taśmę i zalepił mi usta.

– Jak wyglądał?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Może mi pan nie uwierzyć, ale niczego nie pamiętam. Tylko tę kominiarkę i pistolet.

Mortka wierzył. W chwili silnego stresu umysł nie pracował normalnie. Czasami człowiek skupiał się na jednym szczególe. Czasami w ogóle nic nie zapamiętywał. A czasami – a to dla policjanta była najgorsza możliwość – uzupełniał braki obrazami, które sam wymyślił.

– Widziała pani coś jeszcze?

Przytaknęła.

– Przez uchylone drzwi zauważyłam, jak jeden z gości poszedł do ubikacji, a za nim udał się ten drugi mężczyzna w kominiarce. Chyba wtedy się zorientowałam, że było ich dwóch.

– Tylko?

– Tak. Na pewno. Potem zauważyłam, jak ten facet wychodzi z ubikacji i idzie do głównej sali. Nie wiem, co tam się stało. Nic nie widziałam, nic nie słyszałam. Próbowałam się wyrwać z tych kajdanek, ale jedynie obtarłam sobie nadgarstki do krwi. Do dzisiaj mam ślad, widzi pan?

Wyciągnęła do niego ramię, pokazując grubą, nierówną bliznę, biegnącą poprzecznie do przegubu.

– Duża – powiedział komisarz.

– Tak. Całą rękę miałam wtedy we krwi.

– Co zrobili potem ci mężczyźni?

– Wynieśli, a raczej przeciągnęli ciała na zewnątrz. Widziałam to, bo znowu wykorzystali tylne wyjście. Każdy trup przejechał tuż przed moimi oczami. Jak jakaś chora parada. Wie pan, że każdemu założyli worek na głowę?

– Pewnie żeby nie zachlapać krwią całej drogi do drzwi – domyślił się Mortka.

– Tak ich zabili? Strzałem w głowę?

Komisarz potwierdził.

– Kiedy wynieśli ostatniego, myślałam, że to już koniec. Ale oni wrócili. Z mopem i domestosem. Wlali całą butelkę do wiadra i zaczęli myć kibel, kuchnię i część sali. Strasznie śmierdziało chlorem. Porzygałam się od niego.

– Zacierali ślady.

– Domyśliłam się. – Wzięła głęboki wdech, jakby musiała wygrzebać z siebie resztki siły, żeby kontynuować. – Potem jeden z nich podszedł do mnie. Znalazł moją torebkę. Wyciągnął dowód osobisty. Obejrzał go dokładnie i wyszedł na kilka minut. Kiedy wrócił, powiedział, że wszystko o mnie wie – gdzie mieszkam, że byłam przez chwilę mężatką i jak się nazywają moi rodzice. I że ich znajdą, jeśli komukolwiek opowiem o tym, co się tam wydarzyło. Później jeden z nich, nie wiem który, przyniósł mi koc i butelkę wody mineralnej. I tak spędziłam

tam resztę nocy. W kałuży własnych wymiocin. W lokalu, gdzie właśnie zamordowano trzy osoby i gdzie śmierdziało domostosem. Rano przyszedł szef i mnie uwolnił.

Skończyła opowiadać. Mortka nie miał więcej pytań. Podziękował jej za poświęcony czas.

– Wie pan co? – odezwała się przy pożegnaniu.

– Tak?

– Myślałam, że zrobi mi się lepiej, jak to panu opowiem. Ale nie, jest dokładnie tak samo, jak było.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Sucha nie sprawdziła samobójców. Teraz sobie pluła w brodę, że na to nie wpadła. Od razu go znalazła. Arkadiusz Czarnecki, dwadzieścia sześć lat. Na filmiku wyglądał na młodszego. Jego rodzice mieszkali w Płocku. Prawdopodobnie przyjechał na studia do Warszawy. Popenił samobójstwo, wieszając się na haku od lampy.

Policjantka umówiła się na spotkanie ze współlokatorką chłopaka. Odwiedziła ją w jej mieszkanku na Żoliborzu. Mieściło się ono w dwupiętrowym półokrągłym bloku na placu Hynka. Bardzo przyjemna okolica. Niska zabudowa, dużo zieloni, blisko do centrum. Lekki snobizm wśród lokalnych mieszkańców. Nic dziwnego, że połowa Warszawy dałaby sobie wyciąć nerkę, żeby tutaj zamieszkać. Ale ceny za metr były takie, że jedna nerka to jednak trochę za mało.

Współlokatorką okazała się niska dziewczyna z dużym nosem i z krótkimi kręconymi włosami. Nosiła okulary w grubej czerwonej oprawce, koszulkę w barwne wzory i luźne bawełniane spodnie z krokiem w okolicach kolan, przez co wyglądała, jakby miała na sobie pieluchę. I to pełną. W przedpokoju stał rower typu holenderka, który czekał na nadejście wiosny.

– Asia – przedstawiła się, wpuszczając Suchą do przedpokoju.

– Aspirantka Anna Suchocka, Komenda Stołeczna Policji.

– O! Aspirantka! Fajnie, że używa pani formy żeńskiej. Wittgenstein twierdził, że granice języka wyznaczają granice świata. Dlatego musimy walczyć o wprowadzenie kobiet do języka powszechnego.

Sucha przyjęła pochwałę, ale nie skomentowała jej w żaden sposób. Z jej punktu widzenia wyglądało to dużo prościej. Policjanci to w gruncie rzeczy banda palantów i musiała przyłożyć kilku łokciami, żeby zdobyć sobie odpowiednie miejsce i szacunek. Okazało się, że cel może osiągnąć, wkurzając ich deklinacją, więc robiła to. Nie cofnęłaby się nawet przed tańcem z szarfą i recytowaniem poezji, jeśli miałyby to jej pomóc.

– To pani znalazła pana Arkadiusza?

Dziewczyna była zaskoczona, że Sucha tak szybko przeszła do sedna. Kiwnęła głową.

– Był w swoim pokoju – powiedziała. – Wróciłam do domu. Poszłam się z nim przywitać. Wtedy go znalazłam.

– We wtorek. Nie dziwiło pani, że nie poszedł do pracy?

– Nie, od tygodnia do niej nie chodził. Powiedział, że go zwolnili.

– A pani? Co pani robiła w domu o tak wczesnej porze?

– Jestem graficzką i aktywistką miejską. Pracuję głównie w domu.

– To skąd pani wracała?

– Z zakupów.

Sucha rozejrzała się po mieszkaniu. Po swojej lewej widziała zamknięte drzwi do pokoju. Na wprost było wejście do łazienki. Po prawej kuchnia, a tuż obok, bo przedzielony tylko ścianą, kolejny pokój, pełen babskich bibelotów.

– Tutaj mieszkał Arkadiusz? – zapytała, wskazując na lewo.

– Tak.

– A pani tam? – wskazała na prawo.

– Zgadza się.

– Przywitała się z nim pani z zakupami? – zapytała.

Dziewczyna uniosła wysoko obie brwi.

– Eee... No nie. Najpierw zaniósłam je do kuchni.

– Czyli weszła pani do mieszkania z torbami z jedzeniem. Zaniósła je do kuchni. Rozpakowała je pani czy po prostu zostawiła?

– Chyba rozpakowałam.

– Rozpakowała je pani. I dopiero wtedy poszła przywitać się z Arkiem.

– Tak.

– Po co?

Zamrugła kilka razy.

– Nie rozumiem – powiedziała niepewnym tonem. – Jak to po co?

– Była pani w kuchni. Rozpakowała pani zakupy. Pani pokój jest tuż obok, ale zamiast po prostu krzyknąć „Cześć”, co w zupełności by wystarczyło, i iść do siebie, poszła pani do Arka. A przecież oboje siedzieliście w domu i pewnie witaliście się już rano. Dlatego pytam: po co? Wróciła pani z zakupów, nie z Syberii.

Asia wyglądała tak, jakby właśnie dostała w splot słoneczny. Zachwiała się na nogach, poczerwieniała i otworzyła usta, próbując złapać oddech. Próbowwała znaleźć jakąś racjonalną odpowiedź na zadane przez policjantkę pytanie. Ale Sucha już wiedziała.

– Wcale pani do niego nie poszła zaraz po powrocie.

Dziewczyna zawahała się, ale wreszcie pokręciła głową.

– Ile wisiał?

– Nie wiem.

– Mniej więcej?

– Dwie godziny. Może trzy.

– Dlaczego pani skłamała?

Asia zawstydzona wbiła wzrok w podłogę.

– Bo to dziwne tak się przyznać, że przez tyle czasu było się w jednym mieszkaniu z wisielcem i... Nawet się nie zorientowałam. Jakbym totalnie go w dupie miała, a to nie tak. Arek był moim przyjacielem.

„Przyjaciół”. Duże słowo. Sucha podejrzewała, że dziewczyna wyolbrzymia ich relację. Nie powiedziała tego jednak na głos.

– Mogę zobaczyć jego pokój? – zapytała.

– Jasne.

Poszła na lewo. Pokoik miał około dziesięciu metrów kwadratowych. Podłużny, z oknami wychodzącymi na plac. Stare meble, może nawet przedwojenne, potężne, solidne, błyszczące od grubej warstwy popękanego lakieru. Dwie szafy, eleganckie nieduże biurko. Na ziemi materac zamiast łóżka. I żadnych rzeczy osobistych, prócz samotnego kwiatka w doniczce na parapecie. Chociaż on pewnie i tak należał do dziewczyny. Gospodyni domyśliła się, czego szuka policjantka.

– Jego rodzice przyjechali. Zabrali wszystkie jego ciuchy. Telewizor. Komputer – wyjaśniła.

Sucha zauważyła, że dziewczyna nie przekroczyła progu – stała w przedpokoju. Policjantka zerknęła w górę. Na suficie lampa wciąż wisiała na samych kablach, odsłaniając hak od lampy, na którym powiesił się Arek.

– Długo pani nie było? – zapytała.

– Na zakupach? Nie wiem. Może z godzinę. Jeszcze na pocztę pojechałam wysłać jedną paczkę. Zeszło mi.

Policjantka pomyślała, że to dość czasu, by wejść do mieszkania, obezwładnić chłopaka, powiesić go i wyjść. Tylko że to pomysł dobry jedynie w teorii. Upozorowanie samobójstwa w ten sposób było bardzo trudne. Praktycznie niemożliwe. Jeśli medycy sądowi ustalili, że chłopak sam odebrał sobie życie, to tak właśnie się stało.

– Co na to wszystko właściciel? – zapytała.

– To ja. To moje mieszkanie – powiedziała dziewczyna.

Sucha spojrzała na nią pytająco. Była młoda, była graficzką. Nie zarabiała tyle, żeby móc sobie pozwolić na mieszkanie w tej okolicy. Chociaż stare meble podsuwały pewien trop.

– Odziedziczyłam po babci. Zmarła dwa lata temu. Dziadek jeszcze wcześniej. Jestem jedyną wnuczką. Rodzice mają swoje, więc ja dostałam to.

– I podnajęła pani pokój Arkowi.

– Tak.

– Dlaczego jemu? Nie wolałaby pani mieszkać z jakąś dziewczyną?

Asia roześmiała się krótko i pokręciła przecząco głową.

– Przerabiałam to i to był koszmar! Trudności z dostaniem się do łazienki rano, nasiadówki przy herbatce w kuchni wieczorem. A ja jestem osobą, która potrzebuje spokoju i przestrzeni. Arek to rozumiał.

– Skąd się znaliście?

– Przez wspólnego kolegę. Mój z liceum, jego ze studiów. Spotkaliśmy się na imprezie u niego. Zaiskrzyło. Chodziliśmy ze sobą przez półtora roku. Potem się rozstaliśmy, ale zostaliśmy przyjaciółmi. Mniej więcej rok temu dowiedziałam się, że szuka mieszkania. Ja szukałam współlokatora.

– I zamieszkała pani ze swoim eks?

– Znajomi uważali, że się spikniemy. Ale nie było na to szans.

– Dlaczego?

– Bo Arka tak naprawdę nie interesowała się takie rzeczy. Dlatego się rozstaliśmy.

– Czy był...

– Homoseksualistą? – Pokręciła przecząco głową. – Nie. Po prostu chyba stracił w pewnym momencie ochotę na tę zabawę ze związkami, seksem i tak dalej.

Mówiła to obojętnym tonem, ale Sucha wyczuła w nim jednak nutę żalu. Jakby dziewczyna mimo wszystko miała nadzieję, że przypuszczenia jej znajomych się sprawdzą. Jeśli była w chłopaku zakochana, musiało być jej ciężko. Mieszkać w jednym mieszkaniu z kimś, kogo się kocha, ale kto nie jest tobą zupełnie zainteresowany. Tortura.

– Jak wam się mieszkało?

– Dobrze. – Znowu to ledwo słyszalne drżenie w głosie. – Arek był... świetnym facetem.

– Powiesz mi o nim coś więcej? – Sucha zrezygnowała z formy „pani”, licząc, że w ten sposób wytworzy klimat bliskości i namówi dziewczynę na zwierzenia.

– Ale co?

Ostrożnie, pomyślała. Pytanie nie mogło być zbyt ogólne ani zbyt osobiste. Powinno przede wszystkim stanowić zachętę, rozgrzewkę przed właściwą rozmową i tymi wszystkimi pytaniami, które chciała jej zadać.

– Jaki był, gdy go poznałaś?

Dziewczyna zamyśliła się.

– Fajny. Inny, czarujący, bardziej dojrzały. On ciągle szukał. Wie pani, dziwne filmy, dziwne książki, filozofia polityczna. Fascynowało go to. Ale nie było w tym pozy. Dobra... Nie było w tym dużo pozy. To jeden z takich facetów, którzy zawsze powiedzą coś ciekawego. Szkoda, że się tak zmienił.

– Jak to?

– Myślę, że to przez pracę w tej firmie konsultingowej. Na początku

strasznie go to jarało. Fascynował się swoim szefem. Jaki to jest świetny facet, jak wszystkich zna, jakie plany wymyśla. Ale potem zaczął poświęcać jej tak dużo czasu, że wracał do domu jak cień kogoś, kim był przedtem. Ponury, zmęczony, o niczym nie chciał rozmawiać, z nikim nie chciał się spotykać.

– Mówiłaś, że nie interesowały go takie sprawy?

– Takie nie! Ale to był strasznie towarzyski chłopak! Uwielbiał wychodzić na miasto, rozmawiać z ludźmi, bawić się. A potem zatrudnił się tam i już zupełnie się zamknął.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Próbowалаm z nim rozmawiać, ale on nie chciał. Krzyczał na mnie, że nic nie rozumiem i że bym się... odczepiła.

Zamilkła na chwilę. Zbierała siły, żeby kontynuować.

– Ucieszyłam się, jak się zwolnił. Od dawna mówiłam, że ta praca go niszczy. Myślałam, że wszystko się zmieni. Ale zaczął zachowywać się jeszcze dziwniej, a potem się powiesił.

– Jak myślisz: dlaczego?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ja tu byłam. Mógł do mnie przyjść.

Wtedy Sucha zrozumiała, dlaczego dziewczyna kłamała wcześniej odnośnie do znalezienia ciała. Policjantka przypomniała sobie dane z protokołów. Zgłoszenie odebrano koło godziny trzynastej. Godzinę zgonu określono na mniej więcej dziesiątą. Nikt na to nie zwrócił uwagi ze względu na jednoznaczną przyczynę śmierci i wykluczenie udziału osób trzecich. Ale te trzy godziny były ważne dla Asi. Nie chciała powiedzieć prawdy, bo bała się, że Arek powiesił się wtedy, kiedy znajdowała się w domu. Że mogła mu pomóc, gdyby zajrzała do niego do pokoju, zamiast siedzieć u siebie. Że pozwoliła mu umrzeć, kiedy był zaledwie kilka metrów od niej.

Andrzejewski siedział przy stole w pokoju narad. Naprzeciwko niego miejsce zajął komendant stołeczny policji, a po jego prawej rzecznik prasowy Komendy Stołecznej, podinspektor, chociaż zdaniem Andrzejewskiego zdecydowanie zbyt młody jak na ten stopień. Szczególnie że był to ten typ oficera, który przez całą karierę pilnował, by broń Boże nie splamić się pracą na ulicy. Facet zdecydowanie lepiej radził sobie za biurkiem i przy telefonie. Ale był przystojny i dobrze się wysławiał, i to wystarczyło, by piąć się w górę. Po lewej nadkomisarz Nowak z Biura Spraw Wewnętrznych. Antypatyczny typ, chociaż Andrzejewski szczerze przyznawał, że może go tak oceniać tylko ze względu na miejsce pracy. Żaden uczciwy policjant nie lubił tych z BSW. To właśnie ta jednostka razem z policjantami z Grodziska prowadziła śledztwo w sprawie Kochana.

Cała trójka siedziała blisko siebie, świadomie lub nie odsuwając się od Andrzejewskiego. Intencja była jasna. Będą go grillować.

– Jak to jest możliwe, że jeszcze go nie złapano? – zapytał komendant. Nikt mu nie odpowiedział, bo też pytanie było retoryczne. Rzecznik chrząknął, zwracając na siebie uwagę wszystkich.

– W tej chwili szuka go cała warszawska i podwarszawska policja, prawda? I możemy się cieszyć z tego, że nasi funkcjonariusze okazują takie zrozumienie i solidarność zawodową, że informacja nie wypłynęła jeszcze na zewnątrz. Ale nie oszukujmy się. W pewnej chwili, szczególnie jeśli rozszerzymy obszar poszukiwań, ktoś komuś coś chlapnie. W związku z tym musimy być gotowi na ten moment, mieć odpowiedzi na wszystkie pytania, które mogą zostać nam zadane.

– Na przykład?

Rzecznik bez entuzjazmu zerknął w przygotowane notatki.

– Zauważyliśmy, że w ostatnim czasie podkomisarz Kochan został wysłany na przymusowy urlop. Dlaczego?

– Żeby trochę ochłonął – odpowiedział Andrzejewski.

– A dlaczego musiał ochłonąć?

– Bo tak sprzął żonę, że wylądowała w szpitalu.

Andrzejewski w ostatnich dniach nie miał wielu powodów do radości, ale teraz z prawdziwą satysfakcją obserwował wyraz twarzy Nowaka i rzecznika. Szok, oburzenie, strach. Za to komendant zaledwie się skrzywił, ale to był stary wyga. Wiedział, ile wart jest prawdziwy policjant na ulicy. I że czasami lepiej przymknąć oko, żeby utrzymać w robocie kogoś, kto udowodnił swoją wartość.

– Świetnie! – krzyknął rzecznik, wyrzucając ręce w górę. – Czyli mamy policjanta, który jest winny zabójstwa dwóch kobiet i do tego bił swoją żonę.

– Poza tym to alkoholik – dorzucił Nowak.

– Naprawdę?

– Znaleźliśmy u niego w domu tyle szkła, że zastanawialiśmy się, czy nie prowadził na boku skupu butelek.

Pieprzony świętoszek, pomyślał podinspektor. Sam pewnie jest abstynentem, który każdej niedzieli chodzi do kościoła.

– Jeśli to wyjdzie na jaw, nie wygrzebiemy się z tego – stwierdził rzecznik. – Damski bokser, zabójca, alkoholik, policjant w czynnej służbie. To będzie wszędzie.

– Wiem – przerwał mu komendant. – Dlatego też spotykamy się tutaj. Artur...

Andrzejewski spojrzał na przełożonego pytająco.

– Tutaj nie będzie szczęśliwego zakończenia. Zdajesz sobie z tego sprawę? – powiedział komendant.

– Tak jest.

– Jest kwestią otwartą, jak daleko to pójdzie. To zależy tylko od naszej sprawności i sposobu załatwienia tej sprawy. Natomiast jedno nie pozostawia

żadnych wątpliwości: nie będziesz już szefem wydziału.

– Tak jest – powiedział podinspektor spokojnie. Spodziewał się takiej informacji. Być może gdyby Kochana udało się zatrzymać natychmiast po zabójstwie, utrzymałby posadę. Ale w tej sytuacji, kiedy jego podwładny zapadł się jak kamień w wodę, przyszłość Andrzejewskiego stała się oczywista.

– Nie ciesz się za wcześnie – ostrzegł go komendant. – Ten syf cię nie ominie. Zostaniesz na stanowisku, dopóki go nie złapiemy.

– Oczywiście. Jeśli mogę wiedzieć: kto mnie zastąpi?

Szybka wymiana spojrzeń pomiędzy komendantem a Nowakiem powiedziała mu wszystko.

– On! – wybuchnął. – Chyba sobie żartujesz! Facet z wewnętrznych?! Nigdy nie zostanie zaakceptowany!

– To tymczasowe rozwiązanie – wyjaśnił komendant.

Zaskoczona mina Nowaka świadczyła, że jego poinformowano o innych ustaleniach. Szybko jednak się opanował i znów pokazał pokerową twarz.

– Faktem jest, że trzeba u ciebie w wydziale trochę przewietrzyć – kontynuował komendant. – Wymieść śmieci z kątów. Nowak znakomicie nada się do tego zadania. A co będzie dalej, zobaczymy.

– To nie jest dobry pomysł – powiedział podinspektor. – Pamiętaj, że cię ostrzegalem.

– Zapamiętam. Natomiast ty, Artur, musisz wiedzieć jedno.

– Słucham.

– Przestaniesz być szefem wydziału, ale styl, w jakim to zostanie zrobione, oraz twoje dalsze losy pozostają kwestią otwartą. Rozumiesz to, prawda?

– Oczywiście.

– Oczekuję od ciebie pełnej współpracy w każdym możliwym zakresie.

Komendant zakończył spotkanie, ale z pokoju wyszedł tylko podinspektor. Nowak i rzecznik zostali. Najwyraźniej mieli jeszcze kilka rzeczy do omówienia w małym, nieformalnym gronie.

Andrzejewski zadzwonił po Grudę i opuścił Pałac Mostowskich. Chciał pooddychać świeżym powietrzem. Poszedł do Ogrodu Krasieńskich, usiadł na ławce z widokiem na plac zabaw, staw i pobliski pałac, w którym teraz mieściła się Biblioteka Narodowa.

Gruda pojawił się po kilku minutach. Bez słowa zajął miejsce obok przełożonego. Wyciągnął z kieszeni paczkę fajek. Podsunął Andrzejewskiemu. Obaj zapalili. Spore stado kaczek podpłynęło w ich kierunku. Ptaki spodziewały się pewnie, że zaczną je karmić, ale dostały tylko na wpół wypalonego kiepa, którego podinspektor rzucił do stawu, kiedy skończył palić.

– Zdejmą mnie z funkcji – powiedział.

Gruda pokiwał głową.

- Za Kochana? – zapytał.
- Aha.
- Kiedy?
- Jeszcze nie wiadomo. Jeszcze mamy trochę czasu.
- Kto przyjdzie za ciebie?
- Nowak z BSW.
- Żartujesz?
- Nie.
- Kurwa.

Siedzieli w milczeniu, każdy z nich rozważał konsekwencje pojawienia się Nowaka w wydziale. Kaczki wciąż krążyły nieopodal. Jeden z ptaków, wielki kaczor, zdecydował się nawet wyjść z wody i głośnym kwakaniem domagał się okruszków chleba.

– Trzeba rozwiązać kwestię Borzestowskiego – odezwał się wreszcie Andrzejewski.

– Jak?

– Każdym możliwym sposobem. – Podinspektor dokładnie wymówił każde słowo.

Gruda pozwolił, żeby niedopałek papierosa wypadł mu z palców. Zgniół go obcasem buta.

– Nie wiem. Nie podoba mi się to.

– Mnie też. Ale kończy się nam czas. Nie mamy tego pieprzonego garnituru. Cholera wie, co wygrzebią, pracując przy sprawie Kochana. Ryzyko wzrasta z każdym dniem, Gruda. W takich chwilach potrzebne są radykalne rozwiązania.

– Nawet jeśli masz rację, to mówimy o Borzestowskim. To nie jest pierwszy lepszy Ziutek z ulicy, którego da się zgarnąć ot tak. – Komisarz pstryknął palcami.

– Tamci trzej też nie byli Ziutkami – powiedział ponuro Andrzejewski. – Słuchaj, Gruda. Masz córkę. Ja też mam dzieci. I nie pozwolę na to, by zobaczyły, jak ich ojciec wędruje do więzienia. Jeszcze za co? Za to, że zrobiliśmy to, co trzeba było zrobić? Nie ma mowy. To my, Gruda, zadaliśmy o to, żeby w tym mieście nie wybuchały już bomby. Żeby ludzie nie bali się chodzić do kawiarni, bo zaraz ktoś tam urządzi strzelaninę. Daliśmy Warszawie sześć długich lat spokoju. Za dużo tutaj zrobiliśmy, za dużo osiągnęliśmy, by pozwolić to sobie teraz odebrać.

Komisarz wsadził ręce do kieszeni kurtki. Oparł się o ławkę. Jego szczęka poruszała się miarowo w lewo i w prawo.

– Jeśli ten kaczor podejdzie jeszcze bliżej, to mu wpierdolę – rzucił nieoczekiwanie.

– Gruda?

Policjant podniósł się gwałtownie. Z góry spojrział na przełożonego.

– Nie podoba mi się to – powiedział. – I jeszcze coś. Do tej pory tylko ja

biegałem po mieście, zajmując się tym syfem. Ty tylko brałaś udział w tych swoich nasiadówkach, dbając o posadę. Czas wrócić na ulicę.

– Co to znaczy?

Gruda pociągnął nosem.

– Popracuj trochę. Wysił się. Ubrudź łapki. I przyjdź do mnie, kiedy sam wymyślisz, jak się dostać do Borzestowskiego – odparł. – Wtedy pogadamy.

Anna Kochan zatrzymała się u rodziców, którzy zresztą mieszkali niedaleko ich bloku. Przed wojną ich dom pewnie był jednorodzinny, a po wojnie, z powodu braków lokalowych, podzielono go na pół, więc teraz zajmowali tylko górę.

Niedaleko budynku, po drugiej stronie ulicy, stał samochód, w którym siedziało dwóch mężczyzn. Mortka z tej odległości nie mógł być pewien, ale przypuszczał, że to policjanci. Obserwowali dom w nadziei, że Kochan pojawi się u żony. Komisarz przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy nie powinien do nich pójść i się przywitać, ale zrezygnował z tego. Wydawało mu się, że takie zachowanie byłoby zbyt prowokacyjne. W tej chwili wołał nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi.

Mortkę do środka mieszkania wpuścił jej ojciec. Szpakowaty, przygarbiony, chudy mężczyzna wiecznie wyglądał tak, jakby miał się zaraz przewrócić. Potraktował komisarza chłodno, chociaż uprzejmie. Inaczej było z matką. Ona tylko wychyliła się z kuchni, ale wystarczyło jedno spojrzenie. Policjant już wiedział, że w jej opinii w jakiś magiczny sposób stał się kimś co najmniej współodpowiedzialnym za wszystkie nieszczęścia, które spotkały jej córkę.

Anna Kochan zarzuciła polar na koszulkę i wzięła Mortkę pod rękę.

– Porozmawiamy na podwórku – powiedziała.

Policjant z ulgą opuścił to mieszkanie. Anna poprowadziła go w dół klatką schodową, a potem tylnymi drzwiami wyszli do ogródka. Jego jedną część zajmowały dwa blaszane, porzewiałe garaże. Resztę kilka owocowych drzew, teraz łysych i wyglądających jak połamane szkielety, i samotna huśtawka, smętnie kołysząca się pod podmuchami wiatru. Całość domagała się sprzątnięcia, ale na to zapewne przyjdzie czas dopiero wiosną. Do tej pory ogródek miał służyć głównie jako toaleta dla psów.

– Co z nim? – zapytała.

Mortka przestraszył się. Jeśli Ania wiedziała, że on pomaga Kochanowi, oznaczało to kolejne zagrożenie, które policjant musiał brać pod uwagę. Im mniej osób było w to zaangażowanych, tym lepiej.

– Nie wiem – skłamał.

Jęknęła, cicho, przeciągle, a potem po jej policzkach pociekły łzy. Otarła je błyskawicznie rękawem polara, jakby się ich wstydziła.

– Przepraszam. Myślałam, że jeśli ktoś coś wie, to będziesz ty.

– Przykro mi, ale nie.

Mortka był na ich ślubie. Doskonale ją pamiętał z tamtego dnia. W białej sukni, śliczną jak każda panna młoda, bo przecież po to wydaje się te setki złotych na fryzjera i makijażystkę. Ale dostrzegał tam coś więcej, chociaż nie wiedział dokładnie co, bo wtedy dopadła go zazdrość. Anna miała w sobie ten wewnętrzny

blask, który posiadają tylko najpiękniejsze kobiety. Teraz to minęło, a winnym nie był tylko upływający czas.

Źle wyglądała. Błada, co widział nawet w kiepskim świetle lampki palącej się nad drzwiami, z podkrążonymi oczami i chuda. Przygnieciona wydarzeniami ostatnich dni, tygodni, miesięcy. Całym swoim małżeństwem. Dlaczego z nim w ogóle była? Dlaczego się nim przejmowała? Po tym wszystkim, co jej zrobił? Po tym, jak ją pobił, wysłał do szpitala, a wkrótce potem wyrzucił razem z dzieckiem z domu? Ale wiedział, że nie znajdzie żadnej racjonalnej odpowiedzi na to pytanie. Zbyt często widział podobne historie. To była jedna z jego pierwszych interwencji. Przyjechał ze starszym kolegą na awanturę domową. Kobieta już czekała na nich przed drzwiami. Z podbitym okiem, krwią ciekącą z rozbitego nosa i palącym się papierosem w dłoni. Poprosiła, żeby zabrali jej męża. Zrobili to. Potem Mortka podszedł do niej, by zapytać, czy chce zgłosić pobicie. Spojrzała na niego oburzona, jakby właśnie zaproponował jej utopienie ukochanego dziecka w stawie. Pijanego faceta zawieźli na Kolską, do izby wytrzeźwień. Zupełnym przypadkiem Mortka pojawił się tam następnego dnia z innym delikwentem. Ona już tam była. Czekala na męża. Kiedy wyszedł, podbiegła do niego i przytuliła się czule, jakby właśnie wracał po odbębnienu tury w Iraku. Wtedy policjant nauczył się, że krzywda bitych kobiet wykracza daleko poza obrażenia fizyczne, a skuteczna pomoc zależy od wyleczenia tego, czego nie widać na pierwszy rzut oka, a co tkwi głęboko w głowie i sercu.

Patrzył na Annę i chciał jej jakoś ulżyć, ale nie wiedział jak. Poczul się nagle cholernie zmęczony i po raz kolejny zadał sobie pytanie, od którego tak bardzo starał się uciec – dlaczego on sam pomaga Kochanowi? Stał teraz przy jego żonie i widział, widział na własne oczy, że to ten kawał skurwysyna zasłużył na każde nieszczęście, które go spotkało, a i tak rachunki nie były wyrównane. Pomimo tego narażał się dla niego. Tylko dlatego, że był niewinny? Że parę razy uratował mu tyłek? Że czuł, wewnątrz, głęboko, aż go skręcało, że tak trzeba?

Nie warto. Nie warto.

A jednak to robił.

– Dlaczego przyjechałeś? – zapytała.

– Chciałem sprawdzić, co u ciebie i Janka. Jak się trzymacie?

Wzniosła oczy w górę.

– Jak się trzymamy... Jak się trzymamy... Jakbyś ty się trzymał, gdyby to Olę poszukiwano za podwójne zabójstwo?

– Źle.

– To ja też czuję się... źle – dodała po chwili.

– A Janek?

– O niczym jeszcze nie wie, ale widzi, że coś się dzieje. On dużo rozumie. To bystry chłopak. Ma to po ojcu, po Darku. A za niedługo Wigilia. Jak ja mu

wytłumaczę, że tato nie siądzie z nami przy stole?

Mówiła ze źle skrywaną złością, głęboką irytacją. W jej spojrzeniu pojawiła się niespodziewanie wrogość. Zupełnie jak u matki. A Mortka nie wiedział, jak powinien się przed nią bronić.

– Słuchaj – zaczął ostrożnie. – Przyjechałem tylko upewnić się, że nic wam nie jest.

– To nic nam nie jest. Jesteś uspokojony, Kuba.

– Chciałem tylko...

– Ja też chciałam! – przerwała mu gwałtownie. – Chciałam wielu rzeczy! Wielu! Prosiłam cię, Kuba! Prosiłam cię tyle razy, żebyś o niego dbał! Żebyś go pilnował! Bo byłeś jak jego starszy brat! Mądrzejszy, bardziej odpowiedzialny! A ty co zrobiłeś!? Co?!

– Ania...

– To twoja wina, Kuba! To twoja wina!

Podniosła prawą dłoń, jakby chciała go spoliczkować, ale nagle zrezygnowała. Opadła z sił.

– Przepraszam... – wyszeptała. – Przepraszam...

– Nic się nie stało – powiedział przez ściśnięte gardło. – Rozumiem. Gdybym mógł coś dla ciebie zrobić... Gdybym mógł ci jakoś pomóc...

– Znajdź mojego męża, Kuba. Znajdź Darka. Proszę cię.

Już go znalazłem, pomyślał. Ale zupełnie nie wiedział, do czego ich to doprowadzi.

Prokurator Szydłoń kończył długi dzień pracy, w czasie którego nie raz, ale dwa razy odwiedził sąd, czego szczerze nienawidził. Uważał, że to strata czasu i zupełnie niepotrzebna fanaberia. Najchętniej kończyłby swój udział na podpisaniu aktu oskarżenia.

Oczywiście byli różni prokuratorzy. Niektórzy uwielbiali brylować na rozprawach, wygłaszać końcówki, dogryzać adwokatom. Szanował to, a nawet cieszył się, że takie osoby istnieją. Często podrzucał im swoje wyjścia, a oni mu swoje obowiązki. Obie strony były zadowolone. On sam wolał pracować w biurze, przygotowywać akty oskarżenia, pilnować policjantów, żeby wykonali swoją robotę, gonić biegłych, żeby napisali zleczone ekspertyzy, dbać o dotrzymanie terminów. Lubił tę zużytą metaforę o „żarnach sprawiedliwości, które miały powoli”. Widział siebie jako kogoś, kto cierpliwie pilnuje, by nigdy się nie zatrzymały. Dodatkowo, pomimo specyfiki swojej pracy, czuł się bezpiecznie, schowany w świecie paragrafów, pism i formularzy.

Prokurator po raz ostatni czytał akt oskarżenia w sprawie o wymuszenie i pobicie, który miał nadzieję jutro komuś podrzucić. Myślami był już w domu, gdzie czekała na niego żona. Wspólnie z córką zjedzą szybką kolację. Potem przyjdzie opiekunka, żeby zająć się dzieckiem, a oni pójdą na *Wesele Figara*

Mozarta. Szydłoń był bowiem wielkim miłośnikiem opery, o czym wiedziało niewiele osób. Nie robił z tego wielkiej tajemnicy, ale też podczas pracowniczych czy nawet towarzyskich rozmów raczej nie dało się wpleść mimochodem rozważania na temat projektów Trelińskiego czy kariery Aleksandry Kurzak.

Usłyszał pukanie do drzwi. Podniósł głowę.

– Panie prokuratorze – odezwała się nieśmiało pani Jolanta z sekretariatu – pan naczelnik pana prosi.

Szydłoń spojrział na nią pytająco, a ona rozłożyła w odpowiedzi ręce. Na zegarze zawieszonym na ścianie dochodziło wpół do siódmej. Powinien się pośpieszyć, jeśli chce zdążyć na przedstawienie. Premiera odbyła się zaledwie kilka dni temu. Z trudem udało mu się zdobyć bilety. Co gorsza, na spektakl jeszcze bardziej od niego czekała żona. Będzie miał spore problemy, jeśli z jego powodu się spóźni.

Zapisał dokument na komputerze z postanowieniem, że dokończy jutro. Zebrał swoje rzeczy i szybkim krokiem poszedł do gabinetu Pawła Tomaszewskiego, pięćdziesięcioletniego, ponurego naczelnika Wydziału Śledczego. Człowieka, który zasłużenie cieszył się reputacją choleryka. Urządzane przez niego awantury przeszły już do legendy i opowiadano o nich w całej Polsce. W pewnym momencie dwójka podwładnych była gotowa złożyć zawiadomienie o mobbingu. Rzecz niesłychana w prokuraturze. Koniec końców, dzięki mediacji przełożonych rozeszło się po kościach. Tomaszewski z kwaśną miną przeprosił. Podwładnym zaproponowano spokojniejsze stanowiska w innych jednostkach, co z radością przyjęli.

Trzeba jednak przyznać, że naczelnik bronił się statystykami. Jednymi z najlepszych w kraju, i do tego na tak trudnym terenie, jakim niewątpliwie była Warszawa. Co paradoksalnie wzmagało wszystkie paskudne cechy naczelnika. Uważał, że z takimi osiągnięciami powinien zejść znacznie dalej, tymczasem od lat nie dostał awansu.

Szydłoń robił w myślach szybki rachunek sumienia. Próbował odgadnąć przyczynę, dla której przełożony go wzywał, a że Tomaszewski chwalił bardzo rzadko, to jedyne, co przychodziło prokuratorowi do głowy, to popełniony przez niego błąd. Nie potrafił sobie żadnego przypomnieć, co jeszcze dodatkowo wzmagało jego niepokój.

O dziwo, naczelnik czekał na niego w dobrym humorze. Przyjął Szydłonia mocnym uściskiem ręki i zaprosił go, by usiadł. Nie na krześle naprzeciwko biurka, gdzie zwykle sadzał podwładnych, by ich opieprzyć, ale na skórzanej kanapie. Leżała na niej sportowa torba i rakietka tenisowa, które naczelnik szybko ściągnął i postawił obok.

– Pan samochodem? – zapytał Tomaszewski.

– Dzisiaj nie – odpowiedział zgodnie z prawdą Szydłoń. Wiedział, że tego

wieczoru będzie się śpieszył do domu. W takich sytuacjach zazwyczaj korzystał z taksówek. Nie tracił wtedy czasu na szukanie miejsca do parkowania, a taksówkarze najlepiej wiedzieli, gdzie są korki i jak je ominąć.

– W takim razie poczęstujemy się na koniec dnia – oznajmił naczelnik. Wyjął z szafki karafkę wypełnioną bursztynowym płynem, nalał go do dwóch szklanek i jedną wręczył podwładnemu. Prokurator nachylił się nad nią i powąchał. Zapach świadczył jednoznacznie – whisky. Tomaszewski gestem zachęcił go, żeby się napił. Szydłoń upił łyk. Przełknął.

– I jak?

– Całkiem, całkiem.

– Prawda? – powiedział Tomaszewski i na szczęście na tym skończyła się ich rozmowa na temat alkoholu.

Szydłoń trzymał w dłoniach szklanekę i czekał. Jego zdenerwowanie, pomimo serdecznego powitania, rosło, a nie malało.

– Przeglądałem sprawy, które pan prowadzi – przeszedł do rzeczy naczelnik. Szydłoń kiwnął głową. – Całkiem sprawnie pan sobie radzi.

– Dziękuję.

– Zwróciła natomiast moją uwagę sprawa pana Mieszka Ziemiańskiego.

– Tak?

– Jak tutaj wyglądają postępy?

– Cóż... Zależy, co pana interesuje. Mamy w tym przypadku zbieg różnych przestępstw, a także okoliczności...

– Tak, tak – przerwał mu przełożony. – Zapoznałem się z aktami. Proszę mi powiedzieć, odnośnie do samego porwania i zabójstwa, na czym stoimy. Zebrał pan dowody?

– Zebrałem – potwierdził Szydłoń. – Wystarczające, żeby postawić zarzuty wszystkim podejrzanym.

– A pan Ziemiański?

– No cóż, w jego przypadku sytuacja jest trochę bardziej skomplikowana.

– Ponieważ chce świadka koronnego.

– Dokładnie. A nie możemy mu go dać...

– Wiem, dlaczego nie możemy – przerwał mu po raz kolejny Tomaszewski.

– Przedstawił mu pan inne możliwości?

– Oczywiście.

– I co?

Prokurator wziął głęboki wdech.

– I chce świadka koronnego.

Tomaszewski podrapał się po brodzie, jakby nad czymś się zastanawiał. Potem upił spory łyk alkoholu.

– A właśnie! – powiedział nagle, wznosząc palec w górę. – Coś mi się

przypomniało. Zwolniło się miejsce w prokuraturze rejonowej w Otwocku. Byłby pan zainteresowany? Mógłbym tam pana wysłać w delegację.

Szydłóń drgnął zaskoczony. Otwock? Prokuratura rejonowa? Dlaczego miałby być tym zainteresowany? Tam nic się nie działo. To było dobre miejsce dla osób szykujących się do emerytury albo początkujących. Dla niego oznaczałoby to krok wstecz w jego karierze.

– Nie, dziękuję.

– Na pewno nie? Wydawało mi się, że pan jest stamtąd. Miałby pan bliżej do pracy.

– Mieszkam w Warszawie, na Ochocie.

– Ochota, Otwock. Każdy może się pomylić, prawda? – Naczelnik uśmiechnął się, jakby prosił o wyrozumiałość. – Wracając do tego Mieszka. Uparciuch z niego, co, panie prokuratorze?

– Niestety.

– Proponuję w takim razie, żeby uchylił mu pan tymczasowe aresztowanie – powiedział naczelnik.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Sam pan przed chwilą powiedział, że zebrał wszystkie niezbędne dowody, by postawić akt oskarżenia, prawda?

– Zgadza się. Niemniej wypuszczając go, ryzykujemy, że będzie próbował wpływać na świadków.

– Raczej wątpliwe. On sam niewiele może. A do tej pory nikt im nie groził, więc możemy założyć, że ryzyko takiego scenariusza jest niewielkie.

– To bardzo niebezpieczny człowiek. Kaliber zarzutów...

– Widzi pan, panie prokuratorze – przerwał mu po raz trzeci naczelnik. – Trzymacie go w areszcie już jakiś czas i niewiele z tego nam przychodzi. Oczywiście, możemy go potrzymać i dłużej, nawet rok, jeśli trzeba, ale na mój nos nic nam to nie da. Proponuję więc inną strategię. Wypuśćmy go. Niech nam trochę skruszeje na wolności. Niech poczuje na karku oddech byłych kumpli, którzy są wkurzeni za to, że próbował ich sprzedać. Tydzień, góra dwa i sam do nas wróci. Z pocałowaniem ręki weźmie wszystko to, co mu pan proponuje. Co pan na to?

Szydłóń spuścił wzrok. I końcowe pytanie, i cała przemowa zostały wygłoszone tonem nieznoszącym sprzeciwu. Prokurator jednak zdawał sobie sprawę, że wypuszczenie Mieszka w tym momencie to błąd. W areszcie mężczyzna był bezpieczny. Na wolności Borzestowski dorwie go prędzej czy później. Raczej to pierwsze niż drugie. Chyba że Mieszko ucieknie za granicę, ale wtedy prokuratura również nic na tym nie zyska. Koniec z marzeniami o przełomie w sprawie Wielkiego B. Koniec z wizją wsadzenia gangstera za kratki i pozbycia się go z miasta. Tomaszewski musiał sobie zdawać z tego sprawę.

– Uważam, że to błąd – odważył się powiedzieć Szydłóń.

– A ja uważam, że błędem jest pańskie dotychczasowe postępowanie. Zebrał pan dowody wystarczające do przygotowania aktu oskarżenia. To są pańskie słowa, nie moje! Nie ma wobec tego powodów, po zastosowaniu oczywiście środków zapobiegawczych, by trzymać go dalej w areszcie. A co do perspektyw, którymi mydli nam oczy pan Ziemiański, to nic z nich póki co nie wynika. Nie rozumiem, czemu mamy go utrzymywać na koszt podatników. Chcę wreszcie zobaczyć rezultaty! Chcę, żeby te jego mętne obietnice zamieniły się w konkrety! Proszę uchylić tymczasowe aresztowanie – powiedział twardo Tomaszewski.

Serce Szydłonia zaczęło mocniej bić. Polecenie było jednoznaczne. Gdyby dotyczyło innej sprawy, pewnie pokiwałby głową i wykonałby je, ale tym razem mieli na celowniku grubą rybę. A może powinien posłuchać Tomaszewskiego? Może jego taktyka by się sprawdziła? Jednak ryzyko było zbyt duże. Dlatego zdecydował się na krok, którego normalnie by nie zrobił.

– Poproszę o pismo w tej sprawie – powiedział. – Kiedy tylko je otrzymam, niezwłocznie zajmę się wypełnianiem rekomendacji.

– Oczywiście – odezwał się przełożony, a z jego twarzy zniknęła przyjacielska maska zastąpiona bardziej pasującą mu złością. – Mogę przygotować takie pismo...

Nie dodał nic więcej. Pozwolił, żeby Szydłoń domyślił się reszty. Otwock. Tomaszewski planował go tam delegować, jeśli tylko prokurator będzie się stawiał. Groził mu.

– Ryzyko takiego kroku...

– Proszę się tym nie przejmować – zapewnił go jowialnie naczelnik. – Panie prokuratorze, jasne jest, że przecież taka decyzja w takiej sprawie to nie pański autonomiczny wybór. Została podjęta przy wiedzy i zgodzie przełożonych. To poważna sprawa. Sprawa takiego kalibru, że może być przełomem, nie tylko w pańskiej karierze. Wszyscy tutaj o tym wiedzą.

To z kolei była obietnica. Jeśli coś się wypieprzy, to Szydłoń nie zostanie z tym sam. Tomaszewski weźmie na siebie część winy. Dlaczego więc nie chciał napisać pisma? Bo tak mu najwygodniej – odpowiedział sam sobie prokurator. Jeśli odniosą sukces, naczelnik chętnie przedstawi się jako jego współojciec. Jeśli porażkę, pomoże swojemu podwładnemu na tyle, na ile uzna za stosowne. Szydłoń nie miał wielkiego pola manewru. Jediną szansą na zmianę nastawienia Tomaszewskiego było zdobycie zeznań Mieszka, ale ten upierał się przy świadku koronnym. I fakt faktem, dopóki go nie uzyska, małe szanse, że cokolwiek im powie.

– Panie prokuratorze? – naciskał naczelnik.

– Przygotuję uchylenie aresztu – odpowiedział, chociaż zdawał sobie sprawę, że to kapitulacja.

Przełożony pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Bardzo dobra decyzja. Bardzo dobra.

Powiedział to w taki sposób, że Szydłoń pożałował nagle, że nie zdecydował się na delegację do Otwocka.

Sucha otworzyła drzwi od mieszkania i stanęła w progu. Poczowała, jak w jej ciele uruchamiają się dobrze znane mechanizmy walki – ucieczki. Przypomina to dobrze zaplanowaną operację drużyny AT. Wszystko zaczyna się w podwzgórzu mózgu, którego impulsy aktywują współczulny układ nerwowy. W rezultacie rdzeń nadnerczy wydziela adrenalinę, jej siostrę – noradrenalinę, a także kortyzol. Następuje szereg reakcji – rośnie ukrwienie mózgu, rozszerzają się oskrzela i zwiększa się tempo oddechu, serce zaczyna szybciej pracować. W mięśniach szkieletowych rozszerzają się naczynia krwionośne, a wątroba zaczyna przetwarzać glikogen w glukozę, która napędza cały mechanizm. Przychodzi czas na zmysły. Rozszerzają się źrenice. Wzrok się wyostrza, natomiast przytępieniu ulegają te, które organizm uznaje za mniej potrzebne – smak, węch, niekiedy także słuch. Cały ten proces jest starszy niż cywilizacja. Wywodzi się z okresu, kiedy nasi przodkowie uciekali po sawannie przed szablozębnymi tygrysami. Lata dobrobytu i względnego spokoju sprawiły, że te reakcje dla wielu ludzi stały się obce. Kiedy ich doświadczają, nieruchomieją przerażeni, nie wiedząc, co się dzieje, i nie potrafiąc wykorzystać szansy, którą podsuwa im własne ciało.

Nie dotyczyło to Suchej.

Najpierw ocena sytuacji. W przedpokojach w totalnym nieładzie leżały wyrzucone z szafy ubrania, buty i narzędzia. Wokół pociętej puchowej kurtki wałały się białe kłębki, jakby zmasakrowane resztki zwierzątka futerkowego. Kuchni nie potraktowano lepiej. Garnki i rozbite talerze na podłodze. Musieli narobić sporo hałasu. Aż dziwne, że żaden z sąsiadów nie zareagował.

Szybka decyzja. Powinna wyjść, zadzwonić po wsparcie, ale jedna rzecz jej na to nie pozwalała. Musiała najpierw sprawdzić szafę z bronią. Dowiedzieć się, czy włamywaczom udało się do niej dostać.

Pistolet zostawiła jak zwykle w komendzie. Wyjęła z kieszeni nóż składany. Nic nadzwyczajnego. Solidna robota do ogólnego użytku. Dziewięciocentymetrowe ostrze ze stali nierdzewnej pokrytej tytanową powłoką. Ergonomiczna rękojeść.

Weszła do środka. Drzwi zostawiła specjalnie otwarte, żeby ułatwić sobie ewentualną ucieczkę. Doszła do łazienki. Po prawej miała sypialnię. Widziała swoje łóżko z rzuconym na bok materacem. Książki i płyty na ziemi. Rozbebeszone biurko. Co dziwne – komputer wciąż stał na blacie. Nikt go nie ukradł. Dlaczego?

Zerknęła w lewo. Drugi pokój, w którym urządziła sobie salę do ćwiczeń i w którym stała szafka z bronią.

To był błąd. Facet wykorzystał ten moment. Wyskoczył na nią z sypialni

i chwycił od tyłu. Ramieniem otoczył szyję. Zacisnął. Poczowała okropny ból, kiedy zaczął miażdżyć jej tętnice.

W takich chwilach nie ma czasu na zastanowienie, liczą się odruchy. To, żeby ciało zaczęło samo działać, powtarzało wytrenowane czynności. A Sucha dużo ćwiczyła.

Cios nożem w udo. Duży cel. Tuż obok niej. Niewielkie ryzyko, że sama się zrani. Okrzyk bólu potwierdził, że trafiła. Przekręciła ostrze i krzyk zmienił się w rżenie. Mężczyzna szarpnął się. Wyrwał jej nóż z dłoni, ale to była mała strata, skoro dalej tkwił w jego nodze. Ważne, że ją puścił. Później płynny ruch – najpierw cios łokciem w bok. Najlepiej byłoby trafić w wątrobę, w jedno z najbardziej bolesnych miejsc. Sucha jednak nie zastanawiała się nad rezultatem. Odwróciła się, równocześnie wyprowadzając kolejny cios – pięścią w krtań. Trafiła, chociaż nie do końca czysto. Wystarczyło. Napastnik chwycił się za gardło i padł na ziemię.

Wtedy poczuła, że ktoś ją łapie od tyłu za włosy i ciągnie. Mimowolnie krzyknęła. Drugi napastnik wciągnął ją do pokoju ćwiczeń. Podciął, więc poleciała na ziemię. On wylądował na niej. Kolejny mężczyzna, znowu w kominiarce. Uderzył ją raz, drugi. Celował w twarz. Poczowała krew z rozbitej wargi. Zadzwońiło jej w czaszce. Dopiero za trzecim razem zasłoniła się przedramionami, ale on chyba tego nie zauważył.

– Dojadę cię, suko! Dojadę!

Trzymał ją jedną ręką, druga powędrowała w dół. Sucha poczuła, że wsadza ją pod bluzkę, boleśnie ścisną za pierś, a potem zaczyna szarpać się przy zapięciu jej spodni.

Był od niej większy. Był silniejszy. Przy tej różnicy wagi nie miała jak go z siebie zrzucić. Wciąż szumiało jej w uszach.

– Ty dziwko! Nie będziesz węszyć, suko jedna! – sapał mężczyzna, któremu udało się wreszcie rozpiąć zamek jej spodni.

Wyswobodziła jedną z rąk. Sięgnęła do kieszeni. Zacisnęła palce na alarmie akustycznym. Podniosła go w górę i nacisnęła przycisk, kiedy znalazł się tuż przy jego uchu.

Wiedziała, co się stanie, ale i tak 110 decybeli sprawiło jej niemalże fizyczny ból. Wolą się nawet nie zastanawiać, co poczuł siedzący na niej mężczyzna. Zresztą – należało mu się.

Efekt był taki, że napastnik poderwał się, trzymając się za uszy. Kopnęła go najmocniej jak potrafiła w krocze. Jego wrzask niemal zagłuszył alarm akustyczny. Osunął się na kolana. Akurat żeby zarobić kolejny kopniak prosto w twarz.

Szybko się podniosła. Szafa pancerna była kilka kroków od niej. Nie dali rady sforsować zamka, chociaż zarysowania i wgniecenia obok niego świadczyły o tym, że próbowali. Wyciągnęła klucze, otworzyła szafę i chwyciła pierwsze, co

wpadło jej w ręce – strzelbę powtarzalną, popularnie zwaną shotgunem. Przeładowała ją jednym ruchem i wycelowała. W samą porę. Ten, który dostał nożem w nogę, stał już w drzwiach pokoju. Drugi właśnie podnosił się z ziemi. Obaj zamarli, kiedy zobaczyli wycelowaną w nich lufę.

– Kto wam to zlecił? – zapytała.

Popatrzyli po sobie niepewnie. Nie odpowiedzieli.

– Kto wam to zlecił!? – powtórzyła, groźnie potrząsając bronią.

Najpierw zareagował ten z nożem. Po prostu się odsunął. Zniknął w przedpokoju. Drugi napastnik poszedł za jego przykładem. Cofał się krok za krokiem. Sucha szła za nimi, zachowując bezpieczny dystans.

– Kto wam to zlecił?! – krzyczała. – Kto?! Bo was zabiję, gnoje!

Nie doczekała się odpowiedzi. Wyszli na klatkę i zaczęli uciekać. Jeden trzymał się za udo i dziwacznie kuśtykał. Kopnięty w jądra nie wyglądał lepiej. Sucha prawie się zaśmiała.

Prawie.

Opuściła lufę. Nie miała siły ich gonić. Adrenalina z przyjaciółmi przestawały napędzać jej ciało. Poczła ogromne zmęczenie i ból emanujący z każdego mięśnia. A także bolesny skurcz żołądka. Z trudem powstrzymała się przed wymiotami.

Żałowała, że do nich nie strzeliła. Nie zrobiła tego z jednego powodu. Po prostu strzelba była nienaladowana.

Mortka otworzył słoik z fasolką po bretońsku. Wlał całość do rondelka, który postawił na gazie. Słoik wyrzucił do śmieci. Począł, aż danie się podgrzeje, i przeniósł garnek na stół. Do szklanki nalał wody z kranu. Od lat miasto przekonywało, że po przeprowadzonych inwestycjach jest ona równie dobra i zdrowa jak ta z butelek. Zupełnie go to nie przekonywało, ale nie miał nic innego. Zaczął jeść.

Po kilku łyżkach rozdzwonił się jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz – Ola, była żona. Odebrał.

– Cześć – powiedział, przeżuując fasolkę.

– Cześć. Dowiedziałam się o Kochanie.

– Skąd?

– Anka do mnie zadzwoniła – wytłumaczyła. – Wie, że jestem adwokatem.

Chciała się dowiedzieć, czy mogę mu jakoś pomóc.

– A możesz?

– Prawo karne to nie do końca moja działka, ale obiecałam, że podrzucę jej kilka nazwisk.

– To miło.

Zakręcił łyżką w garnku, mieszając sos, fasolę i kawałki kielbasy.

– Sprawa jest poważna? – zapytała Ola. – Anka naprawdę ma się czym martwić?

– Bardzo – odpowiedział niechętnie. – Nie rozumiem tylko, dlaczego skontaktowała się z tobą.

– To jej mąż. Chce mu pomóc.

– Wiesz, co jej zrobił?

– Wiem.

– Pobił tak, że wylądowała w szpitalu – powiedział mimo to. – A potem wywalił z domu. Powinna się cieszyć z tego, że on ma kłopoty, a nie wydzwaniać po wszystkich z prośbą o pomoc.

Ola długo milczała. Mortka rzucił łyżką o stół. Po co w ogóle zaczął ten temat? Czy naprawdę chodziło mu o Anię? A może szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego sam w to się pakuje?

– Myślę, że po prostu go kocha. Kobieta, kiedy kocha, może zrobić wszystko – odezwała się po chwili.

– Po tym, co jej zrobił?

– Nie pytaj mnie o to. Nie wytłumaczę ci. Tylko tak myślę głośno.

– Jasne.

– Ale nie dlatego do ciebie dzwonię – rzuciła, a on wiedział, że to zwiastuje kłopoty. – Chodzi o chłopaków.

– Co z nimi?
– No właśnie. Jesteś ich ojcem. Dobrze by było, żebyś się zainteresował. Poszedł gdzieś z nimi. Może chociaż zadzwonił.

– Dobrze.
– Wiem, że jesteś teraz w nowym związku. Wiem, że jest to absorbujące, więc dałam ci trochę luzu, ale nie możesz ich tak zaniedbywać.

– Zrozumiałem. Coś wymyślę.
– Nie mów, że coś wymyślisz, tylko coś zrób. I jeszcze jedna sprawa.
– Tak?
– Wigilia i święta. W tym roku planujemy zrobić Wigilię u Adama. Będę ja, moi i jego rodzice, no i oczywiście chłopaki. Pomyślałam, że też mógłbyś przyjść. Wiem, że to może być dla ciebie trudne, ale mimo wszystko ciągle jesteśmy rodziną. Patchworkową, jak to się mówi, ale jednak.

Już miał odpowiedzieć, kiedy usłyszał pukanie do mieszkania. Nie miał pojęcia kto to, ale w tej chwili z radością powitałby nawet komornika.

– Muszę kończyć. Ktoś przyszedł – powiedział i rozłączył się. Telefon położył na stole. Podszedł do drzwi. Otworzył je. Po drugiej stronie stała Sucha. Wzrok miała mętny, zmęczony. Rozbita warga spuchła i sprawiła, że jej usta były niemal dwa razy większe niż zazwyczaj. Pod jednym okiem rozlała się fioletowa opuchlizna.

– Co ci się stało, do cholery?!
Zrobił ruch, jakby chciał ją objąć. Wzdrygnęła się, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że nie chce być dotykana.

– Możemy pogadać?
Odsunął się, robiąc jej miejsce, żeby mogła wejść. Pomaszerowała do pokoju, ściągnęła z ramienia torbę i wyjęła z niej laptopa. Podłączyła go do gniazdka i włączyła.

– Opowiesz mi, co się wydarzyło? – zapytał, zamykając drzwi.
– Poczekaj, proszę.
– Na co?

Nachyliła się nad komputerem. Wpisała hasło, potem poczekała chwilę i uruchomiła jakiś film. Wtedy dopiero odsunęła się od ekranu.

– Na to – powiedziała.
Minęło ponad dwadzieścia minut, zanim Mortka odezwał się po raz kolejny. Przez ten czas kilka razy dokładnie obejrzał film. Potem usiadł przy stole i po prostu myślał. Obok niego stygła fasolka po bretońsku.

– Rozumiem, że to jest film Zuzanny? – zapytał. Głos miał zimny. Niby obojętny, ale jednak groźny i niepokojący.

– Tak.
– Ten, którego tak wszyscy szukali?

– Chyba tak.
– Skąd go masz?
– Znalazłam plastikową figurkę w jej pokoju. Wzięłam ją ze sobą. Potem, po wszystkim, okazało się, że to pendrive. Na nim był ten film i kilka szkiców do artykułu.

– Ukradłaś pendrive z pokoju ofiary zabójstwa?
– Wtedy nie wiedziałam, że to pendrive!
– To nic nie zmienia – powiedział, uderzając pięścią w stół. – Kurwa, Sucha! Pojebało cię do reszty?!

Wzruszyła ramionami i ten gest był tak irytujący, że pomimo jej wyglądu, opuchniętej twarzy miał ochotę ją uderzyć. Wstał od stołu. Chwycił się za głowę, jakby miał w ten sposób powstrzymać natłok myśli, które rozsadzały mu czaszkę.

– Co się stało? – zapytał. – Dlaczego nagle z tym do mnie przysłaś?

Opowiedziała mu o tym, co wydarzyło się w jej mieszkaniu, a potem o prywatnym śledztwie oraz o tym, co udało się jej do tej pory ustalić. Mortka słuchał uważnie. Ani razu nie przerywając, ale też nie zadając żadnego pytania. Jak nie on.

– Dlaczego nikomu o tym nie powiedziałaś? – odezwał się, kiedy skończyła.

Sucha zerknęła na komputer, gdzie na ekranie wciąż widać było skrzywioną z bólu twarz Arkadiusza Czarneckiego i owłosione ciało gwałcącego go mężczyzny.

– Pamiętasz, co się stało z Zużą?

– Tak.

– To nie są zwykli ludzie. Są potężni, wpływowi. Musiałam mieć więcej dowodów w rękę, zanim pójdę z tym wyżej. Nie mogę pozwolić na to, żeby ukrecono tej sprawie łeb. Chcę, żeby trafili do więzienia za to, co zrobili – Zuzie, temu chłopakowi i wszystkim innym, których skrzywdzili. Bo jestem pewna, że byli też inni. I to wielu.

Mortka patrzył na nią z wściekłością. Już sam fakt, że ukradła coś z pokoju ofiary, kwalifikował się do dyscyplinarki. Ukrywanie takich dowodów było nieodpowiedzialne, nieprofesjonalne. Ale rozumiał jej motywację, zwłaszcza po obejrzeniu tego filmu. Przez krótką chwilę zaświtało mu w głowie, że być może postąpiłby tak samo.

– Jesteś idiotką – powiedział.

Kiwnęła głową. Nie wiedział, czy to dlatego, że się z nim zgadza, czy jego opinia jest jej obojętna.

– Czego chcesz? – zapytał po chwili ciszy.

– Pomocy.

– Zgłoś to normalną drogą.

– Nie ma mowy. Uwalą to, wiesz o tym. A ja w końcu na coś trafiłam.

Dlatego przyszli do mnie do domu, przestraszyli się. Proszę, pomóż mi to dokończyć. Kiedy tylko zbierzemy odpowiednio dużo materiałów, sama pójdę z nimi tam, gdzie trzeba, ale najpierw muszę mieć pewność, że nikt nie da rady tego zamieść pod dywan... Proszę...

Patrzyła na niego błagalnie, a on musiał jej odmówić. Nie mógł teraz angażować się w kolejne nieoficjalne dochodzenie. Nie z Kochanem na głowie.

Na stole kuchennym rozdzwonił się jego telefon. Chciał odrzucić połączenie, ale na ekranie dostrzegł nazwisko Szydłonia. Odebrał, gestem dając znak Suchej, żeby była cicho.

– Tak?

– Wypuszczamy Mieszka.

Miał wrażenie, że dostał cios prosto w szczękę. Świat zawirował. Ugięły się pod nim nogi.

– Co?! Jak to?! Dlaczego?!

– Polecenie z góry.

– Przecież jak tylko Mieszko wystawi stopę poza próg więzienia, Borzestowski odstrzeli mu łeb! Kogo tam u was popierdoliło?!

– Uważają, że dzięki temu skruszeje.

– Skruszony czy nie, martwy nic nam nie pomoże.

Prokurator westchnął ciężko, boleśnie.

– Nie mogę długo rozmawiać. Jestem w operze. Właśnie jest przerwa.

Zabrzmiało to tak surrealistycznie, że Mortce przez moment wydawało się, że ten postradał zmysły. Już miał odpowiedzieć, że nic go to nie obchodzi, i zażądać dokładnych wyjaśnień, ale Szydłoni mu nie pozwolił.

– Udało mi się tylko jedno załatwić – dodał gorączkowo. – Podzwoniłem gdzie trzeba. Wypuszczają go jutro z samego rana. O szóstej. Nikt jeszcze o tym nie wie. Nikomu o tym nie powiedziałem. Rozumie pan, komisarzu? Rozumie pan?

– Chyba tak.

– Naprawdę muszę kończyć.

Szydłoni rozłączył się, zostawiając Mortkę z natłokiem myśli. Wypuszczenie Mieszka to był błąd. Wiedział o tym. Wyczuwał w tym rękę Borzestowskiego. Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób udało mu się do tego doprowadzić. I jeszcze Sucha, która teraz patrzyła na niego wyczekująco.

– I co? – zapytała.

Kochan. Mieszko. Za dużo na niego samego.

– Pomogę ci – powiedział ponuro. – Ale najpierw ty pomożesz mi.

Gruda zaparkował na ulicy Batorego, tuż przy Polu Mokotowskim. Wsiadł z samochodu, minął pub Zielona Gęś wypełniony o tej porze młodymi ludźmi. Zastanawiał się, czy tam nie wstąpić na jednego, żeby nabrać odwagi, ale w ten sposób mógłby się z nią minąć. Dlatego tylko przyśpieszył kroku. Wszedł do

przejścia podziemnego przy stacji metra, przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął przed wejściem do głównego budynku Szkoły Głównej Handlowej, potężnego, zwalistego, prostokątnego gmachu w łososiowym kolorze, ze szklanym dachem, przypominającym piramidę. Oświetlało go od spodu kilkanaście mocnych lamp. Był w tym jakiś chichot historii, że kadry nowej, kapitalistycznej Polski kształciły się w miejscu, które kiedyś uznano za czołowe osiągnięcie socrealistycznej architektury.

Gruda stanął z boku, niedaleko grupki rozgadanych studentów. Wyciągnął papierosa i zapalił. Jedna z dziewczyn, roześmiana blondynka z kręconymi włosami, oderwała się od znajomych i ruszyła w jego stronę. Wyglądało to tak, jakby chciała poprosić go o fajkę. Ale po kilku metrach zauważył zwątpienie rysujące się na jej twarzy. Jakby wzięła go za kogoś innego albo przestraszyła się tego, co zobaczyła w jego oczach. Zamiast podejść, minęła go ostrym łukiem. Przystanąła przy słupie ogłoszeniowym, udając, że od początku on był jej celem, i szybko wróciła do kolegów.

Policjant już chciał jej powiedzieć, żeby się nie bała. Co prawda jest psem, ale nie gryzie. Uświadomił sobie jednak, że wyglądałoby to idiotycznie. Stary dziad, który próbuje zrobić wrażenie na dwudziestolatce. Nie potrzebował tego. Rzucił niedopałek papierosa na ziemię i przygniótł go obcasem. Wszedł do budynku.

Znalazł się w tak zwanej auli spadochronowej, na dziedzińcu skrytym pod szklaną piramidą, otoczonym trzypiętrowymi krużgankami z drzwiami do sal wykładowych. Na parterze znajdował się bar, kiosk i księgarnia akademicka. Z nudów zaczął przeglądać wystawione tam książki. Zdecydowana większość poświęcona była ekonomii, kilka historycznych. Żadna go nie zainteresowała. W szybie dojrzał za to swoje odbicie. Nie dziwił się teraz, że blondynka przestraszyła się go. Nigdy nie przywiązywał wagi do swojego wyglądu zewnętrznego, kobiety w końcu przychodziły i odchodziły same z siebie, ale teraz było z nim naprawdę źle. Włosy w nieładzie, niechlujny ubiór, twarz, na której zmarszczki pogłębiły się znacznie przez ostatnich kilka dni. Sam by siebie ominął.

Usłyszał, jak ktoś schodzi z pierwszego piętra. Niewielka grupa studentów, kilku chłopaków, trzy dziewczyny, w tym ona. Podeszedł do klatki schodowej. Stanął trochę z boku, żeby nie blokować im przejścia.

– Cześć – rzucił, kiedy go mijali. Jego głos zabrzmiał dziwnie oschle i surowo.

Przystanąła. Odwróciła się do niego. Pulchna dziewczyna z krótkimi miedzianymi włosami i grzywką opadającą na jedno oko. Szeroko uśmiechnięta, chociaż teraz ten uśmiech zamarł i zmienił się w trudny do zinterpretowania grymas.

– Tata?

– Cześć – powtórzył.

Wysoki chłopak przystanął przy jego córce. Był dobrze umięśniony, ale nie dzięki sterydom, tylko regularnemu uprawianiu sportu. Spojrzał na nią pytająco, a potem wysunął się do przodu.

– Dzień dobry – powiedział, wyciągając rękę. – Nazywam się Tomek.

Gruda nie rozumiał, czemu chłopak mu się przedstawia, ale przywitał się z nim. Student miał silny uścisk dłoni.

– Miło pana poznać – dodał.

– Tomek – odezwała się córka Grudy.

– Tak?

– Idź już. Dołączę do was.

Chłopak chwilę się wahał, ale kiwnął głową. Pożegnał się z komisarzem. Pocałował jego córkę pośpiesznie w usta i wyszedł z resztą grupy.

– To twój chłopak? – zapytał.

– Nie, tylko ze sobą sypiamy – odpowiedziała dziewczyna, a potem wybuchnęła śmiechem. – Żebyś ty widział swoją minę!

Gruda chrząknął i poczuł, że się rumieni.

– A więc chłopak?

– Od ponad roku.

– Czyli to coś poważnego?

Dziewczyna zerknęła za siebie, żeby sprawdzić, czy student już wyszedł.

– Może – powiedziała.

– Wyglądał na miłego.

– Przestań. – Machnęła ręką. – Widziałeś go ile, dziesięć sekund? I już wiesz, czy jest miły albo nie? A może ćpa? Albo sprzedaje ritalin w akademikach przed sesją? Kradnie samochody? Albo mnie bije?

– Biję cię? – Zrobił krok do przodu i mimowolnie zacisnął pięści. Gdyby tylko dała mu znak, najmniejszy, nawet się zawahała, to natychmiast wybiegłby za tym chłopakiem, żeby skopać mu tyłek.

– Nie wygłupiaj się, tato – powstrzymała go. – Po prostu umówmy się, że nic o nim nie wiesz, okej?

– Okej – wymamrotał.

– Co tu w ogóle robisz? – zapytała.

– Dzwoniłem do twojej mamy. Powiedziała, że tu będziesz. Zdziwiłem się, bo jest strasznie późno.

– Mieliśmy zebranie koła naukowego.

– Koła? To takie rzeczy jeszcze istnieją?

– Aha.

– Co to za koło?

Przewróciła oczami.

– Zarządzania projektami.

– Aha.

Zapadła niezręczna cisza. Gruda przejechał palcami po włosach, jakby próbował poprawić fryzurę. Córka wpatrywała się w niego wyczekująco, a na ustach błąkał się jej drwiący uśmieszek. Taki sam jak u jej matki, co w swoim czasie doprowadziło do kilku ogromnych awantur z rzucaniem talerzami włącznie. Jego genom córka zawdzięczała za to sylwetkę.

– Myślałem, że zabiorę cię na kawę – powiedział. – Wasza knajpa jest zamknięta, ale może macie jakiś automat?

– Nie mam ochoty na kawę.

– To może czekoladę? Lubiłaś kiedyś czekoladę.

– Jako dziecko. Poza tym jestem na diecie.

Już miał powiedzieć, że niepotrzebnie, że pięknie wygląda taka, jaka jest (naprawdę tak uważał), ale choć raz domyślił się, że powinien się zamknąć.

– Słuchaj, tato. Powiesz mi, po co przyszedłeś? – zapytała. – Bo wiesz, nie miej mi tego za złe. Naprawdę chętnie bym się kiedyś z tobą umówiła, żeby gdzieś pójść, posiedzieć, pogadać. Ale ostatnio widzieliśmy się chyba... pół roku temu? I to też w przelocie. A teraz nagle się pojawiaasz. Dlaczego?

Poczuł, jak zaciska mu się gardło. Nie miał przygotowanej żadnej przemowy, chociaż spodziewał się takiego pytania. Nie przemyślał tego wszystkiego. Pozwolił, żeby kierowały nim emocje.

– Dużo się ostatnio wydarzyło – powiedział, walcząc z każdym słowem. – Chciałem cię tylko zobaczyć. Przepraszam, jeśli... Nieważne.

Przekrzywiła głowę, przyglądając mu się uważnie.

– Jesteś chory, tato? – zapytała.

– Nie! – zaprzeczył gwałtownie. Jego głos odbił się echem od ścian auli i powędrował pod szklaną piramidę.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, a potem zachichotała, zakrywając dłonią usta.

– Przepraszam. Nie powinnam. Przez chwilę myślałam.

– Jest okej.

– Fajnie. – Spojrzała na niego przepaszająco. – Słuchaj, naprawdę chętnie bym pogadała, ale teraz czekają na mnie znajomi...

– Jasne. Pędź.

Podeszła do niego. Położyła mu dłoń na ramieniu i delikatnie uściśnęła. Miły gest, drobny, ale i tak większy niż to, na co zasłużył. Kiepski był z niego ojciec. Oboje o tym wiedzieli. Szybko rozwiódł się z jej matką i z widoczną ulgą obserwował, jak się wyprowadzały. Nie potrzebował w domu małego dziecka. Wolał wtedy spokój, karton fajek i butelkę wódki. Po kilku latach przyszło otrzeźwienie, jednak straconego czasu nie dało się już nadrobić. Próbował, ale

wychodziło tak niezręcznie, że po każdym spotkaniu odczuwał tylko palący wstyd. Jej też było ciężko. Wydawało mu się do tej pory, że oboje z ulgą przyjęli zminimalizowanie wzajemnych kontaktów. Teraz nie był już tego taki pewien.

Andrzejewski nie chciał, by dzieci widziały go w kajdankach. Gruda podzielał to pragnienie. Córka mogła myśleć o nim różne rzeczy, ale przynajmniej wiedziała, że jest uczciwy. Nie chciał jej tego zabierać.

– To cześć – powiedziała.

– Cześć.

Odeszła kilka kroków.

– Magda! – krzyknął za nią. Zatrzymała się tuż przy drzwiach.

– Tak?

– Palisz? – zapytał, wyciągając paczkę z kieszeni. Potwierdziła skinieniem. Razem więc wyszli na zewnątrz. Stanęli na schodach, każde z własnym papierosem. Palili w milczeniu, wpatrując się w mknące alejami samochody.

Evelina miała jasną skórę i pieprzyk pod lewą łopatką. Po seksie zawsze przewracała się na bok. Przyciskała pośladki do krocza Kochana, tak że widział znamię niemal tuż przed sobą. Czasami je całował. Ona leżała bez ruchu z oczami szeroko otwartymi i myślała nie wiadomo o czym. Teraz żałował, że nigdy jej o to nie zapytał.

To była jego wina, pomyślał. To przez niego zginęła. Chciał zaimponować Mortce i wziął się za sprawę, której nie powinien ruszać. Gdyby zrobił to, co zrobili wszyscy policjanci przed nim –

olał to, Evelina ciągle by żyła. Jej matka również. A on byłby u siebie w domu, a nie leżałby na niewygodnym łóżku w studenckim mieszkaniu i podskakiwał na każdy głośniejszy dźwięk na klatce schodowej, obawiając się, że to oddział policji przyszedł go zatrzymać.

Podniósł się i podszedł do okna. Wyjrzał na zewnątrz. Obserwował ciemny parking przed blokiem. Biały ford krążył po nim w poszukiwaniu wolnego miejsca. Kilku typków w różnym wieku stało niedaleko osiedlowej ławki i podawało sobie z rąk do rąk butelczynę czegoś mocniejszego. Byli na tyle głośni, że nawet do niego docierały pojedyncze słowa – najczęściej przekleństwa i dużo rubasznego, ciężkiego śmiechu.

Z nudów zaczął po raz kolejny przeglądać przyniesione przez Mortkę akta i swoje notatki. Nie łudził się już, że coś w nich znajdzie. Spędził cały dzień, czytając je wciąż od nowa. I nic.

Nigdy wcześniej nie zadawał sobie tego pytania, ale teraz zastanawiał się, czy Evelina chodziła z nim do łóżka dlatego, że rzeczywiście się jej podobał, czy chciała go wykorzystać. Utrzymać jego zainteresowanie sprawą zamordowanego ojca, dać dodatkową motywację, żeby odnalazł sprawców. Nie podejrzewał jej do tej pory o taką dwulicowość. Zresztą trudno się dziwić. Wtedy nie zostawało mu za

dużo czasu na myślenie. Okoliczności też nie sprzyjały. Kiedy dwudziestokilkulatka rzuca się na twojego kutasa, jakby to była najlepsza rzecz na świecie, to nie myślisz o tym za dużo, tylko bierzesz to, co daje życie. W łóżku okazała się chętna, pomysłowa i entuzjastyczna. Dopiero teraz uświadomił sobie, że już po wszystkim, kiedy się ubierała, jej spojrzenie było martwe i nieobecne. Niewiele też mówiła. Może po prostu brzydziła się i jego, i siebie samej, i przede wszystkim tego, co przed chwilą zrobili. Nie przeszkadzało mu to.

Czy byłaby do tego zdolna? Głupie pytanie. To stało się jej obsesją. Poświęciła kawał życia tej zagadce. Czym było przy tym poświęceniu pójście kilka razy do łóżka z przygłupim gliniarzem?

Niczym.

Lubił ją. Miał nadzieję, że ona lubiła jego. Jej śmierć bolała. Zginęła przez niego. Nie powinien ruszać tej sprawy. Nie powinien nigdy do niej przychodzić.

Mężczyznom na dole skończył się alkohol. Jeden z nich wykonał szeroki zamach ramieniem. W powietrzu, w świetle ulicznych lamp zamigotała butelka, która sekundę później rozbiła się z głośnym brzękiem o ścianę śmietnika.

Odłożył akta i wyszedł z pokoju. Poszedł się wysikać. W mieszkaniu panował spokój. Akurat dzisiejszego dnia chłopaki nie robiły kolejnej imprezy. Nikt też nie przyszedł ich odwiedzić. Kochan trochę żałował. Głośna muzyka, hałas i alkohol mogłyby mu pomóc zagłuszyć ponure myśli w głowie.

Justyn i Długi siedzieli w kuchni. Palili papierosy przy otwartym oknie. Rzucił im krótkie „cześć”, kiedy wchodził do kibla. Chyba nawet mu odpowiedzieli. Załatwił się.

– Nie byłeś dzisiaj w pracy – powiedział Justyn, kiedy Kochan znowu przechodził przez przedpokój.

– Ano nie – odparł policjant. – Zaczynam za parę dni, pamiętacie?

– Ano tak. I będziesz siedział przez ten czas w Warszawie? Nie wracasz do Sochaczewa? – zapytał Justyn.

– Raczej nie.

– To co, będziesz tak tu siedział u nas na chacie i toczył kulkę z gówna? – odezwał się Długi.

Kochan zacisnął zęby. Powtarzał sobie, że nie potrzebuje nowych kłopotów, dlatego nie powinien wdawać się w pyskówki, które skończyłyby się tym, że po prostu przyłożyłby gnojkwowi. Spokój – powiedział sam do siebie – uśmiechnij się.

– Kulkę z gówna? – zapytał i pomimo wszelkich starań jego głos zabrzmiał wrogo, a przestraszony Długi przełknął ślinę. Miał dużą grdykę, jak mandarynka.

– No bo wiesz... Masz na nazwisko Chrabąszcz, lubisz fekal rocka. Zresztą znalazłem tę kapekę, którą polecałeś. Niezła jest.

Kochan zastanawiał się, czy chłopak sobie z niego drwi, czy mówi szczerze. Uznał, że to drugie. Spojrzenie chłopaka było otępiełe, jakby wciąż męczył go kac

po wczorajszej imprezie. W takim stanie raczej nie byłby zdolny do ironii.

– Kulka z gówna – powiedział. – Faktycznie. Dobrze. Trzymajcie się, chłopaki.

Poszedł do siebie, wiedząc, że jest to najmądrzejsza w tej chwili rzecz, jaką może zrobić.

– Dziwny jest – usłyszał jeszcze, jak mówi Długi.

– No, dziwny – potwierdził Justyn.

Kochan przystanął. Czekał na dalszy ciąg rozmowy. Nie zawiódł się.

– To był chyba błąd, że tu mieszka. Może trzeba go jednak wywalić?

– Zapłacił za dwa miesiące.

– Ale żadnej umowy nie podpisał, nie?

– No nie podpisał.

– A widziałeś kolesia, który do niego przyjechał dzisiaj?

– Nie.

– Jakiś dziwny, sztywny. Zamknęli się w pokoju na kilka godzin. Cholera wie, co tam robili.

– Może sobie nawzajem walili.

– Może.

– Dobra, Długi, wyluzuj. Przecież nie ma żadnych kwasów, nie? Niech sobie tu pomieszka, może za niedługo wyluzuje.

– A jak nie?

– To wtedy pomyślimy.

Kochan usłyszał, że zamykają okno. Pewnie kończyli palić. Najciszej jak potrafił wsunął się do swojego pokoju i zamknął drzwi.

Mieszko zdawał sobie sprawę, że siedzi krótko. W porównaniu z niektórymi bardzo krótko. I dlatego martwiło go, że już mu odbija, chociaż jemu było trudniej niż innym. Dostał pojedynczą celę, małą klitkę, w której mógł tylko odbijać się od ścian. Z za wąskim i za krótkim dla niego łóżkiem i oknem, przez które ledwo co wpadało światło słoneczne, a widok miał na ceglana ścianę budynku naprzeciwko. Prawie nie wychodził, tylko kilka razy zabrano go na spacer – betonowe podwórko z przyrządami gimnastycznymi i metalową siatką nad głową.

Przez dwa pierwsze tygodnie nosiło go. Wydawało mu się, że ma w sobie tyle energii, że samymi pięściami mógłby rozwalić ściany, wyrwać kraty z okna, kopniakiem wyłamać stalowe drzwi. Potem mu przeszło. Gwałtownie. Obudził się pewnego ranka i zorientował, że nie potrafi wstać z łóżka. Po prostu na nim leżał ze wzrokiem tępo wbitym w sufit i wsłuchiwał się w monotonne bicie własnego serca. Wcześniej nie mógł się doczekać, żeby móc z kimś porozmawiać. Teraz nawet nie chciało mu się otworzyć ust. Podczas spotkań z Szydłoniem i Mortką dosłownie się do tego zmuszał. Powtarzał raz za razem „świadek koronny, świadek koronny”, bo to były jedyne, co zapamiętał jego otępiały mózg. Ledwo do niego docierały ich słowa. Przeanalizowanie ich przekraczało jego siły.

Zaczął się też bać. Albo inaczej. Bał się przecież już wcześniej. Kiedy pracuje się z człowiekiem takim jak Borzestowski, strach jest czymś naturalnym i codziennym, ale wcześniej udawało mu się nad nim zapanować. Spychał go do kąta w swojej głowie i tam zamykał. Teraz już tego nie potrafił. Bywało, że nagle, zupełnie bez powodu serce zaczynało mu łomotać, krew szumiała w czaszce, a on podrywał się na równe nogi i rozglądał dookoła pewny, że Borzestowski gdzieś tu jest albo zaraz po niego przyjdzie. Zapewniali go, że jest bezpieczny, że nic mu się nie stanie, ale wiedział, że kłamali. Gangster jakoś do niego dotrze, dopadnie go, wbije mu nóż w bebechy, serce lub szyję, a potem on będzie się wykrwawiał na zimnej podłodze aresztu na Rakowieckiej i nie znajdzie się nikt, kto mógłby mu pomóc.

Tej nocy spał bardzo płytko. Wystarczał byle hałas, żeby otwierał oczy i zamierał w nerwowym oczekiwaniu na to, co nieuchronne. O ile nie dostanie świadka koronnego. To była jego jedyna szansa. Jego i Beaty.

Dziwne. Z jednej strony mało o niej myślał. Tak samo o ich dziecku, które rosło w jej brzuchu. Ale to tylko dlatego, że nieustannie odczuwał ich bliskość. I szczerze mówiąc, tylko to dodawało mu otuchy. Nie rozumiał tego. Beata interesowała się takimi rzeczami. Opowiadała mu o ciałach astralnych, bytach wielowymiarowych, połączeniu dusz i tym podobnych bzdurach, w które wtedy nie wierzył, bo sprawdzały się tylko w komiksach, ale teraz wydawało mu się, że coś jest na rzeczy.

Nad ranem usłyszał kroki na korytarzu. Podniósł się z łóżka, odrzucając koc. Wstał. Był pewien, że tym razem idą po niego. Nie wiedział, skąd ta pewność. Beata pewnie potrafiłaby wyjaśnić. Czekał.

Ktoś wsadził klucz w drzwi, przekręcił go z chrzęstem. Po chwili w progu stanął więzienny strażnik. Czterdziestoletni mężczyzna o smutnym spojrzeniu i obwisłych policzkach.

– Wychodzisz – rzucił krótko.

– Gdzie?

– Na zewnątrz.

Mieszko to się nie spodobało. Czuł, że coś jest bardzo nie tak. Tego strażnika też nie kojarzył. Nie widział go nigdy wcześniej.

– Pierdolcie się. Nigdzie nie idę – stwierdził.

Strażnik zazgrzytał zębami.

– Dobra, bo chyba nie skumałeś. Wychodzisz. Wypuszczamy cię. Zabierasz swoje rzeczy i wracasz do domu.

Mieszko teraz już wiedział, że zaraz zginie. Nikt nic nie mówił, że skracają mu czas aresztu. Zresztą ten prokurator na pewno by go nie wypuścił bez oddania garnituru. Do tego nie o tak wczesnej porze. Zazwyczaj wypuszczali później. Czyli odpowiedzialny był Borzestowski. Przekupił strażników. Nie chcą go zabijać w celi, więc zaprowadzą go do jakiejś kotłowni i tam to zrobią.

– Nie – powiedział Mieszko i usiadł na prycy. Postanowił, że nie da się wyciągnąć dobrowolnie. Nie pójdzie im z nim łatwo.

– Co takiego?

– Nie wychodzę. Pierdolcie się.

– Ale my cię wypuszczamy, ciole! Idziesz na wolność!

– Chuj ci w dupę.

Strażnik przypatrywał mu się niepewnie. Po dziesięciu sekundach zaklął i wycofał się na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Wrócił po kilku minutach. Razem z nim byli jeszcze dwaj inni funkcjonariusze, w tym dowódca zmiany. I to właśnie on zaczął mówić.

– Co jest, Mieszko? Podobno nie chcesz wyjść.

– Nie chcę.

– Czy funkcjonariusz powiadomił cię, że ma to związek z tym, że cofnięto decyzję o aresztowaniu?

– Mam to gdzieś. Nie wychodzę.

– Mieszko, nie możesz tu być. Nie możemy cię trzymać. Jesteś wolny, okej?

– W dupie to mam. Zostaję.

Dowódca zmiany przejechał dłonią po twarzy. Spojrzał na stojących za nim dwóch strażników. Oni również nie wiedzieli, jak zachować się w tej sytuacji.

– Dobra. Popilnujcie go, a ja zaraz wrócę. Muszę zadzwonić.

– Ale po co go pilnować? Przecież raczej nigdzie nie ucieknie, nie? – próbował zażartować ten z obwisłymi policzkami.

– Chociażby po to, żeby sobie debil krzywdy sam nie zrobił – odwarknął dowódca i zniknął z pola widzenia Mieszka. Zostali w trójkę. Strażnicy wyglądali na podenerwowanych, jakby naprawdę niepokoiło ich to, że Mieszko może próbować sobie coś zrobić. Albo co gorsza – im.

Dowódca wrócił po pięciu minutach. Stał w progu.

– Dobra, Mieszko – zaczął twardym głosem. – Pośmialiśmy się, ale wychodzisz. Już. Raz-dwa.

– Nigdzie nie idę.

Mężczyzna stęknął. Odwrócił się do swoich podwładnych.

– Bierzemy go – rzucił.

Weszli w trójkę do celi, a Mieszko chwycił się mocno metalowego stelażu pryczy. Otoczyli go. Potem jeden chwycił za jedno ramię, drugi za drugie. Szarpnęli z całych sił.

– Ja tu zostaję! – krzyknął więzień. – Zostaję tutaj! Zostaję!

– Kurwa mać! Silny jest!

– To weźcie go na glebę!

– Nie da się.

Dowódca zmiany wyciągnął zza paska gumową pałkę i uderzył Mieszka w przedramię. Nie z całych sił, ale i tak bolało tak mocno, że mężczyzna puścił stelaż. Zaraz spróbował znowu go złapać, ale wtedy dostał w głowę. Chyba niechcący, bo dowódca zrobił wielkie oczy i cofnął się przestraszony. Mieszko przycisnął dłoń do oka i od razu wyładował na ziemi. Wykręcono mu ręce, założono kajdanki i dopiero wtedy podnieśli go w górę. Próbował się uwolnić, ale tym razem nie dał rady. Wyciągnęli go z celi i wrzeszcząc, grożąc i siłując się z nim, doprowadzili go wreszcie do pomieszczenia, gdzie za biurkiem siedziała młoda kobieta. Tam znowu rzucili go na ziemię, zdjęli kajdanki i odsunęli się od niego. Funkcjonariuszka patrzyła skołowana na całą scenę. Otworzyła usta, żeby zadać im pytanie, ale dowódca zmiany pokręcił tylko głową, więc sięgnęła po stojący na podłodze plastikowy pojemnik i postawiła go na blacie.

– Tu są pańskie rzeczy – powiedziała. – Poproszę o pokwitowanie, że je pan odebrał.

Dwadzieścia minut później Mieszko stał na ulicy Rakowieckiej i zamykała się za nim właśnie brama więzienia. Był żywy i kompletnie skołowany. Nie rozumiał, co się właściwie wydarzyło. Wtedy tuż przed nim zatrzymała się toyota z wgniecionym bokiem. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i Mieszko w środku ujrzał komisarza Mortkę.

– Wsiadaj – powiedział policjant.

A Mieszko z braku lepszego pomysłu wykonał polecenie.

Sucha spędziła poranek w internecie, szukając w podwarszawskim Piastowie hurtowni sprzedającej piece gazowe, którą prowadził ktoś o nazwisku Kowalski. Zajęło jej to zaledwie dziesięć minut. Potem coś zjadła, wzięła prysznic, wysuszyła włosy i pojechała pod adres, który znalazła.

Wszystko na prośbę Mortki. Podzieliła się z nim swoim sekretem, więc on zrobił to samo. Musiała szczerze przyznać, że jego był większy. Kochan. Nie zdradził, gdzie ukrywa się podkomisarz, ale ujawnił, że mu pomaga. Opowiedział wszystko, czego dowiedział się o sprawie Trójki z Neptuna. Zawarli umowę – on jej pomoże z Łazarowiczem, a ona jemu. Wspólnie może uda im się coś osiągnąć i w jednym, i w drugim przypadku. Mortka ją zaskoczył. Nie spodziewała się po nim takiego zachowania. Oboje łamali tyle przepisów, że można by o nich napisać całą książkę. Swoją motywację rozumiała – chciała dołożyć paru dupkom. Jego nie, bo robił to, żeby jednego dupka uratować. Ale nie zamierzała zaglądać darowanemu koniowi w zęby. Dostała to, po co przysłała.

Hurtownia mieściła się w parterowym pawilonie obłożonym płytami izolacyjnymi i pomalowanym na pastelowy pomarańczowy. Na dachu zamontowano gigantyczny szyld z napisem „Gazsan – sprzedaż i montaż kotłów gazowych”. Sucha zaparkowała przy chodniku i weszła do hurtowni.

Wnętrze wypełniały różne modele kotłów, kaloryferów, stoiska z rurami, złączkami i metalowymi częściami. Pomędzy nimi porozwieszano świąteczne łańcuchy i trzy stroiki. Nad drzwiami Sucha z niedowierzaniem zauważyła gałązkę jemioly.

W środku o tak wczesnej porze nie było jeszcze żadnych klientów. Za ladą, obłożoną katalogami i reklamami, stał samotny mężczyzna. Pomimo młodego wieku miał już nadwagę. Sucha wiedziała, że jeśli facet nie zacznie ćwiczyć w przeciągu kilku lat, z pięciu kilogramów zrobi się dwadzieścia lub trzydzieści i nie będzie potrafił wejść na drugie piętro bez dwóch przerw i głośnego sapania.

– Pan Jacek Kowalski? – zapytała.

Mężczyzna oderwał wzrok od ekranu komórki.

– Tak. Dzień dobry.

Przerwał, przyglądając się jej obitej twarzy. A kiedy zorientował się, że robi to zbyt długo, chrząknął głośno, lekko się zaczerwienił i zaczął gorączkowo układać katalogi.

– Nie zauważyłem pani. W czym mogę pomóc?

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła legitymację służbową. Pokazała mu odznakę. Trzymała ją przed nim na tyle długo, by zorientował się, że jest z policji, i na tyle krótko, by nie zauważył, że przyjechała z Warszawy. Niepotrzebnie, bo ledwo na nią zerknął, wydał z siebie dźwięk, jakby uszło z niego powietrze.

– Znowu? – jęknął przeciągle. Oparł się o ladę, sprawiając wrażenie, że zamierza uderzyć o nią czołem. – Dalibyście mi już spokój.

Pomyślała, że to irytujący gówniarz, któremu chętnie by przyłożyła. Zabito mu narzeczoną, a on się zachowywał tak, jakby chodziło o kradzież roweru.

– Niestety – udała zmartwioną i przyjazną obywatelom funkcjonariuszkę. – Pan sam rozumie, sprawa jest poważna. Niektóre czynności musimy powtarzać, bo takie są przepisy. Nic na to nie poradzę.

Facet wymamrotał coś niezrozumiałego pod nosem.

– Słucham?

– Dobra, dobra – powtórzył głośniej. – Ale załatwimy to szybko, okej?

– Najszybciej jak potrafię – obiecała. – Gdzie pan był tamtej nocy?

– Tutaj.

– W sklepie?

– Tak.

– Pan tu mieszka?

– Nie, ale zdarza mi się tutaj czasami spać – chrząknął. – Kiedy jest natłok roboty, trzeba odebrać towar, opisać. Wtedy korzystam z kanciapy, tam z tyłu.

– Czy ktoś może potwierdzić pana alibi?

Wyciągnął palec i wskazał jakiś punkt ponad jej ramieniem. Odwróciła się i zobaczyła zawieszoną pod sufitem kamerę monitoringu.

– Drugą mamy na zewnątrz.

– Taśmy?

– Wzięliście do siebie. Nie wiedziała pani?

Przewróciła znacząco oczami.

– Pan sobie nawet nie wyobraża, jaki burdel mamy.

– Właśnie widzę.

Przyglądała mu się. Alibi było słabe. Potwierdzały je tylko nagrania, ale te przecież mógł sfabrykować. Byłby więc idealnym podejrzanym. Zdradzony narzeczony, który postanawia się zemścić na niewiernej partnerce. Dlaczego w takim razie kolesie z Grodziska porządnie się za niego nie wzięli? Od razu sama sobie odpowiedziała – bo nie wiedzieli o romansie Evelyn i Kochana. No dobrze, ale zakładając, że to on jest sprawcą – czy potrafiliby zabić dwie kobiety? Ukraść Kochanowi broń i podrzucić ją na miejsce zbrodni? Przygotować sobie alibi?

– Nie ma nikogo, kto mógłby potwierdzić, że był pan tutaj tej nocy?

– To znaczy?

– Może ktoś tu pana odwiedził? Albo rozmawiał pan przez telefon?

– Byłem dostępny na Facebooku.

– Obawiam się, że to nie wystarczy.

– W takim razie nie – powiedział zirytowany. – Czemu pani tak o to pyta? Podejrzewacie mnie? To idiotyczne.

– Dlaczego?

– Co takiego?

– Dlaczego podejrzewanie pana jest idiotyczne?

Zamrugał kilka razy. Zmarszczył brwi, jakby zrozumienie pytania kosztowało go dużo wysiłku.

– Bo jest.

Milczała, patrząc na niego wymownie i zmuszając do rozwinięcia wypowiedzi.

– Nie miałem powodu – dodał.

– A zawiedziona miłość?

Rozdzwoniła się jego komórka. Rzucił się na nią tak gwałtownie, że niemal wypadła mu z rąk. Odebrał i przycisnął sobie do ucha.

– No cześć – rzucił. – Co jest?

Słuchał odpowiedzi.

– Poczekaj chwilę... – Podeszedł do komputera. Poruszył myszką, żeby uruchomić monitor, a kiedy się włączył, zaczął szybko pisać na klawiaturze. – Teraz tego nie mam, ale mogę dodać do zamówienia, które już złożyłem. Będzie na jutro. Bierzesz? Za sto dwadzieścia komplet... Dobra... To dopisuję... Tylko odbierz, bo potem mi to leży na magazynie. No... Strzała.

Odłożył telefon. Odwrócił się do Suchej i na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie.

– Jeszcze pani tu jest?

– Nie skończyliśmy rozmawiać.

– A moglibyśmy? Ruch mi się zaczyna.

Jakby na potwierdzenie jego słów znowu rozdzwonił się jego telefon. Tym razem go ubiegła. Pierwsza podniosła komórkę. Nawet ubawiła ją jego zaskoczona mina. Odrzuciła połączenie.

– Powiedział pan, że podejrzewanie pana jest idiotyczne, bo nie miał pan żadnego powodu, żeby ją zabijać. Ja podsunęłam zawiedzioną miłość.

Telefon zawibrował jej w dłoni i rozległa się melodia dzwonka.

– Proszę mi go oddać.

– Proszę mi odpowiedzieć.

Wyszedł zza lady. Odsunęła się o kilka kroków, zwiększając dystans między nimi. Zawahał się, niepewny, czy powinien odpuścić czy raczej ją gonić. Zwyciężyła ta pierwsza opcja.

– Odda mi go pani? – poprosił płacząco. – Próbuję tutaj zarabiać pieniądze.

Odrzuciła mu telefon. Niezgrabnie go chwycił, ale nie nacisnął zielonej słuchawki.

– Co? – zapytał.

– Pana narzeczona została zastrzelona razem z pana niedoszłą teściową, a kilka dni później... Cóż, nie wygląda pan na zrozpaczonego. Szczerze mówiąc, nawet na smutnego.

Milczał tak długo, aż komórka przestała dzwonić. Oparł się o ladę. Sucha widziała, jak ze sobą walczy. Stawiała na to, że nie chce nic mówić, ale ma nadzieję, że jeśli powie prawdę, to wreszcie pozbędzie się policjantki. Przesłuchanie przez irytowanie było autorską metodą Suhej.

– Dobra. Jeśli chce pani wiedzieć, to planowałem z nią zerwać.

– Dlaczego?

Zgiął się wpół i trwał przez kilkanaście sekund w takiej pozie. Kiedy się wyprostował, jego twarz była czerwona.

– Przez jej ojca – powiedział. – Miała na jego punkcie obsesję, musiała dowiedzieć się, co się z nim stało. Przez lata to jeszcze jakoś ogarniałem, ale kiedy znaleźliście jego ciało, zupełnie jej odbiło. Wszystko przestało się liczyć. Tylko ojciec, ojciec, ojciec. Chciała nawet przełożyć wesele, chociaż termin mieliśmy dopiero za rok. Próbowала także pożyczyć kasę od mojego starego. Na detektywa czy adwokata, sam już nie wiem. Odleciała. Zupełnie.

– To był jedyny powód? – zapytała z powątpieniem.

– To nigdy by się nie skończyło – dodał ponuro. – Ale nie, to nie jedyny powód, chociaż najważniejszy.

– A inne?

– Naprawdę musimy o tym mówić?

– Przed chwilą wyznał pan, że planował zerwać z narzeczoną.

– Żeby z nią zerwać, nie musiałem jej zabijać!

Przyznała mu rację. Chociaż, jeśli ją zastrzelił, opowiadając o zerwaniu, odsuwałby od siebie podejrzenia. W takim wypadku nie mógł być przecież o nią zazdrosny. Ba, fakt, że sypiała z kimś innym, mógł przyjąć z ulgą. Ale wszystkie te rozważania rozbijały się o to, że kiedy jej o tym mówił, wydawał się szczerze zażenowany.

– Nikomu pan o tym nie powiedział, prawda? Chodzi mi o policję.

– Nie.

– Dlaczego?

Otarł rękawem spocone czoło.

– Wydawało mi się, że to będzie głupio wyglądać – powiedział po chwili. – Że po tym, co się wydarzyło, to byłoby niewłaściwe.

– Kochał ją pan w ogóle?

– Kiedyś tak.

Postanowiła nie ciągnąć tematu. Wyglądał tak żałośnie, że gdyby go jeszcze przycisnęła, zacząłby pewnie płakać, a tego by nie zniosła. Pożegnała się, co przyjął z dużą ulgą, i wyszła na dwór.

Na parking przed hurtownią wjechał biały samochód dostawczy. Zaparkował na tyle blisko niej, że kilka kamyków, które wystrzeliło spod jego kół, upadło niedaleko jej butów. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn w roboczych

kombinezonach. Zwyczajni, niczym niewyróżniający się faceci o spracowanych dłoniach i szczerych twarzach. Jeden z nich przystanął.

– Skopałbym mu dupsko – powiedział.

– Komu? – zapytała.

– Gnojkwowi, który to pani zrobił.

Normalnie taka protekcyjność powinna ją wkurzyć, ale teraz zrobiło się jej jakoś ciepło na sercu.

– Nie trzeba – odparła. – Sama się tym zajęłam.

– Zuch dziewczyna.

Obaj zniknęli we wnętrzu hurtowni. W drzwiach minęli się z Jackiem Kowalskim. Wymienili uściski dłoni. Chłopak obiecał im, że zaraz przyjdzie. Potem podbiegł świńskim truchtem do Suchej.

– Dobrze, że panią jeszcze złapałem – powiedział niepewnie. – Chciałem o coś zapytać.

– O co?

Przez kilka sekund zbierał się na odwagę. Na przemian zaciskał i rozluźniał pięści. Nie w agresywny sposób. Raczej po to, żeby zająć czymś ręce.

– O pierścionek zaręczynowy – odezwał się, kiedy zaczęła już tracić cierpliwość. – Jest szansa, żebyście mi go oddali? Po zakończeniu śledztwa, oczywiście. Wie pani... kosztował kilka tysięcy.

Pokiwała głową.

– Zapytam – skłamała i szybkim krokiem poszła do samochodu. Wsiadła do środka, uruchomiła silnik i odjechała, ale tylko za najbliższy zakręt. Tam stanęła na poboczu. Zadzwoiła do Mortki.

– I jak? – zapytał, kiedy tylko odebrał.

– Pytał, czy oddamy mu pierścionek.

Potrzebował chwili na zastanowienie się.

– Mógł kłamać – powiedział bez przekonania.

– Mógł – zgodziła się.

– Ale nie kłamał.

– Raczej nie.

– Przyjąłem.

Rozłączył się. A ona ruszyła w drogę powrotną do Warszawy.

Podinspektor Andrzejewski był żonaty od niemal trzydziestu lat. Za rok czekała ich okrągła rocznica. Planowali z tej okazji wielką rodzinną imprezę. Przez ten czas zaliczyli z Małgosią liczne wloty i upadki. Najtrudniej było sześć lat temu, kiedy zdiagnozowano u niej nowotwór. Remontowali wtedy dom. Mieli kredyty, dzieciaki w trudnym, nastoletnim wieku, na mieście działały się straszne rzeczy, a Małgosia leżała na materacu, wśród farb, tynków i narzędzi i wymiotowała do wiaderka po gipsie. Jej ciało niszczyło na równi z chorobą

agresywne leczenie chemią. Dwa razy wtedy o mało co nie umarła. Pamiętał tamten czas jak przez mgłę. Na zewnątrz starał się trzymać fason – dla dzieci i Małgosi, ale wewnątrz wszystko się kotłowało, gięło, pękało. Za dużo wtedy palił, zdecydowanie zbyt wiele pił. Życie go przerosło. W pewnym momencie wykorzystywał każdą okazję, żeby jak najrzadziej pojawiać się w domu. Otrzeźwiał dopiero wtedy, kiedy przekroczył granicę. Historia, jakich wiele w tym zawodzie. Chwila słabości, kiepskie towarzystwo, alkohol, piękna kobieta. Obudził się rano w hotelowym pokoju. Tamtej kobiety już nie było, ale pościel śmierdziała jej perfumami. Nagi, z czaszką łupiącą kacem, zwinął się w kulkę i zaczął płakać. Wiedział, że popełnił błąd, który mógł kosztować go wszystko. Ale naprawił to. Małgosia nigdy o niczym się nie dowiedziała. Wyzdrowiała, chodziła na kontrole. Nowotwór nie wrócił. I wciąż byli razem. Ludzie wokół nich pobierali się, rozstawali, pobierali po raz kolejny, czasem po raz drugi się rozwodzili. Ich ta matrymonialna karuzela nie dotyczyła. Kiedy ktoś go pytał, jaki jest sekret udanego związku, a on nie miał siły ani ochoty na długie przemowy, zawsze powtarzał dwa słowa: pół godziny.

Bo to też była prawda.

Dlatego i dzisiaj, jak codziennie przez ostatnie trzy dekady, obudził się trzydzieści minut przed żoną. Wyłączył budzik. Przez trzydzieści sekund leżał z szeroko otwartymi oczami, czekając, aż rozbudzi się do końca. Dopiero wtedy wstał powoli i cicho przeszedł do łazienki. Zrzucił z siebie piżamę i wszedł pod prysznic. Zaczął od letniej wody, żeby powoli zmieniać ją na coraz zimniejszą. Kiedy wreszcie udawało mu się przekręcić gałkę do oporu, stał bez ruchu, zaciskając zęby i licząc do pięćdziesięciu, chłostany lodowatymi strugami. Potem zakręcał kurek, wyskakiwał spod prysznica, prychając na lewo i prawo, i energicznie tarł rękami o skórę, aż ta robiła się cała czerwona.

Suchy stawał przed lustrem i przyglądał się swojemu odbiciu, uważnie badając postarzałe ciało. Od kiedy rzucił palenie, przytył już trzy kilo. Pomarszczona skóra zwisała mu bokami, brzuch opadał fałdą w kierunku krocza. Wśród włosów na klatce piersiowej dostrzegał siwe kępki. Coraz liczniejsze z roku na rok. Tracił mięśnie, zyskiwał tłuszcz. Wszystko przez siedzący tryb pracy. Kiedyś było inaczej. Napinał wtedy bicepsy, a jego mięśnie stawały się twarde jak stal.

Pomimo trzydziestu lat służby nie miał żadnej blizny. Fart. Kilka razy o mało nie zarobił nożem albo rozbitą butelką. Parę razy do niego strzelano. Najpoważniej było w połowie lat dziewięćdziesiątych. Dostali cynk o planowanym napadzie na tira na leśnym parkingu. Pojechali, żeby zgarnąć typków. Wywiązała się strzelanina. Jeden z tamtych miał broń automatyczną. Nie widział jej, ale brzmiała jak AK-47. Cholera wie, skąd wziął tę armatę i czemu zabrał na taką akcję. Ganił się po ciemnym lesie, strzelając na oślep. Kule latały w jedną i drugą

stronę, wbijając się w pnie drzew, płosząc ptaki, ścinając gałęzie. Tamci uciekli, nic im się nie stało. Po wszystkim technicy znaleźli na miejscu ponad sto łusek. Jedyłą ofiarą był kierowca ciężarówki. Dostał rykoszetem i kula roztrzaskała mu udo. Odratowali go, ale kosztem lewej nogi.

Andrzejewski dostał nawet jakąś pochwałę za tamtą akcję, bo ocalił facetowi życie. Udzielił mu pierwszej pomocy przed przyjazdem karetki. Zatał krewawienie, zrobił masaż serca i usta-usta, kiedy tamten na moment odleciał. Kiedy skończył, cały był ubrudzony juchą kierowcy.

Wiedzieli, kto jest odpowiedzialny, ale nie mieli żadnych dowodów. Parę dni później Andrzejewski spotkał tamtych typków w knajpie. On przy barze, oni parę stolików dalej. Patrzyli na siebie. Doskonale pamiętał swoją wściekłość wynikającą z bezradności. Śmiali się z niego, drwili. On mógł tylko zaciskać zęby. Był pewien, że znowu kogoś obrobiją, pobiją, może zastrzelą. W pewnym momencie jeden z nich kiwnął głową do policjanta, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, ułożył palce tak, by przypominały pistolet, i udał, że strzela. Andrzejewski dopił szybko piwo i wyszedł z knajpy. Obiecał sobie, że w ten lub inny sposób ich załatwi. Nie zdążył. Pół roku później jeden z tych mężczyzn zaginął. Plotki głosiły, że podskoczył komuś, komu nie sięgał do kolan, i wylądował w stawie z rybami. Drugi wkrótce później trafił do więzienia. Wyszedł po dziesięciu latach jako zupełnie inny człowiek. Odciął się od tego, co było, i wyjechał na drugi kraniec Polski. Andrzejewski stracił go z oczu.

Policjant ogolił się, umył zęby, włożył przygotowane wieczorem ubranie. Ciemnogranatowe spodnie, czarne skarpetki, błękitna koszula. Zszedł do kuchni, wyjął jajka, pomidory koktajlowe, pieczarki. Nastawił kawę i przygotował omlet.

Akurat nakładał go na talerze, kiedy weszła Małgosia w samej koszuli nocnej i bawełnianych majtkach. Zarzuciła na siebie szlafrok. Byli w tym samym wieku, ale ona wyglądała młodziej od niego. To przez botoks, który sobie wstrzykiwała. Nie pochwałał tego zabiegu, ale go akceptował. Włosy miała krótko obcięte, ponieważ tak jak i on nie cierpiała na nadmiar wolnego czasu, a tak było bardziej praktycznie.

– Pięknie pachnie – powiedziała, podchodząc do niego i cmokając go na dzień dobry w policzek.

Sekret udanego małżeństwa – kobieta zupełnie inaczej patrzy na mężczyznę, który jest ogolony, wymyty i podaje jej sycące śniadanie.

– Kawy? – zapytał.

– Poproszę.

Podszedł do ekspresu, przygotował jej ulubione podwójne espresso, potem drugie dla siebie. Wszystko zaniósł do salonu, na stół przy drzwiach balkonowych, skąd mieli widok na ogród. Wiosną i latem wypełniały go sycące zielenie, jesienią oczy bolały od kolorów. Teraz był przygnębiająco martwy.

Andrzejewski postawił talerz przed żoną. Podziękowała mu i wzięła widelec. Zaczęła jeść, równocześnie przeglądając wiadomości na tablecie. Pracowała w jednym z większych prywatnych banków, gdzie odpowiadała za pion klientów korporacyjnych. Zarabiała tyle, że było ich stać na ten piękny dom w Konstancinie i jeszcze zostawało na życie.

- Pyszny ten omlet – powiedziała.
- Cieszę się, że ci smakuje.
- Drzwi od garażu znowu się zacięły.
- Trzeba wtedy dwa razy nacisnąć pilot.
- Naciskałam chyba ze sto razy.
- I co?

– I w końcu ruszyły, ale nie pytaj mnie, za którym razem. Wiesz, że nie lubię tak siedzieć po ciemku w samochodzie przed domem.

Wiedział. Obawa z dawnych czasów, kiedy odstrzelono Dębskiego i Pupałę, w Parolach zginął Żak, a w Mikołajkach Marek Cekała. Dostawał wtedy pogroźki. Teraz było spokojniej, ale do dziś bała się, że ktoś spróbuje ją porwać, kiedy będzie siedzieć w samochodzie.

- Trzeba będzie kogoś do tego wezwać – powiedział.
- Mogę to zrzucić na ciebie?
- Raczej nie.

Spojrzała na niego pytająco, odkładając tablet na stół.

– Dużo roboty. Szykują reorganizację w komendzie – skłamał. – Będziemy zawaleni.

- Ciebie to też dotknie? – zapytała.
- Całkiem możliwe – przyznał.
- I co wtedy?
- Zostanę oddany do dyspozycji komendanta i zobaczymy co dalej.
- A jaki jest cel tej reorganizacji?

– Taki jak zawsze. Lepsze wykorzystanie zasobów, zwiększenie efektywności. Znasz to. Każdy komendant musi zamieszać w garze...

– ...choć od mieszania zupy nie przybędzie – zakończyła za niego. Położyła swoją dłoń na jego. – Jak się z tym czujesz?

- W porządku – powiedział.

Nawet nie bardzo kłamał. Wkurzało go, że go wymieniają i chcą wstawić na stanowisko człowieka od wewnętrznych, ale teraz większym zagrożeniem był Borzestowski. To on był priorytetem i problemem, który należało rozwiązać. Intrygi w komendzie mogły poczekać.

- Cieszę się. Myślę, że wyjdzie ci to na dobre. Czas na zmiany.

Korporacyjne brednie, zdążył pomyśleć, ale oczywiście nie powiedział tego głośno. Poczul za to wibrowanie w kieszeni. Wyciągnął komórkę i ujrzał nazwisko

Grudy. Przeprósł żonę i wstał od stołu. Wyszedł na taras, gdzie natychmiast zaczął go kęsać zimny wiatr. Nie mógł jednak równać się z porannym prysznicem. Andrzejewski odszedł w bok. Na tyle daleko, żeby Małgosia na pewno go nie usłyszała. Stał obok choinki, która rosła w wielkiej drewnianej donicy. Dopiero wtedy odebrał.

– Co jest, Gruda?

– Mieszko wyszedł.

– Co takiego?! Jak to?!

– Nie wiem jak to. Wyszedł. Po prostu.

– Skąd wiesz?

– Od znajomego, który pracuje na Rakowieckiej – wyjaśnił policjant. –

Poprosiłem, by miał oko na Mieszka. Rano dostałem cynk. Pomyślałem, że będziesz chciał wiedzieć.

– Ale kto go wypuścił?! Prokuratura? Sąd?

– Prokuratura.

Andrzejewski odwrócił się w kierunku domu. Przez okno widział, jak Małgosia samotnie je śniadanie. Przesuwała palcem po ekranie tabletu. Albo czytała, albo grała w jakąś grę.

– Dzięki, Gruda – powiedział i rozłączył się. Schował telefon do kieszeni, chociaż miał ochotę rzucić nim w krzaki. Patrzył na żonę w kuchni. Patrzył na swój dom. Na ogród, w którym planowali wybudować basen.

Nie miał pojęcia, co się dzieje, ale wiedział, że nie pozwoli sobie tego wszystkiego odebrać. Za ciężko na to pracował.

Gruda powiedział, że powinien sobie w końcu ubrudzić ręce.

Gruda miał rację.

Mieszko ledwo mieścił się w samochodowym fotelu. Odsunął go maksymalnie do tyłu, ale nawet pomimo tego ciągle się wiercił, to wyciągając nogi, to podkurczając je. Mortka obserwował go dyskretnie. Więzienie zmieniało ludzi, wiedział o tym. Jednych łamało, inni odnajdywali się w nim zaskakująco dobrze. Jakby prawdziwy świat był dla nich za duży, a ten za murami pasował im jak dobrze dobrane buty. Znał nawet takich, którzy cieszyli się na każdy powrót. Mieszko spędził w areszcie zaledwie kilka tygodni, mimo to wyglądał, jakby przemielila go maszynka do mięsa, a potem poskładano go za pomocą kleju i biurowego spinacza. Jego przemiana wynikała jednak z czegoś innego – niszczył go strach przed Borzestowskim.

– Co ci się stało? – zapytał policjant i wskazał na zadrapania na twarzy.

– Sprali mnie na do widzenia.

– Dlaczego?

– Bo nie chciałem wyjść.

– Jesteś chyba pierwszy, który dostał bęcki za to, że nie chciał opuścić więzienia.

Mieszkowi nie wydawało się to zabawne. Miał ponurą minę. Palce wbijał w fotel, jakby próbował przebić tapicerkę.

– Co tu się odpierdala? – zapytał.

Mortka początkowo nie odpowiedział. Także dlatego, że sam do końca nie był pewien, a wolał niepotrzebnie nie spekulować, żeby nie denerwować Mieszka jeszcze bardziej. Fakty jednak tworzyły niepokojącą układankę. Prokuratura wbrew Szydłoniowi zdecydowała o zwolnieniu mężczyzny z aresztu. Czyżby macki Borzestowskiego sięgały aż tak daleko?

– Nie jestem pewien – powiedział wreszcie policjant. – Ale to nie przez nas wyszedłeś. Zdecydował o tym ktoś inny.

– Borzestowski?

– Nie wiem.

– Kurwa...

– Uważam, że grozi ci teraz niebezpieczeństwo.

– Co ty nie powiesz – mruknął Mieszko i zaśmiał się krótko, gardłowo, jakby próbował odkaszlnąć. – Co z Betty?

– Twoją dziewczyną?

– Tak.

Jechali na północ Warszawy. Mortka skręcił na rondzie Dmowskiego w lewo, przejechał obok PeKiNu, a potem w prawo na Jana Pawła II, na tyły gigantycznej galerii handlowej Złote Tarasy. To nie była może najwygodniejsza droga, ale zależało mu na tym, żeby nie przejeżdżać obok pałacu Mostowskich,

gdzie mieściła się Komenda Stołeczna Policji. Nie chciał niepokoić Mieszka.

– Wszystko w porządku – skłamał.

– Rozmawiałaś z nią?

– Nie. – Tym razem zdecydował się powiedzieć prawdę, żeby zaraz znowu od niej odejść. – Ale mamy ją dyskretnie na oku. Tak na wszelki wypadek.

– Chcę do niej jechać.

– Nie ma mowy.

– Zawieź mnie do niej.

– Nic z tego.

– Jestem, kurwa, wolnym człowiekiem, więc mogę iść, gdzie chcę! – wrzasnął nagle Mieszko i wałnął pięścią w dach. Huk był taki, że Mortka instynktownie się skulił, a potem gwałtownie zmieniając pas, zatrzymał się przy przystanku autobusowym. Kierowca srebrnego golfa, przed którego się wepchnął, zatrąbił na niego i mijając go, pokazał środkowy palec.

– Wypuściliście mnie z więzienia – powiedział już spokojniej Mieszko. – Mogę iść, gdzie chcę.

– To idź.

Mieszko otworzył drzwi. Wystawił jedną nogę na zewnątrz.

– Ale zastanów się – odezwał się Mortka. – Jeśli za twoim wyjściem naprawdę stoi Borzestowski, to jak myślisz, gdzie on na ciebie teraz czeka? Gdzie będzie próbował cię zgarnąć?

Mężczyzna zamarł w pół ruchu. Ramiona mu zadrżały, siąknął głośno i schował nogę z powrotem do samochodu. Zamknął drzwi z mocnym trzaśnięciem.

– To co teraz? – zapytał.

– Teraz zapnij pasy – odpowiedział komisarz.

Wrzucił kierunkowskaz, zerknął w lusterka i ruszyli. Resztę drogi pokonali w milczeniu. Mortka wysłuchał radiowych wiadomości. Potem zaczął się jakiś program publicystyczny. Typowa rozmowa z politykiem, z której nic nie wynikało. Znużony wyłączył radio.

Dojechali na Bemowo. Mortka wyciągnął komórkę i zadzwonił do Kochana z prośbą, by ich wpuścił. Umówili się, że będą tak robić, by ograniczyć do minimum kontakt z jego współlokatorami.

– Wysiadamy – powiedział komisarz do Mieszka.

– Gdzie jesteśmy?

– Zobaczysz.

Poprowadził go do bloku. Windą wjechali na piąte piętro. W otwartych drzwiach do mieszkania czekał już na nich Kochan. Na widok człapiącego powoli Mieszka zrobił wielkie oczy.

– Co jest?! – wyszeptał.

– To jest Mieszko. Zostanie z tobą trochę.
– Po pierwsze, wiem, kto to jest. Człowiek Borzestowskiego. Po drugie, oszalałeś?!

– Naprawdę chcesz o tym rozmawiać na klatce schodowej?
Kochan wykrzywił się w grymasie przepełnionym bezdenną irytacją.
– Przecież jak was wpuszczę, to już nie wyjdziecie.
– Masz mnie za jakiegoś domokrażcę, który chce ci wcisnąć cudowny odkurzacz?

– A ty mnie za frajera, Kuba?
– Raczej za faceta, który nie za bardzo może teraz wybrzydzać. Masz tylko mnie. Więc albo zaczniesz robić to, co ci każę, albo radź sobie sam.

Kochan zaklął pod nosem. Odsunął się, wpuszczając ich do mieszkania. Mortka poprowadził Mieszka do pokoju policjanta. Kiedy wszyscy byli już w środku, zamknął za nimi drzwi. Gangster z niedowierzaniem rozejrzał się po pomieszczeniu. Opadł na tapczan, aż sprężyny zajęczały pod jego ciężarem. Oparł głowę na zaciśniętej pięści. Zaburczało mu w brzuchu.

– Jest tak – powiedział komisarz. – Dopóki nie dam znać, że można, obaj tutaj siedzicie i nie wysuwacie nosa poza ten pokój. Tyle, żeby do kibla pójść i wrócić. Nawet do okna nie podchodźcie bez potrzeby. Kochan, pilnuj Mieszka, żeby nie wpadło mu nic głupiego do głowy. Ma równie przesrane jak ty.

– Chyba sobie żartujesz?
– Wyglądam, jakbym żartował? Wszystko się wali, Darek. Muszę wymyślić, jak ogarnąć ten burdel. A to będzie o wiele łatwiejsze, jeśli będę wiedział, że obaj jesteście w bezpiecznym miejscu.

Kochan zacisnął zęby ze złości. Oddychał ciężko. Teraz nie mógł już niczego zrobić. Co do jednego miał rację – skoro już ich wpuścił do mieszkania, nie było szans, by się ich pozbyć.

– Co mam powiedzieć reszcie chłopaków?
– Chłopaków? To już są twoi kumple?
– Nie są. Wiesz, o co chodzi. Nie będą zadowoleni.
– Powiesz, że twój brat, kuzyn czy kolega potrzebuje noclegu. Albo coś takiego.

– Wątpię, żeby to kupili.
Mortka pomasaował czoło.
– Coś wymyślisz.
– To jest kiepski pomysł. Ledwo mnie akceptują, okej? Poza tym miałem nie zwracać na siebie uwagi. A teraz nagle wprowadzam im do mieszkania wielkiego skurwiela, który wygląda, jakby połowę życia spędził w więzieniu, a drugą na koksowaniu.

Mortka zerknął na Mieszka, zastanawiając się, jak mężczyzna zareaguje na

ten opis. Szykował się już do załagodzenia konfliktu, ale gangster nawet się nie poruszył. Albo nie słyszał, albo zignorował.

– Tak, to jest kiepski pomysł – zgodził się nieoczekiwanie komisarz. – Póki co nie mam lepszego. Zostajecie obaj tutaj. Jak będzie jakiś kryzys, dzwoń. A ty, Mieszko, oddaj komórkę.

– Co takiego? – zapytał Mieszko, powoli podnosząc głowę.

– Żeby ci nie wpadły głupie pomysły do głowy.

– Chciałbym pogadać z moją dziewczyną.

– Pogadasz, kiedy przyjdzie czas. Teraz lepiej, żebyś z nikim się nie kontaktował.

– Okej. Do nikogo nie będę dzwonił.

– Dawaj komórkę.

– Nie.

– To wiesz, gdzie są drzwi.

Mężczyzna podniósł się z kanapy. Przez chwilę wydawało się, że naprawdę ma zamiar wyjść z mieszkania, ale zaraz potem stęknął i sięgnął do kieszeni.

– Nie podoba mi się tutaj – powiedział, wciskając policjantowi aparat do ręki. – Ten pokój jest mniejszy od mojej celi.

– Ale przynajmniej masz współlokatora – odpowiedział Mortka. – Tego przecież chciałeś, prawda?

Andrzejewski zaparkował pod mostem Poniatowskiego, potężną budowlą, stalowymi przęsłami spinającą Wisłę. Nie tylko łączyła oba brzegi, lecz także wbijała się w nie twardo i nieustępliwie.

Poszedł parkowymi alejami, którymi oprócz niego wędrowali starsi ludzie ze starszymi psami i stada czarnych ptaków, kawek lub gawronów. Tylko na jednej ławce, w głębi, dostrzegł grupę młodych ludzi. Pili i palili. Z komórek dolatywały dźwięki muzyki tanecznej.

Przebiegł przez ulicę Kruczkowskiego, minął plenerową siłownię i potem idąc wzdłuż ciągu wieżowców, doszedł do Ośrodka Sportu i Rekreacji „Solec”. Tam, pod wielkimi balonami znajdowały się korty tenisowe.

Andrzejewski wszedł do środka pewnym krokiem. Kiwnął głową na przywitanie recepcjonistce, ale ta nawet go nie zauważyła. Tym lepiej dla niego. Zszedł schodkami poziom niżej, gdzie mieściły się szatnie, wejście do sali gimnastycznej oraz siłownia. To właśnie ostatnie pomieszczenie było celem policjanta.

Andrzejewski grywał w tenisa w młodości. Potem porzucił ten sport. Wrócił, gdy przeprowadzili się do Konstancina. W tamtych okolicach wypadało od czasu do czasu pobiegać z sąsiadami po korcie. Parę razy zdarzyło mu się również zagrać z Tomaszewskim. Stąd wiedział, że właśnie tutaj zostanie tego ranka prokuratora. Tomaszewski miał swoją rutynę: najpierw mecz, zwykle trwający około godziny,

potem siłownia, gdzie przez czterdzieści minut walczył z ciężarami, a następnie prysznic.

Siłownia była idealnym miejscem na dyskretne spotkanie. W tym niewielkim podłużnym pomieszczeniu mieściło się zaledwie kilka przyrządów. Nawet popołudniami mało kto tam przychodził. O tej porze, w środku tygodnia, Tomaszewski był jedynym ćwiczącym.

Kiedy podinspektor wszedł do środka, prokurator właśnie siedział na ławeczce i wpatrzony w swoje odbicie w wielkim lustrze, które zajmowało całą ścianę, podnosił i opuszczał pięciokilowy ciężarek. Skupiony na obserwowaniu pracy swojego bicepsa, nie zauważył nawet, kiedy policjant stanął tuż za jego plecami. Robił przy tym pełne samozadowolenia miny, a Andrzejewski pomyślał, że w pewien sposób przypomina to masturbację.

– Cześć.

Tomaszewski drgnął. Podniósł wzrok. Dojrzał jego odbicie i kiwnął głową na powitanie. Wykonał jeszcze kilka powtórzeń, zanim zdecydował się na odłożenie ciężarka. Wstał z ławeczki. Odpiął rzep i ściągnął z dłoni rękawiczkę do ćwiczeń.

– Cześć.

Przywitali się krótkim, męskim uściskiem.

– Nie wiedziałem, że tu będziesz – powiedział Tomaszewski. – Dawno nie graliśmy.

– Za słaby jestem na ciebie.

– Przestań. Całkiem nieźle sobie radzisz. Poza tym tutaj chodzi o grę, a nie o wygrywanie.

W oczywisty sposób kłamał. Zawsze chodziło o wygrywanie. Im obu. Dlatego przestali się spotykać na korcie. Było jasne, że jeszcze jedna, dwie partyjki i zamiast grać, zaczną rzucać w siebie raketami.

– Ćwiczyć też nie przyszedłeś – zauważył prokurator. – A jeśli tak, to strój masz mało odpowiedni. Będzie ci niewygodnie.

– Chciałem z tobą porozmawiać.

– O czym? – zapytał Tomaszewski.

– O Mieszku Ziemiańskim.

Prokurator wciągnął z powrotem rękawiczkę, a potem rozruszał stawy łokciowe.

– Przypomnij mi – poprosił. – Który to?

– Człowiek Borzestowskiego. Zarzuty: porwanie, współudział w zabójstwie. Starał się o świadka koronnego.

– Faktycznie. Coś mi świta. – Tomaszewski wskazał na leżące na ziemi żeliwne ciężary. – Pomożesz mi?

– Jasne. Ile?

– Zaczniemy od osiemdziesięciu.

Podnieśli talerze i każdy z nich założył ciężar po swojej stronie gryfu. Prokurator położył się na ławeczce, chwycił za sztangę i podniósł ją z uchwytu. Przez chwilę trzymał w górze, a potem powoli opuścił do klatki piersiowej, równocześnie wypuszczając ze świstem powietrze z płuc. Potem wypchnął mocno do góry. Ruch ten powtórzył pięć razy. Wreszcie powoli odłożył ciężar na uchwyt i podniósł się do pozycji siedzącej.

– Mieszko – przypomniał mu policjant.

– No tak. Co z nim?

– Wypuściliście go z aresztu. Dlaczego?

– Chryste... Nie wiem. Spytaj prokuratora prowadzącego sprawę. Który to?

– Szydłoń.

– Powinieneś zapytać jego. Masz numer?

– Znajdę – powiedział Andrzejewski.

– Pomożesz mi? Dołożymy jeszcze czterdzieści.

– Jasne.

Podnieśli z ziemi talerze o ciężarze dwudziestu kilogramów. Dołożyli do pozostałych, zakręcili zaciski i prokurator zajął miejsce na ławeczce.

– Jeśli już tu jesteś, będziesz mnie asekurował?

– Żaden problem.

Policjant stanął za prokuratorem. Pomógł mu zdjąć sztangę z uchwytów.

– Trzymasz? – zapytał.

– Tak.

Podinspektor puścił gryf, równocześnie pozostając w pogotowiu. Obserwował mięśnie prokuratora. Lekko drżały. Tomaszewski zacisnął zęby. Ostrożnie i powoli opuścił sztangę tuż nad swoją klatkę piersiową. Potem ostrym, mocnym ruchem wypchnął ją z powrotem w górę.

– Raz – stęknął, wypuszczając powietrze z płuc.

– Dobrze ci idzie – powiedział Andrzejewski i żeby go zachęcić, klasnął głośno.

Prokurator po raz kolejny opuścił sztangę. Wtedy policjant mocno ją chwycił i oparł się na niej ciężarem swojego ciała. Tomaszewski jęknął zaskoczony. Otworzył usta, żeby wziąć wdech, ale nie był w stanie tego zrobić. Wysunął do przodu język. Jego twarz najpierw pobladła, a potem zaczęła nabierać czerwonego koloru.

– Ważę koło stówki, więc teraz masz do wyciśnięcia ponad dwieście – powiedział ponuro Andrzejewski. – To raz. Dwa, jesteśmy tu sami, więc nikt ci nie pomoże. Trzy, nikt nie zwrócił na mnie uwagi, kiedy tutaj wchodziłem, nikt nie zwróci uwagi, kiedy będę wychodził. Cztery, kiedy cię znajdą, pomyślą, że głupi dziad nabrał za dużo ciężarów. Pięć, wiem, jakie zarzuty wisiały nad Mieszkiem,

i wiem, jaki był on ważny. Nie ma szans, żeby Szydłoń go sam wypuścił. Zmusiłeś go do tego. Kto ci kazał to zrobić?

Jeszcze mocniej oparł się na sztandze. Z gardła prokuratora wydobyło się urywane rżenie. Puścił sztangę. Zamachał ramionami, próbując trafić Andrzejewskiego. Uderzył go słabo w rękę. Jedna dłoń wylądowała na twarzy policjanta, ale podinspektor zrzucił ją z siebie niczym natrętną muchę.

– Kto? Kto?!

Tomaszewski wykonał gest brodą, jakby dawał znać, że się zgadza. Andrzejewski zacisnął dłonie na gryfie, ugiął nogi, a potem, wykorzystując całe ciało, uniósł ciężar w górę. Prokurator najpierw nabrał powietrza. Czerwień na jego twarzy przybrała nieznacznie jaśniejszy odcień. Zsunął się z ławeczki. Policjant puścił sztangę, a ta spadła, żeby zaraz przechylić się i z jednej strony uderzyć o podłogę. Niedaleko prokuratora, który przestraszony schował głowę w ramionach.

– Kto? – powtórzył Andrzejewski.

– Oszalałeś? – wyszeptał z trudem Tomaszewski.

Podinspektor podszedł do stojaka z ciężarkami. Wyciągnął siedmiokilowy, cały żeliwny i stanął z nim niedaleko prokuratora, tak żeby mężczyzna mógł się przyjrzeć. I samemu wyciągnąć wnioski.

Wyciągnął właściwe.

– Łazarowicz – powiedział.

Andrzejewski zmarszczył brwi. To nazwisko nic mu nie mówiło.

– Kto to jest? – zapytał.

– Chryste... Facet. Facet, który zna ludzi. Wszystkich tych, których warto znać.

– Dlaczego mu pomagasz?

Rzut oka na minę Tomaszewskiego dał mu odpowiedź. Andrzejewski wiedział o ambicjach prokuratora. O tym, że tamten uważał, że jego kariera stoi w miejscu, i to nie z jego winy. Słyszał o blokujących go zawistnych przełożonych. Tomaszewski chciał więcej. I Łazarowicz właśnie to mu obiecał.

– Skoro ten facet niby zna wszystkich, to najwyższy czas, żeby poznał i mnie – powiedział Andrzejewski i wypuścił trzymany w dłoni ciężarek.

Łazarowicz wyciągnął z lodówki koktajl warzywno-owocowy, którym popijał wytrawne muffiny z serkiem i pesto. Kuchnia była mu właściwie do niczego niepotrzebna. Posiłki na cały dzień dostarczała firma dietetyczna – śniadanie, drugie śniadanie, obiad, podwieczorek i kolacja. Część zjadał, część wyrzucał, bo obiady zwykle jadał z klientami na mieście. Wobec tego kuchnia stała się po prostu miejscem, gdzie mógł postawić lodówkę. Przez moment zastanawiał się nawet, czy nie przerobić jej na coś innego, ale po pierwsze, nie miał pomysłu na co, po drugie, dość niespodziewanie dla siebie odkrył radość gotowania. Czas na to

miał tylko w weekendy i od kilku miesięcy soboty i niedziele spędzał, poznając samodzielnie tajniki włoskiej kuchni.

Skończył jeść. Uprzątnął okruszki, dopił koktajl i wyrzucił opakowanie do śmieci. Przeszedł do sypialni. Z szafy wyciągnął jeden z garniturów, ciągle jeszcze zapakowany w folię z pralni. Przez chwilę zastanawiał się, jaką koszulę wybrać, aż w końcu zdecydował się na zwykłą białą od Calvina Kleina. Do tego zegarek Tissota, jeden z tych droższych, ale o klasycznym wyglądzie, i zwykły czarny pasek z chromowaną sprzączką. Ubrał się i stanął przed lustrem. Doskonale wiedział, że jego praca opiera się w dziewięćdziesięciu procentach na robieniu odpowiedniego wrażenia na klientach. Samym wyglądem musiał im i delikatnie zaimponować, i skłonić do tego, by mu zaufali. Sprawić, by uwierzyli, że trafili we właściwe miejsce, że jeśli on nie jest w stanie im pomóc, to nikt nie pomoże. Był w tym znakomity. Nie wszystkie projekty wychodziły. Z kimś nie udało się dogadać, ktoś miał za dużo do stracenia albo zależało komuś ważniejszemu. Bywa. I tak klienci nie mieli do niego żalu i polecali go innym, a dwa razy nawet pomimo porażki dostał premię po zakończeniu zlecenia. Bo „widzieli, że zrobił wszystko, co było możliwe”. Biedni frajerzy. Ale nie zamierzał na to narzekać. Brał, co mu dawali, i uśmiechał się uprzejmie.

Skończył się ubierać i wyszedł. Na klatce spotkał swoją sąsiadkę, młodą dziewczynę. Dawał jej góra dwadzieścia trzy lata. Mieszkanie kupił jej nadziany ojciec. Właśnie majstrowała kluczem w zamku, w drugiej ręce trzymała torbę z zakupami. Dostrzegł wystającego pora i szyjki dwóch butelek piwa.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć.

Chciał iść do windy, ale zauważył, że obraca się w jego stronę.

– To właściwie spoko, że się spotkaliśmy – rzuciła z uśmiechem.

– Tak?

– Mam coś dla ciebie.

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej ulotkę. Podała mu. Wziął ją i przestudiował z udawanym zainteresowaniem. Chaotyczny krój liter, nachodzące na siebie kolory, elementy kolażu. Zaproszenie do udziału w wystawie i aukcji młodych artystów z warszawskiej ASP. Wiedział, że dziewczyna tam studiowała. Kilka razy wносиła i wносиła z mieszkania duże sztalugi. Ciekawe, co stało się z powiedzeniem, że tylko głodny artysta jest szczery. Dziewczynie z hajssem tatusia nie towarzyszył strach, że skończy jak van Gogh.

– Będą tam też twoje prace? – zapytał. Nie dlatego, że zależało mu na odpowiedzi, ale trochę z zawodowego przyzwyczajenia. Zawsze było warto poświęcić jedną, dwie minuty na rozmowę z kimś, kto może ci w przyszłości pomóc. Nawet jeśli to tylko sąsiadka.

– Dwa obrazy. Głównie to wystawa znajomych. Może wpadniesz? Wiesz,

można tanio kupić fajną sztukę w ramach takiej bożonarodzeniowej akcji. To dobra inwestycja.

– Aha.

– No i ja też będę. – Posłała mu zalotne spojrzenie. – I jakieś wino.

– Jasne, dzięki. Jeśli będę miał czas, to wpadnę – skłamał i pomachał jej ulotką na pożegnanie. Kiedy szedł do windy, czuł, że dziewczyna patrzy na jego plecy.

Podrywała go, nie pierwszy zresztą raz. Nie zamierzał tego jednak wykorzystywać. Nie dlatego, że mu się nie podobała, bo się podobała, ale była dla niego za młoda. Łazarowicz wolał starsze kobiety. Najlepiej te po trzydziestce i po urodzeniu dziecka. Atrakcyjne, zadbane, wiedzące co i jak. Uwielbiał mężatki. Kiedy już je zdobył, były gotowe na wszystko. Jakby wiedziały, że skoro i tak robią źle, to nie ma co się hamować. Cudowne też były, chociaż w inny sposób, samotne matki. Większość mężczyzn ich unikała. Bali się, że te nie robią nic innego, tylko polują na nowych tatusiów dla swoich maluszków, a tym zalatanym kobietom w ogóle nie przychodziło to do głowy. Do tego, ponieważ wiedziały, że z powodu nawалу zajęć do kolejnego spotkania dojdzie dopiero za dwa, trzy tygodnie, na seks godziły się już na pierwszej randce. I był on spontaniczny, bezpretensjonalny, w pewien sposób cudownie czysty. Mężatki i samotne matki. Dwie grupy kobiet, których inni mężczyźni zazwyczaj unikali, a w których Łazarowicz gustował. Podczas gdy starsi panowie tracili głowy dla młodych dziewczyn, on je omijał. Zbyt wiele oczekiwały od życia i nie miały nic do stracenia. To one były niebezpieczne.

Drzwi windy zamknęły się za nim. Zjechał na podziemny parking. Śmierdziało tam spalinami i gumą. Podeszedł do swojego volva. Wyciągnął pilota z kieszeni i nacisnął przycisk.

Nic się nie stało.

Nacisnął jeszcze raz. Znowu żadnej reakcji. Potrząsnął urządzeniem, jakby to mogło pomóc, i spróbował po raz kolejny. Z tym samym rezultatem. Zaklął pod nosem. Będzie musiał wrócić na górę i znaleźć zapasowy klucz. Nie wiedział, gdzie go położył. Na poszukiwania straci zapewne około dwudziestu minut.

– Zepsuło się? – zapytał Borzestowski, wychodząc z za pobliskiego filara. Udawał troskę, ale zdradzały go oczy. Było w nich coś cholernie niepokojącego. Nawet nie to, że przypominały oczy drapieżnika. Coś takiego nie robiło na Łazarowiczu wrażenia. One były gadzie. Jakby należały do istoty, która nie wykształciła w mózgu wyższych funkcji społecznych i swoją aktywność ograniczała do polowania, zabijania i pieprzenia.

Borzestowski pewnie oczekiwał, że Łazarowicz zada pytanie w stylu „co ty tu robisz?”, ale biznesmen postanowił nie dawać mu tej satysfakcji.

– Na to wygląda – powiedział, machając pilotem. – Może wysiadły baterie.

Te rzeczy mają baterie w środku, bo nawet nie wiem?

Borzestowski przystanął dwa metry od niego. Wsadził ręce do kieszeni.

– Mieszko zniknął – oznajmił.

– Słucham?

– Mieszko zniknął – powtórzył. – Miałeś mnie uprzedzić, kiedy będzie wychodzić z więzienia. A ja przypadkiem dowiedziałem się, że wystawili go za bramę przed szóstą i przepadł jak kamień w wodę. Gdzie on jest?

– Skąd mam wiedzieć?

– Ty to załatwiałeś.

– Załatwiłem, żeby go wypuścili. Co było dość trudne, ale jak widzisz, udało się. Nie rozumiem, czego się czepiasz.

Borzestowski zacisnął szczęki tak mocno, jakby chciał w nich zmiażdżyć kości upolowanego zwierzęcia.

– Wiesz, że nie chodziło mi o to, żeby wolny latał po Warszawie.

Łazarowicz zakręcił kluczami od samochodu.

– Być może należało się wyrażać trochę precyzyjniej. Ja swoją część umowy wykonałem. A ty?

– Przestajesz mi się podobać – powiedział, zmieniając gwałtownie temat Borzestowski. – Myślisz, że można ze mną pogrywać? Odwalać takie numery i oczekiwać, że nie będzie to miało żadnych konsekwencji?

– Jakie numery? Chciałeś, żeby wyszedł, to wyszedł. Jeśli masz z tym jakiś problem, to jest to wyłącznie twój problem. Jasne?

– Tylko mój? Oj nie, kolego. Mieszko to nie jest wyłącznie mój problem. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo on wie o mnie pewne rzeczy, a ja wiem pewne rzeczy o tobie. Tworzy nam się tutaj taki łańcuszek. Każde ogniwo jest połączone z kolejnym. Dostrzegasz go?

– Kiepska metafora, ale tak. Chyba wiem, o co ci chodzi.

– Jesteś wygadany. Masz znajomości. Może ci się wydawać, że możesz więcej, niż naprawdę możesz. Ale czeka cię rozczarowanie. Wystarczy tyle – Borzestowski pstryknął palcami – żebym cię zmienił w swoją dziwkę. Nie będziesz pierwszy i na pewno nie ostatni. Dlatego przestań ze mną pogrywać, szmaciarzu.

Łazarowicz poczuł się nagle nieswojo. Zerknął w stronę windy, licząc, że pojawi się w niej któryś z jego sąsiadów.

– Naprawdę podejrzewasz, że mam coś wspólnego ze zniknięciem tego faceta?

– Sam powiedziałaś, że to ty załatwiłaś jego wyjście – stwierdził ponuro gangster. – Powinieneś więc wiedzieć, co się z nim stało.

– Ale nie wiem – odpowiedział lobbysta. – Spróbuję czegoś się dowiedzieć,

jak tylko dotrę do biura, okej?

– Radziłbym ci się pośpieszyć.

– Jasne. Najpierw jednak muszę uruchomić samochód. Teraz pójdę do domu po drugi komplet, okej?

– Spróbuj tym. – Borzestowski rzucił w jego stronę niewielki przedmiot. Łazarowicz złapał go. Trzymał teraz w dłoniach pilota do samochodu. W innym kształcie niż ten od jego volva, bez logo marki. Zwykły prostokątny kawałek plastiku z dwoma przyciskami. Nacisnął ten większy. Jego samochód zapiszczał, zaświecił światłami i lobbysta usłyszał, jak otwierają się zamki w drzwiach. Musiał mocno się wysilić, żeby ukryć zaskoczenie. I strach.

– Używaj teraz tego – poradził mu gangster na odchodnym. – Ten zapasowy też może już nie działać.

Mortka, jeżdżąc samochodem po Warszawie i popijając kawę ze stacji benzynowej, czuł się jak skończony idiota. Powinien koncentrować się na oczyszczeniu Kochana z zarzutów, ale nie wiedział, co mógłby teraz zrobić z zebranymi informacjami. Następny w kolejce był Mieszko. Którego należało...? No właśnie, co? Wywieźć z Warszawy? Przekazać komuś innemu? Na pewno facet nie mógł ukrywać się w nieskończoność. I wreszcie na trzecim miejscu – sprawa Suchej. To też warto było pchnąć do przodu. Tylko jak? Same pytania, zero odpowiedzi. Wyciągnął telefon. Wybrał numer do policjantki. Odebrała po trzech dzwonekach.

– Cześć.

– Cześć.

– Jesteś w pracy.

– Tak.

– W czym dłubiesz?

– Papiery w sprawie jakiegoś starego dziada, któremu zarekwirowaliśmy broń.

– Handlował nią?

– Zbierał starocie. Kolekcjoner. Wieształ sobie potem na ścianie, ale i tak dostał nielegalne posiadanie. A ty?

– Oprócz naszych rzeczy? Zanim wysłali mnie na urlop, kończyłem faceta, który udusił żonę.

– Dlaczego?

– Z zazdrości.

– Piękny motyw. Szkoda, że tak rzadko się już trafia.

– Piękny?

– Sam rozumiesz, nie wiem, może jestem dziwna, ale miło wiedzieć, że ludzie jeszcze się zabijają z miłości.

– Nie siebie. I nie z miłości, ale przez chorobliwą zazdrość. Nie rozmawiałaś z tym facetem.

– Jaki był?

Nie odpowiedział na to pytanie. Bo Przemysław Norbert wydawał się normalny. Zwyczajny facet o pogodnej twarzy, lekka nadwaga i zakola, ale pomimo tego większość kobiet nazwałaby go przystojnym. Chętnie opowiadał, jak bardzo kochał żonę, ile dla niej poświęcił, z czego zrezygnował i jak bardzo się starał. Kiedy dowiedział się o jej kochanku, miał tylko dwa wyjścia. Mógł zabić albo ją, albo jego. Wybrał żonę.

Telefon zawibrował mu w dłoni. Spojrzał na wyświetlacz. Szydłoń.

– Muszę kończyć. Drugie połączenie.

Rozłączył się z Suchą. Odebrał.

– I jak? Udało się? – zapytał prokurator.

– Co miało się udać?

– Z Mieszkiem. Przejął go pan?

Mortka podrapał się po brodzie.

– Nie – skłamał.

– Jak to nie? Powiedziałem panu, kiedy wychodzi!

– Panie prokuratorze, to prawda, że przekazał mi pan tę informację, ale co niby miałem z nią zrobić? To pan zdecydował o zwolnieniu go z aresztu. To pan weźmie za to odpowiedzialność. Ja nie zamierzam nic z tym robić.

Szydłoń milczał przez kilka sekund.

– Pan mi nie ufa, komisarzu, prawda? Nie mówi mi pan prawdy.

– Panie prokuratorze, nic nie mogłem z tym zrobić i nic nie zrobiłem. Tyle.

Rozłączył się, zanim tamten zdążył mu odpowiedzieć. Rzucił telefon na fotel obok. Odchylił się do tyłu, uderzając głową o zagłówek. Aparat rozdzwonił się po raz kolejny. Już miał odrzucić połączenie, ale na wyświetlaczu wyświetliło się imię – „Olga”. Nacisnął zieloną słuchawkę.

– Cześć, Kubusiu.

– Cześć.

– Zobaczymy się dzisiaj? Wpadniesz do mnie na kolację i może... – zawiesiła głos w seksowny sposób – zostaniesz na dłużej.

Przymknął powieki. Nie miał ochoty na spotkanie, ale przede wszystkim nie chciał tracić czasu. Obiecał sobie w myślach, że wynagrodzi to jakoś Oldze, kiedy sytuacja się uspokoi.

– Nie da rady – powiedział.

– Praca?

Czy usłyszał zawód w jej głosie? Ten sam ton, którym odzywała się do niego Ola.

– Nie, źle się czuję, mam lekką gorączkę. Powinienem odpocząć. Przespać spokojnie noc – skłamał i na potwierdzenie swoich słów zakaszał fałszywie do słuchawki. Źle się czuł, oszukując ją, ale nie widział innego wyjścia.

– Byłeś u lekarza? – zapytała troskliwie.

– Nie, nie. Może jutro pójdę, jeśli mi się nie poprawi. A pewnie się poprawi.

– Myślisz, że to dobry pomysł? Znam dobrego internistę. Mogę cię umówić prywatnie.

– Nie, dzięki. Naprawdę nie trzeba. – Zakasłał po raz kolejny. – Przepraszam cię, skarbie, ale muszę kończyć.

– Trzymaj się, Kubuś.

Rozłączył się. Zanim zdążył schować telefon, aparat rozdzwonił się po raz trzeci. Numer, którego nie znał. Powinien odebrać, bo to mógł być Kochan.

- Jakub Mortka – powiedział.
- On chce zadzwonić do swojej dziewczyny – odezwał się Kochan.
- Nie pozwól mu.
- Dlaczego?
- Bo nie. Im mniej osób wie, że jest na wolności, tym lepiej. Macie siedzieć

cicho.

Usłyszał westchnięcie.

– Kuba mówi, że nie możesz porozmawiać ze swoją laską – usłyszał głos podkomisarza, a zaraz potem: – On chce z tobą rozmawiać.

– Nie... – zaprotestował, ale Kochan przekazał już komórkę.

– Jesteś tam? – odezwał się Mieszko.

– Jestem.

– Chcę się zobaczyć z Beatą.

– Nie da rady.

– Muszę.

– To zbyt niebezpieczne.

– Zorganizuj to.

Mortka zagryzł wargę. A potem pomyślał, że jeszcze jedno kłamstwo mu nie zaszkodzi.

– Postaram się coś wymyślić.

– No dobra – mruknął po chwili Mieszko. – Ale co dalej? Ile mam tkwić tu z twoim kumplem?

– Tyle, ile trzeba.

– Ale jaki jest plan?

Dobre pytanie. Komisarz nie miał czasu się nad nim zastanowić.

– Zaczniemy od tego, że powiesz, gdzie ukryłeś garnitur.

Mieszko zaśmiał się tubalnie.

– Żartujesz? Mam wam oddać mój kryptonit?

– Kryptonit?

– Krysztal, który zabijał Supermana, i mój tajny sposób na załatwienie Borzestowskiego – wyjaśnił mężczyzna. – Jego jedyna, kurwa, słabość. Nie da rady. Nie, dopóki nie dostanę koronnego.

– Wiesz, że nie mogę, i wiesz dlaczego.

– To nie dostaniesz garnituru.

– Nie będziesz bezpieczny, póki nie ściągniemy Borzestowskiego. Nie ściągniemy go bez tego garnituru.

– To jesteśmy, kurwa, w kropce.

Mortka nie chciał tego głośno przyznać, ale Mieszko idealnie podsumował sytuację, w której się znaleźli.

– Pomyślę, jak zorganizować spotkanie z twoją narzeczoną – powiedział

jeszcze i usłyszał przeciągły sygnał. Połączenie zostało przerwane.

Postukał kilka razy dłonią o kierownicę. Czuł, że zaczyna go ćić. Powinien wziąć ibuprom, zanim ból rozszaleje się na dobre. Szary samochód wyprzedził go z rykiem klaksonu. Mortka nie wiedział, o co chodzi kierowcy. Jechał za szybko? Za wolno? Nie zauważył jakiegoś znaku? Przez ostatnie minuty skupiał się na prowadzonych rozmowach. Ledwo zauważał, co dzieje się na drodze.

Wybrał numer do Suhej.

– Kończ to, co robisz – powiedział. – Będę po ciebie za piętnaście minut.

– Gdzie jedziemy?

– Gdzieś, gdzie w spokoju będziemy mogli zająć się tym, co naprawdę ważne – odparł.

Niemal udało mu się usłyszeć, jak policjantka w odpowiedzi uśmiecha się szeroko.

Z Beatą skontaktował się komisarz Maciejewski z warszawskiej policji. Prosił o spotkanie. Dziewczyna nie знаła go. Zdziwiło ją też to, że zaprosił ją do kawiarni w centrum handlowym na Ursynowie, a nie do komendy. Policjant nalegał na dyskrecję, a ponieważ chodziło o Mieszka, zgodziła się.

Teraz siedziała w KEN Center w jednej z sieciowych knajpek, popijała sok pomarańczowy i wypatrywała wśród kupujących policjanta.

– Betti? – usłyszała za sobą kobiecy głos.

Odwróciła się i zobaczyła stojącą za nią Anulkę. Znały się obie od lat. W dzieciństwie mieszkały podwórko w podwórko, zaliczyły te same szkoły. Potem ich drogi się rozeszły, bo Anula poszła na uniwersytet, a Beata studia sobie odpuściła. Uznała, że do niczego nie są jej potrzebne. Pomimo tego ich ścieżki i tak dość regularnie się przecinały. Nigdy nie były wielkimi przyjaciółkami i nigdy nie miały już nimi zostać. A jednak Beata cieszyła się, że ją spotkała. Od kiedy odebrała telefon, dręczył ją nieokreślony niepokój, a ona wierzyła w swoje przeczucia. Zresztą trudno, żeby było inaczej. Nie raz i nie dwa przekonała się, że potrafi przewidzieć, kiedy wydarzy się coś dobrego lub coś złego, albo potrafiła odczytać intencje ludzi, wyczuwając ich aurę. Miała dar, który odziedziczyła po babci i matce. I jasne, Mieszko mógł się z tego nabijać, ale ona wiedziała swoje.

– Anula! – krzyknęła radośnie na widok koleżanki.

Poderwała się z miejsca. Kobiety objęły się i pocałowały w policzek.

– Co ty tu robisz? – zapytała Beata.

– Ja?! Pracuję, stara.

– Tutaj? W jakimś sklepie?

– Nie, w biurze. Na górze! Teraz sobie na lanczyk zesłam i zapolować na butki. Zosia mówiła, że są przeceny, bo sklep likwidują. Idziesz zobaczyć?

Beata pokręciła przecząco głową.

– No co ty, stara! O połowę z ceny schodzą!

– Nie mogę.
– Czekasz na kogoś? – domyśliła się Anula.
– Tak. – Beata wzięła głębszy wdech. Pragnęła z kimś porozmawiać. Zrzucić z siebie to, co ją dręczyło. – Na policję – dodała.
– Stało się coś? – zapytała koleżanka, przysiadając na krześle obok.
– Słyszałaś o Mieszku?
Przytaknęła.
– Bardzo mi przykro – powiedziała. – Na pewno wszystko dobrze się skończy.

– Nie wiem. W każdym razie mam tutaj z kimś się spotkać, żeby porozmawiać o Mieszku. Boję się... Boję się, że coś mu się stało.

Anula delikatnie pogłaskała ją po ramieniu w uspokajającym geście. Beata poczuła głęboką wdzięczność. Takich prostych rzeczy brakowało jej najbardziej – żeby ktoś potrzywał ją za rękę, przytulił, kiedy trzeba. Jej rodzice tego nie robili. Wspierali ją, ale trzymali dystans. Wszystko dlatego, że nie lubili Mieszka. Matka powtarzała jej, że będzie miała przez niego kłopoty, i wyglądała w pewien sposób na zadowoloną, kiedy jej przepowiednia wreszcie się spełniła.

– Powiedzieli ci, że coś się stało?
– Nie, ale sama nie wiem... Wydaje mi się, że ten człowiek, z którym mam się spotkać...
– Ten policjant?
– No. On... Kiedy z nim rozmawiałam przez telefon, to pomyślałam, wiesz, to taki błysk był, że to dobry człowiek jest.
– To chyba okej?
– No właśnie nie do końca. Bo on jest dobry, ale ma złą aurę. Albo to zły człowiek z dobrą aurą. Nie jestem pewna. Wiesz, przez telefon to trudno powiedzieć.

Anuli jako jednej z nielicznych osób mogła szczerze opowiadać o swoich przeczuciach. Obie głęboko wierzyły, że świat składa się z czegoś więcej niż to, co widać gołym okiem.

– Popilnujesz moich rzeczy? – zapytała Beata. – Chciałabym pójść do toalety.

Zgodziła się, więc Beata wstała od stolika i poszukała wzrokiem znaków podwieszonych pod sufitem. Znalazła ten wskazujący drogę do WC. Poszła się załatwić. Kiedy wracała, zobaczyła, że z Anulą rozmawia jakiś starszy mężczyzna. Pomyślała, że to może być ten policjant, ale zanim zdążyła podejść, facet odszedł.

– Kto to był? – zapytała.
– Jakiś dziad. Pytał o moją torebkę, bo chce taką samą wnuczce kupić.
– Nie wyglądał na tak starego, by mieć już wnuczkę.
– Ja tam nie wiem – powiedziała.

Posiedziały jeszcze razem dwadzieścia minut. Nie rozmawiały o niczym konkretnym. Anula opowiadała historie ze swojej pracy, a gdy zeszły na temat ciąży, zaoferowała swoją pomoc. Beata pomyślała, że to bardzo miłe z jej strony, chociaż nie zamierzała skorzystać z oferty. Podziękowała. Wreszcie Ania wstała, przeprosiła i powiedziała, że powinna już iść. Poza tym chciała jeszcze sprawdzić te buty.

Beata siedziała w kawiarni kolejne dziesięć minut. Strasznie dłużył jej się ten czas. Źle się czuła, jakby traciła siły. Oczy same jej się zamykały. Uznała, że skoro policjant do tej pory się nie pojawił, to już nie przyjdzie. Zapłaciła za sok i poszła w stronę wyjścia.

Dziwnie się jej szło. Kroki stawiała niezgrabnie, ugiwały się pod nią kolana. Z trudem nabierała powietrze. Oddech miała płytki. Poczowała, że się chwieje, albo to cały świat się przechyla. Nie była jeszcze pewna.

– Pani źle się czuje – powiedział ktoś obok niej. – Pomogę pani.

Chwycił ją za ramię. Oparła się o niego.

– Dziękuję – wyszeptwała, ledwo otwierając usta.

To był siwowłosy mężczyzna. Silny. Miała wrażenie, że już go gdzieś widziała. Nie potrafiła sobie przypomnieć gdzie. Zamiast do wyjścia przy alei KEN, gdzie zamierzała iść, zaczął prowadzić ją w stronę parkingu. Chciała mu powiedzieć, że powinien zawrócić, ale nie udało się jej. Myśl jej umknęła. Rozpłynęła się gdzieś w ciele, w połowie drogi pomiędzy mózgiem a ustami. Kierował nią stanowczo, a ona nie miała siły się opierać. Było jej wszystko jedno. Na dodatek wszystko wokół niej zaczęło wirować. Mijali ich ludzie, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Bo niby dlaczego by mieli? Dojrzała swoje odbicie w wystawowej szybie i wyglądali tak normalnie – starszy pan prowadzi pod rękę młodą dziewczynę. Może córkę, którą wziął na zakupy.

Wyszli na parking, gdzie uderzyło w nią świeże powietrze. Przez chwilę zrobiło się jej lepiej, świat odzyskał barwy i ostrość, ale trwało to moment. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, wrócił ten dziwny stupor, pozbawiający ją woli.

Tak, to było najgorsze. Wszystko widziała, rozumiała, co się dzieje, ale nie potrafiła zareagować. Poczwała strach. Ogromny, wszechogarniający. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, jednak wydobył się z nich tylko słaby skrzek.

Podeszli do białego samochodu dostawczego bez żadnych oznaczeń. Otworzyły się drzwi i mężczyzna wprowadził ją do ciemnego wnętrza.

– Niech pani usiądzie – powiedział i posadził ją na podłodze. Przypiął ją kajdankami do metalowej ramy przy ścianie. – Mam nadzieję, że nie będą za bardzo obcierać.

Potem sięgnął za siebie, żeby ze sportowej torby wyciągnąć płócienny worek. Zanim materiał opadł jej na oczy, nagle przypomniała sobie, skąd zna tego mężczyznę. To on rozmawiał z Anulą o jej torebce. A potem przez mgnienie oka

dojrzała jego aurę – dobrą aurę złego człowieka albo złą aurę kogoś dobrego. Ciągłe nie była pewna, która wersja jest właściwa.

Minutę później samochód ruszył, a ona, wbrew własnemu przerażeniu, zapadła w sen.

No to siedzieli sobie – Mieszko na tapczanie, Kochan przy biurku. Co pewien czas zmieniali się miejscami, nic przy tym nie mówiąc. Przypominało to coś w rodzaju bardzo powolnego, rytualnego tańca. Najpierw Kochan wstawał z krzesła. Robił cztery kroki w jedną stronę, co wystarczyło, by pokonać całą długość pokoju. Potem zawracał. Przystawał. Rozglądał się na boki. Robił kilka niemrawych min, żeby wreszcie usiąść na tapczanie w jak największej odległości od Mieszka. Siedzieli tak minutę, może dwie, aż gangster się podnosił. Podchodził do biurka. Opierał się o blat. Wyglądał na zewnątrz, żeby klapnąć na krzesło. Po około półgodzinie cała sytuacja się powtarzała, tylko w drugą stronę.

Spędzili w ten sposób prawie cały dzień, zamieniając ze sobą kilka słów. Jedynym urozmaiceniem był telefon do Mortki i kłótnia o to, czy Mieszko może jednak zadzwonić do swojej dziewczyny. Kochan sam by mu pozwolił, ale w tej sytuacji postanowił nie narażać się Kubie i wypełniać jego polecenia. W końcu naprawdę mógł teraz liczyć tylko na niego. Poza tym nuda. Dwóch facetów w jednym pokoju i niemiłosiernie wlokący się czas. Nawet kart nie mieli, żeby pograć w pokera, makao czy głupią wojnę. Kochan niemal z wdzięcznością przyjął pukanie do drzwi pokoju, chociaż był pewien, że zwiastuje ono kłopoty.

Wstał od biurka. Otworzył. Po drugiej stronie ujrzał Szłomę i Justynę. Wyglądali na zakłopotanych, niepewnych, ale też wyraźnie zdenerwowanych.

– Możemy pogadać? – poprosił Justyn, równocześnie zerkając ponad ramieniem Kochana na Mieszka. – Gdzieś w spokoju?

– Jasne.

Poprowadzili go do kuchni. Tam zajęli taborety.

– Usiądziesz?

Kochan pokręcił przecząco głową.

– Słuchaj, jest taka sprawa, że zauważyliśmy tego twojego kumpla.

– To nie jest mój kumpel – odpowiedział podkomisarz i zaraz tego pożałował. Popatrzyli na siebie zaskoczeni.

– No ale Szłoma zauważył, że on tak tam siedzi. Nie że mamy coś przeciwko temu, żebyś zapraszał kumpli, nie?

– Okej. Dzięki.

– Ale wiesz... On tam od rana jest. Od kiedy się obudziliśmy.

Kochan nie wiedział, czy powinien im pogratulować spostrzegawczości, czy zrobić coś innego. Dlatego ograniczył się do zwykłego, dość neutralnego:

– No.

– I zastanawiamy się, ile on tutaj zostanie.

Podkomisarz oparł się plecami o ścianę. Pytanie było dobre. Gorzej, że nie wiedział, jak na nie odpowiedzieć.

– Przynajmniej na jedną noc – stwierdził wreszcie. Uznał, że tak będzie najbezpieczniej.

Szloma pokręcił głową, zarzucając na lewo i prawo dredami. Justyn skrzywił się, ale wyglądało to tak, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi. I to on zabrał teraz głos.

– Słuchaj, Żuk. My mamy, wiesz, otwarte mieszkanie, ale ten twój niekumpel nam tu słabo pasuje.

– Psuje flow – dorzucił Szloma. – Totalnie je pierdoli.

– Przecież go nawet nie widzicie. To ja z nim siedzę, okej?

– Ale chodzi o to, że nie możesz sobie ot tak spraszać na kwadrat kolejnych współlokatorów! – powiedział ostro Justyn.

Kochan nie spodziewał się po nim aż takiej stanowczości.

– Wy kilku sprowadziliście na imprezę.

– Bo to była impreza! – odezwał się Szloma. – Teraz nie ma imprezy. I pewnie nie będzie, bo spierdoliłeś nam flow, Żuku. Nie pierdoli się bezkarnie flow!

– W sumie nie za bardzo wiem, co to jest to flow, więc wali mnie to – odparł Kochan.

Szloma chwycił się za dredy i pociągnął z całych sił. Podniósł się z taboretu. Wysunął do przodu szczękę, jakby szykował się do bijatyki. Chwilę tak stał, a bezsilność aż z niego emanowała.

– Zawiodłem się na tobie, Żuku. Zawiodłem – powiedział wreszcie, a potem dodał jeszcze: – Ty chuju.

Kochan mimowolnie się uśmiechnął, co jeszcze bardziej zdenerwowało studentów. Justyn zmarszczył brwi i zacisnął pięści.

– Twój niekumpel ma zniknąć – oznajmił. – Kto to w ogóle jest?

– Rodzina – skłamał Kochan. Uznał, że w tej sytuacji lepiej jednak spróbować bardziej pojednawczego tonu. Chociaż czuł, że trochę z tym się spóźnił.

– Kuzyn. Ściągnąłem go do roboty. Pomieszka tu tylko do czasu, aż znajdzie własne lokum, okej?

– Nie. Ma zniknąć.

Wydawało się, że chłopak jest mocno zdesperowany, by postawić na swoim. Kochan nawet mu się nie dziwił. Sprowadzenie dodatkowego współlokatora było słabym zagranem. Może by mu to jeszcze uszło na sucho, gdyby zamieszkała z nimi jakaś fajna laska (jak Evelina, pomyślał i zakłuło go w sercu), a nie ponadstukilogramowy bandzior, który wyglądał tak, jakby tylko szukał okazji, żeby komuś wpierdolić. Dlatego Kochan postanowił z żalem skorzystać z ostatniego argumentu, jaki posiadał. I przy okazji najsilniejszego.

– Zapłacę za niego. Ile chcecie? Dwie stówki? Trzy?

W oczach Szlomy zauważył wahanie, ale Justyn pokręcił energicznie głową.

– Nie. Koleś ma spierdalać. I ty najlepiej też. Zjebałeś nam flow, Żuku.

– Właśnie. Zjebałeś nam flow – poparł go kolega. Najwyraźniej wizja dodatkowej kasy była krótkotrwałą pokusą.

– A jak nie, to co?

Justyn przełknął ślinę. Zerknął na Szłomę, który ledwo dostrzegalnie skinął głową. Chłopaki najwyraźniej wcześniej obgadali taki scenariusz i mieli gotowe rozwiązanie.

– Umowy żadnej nie podpisaliśmy. Nie masz żadnego prawa, żeby przebywać w tym mieszkaniu.

– I?

– Jeśli twój kumpel nie zniknie, to zadzwonimy na policję i powiemy, żeby was wyprowadzili – dodał Justyn.

Normalnie Kochan by się roześmiał. Nie za bardzo wyobrażał sobie, jak taka sytuacja mogłaby się rozwinąć. Wezwany patrol miałby pewnie niezłą zagwozdkę. Fakt, nie podpisał umowy, ale przecież już na pierwszy rzut oka widać było, że nie włamał się do tego lokalu, tylko podnajmował pokój. Jediną instytucją, którą powinno to zainteresować, był urząd skarbowy. Bo przecież studenciki nie odprowadzili podatku od jego kasy. Ale teraz nie mógł sobie na to pozwolić.

– No dobra – powiedział po chwili. – Spróbujcie. Wtedy ja opowiem o tym, co ćpaliście na imprezie. Zostało jeszcze trochę tego białego? Może tak, może nie. A nawet jak nie, to Szłoma pewnie ma u siebie skitrane trochę zioła, co? Wszystko im opowiem i zaraz was zwiną na dołek. I co wy na to? Ha?

– Mów sobie, co chcesz – powiedział hardo Justyn. – Kto ci uwierzy?

Kochan zagryzł zęby. Chryste, pomyślał, cholerny Mieszko. Wszystko przez niego się wali. Nie chciał tego robić, ale nie miał wyjścia. Wyjął z tylnej kieszeni spodni portfel, a z niego legitymację służbową. Otworzył ją. Pokazał obu studentom w taki sposób, by dobrze przyjrzeni się napisowi „Policja”, ale już niekoniecznie przeczytali jego nazwisko.

– Moi koledzy – odparł Kochan.

Zrobił wrażenie. Nie takie, jakie chciał. Nie takie, jakie planował. I na pewno nie miało to nic wspólnego z siedzeniem cicho. Za parę dni będzie musiał poszukać nowego lokum. Ryzyko pozostawania tutaj stało się zbyt duże, jednak na razie kupił sobie trochę spokoju.

Wrócił do siebie. Gangster zmienił miejsce. Teraz to on siedział przy biurku. Wkurzyło to policjanta, bo co prawda wyszedł, ale ciągle była jego kolej. Nic nie powiedział, tylko zajął kanapę, wbił wzrok w podłogę i czekał na kolejną zmianę.

Pomysł Mortki był prosty. Mieli pojechać do niego i stworzyć w jego mieszkaniu małe centrum operacyjne. Jeszcze raz przestudiować materiały ze wszystkich spraw. Poszukać punktów zaczepienia. Przygotować plan śledztw. Porządnie i w spokoju zastanowić się, co mogą zrobić.

Po drodze plany się zmieniły. Sucha zapytała, czy może na trochę u niego się zatrzymać. Zawahał się. Rozumiał, że dziewczyna woli nie zostawać u siebie, skoro została napadnięta we własnym mieszkaniu, ale nie był zachwycony tym, że chce spać u niego. Jego mieszkanie było i tak małe, a on miał tylko jedno łóżko. Sucha obiecała spać na podłodze. Przeważało jednak to, że i tak zamierzali pracować do późna. Nie było sensu, by w środku nocy włóczyła się po Warszawie. Pojechali więc najpierw do niej. Mortka na wszelki wypadek poszedł z nią, ale tylko po to, by upewnić się, że nikogo niepożądanego tam nie ma. Potem wrócił do samochodu, gdzie czekał na policjantkę. W mieszkaniu spędziła dwadzieścia minut. Wyszła ze sporej wielkości plecakiem i dużą czarną torbą w dłoni. Wrzuciła wszystko do bagażnika i pojechali do Mortki. Dotarli tam po godzinie spędzonej w warszawskich korkach. Niewiele rozmawiali.

Kiedy dojechał pod blok, był zmęczony i głodny. Zaparkował, otworzył bagażnik i pomógł Suchej, chociaż próbowała go powstrzymać. Ona wzięła plecak, on torbę. Była zaskakująco ciężka. W mieszkaniu położył ją w kącie pokoju i otarł pot z czoła.

– Co jest w środku? – zapytał. – Ciężary?

Policjantka bez słowa otworzyła zamek i pokazała zawartość torby. Ze środka celowały w nich długie lufy broni palnej. Mortka stęknął zaskoczony.

– Co ty tam masz?

Sucha wypięła pierś jak matka, która zamierza pochwalić się swoim ukochanym dzieckiem.

– Arsenal, czyli bułgarski kałasznikow. Karabin myśliwski Remingtona. Strzelbę Mossberga. Trochę broni krótkiej. Noże. Pałki teleskopowe. Parę gadżetów.

– Chryste... To wszystko legalne?

– Oczywiście.

– Kosztowało cię pewnie majątek.

– Spójrz na to tak. Niektóre dziewczyny przepuszczają kasę na buty i sukienki. Ja wolę bardziej praktyczne rzeczy.

– A przyniosłaś to do mnie, bo...

– Nie zostawię tego w lokalu, do którego już raz się włamali – wytłumaczyła. – Masz coś przeciwko?

Komisarz przez długie lata zostawiał broń w komendzie. Głównie ze

względu na dzieci. Bał się, że chłopaki dorwą się kiedyś do jego pistoletu i stanie się nieszczęście. Zmienił zdanie po rozwodzie. Tak jak Sucha został zaatakowany we własnym mieszkaniu. Gdyby nie Kochan, skończyłoby się co najmniej poważnym pobiciem. Ale Mortka nosił ze sobą tylko swojego P99. Sucha przyniosła arsenał, który wyposażyłyby mały oddział partyzancki.

– Po prostu weźmy się do pracy – mruknął, żałując już, że zgodził się na to, by Sucha u niego nocowała. Zastanawiał się, jakie jeszcze niespodzianki dla niego przyszykowała.

Z plecaka wyciągnęła laptopa i dwie teczki wypełnione papierami. Do tego puste skoroszyty, mazaki, kilka długopisów. Rozłożyła to wszystko na jednej połowie stołu. Na drugiej on położył swoje notatki dotyczące sprawy Kochana.

Potem zamówili pizzę. Dostawca pojawił się po dwudziestu minutach. Jedli, czytając nawzajem swoje dokumenty. Mortka był pod wrażeniem tego, co udało się osiągnąć Suchoj. Prowadziła śledztwo metodycznie, spokojnie, odpowiedzialnie. Wiedziała, co chce osiągnąć, znalazła drogi, które mogły ją doprowadzić do celu, i po kolei eliminowała błędne hipotezy, żeby wreszcie zdobyć interesujące ją informacje. Wykonała kawał dobrej roboty, co wymagało dużo samozaparcia i organizacji. Na tym tle jego własne próby, chociaż stanowiły owoc zaledwie kilku dni pracy, wyglądały dość żałośnie.

– I co sądzisz? – zapytała, kiedy skończyli.

Wiedział, że jego pomysł nie spodoba się jej, ale i tak postanowił powiedzieć szczerze, co myśli.

– Powinnaś to zgłosić – stwierdził. – Powiesz, że znalazłaś ten dysk niedawno. Może ktoś ci go podrzucił lub coś podobnego.

– Nie ma mowy. Muszę mieć więcej.

– Masz nagrany gwałt! Na chłopaku, który popełnił później samobójstwo. Czego jeszcze chcesz?

– Na tych ludzi to za mało. Wykpią się. Zobaczysz.

– Nie dasz rady sama, nie nieoficjalnie. Trzeba zacząć chodzić po facetach, którzy zostali nagrani. Przesłuchiwać ich. Nie da się tego zrobić bez podkładki.

– Nie ma mowy – ucięła. – Kończymy ten temat. Inne pomysły?

Przerzucił kilka kartek, śledząc swoje dopiski, wykonane ołówkiem na marginesach.

– Ten Marek... Nie podoba mi się ten chłopak. Od kiedy robi dla Łazarowicza? Dlaczego w ogóle zaczął dla niego pracować?

– Chyba od niedawna. I nie wiem dlaczego. Być może przez niego udałoby się coś załatwić. Zdobyć dodatkowe materiały obciążające.

Mortka roześmiał się gorzko.

– Co takiego?

– Widzisz, co robimy? Na poważnie rozważamy, czy nie użyć

dwudziestoletniego faceta bez żadnego przeszkolenia, któremu w dodatku nie możemy ufać, jako przykrywkwowca. To jest jakiś idiotyzm.

– Pamiętasz, co się stało z jego poprzednikiem?

– Myślisz, że o tym nie wie?

– Myślę, że warto mu o tym powiedzieć. Zobaczyć, jak zareaguje. Poza tym wiesz, nasze interesy mogą być zbieżne.

– Bo?

– Jego kumpel zginął podczas tamtego porwania. A co, jeśli Marek zatrudnił się u Łazarowicza, żeby znaleźć okazję do zemsty?

Mortka chwilę myślał nad tym, co usłyszał. Nie podobało mu się to. O wiele łatwiej byłoby wyjąć blachę i przycisnąć faceta w pokoju przesłuchań. Jednak jeśli nie mogli tego zrobić, to trzeba było improwizować.

– Naciągane, ale warto spróbować – zdecydował.

– A ta kobieta? Iwona Napieraj.

– Zostawiłbym ją już w spokoju.

– Dlaczego?

– Bo szantaż to przestępstwo – odpowiedział.

Sucha wzięła ostatni kawałek pizzy. Wbiła w niego zęby i urwała duży kawałek. Potem żuła długo i dokładnie.

– To co nam zostało? – zapytała, kiedy przełknęła.

– Nie wiem – odparł szczerze. – A co ty znalazłaś?

Sucha odłożyła jedzenie. Wytarła palce w papierowy ręcznik, zmięła go i wrzuciła do leżącego na podłodze tekturowego opakowania. Potem wzięła jedną z leżących kartek.

– Urszula Lewandowska.

Kelnerka z Neptuna. Ostatnia osoba, która widziała całą trójkę żywą. I jedyna, która spotkała morderców.

– Tak?

– Coś mi nie gra z jej opowieścią.

– Co takiego?

Nie zdążyła odpowiedzieć. W tym momencie rozległo się najpierw pukanie do drzwi, a potem ostry dźwięk dzwonka. Sucha spojrzała pytająco na komisarza. Policjant odpowiedział gestem rozłożonych ramion, że nie wie, kto to może być. Poszedł otworzyć.

Na korytarzu stała Olga. Przyszła prosto z biura. Miała na sobie jeszcze pracowniczą garsonkę. W jednej dłoni trzymała teczkę, w drugiej siatkę z zakupami spożywczymi.

– Ee... Cześć – powiedział Mortka.

– Cześć. – Maklerka pocałowała go w policzek. – Mówiłeś, że jesteś chory. Pomyślałam, że przyda ci się pomoc.

Nie pytając o pozwolenie, weszła do mieszkania i zaraz stanęła jak zamurowana. Jej wzrok wędrował od Suchej, poprzez rozłożone po całym mieszkaniu dokumenty, pudełko po pizzy i plecak, z którego wystawały ciuchy policjantki. Najpierw pobladła. Potem wyprostowała się i zmusiła twarz do uśmiechu.

– Przyniosłam ci zupę – odezwała się, potrząsając siatką. Położyła ją na stole. – Będziecie sobie mogli zjeść. Cześć, Kubuś. Do widzenia pani.

– Do widzenia.

Wyszła bez słowa. Po chwili słychać było tylko stukot jej obcasów na klatce schodowej. Mortka przymknął powieki. Odetchnął głęboko.

– Zaraz przyjdę – powiedział.

– Jasne.

Narzucił na siebie bluzę i pobiegł za Olgą. Dogonił ją już na zewnątrz. Szła chodnikiem wzdłuż szeregu zaparkowanych samochodów.

– Olga! – krzyknął za nią.

Obróciła się do niego. Ciągle uśmiechała się w ten sam okrutny, sztuczny sposób.

– Co?

– Słuchaj...

– Słucham.

Zerknęła znacząco na zegarek i poprawiła kosmyk włosów.

– Muszę popracować.

– Rozumiem. Mnie też się to zdarza – odpowiedziała. – Tylko wtedy nie opowiadam na lewo i prawo, że jestem chora.

– Masz rację. To był błąd.

– Aha, błąd. No okej. A wyjaśnisz mi jeszcze, dlaczego pracujesz u siebie w domu, a nie w komendzie?

Przestąpił z nogi na nogę.

– Tutaj mam spokój.

– I pracujesz z koleżanką.

– Tak, pomaga mi.

– To jej rzeczy widziałam u ciebie w mieszkaniu? W plecaku?

Poczuł się, jakby znalazł się w kiepskim filmie. Wiedział, że nie zrobił nic złego. I wiedział też, jak to wszystko wygląda.

– Tak – potwierdził. – Napadnięto ją w domu. Spytała, czy może się u mnie zatrzymać.

– Dlaczego u ciebie? Dlaczego nie u rodziców? Albo przyjaciół.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. – To skomplikowane. Myślę, że nie chce ich narażać.

– Nie chce ich narażać. O, jak ładnie z jej strony.

– Proszę cię, Olga. Nie ma powodów, żebyś się denerwowała. Tak, skłamałem. Przepraszam.

– A faktycznie. To kończy sprawę. Nie będę się denerwowała, że mój chłopak spędza noc w kawalerce z atrakcyjną dzierlatką.

Zdziwiło go słowo „atrakcyjna”. Nigdy tak nie myślał o Suchej. Szczególnie teraz, kiedy miała poobijaną twarz.

– To tylko koleżanka z pracy.

– Uff... Bo faktycznie nigdy żaden romans nie zaczął się w biurze.

Czekali, aż minie ich młode małżeństwo z psem i małym dzieckiem. Chłopczyk miał może pięć lat. Niósł w dłoniach figurkę jakiegoś superbohatera i wydawał odgłosy wybuchów.

– Nic się nie dzieje – powiedział Mortka, kiedy zostali znowu sami na chodniku. – Po prostu mam dużo pracy. Skłamałem, żeby nie było ci przykro.

Zaśmiała się krótko. Odwróciła na chwilę wzrok. Być może po to, żeby powstrzymać się od łez.

– Dziękuję ci, Kuba, za troskę – odparła po sekundzie. – A teraz przepraszam cię, ale już sobie pójdę. Nie chciałabym się od ciebie zarazić.

– Olga...

Nie słuchała go już. Odwróciła się na pięcie i ruszyła szybkim krokiem w kierunku swojego samochodu. Obserwował ją, kiedy do niego wsiadała, a potem odjeżdżała. Miał nadzieję, że na niego spojrzy. Że uda mu się jeszcze coś powiedzieć. Ale do niczego takiego nie doszło.

Wrócił do mieszkania. Sucha miała dość taktu, by nie dopytywać go, jak poszło. Siedziała przy stole. Pisała w jednym ze swoich skoroszytów, równocześnie sprawdzając coś w komputerze. Mortka zdjął bluzę, rzucił ją w kąt przedpokoju i poszedł do kuchni. Nalał sobie szklanekę zimnej wody prosto z kranu i wypił duszkiem. Dopiero wtedy zdecydował się wrócić do pokoju. Przysiadł na skraju łóżka.

– Dobra – odezwał się po minucie. – Urszula Lewandowska. Co z nią?

Sucha oderwała się od swoich zajęć.

– Coś mi nie pasowało w jej opowieści.

– To znaczy? Myślisz, że kłamię?

– Nie, niekoniecznie. Tam po prostu było coś dziwnego.

– Co takiego?

– Mówiła, że grozili, że zrobią coś jej rodzicom, prawda? I wiedzieli, że była mężatką.

– Zgadza się.

– Dlaczego nie dziecku?

Mortka zmarszczył brwi. Dobre pytanie. Dlaczego nie grozili dziecku? Skoro wiedzieli o jej zakończonym małżeństwie i o rodzicach, to powinni wiedzieć też

o synu. W końcu kobieta bardziej przejmuje się swoim dzieckiem niż matką i ojcem.

– Nie wiem – odpowiedział.

– Wcześniej zabrali jej dowód, tak?

– Tak.

Spojrzała na niego znacząco. Jakby chciała, żeby dokończył za nią myśl. Ale on nie potrafił.

– Dawno nikogo nie legitymowałeś, prawda? – zapytała.

Dopiero teraz go oświeciło. Baza PESEL. Znajdują się w niej informacje o adresie, stanie cywilnym, rodzicach, ale brak informacji o dzieciach. To dlatego zabrali jej dowód. Zadzwonili do kogoś, kto miał dostęp do bazy, żeby sprawdził im kelnerkę. Tylko że tego nie da się zrobić ot tak, pstryknięciem palców. Jest określona grupa podmiotów uprawnionych do korzystania z bazy. I mało który działa w środku nocy w weekend.

Oprócz właściwie jednego. Takiego, który jest czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę. I gdzie sprawdzanie numeru PESEL to rzecz tak rutynowa, że nikt nie zauważy dodatkowego numerka do zbadania.

– Chryste – jęknął, kiedy dotarło do niego, co chciała mu przekazać Sucha. – To zrobili nasi.

Mały grzejnik pracował z głośnym buczeniem jak stado wściekłych os, wyrzucając z siebie podmuchy ciepłego powietrza. W elektrycznym czajniku właśnie wrzała woda. Zaraz też wyłączył się z cichym pstryknięciem. Gruda otworzył jedną z szafek, długo przyglądał się jej zawartości, aż wreszcie sięgnął po dwa kubki. Potem zaczął szukać herbaty. Znalazł opakowanie i wyjął z niego dwie torebki.

– Nie wiem, czy do środka myszy nie nasrały – powiedział.

Andrzejewski, który stał niedaleko okna, nie zareagował. Gruda zaparzył obie herbaty. Jedną postawił na parapecie przed podinspektorem, drugą trzymał w dłoniach. Delikatnie potrząsał kubkiem i patrzył na tworzące się na powierzchni niewielkie wiry.

– Czyj to jest dom? – zapytał.

– Dalekiego znajomego – odparł Andrzejewski.

– Na pewno nikt tu nie przyjedzie?

– Po sezonie? Nie ma szans. Od listopada stoi zamknięty na cztery spusty.

A przynajmniej jeszcze niedawno tak było, pomyślał Gruda, zanim włamali się do niego. Sąsiadami nie musieli się przejmować. Znajdowali się na lotnisku, zagubionym gdzieś w okolicy gierkówki. Wzdłuż szutrowej drogi wybudowano kilka domków. Każdy z nich był równie opuszczony jak ten, w którym się ukrywali. W sezonie letnim okolicę wypełniał zapach pieczonej na grillu kiełbaski, dźwięki otwieranego piwa i puszczone z ustawionych na parapetach magnetofonów

letnie przeboje. Teraz włóczyły się tu tylko dzikie ptaki, gryzonie i lisy. Najbliższe zamieszkane domy mieściły się dobre kilkaset metrów dalej, w niewielkiej wsi. Słowem, jedyne, czego mogli się obawiać, to niezapowiedziana wizyta jakichś lumpów lub młodzików, którzy dla rozrywki chcieliby obrobić domek.

– Dodzwoniłeś się do niego? – zapytał Gruda.

Andrzejewski pokręcił przecząco głową. Próbował skontaktować się z Mieszkiem już kilka razy, ale usłyszał jedynie informację, że „abonent czasowo niedostępny”. Gangster wyszedł z więzienia i rozplątał się gdzieś w Warszawie. W najlepszym wypadku ukrywa się. W najgorszym – dopadł go Borzestowski.

Zachwiana równowaga. Tak niewiele wystarczyło, żeby zniszczyć skomplikowaną budowlę, tworzoną przez ostatnie lata, ten system zależności i haków, którym nawzajem sobie grozili, ale który też doskonale ich chronił. Wystarczył jeden ambitny gliniarz z fartem i nagle wszystko zaczęło się sypać. I nie wiadomo, jak znaleźli się w tej koszarnej sytuacji i z każdym dniem robili coraz głębsze rzeczy. Gruda nie wiedział, kiedy się zatrzymają, jeśli w ogóle.

– I co teraz?

– To jego kobieta. Prędzej czy później się do niej odezwie. Jest w ciąży. Nosi jego dziecko.

Gruda drgnął zaskoczony. Nie wiedział o tym. Inaczej by się nie zgodził, a na pewno nie w taki sposób. Sam dosypał jej do soku GHB, pigułkę gwałtu. Dzięki temu bezwolną i niezdolną do oporu dziewczynę wyprowadził z centrum handlowego. Dobrze, że jej koleżanka poszła sobie, zanim narkotyk zaczął działać. Teraz policjant bał się, że zaszkodzili dziecku.

– A jeśli nie? – zapytał.

Andrzejewski spojrział na niego tak, jakby do tej pory w ogóle nie brał tej możliwości pod uwagę. Co zresztą mogło być prawdą. Cały plan, jego wykonanie, to wszystko było wymyślane na poczekaniu. Dzieło dwóch desperatów próbujących przejąć inicjatywę w sytuacji, kiedy nie orientowali się jeszcze, co dokładnie się dzieje.

– Potrzymamy ją tutaj trzy dni i wypuścimy – zdecydował podinspektor. – A co myślałeś?

– Nic nie myślałem – odpowiedział mu Gruda. – Zastanawiam się tylko, co będzie dalej. Jak daleko się posuniemy?

Andrzejewski zaciągnął zasłony, żeby ktoś z zewnątrz, nawet z daleka, nie dostrzegł światła w domku. Chociaż pewnie wystarczyło to samo zrobić z firankami, szarymi i ciężkimi od brudu. Lepiej, by nikt nie zastanawiał się, kto o tej porze roku przyjechał na lotnisko.

– Żałowałaś kiedyś tego, co zrobiliśmy? – zapytał nieoczekiwanie podinspektor.

– Nie – odparł komisarz, chociaż to zaprzeczenie z trudem przeszło mu przez

gardło.

– No właśnie. Ja też nie. Przez lata nawet o tym nie myślałem. Było. Zdarzyło się. Minęło. I wiesz co, Gruda?

– Co?

– Tym razem będzie tak samo – powiedział z naciskiem. – Tak jak wtedy. Było trochę nieprzyjemnie. Teraz też jest. I pewnie jeszcze będzie. Ale koniec końców, wrócimy do domów z czystymi sumieniami.

Gruda nie miał ochoty na dalszą rozmowę na ten temat. Zastanawiał się tylko, kogo Andrzejewski próbuje przekonać. Siebie czy jego.

– To co teraz?

– Czekamy, aż odezwie się Mieszko.

Komisarz wypił łyk swojej herbaty. Była gorzka, paskudna i zupełnie pozbawiona aromatu, jakby torebkę wypełniały trociny. Ze wstrętem wylał ją do zlewu. Potem poszedł w kierunku drugiego pokoju. Ostrożnie uchylił drzwi.

Beata leżała na wersalce. Ręce miała skute na plecach, nogi związane. Oddychała ciężko przez worek na głowie. Plecy pewnie bolały już ją jak cholera. Do tego była w ciąży. Gruda przyjrzał się jej zaokrąglonemu brzuchowi. Wcześniej myślał, że to po prostu lekka nadwaga. Obiecał sobie, że coś wymyśli, by było jej trochę wygodniej, skoro ma spędzić w tym miejscu aż trzy dni.

Stąpając ostrożnie, wszedł do pokoju. Zaczął szukać czegoś twardego i umocowanego na tyle solidnie, do czego mógłby ją przykuć i równocześnie zapewnić jakąś swobodę ruchów. Ale jak na złość nic nie dostrzegł. Żadnych rur, prętów, niczego, co gwarantowałyby, że dziewczyna nie ucieknie.

Beata chyba go usłyszała. Uniosła się w górę na tyle, na ile pozwalało jej związane i obolałe ciało.

– Proszę... – powiedziała płacząco. – Proszę...

Gruda wycofał się bezgłośnie i zamknął za sobą drzwi.

Spanie przedstawiało się problematycznie. Jedno łóżko, ich dwóch. Wiadomo było, że kwestia się pojawi, ale przez cały dzień Kochan z Mieszkiem starannie jej unikali. Wreszcie wieczorem policjant bez słowa podał mężczyźnie narzutę ściągniętą z tapczanu, koc, który znalazł w szafie, i poduszkę.

Mieszko rozłożył sobie posłanie. Przez chwilę obaj zastanawiali się nad tym, czy rozebrać się do spania, czy raczej położyć się w ubraniu. Normalnie to drugie w ogóle nie wchodziłoby w grę, ale zdejmowanie ubrań przy drugim facecie obu wydawało się dziwne. Żeby uniknąć krępującej sytuacji, Kochan najpierw zgasił światło. Dopiero potem, w zupełnej ciemności, obaj się rozebrali i położyli spać.

Noc ciągnęła się jak świeżo położony asfalt. Mieszko przewracał się z jednej strony na drugą, nie mogąc zasnąć. Gniotło go w boku. Kiedy przykładał głowę do poduszki, słyszał włączony telewizor u sąsiadów poniżej.

Leżący na łóżku Kochan też trochę się wiercił, ale wkrótce zaczął oddychać

równy i spokojnie, co oznaczało, że zasnę. Mieszko nie rozumiał, co policjant robi w tym mieszkaniu, dlaczego się ukrywa. Wyglądało na to, że obaj mają równie wielkie kłopoty, ale gangster nie próbował się dowiedzieć, o co dokładnie chodzi. Do niczego nie było mu to potrzebne. A ulica nauczyła go, żeby nie wsadzać nosa w nie swoje sprawy.

Przewrócił się na plecy. Jego myśli powędrowały do Betti. Nigdy nie sądził, że będzie nosić jego dziecko. Nie żeby nie chciał mieć syna (tak właśnie sądził – że to będzie chłopak), po prostu zupełnie o tym nie myślał. Ale stało się i już. I od razu wiedział, że jest gotów zrobić dla nich wszystko.

Jego pierwsze wspomnienia z domu to obraz zarobionej matki. Ojca nie było, chyba wtedy siedział. A może wybył na kilka miesięcy, żeby szlajać się z kumplami po dzielnicy, spać po menelskich metach, chlać i się bawić. Potem wracał do domu i dziwił się, że ktokolwiek może mieć do niego o cokolwiek pretensje. W każdym razie – ojca w domu brakowało. Dużo obiecywał, rzadko dotrzymywał słowa. Jak mu nie starczyło na rozrywki, to kradł odłożone na ubrania i jedzenie pieniądze. Mówił, że odda, kiedy będzie miał. Mieszko nigdy nie widział, by to zrobił. Musieli sobie w trójkę radzić sami. Lepiej lub gorzej. Matce nie zawsze wszystko się udawało. Bywało, że chodzili głodni. Bywało, że z żalu się upijała i zasypiała w ubraniu na kanapie, zapominając o Mieszku i jego bracie. Ale nigdy ich nie zostawiła. I dlatego Mieszko ją kochał i szanował. I dlatego też natychmiast, kiedy dowiedział się o ciąży Beaty, obiecał sobie, że nie będzie taki jak jego ojciec. On będzie przy swoim dziecku – od pierwszego dnia i przez wszystkie kolejne lata jego życia, które nie mogło rozpocząć się od tego, że ojciec siedzi w więzieniu. Na niego jego syn będzie mógł liczyć. Mieszko chciał się nim opiekować, nauczyć chodzić, grać w piłkę, jeździć na rowerze i bić, walczyć o swoje. Pokazać, co to znaczy być mężczyzną. Od tego właśnie jest ojciec.

Chyba zasnę. Nie wiedział kiedy ani jak. Pamiętał tylko strzępy swoich snów. Ponurych, wypełnionych czerwienią i wykrzywionymi, wrogimi twarzami. Coś zabolowało go w piersi. Jakaś myśl, której nie potrafił sprecyzować.

Odrzucił koc. Leżał tak przez chwilę, w samych majtkach i T-shircie. Nagle podjął decyzję. Nie mógł zostawić Betti. Da jej znać, że wszystko z nim w porządku, i dowie się, co u niej. Wyprawa do domu faktycznie wiązała się ze zbyt dużym ryzykiem, ale to, że nie pozwolili mu do niej zadzwonić, to już czyste skurwysyństwo. Był wolnym człowiekiem. To psy powinny słuchać rozkazów, a nie on.

Zaczął szukać telefonu. Najpierw sprawdził blat biurka, potem ostrożnie podniósł spodnie Kochana i pogrzebał w kieszeniach. Znalazł tam tylko pęk kluczy i chusteczki. Chciał je wsadzić z powrotem na miejsce. Z chusteczkami się udało, ale klucze wyleciały mu z ręki i z brzękiem uderzyły o podłogę.

– Kurwa – zaklął.

Policjant poruszył się pod kołdrą i powiedział coś niezrozumiałego ostrym tonem. Mieszko zastygł na moment. Czekał. Podkomisarz ciągle spał. Gangster ostrożnie schował klucze. Następnie otworzył szufladę biurka. I tam wreszcie odnalazł aparat. Podniósł go. Próbował włączyć, ale ekran pozostawał czarny. Mocniej nacisnął przycisk. Ekran na chwilę rozbliysnął, pokazał, że bateria jest pusta, i na powrót zgasł.

– Kurwa – wyszeptał.

Włożył spodnie i skarpetki. Wyszedł cicho i skierował się do pokoju znajdującego się po lewej stronie. Przez moment stał w ciemności, próbując rozpoznać stojące przed nim kształty. Widział łóżko, skotłowaną pościel i leżącego w niej chłopaka. Przy ścianie stały dwie gitary i jakiś bęben. Nad nimi zwisiała przybita pinezkami flaga. Na parapecie dostrzegł podłużny ciemny przedmiot. Podeszedł do niego. To była komórka. Na pewno naładowana, bo podłączona kablem do gniazdko. Wziął ją do ręki i gestem kciuka odblokował aparat. W tym momencie zauważył, jak chłopak podnosi się powoli. Ich spojrzenia się spotkały.

– Pożyczam – powiedział Mieszko. – A ty chcesz wpierdol?

– Nie – odpowiedział po długiej chwili ciszy Szłoma.

– To wracaj spać, zasrańcu.

Student opadł na łóżko. Mieszko wyszedł szybko z pokoju i schował się w kuchni. Na szczęście pamiętał numer do Beaty. Dzięki więzieniu. W telefonach w areszcie nie ma szybkiego wybierania. Wbił wszystkie cyferki i czekał na połączenie. Pewnie spała. Żał mu było ją budzić, ale bardzo chciał z nią porozmawiać.

Odebrano połączenie, ale zamiast Beaty usłyszał tylko ciszę. I czyjś oddech.

– Betti – powiedział. – Betti, to ja...

– Wreszcie dzwonisz – odezwał się w słuchawce męski głos, a Mieszko poczuł, że po plecach przechodzą mu ciarki. – Mamy twoją kobietę. Chcesz ją dostać z powrotem? Chciałbyś, Mieszko?

– Tak – wycharczał z niemałym trudem.

– A my chcemy garnitur. Wiesz który?

– Tak.

– Przynies go nam, a dostaniesz swoją kobietę.

– Jest ukryty.

– To go odkryj – powiedział mężczyzna. – A teraz zapisz numer. Gotowy?

Znalazł leżący nieopodal lodówki notatnik i długopis. Włączył go i kilka razy przycisnął do kartki, żeby sprawdzić, czy na pewno pisze.

– Tak.

Podyktował mu numer.

– Zadzwoń, kiedy będziesz miał garnitur. Ale się pośpiesz. Zegar tyka.

Rozłączył się.

Mieszko usiadł na taborecie. Stało się to, czego najbardziej się bał. Pomimo zapewnień Mortki, który mówił, że mają ją na oku, Borzestowski dopadł Beatę. Gangster chwycił się za głowę. Miał ochotę wbić sobie palce w czaszkę.

Borzestowski żądał garnituru. Nawet nieważne, skąd o nim wiedział. Ktoś inny być może dałby mu to, czego on chce, ale Mieszko za dobrze go znał. Wiedział, że na tym się nie skończy. Na niego wydano już wyrok. Jak tylko odda dowód Borzestowskiemu, dostanie kulę w łeb. Ale co z Beatą? Bał się najgorszego. Nie, coś więcej. Był pewien najgorszego. Borzestowski zrobi z nich przykład. Pokaże wszystkim, co dzieje się z ludźmi, którzy mu zagrażają. Co robi z tymi, którzy go zdradzili.

I nagle, w gwałtownym przebłysku, kiedy nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce, Mieszko wiedział już, co powinien zrobić.

Zebrał wszystkie swoje rzeczy. Włożył bluzę i kurtkę. Z kuchni wziął dwa noże o najdłuższych ostrzach i wsadził je sobie do wewnętrznej kieszeni kurtki. Po drugiej stronie umieścił młotek i śrubokręt znalezione w szafie w przedpokoju. Nie miał czasu na poszukiwania innej broni. Musiał się śpieszyć, jeśli zamierzał jeszcze dziś w nocy zabić Borzestowskiego.

Borzestowski mieszkał na Ochocie w starym budynku pełnym starych ludzi. Mieszko nigdy do końca nie rozumiał, dlaczego gangster nie zdecydował się na zakup jakiegoś apartamentu w nowoczesnym budynku albo willi pod Warszawą. Mógł sobie na to pozwolić. Być może chodziło o to, żeby nie zwracać na siebie przesadnie uwagi. Lokalizacja była dobra. Blisko centrum, ale w cichej okolicy, a sama kamienica niczym się nie wyróżniała. Poszarzała od brudu elewacja, na dole sklep spożywczy. Pod nim kilka średniej klasy samochodów. Borzestowski wykupił w niej dwa mieszkania na tym samym piętrze, połączył je, a jedno z drzwi kazał zamurować. Jego lokal miał dobre ponad sto metrów i został luksusowo wykończony.

Mieszko dotarł tam autobusami nocnymi. Zajęło mu to ponad półtorej godziny, z czego większość czasu marzył na przystankach. Przynajmniej zdążył opracować plan działania. Był dość prosty. Borzestowski zajmował mieszkanie na czwartym piętrze w pięciopiętrowej kamienicy. Gangster dbał o swoje bezpieczeństwo. Zamontował grube, solidne i nowoczesne drzwi antywłamaniowe. Mieszko wiedział, że nie ma szans w żaden sposób się przez nie włamać. Ukrywanie się na klatce i czekanie z atakiem, aż Borzestowski wyjdzie z mieszkania, też nie wchodziło w grę. Za duże ryzyko, że gangster będzie poruszał się w obstawie. Jednak był pewien sposób. Ryzykowny, ale jedyny możliwy.

Wszedł na podwórko kamienicy i skierował się do starych drzwi. Jeszcze drewnianych. Wystarczyło je pociągnąć i trochę pomajstrować śrubokrętem przy zamku, by dostać się do środka.

Mieszko wślizgnął się na klatkę. W kamienicy znajdowała się co prawda winda, ale wolał z niej nie korzystać, żeby nie robić hałasu. Zamiast tego podjął mozolną wspinaczkę na piąte piętro. Szedł przy samej ścianie, gdzie drewniane schody najmniej piszczały przy każdym kroku. W całym budynku panowała cisza. Emerycy jeszcze spali. Nikomu nie śpieszyło się do pracy. Mieszko zatrzymał się tylko na moment przy wejściu do mieszkania Borzestowskiego. Z zewnątrz wyglądały niepozornie, ale w środku znajdowała się gruba blacha, stalowe sztaby i skomplikowane zamki. Ruszył dalej, powyżej piątego piętra, gdzie stanął przed wejściem na strych.

Gdyby budynek zajmowali młodszy ludzie, strych pewnie już dawno zostałby przebudowany i zmieniony w modne mieszkanie czy przestrzeń biurową dla pracowni architektonicznej lub agencji reklamowej. Jednak starsi ludzie od zawsze wykorzystywali go jako suszarnię i nie zamierzali z niej zrezygnować.

Wejścia broniła tylko zwykła kłódka. Mieszko wyjął młotek i śrubokręt. Śrubokręt przyłożył do framugi, blisko skobla, i kilka razy bardzo mocno uderzył. Potem wykorzystał narzędzie jako dźwignię, wyrwijąc skobel.

Wszedł do środka. Od razu uderzyło w niego zimne i równocześnie wilgotne powietrze. Na sznurach zawieszonych w poprzek pomieszczenia suszyło się kilka prześcieradeł i poszew na kołdry. Przeszedł przez nie, szukając odpowiedniego okna. Tego, które było tuż nad balkonem sąsiadów Borzestowskiego. Odnalazł je, otworzył i wziął głęboki wdech.

Najpierw ostrożnie wychylił się na zewnątrz. Balkon znajdował się około trzech metrów niżej, i do tego lekko po skosie. Mieszko splunął w bok i wszedł niezgrabnie na parapet. Zastanawiał się, jak powinien wykonać skok. Zdecydował się chwycić parapetu i zsunąć w dół twarzą do ściany. Tak właśnie zrobił. Kiedy już wisiał, poczuł strach. Znajdował się wyżej, niż przypuszczał. Wszystko przez to, że mieszkania, jak to w przedwojennym budownictwie, miały nawet trzy metry wysokości. Ścisnęło mu żołądek. Ale było już za późno, żeby się wycofać. Nawet gdyby chciał, nie dałby rady się podciągnąć. Puścił parapet i zamknął oczy. Poczł, jak się zsuwa. Potem był krótki lot i uderzył nogami o balkon. Nie udało mu się złapać równowagi, więc wylądował na poślaskach, a tyłem głowy uderzył o metalową barierkę. Zasycał z bólu, ale udało się! Tylko że pokonał zaledwie połowę drogi, tę łatwiejszą. Skok na balkon Borzestowskiego był bardziej ryzykowny. Musiał się przygotować.

Ale nie dano mu szansy. Zobaczył, jak ruszają się firanki w drzwiach balkonowych. Przestraszył się, że sąsiedzi gangstera należą do tych emerytów, którzy nigdy nie zasypiają. Zaraz odkryje go jakaś stara baba, zacznie wrzeszczeć na całe gardło, zawiadomi policję i spierdoli mu cały plan. Wtedy firany się odchyliły i ujrzał przed sobą pysk yorka. Piesek chwilę mu się przyglądał, a potem zaczął szczekać. Głośno, piskliwie i irytująco, jak włączona na cały regulator zabawka dla dzieci. Jeszcze trochę i faktycznie obudzi właścicieli.

Mieszko poderwał się na równe nogi i przeszedł na drugą stronę balkonowej barierki. Kiedy ta zatrzeszczała niebezpiecznie, przypomniał sobie, że waży ponad sto kilo, i przestraszył się, że to za dużo dla starej konstrukcji. Jeśli powiesi się na niej, wyrwie ją z muru i razem polecą pięć pięter w dół. Nie mógł jednak tutaj zostać, a o wdrapaniu się z powrotem na strych nie było mowy.

– Kurwa mać, Jezu Chryste – powiedział.

Przykucnął po zewnętrznej stronie barierki. Starał się nie patrzeć w dół, ale przez przypadek zerknął. Ziemia, twarda kostka brukowa, znajdowała się bardzo, bardzo daleko. A po drodze nie było nic, co złagodziłoby jego upadek. Żadnych gałęzi. Żadnego samochodu, na którego dach mógłby zlecieć. Po prostu nic.

Chwycił się prętów najniżej jak potrafił i tak mocno, że niemal wbił je sobie w dłonie. Pomimo chłodu lepiły się od potu. Modlił się, żeby się nie ześlizgnęły. Policzył do trzech. Potem jeszcze raz i dopiero wtedy opuścił nogi w dół.

Przez krótką chwilę bał się, że nie da rady utrzymać swojego ciężaru. Brzeg balkonu wbił mu się w pierś, nogi zwisały nad przepaścią. W panice zakołysał

kilkakrotnie całym ciałem, a potem pręty wyslizgnęły mu się z dłoni.

Ku swojemu zaskoczeniu wylądował na balkonie Borzestowskiego w stylu, którego nie powstydziliby się Adam Małysz. Na obu nogach. W pozycji stojącej. Z rozłożonymi rękoma dla utrzymania równowagi.

Udało się! Zacisnął pięść i wzniósł ją w górę. Potrząsnął nią kilka razy.

Wyjął śrubokręt i przyłożył go do framugi drzwi balkonowych. Powtórzył manewr ze skoblem. Tylko tym razem wbił śrubokręt głębiej niż poprzednio. Walczył z nimi przez moment, ale wreszcie puściły. Drzwi balkonowe stały przed nim otworem.

Teraz pozostała ostatnia rzecz do zrobienia – zabicie Borzestowskiego.

Pies sąsiadów piętro wyżej ciągle szczekał.

Pies sąsiadów wciąż szczekał.

Jeśli to futrzaste małe gówno można było w ogóle nazwać psem, pomyślał ze złością Borzestowski. Szczek też miał taki, jakby ktoś ścisnął gumową piłeczkę, ale to wystarczyło, by go zbudzić, od kiedy zaczęły się jego problemy z plecami. Gangster czasami fantazjował o tym, że idzie do góry, daje mieszkającym tam emerytom dwa tysiące, a potem własnoręcznie skręca wrednemu szczurowi kark.

Przekręcił się na bok i od razu tego pożałował. Miał wrażenie, że ktoś właśnie wbił mu nóż w kręgosłup. Ból promieniował z wnętrza kości i jeśli to w ogóle było możliwe, mackami oplótł mięśnie i ścisnął je z całej siły.

Lekarze, do których chodził, już od dawna sugerowali mu zabieg chirurgiczny, ale Borzestowski nie zgadzał się. Opowiadano mu co prawda, że operacja jest w niemal stu procentach bezpieczna. Chirurdzy rzucali statystykami, próbując udowodnić, że bardziej ryzykuje, łykając aspirynę, że już następnego dnia mógłby wyjść do domu. W żaden sposób go to nie przekonywało. Póki potrafił chodzić, nikt nie będzie mu grzebał skalpelem w plecach. Wystarczy, że konowałowi omsknie się ręka, a on skończy na wózku inwalidzkim. Zbyt wiele osób by się z tego ucieszyło, żeby miał ryzykować.

Jednak w takich chwilach, kiedy zaraz po przebudzeniu ból był tak intensywny, proszki przeciwbólowe przestawały działać, a w ustach czuł tylko gorzki smak przetrawionej wódki, mało brakowało, by się złamał i zmienił zdanie.

Wsadził twarz w poduszkę i zamknął oczy, chociaż nie miał żadnej nadziei na to, że zaśnie.

Nagle przez szczekanie psa doszedł do niego inny dźwięk. Głuche łupnięcie. Potem szczęk wylamywanego zamka w salonie. Dopiero po chwili skojarzył, że znajduje się tam wyjście na balkon.

Natychmiast zapomniał o bólu. Zsunął się z łóżka, wyciągnął szufladę szafki nocnej i wyjął znajdujący się tam pistolet. Glock 21. Broń o potężnym kalibrze, ale równocześnie zaskakująco lekka. Z niewiarygodnie niewielkim odrzutem, jeśli weźmie się pod uwagę jej moc. Do tego niezawodna. Według wielu najlepszy

obecnie pistolet na rynku. Miał wszystko, czego gangster oczekiwał od broni trzymanej w domu dla bezpieczeństwa.

Sprawdził, czy w środku znajduje się magazynek. Odbezpieczył i przeładował broń. A potem nasłuchiwał. Próbował się zorientować, ilu może być napastników. Obstawiał, że jeden, góra dwóch. Pewnie włamali się przez balkon, by wpuścić resztę drzwiami. Tylko że to nie mogło się udać. Do tego nawet od wewnątrz potrzebny był klucz. A ten leżał w szufladzie w sypialni.

Borzestowski schował się za łóżkiem. Wycelował w drzwi i czekał. Pies na gorze u sąsiadów ciągle czekał.

Potem zauważył jakiś cień na korytarzu. Ktoś zbliżał się do jego sypialni. Przełknął ślinę i wstrzymał oddech. Jego palec powędrował na spust.

W drzwiach stanął Mieszko. Borzestowski syknął z bólu, kiedy jego plecy właśnie w tej chwili postanowiły o sobie przypomnieć. Zaciśnął zęby i na moment mimowolnie zamknął oczy. Stracił w ten sposób sekundę lub dwie. Wystarczyło, żeby Mieszko go zauważył. Borzestowski nacisnął spust. Huk wystrzału odbił się od czterech ścian. Pies sąsiadów gwałtownie umilkł i zaraz na powrót się rozszczękał. Dziwne, że jego właściciele jeszcze nie zareagowali. Być może zupełnie już ogłuchli, przemknęło przez głowę gangsterowi.

Mieszko zdołał się schować. Zamiast jego martwego ciała Borzestowski widział przed sobą tylko dziurę w ścianę.

– Mieszko! – krzyknął. – Chodź, Mieszko! Pogadamy!

Nie sądził, by ten nabrał się na taki głupi chwyt, ale próba nic go nie kosztowała.

A więc Mieszko, pomyślał. Właściwie to nie był nawet zdziwiony. Po tajemniczym zniknięciu swojego podopiecznego mógł się spodziewać, że ich ścieżki się skrzyżują. Fakt, że mężczyzna odważył się zaatakować go w jego własnym domu, nawet mu zaimponował. Zastanawiał się teraz, czy przyszedł sam czy z kimś. Czy miał broń, a jeśli tak, to jaką?

Czekał, w dalszym ciągu schowany za łóżkiem. Analizował sytuację. Byli zamknięci w jego mieszkaniu. Mieszko mógł uciec tylko przez balkon, ale czy naprawdę uciekałby zaraz po pierwszym starciu? Prawdopodobnie liczył na to, że zaskoczy go podczas snu. To się nie udało, a jednak zdecydował się na przeprowadzenie zamachu, co oznaczało, że jest zdesperowany i pomimo pierwszego niepowodzenia spróbuje zakończyć sprawę. Należało więc zakładać, że ciągle jest w mieszkaniu.

Borzestowski mógł zadzwonić po wsparcie. Nie miałby tylko jak otworzyć drzwi swoim ludziom, a wątpił, by powtórzyli ryzykowną wspinaczkę po balkonie. Poza tym, gdyby ujawnił, że dał się zaatakować we własnym domu, przyznałby się w pewien sposób do słabości. Wzywając pomoc, tylko by to potwierdził. Jeszcze ktoś by pomyślał, że się starzeje, że nie potrafi sam o siebie zadbać.

Kręgosłup znowu go zabolął. Tak mocno jak chyba nigdy. Borzestowski uderzył kilka razy pięścią w łóżko. Przed oczami zatańczyły mu czerwone mroczki. Musiał wziąć proszki przeciwbólowe. Obawiał się, że podczas kolejnej fali bólu straci nad sobą kontrolę. Być może nawet zemdleje. Mieszko będzie mógł z nim zrobić wszystko.

Chryste, że to zdarzyło się właśnie dzisiaj.

Ketonal zostawił w łazience. Łykał go zawsze przed snem przy myciu zębów i rano podczas porannej toalety.

Powoli się podniósł. Bolało tak bardzo, że przy każdym kroku musiał podpierać się o ścianę. W drugiej ręce trzymał broń. Ostrożnie podszedł do drzwi. Chwycił pistolet w obie dłonie. Wziął wdech. Poczekał, aż ból trochę zelżeje, co zdawało się trwać wieki, i energicznym ruchem wyskoczył na zewnątrz.

Wyszło to absolutnie koślawo. Mięśnie zareagowały ognistym pieczeniem. W jakiś sposób władował się prosto na ścianę, uderzając w nią barkiem. Lufa pistoletu zamiast w korytarz mierzyła w podłogę.

Mieszko go jednak nie zaatakował. Borzestowski widział przed sobą pusty hol. Na jego końcu znajdował się salon i otwarte drzwi balkonowe. Firanki delikatnie kołysały się, poruszane podmuchami wiatru.

– Mieszko! Pogadajmy! – krzyknął. – Czego chcesz, chłopie?!

Nic. Cisz. Może naprawdę uciekł? Borzestowski tyle guzdrał się w sypialni, że mężczyzna miałby czas zapuścić włosy, upleść je w warkocz, spuścić go przez barierkę i zsunąć się po nim na ziemię.

– Jestem biznesmenem, Mieszko! Poważnie! Nie jestem na ciebie zły! – Jego całe ciało napięło się gwałtownie, w kącikach ust pojawiły się łzy. – Mam propozycję! Zapominamy o całej sprawie! Daję ci kasę! Lewe dokumenty! I znikasz z kraju! Co ty na to, Mieszko? Chciałbyś? Chciałbyś gdzieś sobie pojechać?

Liczył na reakcję. Na to, że mężczyzna się odezwie, zdradzi, gdzie jest, ale nic takiego się nie stało. Gangster przypomniał sobie, że Mieszko tylko wyglądał na głupiego. Naprawdę był bystry. Bystrzejszy nawet, niż sam się spodziewał.

– Trzeba było brać na pomocników debili – wymruczał pod nosem.

Ruszył przed siebie. Ostrożnie. Nie śpieszył się, chociaż ból doprowadzał go do szału. Jego myśli krążyły wokół boskiego ketonalu.

Wreszcie dotarł do drzwi od łazienki. Czy tamten wiedział o jego problemach z plecami? Czy był na tyle sprytny, żeby schować się w środku?

Nie, nie miał czasu nad tym się zastanawiać. Jego proszki tam na niego czekały. Wszedł do środka z bronią gotową do strzału. Obrzucił wzrokiem całe pomieszczenie. Wanna z jacuzzi – pusta. Wejście do kabiny prysznicowej znajdowało się za załomem. Mieszko mógł tam być, ale Borzestowski już nie czekał, nie zastanawiał się. Widział tylko leżącą przy umywalce fiolkę z lekami.

Wyszedł za załom, gotowy na konfrontację.

Pusto.

Podszedł do umywalki i wziął fiolkę. Dłonie mu latały, jakby miał parkinsona. Nie dałby rady otworzyć jej jedną ręką. Odłożył broń, odkręcił wieczko i wyciągnął dwie tabletki.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Kątem oka zauważył wbiegającego do łazienki Mieszka. Mężczyzna uderzył w niego całym ciałem i obaj polecili na ziemię. Fiolka z ketonalem wypadła Borzestowskiemu z dłoni. Krzyknął głośno, rozpaczliwie, kiedy zauważył, że tabletki rozsypują się po podłodze.

Uderzyli o ziemię. Gangster dostał pięścią w twarz. Zamroczyło go. Z rozbitej wargi pociekła krew. Poczul, że Mieszko chwyta go za gardło i ściska. Instynktownie się szarpnął, próbował go zrzucić, ale dostał kolejny cios w szczękę. Sam uderzył go w brzuch, jednak nic to nie dało. Zarobił po raz kolejny.

– Masz dość?! Masz, kurwa, dość?!

Miał. Tylko nie był w stanie w żaden sposób tego zasygnalizować.

– Gdzie jest Betti?! Gdzie jest Betti?! – krzyczał Mieszko. Siedział na nim okrakiem, jedną ręką go dusił, drugą trzymał młotek. Na jego kłykciach gangster dostrzegł krople własnej krwi.

– Gdzie jest Betti?!

Młotek uderzył tuż obok głowy Borzestowskiego, miażdżąc białe kafelki. Ostry odprysk trafił go w policzek.

– Nie wiem – wycharczał wreszcie.

W odpowiedzi Mieszko jeszcze mocniej zacisnął dłoń na jego gardle. Gangster nie miał już czym oddychać. Całe ciało zaczęło go piec, czuł, jakby w płuca ktoś wbił mu tysiące pinezek. I po raz pierwszy tego ranka pomyślał, że dzisiaj umrze.

– Gdzie jest Betti?! – wrzeszczał Mieszko.

Borzestowski chwycił go za przedramię. Próbował oderwać od swojej szyi, ale był za słaby. Umieścił swoją dłoń na twarzy Mieszka, chciał wbić palce w jego oczy, jednak nic to nie dawało.

Za słaby. Za wolny.

Wtedy dostrzegł, że z wewnętrznej kieszeni kurtki napastnika wystaje rękojeść kuchennego noża. Chwycił ją. Wyciągnął. A potem jednym ruchem wbił ostrze w szyję mężczyzny.

Krew trysnęła mocnym strumieniem.

Mieszko puścił go, a gdy młotek uderzył o kafelki, wyprostował się gwałtownie. Chwycił za rękojeść tylko po to, żeby zaraz ją wypuścić. A potem padł na podłogę.

Borzestowski patrzył przez kilka sekund na powiększającą się z każdą

chwilą kałużę krwi. Aż nagle otrzeźwiał. Podczołgał się do niego i przyłożył swoją dłoń do jego rany.

– Nie umieraj, Mieszko. Nie umieraj, skurwielu.

Musiał jakoś zatamować krwawienie. Wychylił się maksymalnie jak mógł, ale i tak nie sięgał do ręczników. Gdyby go puścił, tamten straciłby dużo krwi.

– Masz coś, Mieszko! Jakiś pakunek! Gdzie go ukryłeś? Co to jest?

Życie mężczyzny wypływało mu spomiędzy palców. Jasne i czerwone.

– Co to jest? Gdzie to jest? – dopytywał.

Mieszko otworzył usta. Szeptał coś. Borzestowski nachylił się nad nim.

– Gdzie jest Betti? – powiedział Mieszko.

I to były jego ostatnie słowa.

Borzestowski chwilę przy nim siedział. Oddychał głęboko. Adrenalina opuszczała jego ciało. Kręgosłup pulsował, jakby był żywym stworzeniem i próbował wyrwać się z jego ciała. Gangster podniósł dwie z leżących na podłodze tabletek. Były całe zakrwawione. Ale i tak je połknął. A potem oparł się o najbliższą ścianę i czekał, aż zaczną działać.

– Kurwa, kurwa, kurwa.

Tylko to wydobywało się ust Mortki od momentu, kiedy obudził go rano telefon od Kochana.

Z Suchą pracowali do późna w nocy. Cały pokój był zavalony notatkami, teczkami z dokumentacją, wykresami, w których rozpisywali powiązania, i osie czasu badanych wydarzeń, a także listami podejrzanych. Nawet nie do końca wiedział, kiedy się położyli.

Sucha, tak jak obiecała, spała na podłodze, w śpiworze. Dzwonek komórki obudził ich oboje. Kiedy się uniosła, zobaczył przez przypadek, że pod bawełnianą koszulką nie ma stanika. Wyraźnie dostrzegł ciemne obwódki jej sutków i zarys piersi. W pracy zawsze ukrywała je pod bluzkami, koszulami i wojskowymi kurtkami. Teraz zorientował się, że są większe, niż do tej pory mu się wydawało. I nagle zrozumiał, dlaczego Olga aż tak bardzo oburzyła się poprzedniego wieczoru.

Odebrał.

– Mieszko zniknął – usłyszał głos Kochana.

Wtedy z jego ust padło pierwsze przekleństwo.

Ubrał się błyskawicznie, zostawił Suchej drugi komplet kluczy, popędził do samochodu i pojechał natychmiast na Bemowo. Wciąż i nieustannie klnąc na czym świat stoi, aż w ustach zrobiło mu się całkiem sucho.

Nie czekał, aż winda zjedzie z wyższych pięter. Wbiegł po schodach na piąte piętro. Bez pukania wszedł do mieszkania, a potem prosto do pokoju Kochana. Po drodze minął zaskoczony student, który już otwierał usta, by zaprotestować, ale nie zdążył, bo Mortka trzasnęła mu drzwiami do pokoju przed nosem.

– Co się stało? – zapytał.

Kochan poderwał się na jego widok z tapczanu.

– Nie wiem – odpowiedział. – Nie ma go.

– Jak długo?

– Nie mam pojęcia, kiedy wyszedł.

– Miałeś go pilnować!

– Spałem. Kiedy się obudziłem i zobaczyłem, że zniknął, natychmiast do ciebie zadzwoniłem.

Mortka chwycił go za koszulkę. Przyciągnął do siebie tak, że niemal zderzyli się nosami.

– Pozwoliłeś mu wyjść. Miałeś zrobić jedną rzecz i zaważyłeś to!

– Kurwa! Kuba! Nie wiem, czy zauważyłeś, ale tutaj nie ma za bardzo warunków do przetrzymywania kogokolwiek! Zresztą nawet gdybym zobaczył, że wychodzi, to jak miałem niby go powstrzymać?!

– Kochan... – Mortka zacisnął zęby. Policzył w myślach do pięciu, żeby trochę się uspokoić. Puścił podkomisarza. – Nawet nie wiesz, ile dla ciebie ryzykuję.

– Wiem.

– W zamian prosiłem o jedną rzecz. Rozumiesz? O jedną...

Ktoś zapukał do drzwi. Mortka z rezygnacją dał Darkowi znak, żeby otworzył. Po drugiej stronie stał z niewyraźną miną Szłoma.

– Czego? – zapytał komisarz.

– To znaczy sorry, że przeszkadzam, nie, ale dość głośno gadacie. Ale jeśli chodzi o tego waszego kumpla, nie?

– Co z nim?

– Był u mnie w nocy w pokoju. Myślałem, że zajmował mi komórkę, bo ją wziął, ale potem ją znalazłem w kuchni, nie?

Mortka wyciągnął rękę w stronę studenta. Chłopak zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

– Dawaj aparat.

– Ano tak.

Podał komórkę policjantowi, a ten odblokował szybko i sprawdził wychodzące połączenia. W nocy było tylko jedno. Przepisał numer do swojego telefonu. Miał go w spisie kontaktów – Beata, dziewczyna Mieszka. Natychmiast do niej zatelefonował.

Nie odebrała.

– Kurwa... – zaklął po raz kolejny.

Szybko w głowie ułożył scenariusz. W nocy Mieszko podkrada telefon Szłomie. Dzwoni do Beaty. Umawiają się na jakieś spotkanie. I co dalej? Nie wiedział. Popełnił błąd. Powinien pozwolić Mieszkowi skontaktować się

z dziewczyną. Odbyliby tę rozmowę przy nim, wszystko by słyszał i wiedział. Nie docenił jego przywiązania do narzeczonej, a to przecież z jej powodu Mieszko postanowił w ogóle rozpocząć współpracę z policją. Co będzie dalej? W najlepszym wypadku wróci tutaj za parę godzin. W najbardziej realistycznym właśnie ucieka z Beatą za granicę. W najgorszym Borzestowski zdążył go już dorwać. W dwóch z trzech wariantów Mortka straci szansę na odnalezienie garnituru.

– Pan też jest z policji? – zapytał Szloma.

Mortka oderwał się od komórki i spojrzał zaskoczony na Kochana, który tylko rozłożył ramiona.

– Nie interesuj się.

Odrzucił studentowi telefon, ale chłopak nie zdążył go złapać i aparat poleciał na podłogę. Uderzył z trzaskiem. Wypadła tylna klapka i płaska bateria.

– Nic się nie zmienia – powiedział Darkowi. – Siedzisz tutaj i czekasz. Gdyby Mieszko wrócił, dzwoń.

Opuścił mieszkanie. Wsiadł do samochodu i pojechał na drugą stronę miasta, na Ursynów. Nie miał lepszego pomysłu niż sprawdzenie mieszkania Mieszka i Beaty. Wątpił, żeby ich tam zastał, ale to było najbardziej oczywiste miejsce do rozpoczęcia poszukiwań. Potem zastanowił się co dalej.

Na osiedle dotarł po niemalże godzinie. Przy bramie wjazdowej pokazał ochroniarzowi odznakę.

– Znowu kogoś zabili? – zdziwił się mężczyzna.

– Nie. Otworzy pan?

– Jasne, jasne, panie władzo.

Brama odsunęła się z nieprzyjemnym chrzęstem. Mortka wjechał do środka. Na placu okalającym dziedziniec dość łatwo znalazł miejsce do parkowania. Dużo mieszkańców wyjechało do pracy i ponad połowa parkingu świeciła pustkami. W godzinach wieczornych było dużo gorzej. O miejsca do postawienia samochodu toczyła się regularna wojna.

Wysiadł z samochodu. Rozejrzał się dookoła. Borzestowski z pewnością pilnował mieszkania. Najbardziej logiczne byłoby opłacenie ochroniarzy, ale po ostatnich wydarzeniach administrator podobno bardzo uważnie sprawdzał zatrudnionych przez agencję ochrony pracowników. Gangster pewnie znalazł inne wyjście.

A może Mortka cierpiał już na paranoję?

Odnalazł blok Mieszka. Wszedł do klatki i wkrótce stał już przed jego drzwiami. Zadzwoił kilka razy, a potem załomotał pięścią.

Zero reakcji. Przyłożył ucho do drzwi. Przymknął powieki. Z mieszkania nie dochodził żaden odgłos. Żadnego szurania, rozmów, ostrożnie stawianych kroków. Co jeszcze nie znaczyło, że nikogo w środku nie ma.

– Kim pan jest?

Oderwał ucho od drzwi, prostując się szybko. Kilka kroków za nim stała starsza siwowłosa kobieta w eleganckim wełnianym płaszczu. Przez ramię przerzuconą miała brązową skórzaną torebkę od Wittchena. Kobieta wyglądała znajomo, chociaż był pewien, że widzi ją po raz pierwszy w życiu.

– A pani?

– To ja pierwsza zapytałam. Proszę mi powiedzieć, kim pan jest.

Mortka rozważał różne opcje. Mógł skłamać, że kolegą Mieszka. Mógł nic nie powiedzieć i po prostu się wycofać. Wybrał jednak tę najłatwiejszą. Wyciągnął odznakę.

– Komisarz Jakub Mortka, Komenda Stołeczna Policji. A pani?

Kobieta pobladła.

– Beacie coś się stało, prawda? – zapytała przejętym głosem, i to on właśnie zdradził policjantowi jej tożsamość. Już wiedział, dlaczego wydawała mu się znajoma. Tylko jedna osoba mogła aż tak przejmować się losem dziewczyny.

– Pani jest mamą Beaty? – zapytał, żeby się upewnić.

Potwierdziła energicznym skinieniem.

– Coś jej się stało?

– Dlaczego pani tak uważa?

– A więc nie dlatego pan przyszedł?

– Dlaczego pani uważa, że córce coś się stało?

Zawahała się. W jej oczach dostrzegł cień podejrzliwości. Zrobił krok w kierunku kobiety.

– Nie będę mógł pani pomóc, jeśli nie powie mi pani, co się dzieje.

Zauważył, że nerwowo szarpie wystającą nitkę z płaszcza.

– Beata wczoraj umówiła się z kimś od was na spotkanie. W sprawie tego...

– wyznała wreszcie i zrobiła krótką pauzę, jakby imię nie mogło jej przejść przez gardło – ...chłopaka. Miała potem do mnie zadzwonić.

– Nie zadzwoniła?

– Nie.

– A pani próbowała się z nią skontaktować?

Potwierdziła. Mortka miał złe przeczucia. Dziwnie to wyglądało. Nie słyszał, by ktokolwiek z policji lub prokuratury zamierzał spotykać się z Beatą. Nie mieli powodów. A skoro to nikt od nich, to z kim się umówiła?

– Przyszłam teraz do córki. Myślałam, że może ją zastanę.

– Nikogo nie ma w środku.

– Rozumiem.

Stali przez moment, patrząc na siebie nawzajem. Wreszcie Mortka wskazał na drzwi.

– Ma pani może klucz?

- Tak.
 - Zajrzymy do środka?
- Zgodziła się.

Andrzejewski przystanął na placu Zamkowym. Niedaleko niego stangret w watowanej kurtce i maciejówce ćmił papierosa. Siedział na koźle dorożki, w jednej dłoni trzymał skórzane lejce, drugą drapał się po udzie. Jego koń, gniada klacz, stał bez ruchu ze zwieszonym łbem, przykryty brudnawym pledem. Dookoła nich szalała dwójka dzieciaków, chłopiec i dziewczynka. W pewnym momencie znaleźli się zbyt blisko zwierzęcia. Klacz podniosła raptownie łeb i parsknęła głośno. Przebiegająca właśnie tuż obok dziewczynka pisnęła i odskoczyła do tyłu. Potknęła się i upadła na tyłek. Stangret zarechotał, wyjął z ust niedopałek i niedbałym ruchem wyrzucił na bruk.

Andrzejewski poczuł pokusę, żeby podejść do niego i poprosić o papierosa. Rzucił palenie co pewien czas na miesiąc lub dwa, a potem wracał do nałogu. W jego pracy zbyt dużo się działo, by długo wytrzymał bez chwili uspokojenia, które dawała przerwa na fajkę. Obecnie nie palił od blisko czterech tygodni. Całkiem przyzwoity wynik. Uważał, że należała mu się nagroda w postaci dymka, jednak chodzenie po starówce i żebranie o papierosa urągało jego godności. Może potem skoczy do kiosku i kupi całą paczkę.

Zagłębił się w wąskie uliczki. Jego kroki odbijały się echem od wysokich ścian kamienic odbudowanych po drugiej wojnie światowej. Trafił pod wysłany mu esemesem adres i wszedł do środka. Była to restauracja. Jedna z tych, które niewiele się zmieniły przez ostatnie trzydzieści lat. Ściany pomalowane na paskudny brzoskwiniowy kolor ozdobiono drzeworytami z syrenką i obrazkami z kolumną Zygmunta. Z głośników płynęły warszawskie szlagiery. Na stołach wykrochmalone na sztywno obrusy i sztuczne kwiaty dla ozdoby. W menu królował nieśmiertelny schabowy.

Człowiek, z którym przyszedł spotkać się podinspektor, siedział w głębi sali. W dobrze skrojonym garniturze, ogolony, krótko przycięty, jakby dopiero co wyszedł od fryzjera. Żona Andrzejewskiego miała dla takich ludzi jeden przymiotnik – teflonowy, bo żadne gówno nie chciało się do nich przylepić. Bez względu na to, w jakie kłopoty się pakowali, ile smrodu narobili, zawsze wychodzili z nich czyści jak łąza.

Policjant zbliżył się do stolika. Mężczyzna na jego widok wstał, uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Michał Łazarowicz – przedstawił się. – Podinspektor Andrzejewski, jak sądzę?

Nie odpowiedział. Odsunął krzesło, usiadł i rozejrzył się dookoła. Oprócz nich w knajpie nie było nikogo. Tylko kelnerka w okolicach baru.

– Będzie pan coś zamawiał?

– Raczej nie.

– Wypadaloby. Chociaż muszę powiedzieć, że karta nie wygląda specjalnie zachęcająco.

– To pan zaproponował to miejsce.

– Jest pan niezadowolony, inspektorze? Wydawało mi się, że obu nam zależy na dyskrecji. A tutaj rzadko kto bywa.

– W tej restauracji?

– Na starówce – sprecyzował Łazarowicz. – Był pan niedawno w Krakowie, Poznaniu lub Wrocławiu? Tam rynek i okolice żyją przez całą noc, tłumy przewalają się ulicami. A u nas? Tylko za dnia wycieczki szkolne. Przyjść, jebnąć sobie fotkę z syrenką i jedziemy dalej. Ciekawie tu się robi tylko raz na kilka lat, jak Legia zdobywa mistrzostwo. No ale to pan wie lepiej ode mnie.

– Żebyś wiedział.

Łazarowicz przywołał gestem kelnerkę i zamówił kawę dla nich obu. Poczekali, aż kobieta ją przygotowuje. Przez chwilę buczenie ekspresu zagłuszyło dobiegającą z głośników muzykę i wreszcie stanęły przed nimi dwie filiżanki.

– Jak zaczniemy? – zapytał pogodnie lobbysta, jakby byli na randce.

– Przyjaźni się pan z niebezpiecznymi ludźmi.

Łazarowicz zakręcił dłonią kółko w powietrzu.

– Powinienem zaprzeczyć, ale obawiam się, że w ten sposób obraziłbym pańską inteligencję, inspektorze. Powiem tak: faktycznie, moja praca niestety sprawia, że czasami spotykam się z niebezpiecznymi ludźmi, ale to nie są moi przyjaciele. I nigdy nimi nie zostaną.

– Jednak wyświadcza im pan przysługi.

– Na tym też polega moja praca. Łączę pewnych ludzi, jak by to powiedzieć, w pary. I oni sobie nawzajem pomagają ku obopólnemu zadowoleniu. Jeśli dobrze rozumiem ciąg wydarzeń, który doprowadził do naszego spotkania, jest pan niezadowolony z wyników mojej rozmowy z prokuratorem Tomaszewskim?

Andrzejewski skinął głową.

– Rozumiem. Przykro mi, że moje działania panu zaszkodziły.

– Chcę wiedzieć, co ma na ciebie Borzestowski. Czemu mu pomagasz?

– Pan Borzestowski pomógł mi kilka razy – powiedział Łazarowicz. – Zwróciłem przysługę.

– Przyda się więcej konkretów.

– Obawiam się, panie inspektorze, że to raczej wykluczone.

Właśnie skończyła się płyta i na chwilę zapadła cisza. Kelnerka podeszła do wieży. Pokręciła pokrętłami, przełączając na radio. Załapali się akurat na prognozę pogody. Andrzejewski zastanawiał się, kiedy praca biurowa tak go pochłonęła, że przestał trzymać rękę na pulsie i przeoczył ten moment, gdy bandziorów w skórach zastąpiły takie lepkie typki pod krawatem. Ludzie, z którymi nie wiedział, jak rozmawiać. Nie wiedział, kim byli, czego się bali. Mógł jedynie się domyślać,

czego pragnęli, bo to akurat się nie zmieniało. Trzech rzeczy: dupy, pieniędzy i władzy.

– Sprawdziłem cię – odezwał się podinspektor. – Masz ładny interesik w dobrym miejscu, chociaż trudno powiedzieć, czym się dokładnie zajmujesz.

– Doradztwem.

– Bardzo pojemny worek.

– Zgadza się – przyznał lobbysta. – Ja też pana sprawdziłem.

– Naprawdę?

– Uhm – potwierdził skinieniem głowy mężczyzna. – Zasłużony policjant, od kilku lat kierujący najbardziej prestiżowym wydziałem Komendy Stołecznej. Pełno wyróżnień za oddaną służbę społeczeństwu, a jednak pańska kariera znalazła się... jak by to powiedzieć... na zakręcie?

Andrzejewski zastanawiał się, skąd on o tym wie. Informacja o jego planowanym zwolnieniu z funkcji powinna być utrzymywana w tajemnicy.

– Zastanawiał się pan, inspektorze, co będzie z panem dalej?

– Poradzę sobie.

– W to akurat nie wątpię. Osoba z takim doświadczeniem i CV bez trudu znajdzie sobie miejsce na rynku pracy. Pytanie tylko gdzie. Ktoś taki jak pan mógłby odnaleźć się w funduszach inwestycyjnych, firmach doradczych, proszę tak na mnie nie patrzeć, nie mam na myśli własnej. Parę korporacji szuka kogoś, kto zadba o ich bezpieczeństwo. Sektor publiczny też oferuje wiele możliwości. Interesowałaby pana praca w ministerstwie? Tak się składa, że znam tam parę osób i mógłbym szepnąć im słówko.

– Za co?

Łazarowicz nachylił się nad stolikiem, zbliżając się do niego.

– Przyjaciele, o których pan wspominał, nie są moimi przyjaciółmi, ale my – wskazał najpierw na siebie, potem na podinspektora – możemy nimi zostać. Rozumie pan?

– Mniej więcej.

Andrzejewski dopiero teraz dostrzegł oznaki wskazujące na to, że na teflonowej powierzchni lobbysty są zadrapania. Nutka niepewności w głosie, tik polegający na zagryzaniu co pewien czas wargi, pełne napięcia spojrzenie. Starał się to ukrywać. Z kimś innym pewnie by mu się udało, ale Andrzejewski zbyt wiele czasu spędził w sali przesłuchań, żeby nie wyłapywać tych subtelnych sygnałów. Łazarowiczowi zależało. Bał się.

– Zagrajmy przez chwilę w otwarte karty, panie inspektorze. Mam wrażenie, że pan Borzestowski wpakował mnie na minę. Poprosił o przysługę, nie ostrzegając, że narażę się w ten sposób komuś takiemu jak pan.

Podinspektor odchylił się na krześle.

– Mam uwierzyć, że boisz się polskiej policji?

– Boję się kogoś, kto jest gotów zabić ważnego prokuratora, który nastąpił mu na odcisk – odpowiedział lobbysta. – Pan nie rozmawiał później z Tomaszewskim. Facet srał ze strachu, a on też nie jest bojaźliwy.

– To była tylko zwykła sprzeczka.

– Pan prokurator zupełnie inaczej ją wspominał. Nie wiem, co dzieje się między panem a Borzestowskim, ale jedno wiem na pewno – w tym konflikcie wolę być po pańskiej stronie.

– A to dlaczego?

– Powody są trzy. Po pierwsze, Borzestowski może dużo, jednak za panem stoi państwo. Państwo, które jest ułomne i nieruchliwe, ale jak się wkurwi, to nikt nie jest w stanie go powstrzymać. Po drugie, Borzestowski ostatnio zachowuje się dość niepokojąco. Nie tak, jak powinni zachowywać się dżentelmeni.

– Groził panu?

Wymowne spojrzenie lobbysty wystarczyło za odpowiedź.

– Można to było tak zinterpretować – odpowiedział w końcu. – Jest jeszcze trzeci powód. Możemy sobie pomóc. Obaj mamy dużo do stracenia i równie wiele do zyskania.

– Rozumiem.

– Moja znajomość z panem Borzestowskim to z mojej strony pewne powiązanie, które chciałbym... jak by to powiedzieć... przeciąć. Dość radykalnie, panie inspektorze. Biorąc pod uwagę pana reakcję na niedawne wydarzenia, śmiem twierdzić, że takie działanie pomogłoby i panu.

Andrzejewski pilnował się, by nie wykonać żadnego gestu ani grymasu, który mógłby zostać zinterpretowany jako zgoda. Był zaskoczony. Nie spodziewał się takiego rozwoju sytuacji. Lobbysta właśnie zaproponował mu zabicie Borzestowskiego.

– Są dostępne jeszcze mniej skrajne posunięcia. – Podinspektor ostrożnie dobierał słowa.

– Nie wiem jak w pańskim przypadku, panie inspektorze, ale w moim jest zbyt dużo nitek łączących mnie z panem Borzestowskim. Tworzą wręcz supeł. Trzeba go przeciąć, bo rozplątywać nie ma sensu.

Andrzejewski wstał od stołu.

– Odezwę się – powiedział i wyszedł z restauracji.

Wędrując uliczkami starówki w stronę parkingu, gdzie zostawił swój samochód, nie potrafił przestać myśleć o propozycji Łazarowicza. Lobbysta miał rację. I jego łączyło z Borzestowskim zbyt wiele, żeby rozwiązać ten konflikt w łagodny, cywilizowany sposób. To było możliwe przed odnalezieniem ciała Wilka i pozostałych. Teraz mógł tylko skłonić go do wyjazdu z kraju lub pozbyć się ostatecznie. Pierwszej rzeczy już próbowali. Nie udało się. Druga... kusiła.

Bardzo mocno kusiła.

Marek stał przed lodówką w sklepie spożywczym. Ssało go z głodu w żołądku. Nie zjadł śniadania przed wyjściem do pracy. Teraz znalazł chwilę, żeby wyskoczyć i kupić sobie coś do jedzenia, ale nie potrafił zdecydować co.

W biurze pracowało kilkanaście osób. Najważniejsze projekty prowadził sam Łazarowicz i to on głównie spotykał się z klientami. Do pomocy miał resztę pracowników podzielonych na trzy zespoły. Jeden zajmował się public relations, co polegało na przekonywaniu dziennikarzy, by dobrze napisali o X, a źle o Y, a jeśli mieli opory, to przekonywało się ich reklamowymi budżetami. Inny zespół przygotowywał eventy, takie jak konferencje wyjazdowe, gdzie w dyskretnym otoczeniu, w ośrodku nad jeziorem, po zabawie w paintball, w towarzystwie dobrych alkoholi, a także pięknych pań pewni ludzie mogli poznać innych ludzi, żeby załatwić wspólne interesy. Osobną grupę stanowili eksperci, czyli trzej faceci o na tyle znanych gębach, by za odpowiednio tłusty przelew firmować nimi raporty przygotowywane naprędce na podstawie gusowskich danych, których konkluzje mówiły dokładnie to, czego zażyczył sobie klient. Biegali potem z nimi od radia do telewizji, z telewizji na spotkanie z dziennikarzami i ze spotkania na networkingowy meeting. Wszędzie tam, gdzie mogli powtarzać to, o co ich poproszono.

Teraz jednak dla Marka było najważniejsze, że wszyscy jedli śniadanie z takich styropianowych pojemników z superfit, organicznymi lub co najmniej ekologicznymi posiłkami pozbawionymi GMO i glutenu. Chłopak tymczasem miał ochotę na zwykłą kiełbasę z bułką. Obawiał się jednak, że będzie się zbyt wyróżniał, a tego w pierwszych dniach pracy wołał uniknąć. Już i tak szeptano o nim po kątach. Zastanawiano się, skąd się wziął, dlaczego został zatrudniony i co go łączy z Łazarowiczem.

Zaburczało mu boleśnie w brzuchu. Wszystko, co współgrało z posiłkami jego kolegów z pracy, sprawiało, że żołądek wywracał mu się na lewą stronę. Zapakowane w plastik sałatki wyglądały, jakby same były z tworzywa sztucznego. A ta bezkształtna, dziwna masa humusu, z którą nie wiedział, co powinien zrobić? Jeść bezpośrednio łyżeczką czy posmarować nią kromkę chleba? A może po prostu wystarczyłby jogurt z musli? Gdyby mógł popić colą, to mogłoby być całkiem okej, ale cola też nie pasowała. Oni wszyscy mieli świeżo wyciśnięte soki z brokuła i rzeżuchy.

– Poyerzy – wymruczał do siebie.

– Cześć, Mareczku – usłyszał kobiecy głos.

Odwrócił się i do uczucia głodu dołączył teraz niepokój. Stała przed nim blada policjantka, która przesłuchiwała go po porwaniu. Jak ona się nazywała? Suchocka? Suchecka? Mówili chyba na nią Sucha. Usłyszał, jak ktoś ją tak woła na korytarzu. Tym razem jej twarz była mocno posiniaczona. Jedną jej stronę pokrywały ciemne plamy fioletu i upiornej żółci.

Z ręką wyciągniętą w stronę buczonej cicho lodówki przypatrywał się kobiecie, milcząc i zastanawiając się, skąd się tu wzięła.

– Nie wiedzieliśmy, że wróciłeś do Warszawy.

– Niedawno – odpowiedział.

– Miło by było, gdybyś dał nam znać. Proces ludzi, którzy was porwali, jeszcze się nie zaczął, więc chociażby dlatego dobrze byłoby mieć twój aktualny adres.

– Miałem zamiar się odezwać.

Wiedział, że mu nie uwierzyła. Nie dbał o to. Wrócił do oglądania zawartości lodówki. Liczył, że policjantka po prostu sobie pójdzie, jednak ona stała bez ruchu. Zastanawiał się, czego od niego chce i skąd tu się wzięła. Nie wierzył, żeby ich spotkanie było dziełem przypadku.

– Pracujesz u Łazarowicza?

W pierwszym odruchu chciał zaprzeczyć, ale uznał, że to byłoby głupie. Potwierdził, rzucając półgębkiem proste „tak”. Sięgnął po pierwszą z brzegu sałatkę i ruszył w stronę stoiska z pieczywem.

– Jako informatyk? – zapytała.

– Nie.

– To jako kto?

Nie chciał się przyznawać, że jest jego asystentem.

– Stażysta – odpowiedział, uznając, że to słowo wytrych, które mówi i wszystko, i nic.

– To ciekawe. Jak tam trafiłeś?

– Z ogłoszenia.

– A gdzie znalazłeś to ogłoszenie?

– Przepraszam, ale po co pani pyta? Mam kłopoty?

– Nie. Po prostu jestem ciekawa, gdzie pan Łazarowicz się ogłasza.

– W internecie.

– Na jakiej stronie?

– Nie pamiętam.

Wziął z pobliskiej półki foliową torebkę i wrzucił do niej dwie bułki z ziarnami. Były dwa, trzy razy droższe od zwykłej kajzerki, a z ciemnego, twardego ciasta wystawało coś, co przypominało suchą trawę, oraz szare ziarna słonecznika.

– Wiesz, że to niebezpieczne miejsce pracy dla takich młodych mężczyzn jak ty?

Mimowolnie odwrócił się w jej kierunku, okazując zainteresowanie.

– Twój szef, pan Łazarowicz, miał jeszcze niedawno asystenta. Takiego w twoim wieku. Na pewno równie ambitnego. Wiesz, co się z nim stało?

Powinien przerwać tę rozmowę, pójść do kasy, zapłacić i wrócić do biura.

Ale był zbyt ciekaw tego, co chciała mu przekazać policjantka. Nawet jeśli to zwykła podpucha.

– Nie.

– Nie żyje – odpowiedziała, pozwalając, żeby sam snuł domysły na temat tego, co się stało.

– Jak?

– Powiesił się.

– Sam?

Przybrała minę niewiniątka.

– Nie wiem. Zapytaj o to swojego szefa.

Prychnął lekceważąco. Przeszedł kilka kroków do półki z napojami i wybrał półlitrową colę.

– Wiesz, że pracujesz dla człowieka, który zlecił wasze porwanie? Dla człowieka, który jest odpowiedzialny za śmierć twojego kolegi?

Teraz musiał się postarać. Otworzył szeroko usta w grymasie wyrażającym według niego bezgraniczne zdumienie.

– Naprawdę?! Planujecie go aresztować?

– Zobaczymy – stwierdziła i Marek był już pewien, że nie mają nic konkretnego na Łazarowicza, tylko garść podejrzeń, może jakieś plotki. Co nie wyjaśniało jednak w żaden sposób, czego policjantka chce od niego.

– No cóż... Chyba nie powinienem o tym nikomu mówić, prawda? – powiedział.

– Zrobisz, jak uważasz – odpowiedziała.

– Aha.

– Wiesz, dlaczego ten chłopak się powiesił? – zapytała.

– Nie wiem, ale pani chyba mi powie, prawda?

– Twój szef go zgwałcił, razem z kolegami. Jest to na filmie w materiałach Zuzanny. Widziałeś go?

Marek przejrzał wszystkie pliki na internetowym dysku dziewczyny. Było tam mnóstwo pokręconych rzeczy, orgietek, homoseksualnego seksu. Gwałtu nie pamiętał. Z jakiegoś jednak powodu nie wątpił w to, że policjantka mówi prawdę.

– Myślisz, że on to lubi? – zapytała. – Takich ładnych chłopców jak ty? Może to dlatego cię zatrudnił?

Jej słowa zawisły między nimi. Marek przełknął ślinę.

– A może po prostu lubi krzywdzić innych ludzi, co? – kontynuowała.

– Przepraszam – chrząknął. – Kończy mi się przerwa.

– Dużo ryzykujesz, Marek. Ten człowiek skrzywdzi cię bez mrugnięcia okiem.

– Naprawdę muszę iść.

– Pomyśl o twoim poprzedniku. Mogę ci wysłać ten film, jeśli chcesz.

Pomyśl o swoim koledze, którego zastrzeliły nasłane przez twojego szefa zbiry. Jak mu było?

– Misiek.

Przypomniął go sobie. A konkretnie jego ciało, kiedy go wlekli przez całe mieszkanie, oklejonego workami na śmieci, żeby nie pobrudził podłogi krwią.

– Właśnie, Misiek. – Sucha wsadziła ręce do kieszeni kurtki. – Jesteś blisko Łazarowicza. Pomóż mi go dopaść. Spraw, żeby zapłacił za to, co zrobił tobie, twoim kolegom. Niech zapłaci za śmierć Miśka.

Już otwierał usta, by jej odpowiedzieć, ale mu nie pozwoliła.

– Przemyśl to – dodała, wsadzając mu do ręki swoją wizytówkę. Potem minęła go bez słowa i wyszła ze sklepu.

Marek zagryzł wargę. Spojrzał na to, co miał w koszyku, i nagle odechciało mu się jeść. Odłożył do lodówki sałatkę, a na półkę worek z bułkami. Zostawił sobie tylko colę.

Weszli do mieszkania. Matka Beaty rozglądała się niespokojnie po przedpokoju, zdenerwowana tak jak każda matka, która boi się o własne dziecko. Mortka przypomniał sobie pewien wyjazd z synami sprzed kilku miesięcy. Zabrał ich na wycieczkę za miasto. Już nawet nie pamiętał dobrze, gdzie pojechali, chyba do Kampinoskiego Parku Narodowego. W każdym razie czas minął im szybciej, niż się spodziewali. Do tego chłopcy mocno zgłodnieli, skończył im się prowiant, więc zabrał ich na pizzę i lody do przydrożnej knajpy. Do domu odstawił ich prawie z trzygodzinnym spóźnieniem. Pech chciał, że wysiadł mu telefon, więc nie miał jak zawiadomić o tym Oli. Kiedy w końcu pojawili się na progu mieszkania, nie wiedział, czy ona najpierw rzuci się na dzieci, żeby je wyściskać i wycałować, czy na niego, żeby mu rozszarpać gardło.

Matki tak po prostu mają. Strach o dziecko pojawia się, kiedy po raz pierwszy słyszą krzyk niemowlęcia i towarzyszy im już zawsze. W dobrych chwilach tkwi gdzieś w najciemniejszych zakamarkach mózgu przykryty grubym dywanem pogodnych myśli i tli się ledwo, ledwo. Nigdy jednak nie gaśnie i niewiele potrzeba, by wybuchnął jasnym, gorącym płomieniem.

Mieszkanie było czyste i zadbane. Sprawiało dziwne wrażenie. Skórzane ciemne fotele i kanapa, wielki telewizor, stolik ze szklanym blatem – wszystko to wskazywało, że urządził je mężczyzna, ale brakowało innych śladów jego obecności: butów w przedpokoju, szczoteczki do zębów i maszynki do golenia w łazience, kurtki, piwa w lodówce, porozrzucanych ubrań. Widać było, że Beata mieszkała tutaj od kilku tygodni sama.

Na pierwszy rzut oka Mortka nie dostrzegł niczego niepokojącego. Gdyby kobieta została zaatakowana w domu, prawdopodobnie zostałyby po tym ślady walki. Potłuczone naczynia, porozrzucane rzeczy, krew. W mieszkaniu panował jednak taki zwyczajny, codzienny porządek. Taki, który trudno podrobić, usuwając

ślady przestępstwa.

W kuchni znalazł talerz z okruszkami po kanapce i kubek z resztką herbaty. Dotknął czajnika elektrycznego. Był zimny. Co jeszcze jednak o niczym nie świadczyło. Mógł zdążyć wystygnać. W łazience znalazł kosmetyki, a także szczotkę do włosów, suszarkę, szczoteczkę do zębów. Wszystkie te kobiece akcesoria Beata prawdopodobnie zabrałaby ze sobą, gdyby spędzała noc poza domem. Chyba że, czego nie mógł wykluczyć, posiadała zapasowy zestaw.

Nigdzie w mieszkaniu nie znalazł jej torebki. Najbardziej prawdopodobny scenariusz? Nie odbierała połączeń od matki, bo zepsuł się jej telefon lub siadła bateria. Zdarza się.

– Od razu wiedziałam, że z tym Mieszkiem będą same kłopoty – odezwała się niespodziewanie matka Beaty. – Już, za przeproszeniem, z gęby to było widać. Taki wredny, nieprzyjemny, bandzior po prostu. Ani trochę się nie zdziwiłam, kiedy wreszcie go zamknęli.

Nie wiedział, dlaczego mu o tym mówiła. Chciała zdobyć jego zaufanie? Pochwalić się czy po prostu przerwać tę ciężką ciszę, która panowała dookoła, kiedy myszkowali w cudzym mieszkaniu?

– Odradzałam jej zamieszkanie z nim, ale ona sobie wbiła go do głowy. Sama nie wiem dlaczego. Co ona w nim widziała?

– Miłość jest ślepa – odpowiedział wytartym sloganem.

Kobieta zaprzeczyła gorączkowo.

– O nie! Miłość jest głupia – stwierdziła.

– To też – zgodził się.

Ta krótka rozmowa podsunęła mu kolejną hipotezę. Beata zapewne miała okazję wielokrotnie wysłuchiwać podobnych uwag na temat swojego chłopaka. W pewnym momencie mogła mieć po prostu dość komentarzy matki. Dlatego nie odbierała od niej telefonów.

Nic nie wskazywało na to, żeby Mieszko niedawno odwiedził swoje mieszkanie. Gangster miał więc prawdopodobnie wystarczająco dużo oleju w łepetynie, by nie pokazywać się w pobliżu osiedla. Pewnie w takim razie skontaktował się z Beatą i umówili się na spotkanie na mieście. Mortka oraz jej matka po prostu się z nią minęli. Nie wzięła ze sobą żadnych rzeczy osobistych, więc raczej nie zamierzali uciekać z kraju. To dobra wiadomość. Możliwe, że mężczyzna za niedługo sam grzecznie wróci na Bemowo do Kochana.

Mortka przeszedł się po lokalu. Tuż po aresztowaniu Mieszka nadzorował ekipę, która je przeszukiwała. Wtedy nie znaleźli nic, co mogłoby ich doprowadzić do garnituru. Teraz też nie robił sobie wielkich nadziei, chociaż zawsze była ta minimalna szansa, że zauważą coś, co wtedy przeoczyli.

– To co teraz? – zapytała kobieta, która od pewnego czasu chodziła za nim krok w krok.

Komisarz uśmiechnął się przyjaźnie, by trochę ją uspokoić.

– Wydaje mi się, że niepotrzebnie się pani niepokoi. Beacie najpewniej nic się nie stało. Proszę wrócić do domu i cierpliwie czekać, aż się z panią skontaktuje.

– Nie! Pan się myli! – stwierdziła kategorycznie. – Coś się jej stało. Ja to czuję!

– Rozumiem, że ma pani prawo być zatroskana o córkę. Jednak naprawdę nic tutaj nie wskazuje na to, że wydarzyło się coś złego.

– Nie odbiera moich telefonów.

– Tak się zdarza.

– Nie zdarzało się do tej pory – powiedziała twardo.

– Proszę pani, Beata jest w ciąży. Pani sama rozumie: hormony, wahania nastrojów. Może po prostu nie chciała z panią rozmawiać?

Na jej twarzy odmalowało się czyste oburzenie, które ujawniło wszystkie, tak starannie ukryte pod warstwami makijażu, zmarszczki. Przyłożyła sobie dłoń do piersi, jak latynoska matrona z telenoweli.

– Pan się myli.

Nie zamierzał klócić się z nią na ten temat.

– Córnka zawsze odbiera, kiedy dzwonię – ciągnęła. – To mądra dziewczyna, pomimo tego jej chłopaka. Wie, że jest teraz sama i potrzebuje wsparcia. Nawet gdyby nie mogła odebrać z jakiegoś powodu, to potem by oddzwoniła. A tego nie zrobiła. Coś się, proszę pana, stało!

Zła i zawiedziona, ostatnie słowa już wykrzyczała. Liczyła na to, że potraktuje ją poważnie, że spróbuje jej pomóc.

W jego kieszeni rozdzwonił się telefon. Przeprosił kobietę i odszedł kilka kroków w bok, żeby odebrać.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Tutaj Marcin z Grodziska. Kojarzy pan?

– Technik kryminalistyki, prawda?

– Dokładnie. Prosił pan o telefon, gdyby coś się pojawiło. No to dzwonię, bo skończyliśmy analizę balistyczną i w sumie... – W głosie technika słycać było wahanie. – Nie wiem, pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać.

– Znaleźliście coś ciekawego? – zainteresował się Mortka.

– Nie do końca – przyznał szczerze technik. – Ale i tak. Dałoby się spotkać? Jeszcze dzisiaj, i to jakoś szybko, bo jutro wyjeżdżam na szkolenie do Piły. Na przykład za godzinę?

– Dałoby – powiedział komisarz. Pożegnali się i rozłączyli.

Mortka podrapał się po nasadzie nosa, zastanawiając się, czy zdąży dojechać do Grodziska w godzinę. I nagle jego wzrok zatrzymał się na półce, na której zamiast książek w równym rzędzie ułożone były komiksy. Grube tomy w twardych oprawkach. Serie z Batmanem i Supermanem. Jak Mieszko nazwał ten garnitur? Powiedział, że to jest jego kryptonit.

Podszedł do półki. Zaczął wyciągać kolejne tomy i je przeglądać. Przerzucał błyskawicznie kartki, jedna za drugą.

– Co pan robi? – zapytała kobieta.

Nie odpowiedział. W trzecim tomie przygód Supermana, zaraz za okładką znalazł paragon. Wziął go ostrożnie i obejrzał. Zwykły świstek papieru. Wyszczególnione zakupy wraz z ich ceną. Mortka był zaskoczony. Nie wiedział, że komiksy są takie drogie. Ciekawe było jednak co innego – nazwa sklepu: Planeta Krypton. Komisarz zwinął ostrożnie paragon i wsadził go sobie do portfela.

– Co pan tam zabrał?

– Nic szczególnego – odpowiedział.

– Proszę mi pokazać! Pan nie może nic stąd zabierać!

Patrzyła na niego z wojowniczym błyskiem w oku. Jakby chciała go teraz ukarać za to, że przed chwilą mówił jej, żeby przestała się martwić o córkę.

Krypton, Superman, Kryptonit. Czy to naprawdę mogło być to? Wcześniej brali pod uwagę skrytki pocztowe, bankowe. Podejrzewali, że Mieszko mógł schować garnitur u jakiegoś kolegi lub kogoś z rodziny. Nigdy nie przyszło im do głowy, że mógłby to być sklep z komiksami. Co więcej, nigdy by o tym nie pomyślał sam Borzestowski.

Wyminął kobietę i poszedł w kierunku wyjścia. Przystanął dopiero przy drzwiach, z dłonią na klamce. Czuł na swoich plecach zmęczone spojrzenie przerażonej matki.

Chryste, pomyślał, dlaczego nie potrafię odpuścić?

Bo to dziewczyna Mieszka – odpowiedział sobie. A Mieszko zniknął. Bo miała spotkać się z kimś z policji, o czym nie wiedział, a wątpił, żeby ktoś rozmawiał z nią za jego plecami. Poza tym to prawdopodobnie ktoś z policji był odpowiedzialny za śmierć Trójki z Neptuna. Bo garnitur. Bo to wszystko za bardzo się składało. I co najważniejsze – bo po prostu taki był.

– Córka zawsze odbiera telefony od pani? – zapytał.

– Tak.

– Na pewno? To bardzo ważne.

– Tak jak mówiłam. Nawet jak nie może od razu, to oddzwania.

– Rozumiem. Ale może niedawno coś się zmieniło. Może się pokłóciłyście? Może Beata jest na panią zła?

– Nie. Niemożliwe. Nie ma powodu. W przeszłości... różnie bywało. Ale ona wie, że ją kocham.

Mortka długo jej się przyglądał, próbując wyczuć, czy mówi prawdę, czy kłamie. Była nerwowa, ale to ze względu na sytuację. Wydawała się szczerze odpowiadać na zadawane pytania.

– Dobrze – powiedział. – Prawdopodobnie nic się nie stało. Naprawdę tak uważam, jednak przyjrzymy się temu, okej.

Kobieta najpierw otworzyła usta. Dopiero po chwili zmusiła się, żeby cicho powiedzieć:

– Dziękuję.

– Problem polega na tym, że pani córka jest dorosła. Z dzieckiem jest łatwiej. Możemy go szukać od razu. W przypadku dorosłego...

– Trzeba poczekać czterdzieści osiem godzin?

– To akurat mit. Zawsze rozpoczyna się poszukiwania niezwłocznie, już w chwili przyjęcia zgłoszenia. Tylko że wie pani, w przypadku osób, co do których nie ma przesłanek, że stało się im coś złego, trudno wymagać od policji, by rozpoczynała nie wiadomo jaką akcję. Pani córka jest dorosła. Nie ma jej około doby. Dorosły człowiek może mieć kaprys i pojechać na kilka dni nad morze, nikomu o tym nie mówiąc.

– Moja córka by czegoś takiego nie zrobiła.

Wielokrotnie słyszał podobne teksty. Zawsze wydawały mu się przejawem niebywałej pychy. Jednak ludzie je wypowiadający za każdym razem byli przekonani, że znają swoich najbliższych na wylot, że ci nie są w stanie w żaden sposób ich zaskoczyć. Prawie zawsze się mylili.

– Rozumiem. I wierzę pani, jednak nie możemy wykluczyć, że spędziła noc u koleżanki, prawda?

Niechętnie się z nim zgodziła.

– Ale pomoże mi pan? – dopytała.

– Nie dam rady – powiedział. – Mam jednak koleżankę, która się panią zaopiekuje.

Marek siedział przy biurku. Teoretycznie powinien teraz szukać informacji na temat posłów zajmujących się ustawą śmieciową. Kazano mu znaleźć ich afiliacje polityczne, okręgi, z których ich wybrano, wszystkie wzmianki prasowe na ich temat ze szczególnym uwzględnieniem prasy lokalnej i brukowej, konta na portalach społecznościowych, powiązania towarzyskie, plotki z forów internetowych. Nie potrafił jednak skupić się na tym zadaniu. W dłoni obracał wizytówkę policjantki. Powinien już dawno podrzeć i wyrzucić ten kawałek papieru, ale zamiast tego na przemian chował go do kieszeni, wyjmował, obracał, zginał wpół, żeby zaraz wyprostować. Karteczka wyglądała teraz, jakby wyciągnął ją ze śmietnika.

Sprytna suka, pomyślał o policjantce z niechętnym uznaniem. Zastanawiał się, od kiedy go obserwowała, jak dużo o nim wiedziała. Podeszła go akurat w momencie, kiedy był zupełnie nieprzygotowany. Wyprowadziła go z równowagi i sprawiła, że miał mętlik w głowie. Do tej pory wszystko wydawało mu się proste. W domu zostać nie mógł i nie chciał. Chociaż oczywiście rodzice zrobiliby wszystko, żeby go tam zatrzymać. Mama nieustannie pytała, jak się czuje, czy nie ma koszmarów, tuliła i całowała, jakby był małym chłopcem, który zdarł sobie kolano. Chciała go nawet wysłać do psychologa, pewna, że warszawskie przeżycia odcisnęły na nim trwałe piętno, że dusi w sobie traumę, która zżera go od środka, niszczy i zjada kawałek po kawałku.

Bzdury. Aż sam się zdziwił, jak bardzo mało go to wszystko obeszło. Misiek był fajny. Naprawdę lubił chłopaka, wypili przecież razem sporo wódki. Ale stało się to, co się stało. Niepotrzebnie próbował uciekać. Widział przecież, że porwali ich jacyś debile, a nie profesjonaliści, a z debilami trzeba ostrożnie. Nigdy nie wiadomo, co im wpadnie do tępych łbów. Szczerze mówiąc, Marek sam wtedy planował ucieczkę. Czekał tylko na odpowiednią chwilę. Mogło trafić na niego. Czasami sobie o tym przypominał. Skręcało go wtedy w środku, jakby ktoś wsadził jego wnętrze w imadło. I robiło mu się wstyd, bo cieszył się, że to był jednak Misiek, a nie on.

Niewiele wtedy brakowało. Źle ocenili sytuację. I on, i Misiek. Myśleli, że tamci nie odważą się użyć broni palnej w środku dnia, w mieszkaniu, w bloku pełnym ludzi. Że w najgorszym razie skończy się na kolejnym pobiciu.

Czy teraz również źle oceniał sytuację, pytał sam siebie, ciągle miętoląc wizytówkę w dłoniach. Przyszedł tutaj, bo chciał od życia czegoś więcej, niż mieli jego rodzice splątani gminną pajęczyną, która blokowała każdy przejaw inicjatywy zagrażającej temu nadgniętemu małomiasteczkowemu status quo. Kilku tysiącom ludzi z jego rodzinnej miejscowości było dobrze tak, jak było, nawet jeśli nie było im dobrze, nawet jeśli codziennie dawali się wykorzystywać lokalnym Januszom

biznesu, burmistrzowi i jego przydupasom, proboszczom, którzy zawsze potrzebowali ziemi na budowę jeszcze większego kościoła, i całej zgrai pomniejszych gnid, powoli, ale systematycznie wysysających krew z mieszkańców. Układy i układziki. Czysty, stuprocentowy beton. Nikt nie chciał go rozbijać, pomimo tego, że ten ciężar ciągnął ich na dno. Ojciec stracił firmę, bo bank wymówił mu kredyt. Bank wymówił mu kredyt, bo dyrektor placówki był kumplem faceta, któremu zagrażał biznes ojca. Po co przecież więcej niż tylko jeden sklep z częściami samochodowymi, nie? Wystarczył niewielki poślizg z płatnościami, żeby zaorali interes do gołej ziemi. Jedyne, co zostało rodzicom, to strzaskane marzenia i długi.

W Warszawie miało być inaczej. Było jednak tak samo, tylko bardziej. Dlatego Marek postanowił zrobić to, co zrobił – przyłączyć się do największej ryby w stawie. Plan wydawał mu się dobry. Ale co, jeśli Łazarowicz trzymał go przy sobie dla zabawy, tylko po to, żeby w dogodnej chwili zrobić z nim to samo, co zrobił z poprzednim asystentem? I Marek skończy z rozoranym dupskiem, dyndając na linie pod sufitem?

Obrócił wizytówkę w palcach. Tego właśnie chciała ta policjantka, pomyślał. Żeby stracił nad sobą panowanie, zaczął się bać, kombinować. A potem pobiegł do nich z płaczem i poprosił o ochronę.

Nie ma mowy.

Faktem jednak było, że nie wiedział wszystkiego. Łazarowicz mógł coś kombinować, a Marek powinien być przygotowany na wszelkie niespodzianki z jego strony, mieć w rękach jakieś karty przetargowe. Bo tacy ludzie jak biznesmeni bali się tylko jednego – siły.

Żałował teraz, że nie zrobił kopii materiałów Zuzanny. Wszystko, co znalazł, zostało skasowane podczas porwania.

Jego wzrok powędrował w stronę drzwi do gabinetu Łazarowicza. Lobbysta jakiś czas temu wyszedł na spotkanie. Jeszcze nie wrócił i nie wiadomo, kiedy pojawi się znowu.

Marek zagryzł wargę. Potem wstał od biurka i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Ktoś właśnie wchodził do kuchni, ale poza tym wszyscy byli pochłonięci robotą. Podeszedł do drzwi gabinetu. Nacisnął klamkę bez zbędnych nadziei i ku jego zaskoczeniu ustąpiła z lekkim skrzygnięciem.

Podjęcie decyzji zajęło mu ułamek sekundy. Jeśli zostanie przyłapany w gabinecie szefa, pewnie straci pracę. Jednak teraz miał szansę na to, żeby tam pomyszkować. Znaleźć coś, co stanie się jego polisą ubezpieczeniową, na wypadek gdyby sprawy znowu potoczyły się w złym kierunku. Dlatego wsunął się do środka i zamknął za sobą drzwi.

Od razu podeszedł do biurka. Leżał na nim komputer. Cienki laptop marki Asus. Marek otworzył go. Był włączony. Ekran zabłysnął na niebiesko i poprosił

o podanie hasła. Chłopak zaklął cicho pod nosem. Takie zabezpieczenie nie stanowiło dla niego problemu. Jeśli dysk nie był zaszyfrowany, wystarczyło tylko uruchomić na przykład system Ubuntu z płyty, żeby dostać się do znajdujących się na nim danych, albo uruchomić z pendrive'a jeden z kilku programów, które złamałyby hasło. Tylko że żadnego nie miał przy sobie.

Odłożył trzymaną ciągle w dłoni wizytówkę na bok i dotknął palcami klawiatury. Wpisał: Lazarowicz. Potem: Lazarowicz1 oraz Lazarowicz123. Następnie to samo powtórzył z kombinacją imion i cyfr. Bez efektu. Podniósł komputer, sprawdzając, czy przypadkiem lobbysta nie zapisał tam hasła, ale oprócz naklejki producenta niczego nie znalazł.

Mógł spróbować włamać się do komputera, korzystając z sieci wi-fi. Tylko że ta była, jak zdążył się zorientować, solidnie zabezpieczona. Firmowy informatyk przyłożył się do roboty. Chłopak bał się, że albo zostanie wykryty, albo zostawi ślady.

– Cholera – mruknął, wyobrażając sobie, co może znaleźć w komputerze Łazarowicza. Terminarz spotkań. Notatki. Plany. Dokumenty. A może nawet zdjęcia i filmiki z tych chorych imprez z jego kolegami. Słowem, rzeczy, które zapewnią Markowi bezpieczeństwo.

Był tak blisko, a nie mógł do nich się dostać przez głupie hasło w Windowsie! Coś, co przy odpowiednim oprogramowaniu mógł obejść w trzydzieści sekund.

Przez chwilę rozważał, czy nie wrócić do swojego biurka, ściągnąć szybko parę plików i nagrać je na płytę, a później wrócić do gabinetu. Bał się jednak, że w tym czasie szef wróci, więc postanowił najpierw przeszukać resztę pokoju.

Odłożył komputer na miejsce. Zajął się tym, co było na biurku. Spięte pliki dokumentów. Nic ciekawego. Analizy prawne na temat projektu ustawy śmieciowej i obecnej sytuacji, coś związanego z normami emisyjnymi, informacje o przetargach dla kilku ministerstw. Nie wiedział, czy to ważne. Na wszelki wypadek wyciągnął komórkę i zrobił kilka zdjęć.

– Co ty robisz? – usłyszał kobiecy głos.

Wyprostował się błyskawicznie i poczuł, że jego plecy natychmiast robią się mokre od potu. W gabinecie przy drzwiach stała Iwona. W dłoniach trzymała papierową teczkę. Przyglądała mu się podejrzliwie.

– Michał poprosił, żebym mu coś tutaj sprawdził – powiedział, przelitykając ślinę. – Jest na spotkaniu i zapomniał materiałów. Mam mu podesłać fotkę.

Zamachał telefonem. Nie potrafił ocenić, czy Iwona uwierzyła w jego kłamstwo czy nie. Zrobiła kilka kroków w jego stronę. Przystanąła po drugiej stronie biurka i położyła na nim swoją teczkę.

– I sprawdziłeś? – zapytała.

– Co takiego?

– Te materiały, o które prosił Michał?

Przytaknął gorączkowo. Spojrzała na niego znacząco, a on zrozumiał, że to sygnał do opuszczenia pomieszczenia. Wyszedł trochę zbyt szybkim krokiem, chociaż bardzo się pilnował, żeby nie wyglądało to jak ucieczka.

Iwona została w gabinecie sama. Pomyślała, że powinna przypomnieć Michałowi, by zamykał za sobą drzwi. Ten chłopak był przecież z nimi od niedawna. Nie mogli mu jeszcze ufać. Pracowali w branży, w której dyskrecja oznaczała najbardziej cenioną wartość. Sam Łazarowicz wielokrotnie to powtarzał.

Ciekawe, czy Michał naprawdę prosił asystenta, żeby coś dla niego sprawdził, czy Marek był po prostu ciekawski. Iwona dla pewności sprawdziła, co leżało na wierzchu, i zaraz się uspokoiła. Same nudne materiały. Zwykłe opracowania, bez wrażliwych danych. Co prawda dzięki nim dało się wywnioskować, jakie projekty mieli na tapecie, ale to niewiele. Poza tym, czy naprawdę było wielką tajemnicą, że wokół ustawy śmieciarskiej wkrótce zaczniesz się lobbystyczny taniec?

Już miała wychodzić, kiedy dostrzegła coś jeszcze. Niewielki pomięty kartonik. Podniosła go i przeczytała. Aspirantka Suchocka Komenda Stołeczna Policji.

Ta sama, która ją męczyła. Skąd Łazarowicz miał jej wizytówkę? Iwone coś tu nie grało – Michał był profesjonalistą, nigdy nie potraktowałby kartonika w ten sposób. Zawsze brał wizytówki, z grzeczności poświęcał kilka sekund na ich przeczytanie, a potem chował ostrożnie do wizytownika lub kieszeni. Robił tak nawet przy spotkaniach z szeregowymi, zwykłymi pracownikami. Taki odruch, część biznesowego savoir-vivre'u.

I wtedy uświadomiła sobie, że skoro wizytówka nie należała do Łazarowicza, to zostawił ją tutaj Marek.

Ledwo udało mu się jako tako ustawić obraz, ekran telewizora zamigał, zafalował i pokryły go szare plamy. Gruda wstał z zielonego fotela, odrzucając na bok wełniany, nieprzyjemnie pachnący chemikaliami koc. W domku było cholernie zimno. Farelkę podłączył w pokoju, gdzie leżała Beata. Stary aparat marki Otake, który miał co najmniej piętnaście lat, łapał tylko Jedynekę, Dwójkę i Polsat. Chociaż ten ostatni z trudem. Gruda uderzył w obudowę. Nie dlatego, że sądził, że to pomoże, ale by wyładować złość na urządzeniu. Spędził ponad pół godziny, manewrując anteną i próbując dostroić odbiornik. Bez skutku. Obraz jak śnieżył, tak śnieżył i nic nie dało się na to poradzić.

Wyciągnął z kieszeni komórkę. Bez sensu, bo wiedział, że nie dzwonił do niego ani Mieszko, ani Andrzejewski. Jednak potrzeba sprawdzenia była silniejsza. Jakby samym patrzeniem na ekran mógł zmusić ich do działania.

Przeszedł do okna, odchylił zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Nic tylko ten szary, płaski i monotony krajobraz mazowieckiej równiny. Gruda cholernie go

lubił. Uspokajał tak jak innych góry czy widok fal rozbijających się o brzeg.

Zerknął na zegarek. Co dwadzieścia minut chodził do Beaty sprawdzić, czy z kobietą wszystko w porządku i czy nie próbuje uciec. Zostało mu jeszcze pięć minut. Poświęcił je na wypalenie papierosa przy kawie. Kiedy skończył, dokładnie zgasił niedopałek i wrzucił go do foliowej torby. Razem z innymi. Zrobił tak po to, by w altance pozostało jak najmniej śladów jego pobytu. Z tego samego powodu od razu wylał fusy i bardzo dokładnie wymył kubek. Odłożył go na suszarkę. Dopiero wtedy poszedł do dziewczyny.

Leżała na kanapie tak, jak ją zostawił. Raz na cztery godziny prowadził ją tylko do ubikacji, żeby mogła się załatwić. Nie zdejmował jej jednak kaptura. Wieczorem poprzedniego dnia dał jej do zjedzenia kromkę i wodę do popicia. Rano dostała tylko wodę. Ograniczał jej posiłki. Karmienie porwanej wiązało się z ryzykiem. Nie dlatego, że bał się próby ucieczki. Chodziło o to, że wymagało podwinięcia kaptura. Mogła wtedy zauważyć coś, co naprowadziłoby później policję na ich ślad.

Zbadał węzły. Wydawały się nieruszone. Wszystko było w porządku. Już miał wychodzić, kiedy usłyszał jęknięcie. Nie takie zwyczajne, jakie wydobywały się z jej gardła przez ostatnie kilkanaście godzin, a które wynikały z ogólnej niewygodności i stresu. Ten brzmiał inaczej. Znacznie głębszy, słabszy, urywany i nieprzyjemny. Jakby ktoś wsadził Grudzie do ucha drobinki szkła.

Poczuł, że jego całe ciało się spina, jakby wyczuwało niebezpieczeństwo. Podeszedł do dziewczyny najciszej jak potrafił, żeby nie wyczuła jego obecności. Niepotrzebnie się starał. Nie zorientowałyby się, że jest obok, nawet gdyby tupał wojskowymi buciorami. Gęste krople potu obsiadły jej bladą szyję. Dreszcze wstrząsały ciałem. A potem znowu ten jęk.

Przez worek dotknął czoła Beaty. Rozpalone. Wzrok Grudy powędrował w dół i mężczyzna zauważył mokrą plamę na tapczanie na wysokości krocza dziewczyny. Miała wilgotne spodnie. W pierwszej chwili pomyślał, że się zsikała, ale coś było nie tak. Po chwili wahania ostrożnie dotknął przy pachwinie. Ledwo, ledwo. Nie chciał, by pomyślała, że się do niej dobiera. Podniósł dłoń i spojrzał na swoje palce. Czerwone.

– Kurwa mać – zaklął przez zaciśnięte zęby.

Poronienie.

Dlaczego? Zachodził do niej regularnie, sprawdzał, jak się czuje. Wszystko było w porządku. Skarżyła się tylko na bóle pleców, ale to normalne, biorąc pod uwagę, w jakiej pozycji leżała. Czy to przez GHB, które jej podał? Ale minęło przecież tyle czasu. Powinna je już wydalić z organizmu.

Plama krwi na tapczanie miała średnicę blisko pół metra i bardzo powoli się powiększała. Upływ wydawał się niewielki, ale stały. Ile ta dziewczyna straciła krwi? Kiedy to się zaczęło? W którym ona była w ogóle miesiącu? I przede

wszystkim – co powinien zrobić?

– Kurwa mać – powtórzył.

Dlaczego to wydarzyło się właśnie teraz?

Odetchnął.

Andrzejewski się nie odzywał. Mieszko również. Był zupełnie odcięty od informacji. Nie wiedział, co zrobić, jak jej pomóc. Dziewczyna nie mogła tutaj zostać. Ryzykowałby nie tylko to, że straci dziecko, ale także to, że mu się tutaj przekręci. Zresztą, do cholery, ona po prostu potrzebowała lekarza.

Wybiegł na zewnątrz. Samochód miał ukryty z tyłu posesji, w zagajniku niedaleko szopy na narzędzia. Z daleka nikt by go nie zobaczył. Podjechał pod front budynku.

Wszedł do domku. Wyciągnął spod zlewu kilka worków na śmieci, rozerwał je i poszedł do auta, a potem wyłożył nimi tylne siedzenie.

Wrócił do Beaty. Pochylił się nad kobietą.

– Nie bój się – powiedział. – Zabiorę cię do lekarza. Dasz radę iść?

W odpowiedzi spod kaptura wydobyło się rżenie. Przestraszył się, że jest za późno. Że ona już umiera.

Podłożył ręce pod jej nogi i plecy. Podniósł. Krzyknęła z bólu. Zaniósł ją do samochodu. Była cięższa, niż przewidywał, a drzwi wąskie. Raz przez przypadek uderzył jej głową o framugę. Nie zareagowała, jakby w ogóle tego nie poczuła. Zastanawiał się, czy w ogóle jest przytomna.

– Beata – odezwał się, kiedy położył ją na tylnym siedzeniu. – Beata! Słyszysz mnie?

Nie odpowiedziała.

Pobiegł otworzyć bramę, a kiedy wyjechali, zostawił ją otwartą. Po kilkuset metrach skręcili na gierkówkę i popędzili w kierunku Warszawy. Gruda gorączkowo zastanawiał się, co zrobić. Nie miał żadnego zaufanego lekarza. Najlepiej byłoby zawieźć kobietę do szpitala, jednak w ten sposób by się ujawnił. Za dużo ludzi. Za dużo kamer. Za dużo pytań.

Ale zawsze to lepsze, niż pozwolić jej umrzeć na tylnym siedzeniu, pomyślał.

Dostrzegł przed sobą niewielką zatoczkę, na której znajdował się przystanek autobusowy. Pusty. Nagle wiedział, co zrobić.

Zajechał na przystanek. Przeczytał jego nazwę. Wysiadł z samochodu. Śpieszył się. Im dłużej tutaj stał, tym większa szansa, że jakiś kierowca z jednego z licznych mijających go aut zwróci na niego uwagę i coś zapamięta. Wyjął Beatę. Zaniósł ją pod wiatę. Początkowo chciał położyć na ławce, ale była zbyt wąska. Bał się, że dziewczyna spadnie, dlatego po prostu położył ją na ziemi.

Wrócił pędem do samochodu i odjechał, równocześnie wyjmując komórkę i wybierając numer pogotowia.

– Dzień dobry – powiedział, kiedy połączenie odebrał dyspozytor. – Na przystanku autobusowym Władysławów, na gierkówce w kierunku Warszawy leży kobieta. Krwawi. Myślę, że umiera.

– Pierdolony Mieszko – wysapał pod nosem Borzestowski.

Wiedział, że za wszystko, co robi teraz, przyjdzie mu słono zapłacić jutro. Już się bał tego, co go czeka. Będzie sobie musiał załatwić mocniejsze proszki przeciwbólowe, jeśli chce w ogóle podnieść się z łóżka.

Perspektywa operacji nagle przestała być taka zła.

– Co ci odpierdoliło, debilu? – zapytał gangster.

Chociaż znał odpowiedź. Mieszko po prostu zrobił to, co na jego miejscu zrobiłby sam Borzestowski. Postanowił wyeliminować zagrożenie. Gangster zawsze cenił Mieszka, jednak nie spodziewał się po nim aż takiej determinacji. Był pod wrażeniem.

Oprócz pleców bolała go teraz także szyja. Tak niewiele brakowało, a zginąłby w łazience we własnym mieszkaniu. Wstyd.

Pierwsze godziny po ataku spędził na kanapie w salonie. Odpoczywał, popijał lekarstwa wódką. Odwołał wszystkie spotkania, przełożył wizytę u notariusza i zastanawiał się, co dalej robić.

Miał w mieszkaniu trupa. Koniecznie musiał się go pozbyć. Im szybciej, tym lepiej. Problem polegał na tym, że powinien to zrobić sam. Powody były dwa. Po pierwsze, nie wiedział, komu może teraz ufać. Zastanawiał się, czy Mieszko działał sam. Nie mógł wykluczyć, że ktoś mu pomógł. Po drugie, został zaatakowany we własnym domu, właściwie w samych gaciach. Czy można sobie wyobrazić większy dowód słabości?

– Pierdolony Mieszko – mruknął gangster.

Zwłókł się z kanapy. Wyjął z lodówki kawałek wędliny i zjadł z bułką. Popił wszystko szklanką wody prosto z kranu. Potem zabrał się do pracy. Pod łazienkę przyciągnął jeden z większych dywanów. Duży, włochaty, z białymi frędzlami. Właściwie nigdy go nie lubił. Położył na nim ciało Mieszka. Chociaż mężczyzna ważył około stu kilogramów, Borzestowskiemu wydawało się, że to tona. Jakby jego ciało po śmierci zmieniło się w beton, a kości w żelazo. Musiał pokonać zaledwie dwa metry, ale kiedy skończył, przez pięć minut siedział pod drzwiami, dysząc ciężko, niezdolny nawet do uniesienia ręki. Nie miał pojęcia, w jaki sposób pozbędzie się Mieszka z domu.

Zawinał ciało w dywan. Nie znalazł żadnego sznurka, więc związał pakunek kilkoma koszulami oraz kaszmirowym swetrem, który kosztował ponad tysiąc złotych. Teraz skończy na dnie rzeki.

Potem spędził sporo czasu na szukaniu detergentu. Zatrudnił sprzątaczkę, więc z pewnością jakiś środek był w domu, ale nie wiedział gdzie. Znalazł go wreszcie w szafie w przedpokoju. Zabrał się do sprzątanía łazienki. Nie znalazł

żadnej szmaty, więc wykorzystał ręczniki i kolejne koszule. Chlustał strugami domestosa na krwawe plamy. Oczy łzawiły mu od ostrego zapachu chloru.

Kiedy skończył, zwinął wszystko i wsadził do worka na śmieci, a ten do kolejnego worka. Przebrał się w czyste ubrania i znów łyknął proszek przeciwbólowy.

W normalnych warunkach czekałby do nocy, jednak teraz się śpieszył. Za pasek spodni wpakował pistolet i z workiem w ręku wyszedł na dwór. Samochód trzymał w jednym z garaży na podwórku. Wyprowadził go i podstawił pod tylne drzwi do bloku. Złożył tylne siedzenia, żeby powiększyć przestrzeń bagażnika, i wrzucił tam worek. Wrócił na górę.

Mieszkanie w kamienicy z samymi emerytami miało swoje plusy. O tej porze nie spodziewał się spotkać żadnego ze swoich sąsiadów. W ogóle rzadko wychodzili. Tyle co na zakupy i do kościoła. Chwycił za koniec zrolowanego dywanu. Podciągnął pod drzwi i krzyknął z bólu. Wiedział już, że nie da rady.

Po raz kolejny zszedł na dół, tym razem do najbliższego sklepu spożywczego. Za ladą stał młody, pryszczaty chłopak z długimi włosami i grzywką opadającą na oczy.

– Macie wózek do przewożenia towarów? – zapytał Borzestowski.

Chłopak popatrzył na niego zdziwiony.

– Wózek?

– Do przewożenia towarów – dokończył za niego mężczyzna. – Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

– Eee...

– Jak przyjeżdża dostawa, to trzeba paczki przewieźć do magazynu, tak? Nie nosicie tego ręcznie.

– No nie. – W oczach chłopaka błysnęło zrozumienie. – No mamy taki...

– Pożyczcie mi. Remont mam w domu. Muszę trochę gruzu wywieźć.

– No nie wiem.

Borzestowski wyciągnął portfel, a z niego dwie stówki. Podał sprzedawcy. Chłopaka najpierw zatkało ze zdziwienia, a potem wyszczerzył zęby.

– Zaraz będzie – powiedział.

Zniknął na zapleczu, żeby wrócić po dwóch minutach ze zwykłym metalowym wózkiem z prostokątną platformą, czterema kółkami i pokrytą plastikiem rączką do prowadzenia. Borzestowski uznał, że powinien się nadać.

– Jaki ma maksymalny udźwig? – zapytał.

Chłopak bezradnie wzruszył ramionami.

– Oddam za pół godziny – powiedział gangster.

– Ale nie zepsuje pan? I na pewno odda?

Mężczyzna spojrział na niego w taki sposób, że ten momentalnie się zamknął i zaczął przestawiać butelki alkoholu za swoimi plecami.

Borzestowski wrócił do mieszkania. Zapakowanie Mieszka na wózek okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. Ciężko było zmieścić ciało na zbyt małej platformie. Wreszcie mu się udało. Wyjechał z wózkiem z mieszkania, wsiadł z nim do windy i zjechał, a potem poprowadził do garażu.

Przełożenie ciała do bagażnika zajęło mu kolejne pięć minut i dziesięć minut odpoczynku. Pomimo wszystkich prosków, które w siebie władował, plecy rwały go, jakby wszystkie mięśnie postanowiły się zbuntować i próbowały same siebie zniszczyć. Potem odstawił wózek do sklepu.

Wyjechał z Warszawy. Jechał z trochę większą niż dozwolona prędkością. Taka była najbezpieczniejsza. Drogówka zawsze zwracała uwagę na dobre samochody, które wlekły się przepisową pięćdziesiątką. A on prowadził porsche cayenne z trupem zawiniętym w dywan w bagażniku i ostatnie, czego potrzebował, to głupia wpadka.

Dojechał nad Zalew Zegrzyński. Duży sztuczny zbiornik wodny powstały u ujścia Bugu do Narwi na północ od miasta. Wiosną i latem okolica roiła się od ludzi. Na jeziorze ciężko było zmieścić szpilkę, tyle pływało po nim motorówek i żaglówek. Zimą jednak w okolicy wałęsało się tylko kilku zagubionych wędkarzy, których bardziej niż ryby interesowały schowane w ubraniu flaszki. W okolicznych ośrodkach odbywały się nudne korposzkolenia, wieczorami zmieniające się w ostro zapijane imprezki. Teraz jednak panowała tu cisza i spokój, a właśnie tego potrzebował Borzestowski. Przejechał przez Nieporęt, potem Białobrzegi i kilka innych mniejszych miejscowości i wiosek, aż wreszcie skręcił w leśną drogę. Dotarł daleko nad Bug, gdzie rzeka tworzyła ogromne zakola, większe i mniejsze wysepki, a jej brzeg porastały gęste krzaki. W okolicy nie było żywego ducha.

Mężczyzna wyszedł z samochodu. Znalazł długi solidny kij, a potem wyszukał kilkanaście największych kamieni, jakie potrafił unieść. Stracił na tym prawie pół godziny. Dopiero później wyciągnął z bagażnika zawinięte w dywan ciało Mieszka. Ponieważ nie miał już wózka, stawiając krok za krokiem i zaciskając zęby z bólu, zaciągnął je z trudem aż na brzeg rzeki. Zostawił za sobą szeroki ślad w miękkiej glebie. Kiedy wreszcie dotarł do celu, był cały mokry. Rzeka przybrała, więc przez ostatnie kilka metrów brodził w lodowatej wodzie, a buty zapadały mu się w gęste, mokre błoto. Niedawno jeszcze biały dywan zmienił się w brudną płachtę.

Borzestowski obciążył pakunek kamieniami. Zastanawiał się, czy to wystarczy. Po jakimś czasie w wodzie ciało napuchnie i może wypłynąć. Sam dywan również nasiąknie. Być może będzie ważył tyle, żeby utrzymać zwłoki na dnie, ale nie mógł być tego pewien. Postanowił jednak zaryzykować. Nie miał teraz czasu na wymyślanie i realizację lepszego planu. Jeśli zwłoki kiedyś wypłyną, to będzie się tym martwił.

Wciągnął pakunek na niewielki pomost wędkarski. Od lat nikt go nie

używał. Drewno nadgniło, kilka desek było złamanych. Borzestowski na wpół zepchnął, na wpół wyrzucił zwłoki do wody. Znalazionym wcześniej drągiem popchnął je najgłębiej jak potrafił w koryto rzeki. Prawie się przy tym przewrócił i sam wpadł do rzeki.

Wkrótce zobaczył, jak nurt porywa dywan i ciało Mieszka znika w odmętach Bugu.

Wrócił do samochodu. Przypadkiem zerknął w tylne lusterko i uświadomił sobie, że zapomniał o jednej, cholernie ważnej rzeczy. Nie umył się. Wszystko, co robił od rana, robił, mając na twarzy zaschniętą krew Mieszka.

Andrzejewski zajechał na stację benzynową Orlenu na ulicy Łopuszańskiej, w okolicy pełnej niskiej zabudowy i niewielkich biznesów typu mechanik czy sprzedaż antyków z Chin. Podinspektor nie zamierzał jednak tankować. Zaparkował z boku, niedaleko wjazdu do myjni. Chwilę siedział w samochodzie, bębniąc palcami o kierownicę, aż wreszcie zdecydował się wyjść.

Zapiął kurtkę pod samą szyję i podszedł do stojącego nieopodal Grudy. Komisarz z rękoma wbitymi w kieszenie obserwował sznur przejeżdżających ulicą samochodów.

– Aleś, kurwa, wybrał miejsce na spotkanie – rzucił Andrzejewski.

– Bo?

– Wiesz, że teraz na wszystkich stacjach benzynowych są kamery?

– I?

– Nagrali, jak ty przyjechałeś. Nagrali, jak ja przyjechałem.

– To co? Już nie możemy spotkać się na paróweczce z Orlenu?

Andrzejewski nie wiedział, co go bardziej drażniło. Fakt, że Gruda olewał zasady bezpieczeństwa, czy jego lekceważący ton, kiedy o tym mówił. Obaj byli policjantami, obaj wiedzieli, co robią i co im za to grozi. I że nie mogą sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Tymczasem Gruda wydawał się prowokować los. Andrzejewski po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy komisarz jest odpowiednim współnikiem, ale nie miał zbyt dużego wyboru. Tkwili w tym razem, od samego początku. Chryste, pomyślał, to wszystko z powodu jednej chwili słabości.

– Co się stało? – zapytał.

Gruda opowiedział. Prostymi słowami, szybko i zwięźle. A Andrzejewski poczuł, że ma ochotę wrzeszczeć.

– I po prostu zostawiłeś ją na tym przystanku?

– Tak – odparł komisarz. – Stanąłem kilka kilometrów dalej. Po piętnastu minutach minęła mnie karetka na sygnale. Pewnie ją do niej wysłali – dodał po chwili, jakby to było najważniejsze.

– Wypuściłeś ją!

– A co niby miałem zrobić?

– Nie wiem? Dać jej podpaszkę?!

Gruda zrobił wtedy coś nieoczekiwanego. Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając rząd pożółkłych od papierosów i kawy zębów.

– Pierdol się – powiedział. – Cokolwiek się stało, cokolwiek zrobiliśmy, nie zabiję przez to niewinnej dziewczyny.

– A skąd wiesz, że niewinnej? – odpowiedział pytaniem podinspektor. – To dziewczyna Mieszka. Myślisz, że nie wiedziała, czym koleś się zajmuje? Że taka

niewinna jest jak lilia? Pierdolenie. Stuzłotówkami zagłuszała sobie wyrzuty sumienia. Jeśli jakieś miała. I nie wiesz, czy czegoś dla niego nie robiła. Bo one wszystkie, prędzej czy później, im pomagają, dają alibi, ukrywają dowody. A jeśli trzeba, to handlują własną dupą. Ona też taka była.

– Może – mruknął Gruda. – Ale i tak nie pozwoliłbym jej umrzeć. Jasne?

Komisarz powiedział coś jeszcze, tylko przejeżdżająca obok ciężarówka z dwiema naczepami zagłuszyła jego słowa. Owiało ich śmierdzące spalinami powietrze. Andrzejewski odwrócił się i kilka razy odkaszlnął.

Potem się uspokoił. Może faktycznie dziewczynę należało uwolnić. Zdecydowali się na to porwanie, bo myśleli, że dzięki temu będą mieli Mieszka w garści. Jednak on skontaktował się z nimi tylko raz. Potem zamilkł. Coś się z nim stało? A może wcale nie zależało mu na dziewczynie tak, jak sądzili?

Andrzejewski nagle zaśmiał się krótko. Gruda spojrzał na niego z niemym pytaniem wypisanym na twarzy, ale podinspektor nie zamierzał mu niczego tłumaczyć. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Porwanie było błędem. Właśnie to rozumiał. Niepotrzebnie stracili czas. Tylko w jeden sposób dało się to rozwiązać. Od początku powinni się na tym skupić. Nie zrobili tego ze strachu albo dlatego, że w ostatnich latach zmiękli. Teraz jednak dotarli do punktu, w którym nie mieli już innego wyjścia. I w jakiś sposób działało to na Andrzejewskiego uspokajająco. Dokładnie tak jak wtedy.

Postanowił jak najszybciej skontaktować się z Łazarowiczem.

Technik czekał na niego przed komendą powiatową policji w Grodzisku Mazowieckim. Budynek mieścił się w przyjemnej okolicy, której uroku nie potrafiła zepsuć nawet grudniowa aura. Wokół żadnych bloków, tylko domy jednorodzinne, park i sąd. Chociaż nigdy nie ciągnęło go do pracy w mniejszych miejscowościach, Mortka poczuł ukłucie zazdrości. Mimo że nie widział siebie pracującego w jednym z tych niewielkich podwarszawskich miasteczek, teraz zaczął się zastanawiać, czy to jednak nie odpowiednie miejsce dla niego. Trochę tu było spokojniej. Luźniej. Więcej prostszych spraw.

– Dzień dobry – przywitał go technik.

– Dzień dobry. Wejdziemy do środka? – zapytał Mortka.

Marcin pokręcił przecząco głową.

– Muszę jechać do domu. Spakować się do tej Piły.

– Co to za szkolenie?

– Badanie autentyczności dokumentów.

– Przydaje się to wam w Grodzisku?

– Zdarza się, że przy zatrzymanych znajdujemy jakieś dziwne papiery. –

Uśmiechnął się, jakby czytał w myślach komisarza. – Wie pan, u nas też jest życie.

– To o czym chciał pan porozmawiać? – zapytał Mortka, zmieniając temat.

– Proszę mnie odprowadzić do samochodu, okej?

Ruszyli ulicą w stronę pobliskiego parku imienia Hrabiostwa Skarbków.

– Niedaleko jest parking miejski – powiedział technik. – U nas pod komendą rzadko kiedy jest miejsce. A jak w Warszawie?

Komisarz przyznał w myślach, że bywało ciasno. I nie było się czemu dziwić. W komendzie brakowało właściwie wszystkiego, więc dlaczego akurat miejsc parkingowych miałyby być w nadmiarze?

– W miarę okej – odparł. – To co znaleźliście?

Marcin przystanął. Potrzebował chwili na zastanowienie.

– Nigdy nie robiłem przy czymś takim – zaczął ostrożnie, jakby zależało mu na tym, by Mortka nie przywiązywał zbytnej wagi do jego wypowiedzi – ale miałem poczucie, że jest tam coś dziwnego.

– Coś nie pasowało?

– Wręcz przeciwnie. Wszystko pasuje! Mamy broń. Mamy pociski. Mamy łuski. Wszystko pięknie do siebie pasuje.

– To o co chodzi?

Technik w milczeniu przeszedł kilka metrów.

– Może to się wydać głupie – powiedział wreszcie.

– Proszę spróbować.

– Za dużo tego – stwierdził, kiedy przechodzili przez skrzyżowanie i zbliżali się do parkingu. – Zebraliśmy dziesięć kul. W Evelinę Wilkiewicz trafiły dwie, w jej matkę też dwie. W dziewczynę obie wystrzelono z tego samego miejsca, z odległości około dwóch metrów. Żadna nie była śmiertelna. W matkę jedna trafiła z około trzech metrów, druga z bliska, jakby sprawca chciał ją dobić. Ale, co dziwne, nie udało mu się to nawet z tak bliskiej odległości. Potrzebował trzech strzałów.

– Okej.

– Najpierw zwróciła moją uwagę liczba strzałów. Dziesięć. W magazynku P99 jest maksymalnie szesnaście, prawda?

– Zgadza się.

– Dlaczego wystrzelił akurat dziesięć?

– Być może niekoniecznie liczył?

– Chodzi mi o to, że do zabicia dwóch kobiet wystarczą dwie kule. Natomiast jeśli już strzelamy bez umiaru, czemu nie wystrzelać całego magazynka?

Mortka nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

– A potem te strzały z bliska do matki... Panie komisarzu, ja wiem, jak jest. Wiem, jak wygląda nasze przeszkolenie z bronią i ile dostajemy naboju na strzelnicę. Ale, do cholery jasnej, policjant po wieloletniej służbie chyba jednak powinien poradzić sobie trochę lepiej, nie?

– Stres? Zdenerwowanie? – spróbował Mortka. Technik nie wydawał się jednak przekonany.

– Być może, być może – powtarzał, pocierając podbródek.

– Co z tego według pana wynika?

– Szczerze?

– Szczerze.

– Szkoda, że w P99 nie zamontowano bezpiecznika – odparł. – Bo pewnie sprawca nie wiedziałby, jak sobie z nim poradzić, i do całego zdarzenia by nie doszło. Pan rozumie, komisarzy?

– Chyba tak.

Chwilę później się pożegnali. Technik wsiadł do swojego forda i pojechał do domu. Mortka wrócił do toyoty. Po drodze zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Nie wierzył w winę Kochana, więc nie zdziwiło go to, że technikowi trudno uwierzyć, że sprawcą jest policjant. Jednak według funkcjonariusza z Grodziska zrobił to ktoś, kto nie potrafi posługiwać się bronią. P99 faktycznie nie posiadał bezpiecznika. Przed pierwszym strzałem wystarczyło odciągnąć zamek, by wprowadzić nabój do komory. Ale jaki cel i sens miała kradzież broni Kochanowi, żeby potem zlecić zabójstwo komuś, kto nie umie z niej strzelać?

Wracał przez Milanówek. Specjalnie przejechał obok domu Evelyny Wilkiewicz. Chciał mu się jeszcze raz przyjrzeć. Zatrzymał się niedaleko bramy i wyszedł z samochodu. Na podjeździe stał biały citroën, a wokół domu krążyła około czterdziestoletnia kobieta. Kiedy zauważyła Mortkę, przystanęła i zaczęła mu się intensywnie przyglądać. Odpowiedział dokładnie tym samym. Po chwili wahania podeszła do ogrodzenia.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała.

– A kim pani jest?

– A pan?

Sięgnął po legitymację. Wzniosła oczy do nieba.

– Kolejny policjant. Zrobiłam coś nie tak? Powiedzieliście, że już można.

– Pani...?

– Marta Zarębska. Jestem siostrą Martyny. – Zrobiła pauzę i zaraz dodała: – To znaczy byłam. I tak: ja Marta, ona Martyna. Rodzice nie grzeszyli pomysłowością.

– Co tu pani robi?

– Sprawdzam, co mi zostawiła – powiedziała. – Jestem jedynym spadkobiercą, więc... – Rozejrzała się dookoła. – W sumie ładna okolica – stwierdziła. – Przeprowadziłabym się tutaj, gdyby nie to, co się stało. Chociaż może i tak będę musiała.

– Dlaczego?

– A komu ten dom wcisnę? Chyba że pan jako policjant zna jakiegoś świra, który lubi mieszkać w miejscu, gdzie zamordowano dwie osoby.

Nie znał. Przyjrzał się kobiecie. Była podobna do swojej siostry, ale starsza.

Również blondynka z prostymi, sięgającymi połowy pleców włosami i twarzą pokrytą siateczką drobnych zmarszczek. Nad prawą brwią dostrzegł jaśniejszą plamę, bliznę po dawno zagojonej ranie.

– To czego pan chce? – zapytała. – Bo wy zawsze czegoś chcecie.

– Jak pani się czuje?

Przewróciła oczami.

– A jak mam się czuć? – odpowiedziała. – Zabito mi siostrę. I siostrzenicę. Jasne. Siostra była jaka była, ale nie zasługiwała na to. Nie po tym, co przeszła. A dziecka to już w ogóle szkoda. Co ona była winna? I komu?

– Co takiego przeszła pani siostra?

Popatrzyła na niego jak na idiotę.

– Pan wie, z kim ona się związała?

Potwierdził.

– A wie pan, jak ją traktował? Idiotce wydawało się, że złapała Pana Boga za nogi, ale trafiła z deszczu pod rynnę. Wilk... Myślę, że on miał problemy ze sobą. Powinien go przebadać jakiś psychiatra i wpakować do Tworek.

– Dlaczego?

– To był świr! Jasne, gnojek potrafił być czarujący, taki do rany przyłóż. Jak chciał komuś zaimponować, to rzucał pieniędzmi na lewo i prawo. Kiedyś to naszym rodzicom zafundował wczasy w Hiszpanii. Nad Morzem Śródziemnym, Costa Brava, w najdroższym hotelu. A oni nawet Bałtyku w życiu nie widzieli. Strasznie się wtedy wymęczyli – ani języka nie znali, ani nic. Obcy kraj, obcy ludzie, do nikogo nie można gęby po polsku otworzyć. Ale Wilku cały z siebie dumny. Cały zadowolony, że rodzicom swojej dziewczyny taki prezent sprawił. Kretyn.

Mortka milczał. Czuł, że kobieta za moment będzie mówić dalej. Był kimś, na kogo czekała od dłuższego czasu – osobą, przed którą mogła się wygadać. I nie pomylił się.

– Z nią też. Najpierw kolacyjki, wyjazdy, dyskoteki. Drogi alkohol i prezenciki. Podobało się jej. Mówiłam, że w życiu nic za darmo nie ma, a ona nie wierzyła. No to potem sama się przekonała.

– Bił ją?

– Zdarzało się. Nie wiem jak często. Nie opowiadała mi. Tylko raz do mnie uciekła. Pojawiła się cała posiniaczona, w porwanych ciuchach. Na szyi miała jeszcze zaciśnięty pasek od spodni, bo ją tak prowadził. Jak psa. Schowała się u mnie. Byłam wtedy przerażona. Chciałam zadzwonić na policję, ale nie pozwoliła. To siedziałam całą noc przy oknie, z tłuczkiem w dłoni, gdyby się pojawił i chciał siostrę zabrać. Nie przyszedł. Myślałam, głupia ja, że dał sobie spokój. Nie. Zjawił się po niecałym tygodniu. Podjechał limuzyną. W garniturze. Z naręczem czerwonych róż i drogim naszyjnikiem w puzderku, prosto od jubilera.

A moja głupia siostra... Wie pan, co zrobiła?

– Wróciła do niego.

– Uhm...

– Podobno mówiła, że Wilk wyleczył ją z mężczyzn.

– Tak. Mówiła tak. Też na swoje nieszczęście. Bo ona była nieszczęśliwa, wie pan? Nie była stworzona do życia sama. Potrzebowała faceta. Niektóre kobiety tak mają. Potrzebują kogoś, kogo mogą kochać.

– Miała córkę.

– To co innego. Facet jest facet, i tyle. Martyna, dość mądra i ładna, mogła zgarnąć kogoś fajnego, dobrego. Ale spotkała Wilka.

Przerwała na moment. Odwróciła się, żeby obejrzeć dom, co pewnie robiła już setki razy. Być może zastanawiała się, czy posiadłość w Milanówku była warta tych kilku lat katorgi.

– Ale nie bicie było najgorsze – stwierdziła nieoczekiwanie. – Tylko to, jak ją zniszczył. O tutaj. – Popukała się palcem w skroń. – Ona... Przestała być sobą już po roku bycia z nim. Zmieniła się w cichą kobietę, która tylko czekała na jego rozkaz. Nie wiem, jak to osiągnął. Nie wiem, jak tak szybko można kogoś zmienić. Jemu się to udało. Robiła wszystko, co jej kazał.

– Na przykład?

– Spała z każdym, kogo jej podsunął.

Nie spodziewał się tego. Gangsterzy chętnie korzystali z prostytutek. Polecali sobie najlepsze, dawali je sobie nawzajem w prezencie. Jednak to nie dotyczyło ich własnych kobiet! Te były święte, nie do ruszenia. Przespanie się z czyjąś kobietą to jak wydanie na siebie wyroku śmierci.

– Powiedziała mi o tym dopiero niedawno, trzy lata temu, jak się upiła. Nie wiem, ile w tym prawdy, ile zmyślenia, ale podobno podszyła ją różnym facetom. Albo sami do niej się dobierali, albo kazał jej ich uwodzić. Potem pieprzyła się z nimi, a gdy wracała do domu, pokazywał nagrania i zdjęcia. Nazywał ją dziwką i lał, jakby nie robiła tego, bo jej kazał. Nie wiem, co z nim było nie tak. Może był jednym z tych zboczków, którzy potrafią się podniecić tylko wtedy, kiedy widzą, jak ich kobiety robią to z kimś innym. Nie wiem, nie wiem.

Zwiesiła głowę. Trwała tak przez kilka minut, schowana za kurtyną z własnych włosów. Kiedy ją podniosła, miała łzy w oczach.

– Zniszczył ją ten dupek – stwierdziła. – A teraz ją przez niego zabili. Dlaczego teraz?

– Nie wiem – powiedział Mortka.

– Oczywiście. Wy nigdy nic nie wiecie. Nie wiedzieliście, co Wilk robił mojej siostrze, a teraz nie wiecie, co się z nią stało. Lata mijają, a polska policja ciągle taka sama. Jak trzy małpki.

Zaśmiała się gorzko. Komisarz postanowił nie protestować. Wiedział, że to

nie ma sensu. Powoli zaczął iść w stronę swojego samochodu.

– Chyba go spalę – odezwała się nieoczekiwanie kobieta.

Przystanął i spojrzął na nią pytająco.

– Dom – wyjaśniła. – Chyba go spalę. To najlepsze, co można z nim zrobić.

Nie uważa pan?

– To będzie pani dom – odparł po chwili zastanowienia. – Może pani z nim zrobić to, co chce.

Iwona Napieraj nienawidziła siebie. Klęczała teraz na łóżku w Sheratonie. Głowę miała spuszczoną, tak że widziała tylko pomietą pościel, a tyłek wypięty w górę. Łazarowicz nawet jej nie rozebrał. Podciągnął w górę spódnicę, opuścił rajstopy i majtki, a potem napluł sobie na rękę i wtarł w jej krocze, żeby choć trochę je nawilżyć.

Teraz czuła, jak się w niej rusza. Raz po raz uderzał ją w pośladki. Posapywał nad jej karkiem. Na jej włosach lądowały kropelki jego śliny.

Z całej siły koncentrowała się na tym, żeby nie płakać.

Jak mogła do tego doprowadzić? Kiedy i w jaki sposób pozwoliła zmienić się w rzecz? W cholerną lalkę z sex shopu.

Chrząknął głośno przez zaciśnięte zęby, wbił się w nią mocno i zapulsował tuż przed wytryskiem.

Przez moment, kilka uderzeń serca, jeszcze w niej trwał. Potem powoli się wysunął. Jęknął, kiedy znalazł się na zewnątrz. Wymierzył w jej pośladek ostatniego klapsa, lżejszego niż te poprzednie. Podejrzewała, że to miała być pieszczota. Coś jak pocałunek od czulego kochanka po wszystkim.

Kiedyś naprawdę ją całował.

Usłyszała, jak zapina spodnie i podchodzi do minibarku. Wyciągnął jedną z tych cholernie małych i cholernie drogich buteleczek i otworzył jednym ruchem ręki. Wypił zawartość.

Iwona usiadła na łóżku. Zdjęła do końca rajstopy i majtki.

– Idę do łazienki – powiedziała nie wiadomo po co i do kogo. Nawet na nią nie popatrzył. Już miał w dłoniach telefon i odpisywał na mejla.

Czy on od początku taki był, czy to ona zawiniła? Próbowwała sobie przypomnieć. Zawsze brał ją tak, jakby należała do niego – cudowna odmiana po zachowaniu Przemka, który chyba wolał masturbować się do oglądanych w necie pornosów (wydawało mu się, że ona tego nie wie, a ona nie wyprowadziła go z błędu). Jak już się kochali, to starał się być taki cholernie uważny i czuły. Raz po raz pytał: „Czy tak dobrze?”, „Czy tak dobrze?”, jakby był fryzjerem i właśnie modelował jej włosy. Nie, nawet nie – przecież jej fryzjerka zadawała mniej pytań, a Iwona chodziła do niej dopiero od dwóch lat, a nie od ośmiu.

Łazarowicz był pewny siebie, bezczelny, wiedział, czego chce, i dążył do tego wszystkimi możliwymi sposobami. A chciał właśnie jej.

Czy tu tkwił problem? Kiedy już dostał to, czego chciał, przestało mu zależeć?

Bo kiedyś wyglądało to inaczej. Kiedyś czuła się kimś, a nie czymś. Tak się jej przynajmniej wydawało, a może tylko sobie to wmówiła, bo pochlebiali jej, że taki mężczyzna jej pragnie.

Ściągnęła spódnicę i położyła ją na blacie umywalki. Weszła do kabiny, zdjęła słuchawkę prysznicową i ustawiła odpowiednią temperaturę wody. Podciągnęła koszulę i podmyła się dokładnie. Starła się nie patrzeć na to, co z niej wypływa. Wytarła się puchatym białym ręcznikiem i wrzuciła go do kabiny. Potem włożyła majtki, spódnicę i rajstopy. Spojrzała na swoją twarz w lustrze. Miała zaczerwienione oczy i mętne spojrzenie, jakby była podpita. Nagle wydała się sobie samej starsza o co najmniej dziesięć lat.

Wyszła z łazienki.

Popatrzyła na Łazarowicza. Lobbyista siedział na krześle. Na blacie obok stały już dwie puste buteleczki. Pomyślała, że facetom po wszystkim jest łatwiej. Wystarczy, że poprawią sobie włosy i zapną pieprzony rozporek.

Chrząknęła, by zwrócić na nią uwagę. Udało się jej, bo podniósł głowę.

– Musimy z tym skończyć – powiedziała. W jej głowie te słowa brzmiały lepiej. W rzeczywistości załatywały melodramatem. Do tego głos jej drżał, jakby nie była pewna, czego naprawdę chce.

– Bo?

– Bo mam męża, dziecko. Nie możemy robić tego dalej.

Przypatrywał się jej, a w jego spojrzeniu dostrzegła coś głęboko niepokojącego. Czuła się jak owad pod mikroskopem.

– Ależ możemy – odpowiedział wreszcie, mówiąc w taki sposób, jakby uznawał temat za zakończony. Sięgnął po telefon komórkowy.

– Ale ja już nie chcę! – krzyknęła.

Zatrzymał się w połowie ruchu. Poruszył szczęką w lewo i w prawo. Iwona wiedziała, że nie może sobie pozwolić na utratę panowania nad sobą podczas tej rozmowy. Znała Łazarowicza. Wykorzysta każdą jej słabość, wszystko wywróci na drugą stronę i na koniec jeszcze okaże się, że sama go prosiła, by ją przeleciał.

– Nie chcę się już z tobą spotykać – powiedziała, ostrożnie dobierając słowa. – Było... miło, ale to już koniec. Powinniśmy wrócić do czysto zawodowej relacji.

Podniósł się powoli z krzesła. Poprawił mankiety koszuli. Widziała, że myśli, analizuje, zastanawia się nad kolejnym krokiem.

– Jeśli pozwolisz mi to skończyć, dam ci coś w zamian.

Zaskoczyła go. Zmarszczył czoło.

– Co takiego? – zapytał.

– To, co według ciebie jest najcenniejsze – odpowiedziała, zadowolona, że połknął haczyk. – Informacje.

– Jakie?

– Mamy umowę? Między nami koniec?

Zawahał się. Wiedziała, że ta sytuacja nie jest dla niego komfortowa. Nie kontrolował jej, nie potrafił ocenić, czy robi dobry interes. Jednak ku uldze kobiety w końcu się zgodził. Iwona sięgnęła do swojej torebki i wyjęła pomięty kartonik.

– Przyłapałam dzisiaj twojego asystenta, jak myszkował w twoim gabinecie. Wydaje mi się, że czegoś szukał, ale nie wiem czego. I nie wiem, czy to znalazł. Miał przy sobie tę wizytówkę.

Podawała mu kartonik. Twarz Łazarowicza pobladła na moment, kiedy zobaczył wydrukowane na niej nazwisko. Szybko wziął się w garść.

– Chryste, Iwona – jęknął. – Nie musisz mi dawać niczego w zamian za to, że przestaniemy się pieprzyć. Nie chcesz tego więcej robić, to nie. Tyle mi wystarczy. Za kogo ty mnie uważasz? Za jakiegoś gwałciciela?

Schował wizytówkę do kieszeni i spojrzał na kobietę z lekką urazą. Zbliżył się do niej. Delikatnie pogładził ją po policzku.

– Szkoda tylko, że wcześniej mi nie powiedziałaś – dodał. – Gdybym wiedział, że to nasz ostatni raz, byłoby inaczej.

Nachylił się i musnął jej usta wargami. Potem wziął swoją marynarkę i podeszedł do drzwi.

– Widzimy się w biurze – rzucił, wychodząc z pokoju.

Planeta Krypton mieściła się w suterenie kamienicy przy alei Niepodległości na Mokotowie. W okolicy, która pełna była śladów bolesnej przeszłości, tablic upamiętniających miejsca uświęcone krwią Polaków zabitych przez niemieckiego okupanta albo informacji o tym, że w danym budynku mieszkał Janek Bytnar „Rudy”. Pod każdym takim miejscem zawsze znajdował się wypalony znacz i kilka zwędzonych kwiatów, położonych tam przy okazji państwowego święta lub jakiejś rocznicy.

Mortka zszedł po stromych schodach do sutereny. Po jednej stronie znajdowało się wejście do sklepu z komiksami, po drugiej do sklepu z grammi komputerowymi. Wszedł do tego pierwszego. W pomieszczeniu pod ścianami stały regały wypełnione kolorowymi komiksami, na środku stół, a na nim pudła ze starszymi pozycjami. Za ladą siedział blisko czterdziestoletni mężczyzna, łysy i grubawy, ubrany cały na czarno, w bojówki i koszulkę z wielkim napisem BOOM! na tle kolorowej plamy, która symbolizowała wybuch. Na nosie miał okrągłe okulary. Czytał książkę. Na widok Mortki odłożył ją na bok z wyraźnym żalem. Policjant podejrział okładkę. Widniał na niej mężczyzna w prochowcu i naciągniętym na głowę kapeluszu. Klasyczny prywatny detektyw z czarno-białych filmów. Ale w dłoni trzymał jarzącą się różdżkę.

– Dobre? – zapytał, wskazując na powieść.

– Jim Butcher? – odpowiedział sprzedawca. Miał zadziwiająco łagodny głos, wręcz aksamitny. – Bardzo dobry, jednak tylko po angielsku. Po polsku spierdolili tłumaczenie. A co? Szuka pan czegoś w tym klimacie? Mam nowe *Baśnie*. No i Hellboya oczywiście.

– Niespecjalnie.

– A co pana interesuje?

– Kryptonit – rzucił Mortka niedbale, obserwując reakcję sprzedawcy. Miał nadzieję, że być może to hasło, które Mieszko ustalił ze sprzedawcą. Ale się przeliczył.

– Czyli Superman? Raczej po angielsku, po polsku niewiele wychodzi. No chyba że interesują pana starsze rzeczy, jeszcze z czasów TM-Semic. Tam stoi pudło.

Ręka sprzedawcy już sięgała z powrotem po książkę. Jakby mężczyzna uznał, że zrobił to, co do niego należało, i może wreszcie wrócić do przerwanej lektury. Mortka stanął przy ladzie.

– Mój przyjaciel coś u pana zostawił – powiedział.

– Słucham?

– Paczkę. Jakiś czas temu. Nie może jej odebrać. Przysłał mnie.

– Nie wiem, o co chodzi.

– Na imię ma Mieszko.
– Nie znam nikogo takiego.
– Wielki facet. Łysy jak pan, ale byczek. Jeden z takich, których prędzej spodziewałby się pan zobaczyć biegającego ze sztachetą po stadionie niż w księgarni. Nawet takiej z komiksami.

– Nie znam nikogo takiego.
– Dziwne – wyciągnął portfel, a z niego paragon – bo zostawił u pana sporo kasy. Z tego, co wiem, lubił Batmana.

Sprzedawca zerknął na paragon, wyciągając szyję. Potem zaczął skubać wargę w zamyśleniu.

– Sorry, ale mam wielu klientów.

Mortka demonstracyjnie rozejrzał się po pustym sklepie.

– A poza tym nie podoba mi się to wypytywanie. Co pan? Policja?

Komisarz pokazał facetowi odznakę i z satysfakcją zauważył zmieszanie i strach malujący się na jego twarzy.

– Powiem ci tak – zaczął, opierając się o ladę i zmniejszając dystans, tak że ich twarze dzieliło nie więcej niż dwadzieścia centymetrów. – Byłem gotowy ci uwierzyć, że nie masz tej paczki. Ale nigdy nie uwierzę, że nie zapamiętałeś kogoś takiego jak Mieszko. A skoro kłamiesz, że go nie kojarzysz, to coś ukrywasz. To co? Zaczynamy jeszcze raz? Gdzie to jest?

Mężczyzna najpierw pokręcił przecząco głową, a dopiero potem zdołał wydobyć z siebie głos.

– Mówiłem. Nie mam żadnej paczki. Nie świadczę takich usług. Ja tylko sprzedaję komiksy.

– Serio chcesz, żebym wszedł tutaj z całą ekipą? – zapytał Mortka. – Wywrócimy ci to miejsce na lewą stronę.

Sprzedawca sapnął głośno, jakby właśnie na pierś spadło mu kowadło.

– No dobra. Kojarzę tego faceta – powiedział wreszcie. – Przeszedł tutaj kiedyś. Kupił oryginalne komiksy, bo chciał się anglika poduczyć, a potem to już normalne kupował. Faktycznie głównie Batmana. Dobry klient, ale od dawna go nie widziałem. I nic u mnie nie zostawiał.

– Morderstwo. Porwanie. Handel narkotykami. Zorganizowana przestępczość – wymienił obojętnym głosem komisarz. – Serio chcesz być w to zamieszany? Może ci się wydawać, że bawisz się w tego kolesia z okładki, ale to nie jest zabawa. To jest życie. Utrudnianie pracy organom ścigania. Pomoc w zacieraniu śladów. Współdział. Cholera, może nawet udział w zorganizowanej grupie. To są konkretne paragrafy. Za to idzie się do więzienia.

Sprzedawca przejechał różowym językiem po zupełnie suchych wargach.

– Ja go naprawdę bardzo dawno nie widziałem.

– Ale coś u ciebie zostawił, prawda?

Mężczyzna przytaknął niechętnie.

– Masz to?

– Na zapleczu.

– Przynieś.

Sprzedawca szybkim krokiem, ale drobiąc dziwacznie, podszedł do drzwi za swoimi plecami. Mortka ruszył za nim, żeby go pilnować. Na wszelki wypadek.

Znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu, które równocześnie robiło za magazyn i biuro. Wypełnione było paczkami, segregatorami i zwiniętymi w rulon plakatami. Kalendarz z gołą babą na jednej ze ścian bardziej pasowałby do warsztatu mechanika. Pod jedynym oknem, z którego widok zasłaniały koła parkującego samochodu, stało biurko. Sprzedawca właśnie spod niego wyciągnął torbę sportową i wręczył ją policjantowi.

– To to? – zapytał Mortka.

– Tak.

– Zagłądałeś do środka?

Zaprzeczył, machając przy tym energicznie rękoma, jakby coś obrzydliwego przyczepiło mu się do palców.

– Nie, nie, nie! Tamten... Nawet nie wiedziałem, że ma na imię Mieszko, mówił, żeby nie zagłądać. Dobrze zapłacił, bardzo dobrze. A interes idzie jak idzie. To miała być taka przysługa. Nie wiedziałem, że zrobiłem coś złego.

– Tak, bo na pewno przechowywanie podejrzanej torby za dużą sumę nie wiąże się z niczym nielegalnym – rzucił cierpko policjant.

Sprzedawca skulił się i wymamrotał coś w odpowiedzi, czego Mortka nie zrozumiał. Policjant nachylił się w jego kierunku, jakby oczekiwał, że tamten powtórzy swoje słowa, ale on milczał.

Komisarz kucnął obok torby. W kieszeni miał paczkę chusteczek. Wziął jedną i przez nią otworzył zamek. Kiepskie to było zabezpieczenie przed zanieczyszczeniem śladów, ale lepsze niż żadne. Zajrzał do środka. Chociaż spodziewał się tego, co tam znajdzie, i tak mocniej zabiło mu serce, kiedy ujrzał zwiniętą w kulę odzież. Dostrzegł na niej brunatne plamy utworzone przez dawno zakrzepłą krew. Zamknął torbę i zarzucił ją sobie na ramię.

Sprzedawca cały czas obserwował go z niepewną miną.

– To pan to może tak zabrać? – odezwał się.

– To materiał dowodowy – odpowiedział Mortka.

– No tak, ale nie wiem... Nie powinienem dostać jakiegoś pokwitowania?

– Tylko jeśli pan chce, żeby pana nazwisko znalazło się w aktach – odparł komisarz. – Chce pan?

Mężczyzna zaprzeczył.

– A co mam powiedzieć, kiedy pojawi się ten... Mieszko, tak?

Wyglądał na autentycznie przestraszonego. Mortce zrobiłoby się go nawet

zał, gdyby nie to, że był wściekły. Spędził ostatnie kilkanaście tygodni, ganiając za tym garniturem, a okazało się, że ten leżał sobie spokojnie na zapleczu sklepu z komiksami. Gdyby facet sam z tym do nich przyszedł, to Borzestowski pewnie już dawno siedziałby zamknięty w areszcie i szykował się do procesu.

– Że powinien zgodzić się na propozycję prokuratury – odpowiedział Mortka i poszedł do wyjścia.

Sprzedawca chwilę stał oniemiały. Potem za nim wybiegł.

– Jaką propozycję?! O co chodzi?! Jaka prokuratura?!

Policjant jednak nie zwracał już na niego uwagi. Myślał tylko o jednym – w końcu odnalazł garnitur. Pytanie brzmiało, co teraz powinien z nim zrobić. Kiedyś wiedział: zawieźć jak najszybciej do komendy, złożyć w magazynie dowodów, uruchomić Centralne Laboratorium Kryminalistyczne i powiadomić prokuraturę, która zleci wszystkie możliwe ekspertyzy. A potem zgarnąć Borzestowskiego prosto z ulicy. W chwili, kiedy najmniej się tego spodziewa.

Tylko że czasy, kiedy takie decyzje były jasne i proste, już minęły.

Warszawa ciągle potrafiła wprowadzić Marka w stan czystego osłupienia. Największe miasto w Polsce, stolica kraju, a wystarczyło wyjechać tylko kilka kilometrów poza centrum, by odkryć, że to po prostu ogromna wieś.

Wysiadł na stacji kolejowej Warszawa-Dawidy. Rozejrzał się dookoła. Po lewej pola, po prawej pola. Środkiem biegła ulica, a wzdłuż niej rząd budynków, najczęściej niewielkie domy jednorodzinne. Te porządniejsze, świeżo otynkowane i pomalowane na pastelowe kolory i takie, gdzie gołym okiem było widać pustaki. Zdarzały się też parterowe domy z czerwonej cegły, z dachami pokrytymi papą lub eternitem.

Marek nie rozumiał, dlaczego Łazarowicz go tutaj wysłał. Lobbyista przyszedł do biura zdenerwowany i zamknął się w swoim gabinecie, skąd wyszedł po piętnastu minutach. Zawołał chłopaka. Podał mu adres i zamkniętą grubą kopertę.

– Zawieziesz tam przesyłkę. Potem możesz jechać do domu.

Nawet się ucieszył, kiedy to usłyszał. Szkoda tylko, że szef nie dał mu na taksówkę. Dlatego chłopak najpierw podjechał autobusem do najbliższego dworca, potem czekał na zimnie na pociąg, który oczywiście spóźnił się dwadzieścia minut, żeby wreszcie jechać w cuchnącym potem tłumie ludzi wracających po pracy do Piaseczna. Wysiadł z pociągu z prawdziwą ulgą.

Zmierzchało. Promienie zachodzącego słońca sprawiały, że wszystko tonęło w intensywnej czerwieni. Marek ruszył wąskim chodnikiem wzdłuż ulicy, szukając odpowiedniego adresu. Z każdym krokiem miał coraz więcej wątpliwości. Dlaczego Łazarowicz wysłał go w taką okolicę? Kto tu mógł mieszkać? Może się pomylił? Może chodziło o inną ulicę, w innym miejscu? Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do biura i dopytać, czy dobrze pojechał, ale jakby się okazało, że źle, to

podpadłby szefowi. Niedobrze.

Po kwadransie marszu dotarł pod wskazany adres. Ledwie kilkanaście metrów dalej znajdowała się zielona tablica z przekreśloną nazwą „Warszawa”. Po drugiej stronie obwieszono reklamami płotu widział niski budynek, przypominający pawilon handlowy. Tylko że nieczynny. W oknach nie dostrzegł żadnego światła. Jedno było zresztą wybite. Dostępu na zarośnięte i zaniedbane podwórko broniły stalowe kraty.

– Co jest? – zapytał.

Porównał jeszcze raz adres na karteczce z tym na tabliczce na rogu budynku. Wszystko się zgadzało.

O co tutaj chodziło?

Gdy nacisnął klamkę od pordzewiałej furtki, ustąpiła z cichym skrzypnięciem. Wszedł do środka. Zbliżył się do drzwi pawilonu. Prawie podskoczył ze strachu, kiedy te otworzyły się tuż przed nim.

Stał przed nim mężczyzna w czarnej kurtce i wojskowych spodniach. Miał krótko obcięte brązowe włosy, gładko ogoloną twarz, na której wyróżniał się krzywy, najwyraźniej dawno temu złamany nos. Mężczyzna obrzucił go szybkim spojrzeniem. Potem wyjrzał na zewnątrz.

– Marek? – zapytał.

– Tak.

– Wejdź do środka.

Odsunął się, by chłopak mógł przejść, i zamknął za nim drzwi. Środek był równie zaniedbany jak reszta budynku. Dawną sklepową ladę pokrywała gruba warstwa kurzu, półki trzymały się na słowo honoru, a na ścianach wisiły plakaty ze starymi reklamami chipsów, słodkich napojów i piwa.

– Masz coś dla mnie? – zapytał mężczyzna.

Marek z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął kopertę i podał mu. Ten ją wziął, otworzył, sprawdził zawartość i schował przesyłkę do kieszeni spodni.

– Wszystko się zgadza? – zapytał chłopak.

– Tak.

– Mam coś wziąć? Przekazać odpowiedź?

– Nie, nie trzeba.

– Czyli mogę iść?

– Jasne.

Marek pomyślał, że to jedna z najdziwniejszych chwil w jego życiu. Nawet nie wiedział, czy powinien się pożegnać. Mężczyzna po sprawdzeniu zawartości koperty zupełnie stracił nim zainteresowanie. Wydawał się go nie zauważać.

Chłopak obrócił się w stronę drzwi, a potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Mężczyzna doskoczył do niego, ramieniem otoczył jego szyję i zacisnął mocno. Marek poczuł ból, strach. Nawet nie do końca zorientował się, że

nie może oddychać, kiedy przed oczami pojawił mu się rój mroczków, a później zapadła zupełna ciemność.

Obudził się i w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Za oknami zapadła noc. Próbował wstać, ale nie mógł. Kark eksplodował mu dzikim bólem. Zabrakło mu tchu w piersiach. Chciał krzyknąć, jednak jego głos wbił się w taśmę klejącą, którą zalepiono mu usta. Tą samą taśmą przywiązano go do turystycznego krzesła.

– Już jesteś – usłyszał.

Dopiero teraz dostrzegł mężczyznę. Siedział w kucki kilka metrów od niego. Niemalże w zupełnej ciemności, tak że widać było tylko zarys jego sylwetki.

– Boisz się, prawda?

Chłopak kiwnął energicznie głową, prawie wbijając sobie podbródek w klatkę piersiową. Bał się jak cholera. Fale przerażenia paraliżowały jego ciało jak prąd elektryczny.

– Słyszałem, że to nie jest twoje pierwsze porwanie. To dobrze. Wiesz, jak powinieneś się zachować, tak?

Znowu przytaknął.

– Świetnie. Ale przypomnijmy sobie zasady, dobrze? Pierwsza i najważniejsza: wykonujesz rozkazy. Druga: nie krzyczysz, nie walczysz, nie próbujesz uciekać. Jeśli to zrobisz, zareaguję, co dla ciebie oznacza ból. Nie chcesz tego, a ja nie chcę cię krzywdzić. Trzecia: mówisz tylko wtedy, kiedy ci pozwolę. Jeśli będziesz się ich trzymał, wszystko dobrze się skończy. Wyjdiesz stąd szybciej, niż ci się wydaje. Cały i zdrowy, rozumiesz?

Przytaknięcie.

Mężczyzna podszedł do Marka. Chwycił za taśmę klejącą i jednym ruchem ściągnął mu ją z ust. Zapiekło. Chłopak syknął z bólu, a potem przejechał językiem po wargach. Mężczyzna przyglądał mu się.

– Dobrze. Podobasz mi się.

– To nieporozumienie.

Pięść wylądowała na policzku Marka. Krzesło przechyliło się niebezpiecznie. Już niemal upadł, ale tamten chwycił go za ramię i ustawił do pionu.

– Mówiłem, że masz się odzywać wtedy, kiedy ci pozwolę, tak?

Chłopak otwierał już usta, by potwierdzić, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Dobrze, okej, zadam ci teraz pytania. Ty odpowiadasz. Pierwsze pytanie: kto cię przysłał do Łazarowicza? Odpowiadasz.

Marek przełknął ślinę. Myślał gorączkowo. Czy mężczyzna pracował dla jego szefa? Jeśli tak, to dlaczego go uwięził? Nie zrobił przecież niczego złego. Tak jak poprzedni asystent, przypomniawszy sobie i poczuł, jak jego żołądek nagle boleśnie się skurczył. Z całych sił zacisnął pośladki, żeby nie popuścić.

– Sam. Sam przyszedłem. To był mój pomysł. Nikt mnie nie przysłał.

– Sam? Jesteś pewien? Odpowiadasz.

– Tak, jestem pewien. Przyszedłem sam.

Mężczyzna zmarszczył brwi, jakby skupiał się na zapamiętaniu tej odpowiedzi.

– Pracujesz dla policji?

– Co takiego?

Znowu go uderzył. Z otwartej dłoni. Zapięła go cała prawa strona twarzy. Z wargi pociekła krew.

– Odpowiadasz – powiedział mężczyzna.

– Nie pracuję dla policji – wycharczał Marek.

– To dlaczego miałeś ze sobą wizytówkę policjantki?

Wizytówkę, przemknęło mu przez głowę. Jaką wizytówkę?! A potem sobie przypomniał. Kartonik od tej policjantki, ten, który wcisnęła mu w sklepie. Co się z nim stało? Nie pamiętał. Czy to wszystko z tego powodu?

– Odpowiadasz.

– Dała mi ją, ale to tyle. Nie pracuję dla niej. Nigdy nie pracowałem.

– Nie przekazujesz jej żadnych informacji? Odpowiadasz.

– Nie.

– Co cię z nią łączy? Odpowiadasz.

– Nic. Absolutnie nic! – zapewniał gorączkowo. – Spotkałem ją rano w sklepie. To wszystko!

– To dlaczego grzebałeś w rzeczach swojego szefa? Czego tam szukałeś?

Na przemian robiło mu się zimno i gorąco. Mózg podsuwał kolejne obrazy i myśli, ale nie układały się one w jakąś sensowną całość. Wiedział tylko jedno: miał kłopoty. Cholerne kłopoty. A potem przypomniał sobie o Iwonie. To ona go widziała. To ona na niego doniosła. To wszystko przez nią, przez tę wredną sucz, starą cipę, jebaną kurwę, z którą się policzy, kiedy tylko stąd wyjdzie.

– Odpowiadasz.

– Niczego nie szukałem, tylko zajrzałem. Przepraszam, przepraszam, to była pomyłka. To był błąd.

– Nie szukałeś niczego dla tej policjantki?

– Nie.

Mężczyzna bez słowa sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej multitool. Rozłożył kombinerki, odwrócił w jedną i drugą stronę, jakby chciał, żeby Marek się przypatrzył. Potem klęknął naprzeciwko chłopaka, sięgnął do jego stopy, ściągnął buta i skarpetę.

– Teraz opowiem ci, co się stanie. Twoje odpowiedzi mnie nie usatysfakcjonowały. Wydaje mi się, że mnie okłamujesz. Dlatego muszę ci zrobić krzywdę.

– Proszę, nie...

Mężczyzna uderzył go w brzuch, a następnie chwycił za włosy, odciągnął mocno w tył i zalepił usta taśmą. Wszystko to robił spokojnymi, metodycznymi ruchami.

– Nie pozwoliłem ci mówić – przypomniał. – Dlatego teraz będziesz tylko słuchał. Muszę zrobić ci krzywdę. Będzie bolało, ale nie zrobię ci niczego, co mogłoby cię trwale uszkodzić. Przykładowo, nie potrzebujesz paznokci u nóg. Wyrwę ci je. Nie odrosną za szybko, jednak nie będzie ci to przeszkadzało w życiu. Rozumiesz?

Marek bełkotał coś niezrozumiale. Zginał palce u nóg, chociaż nie mogło mu to w żaden sposób pomóc. Mężczyzna spojrział na kombinerki.

– To od którego zaczynamy? – zapytał.

Sucha spędziła prawie cały dzień, próbując pomóc matce Beaty w poszukiwaniach córki. Najpierw pojechały do Komendy Stołecznej. Policjantka popytała wśród funkcjonariuszy, ale tak jak się spodziewała, nikt poprzedniego dnia nie umawiał się na spotkanie z dziewczyną Mieszka. Następnym krokiem było sprawdzenie spraw z ostatnich dwudziestu czterech godzin. I matce Beaty, i Suchej ulżyło, kiedy okazało się, że w tym okresie nie znaleziono ciała dziewczyny. Nie zaraportowano także żadnego zdarzenia z udziałem kobiety o nieustalonej tożsamości. Nikt taki nie trafił do warszawskich szpitali.

Na moment wróciły do pomysłu złożenia zawiadomienia o zaginięciu, ale tutaj Sucha zgadzała się z Mortką – nikt nie potraktuje tego poważnie. Nie w przypadku dorosłej osoby i nie wtedy, kiedy nic nie wskazuje na to, że zdarzyło się coś złego.

Policjantka postanowiła więc zadziałać nieformalnymi drogami. Zaczęła dzwonić po wszystkich warszawskich i podwarszawskich jednostkach. W skrócie opowiadała o sprawie i prosiła o kontakt, gdyby przypadkiem natrafiono na kogoś pasującego opisem do Beaty.

Zajęło jej to prawie trzy godziny. Kiedy skończyła, kobieta patrzyła na nią wyczekująco.

– I co teraz? – zapytała.

Siedziały u niej w pokoju w komendzie. Po drugiej stronie biurko było puste, ale nie tylko Mortki brakowało. Gruda podobno też się nie pokazał. Andrzejewski wpadł tylko na chwilę i zaraz zniknął. Plotki mówiły, że jest na wylocie. Wszyscy zastanawiali się, kto ma go zastąpić. Jeden z policjantów powiedział, że podobno będzie to ktoś ze spraw wewnętrznych. Został wyśmiany.

Sucha nie wiedziała, co odpowiedzieć matce Beaty. Rozumiała jej niepokój. Szczerze chciała pomóc, ale równocześnie była zdenerwowana. Współpraca z Mortką nie układała się zgodnie z jej założeniami. Zamiast wzajemnie sobie pomagać, stała się jego chłopcem na posyłki, a on do tej pory nic dla niej nie zrobił.

Oprócz tego, że pozwolił u siebie przenocować. Zaczęła się zastanawiać, czy wtajemniczenie go w swoje śledztwo nie było jednak błędem.

– Najlepiej niech pani pójdzie do domu i poczeka. Córka prawdopodobnie w końcu sama się odezwie.

– A jeśli nie?

– Proszę do nas wrócić jutro.

Kobieta złożyła dłonie na piersiach.

– Ja wiem, że mojej córce stało się coś złego – powiedziała z naciskiem. – Coś na pewno można jeszcze zrobić!

Policjantce nie podobał się ten histeryczny ton w jej głosie. W ogóle niespecjalnie lubiła ludzi, którzy nie potrafią w jasny i logiczny sposób przedstawić swoich racji. Kiedy opowiedziała o tym tacie, roześmiał się i powiedział, że wybrała sobie niewłaściwą pracę. Nie zrozumiała tej uwagi. Była policjantką, nie psychoterapeutką. Dla niej ten zawód polegał na łapaniu złych, a nie na wysłuchiwanie w nieskończoność jęczenia poszkodowanych. No i jeszcze przeczucia... Każda matka zawsze miała przeczucie, że coś złego stało się jej dziecku. Dałaby się za to pociąć, chociaż przeczucia spełniały się dosłownie w ułamku procenta.

Rozdzwonił się jej telefon. Odebrała.

– Aspirantka Suchocka – powiedziała. – Co jest?

– Tutaj Komenda Powiatowa Policji w Pruszkowie. To pani dzwoniła w sprawie zaginionej dziewczyny, prawda? Czarnowłosa, wiek około dwudziestu siedmiu lat.

– Dokładnie dwadzieścia siedem – sprostowała. Na te słowa kobieta gwałtownie się wyprostowała i wbiła w Suchą wzrok.

– Okej. Sześćdziesiąt pięć kilo wagi, wzrost metr siedemdziesiąt?

– Uhm.

– I w ciąży?

– Tak – potwierdziła.

Na twarzy matki Beaty odmalowało się podniecenie i strach. Wykonywała dziwne ruchy dłońmi, jakby chciała pośpieszyć policjantkę.

– Mamy kogoś takiego w szpitalu.

– W jakim stanie?

– Ciężkim, ale stabilnym.

– Jadę.

Zakończyła rozmowę. Kobieta prawie rzuciła się na szyję aspirantce. Jej ręce zatrzymały się dosłownie kilka centymetrów od ubrania Suchoj. W oczach lśniły łzy.

– Prawdopodobnie jest w Pruszkowie – powiedziała Sucha. – Żyje. Tyle wiem.

Kobieta jęknęła głęboko z ulgą, ale łzy i tak pociekły jej po policzkach. Nie była w stanie ich powstrzymać.

Sucha wstała i ubrała kurtkę.

– Jedziemy? – zapytała.

Wyjazd z Warszawy o tej porze był koszmarem. Szybko pożałowała, że wzięła samochód, zamiast po prostu wsiąść w pociąg. Do tego zaczęło padać i marznący deszcz powodował jeszcze większe utrudnienia na drodze. Policjantka pomyślała, że w mieście, gdzie co najmniej połowa kierowców cały rok jeździła na letnich oponach, jej koledzy z drogówki będą mieć pełne ręce roboty.

W końcu dotarły do szpitala powiatowego w Pruszkowie. W izbie przyjęć skierowano je prosto na oddział ginekologiczny. Matka Beaty natychmiast chciała dowiedzieć się, co z jej córką, ale pielęgniarka nie mogła nic powiedzieć. Kiedy odchodziły w stronę windy, Sucha zauważyła, że sięgnęła po telefon.

Wkrótce dowiedziała się po co. Kiedy pojawiły się na odpowiednim piętrze, w ich stronę szybkim krokiem ruszył siwowłosy lekarz w szpitalnym ubraniu. Na stopach miał białe crocasy, które skrzypiały przy każdym kroku.

– Pani jest...

– Agata Bączyk – powiedziała kobieta. – Jestem matką Beaty. Czy mogę do niej wejść? Co się z nią stało? Jak się czuje?

Zrobiła krok w głąb korytarza, ale lekarz zastąpił jej drogę i wykonał uspokajający gest.

– Pani córce nic nie grozi. Znajduje się pod naszą opieką. Obecnie nie można z nią porozmawiać, bo jest pod działaniem narkozy. Śpi i musi wypocząć.

– Chcę ją zobaczyć! – krzyknęła kobieta.

Lekarz poprosił ją, by zachowywała się ciszej, i poprowadził je do jednej z sal, gdzie leżała Beata. Matka od razu do niej podbiegła, nachyliła się i pocałowała w policzek, a potem mocno ścisnęła jej dłoń. Pielęgniarka, która akurat była w pokoju, pytająco spojrzała na lekarza.

– Wszystko w porządku – stwierdził uspokajająco.

Siostra kiwnęła głową i wyszła z pokoju. Sucha nie przekroczyła jego progu, jednak nawet z tej odległości dostrzegła niezwykle bladą twarz dziewczyny. W przedramię miała wbity wenflon, a na przegubach dłoni widoczne mocne otarcia po węzłach. Oddychała płytko, ale regularnie.

Policjantka zakłęta w myślach. Naprawdę miała nadzieję, że cała ta sytuacja to zwykłe nieporozumienie. Tymczasem wszystko wskazywało na porwanie.

– Co się stało? – zapytała lekarza.

– A pani to?

– Policja.

Zamierzała wyciągnąć odznakę, jednak dał jej do zrozumienia, że tego nie potrzebuje. Wyglądał na zmęczonego i przejętego.

– Pogotowie dostało sygnał, że jakaś kobieta leży na przystanku. Pojechali do niej. Stwierdzili silne krwawienie z krocza. Przywieźli do nas. To dziwna sytuacja, poronienie trwało już od kilku godzin, straciła bardzo dużo krwi. Dawno czegoś takiego nie widziałem. Kobiety zazwyczaj szybko orientują się, że coś jest nie tak. Częściej musimy je odsyłać, tłumacząc, że wszystko jest w porządku, że to tylko skurcze Alvareza czy Braxtona-Hicksa albo po prostu wzdęcia. A tutaj coś zupełnie innego. Jeszcze trochę i by zeszła.

– A dziecko? – zapytała.

Lekarz spojrział na nią, jakby nic nie zrozumiała z tego, co przed chwilą powiedział.

– Musieliśmy zrobić łyżeczkowanie – stwierdził.

Matka Beaty przysunęła sobie stołek i usiadła przy córce, wciąż ściskając ją za dwa palce. Zwiesiła głowę i w pierwszej chwili można było pomyśleć, że zasnęła, chociaż przeczył temu wyraźny dreszcz, który raz po raz wstrząsał jej ciałem. Nie płakała jednak, jakby nie chciała tego robić w tej bezosobowej szpitalnej sali, w sterylnym otoczeniu, wśród medycznej maszynerii, przy łóżku ze zbyt mocno wykrochmaloną pościelą.

Sucha przełknęła ślinę. Nigdy nie myślała o dzieciach. Nawet nie była pewna, czy chce je w przyszłości mieć. Nie dlatego, że ich nie lubiła, po prostu w żaden sposób ich nie potrzebowała, ale nawet ją poruszyła ta sytuacja. Jakby opowieść o poronieniu, widok leżącej kobiety, która wkrótce się obudzi i dowie się o tym, że straciła dziecko, poruszyły w niej coś, z czego istnienia nie zdawała sobie sprawy. To głupie, pomyślała sobie. Widziała już gorsze rzeczy, wiele razy, nawet ofiary wypadków drogowych z otwartymi złamaniami czy czaszkami rozbitymi o twardą kierownicę, i zawsze potrafiła się od tego odciąć, pracować z chłodną głową i pełnym profesjonalizmem. Dlaczego teraz to nie działało? Biologia to bezwzględna suka, pomyślała ze złością.

– Będę już iść – powiedziała.

– Nie poczeka pani na kolegę?

– Kolegę?

– Tego drugiego policjanta z Pruszkowa. Tego, który powiedział, że pani do nas przyjedzie. – Lekarz rozejrzał się dookoła. – Gdzieś tutaj jest. Chyba chciał z panią porozmawiać.

– Nie – zdecydowała Sucha. – Proszę mu powiedzieć, że się rozminęliśmy.

Już dawno zapadła noc, kiedy mężczyzna wreszcie skończył pracę. Uważał się za jednego z niewielu ludzi w Polsce, którzy potrafią zabijać. Nie chodziło tutaj o zwykłe odebranie życia, do jakiego w określonych okolicznościach, przez przypadek czy z premedytacją, zdolny był każdy – ale tylko jeden raz. Najczęściej w gniewie, z zemsty, w amoku. On natomiast miał zestaw cech psychicznych i fizycznych umożliwiających dokonanie czynu, a także odpowiednie umiejętności,

które sprawiały, że jego ofiarami mogły stać się obce osoby. Nic go z nimi nie łączyło, oprócz cienkiej nici pieniędzy zleceniodawcy.

W codziennym życiu był spokojny i opanowany. Zaczepiony, wolał odejść, niż walczyć. Rzadko nawet przekraczał dozwoloną prędkość. Regularnie przelewał też kwoty na Polską Akcję Humanitarną na pomoc niedożywionym dzieciom. Głód akurat rozumiał i uznał, że dzieci nie powinny go doświadczać. Dlatego nie uważał się za złego człowieka. Po prostu robił to, co umiał. I tyle. Nie czuł jednak z tego powodu satysfakcji. W ogóle mało co czuł, prawie nic. Żył jakby zamknięty w gumowej bańce, a wszystkie emocje znajdowały się na zewnątrz. Wiedział, że tam są, potrafił je rozpoznać, choć miały rozmazane i niewyraźne kształty, a ich głosy dochodziły do niego dalekim, niewyraźnym echem, które nauczył się ignorować. Tak było łatwiej. Wprowadzały zbyt wiele zamieszania, kiedy starał się zrozumieć ich niejasne przesłanie. Popelniał wtedy błędy, denerwował ludzi. Za to zimna logika oparta na schematach zachowania i zbiorze zasad, które wbił sobie do głowy, nigdy go nie zawiodła.

Teraz, analizując swoją sytuację, doszedł do wniosku, że zabijanie chłopaka było pewną przesadą. Nie stanowił wielkiego zagrożenia. Już po pierwszej turze przesłuchania mężczyzna wiedział, że mówi on prawdę. Nie współpracował z policją ani nie wyносił sekretów firmy zleceniodawcy na zewnątrz. Gdyby to od niego zależało, postraszyłby go trochę nożem, a potem wypuścił. Młodzian i tak nie zawiadomiłby policji, zwłaszcza że na tamtym etapie prawie nic mu się nie stało – kilka siniaków i sporo strachu. To nie on jednak decydował, ale klient. A klient miał życzenie i pieniądze. Dlatego mężczyzna przystąpił do drugiej tury przesłuchania. Podczas niej dowiedział się dokładnie tego samego co podczas pierwszej. Przyszedł czas na trzecią – z tym samym rezultatem. Potem udusił chłopaka sznurem.

Budynek był jednym z kilku pustostanów, które miał na oku w Warszawie. Regularnie je monitorował, sprawdzając, czy ktoś się do nich nie wprowadził lub nie rozpoczął remontu. Ten znajdował się na tyle daleko od centrum, że nie szukał w nim schronienia żaden bezdomny. Od dawna opuszczonym pawilonem nikt się nie interesował, a ze względu na znaczną odległość od innych budynków mężczyzna nie obawiał się wścibskich sąsiadów.

Zniósł ciało chłopaka do piwnicy. Wcześniej wykopał jamę w stercie gruzu, którą zapewne wrzucił tam ktoś, kto wykonywał remont, a nie chciał płacić za wywóz odpadków. Zabójca uważał, że same zwłoki nigdy nie są problemem, o ile spełni się jeden warunek – nie da się ich zidentyfikować. W takim wypadku, nawet po odnalezieniu trupa, policja i prokuratura jak najszybciej zamykały sprawę NN i odkładały ją wstydliwie na półkę. Być może wracały do niej komórki zwane Archiwum X, ale one i tak były zawalone robotą.

Przeszukał ciało, wyjął portfel chłopaka i schował do swojej torby. Spali go

później, w innym miejscu. Potem zabrał telefon. Pojeździ z nim trochę po mieście, żeby zalogować się do kilku stacji bazowych, i podrzuci do losowo wybranego pociągu, odjeżdżającego z Warszawy Zachodniej. Sprawdził także, czy chłopak nie ma żadnych rzeczy osobistych, po których mógłby zostać zidentyfikowany – wisiorków, bransoletek, obrączek. Zabrał mu tylko zegarek.

Kiedy skończył, sięgnął po baniak wypełniony ługiem sodowym. Ludzie bardzo boją się kwasów, a zupełnie zapominają o zasadach. Równie groźnych. I równie skutecznych. Ług był jedną z najsilniejszych.

Oblał nim najpierw dłonie Marka. Bardzo dokładnie, jednak przy zastosowaniu wszystkich środków ostrożności. Obserwował, jak zasada powoli niszczy skórę i wypala linie papilarne. Potem to samo zrobił z jego twarzą. W pomieszczeniu unosił się teraz słodki zapach palonego ludzkiego mięsa. Rysy powoli znikwały w delikatnych kłębach dymu, wśród pęcherzy, odsłaniając najpierw czerwone, a potem szybko ciemniejące platy mięsa. Wkrótce chłopak był nie do rozpoznania. Jego głowa zmieniła się w makabryczną, obrzydliwą maskę, dziwną układankę, złożoną z głębokich ran, ocalałych resztek skóry i włosów.

Wykorzystał w ten sposób dwa pięciolitrowe baniaki. Umieścił ciało w jamie i przysypał gruzem, by nie dało się go dostrzec z zewnątrz. Liczył, że dotrą jednak do niego szczury lub inne gryzonie. Ich ostre zęby i apetyt dodatkowo utrudnią ewentualną identyfikację.

Zebrał swoje rzeczy. Dwa razy sprawdził, czy niczego nie zostawił. Był metodyczny i opanowany. Nie śpieszył się. Potem wyszedł z opuszczonego budynku. Nałożył na głowę czapkę z daszkiem, którego cień zakrywał mu twarz, i poszedł ulicą w kierunku Raszyna, do miejsca oddalonego o trzy kilometry, gdzie zostawił swój samochód. Kiedy tam dotarł po niespełna dwudziestominutowym, całkiem przyjemnym spacerze, wyjął telefon ze schowka. Nie miał żadnych nowych połączeń, ale przyszedł jeden esemes. Przeczytał go.

Ten sam klient. Kolejne zlecenie.

Łazarowicz stał w hotelowym pokoju, trzymał w dłoniach komórkę i zastanawiał się, kiedy po raz ostatni tak się denerwował przed wykonaniem telefonu. Sięgał pamięcią coraz dalej w przeszłość, a pomimo tego ciągle nie podsuwała mu żadnej odpowiedzi. Aż w końcu przypomniał sobie siebie samego, w wieku lat około dwunastu, gdy trzymał ebonitową jeszcze słuchawkę, prosił milicję o pomoc, a w pokoju obok ojciec, szanowany profesor wyższej uczelni, lał mamę pasem. Przypomniał sobie swój strach, płacz, przez który ledwo był w stanie mówić, i dłonie tak spocone, że słuchawka niemal wyslizgiwała mu się z ręki. Dyżurny odebrał zgłoszenie i obiecał wysłać patrol. Michał pobiegł do pokoju rodziców. Słyszał dochodzące zza ściany, przepełnione bólem krzyki mamy. Próbował otworzyć, ale drzwi były zamknięte na klucz. Uderzył więc w nie ramieniem. Potem drugi raz.

– Przestań! – wrzeszczał. – Przestań!

I stał się cud. Krzyki faktycznie ucichły. Nie usłyszał też świstu przecinającego powietrze pasa.

– Wezwałem milicję! – krzyknął. – Przyjdą i cię zaaresztują!

Podłoga zatrzeszczała cicho pod ciężkimi krokami. Ojciec otworzył drzwi. Był postawnym mężczyzną o poważnym spojrzeniu, gęstych czarnych włosach i dorodnej brodzie. Nosił okulary w cienkiej, błyszczącej złotej oprawie. Cuchnęło od niego alkoholem. Zawiesił wzrok na synu. Zastanawiał się nad czymś chwilę, a potem minął chłopca bez słowa i poszedł do kuchni.

Michał został na korytarzu. Kilka metrów przed nim klęczała mama. U jej stóp leżała biała bluzka. Podarta. Plecy kobiety pokrywały intensywnie czerwone, pulsujące pręgi od uderzeń pasa. Chłopak nie miał odwagi do niej podejść.

Kiedy kilkanaście minut później do mieszkania przysła milicja, ojciec poszedł otworzyć drzwi. Przez te parę chwil zdążył się niesamowicie zmienić. Mocna kawa pomogła mu otrzeźwieć, zniknęło ciężkie spojrzenie i odór alkoholu. Na widok patrolu udał zdziwienie i zaprosił funkcjonariuszy do środka. Stwierdził, że nic nie wie o żadnej awanturze ani o przemocy domowej. Na potwierdzenie swoich słów przywołał żonę. Mama Michała przysła do pokoju – już ubrana, z poprawionym makijażem i fryzurą. Również zaprzeczyła, by doszło do jakiegokolwiek kłótni pomiędzy nią a mężem. Kiedy rodzice zapytali, kto złożył zawiadomienie, usłyszeli w odpowiedzi, że jakieś dziecko. Ojciec pokręcił wtedy głową, udając rozczarowanie. Powiedział, że to pewnie jego syn. Strasznie narozrabiał w szkole i dostał szlaban na wyjście z domu. To pewnie dlatego. Mama potwierdziła (i to go wtedy zabolalo najbardziej, jej zdrada). Ojciec obiecał poważnie porozmawiać z synem, a milicjanci wyszli z mieszkania.

Wezwał go do swojego gabinetu dopiero następnego dnia. Usadził na krześle

naprzeciwko swojego biurka, sam zasiadł po drugiej stronie. Nabił fajkę. Zapalił. Cmokał ustnik, powoli wciągając dym do płuc.

– Co ty sobie myślałeś? – zapytał wreszcie.

Michał bał się otworzyć usta.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co mogło się stać? – powiedział ojciec. – Z tobą, z matką? Przecież to wszystko jest moje. Zaaresztują mnie, to wy stąd wylecicie. Twoja mama i ty. Tego chcesz?

Milczał.

– Tego chcesz? – powtórzył pytanie. – Mieszkać na ulicy? Razem z mamą? Karton w karton z jakimś narkomanem? Odpowiedz mi.

Ponieważ tego nie zrobił, ojciec podniósł się ze swojego miejsca i nachylił w jego kierunku.

– Masz mi odpowiedzieć – wypluł z siebie każde słowo.

– Nie – wymamrotał niewyraźnie Michał.

– To dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego chciałeś to zrobić swojej mamie? Dlaczego chciałeś, żeby skończyła na ulicy jak jakaś prostytutka?

– Nie wiem.

– Nie wiem. Nie wiem. – Z ust ojca wydobyło się coś, co mogło być chichotem. – Cały ty. Zero zastanowienia. Jak kretyń i idiota. Zostaw mnie teraz samego, a następnym razem pomyśl, zanim coś zrobisz.

Na zewnątrz czekała mama. Chciała go przytulić, ale wyminął ją i poszedł do swojego pokoju.

Pięć lat temu ojciec doznał poważnego wylewu. Łazarowicz znalazł mu miejsce w dobrym domu opieki. Przyjeżdżał raz na dwa tygodnie. Ojciec chodził o lasce, ledwo co mówił. Syn brał go pod ramię i razem spacerowali nad pobliski staw karmić kaczki.

– Dzwonisz? – Z rozmyślań wyrwał go głos Andrzejewskiego. Policjant stał niedaleko okna. Lekko przygarbiony, zbity w sobie, jakby musiał zebrać wszystkie swoje siły, by powstrzymać przed wybuchem buzujące wewnątrz emocje.

Lobbysta wybrał numer. I czekał na połączenie.

Udało się dopiero po prawie minucie.

– Tak? – Głos Borzestowskiego brzmiał dziwnie. Jakby gangster dopiero co się przebudził. Całkiem możliwe, biorąc pod uwagę wczesną porę, ale było też coś innego. Jakieś ledwo słyszalne drżenie, w którym była niepewność, słabość, ból.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Nie.

Krótkie odpowiedzi, konkretne, ale Łazarowiczowi wydawało się, że stał za nimi brak siły na dłuższą dyskusję, a nie świadoma decyzja.

– Słuchaj. Pomyślałem sobie, że ostatnie wydarzenia trochę, hmm... nadwyrężyły naszą przyjaźń. Z tym panem M. faktycznie wyszło nieszczęśliwie,

ale chcę, byś wiedział, że nie mam nic wspólnego z jego zniknięciem.

– Dobra.

– Rozumiem jednak twoje rozgoryczenie. Dlatego chciałem naprawić relację między nami.

– No.

– Proponuję spotkanie. Na neutralnym gruncie. Złote Tarasy za dwie godziny.

– Raczej nie.

– Wiem, że możesz być zajęty, ale mam coś dla ciebie.

– Co?

– Coś, co się zainteresuje – powiedział Łazarowicz. – Pewien zakrwawiony garnitur.

Kilka sekund ciszy, w czasie której można było odnieść wrażenie, że gangster się rozłączył.

– Skąd?! – odezwał się wreszcie Borzestowski, a w jego głosie po raz pierwszy dało się słyszeć intensywne emocje.

– To nie jest rozmowa na telefon – powiedział lobbysta. – Ale jak wiesz, mam znajomych. Moi znajomi mają znajomych i tak dalej. Jeśli chcesz, spotkajmy się za dwie godziny. To powinna być dyskretna rozmowa, rozumiesz? Dwóch ludzi, którzy przypadkiem na siebie wpadli.

– Będę.

To Borzestowski się rozłączył. Lobbysta oblizwał spierzchnięte wargi i rzucił telefon na łóżko. Aparat podskoczył dwa razy na materacu.

– Przyjdzie? – zapytał Andrzejewski.

– Powiedział, że tak.

– Sam?

– Trudno powiedzieć.

Podinspektor sarknął coś niezrozumiałego pod nosem.

– No dobrze, panie Łazarowicz – powiedział. – Powtórzmy ustalenia. Borzestowski pojawia się w Złoty Tarasach. Czy twój człowiek na pewno będzie w stanie się nim zająć?

Łazarowicz nie znał imienia ani nazwiska mężczyzny, którego najął. Powiedziano mu, że to jeden z najlepszych w kraju fachowców od brudnej roboty. Przeszedł dwie tury w Afganistanie w mundurze jednej z jednostek specjalnych. Po odejściu z wojska wykorzystywał swoje umiejętności w inny sposób. I za znacznie, znacznie większe pieniądze. Biznesmen dwa razy się zastanowił, zanim zgodził się na zaproponowane warunki. Jeśli ten człowiek rozwiąże jego problemy, to uzna, że mu się opłaciło. Jego wynajęcie oznaczało też w pewien sposób awans społeczny – niczym bmw prosto z salonu. Skończyły się czasy, kiedy polegał na usługach chłopaków z miasta. Miał nową zabawkę, lepszą i bardziej skuteczną. Pewną ironią

było to, że pierwszą ofiarą mężczyzny stał się Marek. Chłopak przecież pośredniczył, chociaż nieświadomie, w jego zatrudnieniu.

– Będzie.

– Na wszelki wypadek na miejscu będę ja i jeden z moich podwładnych.

– To ktoś pewny?

– Stuprocentowo – odpowiedział Andrzejewski, ale zdaniem Łazarowicza o sekundę za późno. Jakby przez moment się wahał. – Potem my prowadzimy śledztwo – kontynuował policjant. – Kierujemy je w stronę porachunków gangsterskich. Dbamy o to, żeby nic nigdy nie dotarło do ciebie.

– Dokładnie tak – potwierdził lobbysta. – Jak sobie z tym poradzisz, skoro jesteś na wylocie?

– Jeszcze nie wyleciałem. Zadbam o wszystko, nie martw się – powiedział twardo podinspektor. – To nasze ostatnie spotkanie na długi, długi czas.

– Rozumiem – odparł Łazarowicz. – Ostrożności nigdy za dużo. Mam jednak jeszcze jedną sprawę, zanim się rozstaniemy.

– Jaką?

– Jedna z twoich policjantek, niejaka Suchocka, trochę za dużo węszy wokół moich spraw.

Andrzejewski zacisnął usta tak, że zamieniły się w linię.

– Zajmę się tym – stwierdził. – Coś jeszcze?

Mężczyzna zaprzeczył. Wszystko zostało już powiedziane. Zostało im tylko działanie.

Poranną toaletę przerwało Oldze pukanie do drzwi. Zamarła z maskarą w dłoni, niezdecydowana, co powinna zrobić. Rzęsy po lewej stronie już skończyła, te po prawej były jeszcze niegotowe. Pukanie, choć spokojne i grzeczne, nie ustawało, więc poprawiła szlafrok i poszła wyjrzeć przez wizjer. Kiedy sprawdziła, kto jest po drugiej stronie, najpierw uśmiechnęła się do siebie, zerknęła do lustra w przedpokoju, aż wreszcie otworzyła drzwi z lekko naburmuszonym wyrazem twarzy.

– Cześć, Kuba – powiedziała.

– Cześć – odpowiedział Mortka. Potrząsnął trzymaną w dłoniach torbą. – Przyniosłem świeże pieczywo, coś do smarowania, owoce i kawę. Podwójną latte, taką, jaką lubisz.

– Rano wolę espresso. Z własnego ekspresu.

Przez moment wyglądał jak bezradny mały chłopczyk. Aż zrobiło jej się go żal.

– Wejdiesz? – zapytała.

– Chętnie.

– Poczekaj na mnie chwilkę, okej?

– Jasne.

Poszła do łazienki, żeby dokończyć makijaż. Nie śpieszyła się. Właściwie zajęło jej to dużo więcej czasu niż zazwyczaj. Potem ubrania. Przygotowała je już wczoraj, tak jak robiła co wieczór. Ale tym razem poświęciła jeszcze chwilę na zastanowienie się nad dodatkami.

Mortka przez ten czas cierpliwie czekał.

Kiedy pojawiła się w kuchni, podał jej kartonowy kubek z kawą i talerzyk. Zimna kawa i zwykłe kanapki, z masłem, serem i pomidorem. Pomyślała, że jeśli to miały być przeprosiny, to mógłby się bardziej postarać.

– Dzięki – powiedziała.

On też przygotował sobie kanapkę. Jedli, stojąc obok siebie. I to było strasznie dziwne. Byli ze sobą. Spali ze sobą. Chryste, przypomniała sobie, próbowali nawet pozycji 69, a teraz robią wszystko, żeby przypadkiem się nie dotknąć ani nawet na siebie nie spojrzeć.

– Po co przyszedłeś? – zapytała.

Odłożył talerz na blat. Chrząknął. Przejechał językiem po wargach, jakby ciągle szukał w myślach odpowiednich słów, a potem uznał, że koniecznie powinien strzepnąć z bluzy parę okruszków. Nawet zabawnie to wyglądało. Pan policjant, który dzień i noc biega za bandziorami, boi się odezwać do własnej dziewczyny.

– Zawaliłem – wydusił z siebie.

– Zawaliłeś – potwierdziła.

– Ale tak to czasami wygląda. Nie zawsze, bo to wyjątkowa sytuacja. Wiele rzeczy się spierdoliło w jednej chwili. Nie o wszystkim mogę mówić.

– Na przykład o tym, że spędzasz noc z koleżanką z pracy.

– Nie spędziliśmy razem nocy!

Machnęła ręką.

– Kuba – powiedziała. – Zastanów się przez chwilę. Jakbyś ty się czuł, gdybym ja zaprosiła do siebie na noc kolegę z pracy? A wierz mi, jest kilku takich, którzy bardzo chętnie by takie zaproszenie przyjęli.

– Została napadnięta u siebie w domu. Mówiłem ci.

– Ale wiecie, że w Warszawie jest parę hoteli? – odparowała.

Nie potrafił na to wymyślić żadnej odpowiedzi. Ukrył zmieszanie, sięgając po kawę.

– Mogę ci zrobić ciepłą – zaproponowała.

– Nie, dzięki. – Upił łyk i skrzywił się. Podsunęła mu cukiernicę. Podziękował. Wsypał sobie do kubka dwie kopiate łyżeczki i zamieszał. – Nic się nie wydarzyło.

– Przecież wiem – stwierdziła.

Był tak zaskoczony jej słowami, że niemal się zakrztusił.

– Nie jesteś typem faceta, który zdradza – wyjaśniła. – A na pewno nie jesteś

typem faceta, który byłby w stanie to ukryć.

– To o co chodzi?

– A jak myślisz?

– Nie. Tego nie będziemy robić – stwierdził bardzo stanowczo. – Przez prawie całe moje małżeństwo musiałem się domyślać, co zrobiłem źle. Teraz się na to nie zgadzam. Po prostu mi powiedz.

Wzruszyła ramionami, udając obojętność, chociaż tak naprawdę jego wybuch zrobił na niej wrażenie. Nie żeby się przestraszyła, ale podobała jej się jego stanowczość, pewność siebie. Dlatego lubiła z nim rozmawiać o jego pracy – kiedy o niej opowiadał, to właśnie taki był. Jakby tylko w niej potrafił odnaleźć się w stu procentach, jakby tylko ten jeden świat znał, rozumiał i umiał nad nim zapanować. Poza nim stawał się słodkim, czarującym i opiekuńczym mężczyzną, ale gdzieś w każdym jego ruchu, każdym słowie czaiła się mniejsza lub większa doza trudnej do zrozumienia niepewności. To nie był brak wiary w siebie, raczej rozczarowanie samym sobą. Niewiele o tym mówił, jednak kilka razy wymyknęło mu się, że inaczej wyobrażał sobie swoje życie. Nie ciągnęła tematu, uznała, że nie są jeszcze na tym etapie.

– Chodzi mi o to, że po pierwsze, mnie okłamałeś.

– Przepraszam. To był błąd.

– Po drugie, pokazałeś, że w ogóle nie liczysz się ani z moimi uczuciami, ani z moim zdaniem.

– To nie jest prawda.

– Dlatego ściągnąłeś sobie na noc koleżankę bez poinformowania mnie o tym?

– Długo będziemy do tego wracali?

Przewróciła oczami.

– Ciągłe nic nie rozumiesz – stwierdziła. – Dzięki, że wpadłeś, ale nie mam na to teraz czasu. Śpieszę się do pracy.

Nie poruszył się.

– Chcę ci to wynagrodzić. Nie – poprawił się. – Wynagrodzę ci to. Kiedy cały ten syf się skończy.

– Okej.

Ruszył w jej stronę. Chwycił ją mocno za ramiona i przyciągnął. Wiedziała, co chce zrobić, i zastanawiała się, czy powinna mu na to pozwolić. Gniewała się na niego, ale jakaś jej część, znacząca część, pragnęła go znowu poczuć blisko siebie. Pocałował ją, a ona oddała pocałunek. Smakował kawą i zmęczeniem.

Potem opuścił jej mieszkanie. Olga podeszła do okna. Obserwowała ulicę. Po dwu minutach zauważyła Mortkę, który właśnie wychodził z bloku. Przebiegł na drugą stronę drogi i wszedł do stojącego tam samochodu. Na siedzeniu pasażera dostrzegła kobietę sylwetkę.

– Kubuś, Kubuś – powiedziała do siebie Olga, kiedy samochód ruszył. – Nigdy się nie nauczysz, prawda?

– Długo ci to zajęło – powiedziała Sucha, kiedy już na dobre włączyli się do ruchu.

– No i?

– Nic. Tylko mówię.

Mortka zerknął w stronę policjantki. Siedziała z jedną nogą opartą o schowek. Bawiła się stalową zapalniczką marki Zippo, obracając ją w dłoni.

– Co teraz? – zapytała po chwili. – Jedziemy jeszcze kogoś odwiedzić? Dzieciaki? Była żoną?

Zignorował jej sarkazm. Skupił się na samym pytaniu. Rozmyślał nad nim od poprzedniego dnia i do teraz nie znalazł odpowiedzi.

– Znalazłem garnitur Borzestowskiego – odezwał się.

Sucha opuściła nogę.

– Żartujesz? Gdzie był?

– W sklepie z komiksami.

– Gdzie?

– W sklepie z komiksami – powtórzył Mortka. – Mieszko dał go na przechowanie właścicielowi. I dorzucił do tego kilka stówek, żeby go przekonać do pomocy.

– Sprytne.

– Dość.

– Dlaczego Mieszko sam go nie odebrał? Po tym, jak ci się urwał?

– A po co miałyby to robić? – odpowiedział komisarz. – Przez ostatnie miesiące był w tym miejscu bezpieczny, więc po co go teraz przenosić?

– Racja. A jak myślisz, co się z nim stało? Z Mieszkiem, nie garniturem.

Kolejne dobre pytanie. Kolejna niewiadoma w tym szalonym równaniu, w które zmieniło się jego życie. Mieszko zapadł się pod ziemię. Nie mieli z nim żadnego kontaktu. Nie wrócił do mieszkania Kochana. Nie dzwonił. Być może uciekł z kraju? Być może nie żył? Być może został porwany tak jak Beata, zresztą przez tych samych ludzi. Ale dlaczego ją wypuścili, a jego nie?

– Nie wiem.

– To wracamy do początku. Co robimy dalej?

– A co wiemy?

– W której sprawie?

– Najpierw Kochan.

Parsknęła cicho niezadowolona.

– Są mocne dowody na to, że to on zabił Evelinę i jej matkę. Brałeś to pod uwagę?

– Tak – potwierdził. – Ale nie wierzę w to.

– Wiara nie przekonasz sądu.
– Zdaję sobie z tego sprawę. Czego nie wiemy?
– Jaki miałby motyw? Jaki w ogóle był motyw zabójstwa? Kto zabrał pierścionek zaręczynowy? Czy ma to coś wspólnego z zabójstwem Wilka i jego kumpli? Wątpliwości faktycznie budzi liczba oddanych strzałów. Też uważam, że Kochan zrobiłby to lepiej. Zadowolony?

– Tak. Wilk i jego kumple.

– Prawdopodobnie zabici przez policjantów, co ładnie tłumaczy, dlaczego śledztwo prowadzono tak niemrawo. Dopiero potem pojawił się Kochan, któremu nikt nie powiedział, żeby tego nie tykać, i pechowo odnalazł zwłoki. Uruchomił całą maszynę, prawda?

– Tak. – Mortka zacisnął ręce na kierownicy. – Hipoteza?

– Dajesz. Ale powiedz najpierw, gdzie jedziemy.

Komisarz od pewnego czasu skręcał w losowo wybierane ulice, jeżdżąc po Mokotowie i okolicach. Nigdzie im się nie śpieszyło i nie mieli też żadnego celu. Zbierał się w sobie, by powiedzieć na głos coś, co od dawna krążyło mu po głowie.

– Nasi zabili Wilka i spółkę. Nasi zabili Evelinę i jej matkę. I teraz wrabiają w to Kochana.

– Też brałam to pod uwagę.

– Słabe punkty tej hipotezy?

– Nie ma. Jest za to motyw. Ludzie, którzy już wcześniej zabili, są gotowi zrobić to ponownie, by prawda nie wyszła na jaw. I mają spore możliwości.

– A liczba wystrzelonych naboji?

– Chcieli się upewnić, że technicy będą mieć dość materiału dowodowego?

– Sensowne.

Skręcił na światłach w Puławską i pojechał w stronę Ursynowa.

– Tylko jeśli to prawda... – zaczęła Sucha po kilku minutach.

– Wiem – przerwał jej. – Potrzebujemy mocnych dowodów. Bardzo mocnych. Chryste...

Nagle poczuł się cholernie słaby i cholernie zmęczony. Chciał rzucić to wszystko, pojechać do domu, wejść pod kołdrę i przespać cały nadchodzący dzień. A może nawet tydzień. Kochan niech sam zadba o siebie. I tak już dość dla niego zrobił.

– Pozostaje jedna osoba, z którą powinniśmy porozmawiać – rzuciła aspirantka.

– Kto?

Spojrzała na niego znacząco.

– Zabito trzech warszawskich gangsterów. Kto na tym zyskał? I kogo zostawiono przy życiu? I komu, kiedy tylko grunt zaczął palić się pod nogami, rzucono linę ratunkową, wypuszczając Mieszka z więzienia?

– Borzestowski – odpowiedział Mortka. – Tak. On może wiedzieć, kto to zrobił. Może sam w tym maczał palce. Ale dlaczego miałby z nami w ogóle rozmawiać?

– Bo masz coś, czego on chce?

– Garnitur.

– Właśnie. A gdzie on teraz jest?

Kuba wskazał palcem do tyłu. Sucha obróciła się. Na podłodze przy tylnym siedzeniu zauważyła wypchaną torbę.

– Serio? Tutaj go trzymasz?

– Przełożę do bagażnika, kiedy się zatrzymamy.

– Świetnie.

– A co? Masz lepszy pomysł?

– Znam kilka miejsc, gdzie można by go schować.

Mortka nie był zaskoczony. Sucha miała dziwne hobby. W wolnych chwilach przygotowywała się do kolejnej wojny. Z Rosjanami, Niemcami albo Amerykanami. Planowała trasy ucieczki ze stolicy. Szukała i przygotowywała miejsca, gdzie ukrywała żelazne zapasy żywności i rzeczy niezbędne w trudnych czasach. I jak się okazało, posiadała też całkiem niezły arsenał.

– Twój Łazarowicz – zmienił temat. – Na czym tutaj stoimy?

– Porozmawiałam z Markiem. Trochę go nastraszyłam, co jednak nie przyniosło żadnych efektów. Przynajmniej póki co. Ale jest jedna rzecz, o której chciałam porozmawiać.

– Tak?

– Widziałam, jak do biura Łazarowicza wchodził Borzestowski. Spędził tam około pół godziny. Ciekawe, co ich łączy, prawda?

Mortka potwierdził. Łazarowicz, Borzestowski, śmierć Wilczura, Kochan – czy to wszystko łączyło się ze sobą? Rozważał przez chwilę tę możliwość i wszystkie jej implikacje. Fakty były takie, że gangster zyskał na zniknięciu konkurencji, a Mieszko został aresztowany, kiedy pomagał czyścić brudy Łazarowicza.

– Będziemy musieli się z nim spotkać – powiedziała Sucha. – Z Borzestowskim. Porozmawiać z nim. A dzięki temu garniturowi wreszcie mamy o czym.

Mortka wiedział, że policjantka ma rację. Poczł ukłucie strachu. Bolesne i cholernie realne. Krążyli teraz po pajęczynie niejasnych zależności, sekretów, wśród cieni rzucanych przez wydarzenia z przeszłości. I była też jedna tajemnica, która łączyła komisarza z gangsterem. Jedno minimalne skinienie. Jedna martwa kobieta. A teraz najwyraźniej nadszedł czas, kiedy takie sekrety wreszcie wychodzą na jaw.

Iwona Napieraj w drodze do pracy myślała o wczorajszym wieczorze.

Wróciła do domu zmęczona fizycznie i psychicznie. Przemek zajął się Lusią – nakarmił ją, wykąpał i położył spać. Podał Iwonie kieliszek wina. Wtedy zaczęła coś podejrzewać. Pewności nabrała, kiedy porządnie się wykąpał. Zwykle brał tylko szybki prysznic. Ale nie wczoraj. A w nocy, kiedy położyli się do łóżka, poczuła, jak jego dłoń wsuwa się pod jej piżamę, jak Przemek wbija swoje krocze w jej pośladki i całuje kark. Poprosiła, żeby przestał. Powiedziała, że nie ma ochoty, jest zmęczona i poza tym boli ją głowa, więc pewnie będzie zmiana pogody. Spojrzał na nią ciężko, z wyrzutem. Była pewna, że zaraz rozpocznie się kolejna kłótnia, jednak on tylko wydał z siebie trudne do interpretacji chrząknięcie i odwrócił się na drugi bok.

Wtedy po raz pierwszy pomyślała, że on też może mieć kogoś innego. Zrobiło się jej niedobrze. Poszła do toalety. Myślała, że będzie wymiotować, ale tylko z otwartymi ustami klęczała nad sedesem.

Zastanawiała się, czy to nie już. Czy to właśnie nie jest ten moment, kiedy ich małżeństwo się skończyło.

Do łóżka wróciła naga. Kochali się. Było spokojnie i nudnie. Podobało się jej. Chociaż przez cały czas się bała, że Przemek poczuje na niej zapach innego mężczyzny.

Rano czekała kawa i śniadanie. Mąż pocałował ją na pożegnanie, czego nie robił od miesięcy, i wyszedł do pracy. Odprowadziła córkę do przedszkola. Wsiadła w metro i pojechała do biura. Już w wagonie, stojąc w tłumie kobiet i mężczyzn z teczkami, postanowiła, że wkrótce się zwolni i poszuka zatrudnienia gdzie indziej.

W pracy od razu czekał na nią stos papierów. Po raz ostatni przejrzała wstępny raport na temat obowiązujących obecnie regulacji na rynku gospodarki odpadami, a także planowanych zmian i ich potencjalnych skutków. Spięła wszystko, włożyła do teczki i zaniosiła Łazarowiczowi. Po drodze zauważyła, że biurko Marka jest puste. Nie tylko brakowało chłopaka, ale także uprzątnięto jego miejsce pracy. Zniknął nawet komputer.

Michał był u siebie. Przywitała się z nim i przekazała mu raport. Przejrzał go pobieżnie, ale raczej dla efektu. Nie przeczytał ani jednego zdania, po prostu przewracał kartki.

– Coś wyjaśnić? – zapytała.

– Nie trzeba.

– Jest tutaj ciekawa kwestia...

– Naprawdę nie trzeba – przerwał.

Położył raport z boku biurka. Wśród innych rzeczy, do których nigdy nie zajrzy.

– Gdzie Marek? – odważyła się zapytać.

– Zwolnił się – odpowiedział.

– Sam?

Wydawał się zirytowany tą dociekliwością. Zbeształa się w myślach. To nie był jej interes. Nawet jeśli chłopak wyleciał z powodu tego, co powiedziała wczoraj Michałowi, to jego wina, a nie jej. Nie powinna mieć żadnych wyrzutów sumienia.

– Sam – potwierdził lobbysta. – Dzisiaj dostałem mejla. Z powodu spraw rodzinnych wyjechał z Warszawy. Nie wnikałem. Zresztą nie byłem z niego specjalnie zadowolony.

– Rozumiem. Przepraszam. Niepotrzebnie pytałam.

Chciała wyjść, kiedy zatrzymał ją gestem.

– Tak?

– Jeszcze jedna sprawa, Iwona – powiedział, wychodząc zza biurka. Jego twarz przybrała dziwny, niepokojący wyraz. – Do Sheratona przestaniemy chodzić, kiedy ja o tym zdecyduję. Nie ty. Ja.

Pokręciła energicznie głową.

– Nie. Nie. Umawialiśmy się.

– Raczej to ty wykorzystałaś sytuację, żeby coś na mnie wymóc.

– Obiecałeś.

– Zmieniłem zdanie.

– Nie możesz – powiedziała gorączkowo, z całych sił starając się nie krzyknąć. – Nie zgadzam się. To był koniec. Koniec. Nie będę tam z tobą więcej chodzić.

– Będziesz. Wtedy, kiedy ci każę.

– Nie. Nie. Nie.

– Tak. Tak. Tak – przedrzeźniał ją. – Inaczej stanie się kilka rzeczy, Iwonka. Najpierw ci wyleję, a potem pójdę do twojego męża i opowiem mu o wszystkich rzeczach, które razem robiliśmy. Jak myślisz, jak zareaguje?

– Nie uwierzy ci – odparła, chociaż sama wiedziała, że to kłamstwo.

– Naprawdę? Nawet gdy mu opowiem, jakiego kształtu są twoje gołe cycki. O twoich sutkach? Gdzie masz znamiona i ile? Jak wygląda twoja cipka? I dla kogo ją tak pięknie goliłeś?

Zabrakło jej tchu, pokój zawirował. Słowa Łazarowicza były jadem, trucizną, a on sam, dlaczego tego wcześniej nie widziała, był jak powracający koszmar, przewlekła choroba, trąd, rak. Niszczył ją. Komórka po komórce. Chwila po chwili. I nie zamierzał wypuścić.

– Idź już sobie, Iwona – powiedział lobbysta pogodnie. – Pewnie masz dużo pracy, prawda?

– Tak – potwierdziła, chociaż miała wrażenie, że to jedno słowo powiedział za nią ktoś inny.

Michał pogłaskał ją po policzku. Potem chwycił delikatnie za ramię

i wyprowadził z gabinetu. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, natychmiast pobiegła do ubikacji. I tym razem już naprawdę wymiotowała.

Borzestowski przeszedł po pasach na ulicy Emilii Plater. Za plecami miał rozlazły budynek Pałacu Kultury i Nauki. Wbił tę swoją smukłą iglicę bezczelnie w niebo, ale patrząc na nią, łatwo było zapomnieć, że jego podstawa zawłaszczyła cały kwartał w centrum miasta. Przed sobą gangster widział Złote Tarasy. Inny budynek, który rozlewał się po powierzchni Warszawy, żeby wysysać z jej mieszkańców strumienie gotówki. Pod Pałacem miejscowi lumpkowie i kilku zawianych mężczyzn w różnym wieku krążyli pomiędzy sklepem z alkoholem a budką z kebabem. No i oczywiście obowiązkowe wycieczki. Wśród nich jak zawsze grupka fotografujących się japońskich turystów. Za to przed wejściem do Złotych Tarasów sterczały watahy młodych uczniów okolicznych szkół. Wszyscy modnie ubrani, z portfelami wypchanymi pieniędzmi rodziców, z zatrwającą szybkością wystukiwali esemesy. Pomędzy nimi slalomy robili mężczyźni w garniturach i kobiety w garsonkach, którzy z pobliskich biurowców wyskoczyli albo na szybki lunch, albo na równie szybkie zakupy. A tuż obok Dworzec Centralny, nieślubne dziecko Złotych Tarasów i Pałacu.

Borzestowski, żeby wejść do środka centrum handlowego, musiał pokonać irytująco wolno poruszające się drzwi obrotowe. Utknął w przestrzeni pomiędzy dwoma skrzydłami razem z trójką nastolatków. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Wyglądali, jakby urwali się z lekcji. Podśledzał, że wybierają się do kina.

Czuł na przemian niepokój i wściekłość. Mieszko nie pozbył się jego garnituru. Borzestowski miał go na sobie, gdy zabił tamtego cholernego gnoja, który postanowił pogrywać sobie z kolumbijskimi kartelami. Nie miał wtedy wyjścia. Zrobił to, żeby ocalić własne życie. Niepotrzebnie wtedy zaufał Mieszkowi. Powinien sam wszystkiego dopilnować. Błąd, który drogo go kosztował i za który jeszcze sporo zapłaci. Bo Łazarowicz przecież nie odda mu tego garnituru. To byłaby głupota. Użyje go jako karty przetargowej i będzie rozgrywał tak długo, jak to tylko będzie możliwe. A Borzestowski będzie musiał zgadzać się na wszystko z głupawym uśmiechem i czekać na swoją szansę, by się odegrać.

W końcu drzwi wypłuły ich na spory dziedziniec pod szklanym dachem, gdzie zaatakowały go lecące z głośników dźwięki *Last Christmas* grupy Wham! Zdążył przejść zaledwie kilka kroków, kiedy stanął oko w oko z lufą wycelowanego w siebie pistoletu.

Mężczyznę zaskoczył rozwój wypadków. Wczoraj jedno zlecenie, dzisiaj kolejne – w miejscu publicznym. W związku z tym zażyczył sobie premii. Klient się zgodził, chociaż tak naprawdę ryzyko nie wzrosło aż tak bardzo. Wszystko dokładnie skalkulował, jak zawsze. Wymagał od siebie szczególnej staranności, bo nie odczuwał strachu. Przynajmniej nie aż tak silnego jak inni ludzie. To głównie

z tego powodu wyleciał z jednostki. Koledzy, którzy zresztą niespecjalnie za nim przepadali, nie chcieli z nim chodzić na misje. Twierdzili, że trudno przewidzieć, co zrobi, jak zareaguje, co wymyśli. Nie rozumiał ich. Zawsze trzymał się procedur, tego, co robili na treningach i co ustalili na odprawach. To, że plany nie wytrzymały zderzenia z rzeczywistością i musiał improwizować, nie było jego winą, ale dowództwa. To ono popełniało błędy. Kiedy go usuwano, pomyślał, że wreszcie wie, czym jest żal.

Że to kolor brązowy.

Brak strachu był równocześnie jego zaletą i wadą. Zaletą, bo podejmował się działań, których inni unikali. Wadą, bo został pozbawiony podstawowych mechanizmów chroniących przed niebezpieczeństwem. Żeby zniwelować złe strony tego stanu, rozwinął umiejętność analizy ryzyka. Każdemu czynnikowi nadawał odpowiednią wartość liczbową, a później je sumował i porównywał ze stworzoną przez siebie wewnętrzną skalą. W tym wypadku uznał, że ryzyko jest dopuszczalne. Centrum handlowe to miejsce publiczne i wielu świadków, co paradoksalnie mogło mu sprzyjać. Wielu świadków to wiele zeznań. Większość z nich będzie niedokładnych, sporo sprzecznych. Wprowadzą tylko chaos. Monitoring w obiekcie byłby problemem latem, ale nie zimą. O tej porze roku nikogo nie dziwił widok mężczyzny w długim płaszczu, opatulonego szalikiem, z czapką z daszkiem na głowie. Żeby jeszcze bardziej zmylić oko kamery, włożył męskie buty na obcasie, które dodawały mu kilka centymetrów. Pod swetrem umocował zawiniątko ze szmat imitujące niewielki brzuszek. Kwestia tłumy. Jeśli uda mu się przeprowadzić plan perfekcyjnie, inni ludzie tylko ułatwią mu ucieczkę. Złote Tarasy znajdowały się w centrum miasta. I znowu z jednej strony oznaczało to ewentualne komplikacje związane z dużą liczbą patroli policji w tamtej okolicy, ale z drugiej wystarczyło wsiąść do dowolnego autobusu, tramwaju, pociągu, wagonu metra, żeby w dwadzieścia minut znaleźć się kilka kilometrów od miejsca zdarzenia.

Zdecydował się na uderzenie z bliska. Identyfikacja celu. Zbliżenie się na minimalną odległość. Tak blisko, by dojrzeć kolor jego oczu. Poczucie oddechu. Minąć go o krok. I wtedy nacisnąć spust. Dwa strzały. Jeden, żeby zabić. Drugi dla pewności. Z broni trzymanej w kieszeni płaszcza. Potem ewakuacja. Wybierając broń, wahał się pomiędzy waltherem P22 a czeską cz 75 Compact. Za waltherem przemawiał jego rozmiar – niewielki, lekki, bardzo wygodny i łatwy do ukrycia. Tylko jego kaliber to zaledwie 5,6 mm. I amunicja – .22LR, świetnie sprawdzała się podczas treningu, strzelania sportowego i zabawy, ale zabić kogoś czymś takim było cholernie trudno. Cezetkę, chociaż cięższą i większą, uznał za pewniejsze rozwiązanie.

Nie wziął tłumika. Wydłużyłby lufę nawet dwukrotnie, uniemożliwiając de facto ukrycie broni. Poza tym strzały wcale nie byłyby aż tak cichsze, a on nie bał

się specjalnie hałasu. Jeden huk. Drugi. Pójdzie dalej. Zanim ktokolwiek się zorientuje, co się stało, pokona już z jakieś pięć, dziesięć metrów szybkim krokiem. Potrzebuje trzydziestu sekund, by opuścić Złote Tarasy. Dwóch minut, by dojść na przystanek. Dziesięciu, by zniknąć z centrum.

Teraz stał na dziedzińcu centrum handlowego. Obserwował wchodzących, próbując wychwycić twarz, którą znał ze zdjęć. Jednak fotografia była wykonana dość dawno temu. Do tego niewyraźna. Pozostawiała wiele do życzenia. Obiecano mu jednak, że cel zostanie wystawiony. Będzie rozmawiał przez telefon. W pewnym momencie podniesie w górę jedną rękę i zamacha. Mężczyzna stał. Mężczyzna czekał.

Borzestowski patrzył w wycelowaną w siebie lufę pistoletu. Młody chłopak, może dziesięcioletni, nacisnął spust. Z lufy wydobył się ostry, denerwujący dźwięk. Chłopak roześmiał się i odbiegł w bok. Przypominał gangsterowi jego bratanka. Miał ten sam kolor włosów, oczu, kształt nosa. Przez krótką, ale przerażającą chwilę Borzestowski pomyślał, że chłopak rzeczywiście przed nim stoi. Że wcale nie spłonął w zamkniętym domu blisko rok temu. Dopiero potem dostrzegł większe czoło, inny owal twarzy. Kochał tego dzieciaka. Drugiego bratanka zresztą też. Zrobiłby dla nich wszystko.

To niespodziewane uderzenie przeszłości wytrąciło go z równowagi. Na domiar złego znowu rozboleły go plecy. Od rana łyknął tyle środków przeciwbólowych, że nie powinien już nic czuć, ale ból, wredny gnojek, jakoś znalazł sposób, żeby zaatakować jego nerwy. Mężczyzna najchętniej znalazłby jakąś ławkę i posiedział przez kilka minut w zupełnej ciszy.

Nie do końca świadomie wyjął z kieszeni dzwoniący telefon. Odebrał.

– Ja już jestem – usłyszał głos Łazarowicza. – A ty?

– Jestem.

– W Złoty Tarasach?

– Oczywiście, kurwa, że w Złoty Tarasach.

– Na dziedzińcu?

– Tak.

– Nie widzę cię.

Borzestowski rozejrzał się dookoła. Widział kiosk z gazetami, dwie chichoczące dziewczęta, ochroniarza, który przechadzał się obok witryny sklepu z zegarkami, kolesia w garniturze, faceta w długim płaszczu, kogoś, kto rozmawiał przez telefon, kobietę zmierzającą szybkim krokiem w stronę ruchomych schodów. Ale nie Łazarowicza.

– Ja ciebie też nie.

– Nie? Jestem tutaj.

– Nie widzę cię.

– Gdzie dokładnie jesteś?

– Koło kiosku?

– Kiosku? Możesz podnieść rękę, żebym mógł cię łatwiej wyhaczyć?

Gangster zaczął podnosić ramię i zamarł w połowie ruchu. Co zdecydowało? Lufa zabawkowego pistoletu, którą wymierzył w niego ten dzieciak? Ból pleców? Nie wiedział. To był tylko przebłysk. Nagłe uderzenie adrenaliny. Najpierw pomyślał, że lobbysta by się nie odważył. Nie w takim miejscu, gdzie jest tyle kamer, ludzi, świadków. Ale potem przypomniał sobie, że skurwiel żył z tego, by ludziom uchodziły na sucho takie numery. Borzestowski opuścił ramię i wtedy go zauważył. Mężczyzna w długim płaszczu. Szalik zasłaniający część twarzy. Czapka. Dłoń schowana w kieszeni. Znaczące wybrzuszenie, przypominające lufę. Zbliżał się, ale w jego ruchach było widać pewne wahanie, jakby nie był pewien, czy właściwie zidentyfikował cel. To jednak mało z każdym jego krokiem.

Rozpoznał go.

Gangster chwycił przechodzącą obok kobietę i przyciągnął do siebie. Ona krzyknęła zaskoczona, on jęknął, kiedy cholerne plecy znowu dały o sobie znać. Z całych sił pchnął ją w stronę zbliżającego się do niego napastnika.

Nie czekał na efekt swoich działań. Biegł już w stronę drzwi obrotowych. Usłyszał tylko, jak kobieta wpadła na mężczyznę. Potem huk. Czy to był wystrzał? Dźwięk, jaki wydaje upadające na podłogę ciało?

Dopiero w drzwiach, po raz drugi uwięziony między szklanymi taflami, odważył się zerknąć w tył. Mężczyzna w płaszczu stał bez ruchu. Jedna ręka opuszczona wzdłuż ciała. Druga ciągle w kieszeni. Pod jego stopami leżała wyraźnie przestraszona i oszołomiona kobieta. Powoli podnosiła się z ziemi. Chyba nie była ranna. W stronę tej dwójki biegł właśnie ochroniarz, który prawdopodobnie wziął mężczyznę za sprawcę całego zamieszania.

Szczęśliwy traf.

Borzestowski wydostał się na placyk przed wejściem do centrum handlowego. Chciał iść na najbliższy postój taksówek, ale wtedy na rogu, niedaleko wejścia do Hard Rock Cafe dostrzegł łysego mężczyznę. Rozpoznał go natychmiast – Andrzejewski. Gangster zaklął cicho pod nosem. Obecność podinspektora nie mogła być przypadkowa. Skumał się z Łazarowiczem? To akurat było więcej niż możliwe. Wróg mojego wroga i tak dalej. Powinien to przewidzieć. Tylko co teraz? Andrzejewski stał w takim miejscu, że gangster musiałby koło niego przejść. Co wtedy zrobi policjant? Jak zareaguje? Zaatakuje? Czy po prostu pozwoli mu odejść? Jakże jeszcze niespodzianki przygotowali dla niego z Łazarowiczem?

Gangster postawił kołnierz płaszcza. Zszedł po schodach do wejścia do podziemi Dworca Centralnego, otworzył drzwi i wślizgnął się do środka, mając nadzieję, że Andrzejewski go jeszcze nie zauważył, i zaraz zaklął po raz kolejny. Stał przed metalowym płotem broniącym dostępu do dalszej części korytarza.

Natychmiast przypomniał sobie o rozpoczętym kilka miesięcy temu remoncie dworca przed Euro 2012. Część podziemi została zamknięta. Pech sprawił, że była to akurat ta część, z której chciał skorzystać.

Za chwilę tajemniczy mężczyzna w płaszczu pewnie wyjaśni nieporozumienie z ochroniarzem i pójdzie go szukać. Jeśli teraz Borzestowski wyjdzie, zaryzykuje, że po raz kolejny stanie z nim oko w oko, a drugą drogę ucieczki zastawiał Andrzejewski. Znalazł się w pułapce.

Podszedł do płotu. Szarpnął blachą. I kolejny raz. Zachwiała się. Wziął lekki rozbieg i uderzył w nią całym swoim ciężarem. Jedna z części płotu przechyliła się, a potem upadła na podłogę z niewiarygodnym hukiem. Borzestowski przeskoczył nad nią. Trzy metry od niego dwóch robotników właśnie wymieniało podsufitowe płyty. Przerwali pracę na moment i patrzyli na gangstera.

– Tutaj nie wolno! – powiedział jeden.

– Ja mogę! – warknął Borzestowski i ruszył szybkim krokiem przed siebie. Spróbował pobiec, ale dał radę tylko kilka kroków. Kręgosłup nie pozwalał mu na więcej.

Mijał kolejnych zaskoczonych jego obecnością pracowników, jednak żaden się do niego nie odzywał. Rozglądał się za wyjściem z zamkniętej części dworca. Wokół niego krążyły chmury białego pyłu. Dawne sklepy i bary straszyły wybebeszonymi wnętrzami, a dźwięki narzędzi prawie uniemożliwiały myślenie. Kolejny płot blokował dojście na perony. Mężczyzna ruszył korytarzem, gdzie jeszcze niedawno znajdowały się schowki na bagaż.

Po kilkunastu metrach zerknął za siebie. Przy zwalonym płocie dostrzegł kogoś, kto na pewno nie był robotnikiem. Niebieskie jeansy, skórzana kurtka. Rozglądał się dookoła. Borzestowski przyśpieszył. Doszedł do miejsca, gdzie znajdowało się kolejne wejście na perony, też zastawione stalowym płotem. Po drugiej stronie słyszał podróżnych i dworcowe megafony. Pomiedzy ścianą a ogrodzeniem widniała niewielka przestrzeń. Gangster chwycił za płot i pociągnął najmocniej jak potrafił, żeby ją powiększyć. Potem wsadził w nią nogę i ramię. I utknął.

– Borzestowski! – krzyk przedarł się przez hałas, który robili robotnicy.

Gangster odwrócił się. Dziesięć metrów od niego stał Gruda. Dobra wiadomość była taka, że jeszcze nie miał pistoletu w dłoni. Zła – że nie musiał się śpieszyć. Miał Borzestowskiego na widelcu.

Ale nic nie robił. Stał bez ruchu, jakby wszedł w szybko zasychający beton.

Gangster wciągnął brzuch. Raz jeszcze odgiął płot i szarpnął mocno całym ciałem. Poczul, że kant ogrodzenia rozdziera mu koszulę i obciera skórę. Szarpnął ponownie i nagle wyleciał po drugiej stronie. Upadł na podłogę, a płot wrócił do poprzedniej pozycji.

– Pomóc panu? – zapytała jakaś dziewczyna z plecakiem i nie czekając na

odpowiedź, chwyciła go pod ramię i pomogła się podnieść.

Odepchnął ją, a potem zaczął biec. Ignorując ból. I czekając na wystrzał, który powali go na ziemię.

Ale ten nie padł.

– Jak mogłeś pozwolić mu uciec?! – krzyknął Andrzejewski i uderzył pięścią o dach samochodu.

– A co miałem zrobić? – zapytał Gruda.

– Masz broń, nie?

Komisarz roześmiał się gorzko.

– Ciebie już zupełnie pojebało, co? Wiesz, ile osób tam było? W życiu bym się nie wytłumaczył z tego, że strzeliłem w plecy uciekającemu facetowi.

– A jak wytłumaczysz się z Wilka?

– Jakoś – odpowiedział Gruda. – Co on w ogóle na nas ma? Co?

– To on nam powiedział, gdzie będą. Nagrał czas. Nagrał miejsce. Załatwił klucze do tylnego wejścia. Pamiętasz?

– I co z tego? Jego słowo przeciw naszemu.

Wściekły Andrzejewski zadygotał i zaraz zacisnął zęby z całych sił, żeby nie krzyknąć. Zazgrzytał zębami, jakby chciał je zmielić na proszek. Gruda, tknięty przecuciem, chwycił go za ramię.

– Chyba że jest coś więcej, co?

Nie odpowiedział.

– Kurwa... – Komisarz sapnął. – Nie mów mi, że jest coś więcej. Nie mów mi, że wziąłeś od niego za to kasę.

– Nie ma nic więcej! – wrzasnął podinspektor. – I nie wziąłem od niego żadnej kasy. Nigdy, ale to nigdy nie wziąłbym od skurwiela nawet złotówki na wózek w Tesco! Rozumiesz, Gruda?! Rozumiesz?!

– Rozumiem.

– To przestań mnie wkurwiać głupimi pytaniami.

Gruda puścił przełożonego.

– Jeśli nie ma nic więcej, to trzeba to zostawić – stwierdził po chwili.

– Jeśli on zacznie gadać...

– Słowo przeciwko słowu – powtórzył policjant. – Nie pierwszy raz, kiedy jakiś gangster pod celą oskarża policjantów. Zdarza się.

– To nie tylko słowo przeciw słowu. Są ciała. Jeśli zabierze się za to jakiś ambitny prokurator...

– To zawieszeni spędzimy czas do emerytury – dokończył Gruda. – Mogło być gorzej.

– No tak. Tobie to łatwo mówić – mruknął Andrzejewski.

– Co to miało znaczyć?

– To, że rodzinę sobie rozjebałeś, a w robocie ciągle jesteś komisarzem.

Chociaż z twoim stażem i doświadczeniem... – Podinspektor machnął ręką. – Nie masz niczego do stracenia, co?

– Może i tak – zgodził się nieoczekiwanie Gruda. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów. Zapalił jednego, a potem podsunął fajki przełożonemu, ale ten pokręcił przecząco głową.

– Jest coś jeszcze – odezwał się po dwóch minutach Andrzejewski.

– Wiem.

– Skąd?

– Bo za bardzo ci zależy.

– Ale nie wziąłem od niego kasy.

– Wierzę ci.

– Chcesz wiedzieć, co to jest?

– Po tylu latach? Nie, niespecjalnie.

Gruda zaciągnął się po raz ostatni papierosem i zaczął rozglądać się za samochodową popielniczką. Andrzejewski pokazał mu, gdzie ją znaleźć. Policjant wrzucił tam niedopałek.

– Jak źle jest? – zapytał komisarz.

– Nie wiem. Nie wiem, co on tak naprawdę ma. Mogę tylko podejrzewać.

– Rozumiem.

– Podejrzewam, że to też Borzestowski zabił kobietę Wilka i jego córkę.

Gruda zmarszczył brwi. Szybko zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Dlaczego?

– To mógł być wypadek, chociaż być może miały coś, na czym mu zależało.

– To skąd wziął się tam pistolet Kochana?

– Nie wiem. Nie wiem wszystkiego. Jednak Darek zniknął.

– Borzestowski też go załatwił?

– Możliwe.

– Dużo tych przypuszczeń – stwierdził Gruda.

– Dlatego trzeba to zamknąć. Im szybciej, tym lepiej.

Komisarz kiwnął głową.

– To co teraz?

– Teraz? – Andrzejewski postukał palcami o kierownicę, a potem nieoczekiwanie uderzył w nią wściekle zaciśniętą pięścią. – Jeszcze jestem szefem wydziału. Pierdolniemy w niego wszystkim, co mamy.

– Chyba sobie żartujesz, Kuba, co? – powiedział Kochan, spoglądając na Suchą. – Najpierw sprowadzasz tego byczka, a teraz ją. Kto będzie następny? Pamiętaj, kolego, że ja się tutaj ukrywam?

– Ona wie, że ci pomagam.

– Świetnie. Ktoś jeszcze?

Znajdowali się w pokoju w studenckim mieszkaniu. W trójkę ledwo się

w nim mieścili. Do tego mówili szeptem, żeby ich rozmowa nie dotarła do pozostałych lokatorów, chociaż oni w ciągu ostatnich dni przeżyli już tyle, że pewnie nic by ich nie zdziwiło. Mimo to Mortka stwierdził, że Kochan na wszelki wypadek nie powinien tutaj dłużej przebywać. Kazał mu się spakować. Postanowili umieścić go u Suchej. Mieszkanie i tak stało teraz puste. Nikt nie powinien go tam szukać.

– Też mi się niespecjalnie podoba, że jestem w to zamieszana – stwierdziła Sucha. – Wiem, co zrobiłeś swojej żonie. Gdyby to ode mnie zależało, urwałabym ci jaja. Tak po prostu.

– Chryste – jęknął Kochan. – Ale sobie znalazłeś pomocnicę. Słuchaj, koleżanko...

– Nie jestem twoją koleżanką.

– Gówno wiesz o mojej żonie i gówno wiesz o tym, co ja robię dla swojej rodziny.

– No tak, lanie żony to wyjątkowe poświęcenie. Ciężko się niesie przez życie taki krzyż, co?

– Żebyś wiedziała.

– Skończcie już – przerwał im Mortka. – Zabierz swoje rzeczy, Kochan, i zbieramy się.

Podkomisarz wziął swoją torbę i wrzucił tam nieliczne ciuchy, które zabrał ze sobą. Wyszli z mieszkania, nie żegnając się z nikim. Nawet nie byli pewni, czy studenci zauważyli ich zniknięcie.

Pojechali do Suchej. Mortka jako pierwszy poszedł do mieszkania. Sprawdził, czy jest bezpieczne. Dopiero potem wprowadzili tam Kochana. Nie zaciągnęli zasłon, bo uznali, że będzie to wyglądać podejrzanie. Podkomisarz miał po prostu trzymać się z daleka od okien.

– Rozłożyłam ci karimatę i śpiwór w pokoju do ćwiczeń – powiedziała Sucha. – W lodówce jest sporo żarcia. Nie mam telewizora, ale możesz słuchać radia. Nie włączaj komputera. A jeśli zaczniesz grzebać w moich rzeczach, to połamię ci ręce.

– A wysrać się mogę? – zapytał, przedrzeźniając ją, Kochan.

– Tylko jeśli umiesz trafić do muszli.

– A może jednak weźmiemy się do roboty? – zapytał Mortka.

Niechętnie się z nim zgodzili. Przez kolejne dwie godziny omawiali przebieg ostatnich dni. Układali je chronologicznie i dzielili na wątki, znajdowali połączenia, zaprowadzali porządek. Kiedy skończyli, Mortka wreszcie miał wrażenie, że ogarnia to, co się wydarzyło. Nie żeby to rozumiał. Wciąż nie rozwiązali żadnej z zagadek, ale wreszcie mniej więcej wiedział, czego powinien szukać. I wszystko się ze wszystkim łączyło. Borzestowski najwięcej zyskał na śmierci Trójki z Neptuna. Pytanie, kim byli jego wspólnicy i czy dalej służyli?

A jeśli tak, to jaki był ich związek z gangsterem? Mortka przypomniał sobie sprawę podpalacza na Ursynowie i tajemnicze pojawienie się Borzestowskiego pod jego mieszkaniem. Do tej pory Kuba nie miał pojęcia, skąd tamten znał jego adres. Teraz już się domyślał. Ktoś z komendy po prostu mu go podał. Być może ta sama osoba, która pociągnęła za spust, zabijając Wilka.

Borzestowski spotykał się z Łazarowiczem. Być może prowadzili wspólne interesy. Być może łączyło ich coś znacznie więcej. Ale dlaczego zginęła Evelina i jej matka? Kto i dlaczego próbował w to wrobić Kochana? Dlaczego Borzestowski ostrzegł policjanta? Co się stało z Mieszkiem? Kto porwał Beatę? Pytań robiło się coraz więcej. Spędzili kolejne godziny na stawianiu hipotez. Wybierali te najbardziej prawdopodobne, a potem je odrzucali, żeby wybrać kolejne. Zastanawiali się nad ich weryfikacją, kolejnymi krokami, które powinni podjąć, ale zawsze kończyło się tak samo – nawet pracując w trójkę, niewiele mogli. Ciągle zbyt dużo niewiadomych. Ciągle zbyt wielkie ryzyko.

Na zewnątrz zrobiło się już ciemno. Zegar wskazywał szóstą. Zapomnieli o jedzeniu, więc ssało ich z głodu. Sucha zamówiła dwie pizze. Czekali na dostawcę, a Mortka przez ten czas błądził wzrokiem po notatkach.

– Dlaczego tak się uwzięłaś na tego Łazarowicza? – odezwał się Kochan.

Każde z nich zajęło inny kąt pokoju. Sucha machnęła ręką, dając znać, że nie ma ochoty rozmawiać na ten temat, a Kuba wbił w nią wzrok. Właściwie nigdy nie zadał sobie tego pytania. Policjantka założyła ręce na kark i poruszyła nim kilka razy w przód i w tył, jakby rozpoczynała rozgrzewkę.

– Myślicie, że ten chłopak był jedyny? – powiedziała po chwili. – Że tylko jego zgwałcili? Że nie robili tego wcześniej? Z innymi chłopcami, dziewczynami, może nawet dziećmi? Ile to trwało? Miesiące? Lata? A oni czuli się zupełnie bezkarni. Pewnie coraz bardziej. Bo są sławni i bogaci. Chcę, żeby to się skończyło.

Mortka czuł, że to nie wszystko, że policjantka jeszcze coś ukrywa. Nie wiedział jednak, czy powinien naciskać. Jeśli Sucha chciała coś zostawić dla siebie, być może należało uszanować jej wolę i pozwolić na to. Kochan nie miał takich dylematów.

– Wiesz, pewnie wielu by się wkurwiło, oglądając ten film – stwierdził podkomisarz. – Ale mało kto by go ukrywał, żeby wszystko załatwić na własną rękę.

– No i?

– No i to dziwne.

– I kto to mówi?

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie będę wysłuchiwać wyrzutów na temat tego, że chcę dorwać bandę gwałcicieli, od faceta, który leje żonę.

Kochan spłoszył. Powoli wyciągnął rękę w stronę Suchej i pokazał jej środkowy palec.

– Wsadź sobie ten palec w dupę – powiedziała.

– W twoją? Trochę zbyt koścista, ale jeśli cię to kręci, mała...

Nie zdążył dokończyć. Aspirantka poderwała się z ziemi, doskoczyła do niego i kopnęła go w głowę. Policjantowi udało się częściowo zasłonić, ale i tak siła ciosu go powaliła. Mortka zasłonił podkomisarza, zanim Sucha zdołała go uderzyć po raz kolejny.

– I co teraz?! – krzyknęła. – Jak ci się to podoba, gnojku? Fajnie jest spotkać wreszcie babkę, która potrafi ci przypierdolić?!

– Przestań, Sucha – powiedział Mortka, próbując ją uspokoić.

– Ona nie jest normalna, Kuba – odezwał się Kochan. – Nie jest normalna.

– Zamknij się, Darek. Sucha, odsuń się od niego.

Policjantka wahała się przez moment, ale wykonała polecenie.

– Jesteś cały? – zapytał Mortka.

– Jasne – odpowiedział podkomisarz, ale wstając, ocierał krew z rozbitej wargi. Sucha uśmiechnęła się z satysfakcją na ten widok.

– Niczego nie zrobimy, jeśli się tutaj pozabijacie – zauważył komisarz.

– My? – aspirantka prychnęła lekceważąco. – Prędzej ja jego.

– Zaraz zobaczymy – odpyskował Kochan.

– Zamknijcie się! – warknął Mortka i o dziwo, podziałało. Oboje zamilkli, ale ciągle patrzyli na siebie tak, jakby szykowali się do drugiej rundy.

– Dlaczego mu nie odpuściłaś? – zapytał komisarz.

– Jemu? Będzie spał w moim domu, to mógłby się zachowywać...

– Chodziło mi o Łazarowicza – przerwał. – Dlaczego po prostu nie zaniósłaś tego filmu do komendy?

– Nie chciałam, żeby się wywinął. Wolałam mieć pewne dowody.

– Już to słyszałem. A teraz powiedz mi więcej. Dlaczego nie odpuściłaś?

Sucha przestąpiła z nogi na nogę. Podniosła głowę i popatrzyła przez chwilę w sufit, równocześnie zagryzając nerwowo wargi.

– Dlaczego? – powtórzył Mortka.

– Dobra, dobra – wypluła z siebie Sucha. – Chcesz wiedzieć? Moją koleżankę kiedyś zgwałcono. Wiedziała, kto to zrobił, ale co z tego? Żadnemu nic się nie stało. Żaden za to nie odpowiedział.

Komisarz patrzył na nią wyczekująco. Teraz, kiedy już zaczął, nie zamierzał się zadowolić półprawdami. Chciał wiedzieć wszystko. Ona też zdawała sobie z tego sprawę. Wypuściła powietrze z płuc, oparła się o ścianę, a potem powoli osunęła się na podłogę.

– To była moja przyjaciółka – zaczęła. – Bardzo dobra. Najlepsza. Byłyśmy w jednej klasie. Na jednej imprezie. Blisko matury. Za dużo wypiliśmy. Wtedy...

W takim wieku robi się głupie rzeczy.

– Wiem.

Sucha uderzyła w podłogę pięścią. Potem ją podniosła do oczu. Obejrzała.

– Zaczęłyśmy się całować – ciągnęła opowieść. – Po prostu. Z ciekawości. Trochę dotykać. Nie jestem lesbijką, nigdy nie byłam, ale wtedy... Zresztą nieważne, prawda?

– Nieważne – potwierdził Mortka.

Szybko zerknął na Kochana. To był taki moment, w którym podkomisarz lubił rzucać niestosowne uwagi. Coś w stylu, że chciałby poznać więcej szczegółów albo zacząłby się dopytywać, gdzie się dokładnie dotykały. Tym razem jednak – jak nie on – milczał. Odwrócił nawet wzrok, jakby chciał się schować. Udawać, że go w ogóle nie ma w tym pokoju.

– Weszło do nas trzech kolesi. Spodobało im się to. Zaczęli nas zachęcać, żebyśmy zrobiły coś więcej. Powinnyśmy wtedy po prostu wyjść. Zostawić ich samych. Ale my byłyśmy głupie. Faktycznie zaczęłyśmy robić coś więcej. Jola wsadziła mi rękę pod bluzkę. I to tyle... – Jej dłonie to zaciskały się, to rozluźniały. – Chciałyśmy wtedy przestać. Ale oni nam nie pozwolili. Zamknęli drzwi. Jeden z nich stwierdził, że chce się przyłączyć. Potem drugi. Nie do końca pamiętam, jak to było. Coś się stało. Chyba któryś z nich mnie uderzył. W domu... To było w domu. Strasznie głośno grała muzyka. Nikt nie słyszał, jak krzyczałyśmy. A może nie zwrócił uwagi. Może wszystkim to zwisało. Zgwałcili ją wtedy. We trzech. Po kolei. Zdarli z niej bluzkę, spuścili spodnie. Jeden ją posuwał. Drugi macał po piersiach. Chyba nawet wpychał kutasa do gardła. Przybili sobie wtedy piątkę, jak na jakimś tanim pornosie.

Przestała opowiadać. Poprawiła włosy.

– A ty? – odważył się zapytać Mortka.

– Tylko dostałam kilka razy po twarzy – odparła Sucha. – Jeden mnie pilnował, żebym im nie przeszkadzała. Ale za bardzo się bałam, by cokolwiek zrobić. Siedziałam w kącie i tylko modliłam się, żeby nie zaczęli tego robić ze mną. I jakoś nie zaczęli. Nie wiem dlaczego. Nie potrafię tego sobie do dziś wyjaśnić.

Na zewnątrz rozległo się wściekłe ujadanie, które po chwili przeszło w piskliwy skowyt. Mortka podszedł do okna. W blokach naprzeciwko migwały dolepione do szyb świąteczne ozdoby. Wyrzwał na podwórze. W świetle latarni ulicznych dojrzał dwie starsze panie. Jedna z nich ciągnęła niewielkiego kundelka, druga walczyła z ogromnym puszystym wilczurem, który ciągle wściekłe szczekał. Patrząc na jego muskularną sylwetkę, aż trudno było uwierzyć, że staruszka jest w stanie go utrzymać. Krzyczała coś, najwyraźniej poganiając drugą kobietę, żeby wreszcie sobie poszła.

– Złożyłyście zawiadomienie? – zapytał Kochan.

Sucha najwyraźniej udawała, że go nie słyszy. Dopiero po blisko minucie

odezwała się.

– Jola mi zabroniła – wyszeptała. – Powiedziała, że skoro mi nic nie zrobili, to nie mam prawa komukolwiek o tym mówić. Potem... Widziałam, jak jeden z tych chłopaków przyniósł jej bukiet. Na przeprosiny. Wyobrażacie to sobie? Jakby nie zgwałcił jej z kolegami, ale potrącił kota czy zniszczył ulubioną sukienkę. Bukiet... Podobno rodzice mu kazali. Co oznaczało, że oni wiedzieli. Nie wiem skąd. Jola komuś o tym powiedziała, ale na pewno nie policji. Tym chłopakom... Nic im się nie stało. Nikt im nic nie zrobił. Przez cały ten czas. Do końca liceum chodzili zadowoleni z siebie i szczęśliwi, jakby wszystko mogli, jakby byli panami świata. Myślałam wtedy, że zrobiłabym wszystko, by ich ukarać. A jednak... Nie zrobiłam nic.

Skończyła mówić. Potem powoli wstała z podłogi, z widocznym wysiłkiem, jakby przez te kilka chwil postarzała się o kilkadziesiąt lat i zmieniła w jedną z tych dwóch staruszek na dworze.

– Jesteście zadowoleni? – zapytała.

Ani Kochan, ani Mortka nie odpowiedzieli na to pytanie. Sucha zerknęła na zegarek.

– Za kilka minut powinna być ta pizza – stwierdziła. – Przygotuję talerze i coś do picia.

Wyszła do kuchni. Kochan podniósł plik notatek. Zaczął je przeglądać, chociaż widać było, że robi to, by nie musieć się odzywać. Mortka wrócił do okna. Obie staruszki z psami zniknęły.

Zadzwoił jego telefon. Sprawdził, kto dzwoni. Olga, przeczytał na wyświetlaczu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie odrzucić połączenia. Czuł się wypruty, pod każdym względem. A jednak odebrał.

– Cześć, skarbie – rzucił.

– Jest u mnie twój kolega – usłyszał głos maklerki. Była zdenerwowana. – Przynajmniej mówi, że jest twoim kolegą. Nazywa się Borzestowski i twierdzi, że musi z tobą porozmawiać.

Wszyscy myśleli, że ksywa Zająca pochodzi od jego nazwiska – Zajączek. Ale to nieprawda. Na początku wszyscy wołali na niego Krzywy, a to dlatego, że miał krzywe nogi i kręgosłup. Za dzieciaka wyglądał, jakby był zbudowany z samych kości. Potem przyszły lata rehabilitacji i gimnastyki korekcyjnej. Później siłownia, odżywki i okazjonalne sterydy sprawiły, że zaokrąglił się, nabrał ciała i masy mięśniowej, choć ksywa Krzywy pozostała. Do czasu, kiedy okazało się, że Krzywy ma naturalny talent do spierdalania. Spierdalania przed policją, kibolami drużyn tradycyjnie wrogich Legii, konkurencją. Ktoś kiedyś zauważył, że „Krzywy spierdalał jak jakiś zając”, i się przyjęło.

Nie żeby Zając nie potrafił komuś przywalić. Bo potrafił. Ale akurat w tym momencie faktycznie spierdalał. Biegł praskimi ulicami, w płucach paliło go zimne powietrze, a stopy pośpiesznie uderzały w nierówne płyty chodnikowe. Sportowa torba obijała się o plecy. Równocześnie jego mózg analizował błyskawicznie sytuację.

Ścigało go dwóch facetów. Średni wiek. Jeden chudy, drugi z brzuszkiem. Czekali na niego przed wyjściem z siłowni. Ruszyli za nim, kiedy tylko się pojawił. Szli trochę szybciej, skracając dystans. Zachowywali się dość arogancko. Jakby sądzili, że nie jest na tyle bystry, żeby ich zauważyć. No i się zdziwili, kiedy za winklem poszedł w długą.

Nie znał tych gości. Nie wyglądali też na typów z miasta. Za starzy. Za kiepsko ubrani. Czyli psy? Zastanawiał się, czego od niego mogli chcieć. Nie miał żadnej sprawy, a ostatnie miesiące były dość spokojne. Biznes jak zawsze. Trochę prochów, trochę lichwy, na luzie i bez grubszych numerów. Jednemu koleśowi spuścili ciężki wpierdoł, ale po tygodniu przykuśtykał na kulach i oddał całą flotę, więc to chyba nie przez niego ta afera. Borzestowski ciągle wszystko kontrolował i trzymał rękę na pulsie, choć już bez takiej spiny, jak jeszcze rok czy dwa lata wcześniej. Ploty mówiły, że podobno będzie się zwijał. Znalazł inny pomysł na życie. Zając nie wiedział, ile w nich było prawdy. Nie wnikał. Wiedział, że lepiej nie pytać. Co ma być, to będzie. O wszystkim dowie się, jak się już wydarzy. Może więc chodziło o coś starszego?

Źle, że go przydybali po siłce. W torbie niósł anaboliki dla chłopaków. Towar prosto z Azji, ale w ślicznych opakowaniach z Niemiec. Żaden szajs z domowej drukareczki, ale solidna robota. Schodził jak złoto. Do tego Zając miał przy sobie sporo gotówki, amfę i trawę, bo wracając, chciał zahaczyć o akademiki na Kickiego. Wolał się nie tłumaczyć z tej apteki.

Zerknął za siebie. Ten szczuplejszy ciągle go gonił. Ambitny gnojek. Ale nawet z tej odległości było widać, że twarz ma czerwoną i dyszy jak lokomotywa. Długo nie pociągnie. Ten z brzuszkiem najwyraźniej odpadł wcześniej.

Zając skręcił między bloki i popędził przez podwórka. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Jeśli psy za nim goniły, to pewnie obstawili mu chatę i nie ma sensu tam wracać. Musiał przyczać się gdzie indziej.

Jakaś kobieta z dzieckiem właśnie wychodziła z bloku. Zając wykorzystał okazję – wskoczył do klatki, zamknął drzwi i przywarł do ściany. Oddychał spokojnie i wyglądał ostrożnie przez szybę na podwórko. Kilka sekund potem obok bloku przebiegł chudy policjant. Zając kucnął. Wyciągnął z torby komórkę i włączył stoper. Odczekał pełne pięć minut. Uznał, że po takim czasie policjanci dadzą za wygraną.

Otarł ręką czoło. Uspokoił oddech. Pożałował, że nie ma niczego, w co mógłby się przebrać.

Po wyznaczonym czasie, jakby nigdy nic wyszedł z klatki i udał się w stronę siłowni, dokładnie tą samą drogą, którą przed chwilą uciekał. Stwierdził, że co jak co, ale w tej okolicy nie będą go szukać.

Pomylił się.

Prawie wpadł na grubszego policjanta, kiedy skręcał za róg.

– Tutaj jest! – ryknął mężczyzna.

Zając znowu rzucił się do ucieczki, ale wtedy zobaczył, że z drugiej strony biegnie już do niego chudy. Przyśpieszył, mając nadzieję, że wyminie policjanta. Wykonał zmyłkę, jakby grał w nogę, ale zamiast po prawej spróbował z lewej – pomiędzy mężczyzną a ścianą budynku. I prawie mu się udało. Ale kiedy już widział przed sobą wolną drogę, poczuł, jak policjant łapie go za kurtkę i rzuca na glebę. Zając zatoczył się, potknął i uderzył o chodnik. Nie miał wolnych rąk, żeby zamortyzować upadek, więc rąbnął twarzą w ziemię, rozbijając nos.

– Ratunku! Ratunku! Biją! – zaczął krzyczeć.

– Zamknij ryj! Policja! Gleba i leżysz!

– Biją! Biją!

Policjant wygiął mu ramię na plecy i założył kajdanki. Dwóch młodych chłopaków, obaj krótko ostrzyżeni, w bluzach z kapturem i w dresowych spodniach, przyglądali się całej sytuacji. Po chwili jeden z nich wyciągnął komórkę i podbiegł do Zająca.

– Spierdalać! – rozkazał im ten grubszy.

– Ale co tu się dzieje!?! – zapytał chłopaczek zaczepnym, agresywnym tonem.

– Jak to co?! Napad, kurwa! Pomocy! Zabić mnie chcą! – krzyczał Zając.

– Zamknij ryj!

– Kim wy jesteście?! – dopytywał się chłopaczek, kręcąc telefonem całą scenę.

– Policja! I spieprzaj z tą komórką!

– Policja?! Policja?! To pokaż pan blachę! – włączył się drugi

z chłopaczków.

Zając podziękował im w duchu za tę awanturę. Co prawda drugi z policjantów ciągle trzymał go na ziemi, ale jeśli zbierze się więcej koleś, to może zrobi się na tyle duże zamieszanie, że da radę uciec. Policjantów było tylko dwóch, do tego nieumundurowanych. Wtedy jednak nadzieje Zająca rozwiął błysk światła na końcu ulicy. Zbliżały się błyskawicznie. Wkrótce tuż przy nim stanęła policyjna kłosa, z której wysiadło dwóch następnych policjantów. Wpakowali go raz-dwa do wozu, a potem odjechali na sygnale. Zając nawet nie próbował się szamotać. Wiedział, kiedy odpuścić. Siedział grzecznie na tylnym siedzeniu i słuchał. I im bardziej słuchał, tym robiło mu się słabiej. Bo z krótkiej rozmowy i urywanych kawałków z policyjnego radia dowiedział się, że nie był dzisiaj jedynym, którego ściągali z ulicy. Warszawska policja miała bardzo pracowity wieczór. Z jakiegoś powodu rzucili się na Borzestowskiego.

Mortka pokonywał kilka schodków naraz. Pokonywał kolejne piętra tak szybko, że Sucha ledwie za nim nadążała. Nacisnął klamkę od drzwi mieszkania Olgi, ale było zamknięte. Zaczął w nie uderzać pięścią, jakby chciał wybić w nich dziurę. Policjantka chwyciła go za ramię, chcąc go uspokoić, ale komisarz spojrział tylko na nią tak, że posłusznie cofnęła się o dwa kroki.

Usłyszeli dźwięk przekręcanych zamków. Drzwi otworzyły się i w progu stanął Borzestowski. Gangster wyszczerzył zęby, co miało przypominać uśmiech. Tylko że ten grymas przywołał na myśl raczej zapędzone w kąt dzikie zwierzę, które pokazuje kły i szykuje się do ostatniej walki. Zresztą nie chodziło tylko o twarz. Cały tak wyglądał. Równocześnie spięty i złamany.

– Pan komisarz – powiedział. – Nie trzeba było aż tak walić. Dzwonek jest przy drzwiach. Przecież pan wie.

Mortka wyminął go bez słowa, wchodząc do mieszkania. Przeszedł przez przedpokój do salonu, gdzie na kanapie siedziała Olga, obgryzając paznokcie. Na jego widok poderwała się z miejsca i rzuciła się mu na szyję.

– Co to za człowiek, Kuba? – wyszeptała. – Co to za człowiek?

Komisarz odsunął się od niej i sprawdził resztę mieszkania. Nikogo innego nie znalazł. Borzestowski przyglądał się temu ze źle udawanym rozbawieniem.

– Panie komisarzu, ale ta spina jest tutaj zupełnie niepotrzebna – stwierdził gangster. – Myśmy tutaj z panią Olgą miło i kulturalnie spędzili sobie czas.

– Nieprawda! – krzyknęła maklerka. – On nie chciał wyjść, a mu kazałam! Mnie też nie pozwolił!

– Zrobił ci krzywdę? Uderzył? – zapytał Mortka.

– Nie tknąłem nawet małym paluszkiem.

– Ciebie nie pytałem.

Olga pokręciła głową.

– Nie – wyszeptała, jakby zawstydzona. – Ale więził mnie tutaj. Bałam się.

– Wiem.

– Zupełnie niepotrzebnie – odezwał się Borzestowski. – Przecież tłumaczyłem pani, że jestem dobrym znajomym pana komisarza. I że wiele nas łączy.

– Zamknij się – powiedział Mortka.

Gangster oparł się o ścianę. Założył ręce i czekał spokojnie. Przez kilka sekund przyglądał się Suchej. Policjantka wytrzymała jego spojrzenie.

– My się jeszcze nie znamy. – Wyciągnął do niej rękę. – Aspirantka Anna Suchocka, jak sądzę.

– Nie – odpowiedziała Sucha. – Pieprzony doktor Livingstone.

Borzestowski zmarszczył brwi i przez moment wyglądał tak, jakby po raz pierwszy zabrakło mu dobrej odpowiedzi.

– Czego chcesz? – zapytał Mortka.

Gangster klasnął.

– Wreszcie – powiedział. – Możemy przejść do interesów. Po pierwsze, panie komisarzu, pan wybaczy formę i miejsce naszego spotkania. Gdyby ode mnie zależało, to proszę mi wierzyć, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Niestety, pewne wydarzenia postawiły mnie pod ścianą. Stąd to nieporozumienie podczas spotkania z czarującą panią Olgą, ale proszę mi wierzyć, przez cały czas zachowywałem się jak dżentelmen.

– Czego chcesz?

– Jak zawsze konkretny. To się chwali. Uważam, że możemy sobie nawzajem pomóc, panie komisarzu. A właściwie – wskazał na Suchą – możemy sobie pomóc w trójkę.

– Nie będę ci pomagać. I nie za bardzo interesuje mnie, co masz do powiedzenia. Jedyne, która mnie interesuje, to to, dlaczego ciągle tu jesteś.

– Proszę się uspokoić, panie komisarzu. Mam dobre intencje.

– Nie obchodzą mnie twoje intencje.

– Nawet gdybym chciał panu zdradzić, kto zabił Trójkę z Neptuna?

Mortka jeszcze przed chwilą planował po prostu chwycić Borzestowskiego za kark i wyrzucić z mieszkania. Może jeszcze zepchnąć ze schodów na do widzenia. Gangster był od niego co prawda większy, zapewne silniejszy, ale w tamtej chwili Kubę rozsadzała wściekłość i zrobiłby to bez wahania. Tylko ta Trójka z Neptuna... Rozwiązanie przynajmniej jednej zagadki miał na wyciągnięcie ręki. Ale z Borzestowskim nigdy nie było tak łatwo, a już na pewno nie za darmo.

– Wypierdalaj – wycedził powoli przez zaciśnięte zęby.

– Kuba, poczekaj – odezwała się Sucha.

Borzestowski uśmiechnął się do niej szarmancko.

– Spokojnie, pani aspirantko, właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałem. Pan komisarz to jedyny tak uczciwy policjantem w naszej pięknej stolicy i dlatego

właśnie z nim odbywam tę rozmowę.

– Nie rozmawiamy.

– To ja sam będę mówił – stwierdził Borzestowski. – Panie komisarzu, pan się boi podstępu, prawda? To zagrajmy w otwarte karty. Tylko dzisiaj próbowano mnie zabić dwa razy, a w tej chwili warszawska policja ściąga moich ludzi z ulicy. Każdego, kto miał cokolwiek ze mną wspólnego. Część się wystraszyła i sama pochowała. Większość z zatrzymanych wyjdzie z aresztu najwcześniej za czterdzieści osiem godzin. Niestety, przez ten czas jestem praktycznie bezbronny. I o to chodziło. Bo znowu spróbują mnie zabić.

– Trudno.

– Kto spróbuje? – zapytała Sucha.

Mortka spiorunował ją wzrokiem. Nie zrobiło to na niej wielkiego wrażenia.

– Co tutaj się dzieje? – odezwała się Olga. – Kuba?

Zignorowali ją.

– Jednym z tych ludzi jest pani znajomy – odpowiedział Borzestowski. – Pan Łazarowicz.

– Dlaczego miałyby cię zabijać? – ciągnęła aspirantka, chociaż komisarz wysłał jej sygnał, żeby milczała.

– Trochę się ostatnio pokłóciliśmy – stwierdził gangster, jakby próba zabójstwa po sprzeczce była najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. – On powiedział kilka słów za dużo, ja też, a pani działania, nie żebym panią o cokolwiek oskarżał lub miał żal, sprawiły, że atmosfera stała się dość napięta. Gorzej, że zwrócił się o pomoc do ludzi, którym zależy na tym, bym zamilkł. Najlepiej na zawsze. Do ludzi, którzy zabili Wilka i jego kolegów.

– Czyli do kogo?

– Sucha, przestań już – rozkazał Mortka.

– Do Andrzejewskiego i Grudy – odpowiedział jej Borzestowski.

Policjantka mimowolnie jęknęła, Kuba zmiął w ustach przekleństwo, a gangster zachowywał się jak magik, który właśnie wyciągnął królika z kapelusza. Niemalże im się uklonił i czekał na oklaski.

– Kuba... – wyszeptała z boku Olga.

– Nie teraz, proszę – powiedział. – Za moment.

– Pani musi wybaczyć chłopakowi – odezwał się Borzestowski. – W końcu chodzi o jego bezpośredniego przełożonego i wieloletniego kolegę z pracy.

– Po co nam to mówisz? – przerwał mu komisarz.

– Bo, tak jak panu powiedziałem, sytuacja jest dynamiczna. A ja pana znam, komisarzu. Nie odpuszcza pan. Podobnie jak pana koleżanka. Andrzejewski, Gruda, Łazarowicz. Mogę wam ich dać. Tylko musimy współpracować.

Mortka potrzebował jedynie sekundy na podjęcie decyzji.

– Nie. A teraz się wynoś – stwierdził.

– Pana koledzy z pracy zrobią wszystko, żeby prawda nie wyszła na jaw. Pozwoli im pan na to?

– Wynoś się.

Borzestowski przez moment się wahał. Potem skłonił się Oldze na pożegnanie i poszedł do przedpokoju. Tam przystanął. Zastanawiał się nad czymś. Zawrócił.

– Jeszcze jedno, panie komisarzu.

– Nie interesuje mnie to.

Mortka dopiero teraz zauważył, że ten trzyma w dłoni telefon. Musiał go wyjąć, kiedy był przy drzwiach i zasłaniała go policjantka. Teraz podniósł go do ucha.

– Dzień dobry, podinspektorze Andrzejewski – odezwał się do aparatu. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że aspirantka Suchocka oraz komisarz Mortka już wiedzą, że to wy zabiliście Wilka. Aha! Narzeczona Mortki, pani Olga, też wszystko słyszała. Miłego dnia.

Gangster rozłączył się i rzucił komisarzowi telefon.

– Możesz sprawdzić połączenie, że to nie był blef – powiedział i tryumfalnie rozejrzał się po mieszkaniu. – No to wydaje mi się, że jednak musimy współpracować, panie komisarzu. Bo wychodzi na to, że teraz to już wspólnie tkwimy w tym gównie.

Twarz komendanta stołecznego przybrała kolor kubraka Świętego Mikołaja z reklamy coca-coli i lśniła jak świeżo położony lakier samochodowy. Już sam fakt, że wparował do gabinetu Andrzejewskiego, zamiast wezwać go do siebie, świadczył o tym, że sytuacja jest poważna. Poza tym była noc, długo po godzinach pracy, więc przyjechał specjalnie prosto z podwarszawskiego domu. Miał na sobie jesienną kurtkę, sweter w kratkę i znoszone jeansy z postrzępionymi nogawkami. To jeszcze nic – kiedy Andrzejewski zobaczył buty, nie potrafił już od nich oderwać wzroku. Zwykłe tenisówki, takie, jakie kiedyś sprzedawano na Stadionie Dziesięciolecia. Po przejściu z parkingu do komendy błyszczały od wilgoci i ściekało z nich błoto. Przede wszystkim jednak były za małe. Stopy komendanta wypychały je tak mocno, że materiał powinien zaraz pęknąć. Podinspektor zastanawiał się, skąd wzięły się na stopach przełożonego i do kogo należały. Do syna? Żony? Czy wychodząc z domu, włożył pierwsze lepsze buty, które stały na półce? I dlaczego ich nie zmienił, kiedy zorientował się, że go cisną? Czyżby aż tak bardzo się śpieszył?

Wiedział, że to szaleństwo. Że powinien być teraz maksymalnie skoncentrowany, ale nie potrafił przestać o nich myśleć. Jeden szczegół przyćmiewał wszystkie inne. Działo to na niego odprężająco.

– Co tu się, kurwa, dzieje?! – krzyknął komendant, skutecznie wyrwijając go z zamyślenia.

Andrzejewski udawał, że nie rozumie, o co chodzi. Komendant, o ile było to możliwe, poczerwieniał jeszcze bardziej. Zatrzasnął za sobą drzwi tak mocno, że huk wywołany uderzeniem o framugę przypominał wybuch petardy na górniczej demonstracji.

– Myślałeś, że o niczym się nie dowiem?! – zapytał komendant.

– Niczego nie ukrywałem – odpowiedział prostodusznie Andrzejewski.

– Tylko dlatego, że nie dałbyś rady, kutasie! Nie mieliśmy tylu zatrzymań, od kiedy Legia po raz ostatni zdobyła mistrzostwo!

Komendant zrobił dwa kroki w stronę podinspektora, a mokre podeszwy tenisówek wydały nieprzyjemny, wysoki dźwięk, od którego bolały zęby.

– Co się dzieje? – komendant powoli wymawiał poszczególne słowa.

– A czego się spodziewałeś? – odpowiedział pytaniem Andrzejewski. – Że wsadzisz mi tu tego dupka ze spraw wewnętrznych, a ja z zielonej trawki będę patrzył, jak palant zbiera chwałę za to, co ja zrobiłem? Po moim trupie.

– Czyli co?

– Czyli wypuściłem chłopaków na realizację.

– Wszystkiego?

– Wszystkiego, co się w miarę nadawało.

Komendant odsapnął. Z jego twarzy odpłynęła czerwień, ale w jego spojrzeniu pojawiło się szczere rozżalenie. Andrzejewski je rozumiał. Współpracowali ze sobą przez lata, zachowując wzajemny szacunek i lojalność, co było dość rzadkie w policyjnym świecie, gdzie od pewnego szczebla każdy kopie dołki pod każdym i walczy wyłącznie o swoje. Andrzejewski uważał, że gdyby zwykły Polak dowiedział się, jak to naprawdę wygląda, chwyciłby się za głowę, nie wierząc, że ta machina jeszcze działa. Podinspektor w sumie też często się temu dziwił, ale szli z przełożonym przez ten burdel zgodnym zazwyczaj krokiem. Nie było tajemnicą, że komendant robi podchody pod fotel na Puławskiej, w Komendzie Głównej. Gdyby mu się to udało, na stołecznego zaproponowałby Andrzejewskiego. Ostatnie wydarzenia jednak mocno skomplikowały ten plan.

– Aż tak bardzo chciałeś mi nasrać w papiery? – zapytał komendant. – Przecież jak ćwierć z tego, co dzisiaj narobiliście, utrzyma się w sądzie, to będzie cud. Większość z tych spraw jeszcze nie dojrzała do zatrzymań. Potrzebna była dłuższa obserwacja, zastosowanie technik operacyjnych, analiza.

– Pozwolę sobie się nie zgodzić.

– Naprawdę? Przecież ja właśnie cytuję ciebie z każdej, kurwa, odprawy z ostatnich sześciu miesięcy, kiedy tylko pojawiał się temat Borzestowskiego. – Komendant machnął ręką. – Najgorsze, że miałeś rację. Zawsze było za mało materiału. Zawsze jedynie jakieś płatki do zebrania, ale skurwieli się wymykał. A teraz? Ile naszej pracy zmarnowałeś tą swoją akcją? Rok? Półtora?

– Wywalasz mnie z roboty. Wsadzasz na moje stanowisko kogoś, kogo moi

ludzie znienawidzą, i czego się spodziewałeś? Kwiatów i bombonierki w podziękowaniu za współpracę?

– Szlag... – Komendant pokręcił głową. – Przecież krzywda by ci się nie stała. Na chwilę zszedłbyś ze stołka, ale za dwa, trzy miesiące znaleźlibyśmy ci jakiś nowy. Mało jest etatów do obsadzenia?

– Tak? A gdzie? W Suwałkach?

– Albo w Brukseli – odparował. – Wszystko było do obgadania. A teraz? Co ja mam z tobą zrobić? Przecież to zahacza o sabotaż, Andrzejewski.

– Pracy policji czy twojej kariery?

Zadał celny cios. Komendant aż się skrzywił, jakby dostał w żołądek.

– Twój człowiek jest podejrzewany o podwójne zabójstwo. Do tego facet ma nasrane w życiorysie. Za to, co zrobił swojej żonie, powinien wylecieć ze służby. Ale ty, osobiście ty, go przed tym uchroniłeś. Czego się w takiej sytuacji spodziewałeś?

Andrzejewski pomyślał, że przypominają teraz dwie stare baby, które nawzajem wyrzucają sobie przewiny z ostatnich sześćdziesięciu lat. Męczyła go ta sytuacja. Chciał, by wreszcie stało się to, co musi się stać, a on mógł wrócić do domu. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Byłby koło jedenastej. Jego żona pewnie jeszcze nie spała. Pracowała z jednym okiem wpatrzonym w „Szkło Kontaktowe”. Mógłby siąść obok niej z dwoma kieliszkami wina. Swojego pewnie by nie ruszyła. W ogóle niewiele piła. Może rozpoczęłyby rozmowę o przyszłorocznej rocznicy ślubu, wykorzystał moment, żeby zapomnieć o całym tym syfie, który go otaczał. I który nie chciał się skończyć.

– Masz urlop – odezwał się komendant. – Od teraz.

– Mam zdać broń, legitymację?

– Jeszcze nie.

Andrzejewski wstał i przeciągnął się mocno, rozprostowując kości.

– Informacje o zatrzymaniach? Dokumenty? Notatki? – wymieniał komendant.

– Wszystko jest na moim biurku.

Minęli się w połowie gabinetu. Podinspektor zabrał swoje rzeczy.

– Bądź pod telefonem – rzucił mu przełożony, zajmując jego miejsce i przeglądając leżące tam papiery.

– To zrozumiałe.

– No mam nadzieję.

Andrzejewski wychodząc na zewnątrz, minął dwóch swoich podwładnych, którzy właśnie prowadzili jakiegoś typka na przesłuchanie. Facet miał rozbity nos. Na wargi i brodę spływały mu dwa krwawe gile. Policjanci wyglądali na cholernie z siebie zadowolonych. Przynajmniej przez chwilę mogli poczuć się jak bohaterowie filmu sensacyjnego. Podinspektor machnął do nich ręką.

Odpowiedzieli uśmiechami. Jeden z nich pokazał mu wyciągnięty w górę kciuk.

Na zewnątrz padał drobny, nieprzyjemny, lodowaty deszczyk. Na parkingu przed komendą utworzyły się gigantyczne kałuże, które lśniły w świetle latarni jak górskie jeziora bez dna. Andrzejewski przeszedł przez jedną, żeby dotrzeć do swojego samochodu. Podobnie jak komendant, zamoczył buty. Wskoczył do samochodu i wyciągnął z kieszeni komórkę. Z zaskoczeniem zauważył kilka nieodebranych połączeń. Odblokował telefon i sprawdził ustawienia. Przypadkiem wyciszył dźwięk. Miał jedną wiadomość na skrzynce głosowej. Przez chwilę zastanawiał się, czy jej po prostu nie wykasować. Nienawidził tego urządzenia. Ale zdrowy rozsądek zwyciężył.

– Masz jedną wiadomość z numeru... – deklamował mechaniczny głos, a podinspektor nerwowo tupał nogą obok pedału sprzęgła. A potem włączyła się właściwa wiadomość. Wysłuchał jej w pełnym skupieniu. Po czym zamarł.

Mortka. Wysłał go na urlop i popełnił błąd. Powinien trzymać go blisko siebie. Zawalić robotą tak bardzo, by ten nie miał czasu wychodzić z komendy. A teraz za to zapłaci. Wiedział już, że nie wróci do domu. Przynajmniej nie przez najbliższe kilka godzin. Nie będzie lampki wina, wspólnego oglądania „Szkła Kontaktowego” i rozmowy o rocznicy ślubu. Wybrał numer Łazarowicza.

– Sprawy nam się skomplikowały – powiedział. – Mocno.

– Spakuj się i wyjedź gdzieś na kilka dni – powiedział Mortka.

Olga przycisnęła poduszkę do piersi. Spojrzała na niego w taki sposób, że policjant zaczął się zastanawiać, czy w ogóle usłyszała to, co do niej powiedział. Wydawała się teraz zupełnie inną osobą niż zazwyczaj. Zawsze trzymała fason, okazywała pewność siebie, zdecydowanie. W tej chwili określiliby ją jako bezradną.

– Przyniosę szklankę wody – odezwała się Sucha.

– Naczynia są w kuchni – rzucił policjant i zaraz zbeształ się w duchu. Gdzie miałyby być, jeśli właśnie nie tam? Zerknął na Borzestowskiego. Gangster dalej stał pod ścianą ze zwieszoną głową i można było odnieść wrażenie, że zasnął.

– Udawaj, że cię tu nie ma – powiedział Mortka.

Borzestowski wyprostował się i zaraz skrzywił się z bólu.

– Co?

– Gówno.

Policjant przeszedł do sypialni. Otworzył dużą szafę z lustrzanymi drzwiami. Olga twierdziła, że optycznie powiększają pokój, ale ważniejsza była chyba ich inna funkcja. Kiedy się kochali, często ustawiali je tak, by móc patrzeć na swoje odbicia. Ona nawet częściej od niego. A to niby faceci są wzrokowcami.

Wyciągnął niewielką walizkę na kółkach. Potem zaczął wodzić wzrokiem po półkach, zastanawiając się, co wziąć. Wreszcie wrzucił do środka kilka par majtek, rajstop i skarpetek, pięć bluzek z samej góry, dwa swetry i dwie pary jeansów, do tego ładowarkę do telefonu i książkę z nocnego stolika. W łazience znalazł kosmetyczkę, gdzie wpakował pastę do zębów, dezodorant i szczoteczkę. Dorzucił do reszty i zaniósł walizkę do przedpokoju. Był pewien, że zapomniał co najmniej połowy rzeczy, ale uznał, że jeśli Olga będzie czegoś potrzebować, to po prostu sobie to kupi.

Wrócił do dziewczyny. Koło niej stała do połowy opróżniona szklanka z wodą. Kobieta wyglądała odrobinę lepiej. Kucnął przed nią i położył swoje dłonie na jej udach. Bał się, że go odtrąci, ale ku jego uldze przyjęła ten prosty gest z wdzięcznością.

– Wyjedź gdzieś na kilka dni – powtórzył.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie mogę – stwierdziła. – Muszę iść do pracy.

– Zadzwoń i powiesz, że jesteś chora.

– Mam umówione spotkania z klientami.

– Odwołasz je albo pójdzie na nie ktoś inny.

Maklerka zamknęła oczy i przez kilka sekund powtarzała coś bezgłośnie.

– To przez niego? – zapytała wreszcie, wskazując na gangstera.

– Też.

- Ci ludzie, o których mówił...
- Są niebezpieczni.
- Mogą mi coś zrobić?
- Obawiam się, że tak.
- Nie możemy z tym pójść na policję? – zapytała.

Przez moment sam to rozważał. Ale wtedy wyszłoby na jaw, że pomagał ukrywać się Kochanowi. Samego podkomisarza też by aresztowano. W dalszym ciągu nie było wiadomo, kto zabił Evelinę i jej matkę, więc pewnie postawiono by mu zarzuty. Nie mieli też nic na Łazarowicza. No i przede wszystkim, czy Borzestowski w pokoju przesłuchań będzie chętny do gadania? Może się okazać, że koniec końców zostaną z niczym, a przeciw nim będą słowa dwóch szanowanych i zasłużonych policjantów. Nie. Ciągłe było za wcześnie, żeby iść z tym gdzieś wyżej.

– Nie.

Przyjęła jego odpowiedź ze zrozumieniem.

– Powinam na coś uważać? Czegoś się bać?

– Po prostu pojedź do jakiegoś spa i spędź miło kilka najbliższych dni. Staraj się przebywać w miejscach publicznych i unikaj takich, w których jesteś sama.

– Brzmi strasznie.

– Będzie dobrze – uspokajał ją, wiedząc, że słabo mu to wychodzi.

– Zadzwońisz do mnie, kiedy będzie po wszystkim?

– Oczywiście.

– A co z Olą i twoimi synami? Czy oni też...

Nie miał jeszcze czasu nad tym pomyśleć. Ola o niczym nie wiedziała, teoretycznie więc była bezpieczna, a Andrzejewski sam był policjantem. Nie zrobiłby krzywdy jego rodzinie. Ale Łazarowicz?

– Nie przejmuj się nimi – powiedział.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, jakby zbierała siły do zmierzenia się ze światem.

– Pojadę do...

– Nie mów mi – przerwał jej. – Po prostu wyślij esemesa, że jest okej, kiedy dotrzesz na miejsce.

– Dobrze.

Objęła go i mocno się przytuliła. Poddał się temu. Wdychał mocno woń jej ciała pomieszaną z aromatem perfum i szamponu. Pomyślał, nie wiadomo dlaczego, że może czuje go po raz ostatni. Przestraszył się. Ale tak naprawdę, dogłębnie. Jak facet, który nagle się orientuje, że wspina się na pionową ścianę bez asekuracji i właśnie zaczyna mu brakować sił.

Nie powiedzieli już sobie nic więcej. Zniknęła na moment w sypialni. Wzięła stamtąd jeszcze parę rzeczy i wpakowała je do walizki. Zabrała torebkę, kurtkę,

klucze i wyszła z mieszkania. Kilka minut później Mortka zobaczył przez okno, jak jej samochód wyjeżdża z podziemnego garażu.

– Co z nim? – zapytała Sucha, wskazując na Borzestowskiego.

– Zajmij się nim – odparł i dopił wodę, którą Olga zostawiła na stoliku.

Policjantka stanęła przy Borzestowskim.

– Wiesz, co robić – rzuciła.

– Chyba sobie żartujecie.

– Chyba nie.

Borzestowski sapnął coś mało zrozumiałego. Odwrócił się powoli twarzą do ściany i oparł się o nią. Jego ruchy były niezgrabne i powolne. Rozstawił szeroko nogi. Sucha zaczęła go przeszukiwać. Najpierw góra. Oklepała ramiona, sprawdziła wnętrze marynarki. Wyjęła i rzuciła na ziemię portfel, gruby zwitek banknotów o różnych nominałach i walut, a potem telefon komórkowy. Później zza paska wyciągnęła pistolet. Glock 21. Obróciła go w dłoniach i popatrzyła z uznaniem. Wysunęła magazynek. Przeładowała, żeby wyjąć nabój z lufy. Dopiero wtedy położyła na podłodze i kopnęła w kierunku Mortki. Kucnęła przy gangsterze. Sprawdziła nogawki. W okolicach krocza Borzestowski jęknął przeciągle.

– Tutaj możesz zatrzymać się na dłużej – powiedział.

Sucha poderwała się na równe nogi, chwyciła mężczyznę za kark i dosłownie wbiła jego twarz w ścianę. Gangster wydał z siebie zduszony jęk. Chwycił się za nos, a potem osunął się na ziemię.

– Kurwa!

Kilka sekund leżał na podłodze. Kiedy wreszcie się podniósł, Mortka ze zdumieniem zauważył, że gangster ma łzy w oczach.

– Pańska koleżanka to wariatka – powiedział. Cios w głowę paradoksalnie mu pomógł, bo mówił znacznie bardziej trzeźwo. – Myślałem, że trzeba przejść jakieś testy psychologiczne, zanim zostanie się przyjętym do służby.

– Zapłaciłam lekarzowi, żeby mnie przepuścił – odparła Sucha, a komisarz wcale nie był pewien, czy na pewno żartuje.

Borzestowski splunął krwią na podłogę i roześmiał się krótko.

– Dobrze. Ale nie rób tego więcej.

Policjantka wykonała tak szybki ruch nogą, że Kuba ledwo go zauważył. Borzestowski znowu wyładował na podłodze. Tym razem trzymając się za brzuch.

– Czego mam nie robić? – zapytała.

– Sucha! – rzucił komisarz.

– Co takiego?! – zapytała i zdziwiona rozłożyła ramiona, jakby chciała pokazać, że przecież nie zrobiła nic złego.

– Nic takiego – odpowiedział, zdając sobie sprawę, że jakakolwiek rozmowa teraz nie ma sensu. A poza tym widok pobitego Borzestowskiego sprawiał mu sporą przyjemność. Podeszedł jednak do niego i stanął pomiędzy nim a Suchą.

Pomógł mu podnieść się z ziemi, podał portfel i pieniądze.

- Komórkę i broń będę miał ja – oznajmił.
- Czyżbym był aresztowany? – zakpił gangster.
- Potraktuj to jako obywatelskie zatrzymanie.

Zamknęli mieszkanie i pojechali do Suchej. Po telefonie, który wykonał Borzestowski, nie mogli tam zostać. Podkomisarz na widok gangstera jęknął zdziwiony i zaczął nerwowo potrząsać głową.

- Kuba, Kuba, Kuba... – powtarzał.
- Co?
- To jebnie.

Mortka zbył te słowa milczeniem. Zabrali wszystkie niezbędne rzeczy i przez pół godziny w czwórce krążyli po prostu po mieście, przerzucając się pomysłami, co zrobić. W końcu doszli do wniosku, że jest tylko jedno miejsce, gdzie mogą się udać.

Pojechali na Bemowo.

Na ich widok Szloma rozdziawił usta tak szeroko, że zmieściłaby się w nich cała pięść.

- Żuku?! Myśleliśmy, że sobie poszedłeś – powiedział wreszcie.
- Przecież wynająłem pokój na miesiąc, nie?

Minął chłopaka. Za nim przeszła Sucha ze swoją wypełnioną bronią torbą, potem Mortka i Borzestowski. Kiedy z pokoi wyłonili się Justyn i Długi, policjant był pewien, że w ich głowach pojawiają się coraz głupsze pomysły. Dlatego trącił gangstera łokciem, a ten burknął coś i niechętnie sięgnął do kieszeni. Wyciągnął zwitek pieniędzy, a z niego kilka banknotów i wręczył je Justynowi, bo akurat on stał najbliżej.

– To za niedogodności – stwierdził. – Mam nadzieję, że przyjmujecie tu euro?

Andrzejewskiemu wreszcie udało się wrócić do domu. O wpół do trzeciej w nocy, kiedy na konstancińskich ulicach mijał tylko policyjne patrole i wracające do Warszawy ze zlecenia luksusowe prostytutki.

Wchodząc, nawet nie zapalił światła. Rzucił kurtkę na wieszak, zszedł buty i poszedł na piętro, człapiąc powoli, krok za krokiem, zmęczony do granic możliwości. Wsunął się jak złodziej do sypialni i przysiadł na łóżku. Poczul przemożną ochotę, żeby po prostu położyć się w ubraniu, ale śmierdział. Potem. Wypaloną ukradkiem połową paczki papierosów, której resztę wyrzucił przed godziną, po spotkaniu z Łazarowiczem, po raz kolejny kończąc nikotynową abstynencję. Obrzydliwym zmęczeniem, którego sam miał już dość, ale które, jak podejrzewał, miało mu już towarzyszyć przez resztę życia. Bo do końca życia będzie żył z obawą, że to, co zrobił Wilkowi i reszcie, wyjdzie na jaw, i do końca życia będzie starać się temu zapobiec, wypatrywać kolejnych zagrożeń, zacierać

ślady tego, co wydarzyło się wtedy, i tego, co dzieje się teraz.

Usiadł na łóżku. Małgosia przewróciła się na drugi bok, a potem podniosła na łokciu.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć.

– Która godzina?

– Późna – stwierdził oględnie, ale tyle jej wystarczyło. Opadła z powrotem na poduszkę. Andrzejewski podrapał ją po głowie. Zamruczała zadowolona. Wyciągnęła niezgrabnie ramię, żeby pogłaskać go po dłoni.

– Myślałem o naszej rocznicy – odezwał się po chwili. – Jest taki ośrodek pod Warszawą. Dość daleko, bo trzeba jechać aż za Nasielsk, ale jest tam bardzo ładnie. Znajomy był na szkoleniu kilka miesięcy temu. Taki niby dworek szlachecki, ale oczywiście zbudowany niedawno. Spory teren, dookoła zieleń, pola, gdzieś tam las. Może to ma większy sens, zamiast robić kolację w jakimś modnym lokalu? Sprosić tam wszystkich na weekend?

Zamilkł na chwilę, bo zapatrzył się w ciemny prostokąt okna. Na zewnątrz, wysoko na niebie jaśniał półkrąg księżycy otoczony kilkoma ledwo widocznymi gwiazdami.

– Marek do tego czasu pewnie zdąży dwa razy zmienić dziewczynę. Za to Zuza przyjdzie z tym palantem, z którym jest teraz. Wiem, że nic nie powinienem jej mówić, bo tylko pogorszę sprawę, ale nie lubię go. Możesz się ze mnie śmiać, jednak po tylu latach w służbie czuje się, kiedy z człowiekiem jest coś nie tak. A z nim ewidentnie jest coś nie tak. Te jego małe, chytre oczka. Jakby cały czas kombinował, kogo i jak oszukać. Nie lubię go i już. Mam nadzieję, że się rozstaną...

Chrapnięcie uświadomiło mu, że Małgosia śpi. Zastanawiał się, ile słyszała z tego, co powiedział.

– Trochę się popieprzyło – odezwał się i równocześnie zdziwił, kiedy usłyszał własny głos. Jakby decyzję o mówieniu podjęła jakaś część jego „ja”, do której nie miał dostępu. – Gruda jest zły, że porwaliśmy tę dziewczynę. Coś jej się stało. On ma do mnie żal. Nie wiem, na ile mogę mu jeszcze ufać. Pewnie myśli, że skrzywdziliśmy kogoś niewinnego. Ale szczerze mówiąc, Gosiu, jaka ona niewinna? Nie wiedziała, czym zajmował się jej facet? Skąd miał kasę, za którą kupił mieszkanie? Co robił, żeby ona mogła paradować w nowych bucikach? Przykro mi z powodu tego, co się stało, ale nie udawajmy, że była niewinna. Dostała rykoszetem z własnej winy.

Zmrużył powieki, próbując się przebić przez mrok w sypialni. Małgosia oddychała równo, regularnie. Nie widział jej twarzy. Słyszała go? Czy nie? Nie wiedział, co byłoby lepsze.

– To wszystko, co się dzieje... Mogłabyś powiedzieć, że to kara za to, co

wtedy zrobiliśmy. Tylko że to nie był... z braku lepszego słowa, to nie był grzech. Jasne, utorowaliśmy drogę Borzestowskiemu, ale cokolwiek o nim mówić, on jest racjonalny, wiesz? Rozumie, że czasami trzeba trzymać głowę nisko, nie zwracać na siebie uwagi, ograniczać się. Tamci trzej tego nie wiedzieli. Utopiliby to miasto we krwi. Wiesz, o czym rozmawiali, kiedy pojawiliśmy się tam z Grudą? O tym, że powinni kogoś zabić. Zastanawiali się kogo. Przez chwilę brali pod uwagę nawet tę biedną kelnerkę, która ich obsługiwała. Chcieli zabić. Nie dla pieniędzy. Nie z zemsty czy dla interesów. Chcieli wspólnie zabić, bo wtedy żaden z nich nie mógłby dostać świadka koronnego. To miała być gwarancja, że nie zdradzą siebie nawzajem, że będą lojalni. Znam takich typów. Za rok, dwa rzuciliby się sobie do gardeł. Znowu byłyby strzelaniny, znowu bomby wybuchłyby na ulicach. Należało im się. Należało im się to, co dostali – przerwał na moment, czując, że coś go ściska w gardle. – Zrobiłem to dla nas – dokończył szeptem.

Wstał z łóżka. Szybkim krokiem opuścił sypialnię i zszedł do kuchni. Otworzył lodówkę, w której znalazł butelkę białego wina. Wyciągnął korek i nalał sobie kieliszek, chociaż wołał piwo. Tego jednak w domu nie mieli.

Wyszedł na podwórko. Natychmiast owiało go lodowate powietrze i smród palonych w domowych piecach śmieci. Konstancin chwalił się, że jest uzdrowiskiem, ale jego mieszkańcy zimą do kotłów wrzucali wszystko, co było pod ręką.

Oparł się o chropowatą ścianę domu. Wypił łyk i pomyślał, że jeśli chce zasnąć, to będzie potrzebować czegoś więcej niż ta resztkę w butelce. Coś zaszeleściło w krzakach na tyłach podwórka. Andrzejewski poczuł uderzenie gorącej krwi do mózgu. Szelest powtórzył się. Policjant przez chwilę pożałował, że zostawił pistolet w samochodzie. Małgosia nie chciała widzieć broni w domu, a on to szanował. Zrobił krok w stronę krzaków, ale zaraz stanął, bo zrobiło mu się głupio. Przecież gdyby ktoś próbował go zaatakować, na pewno nie czaiłby się w krzakach na jego podwórku. Odprężył się. Upił kolejne dwa łyki i cierpliwie obserwował krzaki.

Po niecałej minucie wybiegł z nich kot. Biało-czarne zwierzę szybko pokonało niemal połowę jego posesji, żeby nagle przystanąć, kiedy z powodu ruchu zapaliły się ogrodowe światła. W pysku trzymało jakieś truchło. Wypłuło je na ziemię.

– Jest dobrze. Możesz iść – powiedział policjant.

Kocur wydał z siebie groźne miauknięcie i ruszył z powrotem w ciemność.

– Ale zabierz trupa! – krzyknął za nim Andrzejewski.

Odłożył kieliszek, odszukał ogrodową szufelkę i podszedł do miejsca, w którym przystanął kot. Leżała tam mysz z przetrąconym karkiem. Kocur zapewne wcześniej się nią bawił, bo z rany na brzuchu wylewały się jej wnętrzności, a jedna z łapek trzymała się tylko na strzępie skóry. Andrzejewski

wyrzucił ją w krzaki, a chwilę potem, wciąż trzymając okrwawioną szufelkę w jednej dłoni, wyciągnął telefon i wybrał numer. Odebrano po zaledwie dwóch sygnałach.

– Nie śpisz – powiedział do słuchawki.

– Nie śpię – potwierdził Mortka.

– Dlaczego?

Komisarz roześmiał się krótko, gorzko.

– Niespecjalnie mam warunki.

– A więc rozmawiałeś z Borzestowskim?

– Tak.

– Wierzysz mu?

– To wszystko jest do sprawdzenia.

– Po tylu latach?

– Też. Ale przede wszystkim to, co robiłeś z Grudą i Łazarowiczem przez ostatnie dni. Zastanawiałeś się, co wyjdzie, jeśli zaczniemy na serio sprawdzać, kto porwał dziewczynę Mieszka?

– A więc mu wierzysz?

– Jego wersja brzmi wiarygodnie. Pasuje do tego, co sami odkryliśmy.

– Ty i Sucha?

– Tak.

– Zdolna dziewczyna.

– Bardzo.

– Mam propozycję. Zostawcie to. Oboje.

– Nie sądzę.

– Dlaczego? Tak bardzo spodobała ci się współpraca z Borzestowskim?

– A tobie z Łazarowiczem?

– Nieźle, Kuba. Raz jeszcze, zostawcie to. Borzestowski nie zasługuje na to, żeby go ratować.

– Borzestowski nie – zgodził się Mortka. – Ale ciągle nie wiemy, kto zabił Evelinę i jej matkę. Może to ty z Grudą? A potem postanowiliście w to wrobić Kochana?

– Nie tknąłbym córki Wilka. A co do Marty, to nie zabiłem jej wtedy, nie zrobiłbym tego teraz. Za kogo ty mnie uważasz?

– Za kogoś, kto mocno się pogubił.

– Dopiero zaczynałeś wtedy służbę, Kuba. Nie wiesz, jak było.

– Pamiętam wystarczająco dużo.

– Serio? Pamiętasz, kiedy przychodziłeś do pracy i czułeś tę cholerną bezsilność, bo chociaż wiedziałeś wszystko, to nie mogłeś nic? Albo kiedy szedłeś na realizację i miałeś potwierdzone info, że ten po drugiej stronie jest uzbrojony? Zresztą wtedy co drugi miał jakiegoś gnata pochowanego w majtach. I modliłeś się,

żeby broń Boże nie wyciągnął broni, bo jeśli zaczniesz strzelać, to dla wszystkich będzie najwygodniej, jeśli po prostu cię zastrzelą? Bo jeśli ty mu coś zrobisz, nawet zadraśniesz, to nigdy nie wydostaniesz się z biurokratycznego korkociągu spraw o przekroczenie uprawnień, naruszenie przepisów i czego tam jeszcze. Pamiętasz to?

Mortka nie odpowiedział.

– Tak myślałem – dokończył Andrzejewski i nabrał do płuc łyk zimnego, nocnego powietrza. – Przemyśl to, co powiedziałem. Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać.

– Dla ciebie też.

– Mam także jedną radę. Jeśli zechcesz ją przyjąć.

– Słucham.

– Nigdy, ale to przenigdy nie ufaj Borzestowskiemu.

Gruda pił w nocy tak, jakby znowu były lata dziewięćdziesiąte. Kiedy obudził się rano, w mieszkaniu wałały się puszkę po piwie, śmierdzące niedopałki i pusta butelka po wódce. A obok niej otwarta flaszka whisky, którą dostał kilka lat temu na urodziny od córki. Nie pamiętał, żeby wyciągał whisky. Chyba mu nie smakowała, bo ledwie ją napoczął, a niedaleko znalazł szklanekę z bursztynowym płynem. Pływał w nim na wpół wypalony papieros.

Komisarz nawet nie próbował sprzątać. Zdjął z siebie ubranie i wrzucił je do brudów. Wziął długi prysznic, na przemian katując się gorącą i lodową wodą. Ubrał się i wypił kawę. Pojechał do pracy, żując zawzięcie kilka miętowych gum.

Ciągle był pijany. Wiedział o tym i miał to gdzieś. Bolała go głowa, ale najbardziej dokuczała mu wątroba. Jako młodziak zapisał się do sekcji bokserskiej Legii. Dobre miejsce, żeby nauczyć się bić, co było konieczne w jego okolicy – w miejscu, gdzie przydawały się twarde pięści albo szybkie nogi. Poza tym, czego oczywiście wtedy nie przewidział, poznał tam mnóstwo chłopaków. Przez kilka lat lał się z nimi po mordach i wycinał różne numery, których dzisiaj trochę się wstydział, więc tym łatwiej potem spotykał ich na ulicy i dostawał od nich cynk. Pamiętał, jak kiedyś obserwował sparing dwóch starszych chłopaków. Kiedy walka zbliżała się ku końcowi i obaj spływali potem, jeden z nich popełnił błąd i podniósł za wysoko gardę. Drugi to wykorzystał i uderzył w bok. Jego przeciwnik padł na deski i długo się z nich nie podnosił. Do chłopaka natychmiast podbiegli trenerzy. Długo przy nim klęczeli, a ten, co go znokautował, chodził między linami i z niedowierzaniem patrzył na swoje rękawice.

Gruda czuł się teraz jak tamten bokser, który dostał w wątrobę.

Kiedy dotarł do Komendy Stołecznej, powiedziano mu, że wszyscy są na odprawie w sali zebrania. Wpadł tam spóźniony. Po minach kolegów z wydziału od razu domyślił się, że dzieje się coś niepokojącego. Widział u nich zmieszanie, zdenerwowanie, nawet strach.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Wywalili Andrzejewskiego – odpowiedział kolega szeptem.

Na drugim końcu sali, przy interaktywnej tablicy stał komendant stołeczny, jednak trzymał się z tyłu. Pewnie zdążył już wygłosić przemówienie. Teraz swoje pięć minut miał antypatyczny mężczyzna. Gruda znał go z widzenia. Nowak z Biura Spraw Wewnętrznych.

– ...każda organizacja wymaga zmian – mówił Nowak, energicznie gestykulując, przez co Grudzie zaczął kojarzyć się z kaczołem Duffym z kreskówek – a w tym wydziale zbyt długo nic się nie działo. Zastój doprowadził do patologii. Ten wydział powinien być dumą Komendy Stołecznej! Jej wizytówką! A obecnie staje się powodem do wstydu! Moje zadanie jest proste: naprawienie tej sytuacji, sprawienie, żeby ten wydział wreszcie odpowiadał oczekiwaniom i zadaniom, które są przed nim stawiane. Co to dla was oznacza? Po pierwsze, audyt wszystkich spraw prowadzonych przez wydział w ciągu ostatnich pięciu lat. Jeśli boicie się trudnych pytań z nimi związanych, to mogę powiedzieć wam jedno – przygotujcie się na nie. I miejcie lepiej dobre odpowiedzi. Bo jednego możecie być pewni – te pytania padną. Po drugie, przewietrzenie wydziału. Potrzebujemy tu nowych ludzi. Ambitnych. Sprawnych. Potrafiących myśleć samodzielnie. Czy niektórzy z was będą potrzebować nowych przydziałów? Na pewno. Trzecia sprawa, powtórne ustawienie priorytetów, zadaniowanie, rozliczenie z efektów, a nie z prób. Czego możecie się spodziewać? Że będzie ciężko. Ale za dwa, trzy lata będziecie pracować, przynajmniej część z was, o ile z nami zostanieie, w wydziale, który stanie się dumą nie tylko stołecznej, ale polskiej policji. A teraz – klasnął kilka razy – do roboty, ludzie! Do roboty!

Co ciekawe, pierwszy wyszedł komendant stołeczny. Jakby chciał dać do zrozumienia, że woli mieć najmniej, jak to tylko możliwe, wspólnego z tym, co przed chwilą się wydarzyło. Przepychał się bezpardonowo przez tłumek policjantów. Dopiero kiedy zniknął za drzwiami, ruszyli pozostali. Mijali Grudę bez słowa. Słyszał padające cicho przekleństwa. Ktoś kręcił głową i mamrotał z czegoś niezadowolony. Wszyscy spodziewali się kłopotów. Tylko jemu ulżyło. Nie wiedział, co stało się z Andrzejewskim. Było mu to obojętne. Może wszystko się posypało. Popelnili gdzieś błąd i teraz podinspektor siedzi w pojedynczej celi, a cała góra zastanawia się, co z nim, do cholery, zrobić. Interesująca perspektywa. Ale nie... Gdyby go zatrzymali, to Gruda też miałby już na przegubach kajdanki. Stało się więc coś innego. Nie chciało mu się jednak roztrząsać co. Poczul za to nieprzewartą ochotę, żeby podejść do Nowaka i wszystko mu opowiedzieć. Ten pomysł wydał mu się i logiczny, i absolutnie sensowny. Dziwił się, że tak długo go odrzucał. I właściwie dlaczego? Zaczął się zastanawiać, co takiego z nim się stało, że kilka lat temu chętnie przystał na pomysł zabicia trzech facetów, a teraz wyrzuty sumienia targają nim jak ministrantem, który nawalił się winem mszalnym.

Brakowało mu wkurwienia, pomyślał, przypominając sobie siebie samego. Wtedy tylko to go napędzało. Gniew na cały świat, na gówno, z jakim musiał się zmagać, na system, który nie chciał mu pomóc, na ludzi, którzy potrafili śmiać mu się w twarz. I wiedział, że musi ten wkurw w sobie pielęgnować, dbać o niego, karmić kolejnymi kawałkami siebie samego, bo jeśli odpuści chociaż na jeden dzień, to będzie koniec. Wyczerpią mu się siły, padnie na deski, a sędzia zacznie odliczać. Skończy się i zgaśnie tak szybko, jak wielu innych jego kolegów z tamtych lat. Myślał, że wykorzystuje swój gniew, ale tak naprawdę to gniew go wykorzystywał – oślepił, odbierał zdolność myślenia. Dlatego Gruda tak ochoczo się zgodził, kiedy Andrzejewski wziął go pewnego wieczoru na stronę, postawił wódkę, wyciągnął papierosy i zaczął długą rozmowę. Opowiadał o tym, co działo się w Warszawie przez ostatnie lata. Przypominał, że tych wszystkich gnojków siedzących w celi i tak będą musieli wypuścić, gdy tylko pojawi się cwany adwokat z cwaną gadką. Mówił o coraz to nowych grupach przestępczych, o braku szacunku, bezradności. Gruda zgadzał się z tym wszystkim, a jego wkurw rósł z każdym słowem. I wtedy Andrzejewski opowiedział o Wilku. O spotkaniu. O Neptunie. I że skoro będą mieli trzech facetów w jednym miejscu, to może warto by rozwiązać problem raz na zawsze. Gruda zgodził się bez zastanowienia.

Przypominał sobie niespodziewanie jeszcze jedną rzecz. Poczucie szczęścia i spełnienia. Niewiarygodne, prawie euforyczne, które wybuchło w nim w momencie, kiedy nacisnął spust. I to uczucie trwało, kiedy pakowali ich do samochodu, kiedy wywozili nad Wisłę, daleko za Warszawę, żeby porzucić w przygotowanym wcześniej grobie.

Piękna chwila. I jak sobie ze wstrętem uświadomił, prawdopodobnie najlepsza w jego życiu.

– Komisarz Gruda – z rozmyślań wyrwał go głos Nowaka. – Nie widziałem pana od początku, nieprawdaż?

– Spóźniłem się – przyznał policjant.

Nowak obrzucił go uważnym spojrzeniem. Pociągnął kilka razy nosem i skrzywił się, wyrażając dezaprobatę w zbyt demonstracyjny sposób, żeby uznać to za szczery odruch.

– Czemu nie jestem zaskoczony – powiedział. – Jaka była wczoraj okazja? Imieniny szwagra? A może opijaliście z podinspektorem Andrzejewskim wasz „sukces”?

– Sukces?

– Zmarnowanie ostatnich lat pracy komendy.

– Nie. Nie opijaliśmy tego.

– No cóż... Pan wydaje się jednym z tych, którzy nie potrzebują specjalnej okazji, prawda?

Gruda już na końcu języka miał odpowiednią wiązanekę pod adresem

Nowaka, ale powstrzymał się.

– To był wyjątek – odparł, godząc się dobrowolnie na upokorzenie. – Lekarz zabronił mi pić.

– A z pana taki posłuszny chłopczyk? – zadrwił Nowak. – Widzi pan, kiedy myślę o patologiach panujących w tym wydziale, z jakiegoś powodu to pan jako pierwszy przychodzi mi na myśl. Ponad dwadzieścia lat w służbie. Zaczynał pan jeszcze w Milicji Obywatelskiej, nieprawdaż?

– Załapałem się na końcówkę.

– Czyli miał pan okazję pobawić się w ścieżkę zdrowia?

Gruda zacisnął szczęki, prawie przygryzając sobie przy tym język.

– Zresztą nieważne. – Nowak machnął ręką. – Chociaż nieprzecięte powiązania z nieboszczką MO są jednymi z najpoważniejszych problemów, z jakimi musi się zmagać policja. Wracając do pana, komisarzu. Ponad dwadzieścia lat służby. Ciągle komisarz. Ciągle na tym samym stanowisku. Wie pan, co to oznacza?

– Co?

– Zero ambicji. Zero chęci samorozwoju. Zero postępu.

– Za to mam wyniki – odpowiedział Gruda.

– Aha... Wyniki – Nowak mówił ze nieukrywaną jadowitą satysfakcją. – Przeglądałem pańskie sprawy. Na papierze faktycznie wygląda to niezłe. Ale wie pan, jaki jest papier, nieprawdaż? Wszystko przyjmie. Jestem pewien, że jeśli sobie pogrzebiemy, wyjdą na jaw niezłe kwiatki. Takie, które panu uchodziły na sucho dzięki znajomości z podinspektorem Andrzejewskim. Czas Andrzejewskiego jednak już się skończył, panie komisarzu.

– Aha... – mruknął policjant.

– Ale przyszedł pan do mnie, żeby coś mi powiedzieć, nieprawdaż?

– Tylko życzyć panu powodzenia na nowym stanowisku.

Nowak obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, niepewny, czy Gruda mówi szczerze, kłamie, czy po prostu sobie z niego drwi. Żeby uniknąć problemu z wybraniem odpowiedniej riposty, po prostu prychnął i gestem kazał mu odejść.

Komisarz obrócił się na pięcie i wyszedł. Pomyślał, że powinien jak najszybciej skontaktować się z Andrzejewskim. Bo rozmowa z Nowakiem doprowadziła do jednego. Przeszła mu chęć przyznania się do wszystkich błędów. Wrócił za to stary dobry znajomy – wkurw.

Mortka wszedł do eleganckiego pałacyku na Alejach Ujazdowskich, gdzie mieściła się siedziba jednej ze znanych organizacji biznesowych, i od razu poczuł złość na siebie samego, że czuje się tutaj tak niepewnie. I że pozwolił narzucić sobie miejsce spotkania.

Andrzejewski zadzwonił jeszcze raz nad ranem. Zaproponował czas i lokalizację. Po konsultacji z Kochanem i Suchą komisarz postanowił się zgodzić. Borzestowski przysłuchiwał się im w milczeniu, ale sam nic nie powiedział.

– Jestem tutaj umówiony – powiedział Mortka do portiera w garniturze znacznie lepszym od tego, na jaki policjant mógłby sobie kiedykolwiek pozwolić. Portier uśmiechnął się wyrozumiale, co jeszcze zwiększyło irytację komisarza.

– Z kim?

– Łazarowicz – powiedział.

Mężczyzna sprawdził coś w książeczce umieszczonej na blacie.

– Aha. Mają panowie zamówioną prywatną lożę. Proszę chwilę poczekać.

Poruszył w powietrzu palcami, jakby wypowiadał magiczne zaklęcie, i za chwilę pojawił się przy nich kelner w czarnych spodniach i śnieżnobiałej koszuli. Na widok niechlujnego wyglądu Mortki podniósł lekko brwi, ale nic nie powiedział.

– Mateusz, zaprowadzisz pana do prywatnej loży, dobrze?

– Oczywiście. Proszę za mną.

Pokazał mu drogę do klatki schodowej. Zeszli na dół. Minęli piwniczkę na wina. Miała szklane drzwi, żeby goście mogli podziwiać stojaki wypełnione butelkami i tarczę olbrzymiego termometru, który, jak domyślał się policjant, pokazywał idealną temperaturę dla trunków. Kelner otworzył drzwi do kolejnego pokoju i zaprosił Mortkę do środka. Było to średniej wielkości pomieszczenie, pozbawione okien, ale oświetlone miękkim blaskiem kilkunastu rozmieszczonych pod sufitem lampek. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające ulice osiemnastowiecznej Warszawy, a przy dębowym stole siedział już Andrzejewski z Łazarowiczem.

Mortka po raz pierwszy widział lobbystę, o którym tyle słyszał. Przystojny mężczyzna o świetnej prezencji. Jak wyjęty z magazynu dla mężczyzn albo marzeń teściowej o zięciu. Gdyby policjant nie wiedział o nim tego, co wie, odczuwałby teraz paskudną i zawstydzającą zazdrość. Ale ponieważ zdobył tę wiedzę, cieszył się, że może Łazarowiczem po prostu szczerze gardzić.

Lobbysta wstał i wyciągnął rękę w stronę policjanta.

– Komisarz Mortka?

Mortka minął go bez słowa. Zajął miejsce przy stole. Lobbysta uśmiechnął się, jakby ta demonstracja tylko go rozbawiła, i wrócił na krzesło. Andrzejewski

tymczasem podszedł do komisarza.

– Muszę cię sprawdzić – powiedział.

Mortka spodziewał się tego, więc bez protestów stanął pod ścianą. Począł, aż podinspektor go obszuka. Andrzejewski zrobił to szybko i sprawnie. Nie znalazł niczego oprócz komórki. Wyłączył ją, potem wyjął baterię i położył na stole.

– A to miejsce, rozumiem, też wcześniej zbadaliście? – zapytał Mortka.

Łazarowicz roześmiał się dobrodusznie.

– Proszę pana, to bardzo, bardzo modna i ekskluzywna restauracja, a nie pierwsza lepsza knajpa. Przychodzą tutaj najważniejsi biznesmeni i politycy, żeby omawiać naprawdę duże interesy. Czy myśli pan, że ktoś mógłby nas tutaj podsłuchać?

– Z tego, co pan mówi, to idealne miejsce, by założyć podsłuch – odpowiedział Mortka.

Łazarowiczowi zrzędała mina.

– Jest bezpieczne – stwierdził.

Komisarz wzruszył ramionami.

– Kuba... – zaczął Andrzejewski, ale przerwał, kiedy drzwi pokoju otworzyły się i wszedł kelner z kartami. Położył menu przed każdym z mężczyzn.

– Jeśli mogę dzisiaj polecić...

– Ja nie będę zamawiał – przerwał mu Mortka.

– Ja też nie – stwierdził Andrzejewski.

– Jesteście pewni? – udał zdziwienie Łazarowicz. – To będzie na mój koszt, panowie!

Ponieważ nie zareagowali w żaden sposób, dał znać kelnerowi, by sobie poszedł. Po chwili mężczyzna zniknął, zamykając za sobą starannie drzwi.

– Kuba – wrócił do przerwanej wątku podinspektor – musimy wspólnie ustalić, co teraz zrobimy.

– Dlaczego wspólnie?

Andrzejewski wydał z siebie przeciągłe, pełne zmęczenia westchnienie.

– Nie jesteśmy wrogami – powiedział. – Żaden z nas. Nie musimy ze sobą walczyć.

– Jesteś pewien? Wiem, co masz na sumieniu, a ten tutaj – pokazał na Łazarowicza – urządził z kolegami оргіетки, podczas których gwałcił młodych chłopców. I co ty na to?

Lobbyista chrząknął.

– Jeśli już padło na mnie – odezwał się – to muszę powiedzieć, że nie zna pan wszystkich faktów.

– Naprawdę? – zdziwił się teatralnie Mortka. – Jakich faktów nie znam?

– To wszystko mogło dziwnie wyglądać. Przyznam, że pod względem moralności pozostawał pewien niesmak, ale nigdy nie doszło do przestępstwa. To

wszystko było dobrowolne.

– I dlatego twój asystent popełnił samobójstwo?

– Trudno mi zrozumieć powody jego drastycznego czynu – powiedział Łazarowicz, a Mortka był pełen podziwu dla tego, z jaką łatwością i swobodą mężczyzna kłamał.

– Skoro wszystko było zgodne z prawem, to dlaczego zleciłeś ludziom Borzestowskiego pobicie Suchej? Wiesz, tej policjantki, która za tym chodziła. A swoją drogą, co ty na to, szefie?

Andrzejewski nie zdążył odpowiedzieć, bo ubiegł go lobbysta.

– To błąd, przyznaję – powiedział, rozkładając szeroko ręce w geście poddania się. – A błędy chętnie naprawiam. Nawet więcej niż chętnie w tym przypadku. Proszę tylko zapytać koleżanki, co mogę dla niej zrobić.

– Nie sądzę, żeby była zainteresowana.

– Pomimo tego proszę spróbować. Wracając jednak do naszej rozmowy, jej meritum. Panie komisarzu, wszystkim nam zdarzało się popełniać w życiu błędy, większe lub mniejsze, ale generalnie – zrobił pauzę, żeby podkreślić to słowo – generalnie jesteśmy dobrymi ludźmi.

– Mam wątpliwości.

– Kurwa, Kuba. – Andrzejewski uderzył pięścią w stół. – Przyszedłeś tutaj gadać czy będziesz przez cały czas tak smutno pierdolił?

Mortka opuścił głowę. Odetchnął kilka razy głębiej i podniósł wzrok.

– Dobra – stwierdził. – Mówcie.

– Ty masz Borzestowskiego – powiedział Andrzejewski. – My go chcemy.

– Co się z nim stanie?

– To nieistotne.

– To samo co z Wilkiem?

– Nie interesuj się tym.

– Mało ciekawa ta twoja propozycja.

– Bo jeszcze nie usłyszał pan, co dajemy w zamian – włączył się Łazarowicz.

– O! – parsknął Mortka. – Słucham.

– A czego pan oczekuje? Pieniądze? Pomoc w karierze zawodowej? Inne wsparcie? To wszystko jest w zasięgu pana ręki. Właśnie teraz.

– Chyba jednak dziękuję.

– A pańska rodzina? Pańska była żona jest prawnikiem, prawda? I ma pan dwóch synów.

Komisarz podniósł się i nachylił nad lobbystą.

– Jeszcze słowo o nich, a...

Łazarowicz zrobił zdziwioną minę.

– Ale ja nie miałem nic złego na myśli – powiedział. – Po prostu... Pańscy

synowie. Oni rosną. Za niedługo będzie pan się zastanawiał, jaką szkołę dla nich wybrać. Prywatną czy państwową. Ważne, żeby dobrą, czyż nie? A do dobrej szkoły trudno się dostać. Mało miejsc. A potem studia. Ten sam problem. A na studiach już fajnie by było zacząć jakąś karierę zawodową. Zdobyć praktykę, staż w fajnym miejscu. Żeby to wszystko załatwić, dobrze jest mieć odpowiedni numer telefonu.

– Wypchaj się swoim telefonem!

– To czego chcesz? – zapytał ostro Andrzejewski.

– Odpowiedzi.

– Jakich?

– Kto zabił Evelinę Wilkiewicz i jej matkę?

– Kochan.

– Przecież wiesz, że to kłamstwo.

– Niby skąd? Na miejscu znaleziono jego broń!

– No właśnie! Myślisz, że zabiłby je z własnego pistoletu, a potem go tam zostawił?!

– Zawsze był debilem i debilem pozostał! – wrzasnął Andrzejewski.

– Panowie, panowie – Łazarowicz zaczął ich uspokajać. – Nie ma powodów do kłótni. Tak jak powiedział pan podinspektor, nie jesteśmy wrogami. Nie przyszliśmy tu walczyć. Przyszliśmy znaleźć rozwiązanie.

Mortka zazgrzytał zębami.

– Panie komisarzu – odezwał się po chwili ciszy lobbysta – rozumiem, że obecna sytuacja jest dla pana trudna. Dla nas też. Moja propozycja. Niech pan przemyśli to, co pan usłyszał, zastanowi się, czego chcecie z koleżanką, jak możemy sobie pomóc. A potem niech pan do nas zadzwoni. Zrobimy to tak, żebyśmy wszyscy byli zadowoleni, a sprawiedliwości stało się zadość.

– Sprawiedliwości?

– Borzestowski jest złym człowiekiem, panie komisarzu. Sam pan o tym wie. Mortka wstał z krzesła.

– Przemyśli pan to, komisarzu? – zapytał lobbysta.

Mortka kiwnął głową. Nie zamierzał nawet rozważać tej propozycji, ale uznał, że kłamstwo to najszybszy sposób, by się stąd wydostać. Miał już dość tej rozmowy. Zabrał telefon i wyszedł z pomieszczenia.

Już na korytarzu, przy drzwiach do piwniczki z winami, usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się. Andrzejewski stał ledwie metr od niego.

– Czego chcesz? – zapytał Mortka.

– On miał rację – powiedział podinspektor. – Każdy z nas ma coś na sumieniu.

– Naprawdę?

– Powiedz mi, Kuba... Co się stało z Klaudią Kameron?

Mortka chciał się odwrócić i iść dalej, ale Andrzejewski go chwycił. Przycisnął do ściany.

– A ten ślusarz? Jak mu było? Zresztą nieważne. Jednego dnia nie chce nic mówić, drugiego sam przybiega przerażony, jakby zobaczył samą śmierć, i zaczyna zeznawać jeszcze w korytarzu. Naprawdę mam uwierzyć, że nie miałeś z tym nic wspólnego? Że nie poprosiłeś nikogo o przysługę? Co kazali ci dać w zamian, Kuba? Czy dlatego teraz pomagasz ukrywać się Borzestowskiemu?

Mortka szarpnął się, uwalniając się z uchwytu przełożonego.

– Zabiłeś trzech mężczyzn.

– Trzech złych ludzi – warknął podinspektor. – Gangsterów, przestępców, złodziei, gwałcicieli i morderców. Bezkarnych i pewnych swojej bezkarności. Trzeba im było pokazać, że się mylą.

– Ale nie dlatego to zrobiłeś – powiedział spokojnie Mortka.

Andrzejewski cofnął się o krok. Spojrzał badawczo na komisarza.

– Co ci powiedział Borzestowski?

– W tej sprawie? Nic. Ważniejsze było to, co ty mi powiedziałaś.

– Co takiego?

– Że nie zabiłeś kobiety Wilka. Ani wtedy, ani teraz.

– Bo to prawda.

– Ale dlaczego w ogóle miałbyś ją zabijać? Szczególnie wtedy. A potem sobie przypomniałem. To, jaki pewien siebie był Wilk. Podobno uważał się za nietykalnego. Jakby liczył na czyjąś ochronę. I to, że tuż po jego zabójstwie włamano mu się do domu. I to, że podsuwał swoją kobietę różnym mężczyznom, żeby zbierać na nich kompromitujące materiały. Jednym z nich byłeś ty, prawda? Miał na ciebie haka. To dlatego go zabiłeś. Nie dlatego, że miałeś dość, nie z powodu tego policyjnego pierdolenia o złym świecie i sprawiedliwości, które tak chętnie mi sprzedawałeś. On cię szantażował. Ty postanowiłeś się go pozbyć.

Andrzejewski przełknął ślinę. Jego ciało napięło się, jakby szykowało się do walki. On jednak tylko wskazał palcem na siebie, a potem na Mortkę.

– Ty i ja, Kuba. Ty i ja – rzucił i zaśmiał się krótko. – Wszyscy zawsze mówili, że jesteś podobny do Grudy, bo niby obaj nigdy nie odpuszczacie. Ale tak naprawdę więcej łączy nas, ciebie i mnie. Zrozumiałem to po sprawie tego ślusarza, a teraz mi to przypomniawszy. Ta reakcja, kiedy tylko wspomniawszy o twoich dzieciach.

– Niby co takiego nas łączy?

– Obaj jesteśmy w stanie zrobić wszystko dla rodziny. Małgosia wtedy chorowała, Kuba. Gdyby się dowiedziała, to by ją zabiła.

– To cię usprawiedliwia?

– Albo ona, albo oni. Wybór był prosty. I wiesz co?

– Co?

– Na moim miejscu zrobiłbyś dokładnie to samo.

Iwona Napieraj patrzyła na swoje odbicie w lustrze w firmowej łazience i zastanawiała się, co może zrobić, żeby znowu wyglądać jak człowiek. Atak płaczu dopadł ją niespodziewanie. W połowie roboczego spotkania poczuła, że coś uciska ją w piersi, w ustach zbiera się ślina, w oczach łzy, a w głowie zamiast paragrafów i uwag do umów ma tylko obraz Lusi, kiedy Przemek zabierał ją z domu, żeby zaprowadzić do przedszkola.

A przynajmniej tak mówił.

Pobiegła do łazienki. Zamknęła się w niej. Opuściła deskę klozetową i usiadła. Zaczęła szlochać.

Obudziła się tego dnia rano i kiedy tylko otworzyła oczy, miała wrażenie, jakby była w klatce. A nie powinna. Znajdowała się we własnym domu (mieszkanie co prawda kupione na kredyt, ale ich), we własnym łóżku, we własnej pościeli. Obok stał stolik nocny, a na nim leżała książka, którą sama wybrała. Jej własny mąż przygotowywał im w ich własnej kuchni śniadanie. A jednak czuła się tak, jakby oglądała to wszystko zza krat jakiegoś niewidzialnego więzienia i nie potrafiła już cieszyć się tym wszystkim, co miała na wyciągnięcie ręki, co powinno być realne, a nie było.

Rozumiała przyczynę tego stanu rzeczy. Jedną i oczywistą. Jej grzech, cień, który położył się na całym jej życiu, na jej małżeństwie. Łazarowicz i to jego „Do Sheratona przestaniemy chodzić, kiedy ja o tym zdecyduję”. Wiedziała, że nie udawał. Zniszczy jej życie, jeśli tylko da mu pretekst.

Chyba właśnie to początkowo tak bardzo ją w nim pociągało – zdecydowanie, gotowość do zrobienia tego, czego inni się boją, pewność siebie, posunięta nawet do egoizmu. Kiedy ją pieprzył, osiągała orgazm także dzięki świadomości tego, że on o to absolutnie nie dba. Przez długi czas uważała to za oznakę siły, ale teraz wiedziała już, że się pomyliła. Prawdziwie silny człowiek pozwoliłby jej odejść. Całe jego życie, ta poza, to wszystko wynikało z tego, że tak naprawdę był słaby i przestraszony. I bał się, że jeśli tylko poniesie porażkę, nawet tak niewielką i nieistotną jak jej odejście, rozsypie się jak domek z kart.

Inaczej teraz patrzyła na Przemka. Na jego niezgrabną czułość, dbałość w łóżku o to, żeby ona też doszła. Nawet na głupie kłótnie o nic. Przemek był jaki był, ale miał odwagę, by się odsłonić, dawał jej okazję, by go zraniła. Bo ją kochał. Dlaczego dopiero teraz to zrozumiała?

W porównaniu z Przemkiem Łazarowicz okazał się słabeuszem. Problem polegał na tym, że ona okazała się jeszcze słabsza.

Kilkanaście minut później stała w drzwiach kuchni. Przemek pośpiesznie popijał kawę i zagryzał ją kanapką. Lusia siedziała przy stole i mieszała łyżką w misce płatków. A Iwonę zabolalo serce, bo wiedziała, że takie chwile, zwyczajne i nudne, zawsze będzie przeżywać w cieniu Sheratona. Nie chciała tego. Ale jedynym sposobem na to, żeby tajemnica przestała być więzieniem, było jej

ujawnienie.

– Przespałam się ze swoim szefem – usłyszała swój głos. – Kilka razy. Raczej kilkanaście. Nie liczyłam.

Przemek wypuścił trzymaną w dłoniach kanapkę. Uderzyła o kuchenny blat, a potem zsunęła się do zlewu. Jej mąż dopadł do córki i zasłonił jej uszy. Z jakiegoś powodu ten gest niewiarygodnie Iwonę rozczulił.

– Przy Lusi? – zapytał. A po chwili dodał, jakby to słowo utkwilo mu na końcu języka i musiał je wypowiedzieć: – Kurwa?

Czekała na jego reakcję. Na to, aż zacznie krzyczeć, wyzywać ją od dziwek, suk i kurew, machać rękoma, a może, może... Może nawet ją uderzy... Ale on był spokojny. To znaczy widziała, że wszystko w nim buzuje, że ledwo potrafi to utrzymać na wodzy. Modliła się o to, by wreszcie wybuchł, a on tylko dopił kawę i dopilnował, żeby Lusia zjadła płatki.

– Odprowadzę ją do przedszkola – powiedział.

– Ja ją odprowadzam – przypomniała.

– Ale dzisiaj zrobię to ja – odburknął.

Nie protestowała. Patrzyła, jak ją ubiera. Jego ruchy były gwałtowne, pełne agresji. Nie że robił Lusi krzywdę, po prostu nie miał cierpliwości. Ciągnął ją za rączkę, kiedy wychodzili. Nie pozwolił im się przytulić na pożegnanie.

Kiedy skończyła szlochać, ledwo dała radę wstać z ubikacji. Urwała z rolki sporo papieru toaletowego, podeszła do umywalki i zaczęła wycierać sobie tusz z twarzy.

Po przyjeździe do pracy zatelefonowała od razu do przedszkola. Miła pani przedszkolanka poinformowała ją, że mąż nie przyprowadził Lusi. Zatraskana zapytała, czy coś się dzieje. Iwona zaprzeczyła. Zaczęła wydzwaniać do Przemka. Nie odbierał. Potem do jego pracy, gdzie też niczego się nie dowiedziała, oprócz tego, że jeszcze się nie pojawił. Nawet teściowa nie umiała niczego powiedzieć. Iwona jakoś trzymała się przez następną godzinę, chociaż dziki niepokój szarpał nią, jakby w jej wnętrzu zaszyto wściekłego kota. Aż do tego zebrania, kiedy nie dała już dłużej rady.

Wyczyściła sobie twarz. Wciąż wyglądała okropnie. Policzki czerwone, oczy przekrwione. Powinna pomalować się na nowo.

Wyciągnęła z kieszeni spodni telefon. Wybrała numer Przemka. Ku jej szczeremu zdziwieniu odebrał.

– Gdzie jesteście? – zapytała.

– My? Postanowiłem zabrać małą do zoo – oznajmił, jakby to była najzwyczajsza rzecz pod słońcem. W środku tygodnia. Nie potrafiła go zmusić do tej wyprawy nawet w weekendy. Narzekał, że będzie za dużo ludzi i nie znajdą miejsca do zaparkowania.

– Ale wróćcie do domu?

– Pewnie tak – usłyszała w jego głosie wahanie.

– Wróćcie? – powtórzyła.

– Tak.

– I co wtedy? – zapytała.

Po raz pierwszy w życiu słyszała bicie swojego serca.

– Jedno z nas zacznie się pakować – odpowiedział i się rozłączył.

Na miękkich nogach wyszła z toalety. Jej małżeństwo właśnie się skończyło. Cokolwiek się stanie, cokolwiek ona zrobi, nie uda się go uratować. Łazarowicz je zniszczył.

Jej wzrok powędrował w stronę jego gabinetu. Pomyślała, że może mu odebrać coś równie cennego. Wiedziała przecież więcej, niż się spodziewał.

Mortka wyszedł z pałacyku. Wsiadł w pierwszy autobus, który zatrzymał się na pobliskim przystanku. Przejechał jednak tylko kilkaset metrów. Wsiadł od razu na następnym, przy Ministerstwie Sprawiedliwości i placu Na Rozdrożu. Szybkim krokiem przeszedł do metra Politechnika i wsiadł w pociąg jadący na Kabaty. Na stacji Wierzbno przesiadł się do metra jadącego w przeciwnym kierunku i dojechał do Centrum, gdzie przesiadł się do tramwaju. Wysiadł na moście Poniatowskiego. Zszedł na Wisłostradę. Poczekał na pobliskim przystanku autobusowym, gdzie po dwóch minutach zatrzymała się jego toyota. Wskoczył do środka i samochód odjechał. Prowadziła Sucha. Na tylnym siedzeniu leżała torba z kilkunastoma kartami prepaid i kilkoma tanimi, używanymi telefonami z komisji. Postanowili z nich korzystać na wszelki wypadek.

– Nie śledzili cię? – zapytała policjantka.

– Nikogo nie zauważyłem.

Dojechali na Bemowo, niewiele po drodze rozmawiając. Kiedy weszli do mieszkania, Mortka prawie zderzył się z jakimś rudym chłopakiem w luźnej wełnianej bluzie. Komisarz pomyślał, że rudzielec ukradł ją jednemu z tych peruwiańskich Indian, którzy na placu przy metrze Centrum grali smętną muzykę i próbowali wcisnąć przechodniom swoje płyty. Chłopak miał bladą twarz pokrytą piegami.

– No czołem – rzucił.

– Czołem – wymamrotał Mortka.

W przedpokoju pod szafą siedziały dwie dziewczyny i paliły papierosy. Na widok policjanta podniosły się z podłogi i zniknęły w jednym z pokoi. Komisarz zajrzał jeszcze do kuchni, gdzie oprócz Szlomy siedziały kolejne dwie nieznane mu osoby.

– Co tu się dzieje?

Student odwrócił się. Wzrokiem poszukał wsparcia u kolegów.

– Wy ściągacie tutaj jakieś krzywe osoby, to my też, nie? To znaczy wy nie jesteście krzywi – zwrócił się do swoich znajomych – ale cała ta akcja...

Kapujecie?

Mortka nie do końca wiedział, do kogo było skierowane ostatnie pytanie. Bez słowa wszedł do pokoju Kochana. Sucha zamknęła za nim drzwi. Podkomisarz siedział na tapczanie, Borzestowski na krześle. Przypięty kajdankami do kaloryfera, zaciskał zęby i ciężko oddychał. Na biurku stały dwie butelki wody mineralnej, a obok nich leżała paczka paluszków, chleb tostowy i jakieś smarowidło.

– Wreszcie jesteś – powiedział Kochan, podrywając się z miejsca.

– Co to za ludzie?! – zaatakował go Mortka.

– Jacyś ich znajomi. Nie wiem, czemu ich sprowadzili. Może czują się bezpieczniej.

– Nie powinno ich tu być!

– A co niby miałem zrobić?

– Nie wiem, kurwa. Wywalić na zbity pysk.

– Łatwo ci mówić! Latasz sobie po całym mieście. Tutaj pojedziesz do Grodziska, tam do sklepu z komiksami, a ja muszę siedzieć i pilnować wszystkiego! Ledwo daję radę z Borzestowskim. Stęka jak cholerny parowóz.

– Mam problem z kręgosłupem – powiedział gangster. – Potrzebuję środków przeciwbólowych.

– Dostałeś ibuprom – przypomniała mu Sucha.

– Ibuprom jest, kurwa, dla dzieci.

– Dość – przerwał im Mortka i potarł czoło. W sąsiednim pokoju ktoś włączył głośno muzykę. Całe mieszkanie wypełniły rytmy reggae.

– Czego chcieli? – zapytała Sucha.

Komisarz wskazał na Borzestowskiego.

– Jego – powiedział. – To oczywiste.

– A co oferowali w zamian?

– Wszystko, co sobie tylko wymarzymy.

– Ufasz im?

– Ani trochę.

Sucha pokiwała głową. Borzestowski poprawił się na krześle. Wygiął się, zaciskając zęby i wydając z siebie ponure jęknięcie.

– To co zrobimy? – zapytał Kochan.

Do muzyki z głośników dołączyły bębny i grzechotki, a potem kilka osób zaczęło śpiewać.

– Chryste... – mruknął Mortka.

– Jak na Woodstocku, co? – rzuciła Sucha.

– Ale co zrobimy? – dopytywał się Kochan.

– Dajcie mi pomyśleć! – krzyknął i zaraz potem sam się skarcił w myślach za to, że stracił nad sobą panowanie. Nie mógł sobie na to pozwolić. Pomimo

zmęczenia, nerwów i obaw. Łazarowicz wspominał o jego synach. Andrzejewski powiedział, że jest gotów zrobić wszystko dla rodziny. Podobnie jak Mortka. Zastanawiał się teraz, czy to wcześniej wspólnie ustalili. Czy to była wiadomość, którą chcieli mu przekazać.

– Kuba...

– Myślę, że on sam nie wie – odezwał się Borzestowski i potrząsnął kajdankami. – Niech pan zacznie, komisarzu, od uwolnienia mnie.

– Zamknij się.

– Mogę wam pomóc. Mam wiedzę, mam pieniądze...

– Gdybyś naprawdę coś mógł zrobić – przerwał mu Mortka – to nie przychodziłbyś do mnie.

Borzestowski szarpnął kajdankami i zaraz zacisnął zęby, żeby nie syknąć z bólu.

– Jesteś głupi – powiedział.

Komisarz pominął to milczeniem.

– Jest tak... – zaczął po chwili Mortka. – Oni chcą Borzestowskiego, a my potrzebujemy konkretów. Twardych dowodów przeciwko Andrzejewskiemu, Grudzie i Łazarowiczowi.

– Jak chcesz je zdobyć? – zapytała Sucha.

– Skłonię ich do tego, żeby sami mi je dali.

– W jaki sposób?

Mortka pokazał palcem na Borzestowskiego.

– Dzięki niemu.

– Będzie przynętą? – domyśliła się Sucha.

– Chyba was popierdoliło! – zaprotestował gangster.

Mortka wyciągnął przed siebie otwartą dłoń.

– Co jest? – zapytał Kochan.

– Kluczyki – poprosił komisarz.

Podkomisarz chwilę się wahał, ale wreszcie sięgnął do kieszeni i podał je policjantowi, a ten podszedł do Borzestowskiego i ściągnął mu kajdanki.

– Możesz iść – stwierdził spokojnie. – Na ulicach polują na ciebie Andrzejewski z Łazarowiczem. Może sobie poradzisz. Może nie. Mnie to nie obchodzi.

Gangster w milczeniu rozcierał sobie nadgarstki. Po jego ustach błąkał się lekki uśmiezek. Nagle wstał. Zrobił dwa kroki w kierunku drzwi i zatrzymał się z dłonią na klamce.

– Myślę, że masz wielu wrogów – odezwał się Mortka. – Ludzi, którzy cię nienawidzą. Takich, którzy chcieliby zająć twoje miejsce i którzy widzą, że teraz jesteś słaby. Nie tylko Andrzejewski tam na ciebie czeka, prawda?

Gangster puścił klamkę. Odwrócił się do niego.

– Co konkretnie oferujesz? – zapytał.

– Szansę na przeżycie.

– Niby jak? Zrobisz ze mnie przynętę, okej, złapałem, ale jak skłonisz Andrzejewskiego do przyznania się do zabójstwa Wilka, a Łazarowicza do urządzania оргietek? Jesteś pewien, że tak chętnie będą z tobą rozmawiać, komisarzu?

– Myślę, że nie – przyznał Mortka. – Myślę, że niewiele będą mówić.

– To trochę się twój plan sypie w założeniach, co nie?

– Kiedy ja wcale nie chcę ich wsadzić za zamordowanie Wilka.

– To za co?

– Za próbę zabójstwa.

– Kogo? – zapytał Borzestowski, chociaż odpowiedź była jasna.

– Ciebie.

Gangster zmarszczył brwi, a potem roześmiał się głośno. Tak głośno, że na moment zagłuszył muzykę.

– Niezłe – stwierdził, a w jego głosie zabrzmiało coś, co można by wziąć za wyraz uznania. – Naprawdę niezłe.

– Usiłowanie – powiedział Mortka. – Taka sama potencjalna kara jak za zabójstwo. Dorzucmy do tego motywację zasługującą na szczególne potępienie. Najmniej dwanaście lat.

– Chciałbym zaproponować inne rozwiązanie.

– Inne rozwiązanie nie wchodzi w grę.

– A co będzie potem?

– Nie wiem – odpowiedział szczerze komisarz. – Obiecuję ci jedno. Ściągnięcie Andrzejewskiego i Łazarowicza. Co będzie potem, to będzie potem. Kwestia otwarta.

Borzestowski przez chwilę rozważał ofertę, kalkulował ryzyko, ale najwyraźniej naprawdę nie miał wielu możliwości, bo skinął głową, dając znak, że się zgadza.

– A co ze mną? – zapytał Kochan.

– Kiedy już będziemy mieli konkret na Andrzejewskiego, przycisnę go, żeby dowiedzieć się, co naprawdę stało się z Eveliną – powiedział Mortka. – Wiem, że to niewiele, jednak tylko tyle mogę ci zaoferować. Przykro mi.

Darek opadł na kanapę. Założył ręce za kark i przez chwilę wydawało się, że zamierza w tej pozycji spędzić resztę dnia.

– Lepsza marna szansa niż żadna – oznajmił po chwili. – Oby nam się udało.

– Sucha?

– Zróbmy to – odpowiedziała bez wahania.

– Ale nie możemy zostać tutaj – stwierdził Mortka.

– To się rozumie – zgodził się Kochan. – Ale gdzie pojedziemy? I gdzie

chcesz przeprowadzić tę swoją akcję?

Komisarz nie miał zielonego pojęcia. Na sam pomysł wpadł, dopiero gdy jechał samochodem z Suchą. Nie było czasu, żeby przemyśleć szczegóły ani nawet podstawowe sprawy, jak lokalizację i czas.

– Znam jedno miejsce. Nada się – oznajmiła policjantka. – Bezpieczne, żadnych osób postronnych, świadków, o których trzeba by się martwić. Daje spore możliwości, gdyby coś poszło nie tak.

– Co to za miejsce? – zapytał Mortka.

Sucha uśmiechnęła się.

– Pakujcie się – oznajmiła. – Zawiozę was tam.

– Tak to wygląda – powiedziała Sucha, kiedy dotarli na miejsce. – Atomowa kwatera dowodzenia lub, jeśli wolicie, kompleks 7215.

Mortka niepewnie rozglądał się dookoła. Zmierzchało. Samochód musieli zostawić w Dąbrowie Leśnej. Stamtąd pieszo szli leśnymi ścieżkami, aż dotarli na dużą polanę. Z jednej strony znajdował się jednopiętrowy budynek, który przypominał szkołę tysiąclatkę, obok niego mniejszy, wyglądający jak garaż, a z trzeciej strony resztki kolejnej budowli – komin, fragmenty murów. Wszystko było zdewastowane, zniszczone, upstrzone chaotycznym graffiti.

– Jeśli to miała być atomowa kwatera, to dobrze, że żadna wojna nie wybuchła – stwierdził Kochan. – Zmiotłoby nas w trzy sekundy.

– To tylko atrapy – odparła Sucha. – Prawdziwy schron znajduje się trzy piętra pod ziemią, a te budynki – wskazała – łączy sieć podziemnych korytarzy. Chodźcie, oprowadzę was.

Wcześniej rozdała im latarki. Teraz je włączyli. Poprowadziła ich do jednopiętrowego budynku, a właściwie żelbetonowego szkieletu, bo tylko tyle z niego zostało. Pod butami chrzęściły im kawałki gruzu. Gdzieś dostrzegali puszki po piwie i stare gazety.

– Ten budynek miał służyć za koszary – wyjaśniła. – W piwnicy jest podziemny korytarz, który prowadzi na drugą stronę placu. Pokażę wam.

– Skąd znasz to miejsce? – zapytał Mortka.

– Dziwię się, że ty go nie znasz – odpowiedziała.

Borzestowski kierował światło latarki na ściany i oglądał znajdujące się tam malowidła. Zatrzymał się przy wizerunku ogromnego białego kozła z domalowanym jaskrawozieloną farbą dużym, całkiem ludzkim członkiem.

– Artyści – mruknął.

Przeszli do wejścia do piwnicy. Na powale widniał napis „Welcome to hell”. Sucha pierwsza zeszła w dół. Poprowadziła ich długim, wąskim korytarzem i pokazała wyjście na plac niedaleko garaży. Potem wrócili tą samą drogą do budynku. Zatrzymali się tylko przy odnodze prowadzącej w bok. Była długa, zbudowana z półokrągłych, jednolitych żelbetonowych bloków, co kilka metrów przedzielonych zaporami, a jej koniec nikał w ciemności.

– To ślepy korytarz – powiedziała Sucha.

– A gdzie ten schron przeciwoatomowy? – zapytał Kochan.

– Pod garażami. Zaprowadzę was.

– To miejsce naprawdę jest niestrzeżone? – dopytywał Mortka, kiedy wychodzili już na zewnątrz.

– Naprawdę – potwierdziła. – Latem i wiosną można spotkać tutaj miłośników militariów, badania opuszczonych miejsc i tym podobnych. Wtedy

czasami przychodzimy tutaj postrzelać, poćwiczyć taktykę, ale zimą jest głucho i pusto.

– My?

– Tacy wariaci jak ja – odpowiedziała kaśliwie.

Mortka uznał tę wypowiedź za wyczerpującą, a Sucha wróciła do tematu.

– Zalety tej lokalizacji: możemy spokojnie się przygotować i wszystko zaplanować. Istnieje minimalne ryzyko, że pojawią się osoby trzecie, cywile, którzy wmieszają się w akcję. Będziemy mieć przewagę dzięki znajomości miejsca.

– A wady?

– Cóż... to już Puszcza Kampinowska. Jeśli coś pójdzie nie tak, nawet nie ma kogo prosić o pomoc.

Policjant wsadził ręce do kieszeni i rozejrzał się dookoła po całym kompleksie. Nie wzbudzał w nim zachwyty, ale im dłużej komisarz tu przebywał, tym bardziej przyznawał Suchej rację. Nie wiedział, czego się spodziewać po Andrzejewskim, Grudzie i Łazarowiczu. Nie mógł przewidzieć tego, co się stanie, kiedy się spotkają. Ale tutaj faktycznie nie było ryzyka, że zranią przypadkiem kogoś postronnego, jeśli dojdzie do strzelaniny.

– To jaki ma pan plan, komisarzu? – odezwał się Borzestowski. – W jaki sposób spróbują mnie zabić? I co ważniejsze, przynajmniej dla mnie, w jaki sposób nie zginę?

Gangster chodził najwolniej z nich wszystkich. Poruszał się z wyraźnym trudem. Co kilka, kilkanaście kroków przystawał, krzywił się z bólu, ale nie skarżył się głośno. Łykał kolejny ibuprom i szedł dalej.

– Zadzwoń do Andrzejewskiego – zaczął Mortka. – Przekażę mu, że zgadzam się na jego propozycję. Oddaję im ciebie, a w zamian będziemy chcieli...

Nie potrafił dokończyć tego zdania. Nie przychodziło mu do głowy żadne żądanie, które zabrzmiałoby wiarygodnie. Gdyby poprosił o pieniądze, Andrzejewski od razu by się domyślił, że szykuje na niego pułapkę.

– Gwarancji bezpieczeństwa – podpowiedziała Sucha – dla ciebie i dla mnie. Zadośćuczynienia za napad w moim mieszkaniu.

– I przeniesienia do innych jednostek – dokończył Kuba. – Komenda Główna?

– Dobry pomysł.

– Łyknij to?

– Oby.

– Świetnie. Cieszę się, że ubijacie takie interesy na moim trupie – włączył się Borzestowski.

– Dobra, dobra – mruknął Mortka. – Poinformuję ich, że spotykamy się tutaj o wybranej przez nas godzinie. Dlaczego tutaj?

- Bo właśnie tutaj ukryliśmy Borzestowskiego – wyjaśniła Sucha.
- Okej. Nietypowa lokalizacja, ale Andrzejewski wie, że ty jesteś dziwna, więc to kupi – mówił na wpół do siebie, na wpół do innych komisarzy. – Przyjadą tutaj, spotkają mnie, poprowadzę ich do ciebie. – Wskazał na Borzestowskiego. – I tutaj istotna rzecz: Andrzejewski prawdopodobnie nie wie, że Kochan jest z nami.
- Podkomisarz drgnął, kiedy usłyszał swoje nazwisko.
- Będziesz naszym asem w rękawie – wyjaśnił mu Kuba i wrócił do gangstera. – Prawdopodobnie spróbują cię zabić.
- Dlaczego im się nie uda? – zapytał Borzestowski.
- Bo będziesz miał kamizelkę kuloodporną – odpowiedziała mu Sucha.
- Masz dostęp do takiego sprzętu? – zwrócił się do niej Mortka.
- Tak. Podobnie jak do kamer termowizyjnych i mikrofonów. Do wszystkiego, co jest nam potrzebne, żebyśmy mogli zebrać wszelkie materiały.
- Gdzie to zamontujemy?
- Albo w schronie, albo w koszarach. W każdym razie Borzestowski musi ukrywać się w budynku.
- Dlaczego?
- Bo snajperzy – powiedziała Sucha obojętnym tonem.
- Wszystkie spojrzenia skierowały się w jej stronę.
- Powiedziałeś, że Łazarowicz prawdopodobnie wynajął kogoś, kto próbował cię zabić w Złoty Tarasach. Nie możemy wykluczyć, że ten ktoś znów się pojawi. Najłatwiej cię sprzątnąć z odległości, a teren temu sprzyja. Duża otwarta przestrzeń tu, sporo zarośli i miejsc do ukrycia się tam. – Wskazała na las.
- W budynku są grube ściany. Trzymaj głowę nisko, a będziesz bezpieczny.
- Świetnie – powiedział pod nosem Kochan. – My na pewno wiemy, co robimy?
- Masz lepszy pomysł? – zapytał Mortka.
- Niespecjalnie.
- To się zamknij.
- To, że nie mam lepszego pomysłu, nie znaczy, że twój jest dobry – powiedział podkomisarz.
- Mortka nie skomentował. Zamiast tego dalej tworzył plan.
- Prowadzę ich do Borzestowskiego, do przygotowanego wcześniej pomieszczenia.
- A oni tam do mnie strzelają, tak? – odezwał się gangster.
- Tak.
- Ale nie ginę, bo mam na sobie kamizelkę, tak?
- Tak.
- Chcę też dostać broń.
- Nie ma mowy.

- Powiniennem mieć pistolet.
- Nie ma szans.
- Borzestowski prychnął wściekle.
- No dobra. Oni do mnie strzelają. Ja nie mam się jak bronić. Co dalej?
- Wtedy pojawia się Kochan i Sucha. Ja wyjmuję swój pistolet, aresztujemy ich, przekazujemy zebrane materiały wyżej. I czekamy na to, co się stanie.
- A jeśli nie zechcą dać się aresztować?
- Będziemy improwizować.
- Element zaskoczenia będzie po naszej stronie – wyjaśniła Sucha. – Dobrze się przygotowujemy. Mogę załatwić granaty hukowe, odpowiednie ubrania. Będą przekonani, że spadł na nich cały pluton AT.
- Mortka popatrzył po twarzach reszty. Nikt nie wyglądał na przekonanego, każdy widział, ile jest luk w tym planie. Z drugiej strony, pomyślał, zawsze coś idzie nie tak. Czasami zbyt szczegółowe przygotowania potem utrudniają realizację. Lepiej być elastycznym, móc dopasować się do okoliczności. A przynajmniej tak sobie wmawiał.
- Jeszcze jedno – odezwał się Borzestowski. – Dacie mi kamizelkę, super. Ale co będzie, jeśli strzelą mi w głowę?
- Wtedy zatrzymam ich za zabójstwo – odpowiedział Mortka.
- Dostaniecie go. Sucha porzuca śledztwo. Odda wszystkie materiały, które zebrała.
- Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?
- Chcesz go czy nie?
- Tak. Co w zamian dla was?
- Kilka rzeczy.
- Słucham.
- Gwarancja bezpieczeństwa dla mnie i dla Suchej.
- Chryste, Kuba. Nikt nie groził twojej rodzinie.
- Tobie wierzę. Jemu nie.
- Andrzejewski westchnął.
- Zgoda. Daję ci słowo, że ani twojej rodzinie, ani rodzinie Suchej nic nie grozi. Jesteś zadowolony?
- Powiedzmy.
- Coś jeszcze?
- Zadośćuczynienie dla Suchej.
- Przekażę.
- Przeniesienia do innej jednostki. I nie do Sochaczewa, ale gdzieś wyżej.
- Co masz na myśli?
- Komenda Główna.
- Może być trudno.

– Twój Łazarowicz tak chwali się znajomościami, więc niech je w końcu wykorzysta.

– Zgoda. Coś jeszcze?

Oczekiwanie w głosie Andrzejewskiego zdradzało, że Mortka zażądał zbyt mało. Musiał poprosić o coś więcej. O coś, co faktycznie będzie warte życia Borzestowskiego.

– Rodzina Kochana – powiedział. – Jego żona nie pracuje, ma syna.

– Wiem.

– Trzeba o nich zadbać. Powinni dostać jakąś rentę.

– Za to, że Kochan jest zabójcą?

– Gówno mnie obchodzi, co to będzie, jak to nazwiesz, z jakiego funduszu to wyciągniesz ani kto to będzie naprawdę płacił. Ania powinna dostawać równowartość pensji Kochana.

– Jak długo?

– Do osiemnastki Jasia, to przecież jasne.

– Słuchaj, Kuba. Nie wiem, co sobie ubzdurałeś. Ani ja, ani Gruda nie skrzywdziliśmy tych kobiet. To zrobił Kochan. Inaczej po co się ukrywa? Nie wiem, dlaczego miałbym płacić za jego grzechy.

– Chcesz Borzestowskiego czy nie?

Cisza w słuchawce. Pełne niezadowolenia stęknienie. Wreszcie kapitulacja.

– Zgoda. Gdzie on jest?

– Nie tak łatwo. Za godzinę podam ci pierwszą lokalizację, gdzie masz się udać. Chcę, żebyś przyjechał tylko ty, Gruda i Łazarowicz. Nikogo więcej. Pamiętaj, że będziemy was sprawdzać.

– Masz rację, nie tak łatwo. Kombinujesz coś, Kuba.

– Tylko dbam o swoje bezpieczeństwo.

– A ja o swoje.

– Co proponujesz?

– Chcę ciebie albo Suchą.

– Co takiego?

– Jako zakładnika. Dla pewności, że nie wytniecie żadnego głupiego numeru. Kiedy dostaniemy Borzestowskiego, wypuszczamy zakładnika.

– Jesteśmy w kontakcie.

Mortka schował telefon do kieszeni. Zszedł do podziemi, zanurzając się w mroku i chłodnym, nieprzyjemnie pachnącym powietrzu. Sucha właśnie kończyła montować sprzęt nagrywający. Sprawdzała ustawienie kamery umieszczonej pod sufitem. Trzy mikrofony ulokowała w pozostałych kątach pomieszczenia.

– Borzestowski powinien siedzieć tam, niedaleko graffiti z tym ludzikiem. Wtedy kamera złapie i jego, i strzelającą do niego osobę. Druga kamera jest

zamontowana przy wejściu. Złapie wszystkich, którzy tutaj wchodzą.

– Jasne.

Sucha po pierwszym omówieniu planu zniknęła na blisko trzy godziny. Wróciła objuczona sprzętem elektronicznym, kamizelkami i bronią. Mortka wolał nie pytać, skąd to wszystko ma. Zrobił to za niego Kochan. Odpowiedziała, że od znajomych. Komisarz jej uwierzył.

– Jest problem – zauważył.

– Zawsze jest jakiś problem – odparła Sucha, a raczej wystękała, bo pomiędzy zębami trzymała kawałek taśmy klejącej, w dłoniach kombinerki, którymi majstrowała przy małym, wąskim obiektywie. Kiedy wreszcie go solidnie zamontowała, odetchnęła z ulgą i uważnie przyjrzała się swojemu dziełu.

– Nie jest idealnie, ale raczej nie powinni zauważyć – stwierdziła. – Tylko nie możemy tego zniszczyć. Obiecałam, że oddam.

– Raczej będzie trudno – odpowiedział Mortka.

– Zatrzymają jako materiał dowodowy?

– Tak.

– Koniu się wkurwi – mruknęła, wciąż oglądając ze wszystkich stron obiektyw. – Jakoś mu to wynagrodzę. Trzeba też sprawdzić ten korytarz pomiędzy garażami a schronem, czy na pewno jest drożny. Zrobisz to?

– Poproszę Kochana, żeby się tym zajął.

– Dobra. A jaki problem ty miałaś na myśli?

– Andrzejewski chce zakładnika. Na czas wymiany. Żeby upewnić się, że nie planujemy... cóż... tego, co planujemy.

– Szlag.

– To musisz być ty.

– Co takiego?!

– Inaczej tutaj nie przyjadą!

– Sam se idź na zakładnika.

– Nie. Tylko mnie ufa i Borzestowski, i Kochan. Jeśli mnie tu nie będzie, wszystko się rozsypie. Borzestowskiego nie możemy oddać z oczywistych względów. O Kochanie, miejmy nadzieję, nie wiedzą. Zostajesz tylko ty.

– Kurwa... – zaklęła.

– Jest jeszcze jeden powód – dodał.

– Jaki?

– Zostawia kogoś, żeby cię pilnował. To nie będzie Andrzejewski, bo on chce wszystkiego sam dopilnować. To nie będzie też Łazarowicz.

– Dlaczego?

– Andrzejewski weźmie go ze sobą, by upewnić się, że facet nie wycofa się w ostatniej chwili. Pozostaje tylko...

– Gruda – domyśliła się. – Cholera.

– Zrobisz to?

– Ja wymyśliłam to miejsce! Znam je najlepiej z was wszystkich. Do jasnej cholery, strzelam najlepiej z was wszystkich!

– Wiem.

– Nie poradzicie sobie beze mnie.

– Nie poradzimy sobie, jeśli nie zgodzisz się zostać zakładnikiem.

Ze złością rzuciła kombinerkami o ziemię.

– Nie poradzicie sobie beze mnie – powtórzyła.

Ale oboje wiedzieli, że będą musieli.

Andrzejewski skończył rozmawiać. Odłożył telefon do kieszeni i przeszedł pokój od ściany do ściany, w każdą z nich uderzając otwartą dłonią. Łazarowicz obserwował to z delikatnym rozbawieniem. Oprócz nich w pokoju w Sheratonie znajdował się jeszcze ten drugi policjant – Gruda. On z kolei siedział na łożku. Wzrok miał wbity w podłogę i dokładnie od ponad pół godziny przyglądał się na przemian czubkom swoich butów i drzwiom minilodówki. Zapewne miał ochotę na znajdujące się tam malutkie butelki z mocnym alkoholem, ale toczył heroiczny bój, żeby po nie jednak nie sięgnąć. Na razie wygrywał. Ciekawe jak długo.

– Zgodzili się – powiedział Andrzejewski. – Oddadzą nam Borzestowskiego. Aspirantka Suchocka przestanie grzebać w twoich śmieciach.

Łazarowicz nie wiedział, co poczuł, kiedy to usłyszał. Byli o krok bliżej zamknięcia całej sprawy, ale chyba jednak go to rozczarowało. Spodziewał się czegoś więcej. Silniejszego oporu, a przynajmniej bardziej zdecydowanego. Prawdziwego starcia. Okazji, żeby jeszcze raz użyć zabawki, żeby jeszcze raz kazać zabić. Wiedział, że to nienormalne, groźne i ryzykowne, ale przy tym takie proste i sprawiało mu przyjemność. Już sama świadomość, że gdzieś tam w Warszawie jest ktoś, kto po otrzymaniu od niego jednego esemesa był gotów pozbawić drugą osobą życia, sprawiała, że odczuwał wyraźną przyjemność, niemalże seksualną, intensywną i oszalamiającą. Od dawna czegoś takiego nie doświadczał. Być może po raz ostatni, kiedy wspólnie gwałcili jego asystenta. Ta jego oszołomiona twarz, kiedy przez narkotykową mgłę powoli docierało do niego, co się właśnie dzieje. Czyste piękno. Siła i władza. Tego Łazarowicz zawsze chciał, do tego dążył.

– Co dalej? – zapytał Gruda.

– Sucha będzie robić za zakładnika – wyjaśnił podinspektor. – Przypilnujesz jej.

Lobbysta zauważył, że na twarzy policjanta odmalowała się ulga. Pojawił się z Andrzejewskim kilka godzin temu, wkurzony i zagniewany, ale wraz z kolejnymi minutami te uczucia z niego wyparowywały jak alkohol z zostawionej na wolnym powietrzu szklanki whisky.

– A my? – zapytał Łazarowicz.

– Pojedziemy we wskazane miejsce i zlikwidujemy Borzestowskiego. Zamkniemy ten bajzel, a potem każdy z nas wróci do swoich interesów i będziemy udawać, że to nigdy się nie wydarzyło.

– Tylko we dwóch?

– Tak. Tylko we dwóch.

– A mój człowiek?

– Nie jest nam potrzebny.

– A co, jeśli ten cały Mortka jednak nie pozwoli nam zlikwidować Borzestowskiego? – zapytał lobbysta. – Czy nie przydałoby się nam wtedy wsparcie?

– Nie ufam twojemu człowiekowi. Akcja w Złoty Tarasach była błędem, a Mortka nie będzie o niczym wiedział i nie będzie miał wiele do gadania – odpowiedział podinspektor.

– Ale jeśli jednak...

– Do czego zmierzasz?

Łazarowicz zrobił minę lekarza, który ma do przekazania pacjentowi złą nowinę.

– Że być może powinniśmy się liczyć z możliwością, że ich również będzie trzeba... jak to powiedziałaś elegancko... zlikwidować?

Gruda poderwał się z łóżka. Andrzejewski powstrzymał go gestem i podszedł do Łazarowicza. Pchnął go palcem wskazującym prosto w pierś.

– Zapamiętaj sobie jedno – wycedził. – Nie tkniesz moich ludzi. Jedziemy tam tylko i wyłącznie po Borzestowskiego. Zrozumiałaś?

Łazarowicz wznosił ręce w górę w geście oznaczającym poddanie się.

– Powiedz, że zrozumiałaś.

– Zrozumiałem – powiedział lobbysta.

Bo rozumiał. To, że na Andrzejewskim nie można w stu procentach polegać. Że nie jest taki twardy, jaki się wydawał. Że Łazarowicz po raz kolejny będzie musiał wszystkiego sam przypilnować. Ale najlepsze w tym było to, że nawet się z tego ucieszył.

Sucha niechętnie opuściła kompleks. Wcześniej kilka razy przepytowała Mortkę ze szczegółów ich planu. Sprawdzała, czy na pewno pamięta, gdzie ukryli zapasową broń i co ma zrobić, kiedy pojawi się Andrzejewski z Łazarowiczem. Cierpliwie odpowiadał na jej pytania, chociaż w głowie kołatała mu myśl, że nie mają na to czasu. Na koniec wręczyła mu nóż. Cały wykonany z jednego kawałka stali, o dość szerokim ostrzu i wąskiej ręczce.

– Do rzucania – wyjaśniła. – Ale nie masz w tym doświadczenia, więc nawet nie próbuj.

– To po co mi go dajesz?

– Do pchnięć i cięć. Pistolety i reszta żelastwa, które wam zostawiłam, są świetne, ale zawsze warto mieć blisko siebie kawałek ostrej stali.

– Dzięki.

– Mam nadzieję, że nie będziesz go potrzebować.

Zarzuciła plecak na plecy i ruszyła w stronę Dąbrowy Leśnej. Mortka został z Kochanem i Borzestowskim.

Od tamtej chwili minęły trzy godziny. Dochodziła jedenasta w nocy. Drzewa w Puszczy Kampinoskiej skrzypiały groźnie, wyginane przez podmuchy wiatru. Dwie godziny temu dostał sygnał od Suchej, że dotarła na miejsce. Przez ten czas wysyłał Andrzejewskiego z miejsca na miejsce, każąc mu jeździć po całej Warszawie. Wiedział, że trzeba dać policjantce czas, by zrobiła to, czego od niej oczekiwał. Trzymał kciuki, żeby się jej udało. W końcu jednak musiał skończyć tę komedię, więc podał im prawdziwą lokalizację.

– Kiedy tu będą? – zapytał Borzestowski, który przysłuchiwał się tej rozmowie.

– Za około czterdzieści minut.

– Głupio panu będzie, jeśli jednak mnie zabiją?

Mortka odwrócił się do niego. Mężczyzna opierał się o ścianę garażu. Nie wyglądało na to, że się bał. Raczej był ciekaw odpowiedzi policjanta.

– Tak – stwierdził komisarz.

Nie chciał, żeby gangster umierał. Miał jego zakrwawiony garnitur. Po wszystkim odda go razem z Andrzejewskim i Łazarowiczem kolegom, którzy tu przyjadą, i dopilnuje, żeby dostał zarzut morderstwa. A przynajmniej taką miał nadzieję, bo liczył się, że po tym, co tutaj planowali, pożegna się ze służbą w tempie, które zawstydziliby Usaina Bolta. A na dokładkę dostanie kilka zarzutów.

– Kim jest pana ojciec? – zapytał nieoczekiwanie Borzestowski.

Mortka zastanawiał się, co się kryje za tą zmianą tematu. Gangster wyczuł to, bo zaraz dodał.

– Pytam z ciekawości.

Policjant wątpił, żeby to był jedyny powód, ale uznał, że nie stanie się nic złego, jeśli odpowie.

– Lekarzem.

– Naprawdę? To dziwne.

– Dlaczego?

– Bo synowie lekarzy zostają lekarzami. Co się stało?

– Nie lubię szpitali.

Borzestowski roześmiał się krótko.

– Ja też – stwierdził. – Ojciec pana bił?

– Zdarzało się.

– Ile razy?

– Chyba dwa.

– Dlaczego?

– Za pierwszym razem... – Mortka skupił się, by przywołać wspomnienia – u wujostwa na wsi. Zamknąłem siostrę w kurniku. Wpadła w panikę. Kury też. Podziobały ją do krwi. Za drugim razem zrobiłem coś w szkole. Nie pamiętam co, obraziłem nauczycielkę czy wybiłem szybę. Ojciec wrócił po dwudziestu czterech godzinach do domu. Mama powiedziała mu, co się stało, i kazała ze mną porozmawiać. Ze zmęczenia nie miał siły mówić, więc uznał, że najlepiej będzie, jeśli zrobi to za pomocą pasa. Potem było mu głupio.

– Chciałbym móc policzyć, ile razy zostałem pobity z bratem przez ojca – powiedział Borzestowski, a w jego głosie pojawiła się autentyczna nuta zazdrości. – Łał nas za byle co, ale większość czasu pił. Pewnego razu wpadł pod pociąg niedaleko Warszawy Wschodniej. Nie wiadomo, czy tam kradł, czy ktoś go wepchnął, czy po prostu zasnął na torach. Potem pojawił się ojczym, który był jeszcze gorszy.

Mortka poczuł ukłucie strachu. Nie wiedział, dlaczego Borzestowski mu to wszystko opowiada, do czego dąży. Nie ufał mu i spodziewał się jakiejś pułapki.

– Kilka lat temu pojawiłem się na moim starym podwórku, popytałem o kumpli z dzieciństwa – mówił dalej gangster. – I wie pan co, komisarzu?

– Co?

– Połowa nie żyła. Albo się zapili, albo zaćpali, albo utonęli, albo... – Machnął ręką, bo nie chciało mu się wymieniać dalej. – Połowa pozostałych mocno pracowała, żeby do nich dołączyć. Reszta ledwo wiązała koniec z końcem. Wyszliśmy stamtąd tylko ja i mój brat. Tylko nam się udało. Chociaż jego to musiałem za uszy wyciągać.

Przerwał na chwilę. Wpatrywał się w ciemną ścianę lasu.

– Jeszcze jakieś pół godziny, co?

– Mniej więcej. Mogą pojawić się wcześniej.

– Jasne – stwierdził gangster i wrócił do przerwanej historii. – Ojciec łał gdzie popadnie, ale miał jedną zajebistą rzecz.

– Jaką?

– Złoty medal olimpijski w rzucie oszczepem – powiedział Borzestowski. – Co jakiś czas go wyciągał i mi pokazywał. Chryste, jaki ja wtedy byłem z niego dumny. Z siebie. Jako jedyny mogłem się tym pochwalić, panie komisarzu. Mój stary był kimś. Jebanym mistrzem olimpijskim. I patrząc na ten medal, w jakiś dziwny sposób uwierzyłem, że ja też mogę coś w życiu osiągnąć. Bo jeśli takiemu zeru się udało, to czemu mi nie miałyby się udać?

– Której olimpiady? – Mortka nagle zaczął słuchać z zainteresowaniem.

– Nie wiem, nie pamiętam. Potem ojciec umarł, pojawił się ojczym, potrzebował na wódkę, więc zaniósł medal do lombardu. I tak ten złoty krążek zniknął z naszego domu. Znienawidziłem wtedy chuja. To znaczy nienawidziłem go wcześniej, ale wtedy tak naprawdę. – Borzestowski zgiął się, kiedy plecy zaboląły szczególnie mocno. Sapnął dwa razy i dopiero potem kontynuował. – Kiedy matka umarła, odnalazłem ten medal. Nie wiem, jak i kiedy do nas wrócił. Pewnie odebrała go z lombardu. I wie pan co, komisarzu?

– Co?

– Wcale nie był złoty. Nie był, kurwa, nawet z olimpiady. To był brąz w rzucie oszczepem na Młodzieżowych Mistrzostwach Polski. Kutas o kadrę olimpijską się nawet nie otarł.

Mortka czekał na zakończenie tej historii, jakąś puentę, ale po kilku minutach milczenia zdał sobie sprawę, że nie ma co na to liczyć. I nagle coś sobie przypomniał. Coś, o co powinien zapytać już dawno temu.

– Dlaczego ostrzegłeś Kochana?

– Słucham?

– Po śmierci Eveliny i jej matki ostrzegłeś go przed aresztowaniem. Skąd o tym wiedziałeś? Dlaczego to zrobiłeś?

Borzestowski chwilę trwał w bezruchu, a jego oczy zrobiły się jeszcze bardziej zimne i obce niż zazwyczaj. Jakby należały do lodowej rzeźby, a nie do żywego człowieka.

– Nie musi pan wszystkiego wiedzieć, komisarzu – odpowiedział gangster.

Policjant spojrzął na zegarek. Nie było czasu, żeby ciągnąć ten temat.

– Idź już lepiej do schronu. Ubierz kamizelkę.

– Powiniennem dostać broń.

– Powinieneś się cieszyć, że nie siedzisz w kajdankach i z workiem na głowie.

Gangster pokazał komisarzowi środkowy palec. Oderwał się od ściany i zniknął we wnętrzu budynku. Przez moment Mortce towarzyszyło echo jego kroków, a potem zaległa cisza. Obserwował las i drogę prowadzącą do kompleksu.

Pozwalał myślowi swobodnie błędzić po zakamarkach mózgu. Przypominał sobie twarz swoich synów i żałował, że ostatnio nie miał czasu, żeby się z nimi spotkać. Powracały sceny z jego małżeństwa. Te dobre, głównie z początku, i te złe, głównie z paskudnej końcówki, która pewnie ich oboje kosztowała kilka lat życia. Myślał o Oldze. Tej z Krotowic, przepełnionej gniewem, złamanej kobiecie. I tej z Warszawy. Ona wreszcie dała mu chwilę oddechu i czegoś, co mógłby może nawet nazwać szczęściem. O Klaudii Kameron. O swoim skinięciu głową. Gdzie byłby teraz, gdyby nie wykonał tego prostego gestu? Czy go żałował? Najgorsze, że wciąż tego nie wiedział. Wtedy wydawało mu się, że zrobił to, co należało. A potem robił wszystko, by o tym więcej nie myśleć. I całkiem nieźle mu to wychodziło.

W ciemności dostrzegł światło latarek. Odwrócił się w stronę budynku koszar. Podniósł nieznacznie jedną rękę, dając umówiony znak Kochanowi, i ruszył w tamtą stronę.

Kochan siedział na pierwszym piętrze dawnego budynku koszar. Było mu na przemian gorąco i zimno. Kłął nieustannie pod nosem, próbując wymyślić najbardziej paskudne przekleństwo. Zatrzymał się na cipokurwie, która normalnie nie zrobiłaby na nim większego wrażenia, ale teraz chciało mu się nieustannie rzygać i srać ze zdenerwowania. Zaciskał zęby i pośladki i wmawiał sobie uparcie, że robi to, co należy. Życie go do tego zmusiło. Tylko tak w umysłach śledczych mogła pojawić się hipoteza, że to Andrzejewski stał za zabójstwem Eveliny i jej matki. Miał motyw – nie chciał doprowadzić do wykrycia prawdziwych zabójców Trójki z Neptuna. Wiedział, gdzie mieszka jego podwładny. Mógł ukraść mu broń, zabić obie kobiety i zostawić pistolet, by zrobić podkomisarza. Teraz Kochan musiał tylko doprowadzić do tego, żeby inni też to dostrzegli. I dlatego tu był.

Wpatrywał się z góry w sylwetkę Mortki, trzymając palec na spuście karabinku Arsenal. Sucha wytłumaczyła mu, że to bułgarska wersja starego dobrego kałasza, a potem długo go zachwalała, opowiadając, jak porządnie jest wykonany i jak bardzo cenią go w środowisku. Na koniec dodała:

– Ważne jest to, że nic tak nie rozwiązuje konfliktów jak pocisk 7,62 na 39.

Pokiwał twierdząco głową, jednak nie przyznał się, że z kałasza po raz ostatni strzelał lata temu na jakimś przypadkowym szkoleniu. Wtedy poszło mu całkiem nieźle, ale to było na strzelnicy, w biały dzień. A teraz w dodatku miał mokre dłonie i pot spływał mu po plecach.

Zgodnie z planem ubezpieczał Mortkę w pierwszej fazie operacji, pilnował, żeby nie pojawił się ktoś trzeci, i reagował, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli. Później, kiedy komisarz wejdzie do schronu przeciwatomowego pod garażem, Kochan miał dostać się tam podziemnym korytarzem, który pokazała im Sucha. Gdy Andrzejewski lub Łazarowicz spróbują zabić Borzestowskiego, podkomisarz wrzuci granat hukowy i wpadnie do pomieszczenia z odbezpieczoną

bronią.

Na filmie wyglądałoby to super. W rzeczywistości, gdyby miał jakikolwiek wybór, już dawno by się stąd zwinął.

Poczuł za sobą ruch. A może go usłyszał. Nie był pewien. Wiedział tylko, że ma ułamek sekundy, żeby zareagować.

Nie zdążył.

Stalowy uścisk zakleszczył się na jego szyi. Kochan otworzył usta, żeby krzyknąć, ale nie mógł wydobyć z siebie niczego głośniejszego niż leciutkie rżenie. Próbował się szarpnąć, wykonać jeden z rzutów judo, których dawno, dawno temu go uczono, jednak ledwo wierzgnął. Ciało było słabe. Prawie go nie wyczuwał. Nagle bok eksplodował mu bólem i krwią. Zrozumiał, że został ugodzony nożem. Miał wrażenie, że ostrze ześlizgnęło się po kamizelce kuloodpornej.

Udawaj martwego – nie wiedział, czy pomyślał to, czy powiedział. Miał nadzieję, że to pierwsze. Odpuścił. Przestał walczyć. Zamknął oczy.

Sekundy jak godziny.

Koniec.

Jego ciało uderzyło o betonową podłogę. Krew ściekała po jego boku. Ledwo słyszał. Nic nie widział. Myśli zwolniły, jakby toczyły się wewnątrz jego głowy niczym wielkie bloki betonu.

Nie ruszaj się. Nie oddychaj. Udawaj martwego.

Ktoś stał obok niego. Zaraz się schyli. Wyciągnie broń. Dokończy to, co zaczął.

Kochan chciał płakać. Ania. Był złym mężem. Złym człowiekiem. To jego wina. Wszystko jego wina. Ale chciał to wszystko naprawić. Próbował to wszystko naprawić.

Zaraz zginie.

Udawaj martwego. Udawaj, że to już się stało. Udawaj, że nie żyjesz.

Kroki. Ten ktoś odchodził. Odchodził.

Kochan leżał na ziemi w kałuży własnej krwi, niepewny, czy jego serce już przestało bić czy jeszcze nie.

Mortka przeszedł na skraj polany. Zaświecił kilka razy latarką, żeby zwrócić na siebie uwagę. Chwycił za uchwyt przypiętego do paska pistoletu. Światła latarek nadchodzących ludzi skierowały się w jego stronę. Zasłonił ręką oczy, by go nie oślepiły, ale niewiele to pomogło.

– Zostaw pistolet – usłyszał głos Andrzejewskiego.

– Opuśćcie latarki.

Zrobili to, o co prosił. Promienie oświetlały teraz jego buty i nogi. Potrzebował chwili, żeby jego oczy odzyskały zdolność widzenia. Potem kilka metrów przed sobą dostrzegł dwie sylwetki.

– Gdzie on jest? – zapytał Andrzejewski.
– Zaprowadzę was.
– Jeśli coś kombinujesz... – podinspektor zawiesił głos.
– Równie dobrze mogę spodziewać się czegoś takiego po was – powiedział komisarz.

Andrzejewski zachnął się.

– Po prostu to załatwmy – odparł. – Idziemy?

Mortka ruszył przodem, prowadząc ich w stronę kompleksu. Przez cały czas mimowolnie się kulił, obawiając się, że dostanie w plecy. Niby miał na sobie kamizelkę, ale nie ufał jej w stu procentach. Poza tym odpowiednia broń, odpowiedni kaliber i pociski przechodziły przez kamizelkę jak przez papier.

Doszli w pobliże budynku koszar. Mortka tam stanął i czekał, aż Andrzejewski i Łazarowicz do niego dojdą. Teraz miał okazję im się przyjrzeć. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegał niczego niepokojącego. Zastanawiał się, czy przyszedł z nimi ten trzeci. Ten, który próbował zabić Borzestowskiego. I wkrótce dostał odpowiedź. Razem z dźwiękiem przeładowywanej broni.

Odwrócił się, sięgając po pistolet, ale zamarł, kiedy ujrzał wycelowaną w siebie lufę. Stał przed nim mężczyzna w mundurze wojskowym i w czarnej kominiarce na twarzy. Przy pasie wisiała kabura z pistoletem, a w dłoniach trzymał karabinek. Mortka nie rozpoznawał modelu. Ale nie był to AK-47 ani najprawdopodobniej nic polskiej produkcji.

– Jeden z kałachem na górze – powiedział mężczyzna. – Wyeliminowany.

– Co jest, kurwa!?! – krzyknął Andrzejewski.

Łazarowicz przeczesał palcami włosy.

– Cóż – odezwał się – przywiozłem ze sobą małe zabezpieczenie. Jak widzisz, słusznie. Twoi ludzie jednak coś kombinowali. Kto był na górze? Borzestowski?

– Ktoś inny – odparł mężczyzna, nieustannie celując do Mortki. – Nie zlokalizowałem innych zagrożeń.

– Czy Borzestowski w ogóle tutaj jest? – zapytał Łazarowicz.

– Czekaj, czekaj – przerwał mu Andrzejewski. – Zabroniłem ci sprowadzać tutaj tego człowieka! – Wskazał na mężczyznę z karabinkiem.

– A ja nie posłuchałem – odpowiedział lobbysta pogodnym tonem i zwrócił się do Mortki: – Czy Borzestowski tutaj jest?

Komisarz nie odpowiedział. Kochan został „wyeliminowany”. Czy to znaczyło, że nie żyje? Mortka przeczuwał, że coś może pójść nie tak, ale nie spodziewał się, że aż tak szybko. Darek zginął, jeszcze zanim cokolwiek się zaczęło. To Mortka zostawił go w budynku koszar, to on go tu ściągnął. Ale czy miał inne wyjście? A teraz? Co powinien zrobić? Zastanawiał się, czy nie sięgnąć po broń. Odrzucił zaraz tę możliwość. Nie zdążyłby. Wystarczy przecież, że facet

naciśnie spust. Wyglądał na takiego, który zrobi to bez mrugnięcia okiem.

– Pan komisarz nie chce współpracować – zauważył biznesmen. – Gdzie jest Borzestowski?

Mortka milczał. Tylko tyle mu zostało. Zamknął oczy. Oddychał głęboko. Powietrze pachniało słodyczą. Dlaczego nigdy nie zwrócił na to uwagi?

– Gdzie jest Borzestowski?!

Mógł mu to powiedzieć. Borzestowski był złem. Kimś, kto ma krew na rękach. Nie wiadomo, ilu ludzi sam zabił, do ilu śmierci i tragedii się przyczynił.

– Gdzie jest Borzestowski?!

Czy ten jego opór miał jakikolwiek sens? Przecież i tak go znajdą. A jednak milczał.

– Pan komisarz nie chce współpracować.

– Kuba, po prostu powiedz, gdzie on jest, i skończmy to – powiedział Andrzejewski.

Mortka zacisnął mocno zęby, jakby się bał, że język sam zacznie mówić.

– Znajdziesz go? – zapytał Łazarowicz.

– Jeśli tu jest – odparł mężczyzna z karabinem.

– Znakomicie. W takim razie zabij pana komisarza.

– Co?! – ryknął podinspektor. – Nie! Nie tak się umawialiśmy!

– Rzeczywiście... nie tak się umawialiśmy – zauważył lobbysta. – Wiesz co?

W takim razie zabij ich obu.

Mortka otworzył oczy. Andrzejewski sięgał po pistolet. Lufa karabinka kierowała się w jego stronę. Palec mężczyzny był na spuście.

Huk wystrzału.

Kochan otworzył oczy. Był sam. Oddychał. Żył. Bolało go całe ciało, szczególnie szyja. Powoli przesunął rękę w stronę boku. Dotknął go i poczuł pod palcami lepłą krew.

Stracił przytomność. Chyba. Jeśli tak, to na jak długo?

Z dołu usłyszał jakieś głosy. Musiał się skupić, by rozpoznać ten należący do Mortki i Andrzejewskiego.

Powoli, zaciskając szczęki, żeby nie krzyczeć, podniósł się z ziemi, chwycił ramy okiennej i podciągnął. Łzy pociekły mu po policzkach. Dyszał ciężko. Płomień wżarł się w jego bok i chciwie rzucił się na jego wnętrzności. Kochanowi mroczyki latały przed oczami. Z trudem zachowywał równowagę.

Na dole stali Łazarowicz, Andrzejewski, Mortka i jeszcze jeden mężczyzna z karabinkiem. Celował do komisarza.

– Gdzie jest Borzestowski?! – krzyczał lobbysta.

Mortka mu nie odpowiedział. Głupek, przemknęło przez myśl Kochanowi. Powinien powiedzieć. On by powiedział. Natychmiast.

Podkomisarz opuścił głowę. Pod swoimi stopami dojrzał arsenał. Schylił się

ku niemu, chwycił za lufę i z trudem podniósł. Wydawało mu się, że broń waży co najmniej pięćdziesiąt kilogramów. Może więcej.

– Pan komisarz nie chce współpracować.

– Kuba, po prostu powiedz, gdzie on jest, i to skończmy.

Lufa zaczęła mu się wyslizgiwać z ręki. Złapał za karabinek drugą ręką.

– Znajdziesz go? – zapytał Łazarowicz.

– Jeśli tu jest.

– Znakomicie – odparł. – W takim razie zabij pana komisarza.

Kochan potrzebował kilku oddechów. Oparł lufę o ramę okna. Kolbę na ramieniu.

– Co?! – ryknął Andrzejewski. – Nie! Nie tak się umawialiśmy!

– Rzeczywiście... nie tak się umawialiśmy. Wiesz co? W takim razie zabij ich obu.

Podkomisarz nacisnął spust i posłał serię w dół.

Pociski wbiły się w grunt tuż pod ich stopami. Kawałki ziemi uderzyły w nogawki spodni Mortki. Mężczyzna z karabinkiem odwrócił się i posłał serię w stronę pierwszego piętra koszar, równocześnie biegnąc do wejścia do garażu, gdzie planował znaleźć osłonę. Zaraz za nim biegł lobbysta.

Kochan! – przemknęło przez myśl komisarzowi, a potem rzucił się przed siebie. Wpadł do koszar i wylądował na ziemi. Usłyszał, jak pociski przelatują nad jego głową i uderzają w sufit. Nie był pewien, kto strzela. Zerknął za siebie. W samą porę, by zobaczyć, jak Andrzejewski ląduje tuż obok niego. Podinspektor miał broń w rękach, ale zamiast w komisarza, oddał kilka strzałów w stronę wyjścia z koszar.

– To nie tak miało być! – wrzasnął, jakby to wszystko tłumaczyło.

Mortka przeczołgał się kilkanaście metrów w bok, do kolejnego pomieszczenia. Sięgnął do kupki gruzu. Zrzucił kilka kamieni z samej góry, a potem płachtę taktyczną. Pod nią leżała torba Sucheja. Otworzył ją i wyciągnął strzelbę Mossberga i karabin Remingtona 700 – solidny, dość popularny w Polsce. Używany przez myśliwych i do walki na długie dystanse, ale teraz nie mieli co wybrzydząć. Mortka zawahał się, ale wiedział, że teraz musi podejmować decyzje błyskawicznie. Dlatego wbrew wszystkiemu podsunął karabin podinspektorowi. Andrzejewski chwycił broń i spojrzał na niego pytająco.

– Potem – powiedział komisarz. – Pilnuj wejścia.

Mężczyzna z karabinkiem schował się w garażu. Tam, gdzie było wejście do schronu i gdzie ukrywał się Borzestowski.

Mortka schodami popędził na piętro. Skulony wpadł do pomieszczenia, gdzie powinien być Kochan. Podkomisarz siedział pod ścianą. Karabinek trzymał w zakrwawionych dłoniach. Oddychał ciężko, ale równo.

– Żyjesz? – zapytał bez sensu Kuba.

- Chyba.
- Dasz radę?
- Chyba.

Teraz Borzestowski. Musiał go wyciągnąć z tego schronu. W tej chwili tkwił tam jak w pułapce.

Był pat. Andrzejewski z Mortką schronili się w jednym budynku. Łazarowicz z zabójcą w drugim. Żaden z nich nie mógł wyjść ze swojej kryjówki, bo ryzykował śmiertelny postrzał. Została im tylko droga pod ziemią. Wrócił do Andrzejewskiego i klęknął tuż za nim.

– Pod nami jest tunel, który prowadzi do schronu. Schron jest pod garażem, gdzie kryją się tamci dwaj. W schronie jest Borzestowski. Idę po niego – wyjaśnił.
– Ty chroń Kochana. Jest na górze.

Mężczyzna otworzył usta, by zadać kilka pytań, ale skulony wciąż Mortka zbiegł już do piwnicy. Tunel okazał się tak wąski i niski, że komisarz musiał mocno się pochylić, żeby przejść, ale i tak co kilka kroków uderzał głową o sufit. Włączył latarkę czołową. Przeszedł kilkanaście metrów. Potem skręcił w bok i stanął oko w oko z ceglana ścianą.

– Kurwa! – zaklął.

Mieli to sprawdzić. Kazał Kochanowi to zrobić, a przynajmniej tak myślał do tej pory. Bo nagle sobie przypomniał, że chciał mu to zlecić, ale ostatecznie tego nie zrobił. Zbyt wiele się działo.

Podszedł do ściany i uderzył ją raz kolbą. Usłyszał głucho echo po drugiej stronie. Podejrzał, że wzniesiono ją niedawno. Nie miał tylko pojęcia po co i dlaczego ani kto miałby to zrobić. Wycofał się kilka kroków, położył na brudnej ziemi, odbezpieczył i przeładował strzelbę. Wystrzelił.

W magazynku znajdował się nabój typu breneka – pocisk kulowy przeznaczony do broni śrutowej, stosowany przez myśliwych do polowań na dzika. Nie nadawał się na dłuższe dystanse. Po pierwsze dlatego, że sama broń była mało celna, a po drugie, z powodu swojej konstrukcji pocisk szybko wytracał energię. Jednak z niewielkiej odległości był zabójczy.

Ceglana ściana jakby podskoczyła. W świetle latarki Mortka dostrzegł lecące w jego stronę czerwone odłamki i chmurę dymu. Huknęło tak, że przestraszył się, że ogłuchnie.

Strzelił po raz kolejny. Ściana znów podskoczyła. Tym razem pojawił się w niej sporej wielkości otwór. Komisarz podszedł i uderzając na przemian kolbą i pięścią, powiększył go na tyle, że mógł przedostać się na drugą stronę.

Mężczyzna trzymał się blisko ściany. Kuczał z bronią gotową do strzału, wycelowaną w kierunku wejścia do budynku. W zasięgu wzroku miał również ruinę, w której schowali się tamci. Analizował swoje położenie. Był w pułapce – w niewielkim pomieszczeniu bez okien, z jedyną drogą prowadzącą w głąb, do

podziemi. Tamci prawdopodobnie robili dokładnie to samo co on. Gotowi strzelać, gdyby tylko wystawił głowę na zewnątrz. Oni jednak mogli uciekać do lasu. Wycofać się.

Być może nawet już to zrobili.

Zastanawiał się, co się stało. Czy tamten na górze jednak przeżył, czy w obiekcie znajdowała się jeszcze jedna osoba? Obie możliwości wydawały mu się nieprawdopodobne. Przecież zabił mężczyznę z karabinkiem, a na terenie dawnych koszar nie było już nikogo więcej. Doskonale o tym wiedział, więc postanowił przestać roztrząsać ten problem. W niczym mu to nie pomoże. Popełnił błąd. Zdarza się. Teraz powinien skoncentrować się na kolejnych ruchach.

Odwiedził ten obiekt dwa razy podczas poszukiwań opuszczonych budynków. Uznał jednak, że nie będzie go wykorzystywał w swoich działaniach. Zbyt często odwiedzali go miłośnicy militariów, hobbyści i pasjonaci historii. Znał go jednak na tyle, by wiedzieć, że znajduje się teraz w garażu, który maskował wejście do schronu przeciwoatomowego.

Łazarowicz, jego hojny zleceniodawca, kucał tuż obok niego. Dyszał ciężko. Mężczyzna czuł w nozdrzach słono-kwaśny zapach jego potu i strachu.

– Co teraz? – pytał gorączkowo biznesmen. – Co teraz?!

Domagał się odpowiedzi, ale mężczyzna go ignorował. Układał plan działania. Mógł próbować wyjść z garażu. Wybiegłby, równocześnie ich ostrzeliwując, i ruszył w stronę lasu. Nie wiedział jednak, ilu przeciwników tam na niego czeka, a do pokonania miał duży obszar pustej przestrzeni. Przy jednym strzelcu szanse powodzenia oceniał na osiemdziesiąt procent, przy dwóch spadały do sześćdziesięciu, przy trzech wynosiły sporo poniżej pięćdziesięciu.

Zbyt duże ryzyko.

Drugie wyjście: bezpośrednie starcie. Nie wchodziło w grę. Znajdował się na straconej pozycji, przeciwnicy mieli przewagę liczebną, nie mógł liczyć na element zaskoczenia.

Trzecia możliwość: zbadanie tego obiektu. Spojrzał za siebie, w stronę schodów, które prowadziły do wnętrza schronu. Podczas poprzednich wizyt nie zbadał tego miejsca do końca. Teraz żałował. Podejrzewał jednak, że schron musi mieć wyjście ewakuacyjne. Gdyby je odnalazł, mógłby wykorzystać do ucieczki. Wyprowadziłby swojego pracodawcę do lasu, a potem razem udaliby się w bezpieczne miejsce. Było to najrozsądniejsze rozwiązanie.

Zastrzygł uszami, kiedy usłyszał dwa głuche huknięcia, dochodzące głęboko spod ziemi. Ładunki wybuchowe? Granaty? Z powodu echa nie potrafił ich zidentyfikować. Wiedział jednak, że jest to powód do niepokoju. Wtedy też do niego dotarło, że budynek koszar zapewne połączono ze schronem podziemnym korytarzem. Przeciwnicy mogli zająć go od tyłu.

– Co teraz? Co teraz?

Odwrócił się i uderzył lobbystę otwartą dłonią w policzek. Nie za mocno, ale na tyle, by na twarzy biznesmena pojawił się czerwony ślad. Zszokowany Łazarowicz otworzył szeroko oczy. Ale się zamknął.

– Teraz słuchaj – powiedział mężczyzna. – Wyprowadzę nas stąd. Nic ci nie będzie. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Powtórz.

Łazarowicz przełknął ślinę.

– Wyprowadzisz nas stąd. Nic mi nie będzie.

– Świetnie.

Mężczyzna przeszedł za biznesmena. Ściągnął karabinek i wręczył go zaskoczonemu lobbystcie. Były żołnierz ułożył jego dłonie na broni i skierował jej lufę w stronę wejścia.

– To HK416 – wyjaśnił. – Broń używana przez naszych chłopaków z Gromu. Trzydzieści naboju w magazynku. Niezawodny. Zabójczy. I teraz ważne, skup się!

– Tak.

– Nastawiony jest na ogień pojedynczy. To znaczy, że musisz naciskać spust za każdym razem, żeby wystrzelić jeden pocisk. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Powtórz.

– Muszę naciskać spust za każdym razem, żeby wystrzelić.

– Właśnie. A teraz zostajesz tutaj. Pilnujesz drzwi. I zastrzelisz każdego skurwiela, który w nich stanie. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Powtórz.

– Zastrzelę każdego skurwiela, który w nich stanie.

– Znakomicie.

– A ty?

Mężczyzna wiedział, że musi mu jasno i przystępnie wyjaśnić to, co się dzieje, i to, czego oczekuje od Łazarowicza. Żeby wiadomość dotarła do otumanionego adrenaliną mózgu.

– Poszukam drogi ewakuacji. Zaraz wrócę. Pod żadnym pozorem się stąd nie ruszaj. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Powtórz.

– Mam się stąd nie ruszać.

– I?

– I zabić każdego skurwiela, który spróbuje tu wejść?

– Dokładnie. I?

Łazarowicz pokręcił głową, dając znak, że nie wie, co powiedzieć.

– I nic ci się nie stanie. Wyciągnę nas stąd.

– Wyciągniesz nas stąd – powtórzył jak echo lobbysta.

Mężczyzna uderzył go jeszcze raz w policzek, ale tym razem lekko, niemal pieszczotliwie. Była to pochwała.

– Dobry chłopak – powiedział.

Wyciągnął pistolet, kolejny produkt firmy Heckler & Koch – model USP z podczepioną latarką i kolimatorem. Uznał, że to lepszy wybór do walki w zamkniętej przestrzeni niż karabinek. Lżejszy i poręczniejszy. Mężczyzna mógł szybciej złożyć się do oddania strzału.

Odbezpieczył broń i ruszył w głąb schronu.

Borzestowski łyknął kolejny ibuprom. W opakowaniu zostały jeszcze dwa. Co i tak nie miało znaczenia, bo w niczym mu nie pomagały. Kręgosłup ciągle bolał tak mocno, że co pewien czas walił pięścią w wyłożoną dźwiękochłonnym materiałem ścianę, żeby nie wyć z bólu.

Krążył po pomieszczeniu oświetlanym tylko lichym światłem latarki, którą mu łaskawie dano. Nienawidził czekać, nic nie robić, zdawać się na innych. A teraz właśnie to robił. Powierzył swoje życie komuś, kto teoretycznie był jego wrogiem. Dlaczego? Bo wiedział, że Mortka go nie zawiedzie. Zobaczył w nim to już podczas ich pierwszego spotkania prawie równo rok temu – tę absurdalną obowiązkowość, wierność zasadom. Komisarz mógł na pierwszy rzut oka sprawiać wrażenie kogoś słabego, niepewnego własnej wartości, nawet zakompleksionego, ale facet miał w sobie zaciętość godną pitbulla. I najśmieszniejsze, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Czy Borzestowski tego chciał czy nie, to Mortka był jego największą szansą na przeżycie. Zaufał, chociaż nie pamiętał, kiedy zrobił to po raz ostatni. Nie wiedział nawet, czy jeszcze wie, jak to się robi.

Mijały minuty wypełnione monotonnym biciem w ścianę w rytm pulsującego bólu pleców. Nagle, w wejściu do pomieszczenia dojrzał promień światła. Zaciśnął zęby i pięści. Zmrużył oczy. Przedstawienie czas zacząć, pomyślał, szykując się na spotkanie z Łazarowiczem i Andrzejewskim.

Ale do pomieszczenia wpadł sam Mortka. Oddychał ciężko. W dłoniach trzymał strzelbę.

– Spierdoliło się – powiedział Borzestowski, natychmiast domyślając się wszystkiego.

– Spierdoliło się – potwierdził policjant. – Idziemy.

Gangsterowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wyszli z pomieszczenia na korytarz, którym mieli dojść do tunelu łączącego schron z koszarami.

Błysk światła. Nie z ich latarek. Policjant błyskawicznie się skulił i odepchnął Borzestowskiego w bok. Strzał zabrzmiał zaskakująco pusto i cicho w tych wytłumionych podziemiach. Kula świsnęła tuż obok nich. Krzyk Mortki.

Komisarz odwrócił się w stronę źródła światła. Nacisnął spust strzelby. Potem jeszcze raz. Napastnik odpowiedział ogniem, równocześnie odcinając go od wyjścia.

– W głąb! – krzyknął Mortka.

Wycofali się. Komisarz strzelił po raz kolejny, żeby ich osłonić, i puścili się biegiem. Wpadli do wielkiej sali o długości około dziesięciu metrów. W jej rogu znajdowała się wielka, ziejąca czernią dziura. Nie wiedzieli, jak jest głęboka. Kolejny korytarz odbijał w bok, do następnych pomieszczeń. Ściany były osmolone, wewnątrz śmierdziało spalenizną. Nad samą dziurą ktoś napisał białą farbą jedno słowo – „Śmierć”.

– I co teraz?! – ryknął Borzestowski. – I czy ty w ogóle żyjesz?

Andrzejewski leżał na swojej pozycji. Za nim, trochę na górze, rozległy się ciężkie powolne kroki. Zerknął za siebie. Kochan, trzymając się ścian, krok za krokiem schodził po schodach. Był cały zakrwawiony. Zauważył go. Zmarszczył czoło, a potem lekko kiwnął głową. Podinspektor odpowiedział tym samym gestem.

– Po której jesteś teraz stronie? – zapytał cicho podkomisarz.

– Chyba po waszej.

Kochan zastanowił się nad tą odpowiedzią.

– Dlaczego?

– Tylko Borzestowski miał dzisiaj zginąć.

– Aha.

Kochan zrobił jeszcze kilka kroków. Położył się obok Andrzejewskiego.

– Oni są tam? – zapytał, głową wskazując na garaż.

– Tak.

– Aha... A Mortka?

– Poszedł po Borzestowskiego.

– A ty pilnujesz, żeby nikt stamtąd nie wyszedł? – domyślił się podkomisarz.

– Tak.

Kochan przymknął na chwilę powieki. Mogło się wydawać, że zasnął, ale po kilku sekundach je otworzył.

– Idź do niego – powiedział. – Do Kuby. Pomóż mu. Ja popilnuję garażu.

Andrzejewski nie odpowiedział od razu. Może dlatego, że gdyby to zrobił, przyznałby się do winy. Był policjantem całe swoje dorosłe życie i nigdy nie chciał robić nic innego. Rodzina i służba – tylko to się dla niego liczyło. A jednak doprowadził do sytuacji, w której niemal zginęła dwójka jego ludzi. Nagle dotarło do niego, że to wszystko już dawno wymknęło się spod kontroli, a on był zbyt ślepy, żeby to zauważyć. Ale jeszcze mógł to naprawić, a może raczej nie speprzyć do końca.

– Poradzisz sobie? – zapytał Darka.

– Tak.

Andrzejewski wręczył mu karabin. Kochan odwdzieczył się niewielką latarką.

– Jak się dostanę do tego schronu? – zapytał podinspektor.

Łazarowicz trzymał palec na spuście karabinka i się uśmiechał. To prawda, kiedy rozległy się strzały, spanikował. Nie wiedział, co robić. Popędził na ślepo za żołnierzem, jak dziecko za mamusią. Teraz mu było wstyd. Chociaż właściwie zachował się odpowiedzialnie – w sytuacji kryzysowej znalazł kryjówkę, przeżył. To świadczyło o trzeźwości myślenia, refleksie i stalowych nerwach. Tak, bał się. Miał na tyle odwagi, żeby to przyznać, ale strach minął, kiedy tylko dostał karabinek do rąk. Od tego momentu spłynęła na niego jakby jasność. Pełne opanowanie, przekonanie, że wie, co ma robić, że jest panem sytuacji. Mózg sam podsuwał mu kolejne obrazy Mortki, Andrzejewskiego, nawet Borzestowskiego, którzy giną pod gradem jego kul. Serie karabinka przeszywają ich ciała, krew i kawałki mięsa latają wokół. A kiedy już leżą na ziemi, podchodzi do nich i strzela im w głowę, by upewnić się, że nie żyją.

Tak miało być.

Ale teraz się nudził. Siedział, wpatrywał się w wejście do garażu, czekał. Z palcem na spuście. Świerbiło go, żeby nacisnąć. Zobaczyć, co się stanie.

Robiło mu się zimno. Poruszył kilka razy nogami, żeby trochę się rozruszać. Niewiele to pomogło.

Wtedy z dołu, ze schronu usłyszał odgłosy wystrzałów.

Odwrócił się w tamtym kierunku, jakby spodziewając się, że z podziemi zaraz ktoś wyjdzie.

Kolejne strzały.

Co teraz? Pomyślał, że przecież jest wojownikiem. Ma karabin i jest gotów zabić. Zdecydował w ułamku sekundy.

Włączył swoją latarkę. Trzymał ją razem z lufą karabinka, przez co było mu niewygodnie. Zszedł klatką schodową. Najpierw na poziom piwnicy, potem jeszcze głębiej, długimi schodami, aż doszedł do miejsca, w którym kiedyś zapewne znajdowała się śluza. Przekroczył ją. Przeszedł korytarzem, kierując się odgłosami walki. Nagle usłyszał niedaleko siebie kroki. Wskoczył natychmiast do jednego z bocznych pomieszczeń. Odważył się z niego wyrzeć, dopiero kiedy kroki się oddaliły. Kilkanaście metrów przed sobą dostrzegł sylwetkę.

Andrzejewski? Co on tu robił?

Odetchnął trzy raz głębiej, a potem postanowił iść za policjantem.

Mortka początkowo nie zrozumiał pytania Borzestowskiego, a potem poczuł coś mokrego na swojej twarzy. Dotknął jej ostrożnie i spojrzał na palce. Były pokryte krwią. Jedna z kul musiała go musnąć. A może dostał odpryskiem cegły. Nie wiedział.

– Żyję – stęknął.

Kucnął i lekko się wychylił. Ktoś do niego strzelił. Mortka zdążył się schować i sam oddał strzał. Potem usłyszał kroki, jakby ktoś biegł w ich kierunku. Wychylił się po raz kolejny i nacisnął spust.

Nic się jednak nie stało. Natychmiast schował się za ścianą. Strzelba miała tylko sześć naboji w magazynku. Wszystkie zużył. Nie miał zapasu. Zresztą nie wiadomo, czy zdążyłby ją załadować. Odrzucił ją i sięgnął po pistolet.

Znowu padły strzały. Kule wleciały do pomieszczenia i uderzyły w ścianę naprzeciwko. Zaraz za nimi do środka wpadł mężczyzna – żołnierz. Mortka zdążył jeszcze w niego wymierzyć, ale wtedy potężny cios podbił jego ramię. Kolejny, kolbą w twarz, sprawił, że mimowolnie wypuścił pistolet, który spadł gdzieś w ciemność, a potem oślepiło go światło latarki. Mrużąc oczy, dostrzegł jeszcze tuż nad nią lufę. Wtedy zaatakował Borzestowski. Uderzył żołnierza w plecy. Ten wydał ciche stęknięcie. Borzestowski chciał uderzyć po raz kolejny, ale nie zdążył. Mężczyzna już się odwrócił, zablokował cios i wyprowadził proste kopnięcie. Gangster zgiął się wpół. Potem spadły na niego kolejne uderzenia kolbą pistoletu, łokciami i pięścią, a Borzestowski, zataczając się, robił krok za krokiem w tył, żeby wreszcie paść na ziemię.

Mortka skoczył na plecy napastnika. Otoczył jego szyję ramieniem i zacisnął. Żołnierz zakręcił się z nim. Uderzył komisarzem z impetem w ścianę, a potem z całych sił ugryzł go w przedramię. Policjant ryknął, kiedy poczuł, że zęby przebiły się przez grubą tkaninę kurtki, a teraz przecinają jego skórę i zatapiają się w mięśniach ręki. Poluzował uchwyt i wylądował na ziemi.

Żołnierz stał nad nimi. Światło latarki krążyło od Borzestowskiego do Mortki, jakby zastanawiał się, którego zabić pierwszego.

Wtedy rozległ się strzał. Mężczyzna poderwał głowę. Jęknął. Jedną dłonią chwycił się za bok, a potem sam nacisnął spust. Cofnął się o dwa metry.

Czas jakby zwolnił. Mortka widział krew wypływającą spomiędzy palców żołnierza. Słyszał drobne kamyki miażdżone pod wojskowymi buciorami. A potem do pomieszczenia wszedł Andrzejewski. Na jego piersi rozlewały się dwie szkarłatne plamy. Podinspektor rozejrzał się dookoła, opadł na kolana i wreszcie na ziemię. Ciałem przygniótł trzymany w dłoniach pistolet.

Nóż. Kuba nie wiedział, kiedy ta myśl pojawiła się w jego głowie. Ten, który dała mu Sucha. Ten, który zawsze warto mieć przy sobie. A teraz trzymał go już w dłoni, chociaż nie pamiętał, żeby go wyjmował. Poderwał się z ziemi i skoczył do żołnierza. Poczul, że ostrze przebija materiał ubrania i zatapia się w ciele. Wyciągnął nóż i uderzył jeszcze raz. Krew. Nie wiedział, czy należała do niego czy do mężczyzny, ale było jej dużo, jakby cały świat w niej tonął. Chciał uderzyć po raz kolejny, jednak żołnierz odepchnął go z zaskakującą siłą albo to policjant opadł już z sił. Poleciał prawie półtora metra do tyłu. Ledwo ustał na nogach. A potem

tylko patrzył jak zahipnotyzowany na pistolet w dłoni żołnierza. Na jego podnoszące się ramię, na lufę wycelowaną w siebie. Na palec na spuście.

Nic się nie wydarzyło. Mężczyzna zatrzymał się w pół ruchu. Potem wypuścił broń i po prostu upadł.

Policjant przypatrywał mu się z rosnącym niedowierzaniem. Leżał przed nim człowiek, który chciał go zabić, któremu prawie się to udało. Kim był? Skąd się wziął? A obok niego Andrzejewski. Równie martwy. Mortce nagle to wszystko wydało się niewiarygodnie surrealistyczne. Podeszedł do jednej ze ścian i oparł się o nią. Zignorował smród spalenizny. Odetchnął.

– Stójcie, skurwiele!

Kolejny głos. Kolejny człowiek. Komisarz odwrócił się. W wejściu do pomieszczenia stał Łazarowicz i mierzył do nich z karabinka. Mortce wydawało się to szalenie zabawne. Szczególnie ta zacięta mina biznesmena. Jakby grał w kiepskim filmie klasy B. Policjant roześmiał się głośno.

– Z czego się śmiesz!? – krzyknął lobbysta. – Z czego się śmiesz?!

Komisarz zamachał rękoma.

– Przepraszam, przepraszam – powiedział.

– Rzuć to!

– Co?

– Rzuć to!

Mortka wreszcie zrozumiał. Trzymał przecież w dłoni zakrwawiony nóż.

– Dobra – odparł.

I rzucił nim w Łazarowicza. Nie liczył, że go trafi, a nawet gdyby, to wątpił, by stała mu się jakakolwiek krzywda, ale to była jedyna rzecz, którą Mortka mógł zrobić. Głupia, bo głupia, ale on bardzo chciał żyć.

Biznesmen uchylił się i przez przypadek nacisnął spust. Wystrzelił. Kula uderzyła gdzieś w sufit. Nóż uderzył w niego bokiem i upadł u jego stóp z brzękiem. Wtedy komisarz kątem oka dostrzegł podnoszącego się Borzestowskiego. Gangster rzucił się na ziemię. Wylądował tuż obok ciała żołnierza. Podniósł jego pistolet i strzelił.

Dwie z trzech kul trafiły lobbystę prosto w pierś.

Gangster powoli wstał z ziemi, jęcząc przy tym i sapiąc. On też miał zakrwawioną twarz, rozbite wargi i nos. Jego wzrok wędrował po pomieszczeniu. Minął ciało Andrzejewskiego i stanął nad Łazarowiczem. Przyjrzał mu się.

– Nie żyje – stwierdził.

Podrapał się po karku.

– Nie żyje – powtórzył zamyślony. – Łazarowicz nie żyje. Andrzejewski nie żyje. To zostaliśmy tylko pan i ja, komisarzu – stwierdził.

A potem odwrócił się i strzelił.

Kula wbiła się w ścianę, bo Mortka znajdował się już po jej drugiej stronie.

Schował się za najbliższym załomem i wyłączył latarkę.

Borzestowskiemu nie wolno było ufać. Wiele osób mu to powtarzało. A on ich słuchał i im wierzył.

– Panie komisarzu! – usłyszał jego głos. – To przez przypadek. Proszę wyjść, panie komisarzu!

Nie poruszył się. Nie miał broni. Nawet tego cholernego noża. Jego pistolet leżał gdzieś w tamtym pomieszczeniu. W strzelbie nie było naboju. Pistolet żołnierza trzymał Borzestowski. Andrzejewski swoją broń przygniótł własnym ciałem. Mortka nie miał szans, by ją wydostać. A do ciała Łazarowicza nie zdążył dobiec, żeby podnieść karabinek. Co mu w takim razie zostało?

Gangster stęknął przeciągle.

– No dobra, panie komisarzu – odezwał się zniecierpliwiony. – To nie przez przypadek. Pamięta pan, w tym mieszkaniu studenckim, kiedy pana kolega wspomniał o pańskiej wizycie w sklepie z komiksami? Pomyślałem sobie, że nie jest pan osobą, która czyta takie głupoty. Ale wie pan, kto je lubił?

Borzestowski przerwał na chwilę swój monolog, jakby spodziewał się, że Mortka mu naprawdę odpowie.

– Mieszko je lubił – dokończył po chwili. – I to cholernie. To tam ukrył garnitur, prawda? W sklepie z komiksami? A pan go znalazł. Cholerna szkoda, panie komisarzu. Cholerna szkoda. Gdyby nie to, no cóż, inaczej mogłoby się to potoczyć. Jest jak jest. Ja mam broń, pan nie.

Mortka popatrzył w ciemność przed sobą. Zastanawiał się, czy idąc tym korytarzem, dojdzie do innego wyjścia. Ale nie. Sucha pokazywała im to miejsce. Tam było tylko kilka pomieszczeń i resztki metalowych szaf.

– Proszę nie przedłużać, panie komisarzu. A ja, ze względu na to, co nas łączy, załatwię sprawę szybko.

Niewiele brakowało, pomyślał Kuba. Gdyby tylko Kochan tyle nie gadał.

– Gdzie pan jest, komisarzu? Schował się pan tutaj?

Mortka usłyszał kroki zmierzające w stronę wejścia do korytarza, w którym się ukrywał, a potem ścianę naprzeciwko oświetliło światło latarki. Zaciśnął pięść na trzymanej czołówce. Gdyby Borzestowski podszedł wystarczająco blisko, mógłby spróbować zaatakować go z zaskoczenia. Ale kroki się zatrzymały.

– A może raczej skoczył pan do tej dziury? – zapytał Borzestowski.

Kroki się oddalały. Komisarz odważył się wychylić. Dostrzegł sylwetkę gangstera zbliżającą się do otworu w podłodze, tuż obok napisu „Śmierć”. I wtedy policjant zrozumiał, że to jest jego jedyna szansa. Lepszej mieć nie będzie.

Włączył czołówkę. Rzucił ją daleko przed siebie. Światło zatańczyło po suficie, podłodze i ścianach. Borzestowski odwrócił się w tamtą stronę. Strzelił na ślepo, gdzieś zupełnie w bok. A Mortka już pędził. Wpadł w niego całym impetem swojego ciała, mocno chwycił i obaj wpadli do ciemnej otchłani.

Dziura miała zaledwie kilka metrów głębokości. Ale tyle wystarczyło. Mortka ważył prawie osiemdziesiąt kilogramów, kamizelka dodawała mu dodatkowe pięć. I Borzestowski – kolejna setka. Spadli na jakąś kupę kamieni. Policjant usłyszał trzask łamanych kości, nie swoich. On był na górze. Bolało jak cholera i odebrało mu dech w piersiach, ale chyba nic mu się nie stało.

Sturlał się z Borzestowskiego. Zabrał mu pistolet i odczołgał się o metr. Spróbował przełknąć ślinę, ale zorientował się, że ma zupełnie suche usta. Podobnie jak gardło. Palił go przelyk.

Otworzył oczy. Wydawało mu się, że zemdlał. Teraz go ćmiło, jak przy zmianie pogody. Chciało mu się wymiotować, chociaż wiedział, że w żołądku ma tylko żółć.

– Moje nogi – odezwał się Borzestowski. Mortka ledwie go słyszał. – Nie czuję nóg.

Policjant odwrócił się w jego stronę. Gangster leżał na stercie kamieni, wygięty w nienaturalny sposób.

– Nie mogę poruszyć nogami – mówił dalej. – Złamałeś mi kręgosłup. Złamałeś mi kręgosłup!

Ostatnie słowo w połowie przemieniło się w szloch. Cichy, żalony, przejmujący.

– Złamałeś mi kręgosłup...

Nagle Mortka usłyszał chrząknięcie niedaleko nich. Skierował w tamtą stronę światło latarki zawieszanej pod lufą pistoletu żołnierza. Dostrzegł męską sylwetkę.

– Kto? – zapytał słabym głosem.

– Rzuć to, Kuba – usłyszał Grudę.

Zrobił to, co mu kazano. Nie miał już siły walczyć.

Komisarz Gruda minął go obojętnie i poszedł prosto do Borzestowskiego. Stał nad nim.

– Złamał mi kręgosłup. Słyszałeś, Gruda? Złamał mi kręgosłup.

– Co robisz? – zapytał Mortka.

Gruda nie odpowiedział. Wyciągnął pistolet, wycelował w twarz gangstera i nacisnął spust.

Huk.

Rozległ się krzyk, przekleństwo gdzieś z oddali i odgłos szybkich kroków.

– Co ty zrobiłeś?! – Sucha wbiegła do pomieszczenia i dopadła do Kuby. Ukłękła przy nim i gorączkowo go badając, równocześnie celowała do Grudy.

– Spokojnie – odpowiedział Gruda. – Zrobiłem to, co trzeba było zrobić.

Spokojnym, powolnym ruchem schował broń do kabury.

– Jak się czujesz? – zapytała po chwili Sucha Mortkę.

– Będzie dobrze – wymamrotał.

Chciał pochwalić policjantkę, powiedzieć, że wiedział, że da sobie radę, że zrobi to, czego od niej oczekuje. Ona i Gruda zawsze jakoś się dogadywali. Jeśli ktoś mógł go przekonać, by przeszedł na ich stronę, to tylko ona.

– Teraz się skupcie – odezwał się Gruda. – Powiemy, że było tak...

Nadkomisarz Nowak przyglądał się twarzy swojego podwładnego. Komisarz wyglądał, jakby brał udział w wojennej batalii. Na głowie miał wielki opatrunek. Kula musnęła mu czaszkę. Uszkodziła lekko kość i zdarła skórę z włosami. Lekarz powiedział, że Mortka miał niewiarygodne szczęście. Wystarczyłoby tylko kilka centymetrów, a skończyłoby się tragicznie. Do tego zmasakrowana twarz, która wkrótce zacznie się mienić wszystkimi odcieniami fioletu, ruszające się zęby, złamane żebro. Miał też problemy ze słuchem. Nieustannie nachylał się w stronę rozmówcy.

Ale on przynajmniej przeżył.

Lekarz chciał go zostawić w szpitalu na co najmniej dobę na obserwacji, jednak komisarz się nie zgodził. Wszedł na własne żądanie i natychmiast wyładował w Pałacu Mostowskich na przesłuchaniu. Pierwszym z całej serii.

– No to jeszcze raz – powiedział Nowak. – W jaki sposób znaleźliście się w tamtym miejscu?

Komisarz Mortka poprawił się na krześle i oparł łokciami o blat stołu. Jego ruchy były powolne i ostrożne.

– Naprawdę?

– Tak. Od początku.

– Wróciłem wieczorem do domu. W drzwiach znalazłem kartkę z wiadomością od podkomisarza Kochana. Napisał, gdzie się ukrywa i że prosi o spotkanie.

– Skąd się wzięła ta kartka?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Mortka.

Tę część wymyślonej głównie przez Grudę historyjki zostawili Kochanowi. Miał zeznać, że zakradł się pod mieszkanie komisarza i zostawił mu wiadomość.

– I co pan zrobił?

– Zadzwoiłem do aspirantki Suchockiej, komisarza Grudy i podinspektora Andrzejewskiego. Postanowiliśmy sprawdzić ten trop.

– Dlaczego właśnie do nich?

– Pracowaliśmy razem.

– Zdaje pan sobie sprawę, że powinien zawiadomić przełożonych?

– Tak – przyznał z udawaną skruchą Mortka. – Zawaliliśmy, ale zakładaliśmy, że to może być podpucha.

Wiedzieli, że nie wyjdą z tej awantury zupełnie czysti. I że nie mają innego wyjścia, jak wziąć trochę brudów na klatę.

– Co było dokładnie w tej wiadomości?

– Miejsce spotkania, godzina i informacja, że Kochan znalazł garnitur Borzestowskiego. Ten, który miał być dowodem na to, że Borzestowski popełnił

zabójstwo.

– Gdzie Kochan go znalazł?

– Nie wiem.

Kolejny element do opowiedzenia przez podkomisarza. Mieszko miał go przekazać w nieznanym sposobie Evelinie, a Evelina dała go podkomisarzowi. Gangster zaginął, Evelina nie żyła, więc żadne z nich nie mogło zaprzeczyć tej wersji wydarzeń. Kochan nie przekazał garnituru nikomu, ponieważ nie zdążył. Tego samego dnia zabito dziewczynę i jej matkę, a on od tego czasu się ukrywał. Na pewno padnie pytanie dlaczego. Tutaj postanowili nie kłamać. Powie, że próbował sam rozwikłać sprawę zabójstwa dziewczyny, i doda, że podejrzewał o to Borzestowskiego. Kiedy uznał, że jednak nie da rady, napisał wiadomość dla Mortki. Tę wiadomość zresztą pośpiesznie spreparowali jeszcze w kompleksie atomowym. Wcześniej, przed śmiercią Evelyny, Kochan miał też pomagać Suchej w jej działaniach przeciwko Łazarowiczowi, co tłumaczyło pojawienie się na miejscu biznesmena i jego sojusz z gangsterem.

– Pojechaliście więc tam w czwórkę?

– Zgadza się.

– Na miejscu spotkaliście podkomisarza Kochana.

– Tak.

– I przyjechał tam również pan Borzestowski, Łazarowicz i ten mężczyzna, którego tożsamości jeszcze nie zidentyfikowaliśmy?

– Dokładnie.

– Skąd oni się tam wzięli?

– Naprawdę nie wiem. Podejrzewam, że pan Borzestowski szukał garnituru.

– I dowiedział się, że ma go Kochan?

– Tak.

– Skąd?

– Nie wiem.

Bo nie musiał tego wiedzieć. Niech to będzie zagadka, nad którą będzie się głowić Nowak i jego koledzy z Biura Spraw Wewnętrznych.

– Wywiązała się strzelanina.

– Tamta trójka chciała zabić podkomisarza Kochana. Broniliśmy go.

– Zginął podinspektor Andrzejewski.

– Zgadza się. Niestety.

– Zabiliście napastników?

– Tak.

Nowak postukał długopisem w stół. Po chwili bez słowa wstał z krzesła i wyszedł z pokoju przesłuchań. Mortka został sam. Zastanawiał się, jak sobie poradzili inni.

– To się nie trzyma kupy! – krzyknął Nowak.

Komendant stołeczny stał po drugiej stronie weneckiego lustra. Skrzywił się, kiedy dotarł do niego wrzask nadkomisarza, i gestem go uciszył.

– Bo cię jeszcze usłyszy – powiedział, wskazując na Mortkę.

– Niech słyszy. On kłamie. Ja wiem, że on kłamie. On wie, że ja wiem. Oni wszyscy wiedzą. I do tego źle kłamią. To nie ma sensu.

– Dlaczego? – zapytał komendant.

Nowak spojrział na przełożonego jak na wariata.

– Pojechali tam samowolnie, bez powiadamiania nikogo.

– Chcieli pomóc koledze. Przyznali się do tego, prawda?

– Pojechali tak uzbrojeni? Z kamizelkami? Bronią automatyczną, myśliwską, strzelbą? Oni tam jechali na wojnę! Wiedzieli, co się wydarzy. Poza tym... ten Kochan niby się tam ukrywał, prawda? Nie ma tam śladów żadnego obozowiska. Niczego, co by wskazywało, że koczował tam przez te ostatnie dni. I ta cała afera z garniturem! To nie ma sensu! Żadnego! Trzeba ich wszystkich solidnie przycisnąć. Każdego po kolei. Wydobyć z nich prawdę! – Nowak, kończąc zdania, uderzał pięścią w otwartą dłoń.

Komendant pomasażował sobie czoło, mrużąc przy tym powieki, jakby cierpiał na migrenę.

– Niby tak – powiedział. – Ale zastanawiałeś się, czego się dowiesz?

Nowak zamarł.

– Co takiego?

– Czy zastanawiałeś się, czego się dowiesz? Jakie syfy wyjdą na jaw, kiedy zaczniemy w tym grzebać. Bo póki co mamy nieżywego podinspektora policji, wieloletniego szefa Wydziału Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Faceta, który może zrobił głupstwo, bo pojechał tam bez odpowiedniego wsparcia, ale za to zginął jak bohater. I wiesz co? – Komendant zawiesił głos, żeby dokończyć prawie szeptem. – Mnie to pasuje.

Nowak patrzył na przełożonego z niedowierzaniem. Jakby spodziewał się, że to żart i zaraz ktoś przybiegnie i powie mu, że jest w ukrytej kamerze. Cisza jednak się przedłużała, a do niego docierało, że komendant mówił śmiertelnie poważnie.

– To się nie uda – powiedział po chwili.

– Dlaczego nie?

– Jeśli ja widzę, że to kłamstwo, to inni też to zobaczą. Zaczną grzebać.

– Po co?

Komendant pozwolił, by to pytanie zawisło na dłuższą chwilę w powietrzu. Potem kontynuował.

– Powiedz mi, komu według ciebie będzie zależeć na tym, żeby odkryć prawdę? Rodzinie Andrzejewskiego? Raczej nie. Borzestowskiego? Chyba miał brata, ale nie sądzę, by ten chciał się tym zajmować. Szczególnie że tutaj dziwnie upierają się przy swojej wersji. Łazarowicza? Być może. Ale z nimi sobie jakoś

poradzimy. To kto zostaje? Ja. Mi ta ich bzdura wystarczy.

– Komenda Główna.

– Będą zachwyceni, kiedy zdejmemy im jeden kłopot z głowy.

Nowak podszedł do szyby i oparł się o nią. Po drugiej stronie Mortka wyginał się na krześle, próbując przyjąć taką pozycję, w której na moment przynajmniej przestanie go boleć całe ciało.

– Chcesz na dłużej zostać na miejscu Andrzejewskiego? – zapytał komendant.

Nowak nie musiał odpowiadać. Obaj przecież wiedzieli, jak jest.

– Co w takim razie z nimi zrobimy? – zapytał.

Nie odwrócił się. Nie chciał oglądać ulgi malującej się na twarzy przełożonego.

– Coś się wymyśli – powiedział komendant.

Kilka dni później Mortka wysiadł z metra na stacji Ratusz Arsenal i wyszedł niedaleko kina Muranów. Grupka grubo ubranych młodych ludzi przyglądała się plakatowi promującym niszowe filmy i gorąco nad czymś dyskutowała. Dwie dziewczyny wyróżniały się strojem. Miały krótkie spódniczki i wiosenne pantofle. Teraz tupąły intensywnie, żeby trochę się rozgrzać, i śmiały się przy tym co chwila.

Do Warszawy wreszcie powróciła prawdziwa zima.

Olga była już w mieście. Rozmawiali krótko i tylko przez telefon. U maklerki było wszystko w porządku, ale nie chciała się z nim widzieć. Poprosiła o kilka dni, żeby przemyśleć to, co się wydarzyło. Na parkingu Komendy Stołecznej dostrzegł Grudę. Starszy policjant opierał się o bagażnik swojego samochodu i palił papierosa. Nad jego głową uformował się siwy obłok. Mortka stanął obok. Przez chwilę przyglądali się sobie, zastanawiając się, czy powinni się przywitać, ale żaden z nich nie wyciągnął dłoni.

– Będą cię po raz kolejny przepytawać? – zapytał Gruda i wskazał na komendę. Mortka potwierdził.

– Ciebie już skończyli?

– Aha.

– I co?

– Przekroczenie uprawnień i nieumyślne spowodowanie śmierci.

Mortka spojrzał na niego ze zdziwieniem. Przypominał sobie ich ustalenia. Gruda stwierdził, że weźmie na siebie Borzestowskiego, co było najłatwiejsze, bo gangster zginął z jego broni. Łazarowicz został postrzelony z pistoletu żołnierza, a ponieważ najemnik nie żył, twardo twierdzili, że to właśnie on przypadkowo zabił biznesmena. Kuba przyznał się do zabicia najemnika. Miał na dłoniach i ubraniu pełno jego krwi. Według ich wersji do całego zdarzenia doszło już pod ziemią, gdzie ukrywał się Kochan. Tylko Mortka i Gruda brali udział w strzelaninie. Sucha wyprowadziła rannego podkomisarza na samym początku.

Nic nie widziała.

– W jaki sposób?

– Przyznałem, że strzeliłem do niego w momencie, kiedy prawdopodobnie nie stanowił już zagrożenia. Tak jak przypuszczałem, nie uśmiecha im się oskarżenie mnie o zabójstwo, ale prokurator i tak musi coś przygotować.

Gruda mówił o tym obojętnym tonem. Był wyraźnie zmęczony. Mortka zresztą tak samo. Spał w nocy po dwie, trzy godziny. Budził się spocony, z mocno bijącym sercem i strzępkami obrazów z atomowego bunkra migającymi przed oczami. Potem długo nie potrafił zasnąć.

– Dlaczego tak? – zapytał. – Mogłeś się wybronić.

Gruda mruknął coś do siebie i zaciągnął się papierosem, a Kuba nagle zrozumiał.

– Beata – stwierdził.

Starszy policjant wypuścił dym z płuc.

– Straciła przez nas to dziecko, nie? – powiedział po chwili.

– Tak.

Gruda wyrzucił przed siebie niedopałek i patrzył, jak ten wpada z cichym syknięciem w czarną toń kałuży.

– Zastanawiałem się przez moment, czy nie przyznać się do zabójstwa Wilka i całej reszty – dodał. – Tylko wiesz, zaczęłoby się wtedy grzebanie, przepytywanie. Pewnie musiałbym przyznać, że zrobiłem to z Andrzejewskim, a jego żona i tak już dość przeżyła. Poza tym... Głupia sprawa...

– Tak?

– Jestem gotów na piątkę, ale dwadzieścia pięć albo dożywocie za trzy zabójstwa to już nie dla mnie. Poza tym w jednym Andrzejewski miał rację, to straszne skurwysyny były...

Mortka nie skomentował tego wyznania, chociaż wydawało mu się, że starszy policjant tego oczekuje. Gruda chciał słuchacza, kogoś, komu mógłby przedstawić swoje racje, wszystko opowiedzieć, tylko że Mortka nie zamierzał w tym brać udziału. Nie chciał być spowiednikiem ani przeciwnikiem w dyskusji, której jedynym celem miało być utwierdzenie się w przekonaniu o słuszności własnego postępowania.

– Myślisz, że piątka wystarczy? – zapytał Gruda.

– Wątpię, żeby ci wlepili całą piątkę.

– Prokurator wyglądał na ucieszonego, kiedy pojawił się temat. Komendant z Nowakiem także. Wiesz, narobiliśmy niezłego syfu. Dobrze, że będą mogli postawić jednak komuś jakieś zarzuty. Może dzięki temu was to ominie.

– Nie poprawiaj sobie humoru, myśląc, że nas chronisz. Poradzimy sobie sami.

W kieszeni Grudy rozdzwonił się telefon. Policjant wyciągnął aparat.

Sprawdził, kto dzwoni, i odrzucił połączenie.

– Córka – wyjaśnił. – Próbuje ze mną porozmawiać od wczoraj. Jakoś się dowiedziała o wszystkim, a ja nie mam pojęcia, co miałbym jej powiedzieć. Kłamać im – wskazał na budynek komendy – to jedno. Ale jej... Chociaż też nie wiem, skąd teraz te skrupuły. Przecież całe życie... – Przerwał w połowie zdania. – Tylko ciebie głównie to obchodzi, co?

– Sam nie mam pojęcia, co opowiedzieć chłopakom – wyznał Mortka. – A muszę coś szybko wymyślić. Mamy spędzić razem Wigilię. U jej faceta.

– Żartujesz?

Kuba pokręcił głową.

– Czego się nie robi dla rodziny, co? – mruknął. – Ola dwa dni temu powiedziała mi, że po tej awanturze w Krotowicach, wtedy, kiedy złamano mi rękę, Andrzej miał koszmary, że zginę na służbie. Przez kilka miesięcy wracał do tego tematu. Nic o tym nie wiedziałem.

– Przewalone. Wymyśliłeś już, jak wytłumaczysz się z tych obrażeń?

– Chyba zwałę to na wypadek na nartach.

– Nie jeździsz na nartach.

– No właśnie. Pewnie skłamię, że właśnie próbuję się nauczyć, i w rezultacie skończy się to na tym, że za rok będę musiał z nimi jechać na stok... Kurwa...

Gruda roześmiał się chrapliwie. Mortka dołączył do niego po kilku sekundach. Ale szybko przestali, obaj zawstydzeni tym, że pozwolili sobie na ten moment wesołości. Za bardzo ich zbliżała, a po tym, co się wydarzyło, powinna być pomiędzy nimi przepaść.

– Co naprawdę stało się z Eveliną? – zapytał Mortka.

– Nic jej nie zrobiłem. Z tego, co wiem, Andrzejewski też nie.

– To kto ją zabił? I dlaczego?

Gruda skrzywił się, bo zdawał sobie sprawę, że odpowiedź, której zamierzał udzielić, nie spodoba się Mortce.

– Kochan. I nie wiem dlaczego.

– Bez sensu.

– Na miejscu zdarzenia była jego broń.

– Ktoś ją tam podrzucił!

– Kto?

Mortka nie wiedział. I wierzył Grudzie. Gdyby Andrzejewski naprawdę miał coś wspólnego ze śmiercią Eveliny, to zabiłby Kochana wtedy, kiedy zostali sami w budynku koszar. Dotarło to do niego dopiero po wszystkim. Nie powinien ich tam zostawiać. Mógł się tylko pocieszać, że ten błąd nie miał żadnych konsekwencji.

– Zabiliśmy trzech ludzi – odezwał się po chwili Gruda. – To było złe, wiem, ale nie oszukujmy się, oni na to zasługiwali. Ale Evelina i jej matka były niewinne.

Po prostu... Wiem, że to twój przyjaciel, Kuba, ale nie pozwól, żeby uszło mu to płazem.

Skończył i odepchnął się od bagażnika. Stał przez moment w bezruchu, czekając na odpowiedź Mortki, ale ta nie padła. Wsiadł więc do samochodu. Komisarz odsunął się, żeby zrobić mu miejsce, a Gruda uruchomił silnik i odjechał z parkingu.

Kuba poczuł, jak na głowę spadają mu zimne płatki ciężkiego śniegu.

– Cieszę się, że zgodziła się pani ze mną spotkać.

Sucha machnęła lekceważąco ręką.

– Mam teraz sporo wolnego czasu – powiedziała.

Iwona Napieraj zamrugła kilka razy, zastanawiając się, co to znaczy. Kobieta miała na sobie elegancką garsonkę i sięgającą do kolan kremową spódnicę. Policjantce z kolei wystarczyły dresowe spodnie, sportowe buty i wojskowa kurtka. Nie chciało jej się nawet włożyć jeansów. Została zawieszona aż do czasu wyjaśnienia wszystkich okoliczności sprawy.

– Siądziemy gdzieś? – zaproponowała Iwona.

– Niech pani prowadzi.

Napieraj poprowadziła ją na róg Nowego Światu i Foksal. Weszły do kawiarni Cava i zajęły stolik w rogu sali, z widokiem na ulicę. Kelnerka obrzuciła je zdziwionym spojrzeniem. Biorąc pod uwagę sam strój, trudno sobie było wyobrazić bardziej niedobraną parę.

– Może być? – zapytała Iwona.

– Jasne.

Zamówiły po kawie. Napieraj dodała do tego francuskiego rogalika.

– Czego pani chce? – zapytała Sucha, kiedy przyniesiono im już napoje.

Kobieta ujęła kruchego rogalia w palce i przełamała go na pół. Kawałeczki ciasta poleciały na stolik i talerzyk. Nie wzięła go jednak do ust. Odłożyła na miejsce. Poprawiła gestem kosmyk włosów, który i tak znajdował się we właściwym miejscu.

– Chciałam porozmawiać o Michale.

– On nie żyje.

– Tak, wiem – odparła speszona i zaraz dodała pod nosem: – Do cholery!

Schyliła się do dużej torebki i wyjęła z niej dwie duże plastikowe teczki na dokumenty. Podsunęła je Suchej.

– To wszystko, co udało mi się znaleźć – powiedziała. – Dokumenty, kalendarz, daty spotkań i tych orgii. Informacje, kto w nich uczestniczył. Jego notatki. Są też zdjęcia. Nie wiem, kto je robił i kiedy, ale jest ich sporo.

– Skąd to wszystko?

Iwona Napieraj zacisnęła usta.

– Pracowałam z nim długo. Za długo. Nie doceniał mnie. A ja znałam hasła

do jego komputera. Wiedziała, gdzie chowa szczególnie cenne materiały, jaki jest szyfr do sejfu. – Po raz kolejny nerwowym ruchem poprawiła kosmyk. – Wiem, że to za późno, ale może i tak się pani przyda.

Sucha podniosła teczki. Zważyła je w dłoni. Były dość ciężkie. Pod palcami wyczuła kształt płyt CD.

– Wiedziała pani, co oni robili na tych imprezach? O gwałtach?

– Mniej więcej. Od pewnego momentu.

– Nie przeszkadzało to pani?

Iwona uciekła wzrokiem na bok.

– Chyba starałam się o tym za dużo nie myśleć.

– Dość wygodne podejście do życia.

– Niestety najwyraźniej jestem dość wygodną kobietą. Pani nigdy na nic nie przymknęła oczu? Nawet na chwilę?

– Pani kolega z pracy popełnił przez to samobójstwo – powiedziała Sucha. – To nie przymykanie oczu, raczej zaklejanie ich taśmą. I zakładanie słuchawek na uszy, żeby nie słyszeć krzyków.

Twarz kobiety stężała. Jej dłonie zadrżały, więc schowała je pod blat stołu.

– Chyba ma pani rację – stwierdziła po chwili.

– Chyba mam.

Sucha wzięła teczki i położyła sobie na kolanach. Napieraj podniosła się z krzesła, ale policjantka powstrzymała ją, chwytając za przegub.

– Dlaczego to zrobił? – zapytała. – Nie mówię o narkotykach, seksie i orgiach. Ale ten gwałt na asystencie. Dlaczego?

Kobieta posłusznie usiadła. Jej spojrzenie zrobiło się dziwnie zamglone, jakby zaatakowało ją stado wspomnień.

– Pani wie, na czym polega władza? Prawdziwa władza? – odezwała się po chwili.

– Na czym?

– Na łamaniu zasad, które obowiązują zwykłych ludzi. To właśnie robił Michał. I myślę, że dlatego właśnie pani została policjantką.

– Co takiego?!

Iwona Napieraj po raz pierwszy podczas ich spotkania uśmiechnęła się lekko.

– Nachodziła mnie pani w domu, szantażowała.

– Nie jestem taka jak on.

– Nie. Ale robi pani to samo co on.

Sucha przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna jej uderzyć za te słowa. Miała na to ochotę, jednak postanowiła nie robić sceny w miejscu publicznym. Bez słowa wstała od stolika i skierowała się do wyjścia.

– Co pani zrobi z tymi materiałami?! – zawołała za nią Iwona.

Sucha przystanęła. Odwróciła się. Teczki ciążyły jej w dłoni. I nagle dotarło do niej, że nie chce sprawdzać ich zawartości. Łazarowicz już nie żył. Cokolwiek zrobił w życiu, jakich grzechów nie popełnił, został już za to ukarany. A ona przyłożyła do tego rękę. Nie sprawiło jej to żadnej satysfakcji. Patrząc na jego ciało, tam, w dawnym schronie przeciwatomowym, czuła tylko przelewającą się przez nią gorycz, której pochodzenia nie potrafiła zidentyfikować ani zrozumieć. Świat bez Łazarowicza był lepszy, ale wysiłek, jaki włożyła w to, żeby do tego doprowadzić, wydawał się jej nagle zbyt wielki w stosunku do ostatecznego rezultatu.

– Oddam je komuś, kto zrobi z nich dobry użytek – powiedziała.

Tym razem odpuści. Niech ktoś inny to pociągnie, zajmie się kumplami Łazarowicza. Nie znaczyło to jednak, że rezygnowała. Wkrótce wróci na ring. Będzie walczyć z całych sił, żeby posunąć się o te kilka milimetrów we właściwym kierunku. Taka już była i taka chciała być.

Tylko to miało sens.

EPILOG

Nienawidził szpitali. Ilekroć miał do jakiegoś wejść, cierpła mu skóra, a wnętrzności kurczyły się w jamie brzusznej, jakby wszystkie chciały się schować pod osłoną żeber. Wiedział, że to uczucie było irracjonalne. Statystycznie rzecz ujmując, więcej ludzi ze szpitali wychodziło wyleczonych, niż umierało, ale nie potrafił tego przezwyciężyć. Jego dziecięcy umysł zapamiętał szpital jako miejsce, gdzie na pacjentów czeka śmierć.

Mortka szedł korytarzem i niemal fizycznie odczuwał, jak zapach środków dezynfekujących osiada na jego skórze i ubraniu. Po powrocie do domu obiecał sobie solidny prysznic, a ciuchom pranie.

Sucha szła obok. Odnaleźli odpowiedni pokój. Przy drzwiach siedział policjant i czytał gazetę. Gdy Mortka pokazał mu legitymację, pozwolił im wejść.

Kochan formalnie ciągle był podejrzany o zabójstwo Evelyny Wilkiewicz oraz jej matki. Jednak ze względu na jego ciężki stan zdecydowano o pozostawieniu go w szpitalu. Stracił dużo krwi. Miał poważne obrażenia narządów wewnętrznych. Według opinii lekarzy bez fachowej pomocy zmarłby w ciągu trzech godzin. Przez dwa dni był w śpiączce farmakologicznej, więc przesłuchany został dopiero po wybudzeniu. Szczęśliwie zapamiętał prawie wszystko, co ustalili tamtej nocy. Tak, Evelina przekazała mu garnitur. Tak, twierdziła, że dostała go od Mieszka. Tak, ukrywał się przez ten czas w okolicach Puszczy Kampinoskiej i próbował samodzielnie prowadzić śledztwo. Kiedy uznał, że nie da rady, skontaktował się z Mortką. Nie wiedział, w jaki sposób odszukał go Borzestowski z Łazarowiczem. Tak, wcześniej pomagał Suchej w jej śledztwie dotyczącym lobbysty. Podczas przesłuchania dalej twierdził, że o śmierci Evelyny i próbie aresztowania dowiedział się od gangstera. W tej wersji jednak zostało to przekazane w formie groźby, a nie przysługi. Nie wiedział, skąd na miejscu zbrodni wzięła się jego broń. Podejrzewał, że ktoś mu ją ukradł. Przyznawał, że nie przechowywał jej w odpowiednich warunkach. Ta historia, nawet jeśli nie przekonała śledczych, przynajmniej zasiała w ich głowach sporo wątpliwości. Szczególnie biorąc pod uwagę finał wydarzeń i bohaterką, jak już rozgłaszano, śmierć podinspektora Andrzejewskiego. Ponieważ ciągle jednak nie wykluczono jednoznacznie winy Kochana, nieustannie go pilnowano. Przydzielono mu także jednoosobowy pokój w szpitalu MSW w Warszawie.

Kochan leżał na łóżku w dresowych spodniach i luźnej koszulce. Ciągle był błądy. Jego klatka piersiowa podnosiła się niemrawo, nieregularnie, jakby raz po raz zapominał o oddychaniu. Podłączony do kroplówki, wpatrywał się w zawieszony na ścianie telewizor. Obok niego siedziała jego żona. Ania pojawiła się, kiedy tylko dotarła do niej wiadomość o odnalezieniu Darka. Od tamtego czasu nie odstępowała męża na krok.

Mortka chrząknął i dopiero wtedy go zauważyli. Kochan uśmiechnął się szeroko i wyłączył telewizor.

– Kuba! Sucha! Pozwolili wam do mnie przyjść?!

– Tak. Ale bardzo długo o to walczyłem.

Faktycznie. Kłótnia z Nowakiem na ten temat trwała ponad dwie godziny. Otarła się nawet o komendanta i dopiero po jego interwencji nowy szef wydziału się zgodził. Nowak pożegnał go wtedy nienawistnym spojrzeniem.

Ania posłała im przyjazny uśmiech, ale w jej oczach można było dostrzec niepokój. Jakby wzięła ich wizytę za zły znak.

– Dobrze was widzieć. Chciałbym się dowiedzieć, na czym stoimy, bo nic mi nie mówią. Adwokatowi, którego załatwiła Ania, też jeszcze nic. Macie coś? Cokolwiek?

Mortka pokręcił głową.

– Kurwa... – mruknął Kochan.

– Przyszedłem tutaj, żeby z tobą o czymś porozmawiać.

– Dawaj.

– Tam, w schronie, byłem chwilę sam na sam z Borzestowskim. Zapytałem go, dlaczego cię ostrzegł.

– Aha. I co powiedział? Sam jestem ciekaw.

– Że nie muszę wszystkiego wiedzieć.

– W jego stylu, co? Niech mu ziemia lekką będzie.

Komisarz zrobił krok w stronę łóżka.

– Ale wiesz co, Darek. Teraz, jak o tym myślę...

– No?

– On wcale nie potwierdził, że poinformował cię o śmierci Eveliny i o tym, że przyjadą cię zatrzymać. Zresztą skąd miałby o tym wiedzieć?

Kochan podniósł się na łóżku. Ania doskoczyła do niego od razu, żeby poprawić mu poduszki pod plecami.

– Stary... – powiedział Kochan. – Nie wiem skąd. Trzeba było go o to zapytać, nie?

Mortka zrobił kolejny krok w stronę łóżka. Podkomisarz zacisnął szczęki, jakby szykował się do bokerskiego pojedynku.

– Przestańcie już – przerwała im ostro Sucha. – Ty, Kuba, się popisywać, a ty, Kochan, kłamać.

Podeszła do Ani i wyciągnęła w jej stronę dłoń.

– Pani Anno... Możemy prosić z nami?

Sploszona kobieta spojrzała najpierw na Kochana, a potem na Mortkę.

– Co ty robisz, Kuba? – spytał podkomisarz.

– Sprawdziliśmy billingi, Darek – wyjaśnił policjant. – Borzestowski do ciebie nie dzwonił. A skoro to nie on, to dlaczego skłamałeś? Kogo chciałeś

ochronić i kto mógł wiedzieć, że Evelina nie żyje? Przecież chroniąc tę osobę, zrzuciłeś podejrzenia na siebie! Na kim mogło ci aż tak bardzo zależeć?!

– Borzestowski zadzwonił domofonem! Dlatego nie ma, kurwa, śladu połączenia!

– Pomyślałem, że jest tylko jedna taka osoba – ciągnął Mortka. – Poprosiłem o sprawdzenie billingów. Według informacji od operatora sieci komórkowej tamtej nocy Ania była w Milanówku. Jej telefon logował się do lokalnych stacji bazowych. A potem pojechała na Pragę. W okolicę waszego mieszkania. – Komisarz odwrócił się do żony Kochana.

– To ty powiedziałaś Darkowi, co się stało, prawda? Bo najlepiej ze wszystkich ludzi na świecie wiedziałaś, co się tam wydarzyło.

Na policzkach Kochana pojawiły się rumieńce.

– Nie rób tego, Kuba. To moja rodzina – wydobył głos ze ściśniętego gardła.

– Pani Anno – powtórzyła Sucha. – Mogę panią prosić?

Kobieta po chwili wahania wstała. Dotknęła ramienia męża i ścisnęła je lekko. Potem podeszła do Mortki.

– Nie planowałam tego – powiedziała.

Komisarz chciał jej uwierzyć, ale nie potrafił. Nie dlatego, że nie mogła mówić prawdy, tylko okoliczności przemawiały przeciwko niej. Wiedziała, gdzie Kochan trzyma broń. Ciągle miała klucze do mieszkania. W jakiś sposób dotarła do niej informacja o romansie Darka z Eveliną. Pomimo wszystkiego, co jej zrobił, pomimo całego cierpienia, jakie jej sprawił, ciągle go kochała. Ciągle był jej mężem. Nie rozumiała, dlaczego kilka tygodni wcześniej wyrzucił ją z domu. Zjawiała się w mieszkaniu podczas jego nieobecności. Wzięła broń. Pojechała do Eveliny. Może naprawdę chciała tylko z nią porozmawiać, nastraszyć. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Sugerowały to ślady po kulach. Ogólny chaos. Fakt, że porzuciła broń w Milanówku. W drodze powrotnej zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Pojechała do męża i opowiedziała o wszystkim, a Kochan postanowił ją chronić w jedyny sposób, w jaki potrafił. Biorąc najpierw winę na siebie, a potem próbując ją zrzucić na kogoś innego. Co nim kierowało? Mortka podejrzewał, że wyrzuty sumienia. A może, tak jak w przypadku Andrzejewskiego, jakieś dziwne pojmowanie miłości.

– Nie rób tego, Kuba – powtarzał Kochan.

– Na dole czeka na nas radiowóz. Zawiozą cię na przesłuchanie. Potem usłyszysz zarzuty – mówił do Anki Mortka.

– Kurwa, Kuba! – ryknął podkomisarz. – To jest moja żona! To jest moja rodzina!

– Chodźmy już.

Mortka wziął kobietę pod ramię. Sucha trzymała się pół kroku za nimi.

– To ja zrobiłem, Kuba! Słyszysz?! To ja je zabiłem! Ja! Ja je zabiłem!

Wyszli z pokoju. Minęli zaskoczonego policjanta i dwie pielęgniarki, które spoglądały w ich stronę, ciekawe, co się dzieje.

– Dlaczego zabrałaś Evelinie pierścionek? – zapytał Mortka.

– Kiedy go zobaczyłam na jej palcu... Ona była czyjąś narzeczoną. Nie powinna spać z moim mężem. Pomyślałam, że nie zasługuje na ten pierścionek. Że nie ma prawa go nosić. – Wzięła głębszy wdech. – Jestem głupia. Ale nie planowałam tego, Kuba. Nie planowałam.

Chwycił ją mocniej, kiedy zachwiała się w połowie kroku. Przystanęli. Płakała. Otarła rękawem łzy z twarzy.

– To moja żona! To moja rodzina! – krzyk Kochana wypełnił korytarz.

Mortka odwrócił się. Podkomisarz stał przy drzwiach swojego pokoju. Jedną ręką opierał się o framugę, drugą zaciskał na stojaku z kroplówkami. Pilnujący go policjant poderwał się ze swojego miejsca.

– Zabiję cię, Kuba! Rozumiesz?! Zabiję cię, kurwa!

– Chodźmy – pośpieszyła ich Sucha.

– Zabiję cię! Zginiesz za to, skurwielu!

Dotarli do windy. Weszli do środka. Sucha nacisnęła przycisk. Wściekły wrzask Kochana był ostatnią rzeczą, jaką usłyszeli, zanim zamknęły się za nimi stalowe drzwi, a winda ze skrzypnięciem ruszyła na dół. Do miejsca, gdzie ta historia wreszcie miała się zakończyć.

